



GORZKA  
CZEKOLADA

NELE  
NEUHAUS

# ŻYWI I UMARLI

[OFIARY NIE MIAŁY WROGÓW, WIĘC DLACZEGO  
MUSIAŁY UMRZEĆ?]



Media Rodzina

NELE  
NEUHAUS

**ŻYWI  
I UMARLI**

Tłumaczyli  
Anna i Miłosz Urbanowie

**Media Rodzina**

Dedykacja

ŚRODA 19 GRUDNIA 2012

W TYM SAMYM CZASIE...

CZWARTEK 20 GRUDNIA 2012

PIĄTEK 21 GRUDNIA 2012

SOBOTA 22 GRUDNIA 2012

PONIEDZIAŁEK 24 GRUDNIA 2012

WTOREK 25 GRUDNIA 2012

CZWARTEK 27 GRUDNIA 2012

PIĄTEK 28 GRUDNIA 2012

SOBOTA 29 GRUDNIA 2012

NIEDZIELA 30 GRUDNIA 2012

PONIEDZIAŁEK 31 GRUDNIA 2012

WTOREK 1 STYCZNIA 2013

ŚRODA 2 STYCZNIA 2013

CZWARTEK 3 STYCZNIA 2013

8 CZERWCA 2013

PODZIĘKOWANIA

Tytuł oryginału  
DIE LEBENDEN UND DIE TOTEN

Copyright © Ullstein Buchverlage GmbH, Berlin  
Published in 2014 by Ullstein Verlag  
Copyright © 2015 for the Polish edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

Zdjęcie na okładce  
Shutterstock, Inc.

Projekt logotypu Gorzka Czekolada  
Dorota Wątkowska

Projekt okładki  
Agata Wodzińska-Zajac

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-093-5

**Media Rodzina Sp. z o.o.**  
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań  
tel. 61 827 08 60  
[mediarodzina@mediarodzina.pl](mailto:mediarodzina@mediarodzina.pl)  
[www.mediarodzina.pl](http://www.mediarodzina.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla  
*Matthiasa.*  
Forever  
*and for always*

*Temperatura na zewnątrz wynosiła trzy stopnie Celsjusza. Brak wiatru. Według prognozy pogody nie miało padać. Idealne warunki.*

*Ósma dwadzieścia jeden.*

*Widział, jak się zbliża. Jej różowa czapka była niczym lampion pośród łupkowej szarości rozpoczynającego się zimowego dnia. Była sama, jak zawsze. Obok niej dreptał pies; ciemny, zwinnie cież pośród pozbawionych liści krzaków. Staruszka codziennie wybierała tę samą drogę. Najpierw szła Lahnstrasse, mijając plac zabaw, drewnianym mostkiem na drugą stronę strumienia Westerbach, a potem chodnikiem wzdłuż niego, w prawą stronę. Kawalek dalej asfalt skręcał w lewo, w kierunku szkoły. Tutaj znajdował się najdalszy punkt jej porannego spaceru. Stąd wracała, najpierw kilometr przez pola drogą Dörnweg, która prowadziła z Eschborn do Niederhöchstadt, potem skręcała w lewo, przechodziła przez ten sam drewniany mostek i była już niemal w domu.*

*Pies załatwił się na placu zabaw, na trawniku przed huśtawkami. Kobieta starannie posprzątała po swoim pupilu do plastikowej torebki, którą wyrzuciła do kosza na śmieci na skrzyżowaniu. Przeszła nie więcej niż dwadzieścia metrów obok niego, lecz go nie zauważyła. Przyglądał się jej z ukrycia. Widział, jak przechodzi przez mostek, którego drewniane belki połyskiwały ciemno wilgocią, a potem jak znika za drzewami po drugiej stronie. Przygotował się na dobre pół godziny czekania. Ułożył się na brzuchu pod ciemnozieloną pałatką, poprawił wygodnie i znieruchomiał. Gdyby było trzeba, mógłby tak leżeć godzinami. Cierpliwość była jego największym atutem. U jego stóp bulgotał i szumiał strumień, który latem był ledwie strumyczkiem. Tuż obok podskakiwały dwa kruki. Przez chwilę przyglądały mu się z zaciekawieniem, ale szybko straciły zainteresowanie.*

Mimo specjalnego ubioru marzły mu nogi. Gdzieś pośród pozbawionych liści gałęzi dębu pohukiwał gołąb. Po drugiej stronie strumienia biegła jakaś młoda kobieta. Poruszała się lekko, jakby niesiona muzyką, której słuchała. W oddali turkotał pociąg, a w powietrzu niósł się melodyjny sygnał dzwonka na przerwę.

W końcu pośród czarnoszarej plataniny gałęzi dostrzegł różowy punkcik. Zbliżała się. Momentalnie przyspieszył mu puls. Spojrzał przez celownik optyczny, wyrównał oddech, rozprostował palce prawej dłoni. Skręciła w prawo, w drogę, która łukiem prowadziła do mostku. Pies truchtał kilka metrów za nią.

Oparł palec na spuście. Z ostrożności, nie odwracając głowy, spojrział w prawo i w lewo, lecz nie dostrzegł nikogo. Poza nią oczywiście. Skręciła razem z drogą i tak, jak sobie zaplanował, widział jej lewy profil.

Tłumik odbierał broni nieco precyzji, jednak przy niecałych osiemdziesięciu metrach to nie miało znaczenia. Huk wystrzału mógłby niepotrzebnie wzbudzić zbyt wiele zainteresowania. Odetchnął głęboko. Był skoncentrowany. Nie widział niczego poza swoim celem. Delikatnie nacisnął spust. Odrzut, na który był przygotowany, uderzył go kolbą w obojczyk. Ułamek sekundy później pocisk Remington Core-Lokt rozerwał jej czaszkę. Staruszka osunęła się bezgłośnie na ziemię. Trafiona.

Wystrzelona łuska parowała na wilgotnej ziemi, wyrzucona z komory karabinu. Podniósł ją i schował w bocznej kieszeni kurtki. Miał trochę sztywne kolana po długim leżeniu w zimnie. Kilkoma ruchami rozłożył broń i ukrył w sportowej torbie, do której trafiła również starannie złożona zielona pałatka. Upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu, i wyszedł z krzaków. Przeszedł przez plac zabaw i ruszył w stronę Wiesenbad, gdzie zostawił samochód. Było trzynaście minut po dziewiątej, kiedy opuszczał parking i skręcał w lewo, na główną drogę.

Nadkomisarz policji kryminalnej Pia Kirchhoff miała urlop. Po raz ostatni w pracy była w zeszły czwartek, a powrót zaplanowała na szesnastego stycznia przyszłego roku. Pełne trzy tygodnie! Poprzedni urlop z prawdziwego zdarzenia wzięła niemal cztery lata wcześniej: w 2009 roku poleciała z Christophem do Republiki Południowej Afryki. Później zdarzały się jej jakieś krótsze wyjazdy, lecz tym razem zaplanowali coś specjalnego: lecieli na drugą półkulę, do Ekwadoru, a stamtąd statkiem na wyspy Galapagos. Christoph już nieraz był zatrudniany przez organizatorów luksusowych rejsów jako przewodnik, a tym razem ona miała mu towarzyszyć w zupełnie nowej roli — jako żona.

Pia usiadła na brzegu łóżka i zamyślona spojrzała na wąską złotą obrączkę na palcu. Urzędnik stanu cywilnego wydawał się nieco zdezorientowany, kiedy Christoph wsunął ją na jej lewą dłoń. Wyjaśniła wtedy, że przecież serce znajduje się po lewej stronie i dlatego postanowili nosić obrączki na lewej dłoni. I było w tym trochę prawdy, lecz przy tej decyzji kierowali się przede wszystkim pragmatycznymi względami. W czasie pierwszego małżeństwa z Henningiem Pia nosiła obrączkę jak zwykle się nosić w Niemczech, czyli na prawej dłoni. Nie była co prawda nadmiernie przesądna i wiedziała, że to nie miało wpływu na rozpad ich związku, jednak uznała, że lepiej nie kusić losu. Po drugie — i to był właściwy powód — nienawidziła, gdy ktoś silnym uściskiem dłoni sprawiał jej ból, miażdżąc palce obrączką.

W zeszły piątek udała się z Christophem do Urzędu Stanu Cywilnego w Höchst, który miał siedzibę w pawilonie ogrodowym pałacu rodziny Bolongaro, i tam, w tajemnicy, odbył się ich dyskretny ślub. Bez przyjaciół, bez rodziny, bez świadków i bez powiadamiania kogokolwiek. Zaplanowali,



że podziela się tą wieścią dopiero po powrocie z wyprawy do Ameryki Południowej, a później, w wakacje, wydadzą wielkie przyjęcie u siebie w gospodarstwie.

Pia oderwała w końcu wzrok od obrączki i wróciła do pakowania stosów rzeczy z łóżka do dwóch walizek, w taki sposób, by zajęły jak najmniej miejsca. Grube swetry i kurtki nie będą potrzebne. Za to letnie ubrania jak najbardziej. Koszulki z krótkim rękawkiem. Krótkie spodenki. Kostiumy kąpielowe. Cieszyła się, że umknie w ten sposób zimie i świętom Bożego Narodzenia, których nie darzyła szczególnym sentymentem i, zamiast marznąć w kraju, będzie wygrzewać się na pokładzie luksusowego wycieczkowca, czytać książki i odpoczywać. Christophą czekała co prawda ciężka praca, ale i on będzie mógł cieszyć się wolnym czasem. Poza tym noce będą należeć tylko do nich. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wysłać z wycieczki kartek z życzeniami do rodziców, siostry i brata — o tak, a przede wszystkim do jego aroganckiej żony, i nie przekazać im w ten sposób szczęśliwej wiadomości. Wciąż jeszcze pamiętała pogardliwy komentarz szwagierki Sylvii, kiedy ta dowiedziała się o jej rozwodzie z Henningiem. „Kobietę po trzydziestce prędzej trafi piorun, niż znajdzie kolejnego męża”, mruknęła wtedy. Pesymistka. Jednak rzeczywiście, kiedy pewnego czerwcowego ranka przed sześcioma laty Pia stanęła przed wybiegiem dla słoni w ogrodzie zoologicznym, jakby trafił ją piorun. Tam właśnie po raz pierwszy spotkali się z dyrektorem zoo, doktorem Christophem Sanderem, i zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Przed czterema laty zamieszkali razem w jej gospodarstwie w Unterliederbach i szybko doszli do wniosku, że chcą być razem już do końca życia.

Naraz rozdzwonił się telefon, który zostawiła na szafce w kuchni. Zbiegła na parter, weszła do kuchni i spojrzała na wyświetlacz, żeby sprawdzić, kto

chce z nią rozmawiać.

— Mam urlop — przywitała się. — Właściwie to już wyjechałam.

— „Właściwie” to niezbyt precyzyjny termin, pozostawiający pole do różnych interpretacji — odparł Oliver von Bodenstein, jej szef. Oliver miał denerwujący zwyczaj czepiania się słówek. — Bardzo mi przykro, że akurat teraz zawracam ci głowę, ale mam mały problem.

— Mhm.

— Mamy zwłoki. Całkiem niedaleko ciebie — ciągnął Bodenstein. — Ja jeszcze zajmuję się sprawą o podpalenie, Cem wyjechał, a Kathrin jest na chorobowym. Może mogłabyś tam podskoczyć i załatwić formalności? Kröger i jego ludzie są już w drodze, a jak tylko będę wolny, natychmiast popędzę do ciebie i wszystko dokończę.

Pia zastanowiła się szybko i w myślach sprawdziła listę rzeczy, które jeszcze miała do zrobienia. Całkiem dobrze stała z czasem i wszystko, co miała do załatwienia w związku z trzytygodniowym wyjazdem, zdążyła załatwić już wcześniej. Dokończenie pakowania walizek było kwestią trzydziestu minut, a Bodenstein nie prosiłby o pomoc, gdyby naprawdę jej pilnie nie potrzebował. Tych kilka godzin mnie nie zbawi, pomyślała.

— Niech będzie — zgodziła się. — Dokąd mam jechać?

— Dzięki, Pia, to bardzo miło z twojej strony. — W głosie Bodensteina słychać było ulgę. — Jedź proszę do Niederhöchstadt. Najprościej będzie, jeśli zjedziesz tam z głównej na Steinbach i po około ośmiuset metrach w polną drogę w prawo. Stamtąd cię już poprowadzą, bo nasi są na miejscu.

— W porządku. — Pia zakończyła rozmowę, zdjęła obrączkę z palca i schowała do kuchennej szuflady. — Widzimy się później.

JAK ZWYKLE w podobnych sytuacjach Pia nie miała pojęcia, co ją czeka w miejscu znalezienia ciała. Kiedy skontaktowała się ze stanowiskiem

dowodzenia policji, dyżurny funkcjonariusz poinformował ją jedynie o zwłokach kobiety o nieustalonej tożsamości, na które natrafiono w Niederhöchstadt. Minęła tablicę z nazwą miejscowości, skręciła w prawo, w asfaltową drogę pośród pól i już z daleka dostrzegła kilka radiowozów i karetkę. Kiedy podjechała bliżej, zauważyła też volkswagena busa, którym poruszał się zespół techników kryminalistycznych zabezpieczających miejsca zbrodni, oraz kilka cywilnych samochodów. Zaparkowała na niewielkim trawniku nieopodal kępy krzaków, z tylnego siedzenia sięgnęła beżową kurtkę puchową i wysiadła.

— Dzień dobry — przywitał się młody funkcjonariusz prewencji, który stał przy policyjnej taśmie i pilnował, żeby nikt postronny nie wszedł dalej. — Musi pani przejść kawałek na dół. Za krzakami w prawo.

— Dzień dobry i dziękuję — odparła Pia i ruszyła drogą, którą jej wskazał. Gęste zarośla tworzyły wyspę lasu pośród wolnej przestrzeni. Obeszła ją i pierwszą osobą, jaką spotkała, był Christian Kröger, szef ekipy techników z komendy policji w Hofheim, K11.

— Pia! — Christian nie ukrywał zaskoczenia. — Co ty tu robisz? Przecież miałaś być...

— ...na urlopie, wiem — przerwała mu z uśmiechem. — Oliver zadzwonił z prośbą, czy mogłabym podskoczyć i zacząć formalności. Zaraz ma dołączyć i mnie zwolnić. Dobra, to co my tu mamy?

— Paskudna sprawa — odparł Kröger. — Zamordowana kobieta. Strzał w głowę i to za dnia, niecały kilometr od komisariatu w Eschborn.

— O której konkretnie się to stało? — zapytała.

— Tuż przed dziewiątą rano — odparł Kröger. — Rowerzysta widział z daleka, jak ofiara pada na ziemię. Tak ni z tego, ni z owego. Nie słyszał wystrzału. Jednak lekarz sądowy uważa, że sprawca skorzystał z karabinu i to z pewnej odległości.

— Czyżby Henning? Bo powiem szczerze, że nie zauważyłam jego auta.

— Nie, na całe szczęście przyszedł ktoś nowy. Od kiedy twój były dochrapał się dyrektorskiego stołka, nie ma już czasu na pracę w terenie.

— Kröger wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. — Ale spokojnie, nie tęsknię za nim!

Christian Kröger, z pełną wzajemnością zresztą, nie znosił Henninga Kirchhoffa. Obaj, niczym nadęte primadonny, ścinali się nieraz przy okazji spotkań na miejscu jakiejś zbrodni, co jednak w najmniejszym stopniu nie wpływało na staranność ich pracy. I choćby tylko z tego powodu wszyscy akceptowali trwające od lat kłótnie i dziecinne spory o kompetencje, a o ich niektórych potyczkach słownych krążyły legendy.

Kiedy profesor Thomas Kronlage przeszedł latem na emeryturę, na wakujące stanowisko dyrektora Instytutu Medycyny Sądowej został powołany właśnie Henning. Co prawda początkowo uniwersytet planował ogłoszenie otwartego konkursu, lecz kwalifikacje Henninga na polu antropologii sądowej były tak cenne i bezsprzeczne, że aby nie odszedł z Instytutu, zaproponowano mu ten awans.

— Kim jest nowy? — zainteresowała się Pia.

— Wybacz, zapomniałem, jak się nazywa — wymamrotał Kröger.

Mężczyzna w białym kombinezonie jednorazowym, który kucnął obok zwłok, zsunął kaptur z głowy, wyprostował się i ruszył w jej stronę. Nie jest już taki młody, pomyślała Pia, jednak ogolona głowa i gęsta broda utrudniały jej właściwą ocenę wieku. Łysi mężczyźni zawsze wyglądają kilka lat starzej, pomyślała.

— Doktor Frederick Lemmer. — Medyk sądowy zdjął rękawiczkę i podał jej dłoń. — Bardzo mi miło panią poznać.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparła Pia i uścisnęła jego dłoń.  
— Pia Kirchhoff z K11, Hofheim.

Miejsce znalezienia zwłok nie sprzyjało kurtuazyjnym rozmowom, dlatego Pia poprzestała na tych kilku słowach. Przygotowała się wewnętrznie na widok, który spodziewała się ujrzeć, po czym podeszła do martwej kobiety. Różowa wełniana czapka i siwe włosy denatki stanowiły uderzająco kontrastową plamę na tle szarego asfaltu, błota i czarnej kałuży zakrzepłej krwi.

— *Lista Schindlera* — szepnęła.

— Słucham? — Doktor Lemmer spojrzał na nią nieco zagubionym wzrokiem.

— Film z Liamem Neesonem i Benem Kingsleyem — wyjaśniła policjantka.

Medyk momentalnie zrozumiał, o co jej chodziło, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Racja. Bardzo podobnie to wygląda. Ten film był czarno-biały i tylko płaszczek jednej dziewczynki był czerwony.

— Jestem wzrokowcem. Pierwsze wrażenie i ocena miejsca zbrodni mają dla mnie kluczowe znaczenie — dodała Pia, po czym włożyła rękawiczki i przykucnęła. Lemmer zrobił to samo. Przez wiele lat pracy w K11 Pia nauczyła się zachowywać wewnętrzny dystans w podobnych sytuacjach, bo tylko w ten sposób mogła radzić sobie z przerażającym widokiem okaleczonych i zmasakrowanych zwłok.

— Pocisk trafił ją w lewą skroń. — Doktor Lemmer wskazał na czysty otwór rany wlotowej na głowie denatki. — Wychodząc, roztrzaskał doszczętnie całą prawą część czaszki. Charakterystyczne obrażenia dla amunicji półpłaszczowej większego kalibru. Jeśli zaś chodzi o broń, to moim zdaniem sprawca korzystał z karabinu, a strzał oddał z większej odległości.

— A że w tej okolicy nie może być mowy o wypadku przy polowaniu, musiało chodzić o celowe działanie — dokończył Kröger gdzieś zza jej

pleców.

Pia potaknęła i zamyślona przyglądała się temu, co pozostało z twarzy staruszki. Dlaczego ktoś miałby strzelać do kobiety między sześćdziesiątką a siedemdziesiątką, i to na ulicy? A może była tylko przypadkową ofiarą, bo znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze?

Ludzie Krögera ubrani w białe kombinezony przeczesywali wykrywaczami metalu pobliską łąkę, szukając pocisku, inni robili zdjęcia i za pomocą elektronicznego miernika starali się ustalić kierunek, z jakiego padł strzał.

— Wiecie w ogóle, kto to jest? — Pia wstała i spojrzała na Krögera.

— Nie, niestety. Ma przy sobie jedynie klucze. Ani portfela, ani telefonu, nic — odparł. — Chcesz porozmawiać z naocznym świadkiem? Siedzi w karetce.

— Już, zaraz. — Pia rozejrzała się i zmarszczyła czoło. Nagie pola i łąki. W oddali migające światła na wieży telewizyjnej i panorama Frankfurtu, rozświetlona słabym słońcem, mozolnie przebijającym się przez warstwę chmur. Niecałe czterdzieści metrów dalej szpaler wysokich drzew ciągnący się wzdłuż strumienia. Między ich nagimi gałęziami widać plac zabaw, a jeszcze dalej domy dzielnicy Eschborn, Niederhöchstadt. Asfaltowe alejki z latarniami ciągnące się między polami i łąkami. Okolica rekreacyjna, prawie park, tylko że bez drzew. Idealna do jazdy na rowerze, biegania, spacerów i...

— A gdzie jest jej pies? — zapytała nagle Pia.

— Jaki pies? — Kröger i doktor Lemmer spojrzeli na nią zaskoczeni.

— To jest przecież smycz. — Nachyliła się i wskazała na ciemnobrązową, dość mocno zużytą skórzaną smycz, którą kobieta miała przewieszoną przez ramię i zapiętą przy drugim boku. — Była tutaj na spacerze z psem. A to, że nie ma przy sobie kluczyków do samochodu, oznacza, że musi mieszkać

gdzieś w pobliżu.

— NAWET NIE WIESZ, jak się cieszę z tych trzech tygodni urlopu. — Karoline Albrecht westchnęła zadowolona i wyprostowała nogi. Siedziała w salonie domu rodziców, a przed nią, na stole, czekała filiżanka jej ulubionej herbaty — waniliowej rooibos — i czuła, jak schodzi z niej napięcie ostatnich tygodni i miesięcy, ustępując miejsca głębokiemu odprężeniu.

— Wrócimy z Gretą do domu i spędzimy ten czas razem albo będziemy przesiadywać u was.

— Wiesz przecież, że zawsze jesteś miłym gościem. — Matka Karoline uśmiechnęła się i spojrzała na nią znad okularów do czytania. — Ale czy przypadkiem nie chcielibyście polecieć dokądś, gdzie jest ciepło?

— Oj, mam, wiesz, ja chyba w tym roku dłużej siedziałam w samolocie niż Carsten. A przecież on jest pilotem! — Karoline uśmiechnęła się szeroko i upiła łyżeczek herbaty. Jej wesołość była jednak udawana.

Osiem lat wcześniej została współnikiem zarządzającym dużej firmy doradczej specjalizującej się w międzynarodowym konsultingu, restrukturyzacji i wprowadzaniu firm na światowe rynki, a przed dwoma laty objęła kierownictwo nad całą działalnością konsultingową. Od tamtej chwili mieszkała niemal jedynie w hotelach, a większość czasu spędzała na lotniskach w strefach przeznaczonych dla najważniejszych klientów. Była jedną z bardzo niewielu kobiet piastujących podobne stanowiska i zarabiała tak ogromne pieniądze, że czasem wydawało jej się to aż niemoralne. Córka Greta zamieszkała w przyszkolnym internacie, jej małżeństwo się rozsypało, a wszystkie przyjaźnie z powodu braku dbałości i czasu rozmyły gdzieś po drodze. Praca miała dla niej najwyższy priorytet, jak zawsze zresztą. Już na maturze, na której dostała same piątki, wiedziała, że chce być najlepsza.

W czasie studiów na kierunku zarządzanie i marketing na najlepszych uniwersytetach w kraju i w USA dawała z siebie wszystko i zakończyła je z wyróżnieniami, a później zrobiła błyskawiczną karierę.

Jednak od kilku miesięcy czuła się wyczerpana i wypalona, a wraz ze zmęczeniem przyszło zwątpienie w sens pracy. Czy to, co robiła, naprawdę było aż tak niesamowicie ważne? Czy mogło być ważniejsze niż czas spędzony z córką i korzystanie z życia? Miała czterdzieści trzy lata i właściwie to nigdy tak naprawdę nie żyła. Od dwudziestu lat pędziła z jednego spotkania na kolejne, żyła na walizkach. Otaczali ją ludzie, którzy się dla niej nie liczyli, ba, byli jej całkowicie obojętni! Za to Greta świetnie się czuła w nowej rodzinie Carstena. Podobało jej się, że ma przyrodnie rodzeństwo, psa i zastępczą matkę, z którą była bliżej niż z nią! Karoline poczuła, że to najprostsza droga, by bezpowrotnie utracić córkę. Co gorsza, sama byłaby temu winna, bo przez własne decyzje stała się jej niepotrzebna.

— Ale praca cały czas jest dla ciebie wyzwaniem, prawda? Lubisz ją jeszcze?

Głos matki wyrwał Karoline Albrecht z zamyślenia.

— Sama nie wiem. Naprawdę — odparła i odstawiła filiżankę na stolik. — Dlatego postanowiłam, że w przyszłym roku zrobię sobie przerwę. Chciałabym spędzić nieco czasu z Gretą. Poza tym zastanawiam się, czy nie powinnam sprzedać domu.

— Pierwsze słyszę! — Margarethe Rudolf uniosła brwi, lecz mimo to nie wydawała się zaskoczona wyznaniem córki. — Skąd taki pomysł?

— Jest dla nas stanowczo za duży — wyjaśniła Karoline. — Poszukam dla nas czegoś mniejszego, przytulniejszego. Czegoś takiego jak wasz dom.

Karoline miała dokładnie taką willę, jakiej sobie zażyczyła: stylowe, luksusowe i bardzo oszczędne energetycznie czterysta metrów kwadratowych eleganckich posadzek ze szlachetnego betonu, wyposażone w każde



udogodnienie, o jakim można zamarzyć. Jednak nigdy nie poczuła się tam naprawdę u siebie, a skrycie tęskniła za miejscem takim jak to — starą willą rodziców, w której się wychowała: ze skrzypiącymi schodami, wysokimi sufitami, wyszczerbionymi płytkami ułożonymi w czarno-kremową szachownicę w kuchni, pokojami z wykuszami i staromodnymi łazienkami.

— Za takie plany powinniśmy wznieść toast — zaproponowała matka.  
— Co ty na to?

— Z chęcią, w końcu mam urlop. — Karoline się roześmiała. — Masz coś w lodówce?

— Pewnie. I to nawet szampana. — Starsza pani puściła do niej oko.

Nieco później siedziały naprzeciwko siebie z kieliszkami w dłoniach i wznosiły toasty za szczęśliwe święta i za postanowienie Karoline, by zmienić coś w życiu.

— Wiesz co, mam — zaczęła — byłam chyba zbyt surowa i za wszelką cenę chciałam stworzyć siebie na podobieństwo jakiegoś wyidealizowanego obrazu, który widziałam w oczach innych ludzi: zdyscyplinowana, rozsądna, odpowiedzialna i przede wszystkim zorganizowana. Byłam przez to ciągle spięta, bo robiłam wszystko nie z przekonania, ale dlatego, że chciałam spełnić oczekiwania innych.

— Ale właśnie się od tego uwolniłaś — stwierdziła matka.

— Tak. Uwolniłam się. — Karoline ujęła dłonie matki. — Znów mogę spokojnie oddychać i spać przez całą noc! Mam! Mam wrażenie, że ostatnie lata żyłam gdzieś pod wodą, a teraz nagle się wynurzyłam i dopiero zauważyłam, że świat jest piękny! Praca i pieniądze nie są najważniejsze w życiu.

— Nie są, Karoline, nie są. To prawda. — Margarethe Rudolf uśmiechnęła się, lecz jej twarz wyrażała smutek. — Niestety, twój ojciec wciąż nie jest w stanie tego pojąć. Może jeszcze nadejdzie taki dzień? Kiedy przejdzie na

emeryturę?

Karoline nie żywiła nadziei, żeby to marzenie matki miało się ziścić.

— Wiesz co, mamó? Pójdziemy razem na zakupy — powiedziała zdecydowanym głosem. — A w Wigilię wszystko przygotujemy razem. Tak jak dawniej.

Matka uśmiechnęła się ze wzruszeniem i potaknęła.

— Cudownie. Zróbmy tak. A jutro wieczorem przyjdźcie z Gretą piec pierniczki. Żebyście miały co chrupać w czasie świąt.

PÓŁ GODZINY PÓŹNIEJ na miejscu znalezienia zwłok pojawił się Oliver von Bodenstein.

— Dziękuję, że zgodziłaś się to ogarnąć — zwrócił się do Pii. — Teraz mogę już wszystko przejąć.

— Nie ma o czym mówić. Poza tym i tak nie mam już dzisiaj co robić, więc jeśli chcesz, zostanę z tobą — powiedziała.

— Takiej oferty się nie odrzuca.

Uśmiechnął się szeroko, a Pia pomyślała, że przez ostatnie dwa lata jej szef przeszedł naprawdę wielką przemianę. Tuż po rozpadzie swojego małżeństwa był rozkojarzony i zdekoncentrowany, ale teraz znów powrócił do dawnego profesjonalizmu i błyskotliwości. Co więcej, stał się dla siebie znacznie bardziej wyrozumiały, choć wcześniej nie przejawiał takiej cechy. I tak jak wcześniej to Pia była stroną, która wysuwała najbardziej karkołomne teorie i energicznie popychała śledztwa do przodu, tak teraz można było odnieść wrażenie, że zamienili się z Oliverem rolami.

Tylko ktoś, kogo dotknęła strata i podniósł się po niej z kolan, jest w stanie dojrzeć i zmienić swoje życie. Pia przeczytała kiedyś tę maksymę i uznała, że zawiera prawdę o jej szefie, ale też o niej samej. Tkwiąc w jakimś związku, człowiek może sobie bardzo długo coś wmawiać, nie dostrzegając

rzeczywistości i udawać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Lecz nieubłaganie będzie zbliżał się dzień, w którym pęknie stworzona bańka złudzeń i człowiek stanie przed wyborem, czy zostać, czy też odejść — przeżyć jedynie, czy zacząć w końcu żyć.

— Rozmawiałaś już ze świadkiem? — zapytał Bodenstein.

— Tak — potwierdziła Pia i narzuciła kaptur na głowę. Wiał lodowaty wiatr. — Jechał rowerem wzdłuż Dörnweg, czyli drogą łączącą obie części miasta, z Eschborn w stronę Niederhöchstadt. Mniej więcej na wysokości tamtego słupa energetycznego zobaczył, że jakaś kobieta pada na ziemię. Pomyślał, że to zawał albo coś, więc szybko podjechał sprawdzić, co się stało. Twierdzi, że nie słyszał żadnego strzału.

— Znamy personalia ofiary?

— Nie, na razie nie. Ale myślę, że mieszkała gdzieś w pobliżu, bo była tu na spacerze z psem i nie miała przy sobie kluczyków do auta.

Odeszli kawałek na bok, żeby zrobić miejsce busowi do przewozu zwłok.

— Znaleźliśmy pocisk — ciągnęła Pia. — Dość mocno zdeformowany, ale bez najmniejszych wątpliwości to amunicja karabinowa. Doktor Lemmer twierdzi, że zabójca zastosował pocisk półpłaszczowy. Takie naboje są wykorzystywane przez myśliwych, my zresztą też ich używamy, bo mają dużą moc obalającą. Jednak wojsko nie może ich mieć w arsenale, bo zabrania tego konwencja haska.

— I wiesz to wszystko od doktora Lemmera? — W głosie Bodensteina słychać było delikatną kpinę. — Wyjaśnij mi w ogóle, kto to taki, ten doktor Lemmer?

— Wyobraź sobie, że wiedziałam to już wcześniej — odparła Pia chłodno. — A doktor Frederick Lemmer jest nowym medykiem sądowym.

Naraz rozległ się głośny gwizd. Pia i Bodenstein jak na komendę spojrzeli za siebie i zobaczyli Krögera, który kawałek dalej w dole strumienia machał

rękoma, żeby ich przywołać.

— Christian chyba coś znalazł — powiedziała Pia. — Ciekawe, co takiego.

Chwilę później drewnianym mostkiem przeszli na drugą stronę strumienia i weszli na teren placu zabaw. Huśtawki, kolorowe drabinki, piaskownica, karuzela i tyrolka zajmowały spory kawałek łąki.

— Tutaj! — zawołał Kröger, podekscytowany jak zawsze, kiedy trafił na jakiś ważny ślad. — Patrzcie! Musiał leżeć dokładnie tutaj, w tych zaroślach! Trawa jeszcze się nie podniosła... a tutaj... o właśnie... widzicie... odcisk dwunogu! Nieco zamazany, ale wystarczająco wyraźny.

Mimo wysiłków Pia niczego takiego nie dostrzegła pośród mokrej trawy, starych liści i wilgotnej ziemi.

— Czyli twierdzisz, że sprawca czekał tutaj na ofiarę? — upewnił się Bodenstein.

— Tak, bez wątpienia. — Kröger potaknął zdecydowanie. — Nie mogę oczywiście powiedzieć, czy zaczął się tutaj akurat na nią, czy też na kogokolwiek, ale jednego jestem za to pewien: ten gość nie jest amatorem, który strzela sobie dla zabawy. Leżał tutaj przyczajony, miał karabin z tłumikiem i stosował naprawdę paskudny typ amunicji...

— Pociski półpłaszczowe. — Bodenstein wszedł mu w słowo i puścił oko do Pii.

— No właśnie. Z tego, co słyszę, zostałeś już wprowadzony — odparł Kröger wyraźnie poirytowany, bo nie lubił, kiedy mu się przerywało. — Wracając do tego, o czym mówiłem. Wydaje mi się, że sprawca leżał właśnie tutaj, prawdopodobnie nawet w jakimś stroju typu *ghillie*.

— Gili co? — Bodenstein uniósł brwi.

— Niech cię szlag, Oliver, czasem nie wiem, o co ci chodzi. Udajesz ograniczonego, czy co? — Kröger zdenerwował się nie na żarty. — Strój

maskujący *ghillie suit* to specjalny kamuflaż stosowany przez myśliwych i snajperów, bo ukrywa kształt ludzkiego ciała i pozwala strzelcowi stopić się z otoczeniem. Zresztą nieważne. Niezależnie od tego, co sprawca miał na sobie, tutaj leżał ktoś z karabinem wspartym na dwunogu, żeby oddać pewniejszy strzał. Reszta należy do was. A tymczasem zajmijcie się dopilnowaniem, żeby nikt nie przeszkadzał nam w pracy.

I po tych słowach odwrócił się na pięcie i zostawił ich samych.

— Christian chyba pomyślał, że się z niego nabijasz. — Pia spojrzała na szefa.

— Ale ja naprawdę nie wiedziałem, co to jest ten strój *ghillie suit*!  
— Starał się usprawiedliwić Bodenstein. — To znaczy teraz, jak już mi przypomniał, to wiem, że wiedziałem, ale przed sekundą nie pamiętałem.

— Chcesz powiedzieć, że wypadło ci to z głowy — pomogła mu Pia.

— Lepiej się tego ująć nie da.

Rozdzwoniła się komórka Bodensteina.

— Idę zająć się tamtymi. — Pia wskazała głową na grupkę ludzi, która zebrała się na drodze. Z każdą chwilą było ich więcej. Część gapiów unosiła nad głowę komórki i usiłowała robić zdjęcia, choć poza biało-czerwoną taśmą i technikami w białych kombinezonach nie było nic widać. Pozostali jedynie przyglądali się ciekawsko i zawzięcie dyskutowali, o co może chodzić. Pia nie miała wątpliwości, że przyciągnęła ich prastara ludzka fascynacja okropnościami. Za każdym razem w podobnej sytuacji dziwiła się, jak to możliwe, że brutalna śmierć jednego człowieka wywoływała w innych aż taką reakcję.

Pia dołączyła do jednego z funkcjonariuszy, który usiłował powstrzymać dwie młode matki z dziećmi przed wejściem na teren placu zabaw.

— Ale my przecież jesteśmy tutaj co środę! Zawsze! — utyskiwała jedna z nich. — Dzieciaki cały tydzień się na to cieszą!

Policjant w mundurze skrzywił się, zdenerwowany.

— Za kilka godzin plac zabaw będzie ponownie dostępny — wyjaśnił.  
— Na razie jest wyłączony z użytkowania.

— No ale dlaczego, ja się pytam? I co, mostek niby też? Dlaczego go zamknęliście? — mówiła z gniewem inna matka. — To jak niby mamy przejść na drugą stronę, co?

— Proszę udać się drogą w stronę pływalni. Tam znajdą panie kolejny mostek — poradził funkcjonariusz.

— Co za bezczelność! — oburzyła się matka numer jeden, a druga stała się agresywna i zaczęła perorować na temat brutalności policji i ograniczaniu jej wolności.

— Ja się tym zajmę. — Pia skinęła policjantowi głową. — Pan niech przesunie blokadę aż na skrzyżowanie i do ulicy. Proszę wezwać wsparcie, gdyby pojawiły się problemy.

Uparta kobieta wykorzystała chwilę nieuwagi i przejechała wózkiem pod biało-czerwoną taśmą.

— Stać! — powiedziała Pia i zatrzymała się na środku chodnika. — Proszę opuścić ogrodzony teren!

— Niby dlaczego? — Kobieta wysunęła zadziornie podbródek. Jej oczy błyszczały. — Komu będzie przeszkadzało, że nasze dzieci pobawią się trochę w piasku?

— Nam to będzie przeszkadzało w pracy — odparła Pia chłodno.  
— Bardzo panią proszę o opuszczenie terenu.

— Jesteśmy w swoim kraju i mamy prawo chodzić tam, gdzie chcemy! — zawołała matka. — No proszę, widzi pani, co pani narobiła? Dzieci już się boją, bo wielka pani policjantka zabroniła im się bawić na placu zabaw! One nic z tego nie rozumieją!

Pia miała już na końcu języka, że upór i agresja mają znacznie gorszy

wpływ na dzieci niż otaczająca plac zabaw biało-czerwona taśma, lecz uznała, że ani to odpowiedni czas na kłótnie, ani nie przyniosłoby to skutku.

— Zwracam się do pani po raz ostatni — powiedziała z naciskiem. — Proszę opuścić ogrodzony teren. Jeśli pani tego nie zrobi, utrudni pani funkcjonariuszom prowadzenie czynności policyjnych. Będziemy zmuszeni panią spisać i oskarżyć. Jestem przekonana, że to nie będzie dobrym wzorcem dla dzieci, rozumiemy się?

— Jesteśmy tu co srode, specjalnie przyjeżdżamy z Kronbergu, a tu coś takiego! — Kobieta spojrzała na nią wściekłym wzrokiem i fuknęła, a nie widząc żadnej reakcji ze strony Pii, cofnęła się, głośno psiocząc: — Złożymy na panią skargę! Mój mąż zna ważnych ludzi w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych!

Oto ktoś, kto koniecznie musi mieć ostatnie słowo, pomyślała Pia. Nie kontynuowała słownych przepychanek, lecz w duchu bardzo współczuła mężowi kobiety.

— Skąd się tacy biorą? — Umundurowany policjant stanął obok Pii i z niedowierzaniem potrząsnął głową. — I wie pani co? Jest coraz gorzej. Ludziom się chyba wydaje, że mają tylko prawa! A obowiązki? To dla nich jakieś obce słowo.

Bodenstein czekał kawalek dalej. Pia zostawiła rozemocjonowanych gapiów pod opieką funkcjonariuszy prewencji i podeszła do szefa. Ruszyli przez plac zabaw, a mokra trawa skrzypiała pod ich butami.

— Będziemy teraz dzwonić po kolei do każdych drzwi i pytać, czy ktoś zna siwowłosą starszą panią, która chodziła tu z psem na spacer — powiedział Bodenstein. — Powinno się udać, pod warunkiem, że kogoś zastaniemy, bo mieszkańcy okolicy mogą stać w tłumie gapiów.

Zatrzymali się przed pierwszym szeregowcem na ulicy, lecz zanim Oliver nacisnął dzwonek, Pia zauważyła ciemnobrązowego labradora, który drżał ze

strachu, schowany między dwoma zaparkowanymi samochodami.

— Idę o zakład, że to jest pies naszej denatki — powiedziała. — Może uda mi się go złapać.

Ostrożnie ruszyła w jego stronę, przykucnęła i wyciągnęła rękę. Pies miał już swoje lata, o czym świadczył posiwiały pysk. Nieszczególnie ufał obcym, bo na widok Pii zerwał się na równe nogi i skrył za samochodem, po czym skoczył w krzaki i pobiegł w stronę sąsiedniej ulicy. Bodenstein i Pia ruszyli za nim, lecz kiedy dotarli do skrzyżowania i rozejrzeli się, po zwierzęciu nie było już śladu.

— Wiesz co, dzwonię, jak popadnie — oznajmił Oliver i otworzył furtkę najbliższego domu. Nikt nie zareagował. W drugim domu również nikogo nie było. Dopiero w trzecim ktoś im otworzył.

Drzwi uchyliły się nieznacznie, a w szparze nad łańcuszkiem zabezpieczającym pojawiła się nieufna twarz starszej kobiety.

— O co chodzi?

— Dzień dobry, policja kryminalna. — Pia zdążyła się przyzwycząić, że kiedy z Bodensteinem stawała pod czyimiś drzwiami, ludzie często brali ich za świadków Jehowy albo akwizytorów. Dlatego miała w dłoni przygotowaną legitymację, którą teraz uniosła i pokazała. Gdzieś ze środka domu dobiegł męski głos. Kobieta odwróciła głowę.

— Policja! — krzyknęła, po czym zamknęła drzwi, wysunęła łańcuszek z gniazda i ponownie otworzyła, tym razem na całą szerokość.

— Czy ktoś mieszkający na pani ulicy albo w okolicy posiada starszego, ciemnobrązowego labradora? — zapytała Pia.

Zza pleców staruszki wyjrzał siwy mężczyzna w wełnianym swetrze i kapciach.

— To może być Topsi od tej, no, Renate — stwierdziła kobieta. — A dlaczego o to pytacie? Coś się stało?



— A wie pani może, jak się „ta Renate” nazywa i gdzie mieszka? — Bodenstein zignorował jej pytanie.

— No a jak! Ta Renate to Rohleder jest — odparła staruszka, potakując. — Żeby tylko Tosi była cała, bo jak mu się co trafiło, to Renate serce pęknie!

— Mieszka pod numerem czterdzieści cztery — dokończył mężczyzna. — Tutaj, na ulicy. Żółty dom z białą ławką przy wejściu.

— Tak między nami, to dom jej starego — dodała staruszka konfidencyjnym szeptem, a jej oczy rozbliły się. — No i wie pan, siedem lat będzie, jak on odszedł. Trzy dni przed Bożym Narodzeniem to było, a potem to się jej matka wprowadziła.

— Ale na co to policji? — upomniał mąż gadatliwą kobietę. — Do nich należy kwiaciarnia, przy Unterortstrasse. Ale w domu na pewno złapiecie Ingeborg. O tej porze idzie po psa, żeby wziąć go na spacer.

— Dziękujemy za informacje — powiedział Bodenstein. — Bardzo nam państwo pomogli. Bylibyśmy jednak bardzo zobowiązani, gdyby nie dzwoniли państwo do kwiaciarni.

— Na pewno nie będziemy — zapewniła staruszka, choć w jej oczach widać było zawód. — Poza tym nie jesteśmy z Renate aż tak blisko.

Bodenstein i Pia pożegnali się i ruszyli w górę ulicy. Pod numerem czterdzieści cztery znajdował się narożny dom w przyjaźnie słonecznym kolorze, dzięki czemu wyróżniał się spośród szeregu identycznych budynków. Pod wiatą z jasnego drewna stał stary, ale bardzo zadbany opel, a niewielki ogródek od frontu został starannie przygotowany na zimę. Jutowe worki chroniły część roślin przez mrozem i śniegiem, na jednym z krzaków wisiały bombki, a bukszpan ozdobiły kolorowe światełka. Przed drzwiami ozdobionymi wieńcem adwentowym siedziała ciemnobrązowa labradorka i, trzęsąc się, czekała, aż ją ktoś wpuści.

ODEZWAŁ SIĘ DZWONEK trącony drzwiami wejściowymi, a wilgotne i gorące powietrze przesycone aromatem kwiatów i igliwia otoczyło ich, jeszcze zanim przekroczyli próg sklepu, nad którego witryną wisiał staromodny szyld z napisem „Kwiaty Rohleder — od pięćdziesięciu lat!”

Kwiaciarnia z zaparowanymi szybami była pełniusienka — wypełniali ją klienci, kwiaty, stroiki i wszelkiego rodzaju ozdoby poukładane w drewnianych otwartych witrynach, na regałach i w koszach. Za długą ladą stały trzy kobiety i układały bukiety i wiązanki.

Bodenstein musiał przewyciężyć pierwszy odruch, by odwrócić się na pięcie i wyjść ze sklepu, gdyż słodki, duszny zapach kwiaciarni bardzo przypominał mu przymentarne kostnice. W ogrodzie czy na łące kwiaty stanowiły przepiękny widok, lecz ścięte i w wazonach napawały go przygnębieniem.

Minął kolejkę czekających, wystawiając się na atak jednej ze starowinek, która z maleńką gwiazdą betlejemską czekała posłusznie na swoją kolej do kasy.

— Tak nie wypada, młody człowieku — zwróciła mu uwagę trzęsącym się głosem, po czym szturchnęła go laską z siłą niekorespondującą z kruchym wyglądem.

— Serdecznie dziękuję za tego młodego człowieka — odparł Bodenstein oschle, tym bardziej że w sytuacjach takich jak ta czuł się wyjątkowo staro. Przekazywanie rodzinie informacji o tragicznej śmierci krewnego nawet po dwudziestu pięciu latach służby w policji sprawiało mu tyle samo trudności, co na początku.

— Ja mam dziewięćdziesiąt sześć lat! — oznajmiła staruszka z dumą.  
— W porównaniu ze mną wszyscy jesteście szczawiki!

— To zmienia postać rzeczy, proszę, niech pani podejdzie pierwsza. —

Bodenstein stanął nieco z boku i cierpliwie poczekał, aż kobieta zapłaci za swoją gwiazdę betlejemską i odbierze ją starannie zapakowaną. Pia rozejrzała się w tym czasie po sklepie, po czym podeszła do szefa.

— Czego pan sobie życzy? — Obfita blondynka z nieco zbyt intensywnym makijażem i spierzchniętą od pracy z mokrymi kwiatami skórą na dłoniach spojrzała na niego i uśmiechnęła się serdecznie.

— Dzień dobry. Nazywam się Bodenstein i jestem z policji kryminalnej w Hofheim, a to moja partnerka Pia Kirchhoff — odpowiedział. — Chcielibyśmy zamienić kilka słów z panią Renate Rohleder.

— To ja. W czym mogę pomóc? — Uśmiech zniknął z twarzy blondynki, a Bodenstein pomyślał, że tak prędko na nią nie wróci.

Dzwonek zawieszony nad drzwiami wejściowymi oznajmił przybycie kolejnego klienta. Właścicielka kwaciarni nie zwróciła na niego uwagi, bo była zbyt skupiona na Pii i Bodensteinie, jakby spodziewała się, że przynoszą jej wieść o nieszczęściu, które odmieni jej życie.

— Czy... czy coś się stało? — wyszeptała.

— Może udałoby się pani znaleźć jakieś spokojniejsze miejsce na rozmowę? — zaproponował Bodenstein.

— Tak... oczywiście. Proszę tędy. — Przytrzymała dla nich drewniane drzwi na końcu lady. Bodenstein i Pia znaleźli się w maleńkim, beznadziejnie zagraconym biurze.

— Obawiam się, że przynosimy bardzo złe wieści — zaczął Oliver. — Dzisiaj przed dziewiątą rano na polnej drodze łączącej Eschborn i Niederhöchstadt znaleziono ciało starszej kobiety. Zmarła miała siwe włosy, oliwkową kurtkę i różową czapkę...

Renate Rohleder cofnęła się o krok i osunęła na krzesło. Niedowierzaniu towarzyszyło odrzucenie, naturalny odruch obronny. To nie może być ona, to na pewno jakaś pomyłka!

— Po spacerze z Topsim chciała przyjść do sklepu pomóc w pracy. Przed świętami mamy tu urwanie głowy. Chciałam do niej zadzwonić, ale nie miałam jeszcze czasu — wyjaśniła głuchym głosem. — Mama miała różową wełnianą czapkę. Dostała ją trzy lata temu. Ode mnie, na Gwiazdkę. Była w komplecie z różowym szalem. A na spacerzy z psem zawsze wkładała starą pikowaną kurtkę. Paskudną i śmierdzącą...

Jej oczy wypełniły się łzami.

Niedowierzenie, odrzucenie — a teraz, w miarę jak docierała do niej nieodwracalność tego, co się stało, ogarniał ją szok.

Bodenstein i Pia wymienili szybkie spojrzenia. Różowa czapka, labrador, oliwkowa kurtka. Nie mieli już wątpliwości, że zastrzeloną osobą była Ingeborg Rohleder.

— Co się stało? Czy to był... zawał? — wyszeptała Renate Rohleder i podniosła głowę. Po jej policzkach spływały łzy i mieszały się z czarnym tuszem do rzęs. — Muszę ją zobaczyć. Zaprowadźcie mnie...

Niespodziewanie zerwała się z krzesła, sięgnęła po telefon i kluczyki do samochodu, które leżały na biurku, a z wieszaka przy drzwiach chwyciła kurtkę.

— Proszę, niech pani poczeka! — Bodenstein położył delikatnie dłoń na ramieniu roztrzęsionej kobiety i przytrzymał ją. — Proszę. Odwieziemy teraz panią do domu. W tej chwili nie może pani zobaczyć matki.

— Dlaczego nie? Może wcale nie umarła... może żyje, tylko jest nieprzytomna... albo w śpiączce!

— Bardzo mi przykro. Niestety, pani matka została zastrzelona.

— Zastrzelona?! Moja mama została zastrzelona?! — wyszeptała kwiaciarka i jeszcze bardziej pobladła. — To niemożliwe! Kto i po co miałby do niej strzelać? To była najbardziej przyjazna i ciepła osoba na świecie!

Renate Rohleder zatrzęsała się i osunęła na kolana. Bodenstein ją podniósł

i posadził na krześle. Kobieta się załamała. Spojrzała na niego i zaczęła krzyczeć, ogłuszająco, żałośnie i rozpaczliwie. Jej głos jeszcze przez wiele godzin dźwięczał Oliverowi w uszach.

SPOTKANIE W POKOJU odpraw wydziału K11 w Hofheim wyglądało jak zawsze. Bodenstein i Pia zasiedli po jednej stronie owalnego stołu konferencyjnego, doktor Nicola Engel wybrała krzesło u jego szczytu, a przy pustym boku miejsce zajął Kai Ostermann, żeby nikogo nie zarażać. Co chwila zanosił się kaszlem, miał zatknięty nos i ogólnie czuł się bardzo osłabiony. Kiedy Bodenstein kończył sprawozdanie, za oknami było ciemno. Przez chwilę panowała cisza.

— Myślę, że powinniśmy rozważyć zwrócenie się z apelem do lokalnej społeczności — oznajmiła Nicola Engel. — Być może ktoś widział strzelca, gdy opuszczał plac zabaw. Dzięki naocznemu świadkowi bardzo dokładnie znamy czas dokonania morderstwa.

— To całkiem dobry pomysł, jednak obawiam się, że w tej chwili nie mamy dość ludzi, żeby się na to zdecydować — zaprotestował Bodenstein. — Pia zgodziła się dzisiaj nam pomóc, ale ma urlop. Gdybym miał teraz wyznaczyć ludzi do dyżurowania na gorącej linii dla ludności, zostałbym chyba sam.

— No dobrze, co w takim razie proponujesz w zamian? — Nicola Engel uniosła starannie wyregulowane brwi.

— W tej chwili nie wiemy jeszcze, czy Ingeborg Rohleder została zastrzelona z premedytacją, czy też była przypadkową ofiarą — odparł policjant. — Musielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o kręgu jej znajomych i dopiero mając więcej informacji na jej temat, zgłosić się do ludzi. Po rozmowie z córką ofiary, pracownikami kwaciarni i kilkoma najbliższymi sąsiadami denatka jawi się jako powszechnie lubiana

i serdeczna staruszka, bez choćby jednego wroga. W tej chwili nie mamy żadnych informacji, które przynajmniej sugerowałyby osobisty motyw zbrodni.

— Przypomnijcie sobie sprawę Very Kaltensee. Wtedy było tak samo. — Pia włączyła się do rozmowy. — Z początku wszyscy myśleliśmy, że to kochana i szanowana staruszka i odrzucaliśmy wszelkie podejrzenia.

— No nie, tych dwóch przypadków nie można porównywać — zaprotestował Bodenstein.

— Niby dlaczego? — Pia wzruszyła ramionami. — Siedemdziesięciolatka ma za sobą dość czasu, żeby nabroić i zaleźć innym za skórę.

— Ja mogę się zająć przeświadczeniem przeszłości ofiary — wychrypiął Kai Ostermann.

— Nie brałem nikogo innego pod uwagę. — Bodenstein pokiwał głową. — Może badania balistyczne pocisku pozwolą dowiedzieć się czegoś na temat broni, z jakiej korzystał strzelec.

— Dobrze. — Nicola Engel wstała. — Oliver, informuj mnie, proszę, na bieżąco.

— Oczywiście.

— Powodzenia. — Ruszyła w stronę drzwi, jednak zanim wyszła, spojrzała na nich raz jeszcze. — Dziękuję, koleżanko Kirchhoff, że dołączyła pani dzisiaj do obsady. Przy okazji życzę miłego wypoczynku i wesołych świąt.

— I nawzajem — odparła Pia. — Dziękuję.

Ostermann wstał z krzesła i, kaszląc, pokuśtykał do swojego biura. Pia ruszyła za nim. Na biurku Kaia stała bateria różnych lekarstw, termos herbaty i pudełko chusteczek jednorazowych.

— Jeszcze nigdy nie byłem aż tak przeziębiony — westchnął Ostermann. — Gdyby nie to, że mamy morderstwo na tapecie, jutro nie wstawałbym

z łóżka. Pia, znikaj lepiej do domu, bo jeszcze się zarazisz i będziesz siąkać i kichać na tym swoim statku.

— Kai, nawet nie wiesz, jakie mam wyrzuty sumienia, że zostawiam cię w takim stanie samego. — Policjantka pokręciła głową.

— Oj, już nie gadaj. — Ostermann kichnął i wydmuchał nos. — Ja bym nie miał żadnych, gdybym zabukował urlop, a ty byś siedziała tutaj, dusząc się od kataru.

— Dzięki. Wiedziałam, że zawsze mogę na ciebie liczyć. — Pia zarzuciła sobie na ramię mały skórzany plecak i uśmiechnęła się szeroko. — W takim razie życzę ci szybkiego powrotu do zdrowia i wesołych świąt! Pa!

— Pozdrów ode mnie słońce na równiku! — Kai Ostermann puścił do niej oko i znów kichnął. — A teraz znikaj stąd! I to szybko!

Bodenstein nie mógł dospać. Przez pół godziny przewracał się z boku na bok, aż w końcu, o wpół do piątej rano, postanowił wstać. Nie chciał obudzić Inki, która leżała obok i spała, cicho pochrapując. Po ciemku wyszedł z sypialni, na pizamę włożył polarową bluzę i zszedł piętro niżej. W kuchni uruchomił nowiutki półautomatyczny ekspres do kawy, który kupił sobie jako wcześniejszy prezent na Gwiazdkę, i podstawił filiżankę pod dyszę.

Dwie osoby z K11 na zwolnieniach chorobowych, Cem Altunay i Pia na urloпах, i morderstwo, które, jak wskazywały wszystkie znaki na niebie i ziemi, nie będzie łatwe do wyjaśnienia. Co gorsza, szalejąca epidemia grypy nie dawała nadziei na wsparcie w postaci kolegów i koleżanek z innych wydziałów.

Zaszumiał wbudowany młynek do ziaren i po chwili filiżanka wypełniła się gorącym naparem, roztaczając cudowny aromat. Bodenstein wsunął bose stopy w miękkie, obszyte futrem kapcie i wyszedł na taras. Upił łyk kawy — lepszej nie pił nigdy w życiu — usiadł na skrytej pod dachem kanapie z polirattanu i przykrył się kocem, który leżał starannie złożony na fotelu obok. Powietrze było orzeźwiająco zimne i całkowicie klarowne. Bodenstein widział ze swojego miejsca światła pozycyjne samolotu lądującego na lotnisku. Panorama obejmująca część terenów między Renem a Menem, przez Frankfurt, tereny przemysłowe Höchst, aż do frankfurckiego lotniska wciąż zapierała dech w piersiach, niezależnie od tego, czy się ją podziwiała w dzień czy w nocy, latem czy zimą. Kochał ten widok, kochał siedzieć na tarasie, rozmyślać i patrzeć przed siebie. Ani razu nie żałował, że kupił połowę bliźniaka w Ruppertshain, dzielnicy Kelkheim. Przeprowadzka tutaj stanowiła dla niego punkt zwrotny, powrót do normalnego życia, które przed czterema laty, po rozwodzie z Cosimą, z dnia na dzień posypało się jak



dom z kart. Jediną stałą wartością, której mógł się trzymać przez ten czas chaosu, była praca, a to, że ją utrzymał, zawdzięczał jedynie Pii, która nie raz i nie dwa ratowała mu tyłek. Przez rozkojarzenie i brak koncentracji pozwolił sobie na kilka naprawdę poważnych błędów, których później bardzo się wstydził. Ona tymczasem ani razu mu ich nie wypomniała, ba, zawsze go kryła i nie usiłowała wygryźć, żeby zająć jego stanowisko. Jakkolwiek by patrzeć, Pia była najlepszą współpracowniczką, jaką kiedykolwiek miał, i myśl, że sprawę morderstwa staruszki z Eschborn będzie wyjaśniać bez niej, niepokoiła go bardziej, niż był gotów przyznać. Nagle usłyszał przesuwanie drzwi. Zaskoczony odwrócił głowę i zobaczył starszą córkę, Rosalie.

— Cześć, moja panno, już na nogach?

— Obudziłam się i nie mogłam zasnąć — wyjaśniła. — Mam straszny mętlik w głowie.

— Chodź, siadaj. — Bodenstein zrobił jej miejsce obok siebie. Przez chwilę oboje w milczeniu podziwiali rozciągający się przed nimi widok i cieszyli spokojem wczesnego zimowego poranka. Oliver czuł, że coś nie dawało córce spokoju, jednak wolał poczekać, aż sama mu powie, o co chodzi. Decyzja, by w wieku dwudziestu czterech lat wyjechać do Ameryki i przyjąć stanowisko zastępczyni szefa kuchni w jednym z najlepszych hoteli w Nowym Jorku z całą pewnością była bardzo odważna — szczególnie w jej wypadku. Rosalie bowiem bólem brzucha reagowała na każdą zmianę i to już od wczesnego dzieciństwa. Rok wcześniej zdała egzamin mistrzowski i zakończyła formalną część edukacji w zakresie bycia szefem kuchni, przy czym zdobyła najwyższe oceny z całej grupy, a opiekunem praktycznej części jej kształcenia był bardzo utytułowany kucharz Jean-Yves St. Clair, i to on jej doradził, by na jakiś czas wyjechała i zdobywała doświadczenie za granicą.

— Wiesz, nigdy wcześniej nie byłam z dala od domu dłużej niż dwa

tygodnie — zaczęła cicho. — I nigdy wcześniej nie mieszkałam sama. Zawsze z mamą albo z tobą. A teraz od razu na inny kontynent. I to do Nowego Jorku!

— Jedni wcześniej opuszczają dom, inni później — odpowiedział Bodenstein i objął córkę. Rosalie podkurczyła nogi, przykryła się ciepłym kocem i przytuliła do niego. — Wielu młodych ludzi wprawdzie już na studia jedzie gdzieś dalej, ale i tak przez wiele lat żyje na koszt rodziców. Ty za to już od dawna sama na siebie zarabiasz i jesteś całkowicie samodzielna. Poza tym, jakkolwiek by patrzeć, prowadzisz cały dom. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo będzie mi ciebie brakowało!

— Ciebie też będzie mi brakowało, tato! Jejku, ależ będę za tym wszystkim tęskniła! Wiesz przecież, że nie nadaję się do życia w mieście. — Rosalie oparła głowę na ramieniu ojca. — Co mam robić, gdy tęsknota nie będzie dawała mi spokoju?

— Przynajmniej nie wierzę, żebyś w ogóle miała czas na tęsknoty. — Bodenstein się uśmiechnął. — Ale gdyby jednak ci się udało zatęsknić, będziesz miała Skype'a. Dzięki temu zawsze uda ci się skontaktować z ludźmi, których będzie ci brakowało. Albo zadzwonisz. W weekendy, czy jak dostaniesz kilka dni wolnego, możesz pojechać na Long Island czy do Berkshire Hills, to przecież żabi skok z Nowego Jorku. A na tyle, na ile znam twoją matkę, nie odpuści i kilka razy na pewno przyleci cię odwiedzić.

— Też tak sądzę. — Rosalie pokiwała głową i westchnęła. — Właściwie to się nawet cieszę na ten cały Nowy Jork, na nową pracę i nowych ludzi. A mimo to jest mi jakoś tak ciężko.

— Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej — odparł ojciec. — Ale wiesz, że jestem z ciebie szalenie dumny. Kiedy zaczynałaś naukę, byłem przekonany, że zabrałaś się za gotowanie tylko z przekory i lada chwila ci minie. A jednak nie tylko ci nie minęło, ale też stałaś się jedną z najlepszych w swoim fachu.

— Wiesz, że czasem byłam naprawdę blisko rzucenia tego w diabły? — zdradziła Rosalie. — Nigdy nie mogłam wychodzić z koleżankami na koncerty, imprezy czy do klubów. Jednak kiedy się zastanowiłam, doszłam do wniosku, że one wszystkie były takie... chaotyczne. Pozbawione planu. I wyszło na to, że tylko ja jedna mam pracę swoich marzeń.

Bodenstein uśmiechnął się w ciemności. Rosalie była bardzo, bardzo podobna do niego, i to nie tylko w kwestiach przywiązania do rodzinnych stron i tradycji. Przede wszystkim potrafiła radzić sobie z odpowiedzialnością i zrezygnować z wielu rzeczy, żeby doprowadzić do końca to, co miało dla niej znaczenie. Po matce odziedziczyła za to te cechy, których jemu brakowało, czyli przede wszystkim nieokiełznaną ambicję, dzięki której parła do przodu.

— To dużo znaczy. Sukces można odnieść tylko wtedy, kiedy robi się coś z niewymuszoną chęcią i znajduje się w tej pracy spełnienie — powiedział Bodenstein. — Jestem przekonany, że podjęłaś właściwą decyzję. Rok w Ameryce da ci perspektywę i rozwój w każdej dziedzinie.

Odwrócił głowę i dotknął policzkiem włosów córki.

— A jeśli kiedykolwiek twoje życie zacznie przypominać wzburzone morze, tutaj znajdziesz spokojną i bezpieczną przystań. Zawsze będzie tu dla ciebie miejsce.

— Dzięki, tato — mruknęła Rosalie i ziewnęła. — Chyba lepiej już pójdę. Może uda mi się jeszcze na chwilę usnąć.

Wstała, pocałowała go w policzek i wróciła do domu.

Dzieci dorastają i odchodzą, pomyślał Bodenstein w przyływie zadumy i wzruszenia. Ależ ten czas pędzi! Lorenz i Rosalie już od dawna byli samodzielni, a Sophia ledwie kilka tygodni temu skończyła sześć lat! Za osiemnaście, kiedy będzie w tym wieku, co Rosalie teraz, on będzie miał niemal siedemdziesiątkę! Czy spoglądając za siebie, na swoje życie, poczuje

zadowolenie? Półtora roku temu, kiedy zaproponowano mu, by zajął stanowisko Nicoli Engel, którą zastępował w czasie jej zawieszenia w obowiązkach, grzecznie podziękował i odmówił. Uznał, że za bardzo wiązałoby się to z biurokracją i polityką. Tymczasem on chciał prowadzić śledztwa, a nie siedzieć za biurkiem. Dopiero poniewczasie zorientował się, że swoją odmową zamknął przed Pią drzwi do dalszej kariery, przynajmniej w ramach regionalnych struktur policji. Dwa lata temu awansowała na pierwszą nadkomisarz i miała wszelkie kompetencje i kwalifikacje, by zostać świetną szefową wydziału K11. Jednak tak długo, jak on zajmował to stanowisko, będzie musiała jej wystarczyć satysfakcja bycia częścią zespołu. Jak długo tak wytrzyma? Czy to rozwiązanie na dłuższą metę? Co się stanie, jeśli pewnego dnia zechce się przenieść gdzieś indziej, by móc zrobić kolejny krok w karierze? Bodenstein dopił zimną już kawę. Myślami wrócił do sprawy morderstwa, która czekała na wyjaśnienie. Spodziewał się, że w ciągu najbliższych dni przekona się, jak będzie wyglądała praca bez Pii.

PIA KIRCHHOFF długo nie mogła usnąć i to z bardzo podobnego powodu, który kazał jej szefowi siedzieć na tarasie i rozmyślać: nie potrafiła przestać rozważać sprawy morderstwa staruszki. W przeciwieństwie do niektórych współpracowników, którzy utrzymywali, że nie mają najmniejszych problemów z oddzieleniem życia prywatnego od zawodowego i ledwie wrócić do domu, przestają myśleć o pracy, jej tylko z rzadka udawała się ta sztuka. Po jakimś czasie wstała z łóżka, na palcach zeszła na parter i włożyła ciepłe ubranie. Psy zwlokły się niechętnie z posłań w przedpokoju i z poczucia obowiązku, ziewając, ruszyły za nią na dwór, nie udając nawet entuzjazmu. Pia zajrzała do obu koni, które spały na stojąco w swoich boksach, a potem usiadła na ławce przed stajnią.

Zgodnie ze wstępnymi informacjami, Ingeborg Rohleder była w naturalny

sposób serdeczną, starszą kobietą, która przez całe życie pracowała w prowadzonej przez rodzinę kwiaciarni i wśród mieszkańców swojej miejscowości cieszyła się powszechną sympatią. I ani sąsiedzi, ani wstrząśnięci pracownicy kwiaciarni, których policja zdążyła już przepytąć, nie potrafili sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby mieć powód, by strzelić jej w głowę. Czy to możliwe, że została z kimś pomyłona? A może stała się przypadkową ofiarą tego strzelca? Ta ewentualność była chyba najgorsza z możliwych. W Niemczech niemal w siedemdziesięciu procentach przypadków ofiara jest w jakiś sposób związana z mordercą, ba, często sprawca morderstwa pochodzi z najbliższego kręgu zamordowanej osoby. Najczęściej w grę wchodzi bardzo silne emocje, takie jak wściekłość, zazdrość czy strach przed wyjawieniem prawdy o jakimś innym czynie karalnym. Morderstwa popełniane dla samego pozbawienia kogoś życia, i to bez znaczenia kogo, należą do rzadkości. Jeśli jednak już się zdarzają, są nadzwyczaj trudne do wyjaśnienia właśnie ze względu na brak jakichkolwiek związków między sprawcą a ofiarą. Policja jest wtedy zdana na łut szczęścia w postaci przypadkowego świadka, śladów biologicznych, na podstawie których można by ustalić kod DNA sprawcy, czy jakichś innych drobiazgów, które morderca przeoczył. Całkiem niedawno Pia brała udział w szkoleniu, na którym omawiano między innymi temat przestępstw przeciwko zdrowiu i życiu z wykorzystaniem broni palnej. I nawet ona była zaskoczona tym, jak mało morderstw popełnianych jest w ten sposób, bo zaledwie czternaście procent w skali całego kraju.

Zrobiło jej się zimno. Na autostradzie za wybiegiem i łąką niewiele się o tej porze działo i jedynie od czasu do czasu przejeżdżał jakiś samochód, omiatając okolicę blaskiem reflektorów. Wiedziała, że najpóźniej za dwie godziny sytuacja się diametralnie zmieni. Spojrzała na swoje psy, które, trzęsąc się z chłodu, siedziały przed nią z minami świadczącymi o wielkiej

tęsknocie za miękkimi i ciepłymi legowiskami.

— No dobrze, chodźcie już, wracamy do środka — powiedziała i wstała. Psy zerwały się z miejsca i popędziły przodem, żeby czekać na nią pod drzwiami. Ledwie je uchyliła, wepchnęły się do środka. Pia zdjęła kurtkę i buty, po czym na palcach wróciła do sypialni i wsunęła się pod kołdrę.

— Uuu, co się dzieje? Skąd w łóżku bryła lodu? — wymamrotał Christoph, kiedy przytuliła się do jego ciepłego ciała.

— Wyszłam na chwilę na dwór — wyjaśniła.

— Która godzina?

— Za dwadzieścia piąta.

— Co się dzieje? — Odwrócił się w jej stronę i ją przytulił.

— Nie mogę przestać myśleć o tej ofierze z wczoraj — odparła Pia.

Poprzedniego dnia wieczorem opowiedziała mu o zastrzelonej staruszce, żeby wyjaśnić, dlaczego mimo urlopu poszła do pracy. Nikt nie potrafił zrozumieć jej lepiej niż Christoph, który swoją pracę dyrektora zoo traktował z równym zaangażowaniem i namiętnością, a kiedy zachodziła taka potrzeba, potrafił zarywać weekendy i wolne dni.

— To zwykła, miła staruszka, którą wszyscy kochali — ciągnęła Pia. — Sprawca użył jakiegoś karabinu z tłumikiem.

— Co to oznacza? — Christoph stłumił ziewnięcie.

— Jesteśmy co prawda dopiero na początku dochodzenia, ale mam wrażenie, że ona przez przypadek została ofiarą zabójcy — wyjaśniła Pia. — A to oznacza, że mielibyśmy do czynienia ze snajperem strzelającym do Bogu ducha winnych przechodniów.

— A tobie to nie daje spokoju, bo większość ludzi z waszego wydziału jest na urloпах albo na chorobowym.

— Zgadza się — potaknęła. — Ruszałabym na ten urlop znacznie spokojniejsza, gdybym wiedziała, że Cem i Kathrin są na miejscu.

— Słuchaj, kochanie. — Christoph wziął ją w ramiona i pocałował w policzek. — Nie przejmuj się mną, bo ja zrozumieję, jeśli uznasz, że w tej sytuacji wolałabyś zostać. Dla mnie to tak czy inaczej bardziej praca niż wakacje...

— Nie puszczę cię samego w naszą podróż poślubną! — zaprotestowała Pia.

— Spokojnie, miesiąc miodowy możemy nadrobić w bardziej sprzyjających okolicznościach. — Christoph uśmiechnął się ciepło. — Poza tym zastanów się, czy w ogóle byś wypoczęła, zadręczając się wyrzutami sumienia.

— Nie ma mowy, muszą sobie poradzić beze mnie — oznajmiła Pia, choć bez wielkiego przekonania. — Dziś też jest dzień i istnieje szansa, że wszystko się wyjaśni.

— Jak chcesz, ale zastanów się. — Christoph przyciągnął ją bliżej. Jego emanujące ciepłem ciało działało na nią uspokajająco. Pia poczuła, jak ogarnia ją senność i zmęczenie.

— Zastanowię — wymamrotała. — Mam jeszcze czas.

I zapadła w sen.

*STRONA PO STRONIE* przejrzał całą gazetę i przeczytał wszystkie artykuły. Nic. Ani słowa o morderstwie w Eschborn. Również w Internecie nic nie znalazł — i to ani w wiadomościach, ani w raportach policyjnych. Najwyraźniej uznano, że lepiej na razie trzymać prasę z dala. Jemu to też było na rękę. Ale za kilka dni wszystko się zmieni. Do tego czasu niewiedza społeczeństwa była dla niego niczym dodatkowa ochrona przed przypadkowymi świadkami. Mógł się swobodnie przemieszczać.

Był zadowolony ze strategii, którą opracował. Wszystko poszło dokładnie tak, jak zaplanował. Na parkingu przy pływalni minął kilka matek z dziećmi,

*ale nikt nie zwrócił na niego uwagi, kiedy najpierw wrzucił do bagażnika sportową torbę z bronią, a potem wszedł do samochodu i odjechał.*

*Na iPadzie załadował stronę z prognozą pogody. Już od kilku tygodni robił to parę razy dziennie, bo warunki na dworze stanowiły jeden z najważniejszych czynników decydujących o powodzeniu planu.*

*— Cholera — mruknął.*

*Prognoza na najbliższe trzy dni bardzo się od wczoraj zmieniła. Przeczytał o silnych i obfitych opadach śniegu, które miały potrwać do piątku wieczór włącznie. Zmarszczył czoło.*

*Śnieg to zła wiadomość. Na śniegu widać ślady. Co teraz? Plan przemyślany w najdrobniejszych szczegółach, w którym wszystko, co narażało go na jakiegokolwiek ryzyko, zostało zminimalizowane, był warunkiem powodzenia całego przedsięwzięcia. Nic nie stanowiło większego zagrożenia niż spontaniczność. Jednak cholerny śnieg przekreślał jego plany. Przez chwilę siedział zamyślony przy stole i zastanawiał się, co dalej, po raz kolejny analizując wszystkie szczegóły planu. Wszystko na nic. Śnieg stanowił zbyt poważne ryzyko, dlatego musiał dostosować założenia czasowe do nowej sytuacji. I to natychmiast.*

*— ALEŻ ty wyglądasz, Kai! Powinieneś być zostać w łóżku! — oznajmił Bodenstein, kiedy wszedł do sali odpraw K11 i zobaczył, w jakim stanie jest jego ostatni pracownik, który stawał się jeszcze w biurze.*

*— W łóżku ludzie umierają. — Komisarz Kai Ostermann machnął ręką. — Poza tym czuję się lepiej, niż wyglądam.*

*Uśmiechnął się i zaraz zaniósł kaszlem, na co Bodenstein przyjrzał mu się sceptycznie.*

*— Niech ci będzie. Dziękuję w każdym razie, że nie zostawiłeś mnie z tym wszystkim samego — dodał i usiadł przy dużym stole.*



— Raport balistyczny pocisku dotarł kilka minut temu — wycharczał Kai i podsunął szefowi kilka zadrukowanych kartek. — Sprawca użył kuli kaliber .308 Winchester. Niestety, trzysta ósemka Winchester to bardzo popularny kaliber, stosowany między innymi przez wojsko, myśliwych, sportowców i również przez policję. Każdy producent amunicji ma coś takiego w ofercie i to przynajmniej w kilku rodzajach.

Ogrzewanie było ustawione na pełną moc i choć Bodenstein pocił się niemilosiernie, Ostermann zdawał się nie zauważać upału. Owinięty dodatkowo szalem i w grubej bluzie włożonej na sweter zdawał się czuć w sam raz.

— Pocisk, który zabił staruszkę, to Remington Core-Lokt 11,7 grama, najpopularniejszy bodaj rodzaj amunicji wśród myśliwych. Dotychczas nie udało się jeszcze ustalić modelu karabinu, z którego strzelano.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, nie mamy nic. — Bodenstein zdjął marynarkę i przewiesił ją przez oparcie. — Są jakieś wieści z laboratorium? Jakiegokolwiek ślady?

— Niestety nie. Strzał padł z około osiemdziesięciu metrów. — Ostermann zaniósł się kaszlem, a kiedy nieco się uspokoił, wpakował do ust cukierek szałwiowy i kontynuował szeptem: — Taka odległość to bułka z masłem dla wprawnego strzelca. Ani w miejscu, gdzie zginęła staruszka, ani tam, skąd padł strzał, nie znaleziono żadnych śladów związanych z morderstwem, nie licząc zamazanego odcisku dwunogu. Łuskę sprawca musiał zabrać ze sobą. Ani sąsiedzi, ani pracownicy kwiaciarni nie potrafili przypomnieć sobie, by w ostatnim czasie wydarzyło się coś wyjątkowego albo niepokojącego. Nikt nie zauważył zmian w jej zachowaniu i nic nie wiadomo, by ktoś jej groził albo żeby czuła się zagrożona.

W Bodensteinie wzrastała coraz bardziej frustracja spowodowana tym, że nic nie wiedzą, a jedyną informacją, jaką dysponują, jest kaliber pocisku,

który trafił staruszkę. Powoli zaczynał się godzić z myślą, że z racji absencji chorobowej większości swoich ludzi będzie zmuszony poprosić Nicolę Engel o zorganizowanie wsparcia funkcjonariuszami z innych wydziałów.

— Zupełnie poważnie zacząłem się już zastanawiać, jak mamy...  
— zaczął, lecz przerwał, słysząc otwierające się drzwi. Ostermann wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy.

— Cześć — powiedziała Pia do pleców szefa. Bodenstein odwrócił się gwałtownie.

— A ty co tu robisz? — zapytał zaskoczony.

— Przyszłam nie w porę? Przeszkadzam? — Pia popatrzyła na niego, po czym przeniosła wzrok na Ostermanna.

— Nie! Nie, wręcz przeciwnie! — zapewnił ją. — Chodź, siadaj!

— Nie masz nic lepszego do roboty na dzień przed wyjazdem na wakacje?  
— Ostermann zmusił się do zachrypniętego szeptu.

— Nie. — Pia zdjęła kurtkę, przysunęła sobie krzesło i uśmiechnęła się szeroko. — Załatwiłam, co miałam do załatwienia, i pomyślałam, że co tam, wpadnę szybko i pomogę rozwiązać tę sprawę, zanim zostawię was na trzy tygodnie samych.

Kai Ostermann skrzywił się lekko. Bodenstein zdjął pulower i zreferował Pii wszystko, co zdążyli omówić przed jej przyjściem.

— Hm, w sumie to niewiele — stwierdziła policjantka. — Raczej mała szansa, żeby ustalić, gdzie kupił tę amunicję, prawda?

— Zerowa. — Kai Ostermann potrząsnął głową. — Takie naboje znajdziesz w każdym sklepie myśliwskim i w każdym katalogu z bronią na całym świecie. Niestety.

— No i na razie nie mamy pojęcia, co mogło być motywem — dodał Bodenstein. — Całkiem możliwe, że chodzi o snajpera, który strzela do ludzi dla samego zabijania.

— Albo Ingeborg Rohleder skrywała jakieś mroczne tajemnice, o których nikt nic nie wiedział — podsunęła Pia. — Musimy sprawdzić jej otoczenie, znajomych i przeświecić jej przeszłość.

— Od tego zaczniemy. — Bodenstein z trudem wytrzymał upał w biurze, zaduch i aromat cukierków ziołowych, którymi Ostermann leczył gardło, dlatego natychmiast zerwał się z miejsca. — Chodź, pojedziemy teraz do Renate Rohleder. A potem do Instytutu Medycyny Sądowej. Sekcja denatki zaplanowana jest na wpół do dwunastej.

RENATE ROHLEDER nie była wiele spokojniejsza niż poprzedniego dnia. Z zaczerwienionymi od płaczu oczyma siedziała przy kuchennym stole, w lewej dłoni ścisnęła chusteczkę do nosa, a prawą mechanicznymi ruchami głaskała starą labradorkę, która tuliła jej się do nóg. Blond włosy, jeszcze wczoraj starannie ułożone w kok, dziś zwieszały się niedbale na ramiona, a nieumalowana twarz była tak opuchnięta, jakby kobieta przez całą noc nie przestawała płakać.

— Dlaczego nie ma o tym ani słowa w prasie? — zapytała z wyrzutem w głosie, jeszcze zanim zdążyła się przywitać. Postukała palcem w rozłożoną na stole gazetę. — W radiu też nic nie mówili. Dlaczego? Co robicie, żeby znaleźć mordercę mojej matki?

Spotkania z rodzinami ofiar morderstw nigdy nie należały do przyjemnych. Przez dwadzieścia pięć lat w wydziale K11 Bodenstein zetknął się chyba z każdą możliwą reakcją. Większość krewnych po jakimś czasie wracała do normalnego życia, lecz pierwsze dni dla wszystkich bez wyjątku oznaczały szok, chaos emocjonalny i rozpacz. Nierzadko zdarzało się, że rozładowywali swój ból na funkcjonariuszach policji — Bodenstein znał i taką reakcję i zdążył się do niej przyzwyczaić.

— Jest jeszcze za wcześnie, żeby ogłaszać to publicznie — wyjaśnił

spokojnie. — Nie dysponujemy dostateczną liczbą informacji, żeby prosić mieszkańców o pomoc. A przecież chyba pani nie chce, żeby gazety zrobiły z tej sprawy materiał czysto sensacyjny, prawda?

Renate Rohleder wzruszyła ramionami i spojrzała na telefon, który co kilka chwil wydawał melodyjny sygnał.

— Zgadza się — wyszeptała. — Nie mogę nawet pracować w sklepie! Ludzie nie mają niczego złego na myśli, ale ja... ja po prostu nie mogę znieść tych wszystkich wyrazów współczucia i kondolencji.

Bodenstein rozejrzał się ukradkiem po kuchni. Przypuszczał, że to Ingeborg Rohleder utrzymywała dom w porządku, podczas gdy jej córka zajmowała się kwiaciarnią. Już po dwudziestu czterech godzinach dało się odczuć brak starszej pani. Na stole stały talerze z resztkami śniadania, otwarty słoik dżemu z łyżką w środku, zużyta torebka herbaty leżała na podstawce, a w zlewie zalegał stos brudnych naczyń i przypalony garnek.

— Bardzo nam przykro, że zakłócamy pani żałobę — powiedziała Pia. — Musimy jednak zapytać o kilka spraw dotyczących kręgu znajomych pani matki. Skąd pochodziła? Od kiedy mieszkała w Eschborn...

— Niederhöchstadt. — Renate Rohleder błyskawicznie ją poprawiła, po czym wytarła nos i sprawdziła ekran komórki.

— W Niederhöchstadt. Czy miała wrogów? Może jakieś problemy czy nieporozumienia rodzinne? Czy nie zauważyła pani, by ostatnio zachowywała się inaczej niż zwykle? Była spięta albo podenerwowana? Czy czuła się zagrożona?

— Chyba żartujecie, jeśli twierdzicie, że ktoś celowo zastrzelił właśnie moją matkę! — W głosie Renate Rohleder słychać było wrogość. — Mówiłam wam przecież, że ona nie miała wrogów! Żadnych! Wszyscy ją lubili! Przeprowadziła się tutaj na początku lat sześćdziesiątych z Sossenheim i razem z moim ojcem otworzyli kwiaciarnię i ogrodnictwo. Mieszkała tutaj

przez ponad pięćdziesiąt lat! Spokojnie i szczęśliwie!

Podniosła telefon, który odzywał się co minutę, spojrzała na niego i jej twarz pojaśniała. Podetknęła Pii ekran pod sam nos.

— Proszę! Wszyscy, wszyscy bez wyjątku przesyłają kondolencje, nawet burmistrz! — Jej oczy zaszyły łzami. — Gdyby nie była powszechnie lubiana, toby tak chyba nie było, prawda?

— Jednak istnieje możliwość, że pani matka skrywała jakąś tajemnicę; coś, co wydarzyło się bardzo, bardzo dawno temu — podsunęła Pia, która nie mogła przestać myśleć o sprawie Kaltensee, o czym Bodenstein doskonale wiedział i uważał, że słusznie robi. Szczególnie na początku śledztwa, kiedy jeszcze błądzi się po omacku, ważne jest, by nie wykluczać żadnych możliwości. Dlatego właśnie nie przerywał Pii i nie protestował, kiedy w samochodzie przyznała, że w przeciwieństwie do niego nie wierzy w przypadkowy wybór ofiary. Historia kryminalistyki świadczyła na jej korzyść — morderstwa popełniane tylko z chęci pozbawienia kogoś życia, bez konkretnego motywu, zdarzały się wyjątkowo rzadko.

— Pani Rohleder, zadając te pytania, nie mamy na celu zaszkodzić dobremu imieniu pani matki — zapewnił ją Bodenstein pojednawczym tonem. — Nam zależy jedynie na znalezieniu osoby odpowiedzialnej za jej śmierć. To całkowicie normalne, że szukając motywu, zaczynamy od sprawdzenia rodziny i znajomych ofiary.

— Nikt nie mógł mieć powodu, żeby ją mordować — upierała się Renate. — Marnujecie czas, jeśli chcecie cokolwiek na nią znaleźć.

Pia już chciała jej odpowiedzieć, lecz Bodenstein skinął głową na znak, że to zupełnie bez sensu.

— Dziękujemy za poświęcony nam czas — oznajmił. — Gdyby jednak przyszło pani do głowy coś, co mogłoby nas zainteresować, to bardzo proszę o telefon.

— Tak, oczywiście. — Renate Rohleder wydmuchała nos w całkowicie moką chusteczkę. Bodenstein na wszelki wypadek schował dłonie w kieszeniach płaszcza, bojąc się, że córce ofiary mogłoby przyjść do głowy, by podać mu rękę na pożegnanie. Na szczęście jej uwaga skupiała się tylko na odbieraniu kondolencji, które nieprzerwanie rozświeślały ekran jej telefonu.

Oliver i Pia wyszli z kuchni i korytarzem ruszyli w stronę wyjścia. Bodenstein zatrzymał się za progiem i postawił kołnierz płaszcza. Mieli kawałek do przejścia, bo samochód zostawili na parkingu przed posterunkiem policji w Eschborn, przy głównej ulicy.

— Niederhöchstadt, a nie Eschborn! — warknęła Pia, nie kryjąc sarkazmu. — Mój Boże, czy ona przespała reformę administracyjną? Kiedy to było? Pięćdziesiąt lat temu?

— W 1971 roku. — Bodenstein się uśmiechnął. — Ale wiesz, ludzie są przywiązani do swoich rodzinnych wiosek i w ten sposób chcą bronić swojej tożsamości.

— Co za bzdura. — Pia potrząsnęła głową. — Te wszystkie dziury dawno by pobankrutowały, gdyby próbowały przetrwać jako osobne miejscowości.

Na rogu ulicy stała grupka starszych ludzi, którzy przyglądali się im, nie kryjąc ciekawości. Bodenstein przywitał się skinieniem głowy.

— Pewnie są dumni, że to się wydarzyło w ich wiosce — mruknęła Pia.

— Człowiek wyjdzie ze wsi, wieś z człowieka nigdy — potwierdził Bodenstein.

— Może ktoś zastrzelił Ingeborg Rohleder, bo się przejęzyczyła i powiedziała, że mieszka w Eschborn — zakpiła Pia.

— Dlaczego aż tak cię to rozdrażniło? — zapytał Bodenstein. — Miałaś nadzieję, że Renate poda nam nazwisko, a my pojedziemy kogoś aresztować?

Dotarli na parking przed posterunkiem policji. Oliver pilotem odblokował

drzwi służbowego auta.

— Oczywiście, że nie! — Pia zatrzymała się na chwilę i uśmiechnęła kwaśno, po czym wzruszyła ramionami i złapała za klamkę. — No dobrze, może trochę. Byłabym o wiele spokojniejsza, gdybym mogła jechać na urlop ze świadomością, że sprawa została rozwiązana!

PUNKTUALNIE O WPÓŁ DO DWUNASTEJ weszli do sali sekcyjnej numer dwa w podziemiach Instytutu Medycyny Sądowej przy Kennedyallee. Nagie i umyte zwłoki Ingeborg Rohleder leżały na metalowym stole, a profesor Henning Kirchhoff i doktor Frederick Lemmer rozpoczęli już procedurę oględzin.

— Pia! — Henning spojrzał na nią zaskoczony. — Co ty tu robisz? Myślałem, że masz urlop?

— Bo mam — potwierdziła. — Ale w K11 pomór, więc wpadłam pomóc.

— Rozumiem. — Henning zsunął z twarzy jednorazową maseczkę ochronną i uśmiechnął się, znacząco unosząc brwi. Pia uznała, że jest w tym sporo kpiny.

— Samolot mamy jutro za piętnaście ósma wieczorem — oznajmiła. — A walizki czekają już spakowane.

— To jeszcze nic nie znaczy. — Henning się uśmiechnął. — Stawiam sto euro, że nie polecisz.

— Straciłeś właśnie sto euro — odparła Pia chłodno. — I kiedy ty będziesz tu odmrażał sobie szanowne cztery litery, ja będę wygrzewała moje na słońcu.

— Nie ma mowy. Za dobrze cię znam — odparł Henning kpiąco. — Ponieważ Christoph wylatuje i zostaniesz sama na święta, zapraszam cię do nas. Będziesz bardzo mile widziana. Wiesz, że nawet mamy choinkę?

— Jutro wylatuję! — Pia zrobiła się naprawdę zła.

Nienawidziła tego, że Henning tak dobrze ją znał i bez najmniejszego wysiłku potrafił przejrzeć jej zamiary. Bo rzeczywiście, choć nie chciała się do tego przyznać, najchętniej zrezygnowałaby z urlopu, na który od tak dawna się cieszyła. Ale nie zamierzała słuchać tego z ust byłego męża.

Bodenstein uśmiechnął się i przywitał z nowym medykiem, który z rosnącym zaskoczeniem przysłuchiwał się tej wymianie zdań.

— Oni często tak mają. Kiedyś byli małżeństwem — wyjaśnił Oliver. — Oliver von Bodenstein, K11 Hofheim.

— Frederick Lemmer — odparł nowy. — Miło mi.

— Możemy zaczynać? — przerwała im Pia. — Nie mamy całego dnia, żeby tu siedzieć.

— A to dlaczego? Przecież lecisz dopiero jutro, prawda? — Henning nie przepuszczał żadnej okazji, by jej dopiec. Uśmiechnął się zadowolony, widząc jej złe spojrzenie, po czym wrócił do oględzin zwłok.

Obdukcja ciała denatki nie przyniosła żadnych użytecznych informacji. Ingeborg Rohleder przed śmiercią była zdrowa jak rydz i gdyby ktoś jej nie zastrzelił, mogłaby żyć jeszcze wiele lat. Pocisk trafił ją nad lewym uchem i wyszedł kilka centymetrów wyżej przez prawą skroń, co potwierdziło hipotezę Krögera dotyczącą trajektorii lotu. Strzelec leżał schowany nad rzeczką. Pojawił się znikąd, a po zamachu rozpułnął się w powietrzu.

— A CO MYŚLISZ O TEJ, MAMO? — Greta miała na sobie krótką kurteczkę z wstawkami ze sztucznego futra. Obracała się przed lustrem, krytycznie przyglądając się swemu odbiciu. Ubranie leżało na niej dobrze, bo dziewczyna była szczupła i wysoka, miała długie nogi i mogła bez kompleksów nosić takie rzeczy, w przeciwieństwie do wielu nastolatek z jej pokolenia, które już w jej wieku miały kłopoty z nadwagą.

— Wspaniale w niej wyglądasz! — zawołała Karoline.



Greta uśmiechnęła się i sięgnęła po metkę z ceną przyczepioną do rękawa.

— Odpada! — Zawiedziona potrząsnęła głową. — Nie bierzemy.

— Dlaczego?

— Bo kosztuje sto osiemdziesiąt euro!

— To będzie prezent na święta, jeśli ci się podoba.

Dziewczynka spojrzała na nią z wahaniem, po czym odwróciła się w stronę lustra. Była rozdarta między rozsądkiem a chęcią posiadania. Koniec końców do torby z zakupami powędrowała kurtka, trzy pary dżinsów, sweter i bluza z kapturem. Greta była zadowolona, a Karoline bardzo to cieszyło. Kiedy poprzednio miała czas, by na cztery dni przed świętami Bożego Narodzenia pojechać do miasta na zakupy? Pewnie ze dwadzieścia lat temu, jeśli nie wcześniej! Kiedyś uwielbiała przeciskać się z przyjaciółkami przez tłumy ogarnięte przedświątecznym szaleństwem, kochała kiczowate świąteczne dekoracje, piosenki o zbliżającej się Gwiazdce, stragany z prezentami i smakołykami na każdym rogu i zapach prażonych migdałów w mroźnym, grudniowym powietrzu. Kiedy przyjechała odebrać Gretę z internatu, by powrócić z nią po mieście, myślała raczej o Goethestrasse i tamtejszych butikach. Córka zdecydowała jednak, że koniecznie muszą odwiedzić handlową ulicę Zeil. I tak od trzech godzin wędrowały po przegrzanych i przepelnionych sklepach. Jednak widok córki, która z błyszczącymi z zapału oczyma szukała prezentów dla swoich przyjaciółek, dla Nicky, taty i przyrodniego rodzeństwa, a potem jej zachwyty przy przymierzaniu ciuchów, które sama uważała za paskudne, czyniły ją naprawdę szczęśliwą. Najbardziej dziwiło ją to, że nawet tłumy dookoła sprawiały jej radość i przywoływały dawno zapomniane wspomnienia z młodości. Wówczas miała jeszcze dużo czasu. Mama była bardzo wyrozumiała i nigdy nie prawiała jej kazań, kiedy późno wracała do domu. Jak wiele zalet i uroku miało życie pozbawione presji oczekujących terminów

i spotkań! Telefon zostawiła w schowku w samochodzie i jeszcze ani razu za nim nie zatęskniła!

O siedemnastej przytaszczyły do auta na podziemnym parkingu kilkanaście toreb i torebek z zakupami i ruszyły w drogę do Oberursel. Choć Greta miała już trzynaście lat, najbardziej cieszyła się na pieczenie pierniczków z babcią.

— Naprawdę chcesz przestać pracować? — zapytała nastolatka, kiedy Karoline wyjeżdżała czarnym porsche z miejsca parkingowego.

— A co, nie wierzysz mi? — Rzuciła córce szybkie spojrzenie i dostrzegła zwątpienie w jej oczach.

Greta westchnęła.

— W internacie jest całkiem okej, ale wolałabym widywać ciebie i tatę w ciągu tygodnia. Tylko...

— Tylko co? — Karoline podsunęła kartę parkingową pod czytnik, żeby otworzyć szlaban.

— Tata twierdzi, że prędzej piekło zamarznie, niż ty przestaniesz pracować — odparła nastolatka. — I że rzucisz pracę tylko pod warunkiem, że gdzieś będzie czekało na ciebie lepsze stanowisko.

BODENSTEIN I PIA wracali do komisariatu sfrustrowani i w nie najlepszych nastrojach. Na białej tablicy w sali odpraw wisiało duże zdjęcie Ingeborg Rohleder, a obok Kai zapisał jej nazwisko i godzinę śmierci. I to wszystko. Rozmowy z sąsiadami przeprowadzone przez innych funkcjonariuszy nie przyniosły żadnych istotnych informacji, podobnie jak zeznania naocznego świadka, które okazały się przydatne jedynie dlatego, że bardzo dokładnie udało się ustalić czas morderstwa. Poza tym świadek nikogo nie widział. Technicy wykonali benedyktyńską pracę i starannie przeszukali obszar o powierzchni kilometra kwadratowego, lecz poza

zamazanym odciskiem dwunogu nie znaleźli absolutnie nic: ani włókien, ani odcisków butów, bo ziemia była zamrznięta, ani łuski. Brakowało nawet drobinek skóry czy pojedynczych włosów. Sprawca był niczym duch, a motywy jego działania nieodgadnione.

— No dobrze, to co robimy teraz? — zapytał Ostermann i zakaszłał rżężąc.

— Hm. — Bodenstein przyjrzał się mapie zawieszanej na ścianie i w zamyśleniu podrapał się po czole. Dokąd strzelec mógł uciec? Czy był tak bezczelny, że wybrał drogę przez środek placu zabaw, Rheinstrasse i dokładnie przed posterunkiem policji w Eschborn? Czy może uciekł Lahnstrasse, potem deptakiem do ulicy Schöne Aussicht, by wsiąść do pozostawionego gdzieś w tej okolicy auta i odjechać? I choć bez najmniejszych wątpliwości to były dwie najszybsze drogi ucieczki, to przecież nie jedyne. Mógł na przykład ruszyć piechotą w stronę parkingu przed pływalnią, albo nawet jeszcze dalej, obok kortów tenisowych do błoni, które były wykorzystywane przez pracowników pobliskich firm jako darmowy parking. Niezależnie od obranej drogi wystarczyło, że wsiadł niezauważony do samochodu i nie pozostał po nim nawet ślad.

— Myślę, że powinniśmy zwrócić się do ludzi z informacją o sprawie i prośbą o pomoc — powiedziała Pia, a Ostermann potaknął. — Nie sądzę, żebyśmy sami mogli ustalić jeszcze jakieś ważne okoliczności tej sprawy.

Bodenstein bronił się przed takim rozwiązaniem, bo za każdym razem zgłaszało się całe grono żądnych uwagi osób, które choć nie miały nic do powiedzenia, przekazywały wysrane z palca informacje. Później, ogromnym nakładem sił i środków trzeba było sprawdzać wszystkie sygnały i odfiltrowywać zdecydowaną większość fałszywych. W obliczu tak drastycznych braków kadrowych nie stać go było na takie marnotrawstwo czasu, lecz musiał przyznać, że dobrnęli do ściany i innej drogi nie mieli. Pia

miała rację: na tę chwilę ustalili wszystko, co się dało. Istniała w każdym razie jakaś szansa, że ktoś coś zauważył, co z początku wydawało mu się bez znaczenia.

— No dobrze — zgodził się w końcu Bodenstein. — Zgłaszamy się z tym do prasy. I trzymamy kciuki, żeby to przyniosło jakiś efekt.

*NIE MÓGŁ WYBRAĆ lepszego miejsca. Gałęzie jodeł zwieszały się nisko nad płaskim, porośniętym mchem dachem, a uliczka kończyła się ślepo. O szóstej wieczorem panowały całkowite ciemności. Po prawej stronie znajdowały się jedynie łąki, a jej dom stał na samym końcu, na skraju niewielkiego lasu oddzielającego miejscowość od starej drogi krajowej prowadzącej do Königstein. Przed dziesięcioma minutami włączyła światło w kuchni, a potem weszła na piętro. Stara willa miała modne niegdyś okna ze szprosami pozbawione opuszczanych rolet, a okiennice sprawiały wrażenie, jakby znajdowały się tam tylko dla ozdoby i od dziesięcioleci nikt ich nie używał. Dla niego dom wyglądał jak domek dla lalek. Mógł zajrzeć w każde okno i oglądać, co robi w poszczególnych pomieszczeniach. Jej plan dnia znał na pamięć — rzadko cokolwiek zmieniała, a jeśli już, to tylko nieznacznie. Najpóźniej za dziesięć minut zjawi się w kuchni i zacznie przygotowywać kolację dla męża.*

*W porównaniu z poprzednim dniem temperatura spadła o kilka stopni, a zapowiadane na późny wieczór opady śniegu nie każą na siebie długo czekać. Chłód mu nie przeszkadzał; był odpowiednio ubrany. Spojrzał na zegarek. Wskazywał osiemnastą dwadzieścia dwie. W tym samym momencie weszła do kuchni. Przez lunetę celowniczą Kahles ZF69 widział ją, jakby stała tuż przed nim. Nachyliła się, po czym odwróciła i sięgnęła coś z szafki. Poruszała ustami. Pewnie miała włączone radio i śpiewała razem z muzyką, jak wielu ludzi, kiedy są sami. Oparł palec na spuście. Nabrał głęboko*

powietrza i powoli je wypuścił, koncentrując się na celu. Strzelił, kiedy odwróciła się w jego stronę. W chwili gdy kula roztrzaskała szybę i eksplodowała czaszka kobiety, odruchowo spojrzął w lewo. Dostrzegł drugą osobę w kuchni. Boże! Ona nie była sama! Usłyszał piskliwy krzyk.

— Cholera! — warknął. Adrenalina pulsowała w jego żyłach, a serce waliło jak szalone. Nie spodziewał się nikogo więcej w domu. To nie był śpiew! Ona z kimś rozmawiała. Kilkoma sprawnymi ruchami rozłożył broń na części i ukrył ją w torbie. Do kieszeni schował łuskę, która wypadła z broni po strzale i przeczołgał się na skraj dachu. Korzystając z osłony, zsunął się na skrzynkę transformatorową i bezszelestnie zniknął w ciemnościach.

SYTUACJA W KUCHNI z każdą chwilą zmieniała się w katastrofę. Gorąca masa strzeliła w powietrze i opryskała jej twarz, dłonie i ramiona.

— Niech to szlag!

Spojrziała po sobie i momentalnie dostrzegła pomarańczowe plamy, którymi była upstrzona. Niewiele rzeczy spierałoby się gorzej z jasnej kaszmirowej wełny jej ulubionego sweterka niż dynia z marchewką! Pia zaklęła rozzłoszczona, bo zapomniała włożyć fartuszek, zanim zabrała się za miksowanie zupy. Niestety, zapomniała również nakryć garnek, więc kawałki warzyw znalazły się nie tylko na płycie ceramicznej, ale też na podłodze i połowie kuchni. Zazwyczaj nie zachowywała się aż tak niezdarnie w czasie gotowania, lecz dziś była bardzo rozkojarzona, a na dodatek po raz pierwszy przygotowywała zupę dyniową z imbirem i mleczkiem kokosowym. Przepis brzmiał przepysznie i wydawał się łatwy jak kaszka z mleczkiem. Jednak kiedy się za niego zabrała, już na początku była gotowa wszystko rzucić, bo dynia nie dawała się tak łatwo kroić, jak obiecywał autor przepisu. Przez chwilę walczyła z nią w kuchni i dźgała nożem do mięsa, niemal amputując sobie przy tym palce, jednak w końcu musiała się poddać. Zabrała

pomarańczową bulwę na dwór, położyła na pieńku przy stajni i rozczłonkowała ją za pomocą siekierki, a w kuchni dokończyła dzieła nożem.

— To przecież jakiś idiotyzm, żebym nie mogła dać sobie rady z głupią zupą dyniową — mruknęła pod nosem i wyłączyła mikser z końcówką do rozdrabniania. Niestety, również kartka z przepisem ucierpiała w gejzerze pryskającej zupy i Pia nie mogła odcyfrować, ile mleczka kokosowego powinna dodać.

Na zewnątrz zaparkował samochód, a kilka chwil później otworzyły się drzwi do domu i psy radosnym szczekaniem powitały Christopha.

— Żona przy garach! — zawołał ze śmiechem, kiedy wszedł do kuchni. — To chyba oznacza właściwy początek urlopu!

Pia odwróciła się w jego stronę i uśmiechnęła. Wciąż jeszcze, po ponad czterech latach, jej serce zaczynało bić szybciej na widok Christopha.

— Nie śmieję się ze mnie. Chciałam mieć już wszystko gotowe i zaskoczyć cię pyszną zupką. Według przepisu przygotowanie powinno być łatwe i miało zająć nie więcej niż dwadzieścia minut. Skończyło się tak, że w stosunku do dyni musiałam zastosować środki przymusu bezpośredniego, bo nie chciała dać się pokroić.

Christoph rozejrzał się po pobojuwisku, w jakie Pia zmieniła kuchnię. Z początku tylko się uśmiechał, ale po chwili nie mógł powstrzymać głośnego chichotu. Nie zważając na resztki mieszanki dyni z marchewką, wziął ją w ramiona i pocałował.

— Mmm! — Oblizwał sobie usta. — Ależ to pyszne!

— Brakuje jeszcze tylko mleczka kokosowego. I kolendry.

— Wiesz co? — Christoph wyjął jej z rąk mikser z końcówką do rozdrabniania. — Ja to szybko dokończę, a ty uprzątnij ze stołu i nakryj do kolacji.

— Och, panie małżonku, jakaż byłam spragniona tych uprzejmych słów!  
— Pia uśmiechnęła się szeroko, pocałowała męża i zabrała się za walkę z chaosem, który sama stworzyła swoim kulinarnym eksperymentem.

Piętnaście minut później siedzieli przy zastawionym stole, a zupa rzeczywiście smakowała wybornie. Pia wbrew swojej naturze gadała jak najęta i opowiadała Christophowi o błahostkach, byle tylko nie dać mu dojść do słowa: bała się, że zapyta, czy dziś znów była w pracy. Wciąż czuła się boleśnie rozdarta między pragnieniem spędzenia trzech tygodni w słońcu, z mężem przy boku, a paskudnymi wyrzutami sumienia, że zostawia szefa z trudną sprawą i niedoborami kadrowymi. Dręczył ją własny brak zdecydowania, bo przecież należała do osób, które nie odsuwają od siebie niewygodnych rozwiązań. Christoph z początku dał się nabrać na jej uniki, lecz nie na długo, bo w końcu i tak poruszył nieprzyjemny temat.

— Podjęłaś już decyzję? Lecisz ze mną czy zostajesz? — zapytał mimochodem, kiedy wspólnie sprząтали stół.

— Oczywiście, że lecę! — oburzyła się. — Walizki już spakowane.

— A złapaliście mordercę?

— Niestety. — Potrząsnęła głową. — Nie ma śladów, nie ma świadków, brak jakiegokolwiek motywu. Może po prostu znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze? Może rzeczywiście morderca nie jest w żaden sposób powiązany z ofiarą?

— Chcesz powiedzieć, że ona została zastrzelona z premedytacją?

— Całkiem możliwe. To co prawda dość rzadkie, ale jednak czasem się zdarza.

— Co teraz?

Pia zaczęła opróżniać zmywarke.

— Szef chce pójść z tym do prasy i poprosić o pomoc. Ma nadzieję, że zgłosi się ktoś, kto coś zobaczył. Więc, jak sam widzisz, nie ma żadnego

powodu, żeby tu zostawać — dodała radośnie, choć w głębi duszy wcale tak nie uważała. — Poza tym niewiele mnie interesuje, czy dadzą sobie radę beze mnie czy nie.

— WRACAM WŁAŚNIE Z WIESBADEN — oznajmiła doktor Nicola Engel i usiadła naprzeciwko Bodensteina, na jednym z krzeseł dla gości. — Byłam w centrali Krajowej Policji Kryminalnej i przez przypadek spotkałam się z szefem OFA, wydziału analizy operacyjnej. Zaproponował, że może w razie czego mógłby podesłać mi któregoś ze swoich ludzi. Wiesz, to byłoby wsparcie i świeży punkt widzenia.

— Aha. — Bodenstein zdjął okulary do czytania i spojrzał wyczekująco na swoją szefową. Nicola Engel nigdy nie spotykała nikogo przez przypadek, a użycie słów „w razie czego” było figurą retoryczną, żeby myślał, że w ten sposób pyta go o zdanie. Wiedział przy tym, że w rzeczywistości już dawno podjęła decyzję, oczywiście bez zasięgnięcia jego opinii.

— Andreas Neff jest doświadczonym analitykiem — ciągnęła. — Sporo czasu spędził w Stanach Zjednoczonych, gdzie poznawał najnowsze metody profilowania sprawców.

— Rozumiem — odparł Bodenstein. Myśl, że miałby pracować nad tą sprawą z kimś obcym, nie cieszyła go zbytnio, ale skoro Pia wyjeżdża na urlop, a Kathrin ma być jeszcze jakiś czas na zwolnieniu lekarskim, koniecznie potrzebował wsparcia.

— Rozumiesz? — zapytała Nicola. — Myślałam, że się ucieszysz?

Bodenstein spojrzał na przełożoną, z którą dawno temu był zaręczony. Zamyślił się. Wiele się zmieniło od wydarzeń, które dwa lata wcześniej doprowadziły do tego, że opierając się na bardzo poważnych zarzutach sformułowanych przez Franka Behnkego, musiał zatrzymać Nicolę i w konsekwencji doprowadzić do jej zawieszenia. Behnke utrzymywał, że



przed piętnastu laty w czasie jednej z akcji doktor Engel wydała mu polecenie likwidacji działającego pod przykrywką funkcjonariusza, żeby ten nie zdradził prawdy o powiązaniach kilku wysoko postawionych urzędników z szajką pedofilów. Aresztowanie ważnej kierowniczkii policji kryminalnej wywołało ogromne poruszenie i przyciągnęło uwagę mediów.

Doktor Nicola Engel nie poddała się bez walki i zaprzeczyła wszystkim oskarżeniom. W końcu opowiedziała Bodensteinowi, który w 1997 roku również pracował już we frankfurckim wydziale K11 i docierały do niego różne plotki, co się wówczas naprawdę wydarzyło i dlaczego z taką konsekwencją milczała. Bo w rzeczywistości to nie Frank Behnke był ofiarą spisku, a właśnie ona, a intryga sięgała najwyższych stanowisk politycznych. Kiedy Nicola stała się niebezpieczna dla decydentów, zaczęto ją szantażować, a potem przeniesiono do Würzburga. Wiedząc, że w niemieckim systemie prawnym morderstwo nigdy nie ulega przedawnieniu, Nicola Engel postanowiła czekać, aż sprawa przycichnie. I w końcu nadszedł odpowiedni moment.

Skutkiem jej zeznań złożonych przed komisją śledczą było samobójstwo emerytowanego sędziego i zastępcy komendanta głównego policji. Pozostali uczestnicy tamtych zdarzeń zostali aresztowani i dzięki ich zeznaniom po czternastu latach udało się ostatecznie wyjaśnić sprawę zabójstwa Erika Lessinga i dwóch członków frankfurckiego gangu motocyklowego Road Kings. Nicola Engel została oczyszczona z zarzutów i wróciła na swoje stanowisko, natomiast Frank Behnke za potrójne morderstwo został skazany na dożywocie.

Po powrocie do komendy regionalnej policji w Hofheim, której zarząd na czas jej nieobecności sprawował komisarycznie Bodenstein, doktor Nicola Engel wyjaśniła jemu i Pii, jak sprawy naprawdę wyglądały, i po długiej rozmowie gorąco im podziękowała za wyjaśnienie tej zaszłości. Nie dało się

nie zauważyć, że znacznie łatwiej jej było bez brzemienia, które dźwigała od piętnastu lat. Od tamtej chwili Nicola bardzo się zmieniła i zmienił się również jej styl współpracy z podwładnymi. Wysłuchiwała ich racji, pytała o zdanie, ba, była niemal przyjacielska.

— Wolałbym mieć swój zespół w komplecie — odparł Bodenstein i wyłączył komputer. — Ale może analityk to dobry pomysł? Jak dotąd poruszamy się po omacku, a od wczoraj nie posunęliśmy się ani o krok.

Nicola wstała, na co on również podniósł się z fotela.

— Masz wolną rękę — zapewniła go. — Jeśli potrzebujesz wsparcia, daj tylko znać, a ja zorganizuję zastępstwo dla twoich ludzi.

W tym momencie rozdzwoniła się komórka Bodensteina.

— Pewnie. — Skinął głową szefowej, która wyszła z biura, a on odebrał połączenie.

— Tato! — Rosalie krzyczała mu prosto w ucho. — Mama właśnie podrzuciła mi krasnalą, chociaż byłyśmy umówione dopiero na jutro!

— Nie jestem krasnal! — W tle słychać było oburzony protest Sophii, a Bodenstein nie mógł ukryć uśmiechu.

— Bądź cicho, okej? — Rosalie zganiła młodszą siostrę i wróciła do rozmowy z ojcem. — Musiała koniecznie jechać do Berlina, bo coś jej się pozmieniało w planach. A co ja teraz zrobię? Mam całą masę rzeczy do załatwienia, a przecież nie zostawię małej samej! Co mam zrobić...

— Spokojnie, będę w domu za pół godziny — przerwał córce Bodenstein. — Wezmę Sophię, a ty będziesz wolna.

Zdjął płaszcz z wieszaka w garderobie, sięgnął po teczkę i wyłączył światło. W drodze do samochodu otworzył kontakty i wybrał numer do byłej żony. Typowe! Cała Cosima. Układając swoje plany i realizując spontaniczne pomysły, nigdy nie przejmowała się innymi. Ani nim, ani dziećmi.

PIA ODŁOŻYŁA brzęczący telefon, bo na ekranie ukazała się informacja, że to połączenie z zastrzeżonego numeru. O wpół do ósmej wieczorem mogło to oznaczać, że to albo ktoś obcy, albo centrala policyjna. Za dwadzieścia cztery godziny będzie siedziała w samolocie do Ekwadoru. Taką podjęła decyzję i nie miała najmniejszego zamiaru pozwalać, by ktoś lub coś zmieniło jej postanowienie.

— Nie odbierzesz? — zapytał Christoph.

— Nie.

Nakarmiła już konie i chciała umościć się wygodnie na kanapie, żeby z mężem obejrzeć jakiś film na DVD, opróżniając przy tym przynajmniej jedną butelkę wina.

— Wybrałeś już film?

— Co powiesz na *Najpierw strzelaj, potem zwiedzaj*? — zaproponował Christoph. — Dawno go nie widzieliśmy.

— Nie, błagam, coś bez broni i zabijania — jęknęła Pia.

— W takim razie chyba nic z naszej wideoteki. — Christoph się roześmiał. Mimo uczucia, jakim darzył swoją ukochaną, nie dało się go namówić na oglądanie takich filmów, jak *Stalowe magnolie* czy *Diabeł ubiera się u Prady*. Dlatego zanim znalazł jakiś mecz czy śmiertelnie nudny program dokumentalny, Pia włączyła Jamesa Bonda. Ten film zawsze dobrze się oglądało.

Telefon odezwał się ponownie.

— Odbierz w końcu — poradził Christoph. — Chyba ktoś ma jakiś ważny interes do ciebie.

Pia westchnęła, sięgnęła po komórkę i odebrała połączenie.

— Pani Kirchhoff, przepraszam, że przeszkadzam — usłyszała głos dyżurnego. — Wiem, że ma pani urlop, ale nie mogę dodzwonić się do nikogo z K11. Mamy zwłoki. W Oberursel tym razem.

— Niech to szlag — mruknęła Pia. — Co z Bodensteinem?

— Nie zgłasza się. Będę próbował do skutku.

— Dokąd mam jechać? — Zadając to pytanie, spojrzała na Christophę i wzruszyła ramionami, żeby pokazać mu, że tego nie chciała.

— Ulica Heide 12 w Oberursel. — Dyżurny podał jej adres. — Technicy są już w drodze.

— Dziękuję.

— Ja również. — Mężczyzna miał na szczęście dość rozsądku, żeby nie życzyć jej miłego wieczoru, bo ten na pewno miło się nie zapowiadał.

— Co się dzieje? — zapytał Christoph.

— Mogłam nie odbierać. — Pia wstała z kanapy. — Mamy zwłoki. Tym razem w Oberursel. Wybacz, naprawdę. Mam nadzieję, że szef niedługo przyjedzie na miejsce i mnie zmieni.

BODENSTEIN NIE POSIADAŁ SIĘ Z RADOŚCI, że nie gra już żadnej większej roli w chaotycznym życiu byłej żony. Potrzebował kilku lat, żeby przyznać w końcu, że ustawiczne zmiany planów nie są „podniecające”, tylko paskudnie wyczerpujące i frustrujące. Cosima zmieniała ustalenia, których tygodnie wcześniej zobowiązała się dotrzymać, ot, tylko dlatego, że coś strzeliło jej do głowy. Oczekiwała przy tym, że wszyscy dookoła bez słowa sprzeciwu zaakceptują jej nowy pomysł. Elastyczność i spontaniczność, czyli dwie cechy, które chwaliła jako wyjątkowo pozytywne, w oczach Bodensteina oznaczały brak umiejętności zorganizowania sobie życia.

— Chciałam wezwać taksówkę, ale powiedzieli, że najwcześniej podstawią mi jakąś za godzinę — powiedziała Cosima, kiedy Bodenstein zaparkował przy kompleksie Zauberberg w Ruppertshain i zapakował jej walizki do bagażnika. — Chyba sobie kpią!

— Gdybyś wczoraj zamówiła taksówkę, już dawno byłabyś w drodze —

odparł i zamknął klapę bagażnika. — Wzięłaś wszystko?

— O rany, moja torebka! Miałam ją ze sobą, prawda? Widziałeś ją? —  
Ponownie otworzyła klapę bagażnika. Bodenstein wsiadł za kierownicę i odwrócił się do młodszej córki, która siedziała w swoim foteliku.

— Jesteś przypięta? — upewnił się.

— No pewnie! Bułka z masłem! — odparła Sophia.

— Mam! Znalazłam! — krzyknęła Cosima i zatrzasnęła bagażnik, a potem wsiadła obok Olivera. — Co za szaleństwo! Urwanie głowy!

Bodenstein powstrzymał się od komentarza, uruchomił silnik i ruszył. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniały.

Przez większą część drogi Cosimie nie zamykały się usta. Jechali przez Fischbach i Kelkheim. Zamilkła dopiero, kiedy zjechali z B8 przy centrum handlowym Main-Taunus na A66 w kierunku Wiesbaden. Bodenstein spojrzał w prawo i dojrzał w ciemności światła gospodarstwa Pii, gdzie mieszkała ze swoim partnerem. Być może specjalista do spraw identyfikacji psychologicznej, którego naraiła mu Nicola, rzeczywiście na coś się przyda i pomoże zakończyć obecne śledztwo. Mimo to bez Pii, Cema i Kathrin czuł się zagubiony. Przez całą karierę w policji kryminalnej miał do czynienia z niewielką liczbą spraw, których nie dało się wyjaśnić. Tym razem miał niedobre przeczucie, że akta śledztwa dotyczącego morderstwa Ingeborg Rohleder powędrują pewnego dnia do archiwum w kartonie opisanym jako „cold case”, bo wyjątkowo rzadko zdarzało się, by materiał dowodowy był aż tak ubogi jak tym razem.

— Daleko jeszcze? — zapytała Sophia z tylnej kanapy.

— Nie, już zaraz będziemy — odpowiedział i włączył prawy migacz. Kilka minut później zobaczyli przed sobą światła frankfurckiego lotniska. Niezliczoną ilość razy odwoził tu Cosimę, kiedy ruszała w jakąś podróż czy na spotkanie. Drogę znał na pamięć. Jak zawsze wieczorem przed budynkiem

lotniska kłębiły się tłumy podróżnych, lecz do nich uśmiechnęło się szczęście, bo ledwie podjechali pod terminal, zwolniło się miejsce do wysadzania pasażerów tuż przed salą odpraw. Bodenstein wysiadł, poszedł po wózek na bagaż i wypakował walizki byłej żony, podczas gdy ona żegnała się z córką.

W końcu stanęli naprzeciwko siebie.

— Trochę jak dawniej, co? — Cosima uśmiechnęła się nieco zawstydzona.  
— Wesołych świąt, Oliver. I dziękuję za wszystko.

— Nie ma sprawy — odparł Bodenstein. — Tobie też wesołych świąt. Odezwę się w Wigilię, wszyscy będą u mnie.

— Też chciałabym tam być — odparła Cosima. Wprawiała go tym wyznaniem w konsternację. Westchnęła. Nie wyglądała na szczęśliwą. Gorączkowa euforia, która ogarniała ją za każdym razem, kiedy ruszała w jakąś podróż lub zamierzała realizować od dawna planowany projekt filmowy, ulotniła się gdzieś niepostrzeżenie.

Nagle przysunęła się do Bodensteina i objęła go. Po raz pierwszy od kilku lat poczuł jej dotyk — dziwnie znajomy dotyk. I wciąż używała tych samych perfum.

— Brakuje mi ciebie — wyszeptała i pocałowała go w policzek, a w następnej chwili odwróciła się na pięcie, chwyciła rączkę wózka na bagaże, przesłała całusa Sophii i weszła do hali odlotów. Bodenstein odprowadził ją wzrokiem. Nie rozumiał, co się przed chwilą wydarzyło. W końcu zamknęły się szklane drzwi, a ona zniknęła pośród tłumu podróżnych.

PROWADZONA PRZEZ NAWIGACJĘ satelitarną Pia szybko dotarła pod podany adres. Kiedy zobaczyła, co się tam dzieje, zrozumiała, że czeka ją długi wieczór, bowiem wąska ślepa uliczka na skraju miejscowości

wyglądała jak teren manewrów policji i służb ratowniczych: wzdłuż krawężników parkowały radiowozy, karetki i wozy straży pożarnej. Szybko dostrzegła również busa techników zabezpieczających ślady i samochód jednostki interwencji kryzysowej. Bezgłośnie migotały błękitne światła. Pia zaparkowała za ciemnym porsche na frankfurckich numerach i ruszyła lekko zaśnieżonym chodnikiem w stronę błękitnego volkswagena busa, który stał niedaleko z otwartymi drzwiami.

— Dobry wieczór — przywitała kolegów, którzy ubierali się już w kombinezony jednorazowe i rozpakowywali sprzęt wykorzystywany na miejscach zbrodni.

— Cześć, Pia. — Z samochodu wyskoczył Christian Kröger.

— Co się tu dzieje? — zapytała.

— Jakaś kobieta została zastrzelona — wyjaśnił Christian. — Wnuczka stała obok ofiary, kiedy to się stało. Jej córka też jest na miejscu. I córka, i wnuczka są w szoku. W tej chwili zajmuje się nimi nasz psycholog.

To nie zapowiadało niczego dobrego. Raczej coś bardzo, bardzo złego.

— Kim jest denatka?

— Margarethe Rudolf, sześćdziesiąt cztery lata. Jej mąż to lekarz. — Kröger wciągnął kaptur. — Właśnie przyjechał medyk sądowy. Dwójka moich ludzi pracuje na górze. Ja zostanę na zewnątrz, zanim śnieg i ciekawscy sąsiedzi zniszczą nam ślady.

Podniósł dwie metalowe walizki.

— Na zewnątrz? Jakie ślady chcesz zabezpieczać? — Pia spojrzała na niego zaskoczona. — Myślałam, że do postrzału doszło w domu?

— I owszem, kobieta była wtedy w kuchni — potwierdził Kröger. — Ale sprawca strzelał z zewnątrz, przez okno. Trafienie w głowę, duży kaliber. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to wygląda na to, że gość uderzył właśnie po raz kolejny. Teraz wybaczone, ale muszę się spieszyć.

Pia pokiwała głową i nabrała głęboko powietrza. Zatem nie chodziło o dramat rodzinny, tylko prawdopodobnie o coś znacznie gorszego. Pośród padającego śniegu spojrzała na starą willę. Co ją tam czekało? Na co powinna się przygotować? I przede wszystkim, dlaczego, do cholery, w ogóle odebrała ten telefon?! Mogła teraz leżeć wygodnie na kanapie przytulona do Christopha i oglądać film. A jednak wygrało jej przekłete poczucie obowiązku, przez które wylądowała na miejscu zbrodni. Po chwili zmusiła się do działania. Ruszyła brukowanym chodnikiem w stronę wejścia do domu.

— Dokąd mam iść? — zapytała jednego z funkcjonariuszy, który pilnował holu.

— Prosto, a potem w prawo, do kuchni — odparł mężczyzna. — Córka i wnuczka ofiary są na miejscu. Mąż ofiary to profesor Dieter Rudolf, jeszcze nie wrócił do domu. Nie informowaliśmy go o tym, co się wydarzyło. Mam nadzieję, że to pozwoli się pani przygotować.

— Dzięki — powiedziała Pia. Uczucia, które towarzyszyły jej, kiedy oglądała jakieś anonimowe miejsca zbrodni, były całkiem inne niż te, kiedy musiała przy okazji spotkać się z zaszokowaną rodziną ofiary. Cieszyła się, że zespół interwencji kryzysowej z psychologiem w składzie zajął się dziewczynką i jej matką.

— Dobry wieczór — powiedziała, wchodząc do kuchni.

— Dobry wieczór — odparł Frederick Lemmer i uniósł wzrok.

— Śmierć nastąpiła mniej więcej godzinę temu — zaczął medyk. — Pocisk trafił ją z prawej strony w głowę. Musiała się akurat obrócić w lewo. Wszedł z drugiej strony, na tej samej wysokości, i przebił szafkę kuchenną. Moim zdaniem to ten sam kaliber co wczoraj.

Kobieta leżała na plecach. Miała na sobie biało-niebieski fartuch kuchenny, a pod nim brązowy sweter i wehianą kamizelkę. Rysy twarzy denatki były



zmienione do tego stopnia, że nie dało się ich rozpoznać, tak niszczycielskie działanie miał pocisk mordercy. Krew i tkanka mózgowa pokrywała szafki i nawet na suficie widać było jej rozbryźnięte fragmenty. Pia od dawna zajmowała się w pracy morderstwami, a na licznych kursach i szkoleniach uczyła się radzić sobie z takimi obrazami i uodpornić się na nie, lecz na widok torebki mąki, którą ofiara wciąż jeszcze trzymała w lewej dłoni, musiała głośno przełknąć. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Na blacie pod oknem zobaczyła cukier, masło, jajka, posypkę czekoladową i wiórki kokosowe, miskę, mikser i blaszane foremki — choinki, zwierzątka i gwiazdki.

— Zabierała się akurat za robienie pierników — powiedziała Pia głucho. Rosła w niej złość. Jak zimne serce musiał mieć morderca, by posunąć się do czegoś takiego tuż przed świętami i to przy dziecku?

Gdzieś z wnętrza domu dobiegł dźwięk telefonu, lecz nikt nie odbierał.

— Skończyliście już? — Pia spojrzała na techników od zabezpieczenia śladów.

— Tak, zwłoki są już sprawdzone — potwierdził jeden z nich.

— A pan, doktorze?

— Ja również nie mam tu nic więcej do roboty — odparł doktor Lemmer, po czym zamknął swój neseser i wstał.

— W takim razie proszę zadbać o to, by zwłoki zostały jak najszybciej przetransportowane do Instytutu — poleciła Pia. — I jeszcze dzisiaj przyślijcie ekipę sprzątającą. Ta rodzina dość przeszła, żeby z tym zwlekać.

— Oczywiście — zobowiązał się jeden z techników. — Zaraz przyślę ludzi z transportu, bo czekają już na dworze.

Pia została sama w kuchni. Przyglądała się brakującej szybie w drewnianej ramie skrzynkowego okna. Przez otwór wpadało do środka chłodne powietrze. Śmierć przyszła w ułamku sekundy. Margarethe Rudolf niczego

nie czuła — ani strachu, ani bólu. W jednej chwili żyła, a w następnej była już martwa. Tylko że to wszystko musiała oglądać jej wnuczka.

Pia spojrzała na zegarek. Wpół do dziewiątej. Gdzie ten Bodenstein?

Musiała pójść porozmawiać z dzieckiem i jego matką, choć najchętniej by tego nie robiła. Jednak nie mogła odkładać rozmowy w nieskończoność.

Na zewnątrz zrobiło się głośno. Pia wyszła z kuchni. Na korytarzu zobaczyła szczupłego siwego mężczyznę w ciemnym płaszczu, który usiłował minąć dwóch policjantów zagradzających mu drogę.

— Przepuście mnie! Natychmiast! To jest mój dom! — protestował wzburzony. — Co się tu w ogóle dzieje?

Pia ruszyła w jego stronę. Funkcjonariusze odsunęli się na jej widok.

— Pan Rudolf?

— Tak, to ja. Kim pani jest? Co tu się dzieje? I gdzie jest moja żona?

Pracownicy kostnicy weszli do domu z metalowym pojemnikiem do transportu zwłok i zatrzymali się taktownie.

— Pia Kirchhoff, jestem policjantką, policja kryminalna Hofheim — przedstawiła się. — Czy moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy...

— Najpierw chcę wiedzieć, co się tu właściwie dzieje! — Profesor przerwał jej podniesionym głosem, a w jego oczach skrytych za okularami w złotych oprawkach pojawił się strach. — Na zewnątrz stoi samochód mojej córki! Gdzie ona jest?

W drzwiach salonu stanęła kobieta o ciemnoblonde włosach. Pia oceniła, że musiała mieć od czterdziestu do czterdziestu pięciu lat. Miała przerażoną minę, błyszczące od łez, szkliste oczy i puste spojrzenie wywołane zastrzykiem uspokajającym albo szokiem, w którym musiała się znajdować.

— Karoline! — zawołał profesor Rudolf i precyzyjnie się obok Pii. — Co się stało? Dlaczego nikt nie odbiera telefonu?

— Mama nie żyje — odezwała się kobieta głuchym głosem. — Ktoś ją

zastrzelił... przez okno...

— JAK NA TO ZAREAGOWAŁ? — Dwadzieścia minut później Bodenstein chciał wiedzieć wszystko, co się wydarzyło przed jego przybyciem. Spóźnienie wyjaśnił problemem z najmłodszą córką, którą musiał oddać komuś pod opiekę.

— Jest kompletnie załamany. — Pia wciąż jeszcze była wstrząśnięta gwałtowną reakcją profesora Rudolfa na tragiczną wiadomość.

— Widział zwłoki żony?

— Niestety, nie dało się temu zapobiec. — Pia drżała z zimna. — Przepchnął się siłą i wpadł do kuchni. Czterech naszych musiało go odciągać od zwłok. Na szczęście była tu jego córka i powstrzymała go przed zamknięciem się w gabinecie. Jest w takim szoku, że mógłby sobie coś zrobić.

Stali na ulicy obok volkswagena techników, a śnieg padał coraz mocniej. Zwłoki zostały odtransportowane, w kuchni pracowała ekipa czyszcząca, karetki i wozy straży pożarnej odjechały. Na chodniku zostało tylko kilku ciekawskich sąsiadów, którzy, stojąc w świetle latarni, przyglądali się, jak córka ofiary wsiada do wielkiego porsche na frankfurckich numerach. Za poradą psychologa nie zgodziła się, by Pia porozmawiała z jej trzynastoletnią córką Gretą, naocznym świadkiem morderstwa. Pia zaakceptowała jej decyzję. Zdawała sobie sprawę, że nastolatka i tak niewiele mogłaby jej pomóc, bo też nie widziała niczego ważnego dla śledztwa.

— Zostawiła ojca samego — zauważyła Pia. — Dziwne.

— Może chciał być sam — odparł Bodenstein. — Każdy inaczej reaguje na taką tragedię. Poza tym dla małej będzie lepiej, jeśli ktoś ją stąd weźmie. Przy okazji, co się z nią dzieje?

— Przyjechał po nią ojciec. Rodzice nie są już razem, a on mieszka w Bad

Soden — wyjaśniła Pia. — Wysłałam już ludzi do wszystkich sąsiadów, żeby popytali, czy ktoś coś widział.

— Doskonale. — Bodenstein zatarł dłonie i wsunął je do kieszeni płaszcza.

Zbliżył się Kröger.

— Ustaliliśmy miejsce, z którego strzelał sprawca — powiedział. — Chcecie zobaczyć?

— Pewnie. — Bodenstein i Pia ruszyli za nim dookoła działki, na której stała willa ofiary. Dokładnie na jej granicy zaczynał się las. Na jego skraju stała budka transformatorowa, której dach został oświetlony reflektorami i osłonięty namiotem.

— Leżał tam, na górze. — Christian wskazał na budkę. — Na szczęście udało się rozstawić namiot, zanim zaczęło padać, bo śnieg zniszczyłby ślady. A tak mamy na dachu mech z odciskiem ciała leżącego człowieka. Tym razem również użył dwunogu.

— Możemy tam wejść? — zapytał Bodenstein.

— Oczywiście. Wszystko już mamy zabezpieczone. — Kröger potaknął i wskazał na drabinę opartą o ścianę budki. Pia wspięła się za szefem na górę. Przykucnęli obok siebie i popatrzyli na dom ofiary. Latem zasłaniał go bukowy żywopłot, lecz zimą nagie gałęzie pozwalały zajrzeć w każde okno.

— Idealne miejsce, bez dwóch zdań, ale też raczej trudne do znalezienia — zauważył Bodenstein. — Musiał dobrze sprawdzić okolicę.

— Strzał padł z około sześćdziesięciu metrów — wyjaśnił Kröger, kiedy Pia i Bodenstein ponownie znaleźli się na ziemi. — Później oddalił się albo drogą między ogrodami i skrajem lasu na parking centrum edukacyjnego urzędu pracy, albo ominął szlaban i ruszył w stronę hotelu Heidekrug. Od zeszłej niedzieli do końca stycznia hotel jest zamknięty, więc nikt nie zauważyłby zostawionego tam samochodu. A stamtąd miałyby tylko kilka

sekund do trasy na Königstein, którą można dojechać do B455. Idealna droga ucieczki. Mógł zostać zauważony tylko przez przypadkowych spacerowiczów.

— Do jakiego stopnia jesteś przekonany, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą, co poprzednio? — zapytał Bodenstein.

— Jestem tego niemal pewny — odparł Kröger. — Kula, którą wyciągnęliśmy z szafki kuchennej, była tego samego kalibru. Tak samo jak wczoraj nie znaleźliśmy łuski. Musiał ją wziąć ze sobą, żeby nie zostawiać śladów.

Powoli ruszyli w stronę samochodów.

— Zaczynam mieć coraz większą pewność, że on to starannie zaplanował — mruknęła Pia.

— Nie tylko ty. — Bodenstein przyznał jej rację i zamyślił się. — Ta kobieta nie mogła być przypadkową ofiarą. Wiesz co, chodź, spróbujemy porozmawiać z profesorem. A jutro zajmiemy się wnuczką.

*Na parkingu przed centrum handlowym Seerose niewiele się działo. Wszystkie sklepy poza supermarketem, dyskontem i piekarnią miały być jeszcze przez godzinę zamknięte, a pracownicy biur położonych w sąsiedztwie najczęściej pojawiali się po zakupy w przerwie obiadowej albo dopiero wieczorem. Wcześniej rano przychodzili tu głównie emeryci albo ludzie zdążający do Frankfurtu do pracy, żeby kupić szybko coś na śniadanie i wypić poranną kawę. Odczekał cierpliwie swoje w kolejce przed kasą piekarni i nawet przepuścił jedną osobę, bo koniecznie chciał być obsłużony przez miłą młodą Turczynkę, która codziennie pracowała na pierwszej zmianie. W przeciwieństwie do swoich małomównych koleżanek ona zawsze była w dobrym humorze. Również teraz żartowała radośnie z dwoma robotnikami w pomarańczowych kombinezonach, którzy bezmyślnie zaparkowali śmieciarkę, blokując kilka miejsc parkingowych naraz. Któż mógłby zgadnąć, co tak naprawdę myślała?*

*— Dzień dobry! — powitała go równie czarującym, co sztucznym uśmiechem. — To samo co zwykle? Chleb wiejski krojony?*

*Dobra sprzedawczyni znała zwyczaje swoich stałych klientów.*

*— Dzień dobry — odparł. — Tak, poproszę. I jeden precel, ale taki z dużą ilością soli.*

*Chleb robi się czerstwy, jak wszystkie bochenki, które kupił tu przez ostatnich kilka tygodni. Nie z powodu pieczywa odwiedzał piekarnię, ale o tym nie mogła mieć pojęcia.*

*— Już podaję! — Niesforny kosmyk wysunął się spod gumki spinającej włosy w koński ogon i zatrzymał się zwinięty w loczek na jej czole. Miała symetryczną, proporcjonalną twarz, pełne usta i bardzo białe zęby. Piękna młoda kobieta. Nieco zbyt mocny makijaż, jak na jego gust, tym bardziej że*

w ogóle go nie potrzebowała. Przede wszystkim jednak była bardzo ułożoną osobą o silnych przyzwyczajeniach i stałym planie dnia, co ułatwiało mu zadanie.

— Jakież wakacje między świętami a sylwestrem? — zapytał uprzejmie, kiedy pakowała jego zamówienie.

— Niestety, nic z tego. — Skrzywiła się ze smutkiem, lecz uśmiech błyskawicznie powrócił jej na twarz. — Ale za to tuż po Nowym Roku jedziemy na urlop, więc przez trzy tygodnie będzie pan musiał dawać sobie radę beze mnie.

Tymi dwoma zdaniem skróciła sobie życie o przynajmniej trzy dni. Właściwie planował podarować jej jeszcze święta i sylwestra, lecz jej wyjazd na urlop zmuszał go do nieznaczącej zmiany planów. Ten margines błędu miał już jednak wliczony.

— To wielkie wyzwanie dla mnie, ale mam nadzieję, że dam radę. — Na podkładce położył dziesięć euro i uśmiechnął się, bo wiedział, że nie mogła dostrzec dwuznaczności jego słów.

— W takim razie do zobaczenia jeszcze kilka razy. — Z kokieteryjnym uśmiechem podała mu papierową torebkę z chlebem i jeszcze ciepły precel, a potem wydała resztę.

— Do jutra! — Z udawaną serdecznością puściła do niego oko i z uśmiechem przywitała kolejnego klienta. Jej otwartość nie dotyczyła konkretnie jego. Lecz nawet gdyby z nim flirtowała, i tak by jej to nie pomogło.

PIA KIRCHHOFF wyszła spod prysznicza i sięgnęła po ręcznik. Piętnaście minut temu Christoph ruszył w drogę. Wychodząc, miał ze sobą jedną walizkę i zapewniał ją, że nie powinna robić sobie wyrzutów i martwić się o niego, bo Antonia ze swoim chłopakiem Lukasem odbiorą go późnym

popołudniem z pracy i zawiozą na lotnisko, a potem odprowadzą jego samochód pod dom.

— Oczywiście, że cię rozumiem — powiedział poprzedniego wieczoru.  
— Na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

Christoph od kilku dni wiedział, że poleci sam. Henning również przewidział takie rozwiązanie. W gruncie rzeczy, pomyślała Pia, Christoph, jej były mąż i ona byli ulepieni z tej samej gliny: każde z nich miało pracę, którą kochało i w którą angażowało się bez reszty. Wcześniej, jeszcze kiedy była związana z Henningiem, często się denerwowała, że praca jest dla niego ważniejsza niż życie prywatne. Henning nie życzył sobie, żeby pracowała, więc długie dni i tygodnie spędzała samotnie w ich mieszkaniu w Sachsenhausen albo przesiadywała wieczorami i podczas weekendów w jednej z sal sekcyjnych Instytutu Medycyny Sądowej, żeby dzięki temu częściej widywać się z mężem. Impulsem, który utwierdził ją w decyzji o rozwodzie, były wydarzenia z marca przed ośmioma laty, kiedy w Austrii zdarzył się wypadek kolejki linowej. Henninga tak bardzo pochłaniała praca, że zapomniał się z nią nawet pożegnać. Wyprowadziła się wtedy z mieszkania, lecz on zauważył jej nieobecność dopiero dwa tygodnie później. Kupno gospodarstwa, w którym teraz mieszkała, i powrót do swojej dawnej pracy w policji kryminalnej uważała za dwie najważniejsze i najlepsze decyzji w życiu. Pragnęła wolności i obiecała sobie solennie, że nigdy już nie będzie ograniczała swoich pragnień. Później spotkała Christopha i w mgnieniu oka zatoneła w jego czekoladowobrązowych oczach. To była miłość od pierwszego wejrzenia, choć Christoph miał równie wielkiego bzika na punkcie swojej pracy co jej poprzedni mąż. Różnica między nimi polegała jednak na tym, że ona nie siedziała już beczynn timer domu. Rozwijala się, robiąc to, co kochała, i wyjątkowo rzadko uważała pracę za przykry obowiązek, za to regularnie miewała dość wolnego czasu,



by wrócić wcześniej do domu i zająć się końmi i całym gospodarstwem. Kiedy jednak zdarzały się sytuacje takie jak ta, Christoph nie robił jej wyrzutów, że spędza w pracy dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pii również przez myśl by nie przeszło suszyć mu głowę za chwilę, kiedy jego obecność w zoo po godzinach pracy była konieczna. A bywało i tak, choćby ostatnio, bo w ogrodzie zoologicznym stawiano nową słoniarnię i potrzebowano go na miejscu.

Pia wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze. Westchnęła ciężko.

Zgoda, wiedziała, że ją zrozumie, nie będzie rozczarowany i nie będzie robił wyrzutów, a jednak mimo jego wspaniałej reakcji czuła się przygnębiona. Po raz pierwszy obchodziliby Boże Narodzenie i sylwestra razem, jako mąż i żona. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że ona całe święta spędzi sama jak palec w swoim gospodarstwie, a Christoph wśród obcych.

Kiedy uściskał ją po raz ostatni, pocałował i wyszedł, Pia miała wrażenie, że zaraz pęknie jej serce. Szybko też zaczęła wątpić w słuszność swojej decyzji. Czy dwie zamordowane osoby, których ani nie знаła, ani nic dla niej nie znaczyły, mogły być więcej warte niż mąż, którego kochała ponad życie? Co będzie, jeśli przytrafi mu się coś złego? Jeśli jego samolot się rozbije albo zatonie statek? I już nigdy go nie zobaczy? Jak miałyby z tym żyć? Jak to znosić? Już teraz tak bardzo za nim tęskniła, że bolało ją serce. Jeszcze nigdy, od kiedy się poznali, nie musieli przeżywać aż tak długiej rozłąki.

Pia ubrała się i ściągnęła włosy w kok. Bodenstein jeszcze nie miał pojęcia, że podjęła decyzję, by zostać i wesprzeć śledztwo. Nikt od nich nie oczekiwał, żeby poświęcali urlopy na prowadzenie trudnych spraw, i też nikt, poza szefem, nie zdecydowałby się na taki krok. Wciąż jeszcze mogła zadzwonić do Christoph'a i oznajmić mu, że zmieniła zdanie i lecą razem. Wyłączyła światło w łazience i zeszła na dół. Jej telefon leżał na stole

w kuchni. Wystarczyło wziąć go do ręki i wybrać numer.

Wtedy przed oczyma stanął jej obraz z wczoraj, mąż zamordowanej i jej córka. I Renate Rohleder. Załamanie, przerażenie. Pia nie mogła przestać myśleć o dziewczynce, która widziała, jak kula snajpera rozsadza głowę jej babci. Niech to szlag.

ŚWIETLICA ZA DYŻURKĄ na parterze lokalnej komendy policji w Hofheim była wypełniona do ostatniego miejsca. Poprzednik Nicoli Engel, dyrektor Nierhoff, z lubością wykorzystywał tę salę — największą w całym budynku — jako miejsce konferencji prasowych, które organizował przy każdej nadarzającej się okazji. Dziś rano odbywało się w niej spotkanie specjalnej grupy operacyjnej „Snajper”. Pomieszczenie zostało wyposażone w odpowiednią liczbę stołów, centralę telefoniczną, nieodłączne białe tablice do pisania, komputery, drukarki i faks. W środku siedziało i stało dwadzieścia pięć osób, funkcjonariuszy i funkcjonariuszek z różnych wydziałów i komisariatów oddelegowanych do wsparcia grupy operacyjnej. Poza nimi na spotkaniu obecna była doktor Nicola Engel jako szef policji kryminalnej prowadzącej sprawę, analityk operacyjny Andreas Neff z policji krajowej oraz niedobitki wydziału K11, Oliver von Bodenstein i Kai Ostermann.

Po bardzo oszczędnej w słowa informacji, którą jeszcze poprzedniego dnia Bodenstein rozesłał do prasy, gazety i portale informacyjne straszyły tytułami: JUŻ DWIE OFIARY TAJEMNICZEGO SNAJPERA! CZY W OKOLICY GRASUJE SZALONY ZABÓJCA?, a ludzie zaczęli się bać, co doprowadzało dyżurnych central alarmowych do szewskiej pasji, bo ciągle ktoś wydzwaniał nawet na telefony ratunkowe. Dlatego zapadła też decyzja o uruchomieniu gorącej linii. Ostermann wciąż miał problemy z mówieniem, więc Bodenstein przejął rolę prowadzącego i przedstawił zebrany aktualny

stan dochodzenia.

— W środę rano około ósmej czterdzieści pięć w okolicach Niederhöchstadt zastrzelona została siedemdziesięcioczeroletnia Ingeborg Rohleder — zaczął. — Dotychczas nie dysponujemy informacjami na temat motywu zbrodni. Morderca używa karabinu z amunicją .308 Winchester. To niestety bardzo popularny kaliber, więc nie ma możliwości ustalenia, gdzie i kiedy pociski zostały kupione. Z początku zakładaliśmy, że pani Rohleder była przypadkową ofiarą, jednak wczoraj o wpół do ósmej wieczorem w Oberursel kolejna osoba została zamordowana w ten sam sposób...

Rozległo się pukanie do drzwi i ktoś wszedł do środka. W sali rozległy się szepty.

— O, Pia! — przywitał ją Matuschek z wydziału przestępczości przeciwko mieniu. — Co ty tu robisz?

— Nie możesz bez nas żyć, co? — dodał ktoś inny.

Rozległy się śmiechy.

— Przecież masz urlop! — krzyknął następny.

Pia położyła plecaczek na stole, przy którym siedział Bodenstein.

— Czy moglibyśmy się umówić — powiedziała chłodno i potoczyła wzrokiem po zebranych — że na jakiś czas wyrzucimy ze słowników pewien wyraz rozpoczynający się na „u”?

Koledzy i koleżanki potaknęli w odpowiedzi, a Bodenstein, który z nerwów prawie nie spał w nocy, poczuł ulgę, bo zrozumiał, że Pia postanowiła jednak zostać.

— To jednak głupie — mruknął ktoś. — Harować zamiast poleżeć na plaży. U mnie by nie przeszło.

— I właśnie dlatego, kolego Probst, jesteś tam, gdzie jesteś — odparła Pia ostro. — I do samej emerytury będziesz pierdział w ten sam stołek.

Bodenstein spojrzał na Nicolę i dostrzegł na jej twarzy uśmiech

rozbawienia.

— Sorry, szefie, już nie przeszkadzam. — Pia skinęła głową Bodensteinowi i usiadła na krześle, które Ostermann pstryknięciem palców zarekwirował jednemu z obecnych funkcjonariuszy.

— Dziękuję — odparł Bodenstein i wrócił do omawiania statusu sprawy. W kilku słowach opisał przebieg obu zbrodni, a na koniec podsumował wszystkie informacje, jakimi policja dysponowała.

— Obie ofiary były kobietami na emeryturze. Jeśli natomiast chodzi o ich sytuację rodzinną, tam również trudno znaleźć jakiegokolwiek cechy wspólne czy podobieństwa — zakończył po kilku minutach. — Mąż drugiej ofiary jest lekarzem, a córka pierwszej kwiaciarką. Na razie to wszystko, czym dysponujemy.

— Bardzo dziękuję, kolego. — Komisarz Neff zabrał głos, nie czekając na zaproszenie. — To rzeczywiście bardzo niewiele, ale jednocześnie musimy wychodzić z założenia, że to wszystko, na co będziemy mogli liczyć. Oba morderstwa wyglądają mi jednoznacznie na przypadkowe działania strzelca. Zauważam również kilka podobieństw do sprawy, którą pomogłem rozwiązać w 2002 roku w Stanach Zjednoczonych. W październiku 2002 dwóch mężczyzn w ciągu trzech tygodni zastrzeliło dziesięć osób. Działali na terenie Waszyngtonu DC. Wybór ofiar był czysto przypadkowy. Zabijali tylko dla samej przyjemności zabijania.

— A to znowu kto? — zapytała Pia szeptem, podczas gdy Neff pewnym siebie głosem referował krwawą krucjatę Johna Allena Muhammada i Lee Boyda Malvo.

— Tajna broń z Wiesbaden — odparł Ostermann i przewrócił oczyma. — Uznali, że wsiowe głupki potrzebują wsparcia. No i dostaliśmy.

— To jest Andreas Neff, analityk operacyjny i specjalista w tworzeniu charakterystyki psychologicznej sprawców, z policji krajowej — wyjaśnił

Bodenstein, również szeptem.

— Przysłali nam profilera? — Pia zmarszczyła czoło. — A na co nam to dziwo?

Ostermann wzruszył ramionami.

— Doktor Engel podjęła taką decyzję — odparł Bodenstein. — Każda para rąk nam się przyda.

Pia poczekała, aż Neff skończy swój wywód.

— Przynajmniej od wczoraj jestem całkowicie przekonana, że sprawca nie wybiera ofiar przypadkowo — sprzeciwiła się jego głównej tezie. — Już sama charakterystyka miejsca wczorajszej zbrodni zaprzecza takim wnioskom. Dom ofiary znajduje się za wysokim żywopłotem na końcu ślepej uliczki. Sprawca musiał nie tylko znaleźć sobie wcześniej dobre miejsce do oddania strzału, ale też zaplanować drogę ucieczki. Między jego ofiarami musi być jakiś związek, nawet jeśli teraz nie potrafimy go dostrzec. Dlatego uważam, że powinniśmy dokładnie zbadać przeszłość i środowisko obu ofiar.

Neff wysłuchał jej z uśmiechem i potaknął.

— Zdecydowanie powinna się pani tym zająć — oznajmił. — Ja jedynie sformułowałem swoją ocenę sytuacji. Istnieje oczywiście jakieś prawdopodobieństwo, że się mylę, ale...

— Dziękuję za te wstępne analizy. — Bodenstein przerwał mu i wstał. — Pojadę teraz z koleżanką Kirchhoff porozmawiać z rodziną pani Rudolf. Jeśli ma pan ochotę, może pan nam towarzyszyć.

Następnie rozdzielił zadania pozostałym funkcjonariuszom i funkcjonariuszkom i zakończył odprawę. Kai Ostermann nie robił tajemnicy z tego, co sądzi o Neffie.

— Miłej współpracy z wszechwiedzącym — wychrypiął, za co Bodenstein zganił go ostrym spojrzeniem.

Pia nie miała nic przeciwko, żeby Neff im towarzyszył. Sama nie miała co

prawda żadnego doświadczenia ze współpracy z analitykiem operacyjnym, lecz nieraz słyszała, że tak zwani profilerzy potrafią dostrzec szczegóły, które nierzadko decydują o wyniku dochodzenia. Jedno było pewne: działali pod presją czasu. Sprawca mógł w każdej chwili uderzyć ponownie.

— ŚLED CZYM ODPOWIEDZIALNYM za dochodzenie często brakuje czasu na analityczną ocenę operacyjną, wiecie zapewne, jak to jest. I właśnie dlatego włączenie mnie do sprawy na tak wczesnym etapie było wyjątkowo rozsądnym posunięciem. — Komisarz Andreas Neff obszedł samochód służbowy Bodensteina i otworzył sobie drzwi pasażera, jakby było dla niego oczywiste, że pojedzie z przodu.

— Pan siada z tyłu — oznajmiła Pia i stanęła obok auta.

Neff obrzucił ją przelotnym spojrzeniem, po czym z uśmiechem wzruszył ramionami. Profiler z Wiesbaden był mikrym człowieczkiem, jeszcze kilka centymetrów niższym od Pii, o twarzy tak przeciętnej, że ledwie odrywało się od niej wzrok, już się o niej zapominało. Jednak niski wzrost w żaden sposób nie wpływał na jego pewność siebie.

— Widzi pani, droga koleżanko, ja już się przyzwyczailem, bo za każdym razem jest to samo. — Usiadł na tylnej kanapie. — Jako specjalista od analizy operacyjnej policji krajowej nie należę do żadnego zespołu na stałe. Jestem wysyłany tam, gdzie prace utykają w martwym punkcie i policja nie wie, co dalej. To oczywiste, że w takiej sytuacji nie spotykam się z sympatią, bo kto lubi się przyznawać do swoich błędów i braków?

Pia nie miała pojęcia, co ten człowiek sugeruje.

— Co jest za każdym razem tak samo? — zapytała.

— Mniej lub bardziej subtelnie sygnalizuje się mi, że nie jestem mile widziany — odparł. — Przez wiele lat badałem różne wzory ludzkich zachowań. Sam akt komunikacji tylko w ośmiu procentach składa się

z mowy, podczas gdy pozostałych dziewięćdziesiąt dwa procent to komunikacja niewerbalna, czyli mowa ciała. Analizując pani mowę ciała, mogę stwierdzić dużą niepewność wobec mnie. I tę niepewność, której prawdopodobnie nie jest pani w ogóle świadoma, odruchowo maskuje pani agresją. Takie zachowania często obserwuję u kobiet w mundurach, które już choćby z racji roli płci, ale i fizycznie, czują się gorsze. Koniec końców chodzi o to, że posadzenie mnie z tyłu i zajęcie miejsca z przodu ma być oznaką dominacji i ma wskazać mi miejsce w szeregu, jak również podkreślić moją podporządkowaną pozycję w grupie.

— Doprawdy? — Pię zatkąło. — Wcale nie czuję się gorsza fizycznie. Pewności również mi nie brakuje.

— A jednak brakuje — zapewnił ją Neff. — Ale ja doskonale znam takie reakcje i rozumiem takie zachowania. Bo widzi pani, kiedy ktoś taki jak ja bez przerwy obserwuje nawet najdrobniejsze detale i je analizuje, z czasem wyrabia w sobie wyjątkowe wyczucie zależności w zespołach. W porównaniu do USA jesteśmy zacofani, jeśli chodzi o kwestie równouprawnienia płci w policji. Tutaj mamy całe dziesięciolecia do nadrobienia.

Pia spojrzała na Bodensteina, który radośnie uśmiechnięty patrzył gdzieś przed siebie.

— Jednym słowem twierdzi pan, że siedzę z przodu dlatego, że czuję się niepewnie, czy tak? — Pia przerwała Neffowi kolejny wywód. — Czy może raczej jestem *per se* niepewna siebie, bo jestem kobietą?

— Obie odpowiedzi są poprawne.

Przez chwilę Pia myślała, że Neff żartuje, jednak mężczyzna z całą powagą pokiwał głową.

— Ta teza znajduje potwierdzenie również w potraktowaniu mnie z pozycji władzy i w tym, jak pani ją zademonstrowała. Sugestię, bym usiadł

z tyłu, sformułowała pani jako rozkaz, choć powinna była pani utrzymać ją w tonie grzecznej propozycji. Do tego przepchnęła się pani obok mnie i zagroziła mi pani drogę do auta, żeby werbalnemu rozkazowi dodać jeszcze fizycznej mocy.

— Akurat! — Pia pokręciła głową. — Teraz to pan pojechał po bandzie, nie ma co. Siedzę z przodu, bo w tym aucie nie ma nawigacji, a to ja znam drogę na miejsce zbrodni, nie pan. Poza tym ja zawsze siedzę z przodu.

— No proszę. — Neff się uśmiechnął. — Zawsze, powiada pani. Co mówi nam o pani to niewinne z pozoru zdanie oznajmujące i w jaki sposób świadczy o pani nastawieniu? Jest pani całkowicie nieelastyczna i niereformowalna. Kurczowo trzyma się pani utartych schematów, bo dają pani poczucie bezpieczeństwa. To z kolei jest dowodem na pani strach przed zmianami i nowościami. Mógłbym tę analizę pociągnąć znacznie dalej, ale może lepiej będzie, jeśli poprzestaniemy na tym, czego już się o pani dowiedzieliśmy.

Pia milczała, choć na końcu języka miała ciętą ripostę. Była zła, bo rzeczywiście niespodziewanie poczuła się bardzo niepewnie. Neff zdawał się brać jej milczenie za przyznanie mu racji i zaczął opowiadać o najnowszych metodach opracowywania profilów psychologicznych sprawców, które poznał, współpracując z FBI.

— Akurat w przypadku sprawców seryjnych morderstw można zauważyć określone wzorce typologiczne, które w ujęciu statystycznym można i należy powiązać ze zbiorem specyficznych cech socjoekonomicznych — pouczał ich z tylnej kanapy. — Swoje wnioski formułuję w oparciu o wiedzę kryminalistyczną dotyczącą poszlak, śladów na miejscu zbrodni i okoliczności popełnienia morderstwa. W tym kontekście muszę wyrazić głęboki żal, że w aktualnej sprawie miejsca zbrodni znam jedynie ze zdjęć. W normalnych warunkach wolę empirycznie poznawać ich charakter.



Bodenstein włączył kierunkowskaz i skręcił w ulicę Königsteiner Kreisel w kierunku Kronbergu. Kiedy mijali ogród zoologiczny, Pia przez kilka sekund walczyła z sobą, czy nie poprosić szefa, żeby się zatrzymał. Jeszcze nie było za późno, żeby wysiąść i polecieć z Christophem do Ekwadoru, i popłynąć na wyspy Galapagos, zamiast dawać się obrażać temu zarozumiałemu kurdupłowi.

— Przepraszam, jeśli przerwałam panu jakiś dłuższy wywód — zwróciła się do Neffa. — Ma pan może jakieś pytania? Wczoraj byłam na miejscu zbrodni, ledwie czterdzieści pięć minut po jej popełnieniu.

— Doskonale o tym wiem. Czytałem przecież akta sprawy — powiedział Neff lekko opryskliwym tonem. — Oczywiście, że mam pytania, ale sam je zadam. Jakkolwiek by patrzeć, należę teraz do zespołu.

Formalnie to może tak, pomyślała Pia. Miała poważne wątpliwości, czy kiedykolwiek uda mu się zintegrować z zespołem.

— Rozmowę z rodziną zamordowanej proszę pozostawić nam. — Po piętnastu minutach uporczywego milczenia Bodenstein w końcu zdecydował się włączyć do rozmowy.

— A to dlaczego? — zaprotestował Neff. — Muszę przecież...

— My prowadzimy śledztwo, a pan jest zewnętrznym analitykiem operacyjnym. To oznacza, że analizuje pan z zewnątrz czynności operacyjne, które wykonujemy my — spokojnie wyjaśnił mu Bodenstein, a za to, że Neff w końcu zamilkł, Pia była gotowa podziękować mu całusem.

MARGARETHE RUDOLF pochodziła z Oberursel i tam też spędziła całe życie. Piękna stara willa była jej rodzinnym domem, w którym zamieszkała z mężem zaraz po przedwczesnej śmierci jej rodziców. Podobnie jak Ingeborg Rohleder, Margarethe Rudolf należała do osób powszechnie lubianych i szanowanych. Udzielała się w swojej parafii i w klubie

sportowym, angażowała się w działania kulturalne, grała w brydża, prowadziła dyskusyjne spotkania czytelnicze i wspierała organizacje charytatywne. Pośród jej licznych znajomych na próżno było szukać kogoś, komu mogłoby zależeć na odebraniu jej życia, co kilkakrotnie podkreślali owdowiały mąż i córka. Oboje wciąż jeszcze nie otrząsnęli się z szoku, co w ich sytuacji było jak najbardziej zrozumiałe.

— Zaproponowałbym państwu kawę, ale... ale... ani córka, ani ja... nie jesteśmy jeszcze gotowi, żeby tam... — Profesor Dieter Rudolf, szczupły, siwy mężczyzna po sześćdziesiątce nie dokończył zdania. Nie musiał, bo i Pia, i Bodenstein rozumieli, co chciał powiedzieć. Wprawdzie poprzedniego wieczoru pracowała na miejscu ekipa czyszcząca miejsca zbrodni i w kuchni próżno by szukać śladów krwi, lecz to w żaden sposób nie umniejszało wstrząsu, jaki musiał wiązać się z wejściem do tego pomieszczenia.

Profesor zachowywał spokój, odpowiadając na wszystkie pytania, i podobnie jak córka, robił wszystko, by nie porzucić pozorów opanowania i normalności; dwoje ludzi przyzwyczajonych do kontrolowania swoich reakcji i otoczenia. Za to uwagi Pii nie umknęło to, że kobieta miała na sobie tę samą sukienkę co poprzedniego dnia; tej nocy Karoline nie zaznała zbyt wiele snu.

Dom został przygotowany i przyozdobiony na rodzinne święta. Na niewielkiej komódce stała cała kompania ręcznie rzeźbionych aniołków, tradycyjny drewniany krasnal z poźótkłą brodą służący za podstawkę do kadzidełek oraz wazon z gałązkami jodły udekorowanymi bożonarodzeniowymi ozdobami. Pośrodku potężnego stołu w salonie leżał elegancki wieniec adwentowy z czterema świecami, z których ostatnia nie miała nawet nadpalonego knota. W sięgającym sufitu oknie ze szprosami, z którego roztaczał się widok na zaśnieżony ogród, stały małe i duże gwiazdy betlejemskie w kolorze bieli i czerwieni.

Na zewnątrz, na zadaszonym tarasie potężna jodła kaukaska próżno czekała, by ktoś się nią zajął i ją przyozdobił. Nic w tym domu nie miało być już takie jak kiedyś. Ogromną tragedią jest strata kogoś bliskiego, kto odchodzi w sposób naturalny, na zawał serca czy z powodu ciężkiej choroby. Morderstwo jest wielekroć gorsze.

— Pani Albrecht... — zaczęła ostrożnie Pia — jeśli to możliwe, chciałabym również porozmawiać z pani córką Gretą.

— Co obiecuje pani sobie po takiej rozmowie? — Karoline Albrecht spojrzała na nią uważnie. — Na zewnątrz było już ciemno, a w kuchni świeciły żarówki. Nie mogła nikogo zobaczyć.

— Gdzie jest pani córka?

— U swojego ojca, z jego rodziną w Bad Soden. Znajome otoczenie i względna normalność to coś, czego obecnie potrzebuje najbardziej.

Zamilkła i zacisnęła usta. Ojciec dotknął jej ramienia, a ona położyła dłoń na jego dłoni. Mimo że siedzieli tuż obok siebie, wydawali się dziwnie zagubieni, zupełnie nie jak ludzie, którzy są sobie bliscy. Nieoczekiwana śmierć w rodzinie, a zabójstwo jeszcze częściej, sprawiały, że skłóceni członkowie rodziny zapominali o wzajemnych animozjach i wspierali się w trudnych chwilach. Czasem zdarzało się jednak, że rodzinna tragedia ożywiała tłący się gdzieś spór, a rodzina nie wytrzymywała tej próby i się rozpadała. Pia uznała, że w tej chwili nie będzie nastawała na rozmowę z Gretą. Krótkim skinieniem głowy dała znać szefowi, że może kontynuować.

— Czy zwrócił pan może uwagę na jakieś zmiany w zachowaniu żony? Może w ostatnich tygodniach coś pana zastanowiło? — zapytał policjant. — Zaobserwował pan jakieś niecodzienne sytuacje? Może pańska żona czuła się zagrożona?

— Nie. — Profesor potrząsnął głową. Sprawiał wrażenie nieobecnego.

Siedział wyprostowany, składając szczupłe i nadzwyczaj delikatne dłonie jak do modlitwy. Jego policzki pokrywał delikatny zarost, szklistymi oczyma wpatrywał się gdzieś przed siebie, a z jego miny trudno było cokolwiek wyczytać.

— Czy ostatnio pojawił się w państwa domu jakiś inkasent czy robotnik, którego pańska żona nie znała? Może ktoś z wodociągów odczytywać liczniki? — podpytywał ostrożnie Bodenstein. — Czy cokolwiek było inaczej niż zwykle?

Profesor zastanowił się przez chwilę, po czym zaprzeczył.

— Nie, nie zauważyłem niczego dziwnego ani podejrzanego.

— Czy mówi coś panu nazwisko Rohleder? Konkretnie chodzi o Ingeborg Rohleder — zapytała Pia. — Z Niederhöchstadt.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

— Nie — odpowiedział po kilku sekundach. — Przykro mi. Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

— Pani Albrecht, czy pani matka zwierzyłaby się pani, gdyby czuła się zagrożona albo gdyby w jej życiu zdarzyło się coś niepokojącego? — Bodenstein spojrzał na córkę zamordowanej. — Jakie relacje panie łączyły?

— Miałyśmy świetny kontakt. Świetny i serdeczny — wyjaśniła Karoline Albrecht. — Ja bardzo dużo pracuję, ale codziennie znajdowałam czas na rozmowę z mamą. Czasem to był tylko krótki telefon, a czasem godzina albo nawet dłużej... Ona jest... ona zawsze była moim drogowskazem i punktem odniesienia. — Kobiecie drżał głos, jednak wciąż zachowywała pełną kontrolę nad emocjami. — Ja... gdyby cokolwiek dziwnego się jej przydarzyło albo gdyby się czymś niepokoiła, na pewno bym o tym wiedziała.

Pia domyślała się, ile musi kosztować ją takie opanowanie. Oprócz żałoby po śmierci matki dochodziła jeszcze troska i niepokój o samopoczucie

i zdrowie psychiczne córki. Jednak w końcu zabraknie jej sił i cała rozpacz przeleje się przez tamy, które Karoline postawiła. Pia uważała, że i dla niej samej, i dla pani Albrecht będzie lepiej, żeby nastąpiło to jak najpóźniej, a na pewno nie teraz, bo zbyt emocjonalne zachowania bardzo utrudniłyby dalszą współpracę. Kobieta wstydziłaby się później swojego wybuchu, a to mogłoby nawet uniemożliwić kolejną rozmowę.

Bodenstein, Pia i Andreas Neff, który w czasie wizyty w domu zamordowanej rzeczywiście milczał jak zaklęty, zaczęli zbierać się do wyjścia. Karoline Albrecht wstała razem z nimi.

— Moja matka była kochaną, ciepłą kobietą, która nigdy nikomu nie wyrządziła krzywdy. Nikt nie miał powodu, żeby ją zamordować! — zakończyła nieartykułowanym dźwiękiem, pół śmiechem, pół szlochem. Jej ojciec również stracił panowanie nad sobą i zaczął płakać. — Tysiące ludzi znacznie bardziej zasłużyło sobie na tę kulę. Ona wcale!

W DRODZE POWROTNEJ Pia siedziała za kierownicą. Nie chciała jechać przy zoo, więc wcześniej skręciła w stronę Bommersheim. Stąd droga L3004 prowadziła prosto do węzła autostradowego na A66, na który wjeżdżało się ulicą Miquelallee, oszczędzając sobie tym samym przeciskania się przez centrum, ze wszystkimi skrzyżowaniami, światłami i kierowcami, którzy na letnich oponach pędzili nie więcej niż trzydzieści kilometrów na godzinę.

Dotychczas po rozmowach z bliskimi ofiar Bodenstein i Pia wymieniali się uwagami i przemyśleniami na temat ich odpowiedzi, zachowań i reakcji. Tym razem wieźli ze sobą Andreama Neffa, co mocno psuło im szyki, bo ledwie profiler zajął miejsce na tylnej kanapie, zaczął gadać jak najęty, rozkładając na czynniki pierwsze każde zdanie i każdy detal rozmowy. Pia miała wrażenie, że nie robi przerwy nawet po to, żeby nabrać powietrza.

— Matko jedyna, niechże pan przestanie nadawać, bo nie mogę się skupić!

— Policjantka w końcu nie wytrzymała i zareagowała złością. — Jeszcze za psychologa pan będzie robić?

— Nikt nigdy nie określił moich spostrzeżeń i analiz mianem „nadawania”. — Neff zrobił obrażoną minę. — Doświadczenie nauczyło mnie, że kognitywną zależność wszystkich spostrzeżeń najłatwiej dostrzec w sytuacji, jeśli wymiana uwag z pozostałymi obserwatorami nastąpi możliwie jak najszybciej.

— To niech pan sobie łaskawie wyobrazi, że myśmy to wykoncypowali już całe lata temu — wypaliła Pia. — Bardzo by nam pan pomógł, gdyby przez następnych dziesięć kilometrów trzymał pan buzię na kłódkę.

Zanim Andreas zdążył jej odpowiedzieć, rozdzwoniła się komórka Bodensteina. Policjant odebrał ją przez zestaw głośnomówiący, jednak kiedy zauważył, czyje nazwisko pojawiło się na wyświetlaczu, przełączył się na słuchawkę. Przez chwilę słuchał osoby z drugiej strony, mruknął kilka razy potwierdzająco, po czym bez pożegnania zakończył połączenie.

— Engel? — domyśliła się Pia.

— Yhm.

— I?

— Ostro.

— Hm?

— MSW.

— Prasa?

— Żeby tylko.

Po siedmiu latach współpracy Pia i Bodenstein byli niczym stare, dobre małżeństwo i nie potrzebowali wielu słów, by jedno rozumiało, co drugie ma do powiedzenia. W rozmowach posługiwali się często niemal telegraficznymi skrótami, jak większość ludzi, którzy spędzają dużo czasu razem.

— Czyżby celem tego szczątkowego sposobu komunikacji było celowe

utrudnienie mi śledzenia przepływu informacji? — dobiegł z tylnej kanapy oburzony głos Neffa.

— Absolutnie i w żadnym wypadku — zapewnił go Bodenstein, zaskoczony jego sugestią. — Zadzwoiła do mnie doktor Engel, żeby przekazać wyrazy zaniepokojenia przekazane jej z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które z troską obserwuje wzburzenie opinii publicznej po mających na celu wzbudzenie paniki publikacjach w prasie codziennej. W kilku słowach chodzi o to, że ministerstwo naciska na wyniki. Zadowolony?

— Hm. — Neff burknął coś niezrozumiale.

Pia spojrzała na zegarek na desce rozdzielczej. Szesnasta czterdzieści trzy. Christoph musi być w drodze na lotnisko. Nie zobaczy go już przez najbliższe trzy tygodnie.

— Jakoś dziwnie pusto, co? — Bodenstein wyrwał ją z zamyślenia. — Normalnie o tej porze człowiek tkwi w korku.

— Masz rację — potwierdziła Pia. — Nie mów, że myślisz, że to...?

— Dokładnie. — Bodenstein skinął głową.

— Nie mogę słuchać, jak ktoś tak kaleczy nasz piękny język — burknął Neff z tylnej kanapy.

— Serio? — Pia udała zaskoczoną.

— Łał! — Bodenstein wyszczerzył zęby.

Po czym oboje wybuchnęli śmiechem, choć nie mieli ku temu zbyt wielu powodów.

FUNKCJONARIUSZE, którzy w Oberursel i Niederhöchstadt podejmowali nieskuteczne próby znalezienia świadków i rozmawiali ze znajomymi i sąsiadami ofiary, wracali z pustymi rękoma i rosnącą frustracją, bo nie zdobyli żadnej informacji, która mogłaby być przydatna. Przez cały dzień

peregrynowali od drzwi do drzwi i za każdym razem odpowiedzią na ich pytania były pełne żalu potrząśnięcia głową. Telefony przychodzące na uruchomioną dla mieszkańców gorącą linię również nie przyniosły niczego ciekawego.

Profesor Rudolf nigdy wcześniej nie słyszał nazwiska Rohleder, natomiast Renate Rohleder nigdy wcześniej nie słyszała o Margarethe Rudolf. Jedyne, co zdawało się łączyć obie ofiary, choć w sposób dość luźny, to fakt, że były kobietami i matkami.

Wyniki badania miejsca zbrodni w Oberursel wniosły do śledztwa równie niewiele jak wyniki z Niederhöchstadt.

— Brak śladów na samym pocisku, brak łuski, brak odcisków stóp, brak jakichkolwiek informacji na temat sprawcy. — Tymi słowami Christian Kröger podsumował swój rozczarowujący raport.

— Ja, niestety, również nie mam dobrych wiadomości — zabrał głos Bodenstein. — Jak dotąd nie natrafiliśmy na żadne podobieństwa między ofiarami, nikt im wcześniej nie groził i nikt nie wydzwaniał z zastrzeżonych numerów. Wygląda to tak, jakbyśmy badali śmierć dwóch przypadkowych osób. Obawiam się, że jeśli nie dopisze nam szczęście, możemy mieć twardy orzech do zgryzienia. Ewentualnie możemy jeszcze liczyć na to, że morderca sam się ujawni.

W sali odpraw zapanowało milczenie.

— Mnie za to ta sprawa nie wydaje się aż tak beznadziejna jak moim przedmówcom — oznajmił Neff.

— Czemu mnie to nie dziwi — mruknęła Pia i przewróciła oczyma, widząc jak Andreas Neff wstaje, poprawia krawat i wygładza marynarkę.

— Otóż według mnie — zaczął mężczyzna — już w tej chwili wyraźnie widać jasny wzorzec postępowania. Sprawca działa co prawda przypadkowo, jednak w sposób starannie zaplanowany. Musimy założyć, że to bardzo



inteligentny człowiek, co prawda dość impulsywny, jednak świetnie panujący nad tą cechą swojego charakteru. Nie jest już pierwszej młodości, ale ma najwyżej trzydzieści kilka lat, bo dobrze biega i sprawnie się wspina. Również krystalizuje się wyraźnie schemat wyboru ofiary — to kobiety powyżej sześćdziesiątego roku życia. I mimo że analiza operacyjna nie jest ściśle powiązana z psychologią, a znacznie bardziej z kryminalistyką i kryminologią, jestem przekonany, że nasz sprawca to mężczyzna o silnie zakorzenionym kompleksie matki.

Uśmiechnął się zadowolony z siebie i spojrzał dookoła wyczekująco.

— A co nam to daje? — szepnął Pii na ucho Ostermann. — Mamy teraz zabronić kobietom po sześćdziesiątce wychodzić na dwór i nakazać im, żeby trzymały się z dala od okien?

Pia potrząsnęła głową i skrzywiła się lekko. Oby szefowa, która niestety opuściła wykład Neffa, by na korytarzu odebrać telefon, szybko się zorientowała, jakiego człowieka ściągnęła do współpracy. Pia słuchała go jednym uchem, bo czekała z nadzieją na jakąś wiadomość od Christopha.

— Z całym szacunkiem. — Z miejsca podniósł się Christian Kröger. — Ale to jakieś brednie. Dysponując tylko kilkoma ogólnymi informacjami, nie da się przygotować profilu sprawcy.

— Pan z całą pewnością tego nie potrafi. — Neffowi uśmiech nie schodził z twarzy. — Ja owszem. W FBI nauczyłem się...

— Ja również spędziłem dwa lata w Stanach Zjednoczonych i sporo się tam nauczyłem — przerwał mu niegrzecznie Kröger. — Przed wszystkim tego, że nie dysponując faktami, nie wolno wymyślać jakichś wyspanych z palca prognoz. Pełną analizę można sporządzić dopiero, gdy się podda ocenie wszystkie szczegóły.

— I właśnie o to zostałem poproszony — oznajmił Neff z zadowoleniem. — Żebym zachowywał dystans, bo wy macie tendencję do zagrzebywania się

w szczegółach.

Kröger zrobił się czerwony, a po sali przeszedł głośny szmer. Nawet jeśli Christian miał skłonność do zachowywania się jak primadonna, nikomu nawet przez myśl nie przeszło podważać jego kompetencje. Niesamowita skrupulatność i błyskotliwość w przeszłości nieraz już miały decydujące znaczenie dla wyników śledztwa.

— Dobrze, myślę, że na razie wystarczy. — Bodenstein zrozumiał, że Neff posunął się zdecydowanie za daleko, więc przerwał tę wymianę zdań.

— Kolego Neff, pana poproszę do siebie do biura. Pozostałym życzę miłego wieczoru. Proszę nie wyłączać telefonów. Jutro o dziesiątej rano widzimy się na kolejnej odprawie.

— U, la, la — szepnął Ostermann. — No to nasza wunderwaffe sobie nagabiła... nie zazdroścę...

— Nie tylko u Christiana. Ze mną też już ma na pieńku — dodała Pia. — Szkoda że taki z niego zadufany w sobie macho. Przydałby się nam prawdziwy profiler.

Kathrin Fachinger wyglądała, jakby uciekła grabarzowi spod łopaty. Jej delikatna, wąska twarz była blada i miała podkrążone oczy. Ciężkim krokiem weszła do sali odpraw i zaraz opadła na jedno z krzeseł.

— Uważaj, żeby nasz snajper nie odstrzelił ci głowy — zakpił Kröger. — Wyglądasz jak własna babcia.

— Lepiej sam popatrz w lustro. Też nie wyglądasz jak rusalka — warknęła Kathrin, nie kryjąc rozdrażnienia. — Przychodzę specjalnie, żeby wam pomóc, i pierwsze, co mnie spotyka, to obraza.

— Christian nie czepia się ciebie. — Ostermann wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. — Kpi z wunderwaffe Engel. Facet wczoraj przedstawił swoje wnioski.

— Kto to taki? — Kathrin kichnęła.

— Specjalista FBI z Wiesbaden — mruknął Kröger pogardliwie. — Wszystko umie, wszystko wie najlepiej, a zagadkę serii morderstw dokonanych przez snajpera w Waszyngtonie kilka lat temu rozwiązał praktycznie w pojedynkę.

— Andreas Neff, analityk operacyjny z policji krajowej. Ma być naszym wsparciem — dodała Pia. — Na razie przeanalizował oba morderstwa i jest pewien, że sprawca poluje na starsze kobiety.

— No ładnie, dzięki wielkie! — Kathrin posłała Krögerowi wściekłe spojrzenie.

Była najmłodszą funkcjonariuszką w wydziale K11, a przez drobną budowę ciała, dziecięcy typ urody i okulary w kanciastych oprawkach nie wyglądała na swoje dwadzieścia sześć lat. Jednak jej niewinny wygląd mylił, bo Kathrin była pewną siebie i nad wyraz odważną kobietą. To ona przed kilkoma laty postawiła się Behnkemu i zdecydowanie walczyła o swoje, aż

doprowadziła do jego zawieszenia.

— Co to w ogóle za jeden? — zapytała.

— Poczekaj, zaraz sama go poznasz — odparł Kai, wyglądając na parking przed budynkiem. — Dale Cooper dla ubogich nadciąga!

— W takim razie szybko zreferuję wam skąpe wyniki badań balistycznych — zdecydował Kröger i przekartkował dokumenty, które miał ze sobą. — Badanie pocisku potwierdziło, że został wystrzelony z tej samej broni co pierwszy. Niestety, broń nigdy nie była notowana, więc nie ma jej w systemie.

— Za to mamy jednoznaczne potwierdzenie, że oba morderstwa zostały popełnione przez tego samego sprawcę — zauważył Ostermann.

— Tego z kompleksem matki — dokończyła Pia.

— Babci. — Kröger puścił do niej oko i wyszedł z sali odpraw.

Pia wróciła myślami do Christopha. Wczoraj zadzwonił jeszcze przed samym wylotem. O tej porze musiał być już w Quito. Różnica czasu wynosiła sześć godzin, czyli u niego była czwarta nad ranem. Za wcześnie, żeby dzwonić. Mogła za to wysłać mu SMS-a, żeby wiedział, jak bardzo już za nim tęskni. Wczoraj po rozmowie rozpakowała swoją walizkę i zaraz poszła do łóżka. Ku swojemu zaskoczeniu po raz pierwszy od tygodni dobrze spała. Może to znak, że podjęłam dobrą decyzję, pomyślała.

Do sali odpraw wmaszerował Andreas Neff. Ciemne oczy, biała koszula i czarny krawat. Krótko ścięte ciemne włosy ułożone w perfekcyjną fryzurę, starannie wypolerowane czarne buty. W dłoni trzymał filiżankę kawy, którą musiał przygotować we wspólnej kuchni na końcu korytarza.

— Dzień dobry! — przywitał się dziarsko. Spojrzał na Kaia, Pię i zatrzymał wzrok na Kathrin. — O, kogóż my tu mamy?

— Kathrin Fachinger — wychrypiła kobieta. — Proszę się nie zbliżać, jeśli nie chce się pan zarazić.

— Nazywam się Neff, jestem z policji krajowej. — Popatrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym stracił zainteresowanie. — Domyślam się, że pani jest tu sekretarką?

Kathrin z wściekłości zmrużyła oczy.

Kai i Pia wymienili szybkie spojrzenia, po czym oboje odwrócili głowy, bo nie mogli powstrzymać uśmiechu. Jak widać, niektórzy nie omijali żadnej okazji, żeby się komuś narazić.

— Ale do rzeczy. — Neff zwrócił się do Ostermanna. — Wczoraj w nocy trochę jeszcze o tym myślałem. Przez święta nic więcej się nie wydarzy. Sprawca nie jest człowiekiem samotnym, ma...

— To moja filiżanka — przerwała mu Kathrin.

— ...rodzinę i całkiem możliwe, że gdzieś wyjechał. — Neff nie zwracał uwagi na młodą policjantkę. Obszedł powoli stół i upił łyżeczek kawy. — Przemawia za tym czas, w którym dokonał zamachów, czyli to, że uderzył przed świętami.

Kathrin Fachinger podeszła, zastąpiła mu drogę i wskazała palcem na filiżankę.

— To moja filiżanka — powtórzyła z naciskiem. — Tutaj ma pan napisane. Widzi pan? „Kathrin F.”.

— No tak. — Neff zmarszczył czoło. — Pozostałe są strasznie brudne. Powinna pani staranniejszy zmywać naczynia. Płyn do zmywania potrafi zdziałać cuda!

— Proszę mi ją natychmiast oddać. — Kathrin była coraz bardziej zła. — Niech pan sobie przyniesie własną.

— Święta racja, z sekretarkami trzeba mieć zawsze dobre stosunki. — Neff uśmiechnął się wyrozumiale i oddał jej naczynie. — Bo potem robią niesmaczną kawę.

— Nie jestem sekretarką — warknęła Kathrin. — Jestem komisarz Kathrin

Fachinger.

Andreas Neff ani nie poczuł się głupio, ani nawet nie przeprosił za afront.

— Dobrze. To na czym stanęliśmy? Już wiem. Wróćmy do profilu sprawcy.

— Jak na podstawie tak ograniczonych informacji był pan w stanie wyciągnąć tak precyzyjne wnioski? — Kai Ostermann aż potrząsnął głową.

— Mam swoje metody — odparł Neff z wyższością. — No i ogromne doświadczenie też robi swoje.

Nagle rozdzwonił się telefon na blacie stołu konferencyjnego. Pia siedziała najbliżej, więc podniosła słuchawkę. Przez kilka chwil słuchała w milczeniu.

— Już jedziemy — powiedziała i się rozłączyła.

— Co się dzieje? — zapytała Kathrin.

— Strzały w centrum handlowym Main-Taunus — wyjaśniła Pia i zerwała się z krzesła. — Kai, spróbuj skontaktować się z szefem. Kathrin, my jedziemy na miejsce.

— Ja też się zabiorę — oznajmił Andreas Neff z płonąącym wzrokiem.

— Akurat. — Pia w biegu złapała kurtkę i plecak. — Jak kiedyś będziemy pana potrzebowali, to na pewno się zgłosimy.

— A co mam tu robić sam?

— Niech pan obserwuje wszystko z dystansu i nie zagrzebuje się w szczegółach — doradziła Pia. — Koniec końców, po to pana tu przysłali.

— TATA, JA! Ja ci pomogę! — oznajmiła Sophia i z łazienki przytaszczyła do kuchni plastikowy stołek. — Wiem przecież, jak zrobić rosół. Prościzna.

Mówiąc to, ustawiła stołek obok Bodensteina.

— Doprawdy? — Ojciec myślami był gdzie indziej, ale zmusił się do uśmiechu. — A niby jak się robi rosół?

— Najpierw trzeba mieć wodę. Potem dodaje się sól, pieprz i warzywa —

wyliczało dziecko, po kolei zaginając paluszki. — A na koniec kurę. Ale taką ekologiczną, a nie zwykłą rosółową. No i grzyby! Uwielbiam grzyby!

— Brzmi całkiem nieźle. — Bodenstein potaknął. — Dobrze, zrobimy nasz rosół według twojego przepisu.

— Chcę pokroić marchewkę! — zażądała sześciolatka i błyskawicznie otworzyła szufladę, z której wybrała największy nóż.

— Może lepiej obierz grzyby, co? — Bodenstein odebrał jej niebezpieczne narzędzie.

— Ale to nuda! Mama zawsze mi pozwala kroić marchewkę! — Mała zrobiła obrażoną minę i tupnęła.

— A ja nie — odparł Bodenstein ze spokojem.

— Ale ja chcę!

— Grzyby albo nic.

— To nic. — Sophia zeskoczyła ze stołeczka i kopnęła go z taką siłą, że przeleciał przez pół kuchni. Potem stanęła z założonymi rękoma, a po chwili naburmuszona usiadła na podłodze.

Bodenstein postanowił nie reagować na jej dąsy. Każdy kolejny weekend z najmłodszą córką był trudniejszy od poprzedniego. Od samego rana mała wymagała pełnej uwagi i była strasznie zazdrosna o Inkę czy Rosalie, a na dodatek nie zachowywała się grzecznie. Najpewniej Cosima pozwalała jej na wszystko, co tylko chciała, byle tylko samej mieć spokój. Tak samo postępowała wcześniej z Lorenzem i Rosalie. Na co dzień znacznie więcej od niej zajmował się dziećmi, bo Cosima wciąż była w rozjazdach albo przesiadywała w biurze. Jeśli już jakiś czas spędzała w domu, trudno jej było znaleźć swoje miejsce, bo dzieci przyzwyczyły się do życia bez matki. Żeby wkraść się w ich łaski, rozpuszczała je jak dziadowskie bicze i pozwalała na wszystko, czego Bodenstein im zakazywał. Bardzo szybko straciła szacunek dzieci, które na dodatek weszły jej na głowę. Cosima co pewien czas

próbowała być zdecydowana, lecz brakowało jej konsekwencji. W tamtym czasie Bodenstein pełnił rolę instancji odwoławczej, łagodząc kłótnie i pilnując przestrzegania zasad.

Po zachowaniu Sophii widać było wyraźnie, jak bardzo jej tego brakuje. Sześciolatka nigdy się nie nauczyła, że nie zawsze dostaje się wszystko, na co ma się ochotę, a zasady są po to, żeby ich przestrzegać. Dziadków i nianię z łatwością owinęła wokół palca, lecz z ojcem nie szło już tak bezproblemowo. On dostrzegł problem, który czaił się za piękną małą twarzyczką, i zastanawiał się, czy jest jakiś sposób, by zaradzić psuciu Sophii. Nie wiedział też na pewno, czy Inka właśnie ze względu na Sophię nie przeprowadziła się jeszcze do niego na stałe, jak wcześniej zaplanowali. Nie powiedziała mu tego wprost, ale od jakiegoś czasu nie przyjeżdżała do niego w weekendy, które spędzał z córką. Czuł się przez to bardzo samotny. Zapytał ją kiedyś o to. Wyjaśniła, że kiedy odwiedza go Sophia, ona niewiele z niego ma, więc woli zostać u siebie w domu albo popracować w klinice dla koni.

Nie doszło wtedy między nimi do żadnej poważnej kłótni — tak daleko Inka się nie posunęła. Jednak niewypowiedziana konkluzja tej rozmowy brzmiała: „albo ona, albo ja”. Bodenstein poczuł wtedy jednocześnie rozczarowanie i ulgę, bo Inka w ten sposób zadecydowała za niego. Może z jego strony to było tchórzostwo, egoizm albo wygodnictwo, ale w głębi serca wiedział, że nie ma już ani chęci, ani siły, by przez kolejne lata zgadzać się na ciągłe kompromisy z byłą żoną i wychowywać trzecie dziecko.

Cosima zaskoczyła go późną trzecią ciążą i postawiła przed faktem dokonanym. I to był początek ich końca. Dziecko jej nie wystarczyło, by zaspokoić potrzebę czucia się znów młodą kobietą. Potrzebowała silniejszych przeżyć, więc pozwoliła sobie na romans, nie zwracając uwagi na krzywdę, jaką wyrządza rodzinie. Wszystko w ten sposób zniszczyła. Nie tylko swoje



małżeństwo, ale też odebrała najmłodszej córce szansę na wychowanie przez matkę i ojca. Dlaczego? Bodenstein wciąż zadawał sobie pytanie, dlaczego to on miałby ponosić konsekwencje nieprzemyślanych i egoistycznych decyzji byłej żony. Związek z rosyjskim łowcą przygód już dawno się rozpadł. Mężczyzna szukał pełnej temperamenti kochanki, a nie wykończonej matki z małym dzieckiem.

Kupując dom w Ruppertshain, Bodenstein myślał również o Sophii i o tym, że od czasu do czasu mógłby brać ją pozaplanowo do siebie, kiedy na przykład nie miałby kto się nią zajmować. Jednak nie był gotowy, by podporządkowywać całe życie małemu dziecku, a już na pewno nie chciał ryzykować swojego związku z Inką.

Ledwie skończył jeść zupę, rozdzwonił się jego telefon. W słuchawce usłyszał głos Pii. Policjantka była wyraźnie spięta.

— Jedziemy właśnie do centrum handlowego Main-Taunus — powiedziała. — Przed chwilą ktoś tam strzelał. Wiem jedynie, że wybuchła panika. Nie mamy informacji o ofiarach ani o rannych.

Słuchając jej słów, Bodenstein poczuł ogarniającą go falę paniki. Półtorej godziny wcześniej Rosalie pojechała do tego centrum zrobić zakupy, bo brakowało jej jeszcze kilku rzeczy przed wylotem do Nowego Jorku!

— Zaraz do was dołączę, tylko znajdę kogoś, komu będę mógł zostawić małą — powiedział jedynie i wstał od stołu. — Informuj mnie na bieżąco!

Drżącymi palcami wybrał numer córki. Słyszał kolejne sygnały, ale Rosalie nie odbierała połączenia. Starał się uspokoić myśli. W dzień taki jak ten przez każde centrum handlowe przetaczały się niezliczone tabuny ludzi. Dlaczego akurat jej miałoby się coś stać? Z drugiej strony każdy tak myślał, kiedy zdarzała się jakaś katastrofa. Ktoś ginął, a ci, których los oszczędził, cieszyli się, że wyszli cało.

Bodenstein zadzwonił do Inki. Kobieta natychmiast odebrała telefon.

— Wybacz, muszę pędzić do pracy — powiedział. — Mógłbym podrzucić ci Sophie?

— Jestem w tej chwili u pacjentki — odparła po krótkim wahaniu. — Ale przywieź ją do kliniki. Na miejscu jest pani Wagner, zajmie się nią do mojego powrotu.

— Tylko że nie wiem, kiedy będę mógł ją odebrać. — Bodenstein wyłączył kuchenkę. — Ktoś strzelał w centrum Main-Taunus i strasznie się martwię o Rosalie. Mówiła, że tam jedzie, a teraz nie odbiera telefonu.

— Pomyśl, jaki tam musi być teraz chaos. — Inka próbowała go uspokoić. — Pewnie nawet nie słyszy komórki. Nie martw się na zapas. I nie przejmuj się, nawet jeśli miałbyś być bardzo późno.

To była cecha, którą tak bardzo w niej cenił. Tak samo jak on mierzyła się z problemem, kiedy się pojawiał. Nigdy się nie wahała i chwytła byka za rogi, zupełnie inaczej niż Cosima, dla której najważniejsze było zawsze to, jak trudne, skomplikowane i nieprzyjemne będzie to, o co ją poprosił.

— A co z zupą? — zapytała Sophia. W jej oczach pojawił się błysk wyrachowania, który Bodensteinowi nie podobał się ani trochę.

— Przykro mi. — Potrząsnął głową. — Wcześniej nie chciałaś, a teraz jest już za późno, bo muszę jechać do pracy. Pospiesz się, proszę, z ubieraniem. Zawiozę cię do Inki.

— Ale ja...

— Koniec dyskusji — przerwał córce. — Buty i kurtka. Już!

Sophia popatrzyła na niego zaskoczona.

— Ale ja jestem głodna!

— Nic na to nie poradzę. — Założył szal i ubrał się w płaszcz, po czym podał jej kurtkę puchową. — Idziemy.

— Nie. — Dziewczynka skrzyżowała ramiona na piersi i demonstracyjnie usiadła na ziemi. Bodenstein zaczął się denerwować.

— Sophia, natychmiast się uspokój — powiedział ostro. — Muszę jechać do pracy i nie mam czasu na dyskusje z tobą. Jeśli za trzy minuty nie będziesz ubrana i w drodze do samochodu, zrobię się naprawdę zły.

— Akurat. I co z tego? — zapytała tonem Cosimy.

— Żadnych prezentów na święta i żadnych filmów. I nie myśl, że żartuję.

— To nie fair! — krzyknęła Sophia i zalała się łzami. — Nienawidzę cię!

W CENTRUM HANDLOWYM Main-Taunus panował chaos. Nie każdy słyszał strzały gdzieś w dalszej części głównej alei handlowej, jednak plotka o zamachu, ofiarach śmiertelnych i rannych rozeszła się wśród kupujących z prędkością błyskawicy. Szukając jakiegokolwiek osłony, przerażeni ludzie tłoczyli się w koszmarnie przepełnionych sklepach lub usiłowali wydostać się na dwór. Tutaj jednak napotykali na zdecydowaną reakcję policji i służb porządkowych, które zaraz po ogłoszeniu alarmu zablokowały wszystkie wyjścia.

Pia i Kathrin w kevlarowych kamizelkach kuloodpornych przybyły na miejsce razem z oddziałem szybkiego reagowania. Obie szły teraz opustoszałą główną aleją centrum. Nikt nie wiedział dokładnie, gdzie padły strzały, co się działo z zamachowcem i czy w ogóle jeszcze przebywał w centrum handlowym. Istniało przecież prawdopodobieństwo, że uciekł razem z pierwszą falą przerażonych ludzi. Tak czy inaczej, należało zachować daleko posuniętą ostrożność. Podłoga usłana była rozrzuconymi siatkami z zakupami i ubraniami, które uciekający albo pogubili, albo zostały im wyrwane przez tłum. Zespoły uzbrojonych funkcjonariuszy z grup realizacyjnych przeczesywały całe centrum w poszukiwaniu strzelca i domniemanych ofiar. Wszyscy uważali, że to Snajper, o którym z prasy dowiedziała się cała okolica, i że lada chwila znajdzie się w rękach policji, lecz Pia miała wrażenie, że coś w tym wszystkim nie gra. Nie pasowało jej na

przykład miejsce, które morderca miałby sobie wybrać do przeprowadzenia kolejnego zamachu — przepełnione centrum handlowe. Dotychczas Snajper wyjątkowo starannie planował drogę ucieczki. Tutaj istniało ryzyko, że ktoś zobaczy go w czasie oddawania strzałów, a potem, przez ogólną panikę, znajdzie się w pułapce, bez możliwości natychmiastowego odwrotu i zniknięcia. Z drugiej strony przerażona masa ludzi oferowała również bezpieczeństwo, bo mógłby po prostu wmieszać się w tłum. To jednak byłoby trudne, bo miałby przy sobie broń.

W końcu ucichła świąteczna muzyka płynąca wcześniej z głośników i zrobiło się aż nienaturalnie cicho. Słyszał tylko szum helikoptera policyjnego pilnującego z nieba okolic centrum. Za szklanymi witrynami sklepów tłoczyli się klienci — wyglądali niczym ryby w przepełnionym akwarium.

— Mamy wielu rannych, którzy wymagają pomocy lekarskiej — zwrócił się do Pii menedżer centrum handlowego. — Wpuście chociaż karetki i ratowników.

Koło Pii maszerował szczupły, wysoki mężczyzna w okolicach pięćdziesiątki, z którego twarzy dało się wyczytać, że przez ostatnią godzinę przeszedł prawdziwe piekło. Nic nie mógł poradzić, kiedy widział, jak jego ludzie ze służb porządkowych, szkoleni przecież specjalnie na takie sytuacje, znikają przykryci pędzącą masą spanikowanych klientów. W okolicach wyjść na parking wielu ludzi odniosło obrażenia w wyniku stratowania i zdeptania. Każdy chciał jak najszybciej znaleźć się za drzwiami. Wszyscy, którym udało się wsiąść do samochodów, niemal natychmiast utknęli w gigantycznym zatorze, co było zresztą łatwe do przewidzenia. W samym centrum handlowym znaleźli się i tacy, którzy, wykorzystując chaos, próbowali plądrować sklepy. Kiedy interweniowali ochroniarze, doszło do bijatyk, przez które tylko wzrosła liczba rannych. To miał być najlepszy dzień w roku

dla centrum handlowego, lecz w kilka minut zmienił się w najgorszy.

— Obrażenia poszkodowanych to przede wszystkim złamania, rany cięte i zmiżdżenia — tłumaczył menedżer centrum handlowego. — Jest też jedna kobieta z zawałem i dzieci, które cudem przeżyły trawienie. One najbardziej potrzebują lekarza!

— Nie musi mi pan tego tłumaczyć! Tylko że gdzieś tutaj biega szaleniec z bronią! — Pia zatrzymała się i spojrzała agresywnie na pobladłego, a jednak bardzo zdecydowanego mężczyznę. Nie wiedziała, co powinna zrobić. Czy wstrzymać jeszcze zgodę na pomoc dla poszkodowanych i wziąć na siebie ryzyko, że ktoś mógłby umrzeć, ale za to dać policji szansę na złapanie Snajpera? *I tę niepewność, której prawdopodobnie nie jest pani w ogóle świadoma, odruchowo maskuje pani agresją.* W głowie dudniły jej słowa Andreasa Neffa. Niech to szlag!

Spokojnie, pomyślała. Zachować spokój. Bodensteina nie było jeszcze na miejscu, więc to ona jako funkcjonariuszka o najwyższym stopniu musiała dowodzić akcją. Przede wszystkim należało teraz ustalić priorytety i podjąć odpowiednie decyzje.

— Kathrin — zwróciła się do koleżanki. — Przekaż, że lekarze i zespoły ratunkowe mają prawo wejścia na zamknięty teren.

— Przyjęłam. — Kathrin potwierdziła skinieniem głowy i sięgnęła po krótkofalówkę.

— Dziękuję — powiedział menedżer i odetchnął z ulgą, po czym odwrócił się i ruszył do swoich ludzi.

Nagle odezwała się krótkofalówka Pii.

— Teren zabezpieczony! — rozległ się głos szefa oddziału realizacyjnego. Na ten dźwięk Pia poczuła falę ulgi. — Parking, poziom pierwszy, przy dworcu autobusowym. Zabezpieczyliśmy broń.

— Zaraz będę — odpowiedziała jedynie i ruszyła biegiem.

ZERWAŁA SIĘ NA RÓWNE NOGI, słysząc brzęk rozbitego szkła, głuche uderzenie, a potem mrozący krew w żyłach krzyk. Poczowała zimny dreszcz.

— Greta! — przebiegło jej przez głowę. Upuściła długopis na niedokończoną listę zakupów, wybiegła z salonu i pognąła do kuchni. Greta stała nieco z boku. Karoline przez chwilę czuła ulgę, bo córka była cała i zdrowa. Ułamek sekundy później dostrzegła krew na jej twarzy i na nowiutkim sweterku, który dziewczyna jeszcze w samochodzie wyjęła z torby i włożyła. Serce zaczęło jej walić jak młotem. Greta zamilkła; stała sparaliżowana i szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w coś na podłodze. Karoline podążyła za jej wzrokiem. To, co zobaczyła, w jednym momencie sprawiło, że cały świat zachwiał się w posadach. Na posadzce z wydeptanych czarnych i kremowych płytek leżała mama, a dookoła jej głowy powiększała się kałuża krwi. Krew, krew była wszędzie, mieszając się z jasnymi odpryskami kości i białawą masą. Płynęła wzdłuż fug między płytkami i ściekała po frontach szafek. Karoline osunęła się na kolana i chwyciła dłoń matki. Jej skóra była ciepła. Może tylko straciła przytomność i uderzyła się w głowę, kiedy się przewracała?

— Mamo! — szepnęła. — Mamo! Obudź się!

Potrząsnęła delikatnie jej ramieniem. Głowa matki opadła ciężko, lecz zamiast twarzy Karoline zobaczyła krwawą masę.

Usiadła gwałtownie na łóżku. Serce waliło jej jak szalone, aż czuła ból w klatce piersiowej. Była cała mokra od potu, a jednocześnie trzęsła się z zimna.

Jej matka nie żyła.

I to nie był zły sen.

Opadła na poduszkę i zamknęła oczy w nadziei, że uda jej się jeszcze usnąć, by choć trochę odsunąć od siebie moment konfrontacji

z rzeczywistością, na którą nie była jeszcze gotowa. Gdyby tylko był jakiś sposób, żeby uwolnić głowę od tych okropnych obrazów! We śnie widziała wszystko z najdrobniejszymi detalami. Znow ogarnął ją ten sam strach i przerażenie co wtedy. Tamtego wieczoru złapała Gretę za ramię i szlochając histerycznie, wyciągnęła ją z kuchni. To, co wydarzyło się później, pamiętała jak przez mgłę. Wiedziała, że po jakimś czasie pojawił się Carsten, policja, a na sam koniec tata... Jego zrozpaczone krzyki i jego załamanie były równie przerażające jak widok zmasakrowanej twarzy mamy... Karoline westchnęła głęboko. Co teraz? Jak ma dać sobie radę? Jak ma poradzić sobie ktoś, kto widział, jak jego matka ginie od postrzału? Czego inni oczekują od takiej osoby? Przez całe życie do wszystkich problemów podchodziła z chłodną logiką i podejmowała racjonalne decyzje, które prowadziły do znalezienia rozwiązania. Tym razem nie zanosilo się na to. Poczula skurcz serca. Nie chciała plakać. Za zadne skarby nie wolno jej poddac się zalobie, bo to najprostsza droga do zalamania.

Z wysilkciem usiadla na lozku. Bolały ją ręce i nogi i czula się, jakby przygniatal ją jakiś wielki ciężar. Przerażające obrazy kotlowały jej się w głowie niczym woda, która napiera na przeszkode, a kiedy pojawiają się pęknięcia, jest już nie do zatrzymania, wyrzywa dziure w kazdej tamie i niszczy wszystko na swej drodze. Jej świat stracil barwy, a zycie od teraz bedzie dzielilo się na „przed” i „po”.

Karoline przełożyla nogi przez brzeg lozka, wstala i powlokla się do łazienki. Od przedwczoraj miała na sobie tę samą sukienkę, nie brała prysznicza i praktycznie nic nie jadła. Kilka razy rozmawiała przez telefon z Carstenem. Z Gretą również. Przede wszystkim zajmowała się ojcem, który przestal mówić, pogrążając się w tym samym przerażeniu i wstrząsie co ona. Ostatniej nocy wróciła do domu, żeby zabrać czyste rzeczy. Padła na lozko i po prostu zasnęła. Kiedy była pod prysznicem, rozdzwonil się telefon.

Nieważne, kto i czego od niej chciał, będzie musiał uzbroić się w cierpliwość. Później oddzwoni. Kiedyś. Teraz musi być silna. Dla Grety. I przede wszystkim dla ojca. On potrzebuje jej bardziej niż kiedykolwiek.

PIA SIEDZIAŁA PRZY KOMPUTERZE i kończyła raport z akcji w centrum handlowym. Zapisała plik i wysłała go mejlem do doktor Engel. Wydawało się, że mają Snajpera na wyciągnięcie ręki, lecz ekscytacja i podniecenie szybko ustąpiły miejsca rozczarowaniu. Trójka nastolatków uznała, że świetnym pomysłem będzie wziąć pistolet hukowy ojca jednego z nich i zacząć robić dowcipy. Żart był z gatunku tych najgłupszych, a co gorsza, jego konsekwencje mogły okazać się tragiczne. Bodensteinowi kamień spadł z serca, kiedy się dowiedział, że jego córce nic nie jest. Wziął wtedy w obroty trójkę spokorniałych nagle dzieciaków i wyjaśnił dosadnie powagę ich położenia. Koszty samej akcji policji będą ich rodziców kosztowały grube tysiące euro, a przecież to nie wszystko, bo czekały ich jeszcze roszczenia odszkodowawcze. Trzydzieści cztery osoby zostały ranne w wyniku masowej paniki, jaką spowodowali, część z nich znajdowała się w stanie ciężkim, a kobieta z zawałem serca balansowała na granicy życia i śmierci. Pia wstała i poszła do kuchni. Spotkała tam Bodensteina i doktor Engel.

— Nawet nie pomyśleli, do czego mogą doprowadzić — powiedział Oliver. Z niedowierzaniem potrząsnął głową i upił łyk kawy. — Wydawało im się, że zrobią genialny numer i wszyscy będą się śmiali. Nie rozumiem, jak można być tak bezmyślnym!

— Po pewnym czasie człowiek przestaje się czemukolwiek dziwić — stwierdziła Nicola. — Dzisiejsza młodzież jest często zbyt egoistyczna, żeby myśleć o tym, że mogą komuś wyrządzić krzywdę. Siedzą tylko przed komputerami i odstrzeliwują się nawzajem, tak jak kiedyś my zbijaliśmy się



w grze w chińczyka.

— Ich rodzice na pewno się ucieszą — dodała Pia. — A już na pewno ten ojciec, który nie zabezpieczył właściwie szafki na broń. Czasem nie mogę pojąć, że oni niczego się nie uczą! Przecież mają przykłady z masakr w Winnenden czy Erfurtu!

— Człowiek woli wierzyć, że jego dziecko nigdy by nie zrobiło czegoś takiego — odparł Bodenstein.

— No właśnie. — Doktor Engel pokiwała smutno głową, umyła filiżankę i odstawiła ją na suszarkę przy zlewozmywaku. — Ale jakkolwiek by patrzeć, cała akcja przebiegła naprawdę przyzwoicie. Świetna robota, koleżanko.

— Skończyłam już raport z akcji i wysłałam go pani na mejla — powiedziała Pia z pośpiechem, żeby tylko uprzedzić pytanie, którego teraz się obawiała.

Nicola spojrzała na nią uważnie i pokiwała głową.

— Niczego innego się nie spodziewałam — powiedziała jedynie. Potem zwróciła się do Bodensteina:

— Masz chwilę czasu? Chciałabym zamienić z tobą kilka słów.

— Oczywiście. — Po czym oboje wyszli z kuchni, a Pia została sama.

Kiedy wróciła do biura, które dzieliła z Kaiem Ostermannem, jej złość natychmiast wzbudził Andreas Neff, bo bez pytania zajął miejsce za należącym do niej biurkiem.

— A nie mówiłem? — Siedział rozwalony w fotelu, z nogami opartymi o blat. — Wiedziałem, że dzisiaj to nie Snajper. Nie uderzy przed świętami.

— Chciałabym usiąść przy swoim biurku. — Pia machnęła dłonią. — W biurze koleżanki Fachinger jest chwilowo jedno wolne miejsce.

— Tutaj przecież też. — Neff wskazał na dawne stanowisko Behnkego, które Kai Ostermann, główny logistyk i starszy aprobant, wykorzystywał do

segregowania raportów, notatek, podań i innych drukowanych informacji.  
— Chętnie tam usiądę, jeśli mogę.

— Na pana miejscu zostawiłabym to miejsce w spokoju i nie ryzykowałabym przekładania jakichkolwiek papierów — doradziła Pia.

Odezwał się jej telefon.

— Ma pan problemy ze słuchem, czy chce mnie pan zdenerwować? — zapytała. Neff z ociąganiem zdjął nogi z biurka i z prowokacyjną flegmatycznością wstał z jej krzesła, a potem ruszył przez pokój. Pia uniosła telefon do ucha i usiadła.

— Mam na linii kolegę z Niederhöchstadt — wychrypiała Kathrin.  
— Chce rozmawiać z szefem.

— Przełącz do mnie — poleciła jej Pia. — Szef jest u Engel.

Neff bez skrępowania zaczął przeglądać papiery i akta poukładane starannie na dawnym biurku Behnkego. Gdyby tylko Kai to widział, pomyślała Pia. Ostermann nienawidził, kiedy ktoś ingerował w jego pracę.

— Rothaus, komisariat Eschborn. — Pia dobrze знаła funkcjonariusza, który do nich dzwonił. — Dostaliśmy dzisiaj pocztą anonim, na pewno was zainteresuje. To nekrolog Ingeborg Rohleder.

Pia drgnęła, jakby poraził ją prąd.

— Nekrolog? — upewniła się.

— Zgadza się. Czarna ramka, krzyż, choć sam tekst jest dziwny — odparł komisarz Rothaus. — Tu jest napisane: „Śp. Ingeborg Rohleder. Ingeborg Rohleder musiała umrzeć, bowiem jej córka jest winna nieudzielenia pomocy oraz współwinna nieumyślnego spowodowania śmierci”. Nadawca podpisał się: „Sędzia”.

Pia zorientowała się, że z nerwów prawie przestała oddychać, więc szybko wypuściła powietrze z płuc. Ależ była teraz spięta! Dane ofiar nie zostały ujawnione publicznie, więc Snajper nie mógł dowiedzieć się ich z gazet,

a rodzina ani znajomi Ingeborg Rohleder nie mieli powodów, by pisać takie rzeczy. Była pewna, że to wiadomość od sprawcy, ba, w końcu mieli jakieś wskazówki dotyczące jego motywów!

Pia podziękowała swojemu rozmówcy i zapowiedziała, że najpóźniej za pół godziny pojawi się na miejscu.

— Jakieś nowości? — Neff spojrział na nią ciekawsko.

Pia udała, że nie słyszy jego pytania, zerwała się z fotela i ruszyła szukać Bodensteina. Znalazła go przed drzwiami doktor Nicoli Engel, gotowego do wyjścia.

— Jadę do Inki odebrać małą — powiedział. — Możesz zadzwonić, kiedy będziesz...

— Musimy lecieć do Niederhöchstadt — przerwała mu podekscytowana. — Tamtejszy komisariat otrzymał anonimowy list z nekrologiem Ingeborg Rohleder, a w jego treści są informacje znane jedynie sprawcy. Nikt nie znał przecież imienia i nazwiska ofiary...

Zamilkła na widok Neffa, który szedł korytarzem w ich kierunku.

— Ależ proszę sobie nie przeszkadzać, proszę kontynuować! — powiedział z uśmiechem.

— Nie, dopóki będzie się pan podkradał i podsłuchiwał. — Pia nie siłała się na udawanie sympatii. Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy analityka, choć mężczyzna szybko zapanował nad emocjami. Andreas Neff miał bardzo grubą skórę.

— Pia, nie możesz go wyłączyć z dochodzenia — powiedział Bodenstein, przerywając kłopotliwą ciszę po odejściu Andreasa. — Szefowa życzy sobie, żebyśmy z nim współpracowali. Po to wezwała mnie do siebie. Była bardzo zasadnicza, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

— Ale przecież to skończony idiota! — Pia była niepokieszona. — I działa mi na nerwy.

Bodenstein westchnął i wyjął z kieszeni komórkę.

— Jedziemy do Niederhöchstadt — powiedział, wybierając numer. — Bierzemy Neffa i Krögera.

— Serio? Nie da rady tego jakoś obejść? To znaczy Neffa, nie Krögera?  
— Pia skrzywiła się niezadowolona.

— Koniec dyskusji. — Bodenstein potrząsnął głową. — Postaraj się z nim jakoś dogadać. Proszę.

*NIC NIE JEST DANE raz na zawsze, pomyślał. Czasem człowiek musi wykazać się elastycznością. Nawet najlepsze plany na nic się zdadzą, dopóki istnieje jakiś element niepewności, którego nie da się kontrolować. Pierwotnie zakładał nieco inną kolejność, lecz przecież nie mógł przewidzieć, kiedy sprzedawczyni z piekarni wróci z urlopu, prawda?*

*Ugryzł kanapkę z serem i nachylił się nad stołem, na którym leżały plany budynku i kilka zdjęć. Kiedy wczoraj poszedł po chleb, przekonał się, że budynek w stanie surowym, z którego zamierzał oddać strzał, robotnicy tymczasem obłożyli elewacją. Bardzo go to zdenerwowało, oj bardzo. Musiał szybko znaleźć inne miejsce. Zupełnie przez przypadek trafił na odpowiednie stanowisko, a teraz z pomocą map Google'a sprawdzał drogę ucieczki, którą poprzedniego dnia wybrał.*

*W telewizji w kolejnym programie informacyjnym wałkowano temat strzałów w centrum handlowym Main-Taunus. Przed południem ktoś wywołał tam falę paniki. Sięgnął po pilota i zrobił głośniej.*

— ...policji, sprawa ta nie wiąże się w żaden sposób z grasującym w okolicach snajperem, który w ostatnich dniach zamordował dwie kobiety w Eschborn i Oberursel. Sprawcami chaosu okazała się trójka nastolatków z pistoletem hukowym...

*Potrząsnął głową i wyłączył telewizor.*

*Na przykrytym ceratą kuchennym stole przygotował wszystkie przybory do gruntownego czyszczenia karabinu. Po każdym użyciu broni należało ją rozłożyć i wyczyścić. Pozostałości ołowiu odkładały się w lufie i z biegiem czasu mogły wpływać na precyzję strzałów, a zamek broni należało oczyścić ze spalonego prochu i naoliwić. Tutaj mógł być pewny, że nikt nie będzie mu przeszkadzał w czasie pracy. Zdjął z kolby bakę policzkową, przycisnął bezpiecznik i wyjął zamek z prowadnicy. Później wpuścił kilka kropli oleju do lufy i wsunął w nią wycior. Uśmiechnął się zadowolony, przepychając mosiężną szczotkę od komory naboju do samego wylotu. Na koniec odkręcił ją wprawnym ruchem i wyjął wycior z lufy. Potem jeszcze kilka razy przeciągnął przez nią przecierak, aż nie zostały na nim żadne zanieczyszczenia. To były dwa dobre strzały. Niczego nie zaniedbał.*

— W TEN SPOSÓB sprawa staje się całkowicie jasna — oznajmił Neff, kiedy znaleźli się w komisariacie policji w Eschborn i przekazano im anonimowy nekrolog. — Sprawca chce wzbudzić zainteresowanie, które jego zdaniem mu się należy. John Allen Muhammad dzwonił do szefa policji w Waszyngtonie i twierdził, że jest Bogiem. Nawiązanie kontaktu z policją jest symptomatyczne i wskazuje na narcystyczne zaburzenia osobowości.

Od kiedy ruszyli w drogę, Andreas Neff gadał jak najęty, a Pia miała wrażenie, że nie przerywa nawet po to, żeby nabrać powietrza. Czowała się, jakby poddano ją praniu mózgu. Mężczyzna przez cały czas robił wokół siebie tyle zamieszania, że nie potrafiła się skupić. Z największym trudem udawało jej się zastosować do prośby szefa. Tymczasem Kröger w żaden sposób nie starał się ukrywać swojej antypatii dla wunderwaffe z policji krajowej.

— Standardowy papier biurowy, gramatura osiemdziesiąt gramów, A4, biały — oznajmił, nie reagując na wynurzenia Neffa. — Kto tego dotykał?

— Tylko funkcjonariusz otwierający wszystkie przesyłki — odparł komisarz Rothaus.

— Świetnie. Jego odciski palców mamy w systemie, więc je bez trudu wyeliminujemy. — Kröger przyjrzał się kopercie zabezpieczonej w plastikowej torebce.

— Nekrolog wygląda całkiem profesjonalnie — stwierdził Bodenstein.

— Dzisiaj to żaden problem przygotować coś takiego. — Kröger potrząsnął głową. — Na stronach z ogłoszeniami dzienników są gotowe szablony. Wystarczy kilka kliknięć, żeby taki przygotować i nawet opublikować go zaraz online.

— Sprawca ma około trzydziestu lat. — Neff wrócił do wygłaszania swoich ocen. — Zna się na Internecie i wie, jak zaprojektować taki nekrolog online...

— Ja mam czterdzieści sześć lat i też to wiem — przerwał mu Kröger niegrzecznie. — Moi rodzice też to wiedzą, chociaż są już po siedemdziesiątce.

— A potrafią wspiąć się po ciemku na stację transformatorową i przy słabej widoczności z osiemdziesięciu metrów trafić kogoś w głowę? — odparował Neff z sarkazmem w głosie.

— Przed chwilą budował pan profil sprawcy, bazując na tym, czy umie wstawić nekrolog do sieci, czy nie — przypomniał mu Kröger, jednak mężczyzna nie zareagował na zaczepkę, tylko z uśmiechem zignorował jego argument.

— Jeśli nekrolog rzeczywiście jest informacją od sprawcy dla nas... — zastanawiał się na głos Bodenstein — ...to Ingeborg Rohleder nie może być przypadkową ofiarą.

— „Nieudzielenie pomocy i współwina w nieumyślnym spowodowaniu śmierci” — mruknęła Pia. — Co to mogłoby znaczyć?

— Jeszcze nie mam pojęcia, ale sprawca chce nam przekazać coś bardzo ważnego — odparł Bodenstein i zmarszczył czoło. — Ingeborg Rohleder musiała umrzeć, bo jej córka coś zrobiła albo może czegoś zaniechała. To rzuca całkiem nowe światło na całą sprawę.

— To dowód, że Snajper nie wybiera swoich ofiar na chybił trafił. — Pia pokiwała głową. — Działa bardzo metodycznie i z premedytacją. Uważa, że postępuje sprawiedliwie, ba, twierdzi, że sam jest sędzią.

— Dobrze, chodźmy może stąd — zaproponował Bodenstein. — Pojedziemy do Renate Rohleder i zapytamy, co mogą oznaczać te zarzuty.

Podziękował funkcjonariuszowi, który zawiadomił Pię o liście, i wyszedł z biura, a pozostali ruszyli posłusznie za nim.

— To psychopata. — Neff bez pytania o zdanie postanowił skomentować słowa Pii. — I to bez najmniejszych wątpliwości. Czuje się obrażony, więc teraz dokonuje zemsty. Ale nie na samych winnych, tylko na ich najbliższych. I to jest szczególnie perfidne.

— Wczoraj twierdził pan coś zgoła odwrotnego — oświadczyła Pia. — Był pan święcie przekonany, że Snajper zabija przypadkowe osoby.

— Wczoraj jeszcze nie wiedzieliśmy tego, co wiemy dzisiaj. — Neff nie miał oporów, by wykręcać kota ogonem.

Dla Pii to było jednak zbyt wiele.

— Pan musi mieć ostatnie słowo zawsze i wszędzie, co? — Z pogardą potrząsnęła głową. — To w Stanach nauczył się pan, żeby dyskredytować swoje słowa z poprzedniego dnia, tłumacząc się, że to dawno i nieprawda? Tym bezustannym zmienianiem zdania dyskwalifikuje się pan jako specjalista, więc proszę się nie dziwić, jeśli komuś z nas pana paplanina wydaje się mało poważna.

Kröger wyszczerzył radośnie zęby, za to Neff po raz pierwszy zapomniał języka w gębie. Niestety, ten błogosławiony stan nie trwał zbyt długo.

— Na tym właśnie polega warsztat, żeby zaraz na początku dochodzenia sprawdzić wszystkie możliwe hipotezy, nawet jeśli na pierwszy rzut oka mogą się komuś wydać niejasne — usiłował bronić swojej nagłej zmiany zdania.

— W takim razie w przyszłości powinien pan swoje ogólne przypuszczenia formułować w sposób mniej kategoriyczny — zauważyła Pia chłodnym głosem. — Bo inaczej każda pańska genialna teoria będzie traktowana jako celowa dezinformacja.

— Nawet w najśmielszych marzeniach nie zakładałem, żeby taka dyletantka jak pani była w stanie nadążać za moim tokiem myślenia — odparował z właściwym sobie samozadowoleniem. — Ale czemu ja się dziwię! Nigdy jeszcze nie przyszło mi współpracować z tak chaotycznym i nieskutecznym zespołem jak wasze K11!

Pia otworzyła usta, żeby odpłacić mu pięknym za nadobne, lecz Kröger ją ubiegł.

— Dyletanctwo prezentuje tutaj tylko jedna osoba i jest nią pan — stwierdził, dosłownie i w przenośni patrząc na niego z góry, bo Neff sięgał mu ledwie do brody. — Ze swoimi wysysanymi z palca teoriami i kolejnymi profilami sprawcy wprowadza pan do naszej pracy jedynie chaos. Najlepiej będzie, jak się pan na jakiś czas zamknie. Jest szansa, że czegoś się pan wtedy nauczy.

— Na co pan sobie pozwala?! — Neff był bardzo wzburzony i chciał coś odpowiedzieć, ale Christian go zignorował i minął, idąc w stronę wyjścia.

— Na nic. Bo i nie ma co się spinać — odpowiedział, nie patrząc nawet w stronę niewysokiego analityka. — Właśnie, Pia, coś mi przyszło do głowy. Trzeba by zadzwonić do komisariatu w Oberursel i zapytać, czy też przypadkiem nie dostali jakiegoś dziwnego listu.

Nie mógł chyba bardziej urazić Neffa, a Pia z trudem powstrzymywała się



od śmiechu, patrząc na coraz bardziej wściekłą minę specjalisty z policji krajowej.

Bodenstein czekał na nich za zabezpieczoną dyżurką ze wzmocnionymi drzwiami.

— Co się tak ociągacie? — zapytał.

— Mały Napoleon z krajowej znów miał problem z właściwym doбором słów i trzeba było wyjaśnić mu tajniki kindersztuby — odparł Kröger. — Słuchaj, Oliver, wydaje mi się, że do Oberursel mógł przyjść kolejny nekrolog. On pewnie na razie nie ma jeszcze pojęcia, kto prowadzi jego sprawę, więc listy będzie wysyłał zgodnie z właściwością miejscową.

— A skąd pomysł, żeby właśnie tam sprawdzić? — zapytał Bodenstein.

— Tam mieszkała Margarethe Rudolf.

Bodenstein zastanowił się, po czym z uznaniem pokiwał głową.

— Racja, zaraz to sprawdzę. — I z tymi słowami wrócił do środka i zamienił kilka słów z oficerem dyżurnym.

— Rozumiem, że nie wątpisz w autentyczność tego nekrologu? — Pia spojrzała uważnie na kolegę.

— Nie. Jestem przekonany, że to on. — Christian potrząsnął głową. — W tym punkcie zgadzam się z Napoleonem: nasz sprawca kieruje się motywem, a tym motywem jest zemsta.

— Jak mnie pan nazwał? — Neff skrzywił się nieprzyjemnie.

— Napoleon też się panu nie podoba? Co złego jest w tym imieniu? — Kröger uśmiechnął się niewinnie, a Pia musiała się odwrócić, bo inaczej wybuchnęłaby Neffowi śmiechem prosto w twarz.

— Nie pozwolę sobie na takie traktowanie!

— A ja nie pozwolę nazywać mojej współpracownicy dyletantką — odparował ostro Kröger.

— No proszę, a koleżanka sama nie potrafi się bronić? — warknął Neff

oskarżycielsko. — Potrzebuje adwokata, czy może jest jakiś inny powód, dla którego pan się tak za nią wstawia? — Uśmiechnął się dwuznacznie.

Bodenstein wyszedł z dyżurki i szybkim krokiem ruszył w ich stronę.

— Chrystian, jesteś geniuszem! — zawołał podekscytowany. — Rzeczywiście, dostali dzisiaj pocztą nekrolog! Jedziemy teraz do córki pani Rohleder, a potem prosto do Oberursel.

— Brak odpowiedzi to też odpowiedź — stwierdził Neff kwaśno. — Potwierdzacie tylko moje przypuszczenia.

— Jakie przypuszczenia? — zainteresował się Bodenstein.

— Napoleon uważa, że mnie i Pię musi coś łączyć, bo stanąłem w jej obronie, kiedy ją obrażał — odparł Kröger, na co Neff oblał się purpurą.

— Co to znowu za dziecinada? — nie patyczkował się Bodenstein. — Mamy dwa morderstwa do wyjaśnienia! To nie czas na jakieś przepychanki i niesnaski. Chcę zgranego zespołu, a nie idiotycznych walk o przywództwo!

— Jestem celowo marginalizowany! — poskarżył się Andreas. — A ten tutaj kolega jeszcze zakazuje mi się wypowiadać!

— Bo co chwila zmienia pan wersję i wychodzą skrajne głupoty — wyjaśnił Kröger i otworzył szklane drzwi.

— Sami Dyletanci! Wszyscy jak jeden mąż! — syknął Neff wzburzony.

— Nadęty złośliwiec. — Kröger spojrzał na niego lekceważąco.

Pia milczała, bo chciała uczynić zadość prośbie swojego szefa. Popatrzyła na Bodensteina, który szedł ze zmarszczonym czołem. Dość dobrze go znała, żeby wiedzieć, że lada chwila może stracić dla nich cierpliwość.

— O nie, miarka się przebrała. Na coś takiego nie będę sobie pozwalała! Idę! — Neff zrobił obrażoną minę i ruszył przed siebie. Nikt go nie zatrzymywał.

— Przystanek autobusowy jest zaraz po prawej! — krzyknęła za nim Pia.

Nie mogła się powstrzymać.

— Co to za wygłupy? Nie rób przedszkola. — Bodenstein zganił ją spojrzeniem.

— Rany, przecież tobie gość też działa na nerwy! — odpowiedziała. — Nie mogę się skupić, jak wszędzie dorzuca swoje trzy grosze.

— Teraz już chyba możesz, bo sobie poszedł. — Bodenstein najwyraźniej nie żałował z tego powodu. — Dobra, wsiadamy. Mamy ważniejsze rzeczy do roboty.

RENATE ROHLEDER nie było w domu. Bodenstein uznał, że w takiej sytuacji najlepiej będzie najpierw pojechać do Oberursel, a potem raz jeszcze złożyć wizytę córce pierwszej ofiary. Choć nie chciał się do tego przyznać, nie brakowało mu Neffa, bo analityk swoim nastawieniem wprowadzał złą atmosferę w zespole. Najwyraźniej nie był dość jednoznaczny i stanowczy w czasie pierwszej rozmowy, którą odbyli na osobności. Konieczne będzie więc kolejne spotkanie w cztery oczy, żeby dać mu wyraźnie do zrozumienia, że jego wywyższanie się nie prowadzi do niczego dobrego.

Odezwała się komórka Bodensteina. Dzwoniła pani Wagner, asystentka Inki z kliniki dla zwierząt. Kobieta chciała wracać do domu, tymczasem Inki wciąż jeszcze nie było. Niech to szlag.

— Niech pani jeszcze chwileczkę poczeka, poproszę ojca, żeby podjechał po Sophię — powiedział. — I dziękuję za pomoc.

Zakończył rozmowę i wybrał stacjonarny numer rodziców. W myślach prosił opatrność, żeby któreś mogło się zająć jego córką do czasu, kiedy skończy pracę. Na szczęście ojciec był na miejscu i obiecał, że zaraz podjedzie po wnuczkę do kliniki.

— Nie wiem jeszcze, jak długo będę musiał zostać. Możliwe, że to trochę potrwa — ostrzegł ojca Bodenstein.

— Najwyżej prześpi się u nas — odparł staruszek, a Oliverowi kamień spadł z serca. — Przecież to nie pierwszy raz. Zresztą od razu tak się umówmy, że odbierzesz ją jutro rano.

Bodenstein podziękował serdecznie i schował telefon. Nie był zadowolony, że bezustannie musi szukać pomocy, żeby gdzieś upchnąć najmłodszą latorośl, lecz czy miał jakieś wyjście? Czy Cosima nie zachowywała się podobnie? Zależało mu, żeby wyjaśnić sobie z córką kilka kwestii po awanturze w kuchni, lecz nie miał wyboru. Praca go wzywała, a nie mógł przecież jeździć po miejscach zbrodni, ciągnąc ze sobą sześciolatkę.

Udali się bezpośrednio do komisariatu w Oberursel i poprosili o przekazanie anonimowego listu. Podobnie jak w wypadku nekrologu Ingeborg Rohleder, tu również mieli do czynienia z wydrukiem na zwyczajnym papierze, który przyszedł w zwykłej kopercie bez okienka z wydrukowaną naklejką adresową i znaczkiem. Christian Kröger wciągnął rękawiczki lateksowe i dopiero wtedy wziął list do rąk, by go starannie obejrzeć.

— „Śp. Margarethe Rudolf” — przeczytał na głos. — „Margarethe Rudolf musiała umrzeć, bo jej mąż z próżności i chciwości dopuścił się zbrodni. Sędzia”.

— Ciekaw jestem, co profesor Rudolf powie na takie oskarżenie. — Bodenstein spojrział na zegarek. Zbliżała się szósta. Jeszcze nie za późno na wizytę. Kilka minut później zatrzymali się przed domem profesora. Wszystkie okna tonęły w ciemności. Kröger został w samochodzie, a Pia i Bodenstein ruszyli w stronę wejścia. W świetle reflektora z czujnikiem ruchu wirowały płatki śniegu.

— Miejmy nadzieję, że ktoś jest na miejscu. — Pia zadzwoniła.

Przez chwilę nic się nie działo, lecz w końcu drzwi się otworzyły i w progu

stanął blady i wychudzony mężczyzna. Profesor Rudolf był nieogolony i wyglądał, jakby przez ostatnią dobę postarzał się o dobrych dziesięć lat.

— O co chodzi? — zapytał ponuro i raczej bez entuzjazmu.

— Dobry wieczór — odparł grzecznie Bodenstein. — Chcielibyśmy, żeby rzucił pan na coś okiem. Wpuści nas pan na chwilę?

Mężczyzna się zawahał.

— Tak, oczywiście — powiedział w końcu. — Proszę mi wybaczyć.

Poprowadził ich przez korytarz w stronę jadalni. Parkiet skrzypiał pod ich stopami. W domu było gorąco i duszno, a w powietrzu unosiła się woń zastarzałego dymu tytoniowego i jedzenia.

— Zastaliśmy również pana córkę? — zapytała Pia.

— Karoline musi zajmować się Gretą. Mała potrzebuje jej wsparcia jak nigdy dotąd. — Profesor Rudolf włączył światło. — Ja jakoś muszę dawać sobie radę. Nie mam innego wyjścia.

Lampa pod sufitem powoli robiła się coraz jaśniejsza. Profesor zatrzymał się pośrodku pokoju i wskazał ręką w stronę stołu zastawionego używanymi szklankami i talerzami.

Żadne z nich nie usiadło.

— Panie profesorze... — Bodenstein wyjął z kieszeni kopię nekrologu z komisariatu. — To przyszło dzisiaj pocztą na policję w Oberursel. Jesteśmy przekonani, że nadawcą był sprawca. Dotychczas sądziliśmy, że pańska żona przypadkowo padła ofiarą szaleńca, jednak treść tego nekrologu rzuca zupełnie nowe światło na tę sprawę.

Mówiąc to, podał mu kartkę. Mężczyzna spojrzał na treść i pobladł. Wstrząśnięty uniósł głowę i spojrzał na nich.

— Co... co to ma znaczyć? — zapytał zachrypniętym szeptem. — Od ponad dwudziestu lat zajmuję się chirurgią transplantacyjną. Ratuję życie! Od wielu lat każdy urlop spędzam w Afryce, operując za darmo w tamtejszych

szpitalach!

Odsunął krzesło od stołu i usiadł ciężko. Po raz kolejny przeczytał nekrolog i potrząsnął głową. Był zdezorientowany i trzęsły mu się ręce.

— Może ktoś zmarł w trakcie przeszczepu? — podpowiedziała Pia.  
— A teraz jakiś krewny uważa, że jest pan za to odpowiedzialny?

— Każdy pacjent znajdujący się na liście do przeszczepu zdaje sobie sprawę, że w obliczu śmierci transplantacja to jedyna alternatywa — odparł profesor cicho. Odsunął od siebie kartkę z nekrologiem, zdjął okulary i potarł oczy.

— Panie profesorze, mimo wszystko chcielibyśmy pana prosić, żeby się pan zastanowił, kto mógłby mieć do pana pretensje — odezwał się Bodenstein.

Mężczyzna nie odpowiedział.

— Moja żona, kobieta, którą kochałem ponad wszystko, nie żyje — wyszeptał w końcu. — Córka i wnuczka przeżywają ogromną traumę. Wszyscy utraciliśmy sens życia. Proszę, zostawcie mnie teraz w spokoju. Ja... nie czuję się na siłach, by odpowiadać na dalsze pytania.

Głos mu się załamał. Powoli podniósł głowę, jakby kosztowało go to wiele wysiłku. Po bystrym, pewnym siebie człowieku, którego Pia spotkała w wieczór morderstwa Margarethe Rudolf, nie pozostał nawet ślad. Teraz widziała przed sobą złamanego tragedią człowieka, który nie może sobie poradzić z utratą żony, a tymczasem ktoś go oskarża, że to on jest wszystkiemu winien.

— Zostawcie mnie. Proszę.

— Oczywiście. Sami trafimy do wyjścia — odparł Bodenstein. Wychodząc z pokoju, Pia odwróciła się i jeszcze raz spojrzała na profesora Rudolfa. Mężczyzna siedział z głową opartą na rękach i płakał.

RENATE ROHLEDER wciąż nie było w domu. Sprawdzili również kwiaciarnię, lecz i tam jej nie zastali, więc wrócili do komisariatu. Bodenstein już na parkingu pożegnał się z Pią i Krögerem. Christian zawiózł oba nekrologi do Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego w Wiesbaden, żeby sprawdzono je pod kątem odcisków palców i śladów DNA, a Pia sama wróciła do biura. Pomieszczenia K11 były puste. Kathrin poszła do domu, do łóżka, co w jej stanie było najrozsądniejszym rozwiązaniem, a Andreas Neff zniknął po kłótni w terenie i nie pojawił się w komendzie. Pia weszła do swojego biura i natknęła się na Kaia.

— Co za dureń z tego Neffa, strasznie mnie wkurzył. Przerył wszystkie akta, które miałem tu poukładane! — poskarżył się Ostermann. — Ostatnie dwie godziny spędziłem na przywracaniu porządku.

Mimo że Kai Ostermann miał długie włosy związane w koński ogon, lenonki, ubierał się dość niedbale i w ogóle wyglądał jak typowy nerd komputerowy, należał do najlepiej zorganizowanych osób, jakie Pia kiedykolwiek знаła.

— Ostrzegałam go! — powiedziała. — Ale uparł się, że będzie siedział z nami w biurze.

— Niech no się tylko tu pokaże! — psioczył Kai. Żeby trochę poprawić mu humor, Pia opowiedziała o wydarzeniach przed komisariatem policji w Eschborn, w wyniku których Neff z własnej woli zostawił ich samych.

— Napoleon! Pasuje do niego jak ulał! — Kai roześmiał się radośnie. — Jak nie zmieni swojego podejścia, to go tutaj czeka jego własne Waterloo.

Następnie Pia zdała relację z rozmowy z profesorem Rudolfem, która niczego nie wyjaśniła, i powtórzyła, co znajdowało się w nekrologach. Akurat kiedy skończyła, odezwał się jej telefon.

— Cześć, Henning — przywitała się z byłym mężem. — Coś się stało?

— Doszły mnie słuchy, że wygrałem zakład — powiedział były mąż

z delikatną kpina, co momentalnie wyprowadziło Pię z równowagi. — Ponoć wysłałaś Christopha w samotny rejs?

— Jaki znowu zakład? — odpowiedziała chłodno. — Nie pamiętam, żebyśmy podali sobie ręce?

— Niech ci będzie. Tak czy inaczej, nasze zaproszenie jest aktualne. Miriam bardzo by się ucieszyła, gdybyś zechciała spędzić Wigilię z nami.

W gruncie rzeczy było to bardzo miłe, jednak Pia nie miała najmniejszej ochoty na święta w mieszkaniu, w którym spędziła kilka lat wspólnego życia z Henningiem i w którym, już po rozstaniu, zastała go w niedwuznacznej pozie, w dodatku na stole, z pewną panią prokurator. Z tym miejscem wiązało się zbyt wiele wspomnień, zarówno tych dobrych, jak i tych trudniejszych.

— Dziękuję, to bardzo miłe z waszej strony — powiedziała. — Ale wykorzystam okazję, żeby zobaczyć się z rodziną. Siostra i brat spędzają święta u rodziców, więc też się tam pojawię.

— Jak chcesz. Pozdrów ich ode mnie i wesołych świąt — odparł Henning.

Zamienili jeszcze kilka słów na temat akcji w centrum handlowym, a Pia opowiedziała mu o nekrologach, które przesłał Snajper. Mimo że Henning jako dyrektor Instytutu Medycyny Sądowej nie należał do zespołu śledczego, nieformalnie był jego bardzo ważnym członkiem, a swoim doświadczeniem i błyskotliwą spostrzegawczością nieraz pomógł w ustaleniu sprawców różnych przestępstw.

— Nieszczególnie to pomocne, bo w sumie niewiele wam daje — powiedział w końcu.

— Zależy, jak na to patrzeć. Dzięki tym listom znamy w końcu motyw sprawcy — powiedziała Pia. Wtedy coś jeszcze przyszło jej do głowy. — Słuchaj, Henning, znasz może przypadkiem profesora Dietera Paula Rudolfa? To chirurg transplantolog.



— Hm... — Henning się zastanowił. — Nie. Tak na szybko nic mi to nazwisko nie mówi. Ale chętnie zasięgnę języka. Nie ma u nas zbyt wielu transplantologów.

Pia знаła zapach śledczy byłego męża i upór swojej przyjaciółki, a jego obecnej żony, i z radością przystała na tę propozycję.

— Będziemy wdzięczni za każdą pomoc — powiedziała. — Mamy jakiegoś pajaca, który utrzymuje, że jest profilerem, i nie możemy go wykopać, bo Engel się upiera, żeby z nami pracował, a prawdę mówiąc, gość przysparza nam więcej kłopotów niż daje wsparcia.

Na koniec życzyli sobie miłego weekendu i Pia zakończyła rozmowę.

— To ty masz rodzinę? — Kai nie potrafił ukryć zaskoczenia.

— Jak każdy — odparła Pia dość ostro. — A coś ty myślał, że wyjęli mnie z okna życia?

— Wybacz, nie chciałem być wścibski — mruknął Kai. — Ale od kiedy się znamy, nigdy jeszcze nie wspomniałaś o rodzicach ani o rodzeństwie.

— Moja wina, przepraszam. Niepotrzebnie tak zareagowałam. — Pia potrząsnęła głową. — Bo widzisz, prawda jest taka, że po prostu nie ma o czym mówić. Ostatni raz widziałam się z nimi przed kilkoma laty.

Rzeczywiście, Kai miał prawo się zdziwić, słysząc o jej rodzinie, bo Pia nigdy nie rozwodziła się nad swoim prywatnym życiem — zupełnie inaczej niż Cem Altunay, który na biurku trzymał zdjęcia chyba wszystkich krewnych, jakich miał. Rodzice Pii mieszkali w Igstadt, małej miejscowości pod Wiesbaden i nigdy nie usiłowali nawet zrozumieć, dlaczego ich córka porzuciła pewność i bezpieczeństwo małżeństwa, zamieszkała w gospodarstwie rolnym i przede wszystkim, po co w ogóle wracała do policji kryminalnej. Jej ojciec przez czterdzieści lat pracował w systemie zmianowym w Hoechst AG, a od kiedy przeszedł na emeryturę, życie jego i matki ograniczało się do kościoła, ogrodu i kręglarni. Kiedy Pia

opowiedziała jej po raz pierwszy o Christophe, jej jedynym zmartwieniem było „co ludzie powiedzą”, bo przecież córka nie miała jeszcze rozwodu z pierwszym mężem. Jednak korzenie niechęci Pii do rodziców sięgały głębiej i miały związek z wydarzeniami sprzed niemal dwudziestu lat. Pia była wówczas prześladowana przez mężczyznę poznanego w czasie wakacji we Francji. Przez całe miesiące ją nachodził i dręczył, aż w końcu włamał się do jej mieszkania i brutalnie ją zgwałcił. Jediną reakcją rodziców na jej tragedię było milczenie, nigdy nie chcieli o tym rozmawiać. Kilka lat później, w trakcie przyjęcia weselnego po ślubie z Henningiem, do Pii dotarło w końcu, że tak naprawdę nie znajdują już wspólnego języka. Oni żyli w swoim dusznym, prowincjonalnym świątku, który dla niej był całkowicie obcy.

Lars, jej starszy brat, wyrósł na nadętego przemądrzalca. Obraził się na Pię śmiertelnie, kiedy zlekceważyła jego rady dotyczące inwestowania pieniędzy i zrobiła coś całkowicie niesztampowego: pod koniec lat dziewięćdziesiątych wydała kilka tysięcy euro na akcje młodych firm zajmujących się nowymi technologiami. Sprzedała je po rozwodzie, a zysku wystarczyło jej na kupno gospodarstwa, w którym zamieszkała. Lars uważał się za giełdowego guru i nie potrafił jej wybaczyć tej nielojalności, dlatego w zasadzie przestali ze sobą rozmawiać. Jedynym członkiem rodziny, z którym Pia utrzymywała jakiś kontakt, była młodsza siostra Kim, pracująca w Hamburgu jako psycholożka więzienna. Jej zawód był zresztą wykpiwany przez pozostałych krewnych na równi z zawodem Pii.

— Ech, rodziny się nie wybiera. Niestety — dodał Kai smutno. — Ja też nie mam kontaktu z rodzicami. Jedyne na święta i urodziny dostaję od nich kartkę na ręcznie robionym, czerpanym papierze.

Skrzyżował ramiona na piersi i zaśmiał się gorzko.

— Wiesz, to zatwardziałe dzieci rewolucji sześćdziesiątego ósmego roku.

Mieszkają w komunie w jakimś opuszczonym gospodarstwie w Rhön, bez ogrzewania i bez prądu. I hodują warzywa. To, że poszedłem do policji, było dla nich straszną zdradą. Dla nich i dla mojego rodzeństwa do dzisiaj jestem odszczepieńcem. Pamiętam jeszcze, ile wstydu się przez nich najadłem w czasie służby w prewencji. Przez kraj przetoczyły się wtedy ogromne protesty przeciwko transportowi kolejną odpadów radioaktywnych z elektrowni atomowych. Wysłali nas tam do ochrony i oczywiście okazało się, że do szyn łańcuchami przypięli się właśnie moi rodzice i jacyś ich znajomi.

Pia nie mogła powstrzymać uśmiechu.

— Kiedyś ojciec powiedział mi nawet, że gdybym został uprowadzony, to nie zapłaci złamanego grosza okupu — powiedział Kai. — Tak bardzo jest mną rozczarowany.

— Nieźle — stwierdziła Pia. — Ale chyba nie mówił poważnie, co?

— Najpoważniej na świecie. — Kai wzruszył ramionami. — Dlatego tak łatwo było mi się z nimi pożegnać. Moi rodzice należą do ludzi, dla których ich prawda jest jedyna i niepodważalna, a innymi gardzą. Nie potrafię znieść takiego podejścia. Uważają się za takich postępowych i otwartych, a tymczasem to najbardziej nietolerancyjni i zacietrzewieni ignoranci, jakich kiedykolwiek spotkałem!

— Za to moi rodzice to małomiasteczkowa prowincja. Nigdy nosa z tej swojej wiochy nie wyściubią. — Pia zrobiła smutną minę. — Żyją w tym swoim zapyziałym, maleńkim świecie i drżą ze strachu przed jakimikolwiek zmianami.

Zmarszczyła czoło.

— Wiesz, ostatnio nawet się zastanawiałam, jakbym zareagowała, gdyby taki snajper zastrzelił moich rodziców albo brata.

— I do czego doszłaś? — Kai spojrzał na nią z zaciekawieniem.

— Hm. Może to zabrzmie strasznie nieładnie, ale wydaje mi się, że nie byłabym szczególnie poruszona. Dla mnie są zupełnie obcymi ludźmi, z którymi nie mam wspólnych tematów.

— Kurczę, ja mam tak samo. Niestety. — Kai potrząsnął głową. — Ale powiedz mi, po co w takim razie jedziesz do nich na święta?

— Może właśnie z tego powodu? — przyznała Pia. — Przeraziło mnie to, co sobie o nich pomyślałam. Ale to przecież moja rodzina.

— Ty ich nic nie obchodzisz — stwierdził Kai. — Dlatego nikt nie może oczekiwać, żeby to akurat tobie miało zależeć. W naszym wieku człowiek nie potrzebuje już udawać, żeby tylko przypodobać się rodzicom albo rodzeństwu.

Przez ostatnich dwadzieścia lat nie zmienił się ani jej rodzinny dom, ani rodzice. Już dziesięć minut po przyjeździe Pia zaczęła żałować decyzji o wspólnym spędzaniu świąt.

— Przynajmniej w Boże Narodzenie mogłybyście się pofatygować do kościoła. — Matka jeszcze nie skończyła się witać z obiema córkami, a już obdarzyła je nieprzychylnym spojrzeniem. Pia momentalnie straciła resztki dobrej woli, z jakimi wybierała się do Igstadt.

Spięta i nieswoja siedziała teraz na skórzanym wypoczynku w żywcem przeniesionym z lat siedemdziesiątych salonie rodziców, wciśnięta między szwagierkę Sylwię a Kim, która dwie godziny wcześniej przyleciała z Hamburga. Umówiła się z siostrą, że ta na czas pobytu zatrzyma się u niej w gospodarstwie.

Z wysiłkiem starała się nawiązać jakąkolwiek rozmowę z rodzicami, a w czasie obiadu zagadywała brata i jego żonę, jak im się powodzi. Sprowokowała tym Sylwię do wygłoszenia kilkuminutowego monologu na nieokreślony temat o równie nieistotnej treści. Matka Pii, okrągłutka i rumiana, jak zwykle nikogo nie słuchała, bo dla niej liczyło się jedynie to, co miało związek z jej koleżankami, a ojciec siedział w swoim fotelu z nieobecną miną i w milczeniu wpatrywał się w jakiś nieokreślony punkt.

— Muszę lecieć do kuchni. — Matka wykorzystała moment, w którym Sylvia musiała nabrać powietrza.

— Może ci pomóc? — zaproponowały unisono Pia i Kim.

— Nie, nie, przecież wszystko mam przygotowane — odpowiedziała staruszka.

Bez Sylvii przy stole zapadłaby martwa cisza. Nikt nie miał tu nikomu nic do powiedzenia. Pia upiła łyżeczek rieslinga, tak kwaśnego, że odruchowo się

skrzywiła.

— Ludzie idą na psychologię tylko po to, żeby samemu się z czegoś wyleczyć — tłumaczyła Sylvia, odstawiając kieliszek. Przez pięć lat, jakie minęły od ostatniego spotkania z Pią, szwagierka rozrosła się intensywnie wszerek, podobnie zresztą jak Lars, który ze swoim rozbuchanym ego i samozadowoleniem mógłby wiele nauczyć Napoleona Neffa.

— Wiesz, Sylvio, ale przynajmniej mam pracę i nie muszę być na utrzymaniu męża — odparowała Kim. — Poza tym ta praca sprawia mi przyjemność i jestem w niej całkiem dobra.

Kim była przeciwieństwem szwagierki — wysoka, bardzo szczupła i bez makijażu.

— Wciąż się zastanawiam, czy ty kiedykolwiek spotkasz mężczyznę, który z tobą wytrzyma — odparła Sylvia z fałszywym uśmiechem, który w najmniejszym stopniu nie osłabiał agresji w jej słowach. — W końcu masz już czterdzieści trzy lata, a twój zegar biologiczny tyka głośno jak Big Ben!

Zaśmiała się ze swojego dowcipu.

— Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego niektóre kobiety, w tym również ty, wierzą, że mąż i dzieci to największe szczęście, na jakie mogą liczyć — odparowała Kim. — Moim zdaniem coś sobie wmawiacie. Jestem przekonana, że większość kur domowych, gdyby tylko miała wybór, żyłaby tak jak ja: niezależna finansowo, realizująca się w pracy i w weekendy wysypiająca się do woli...

Kim puściła oko do siostry, a Pia nie mogła powstrzymać uśmiechu.

— To przecież oczywiste, że będziesz starała się koloryzować to swoje smutne samotne życie. — Sylvia zaśmiała się kpiąco. Jednak jej śmiech nie był szczery, bo Kim trafiła w samo sedno i dotknęła szwagierkę do żywego. — Dzieci są cudowne! Dzieci są spełnieniem dla każdej kobiety! Ale to można zrozumieć dopiero wtedy, kiedy ma się własne.

— To mi wygląda na klasyczny przypadek autosugestii. — Kim potrząsnęła głową. — Dzieci to małe egoistyczne potwory, które potrafią zniszczyć każdy związek. A potem, kiedy w końcu wyprowadzą się z domu, rodzice siedzą i nie mają sobie już nic do powiedzenia, bo przez te wszystkie lata rozmawiali jedynie o gówniarzach.

Pia przestała zwracać uwagę na wymianę zdań przy stole. Miała nadzieję, że matka szybko poda jedzenie, bo chciała jak najprędzej się stąd wyrwać. Myślami już była gdzieś daleko. Wydarzenia ostatnich dni mocno wpłynęły na handel w całym regionie, psując właścicielom sklepów interesy w czasie największego przedświątecznego ruchu. Miejsca przed supermarketami stały puste, władze miast z dnia na dzień pozamykały bożonarodzeniowe jarmarki, bo i tak nikt na nie nie przychodził. Sporo było w tym winy telewizji. Stacje telewizyjne non stop wałkowały temat Snajpera. Wyświetlano programy z USA o tamtejszych mordercach i siano coraz większy niepokój wśród społeczeństwa. Wiele osób ze strachu przed staniem się kolejną ofiarą Snajpera wolało zostać w domach. Media sugerowały, że to szaleniec, który strzela do przypadkowo wybranych osób.

Z początku rzeczywiście można było wysnuć taki wniosek, jednak od chwili otrzymania anonimowych nekrologów dwóch ofiar — a nikt nie miał najmniejszych wątpliwości co do oryginalności tych listów — policja miała pewność, że morderca działa w sposób planowy. W czasie porannej odprawy, na której Neff się nie pojawił, Pia zaproponowała, by przekazać prasie dokładniejsze informacje. Jej szef i Engel uznali jednak, że to zbyt duże ryzyko. Nie chcieli dawać ludziom poczucia pozornego bezpieczeństwa, a tak przecież zostałyby odebrana ich wiadomość.

Niedziela na szczęście przebiegła zupełnie spokojnie. Renate Rohleder wyjechała z psem na święta do przyjaciółki do Kolonii, a laboratorium kryminalistyczne przebadalo oba nekrologi, lecz nie znaleziono żadnych

odcisków palców poza pozostawionymi przez policjantów, którzy otworzyli koperty. Śledztwo utknęło w martwym punkcie, więc Pia uznała, że bez sensu byłoby marnować czas na tkwienie w biurze. Dlatego przed południem życzyła wszystkim wesołych świąt i z nadzieją, że choć raz sprawdzą się prognozy Neffa, pojechała do domu.

— A ty kiedy w końcu przedstawiś nam tego człowieka z zoo? — Sylvia spojrzała na Pię. — Przy okazji, czy to nie dziwne, że wyjechał na urlop na święta, a ciebie zostawił samą? Bo wiesz, coś tu chyba jest nie tak, mam rację? Ja byłabym ostrożna.

— Nie pojechał na urlop — odparła Pia. — Pracuje.

Wino w kieliszku zrobiło się ciepłe i smakowało jeszcze ohydniej, niż kiedy było schłodzone.

— Proszę, proszę, czyli znowu pracoholik, tak samo jak twój były — wtrącił się Lars. — Ty też pewnie jesteś cały czas na służbie, prawda?

— Zgadza się, jestem cały czas w gotowości — potwierdziła Pia i pomyślała, że nie miałyby nic przeciwko jakiemuś wezwaniu w wigilijny wieczór, gdyby oczywiście nie oznaczało to śmierci kolejnej ofiary.

Ani rodzice, ani Lars nawet nie udali zainteresowania jej życiem. Nikt nie zapytał, jak się czuje, jak się jej powodzi i co robi w pracy. Była im tak obojętna, że nawet z fałszywej grzeczności nikt nie poruszył tego tematu. *Dlatego nikt nie może oczekiwać, żeby to akurat tobie miało zależeć* — w głowie Pii dźwięczały słowa wypowiedziane przez Kaia. Wierzyła, że jakoś przetrwa wspólny wieczór. A potem postawi na nich kreskę. Na całej rodzinie. Już na zawsze.

— TO W OGÓLE NIE WCHODZI W RACHUBĘ! Nie puszcę cię teraz samej taksówką. — Bodenstein delikatnie, acz zdecydowanie wyjął byłej teściowej telefon z dłoni. — Zaraz odwiozę cię do domu.



Oliver, tak samo jak Pia, był w gotowości, i żeby móc zareagować na każde wezwanie, przez cały dzień wypił jedynie lampkę szampana.

— Naprawdę nie musisz — powiedziała Gabriela. — Jest już późno, a ty masz za sobą długi dzień.

— To naprawdę nic wielkiego, żaden kłopot — zapewnił ją Bodenstein.

— W takim razie zgoda. — Gabriela hrabina Rothkirch sięgnęła po kieliszek wina i wzniosła go w stronę Rosalie. — Dziękuję za fantastyczną wieczerzę wigilijną i pożegnalną, kochanie.

— Ja się przyłączam, to było coś niesamowitego — zgodziła się Inka. — Amerykanie nie domyślają się nawet, jaki skarb im się trafił!

— Dziękuję. — Rosalie była wzruszona. — Jesteście wszyscy tacy kochani. Jejku, już za wami tęsknię!

Dłonią starła łzę z policzka.

— My za tobą też — zapewnił ją ojciec i dodał ze skrzywioną miną: — Od jutra znów będę żywił się resztkami.

— Tato, ani mi się waż! Zostawiłam ci mnóstwo przepisów na proste i szybkie potrawy. — Rosalie pogroziła mu palcem. — Więc nie chcę nawet słyszeć, że znów jesz mrożoną pizzę!

— Nigdy w życiu! — obiecał Bodenstein i uśmiechnął się. To był piękny, radosny i spokojny wieczór. Jego syn Lorenz i córka Inki Thordis przyjechali na święta z Bad Vilbel i zatrzymali się u Inki. Sophia zachowywała się względnie dobrze — jak na nią, oczywiście — jednak była bardzo rozczarowana, bo Cosima wbrew ustaleniom nie zadzwoniła do niej z życzeniami.

— W takim razie ruszajmy. — Bodenstein wstał od stołu. — Chwilę mi to zajmie, a dzieciaki w tym czasie posprzątają kuchnię.

— Dzieciaki! — Lorenz prychnął rozbawiony. — Ja tu widzę tylko jednego dzieciaka, który w dodatku śpi sobie w najlepsze.

— Na nasze szczęście — dodała Rosalie, która bardzo często musiała zajmować się młodszą siostrą.

— Niezależnie od tego, ile macie lat, na zawsze zostaniecie już moimi dziećmiakami — zaprotestował Bodenstein.

— Oj, tato! — Rosalie zerwała się z miejsca i rzuciła mu się na szyję. — Jesteś najlepszym tatą na świecie! Będę bardzo tęskniła!

Po serdecznym i pełnym łez pożegnaniu Bodenstein i Gabriela wyszli z domu. Oliver otworzył jej drzwi do samochodu, a potem usiadł za kierownicą. Noc była zimna, ale piękna, a ulice w zasadzie puste.

— To był naprawdę piękny wieczór — powiedziała Gabriela. — Cieszę się, że wciąż jeszcze chcesz mnie widzieć.

— Jakże miałyby być inaczej? — Bodenstein się oburzył. — Jesteś w końcu nie tylko matką Cosimy, ale też babcią moich dzieci i wspaniałą osobą, którą z całego serca szanuję!

— Dziękuję, Oliverze, za te słowa. — Gabriela się wzruszyła.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

— Chyba wiesz, że zupełnie nie pochwalam ostatnich wyborów życiowych Cosimy — przerwała ciszę starsza pani. — Mimo że to moja córka, jestem bardzo krytycznie nastawiona do tego, co zrobiła. Bardzo przeżyłam wasz rozwód...

— Wiem, ale... — zaczął Bodenstein. Miał wrażenie, że powinien powiedzieć coś na swoją obronę, lecz Gabriela położyła dłoń na jego dłoni, którą trzymał na lewarku zmiany biegów.

— Nie, nie, to przecież nie twoja wina, mój drogi. Ty nic złego nie zrobiłeś — powiedziała. — Na twoim miejscu dużo wcześniej wystawiłabym jej walizki za drzwi. Dziś wieczorem znów sobie przypomniałam, ile razy zostawiała cię z dziećmi na głowie, bo ona sama musiała wyjechać gdzieś na wyprawę. Teraz robi dokładnie to samo, zamiast zajmować się Sophią. Być

może nie byłam dość stanowcza, kiedy ją wychowywałam...

Westchnęła ciężko.

— Bardzo dobrze się składa, że możemy chwilę porozmawiać na osobności — ciągnęła Gabriela. Bodenstein wjechał do Königstein i skręcił w Ölmühlweg. — Bo mam coś z tobą do omówienia. Coś, co od waszego rozstania nie daje mi spokoju. Otóż przed kilkoma miesiącami zmieniłam testament. Zgodnie z moimi postanowieniami Cosima otrzyma zachówek, a pozostałą część mojego majątku przeznaczyłam dla wnucząt i dla ciebie, jako depozytariusza, dopóki twoje dzieci nie będą gotowe, by go przejąć.

Bodenstein nie wierzył własnym uszom.

— Ale przecież ty... — Chciał zaprotestować, lecz teściowa nie dała mu dojść do słowa.

— Oj, uwierz mi, bardzo, bardzo dobrze to sobie przemyślałam i zasięgnęłam opinii moich prawników. Tobie przekażę mój dom w postaci darowizny — mówiła dalej. — Wiesz, wolę rozdawać wszystko za życia, niż żeby ktoś to dzielił po mojej śmierci. Przy odrobinie szczęścia będę żyła jeszcze dość długo, żebyś zdążył uzbierać na podatek od darowizn.

— Ależ Gabrielo! Ja... ja przecież nie mogę tego przyjąć! — Bodenstein był wstrząśnięty i nie mógł się pozbierać po tym, co usłyszał. Willa jego teściowej stała na ogromnej działce w dzielnicy Hardtwald, najlepszej i najdroższej w Bad Homburg, i była warta grube miliony euro! Poza tym Gabriela posiadała sporo mieszkań, domów, niemałą kolekcję dzieł sztuki, prężnie działającą fundację dobroczynną i pokaźny portfel akcji. Zakręciło mu się w głowie na myśl o tym, że on, zwykły policjant pionu kryminalnego miałby w przyszłości zmierzyć się z czymś takim.

— Patrz na drogę! — poradziła mu Gabriela i się roześmiała. — Oliver, zawsze marzyłam o takim synu jak ty. Jesteś oddany swojej rodzinie, masz zasady i wyznajesz wartości, o które jesteś gotów walczyć. Jesteś ciepłym,

pełnym zrozumienia i dotrzymującym słowa człowiekiem, na którym zawsze można polegać. Nie ma nikogo, kto bardziej zasługiwałby na zarządzanie tym majątkiem, żeby zachować go dla moich wnuków. Oczywiście przewidziałam dla ciebie odpowiednie wynagrodzenie, a po mojej śmierci będziesz robił z moim majątkiem, co tylko uznasz za słuszne. Dlatego bardzo bym się cieszyła, gdybyś nawet wcześniej chciał spełnić jakieś swoje życzenia. Wiesz, zawsze byłeś bardzo skromny, należy ci się. Co o tym myślisz?

Uśmiechnęła się w ciemności.

— Ja... Gabrielo... nie wiem, co powiedzieć — wyjąkał Bodenstein.  
— To... to jest...

— Oj, już nie trzymaj mnie dłużej w niepewności! — skarciła go Gabriela ze śmiechem. — Wszystkie papiery czekają tylko na twój podpis.

— A co z Cosimą? Co z jej rodzeństwem? Oni... to im się na pewno nie spodoba! — Oliver otrząsnął się z pierwszego szoku.

— Nie mają innego wyjścia — odparła kobieta. — To moja decyzja i tyle. Poza tym Cosima, Raffaella i Laetitia otrzymały już spore sumy po śmierci ojca. Trójka waszych dzieci to moje jedyne wnuki, a ja chcę, żeby spuścizny rodziny von Rothkirch nie przejęli obcy. No to jak będzie? Mogę liczyć na twoją zgodę?

Bodenstein spojrział na teściową i uśmiechnął się do niej.

— Pod jednym warunkiem — powiedział.

— Jakim?

— Że pożyjesz w zdrowiu jeszcze wiele, wiele lat.

Gabriela hrabina Rothkirch roześmiała się głośno.

— Co prawda nie mogę ci tego przysiąc, ale daję słowo, że zrobię wszystko, co w mojej mocy! — zakończyła i uścisnęła jego dłoń.

*W nocy znów spadł śnieg. Znajdą jego ślady, ale przewidział to i był przygotowany. Specjalnie na tę okazję kupił nowe buty. Wybrał produkt masowy, nic charakterystycznego. Długo nie musiał czekać, bo w pierwszy dzień świąt jego cel pojawił się równie punktualnie jak każdego innego dnia. Trafił go dokładnie tam, gdzie chciał go trafić. Jednym strzałem zniszczył najważniejszą część jego układu krwionośnego. Jego serce, nie, jej serce przestało bić. Stało się to, co powinno było się stać już dziesięć lat wcześniej, gdyby tylko ludzie nie zaczęli majstrować przy planach natury. Ileż był gotów dać za to, żeby zobaczyć minę tego starucha, jego szok i przerażenie, kiedy zrozumie, że te wszystkie pieniądze dały mu tylko dziesięć lat. Ale niestety, nie mógł ryzykować. Niezależnie od tego, jak bardzo go kusilo, musiał odejść. Nachylił się, podniósł z ziemi łuskę i schował ją do kieszeni. Potem umieścił broń w torbie, którą zarzucił na ramię, i opuścił kryjówkę w krzakach, która dała mu doskonałą osłonę. Kiedy wchodził po schodach, ciemność nocy przerzedzała się, ustępując miejsca światłu poranka. Od zawsze zima była jego ulubioną porą roku.*

ZA DZIESIĘĆ DZIEWIĄTA RANO rozdzwonił się telefon i wyrwał Pię ze snu. Poprzedniego dnia, zaraz po posiłku, wyszły z Kim z domu rodziców, unikając w ten sposób kłótni, jaka wisiała w powietrzu między Sylvią a siostrą Pii. Lars i jego żona kupili wszystkim zdecydowanie zbyt drogie prezenty — równie drogimi przy byle okazji zasypywali swoje dzieci. Atmosfera stała się do tego stopnia kłopotliwa, że nawet milczący ojciec Pii pozwolił sobie na krytyczny komentarz. Zaraz potem siostry wróciły do domu Pii, gdzie spędziły długi, miły wieczór przy dwóch butelkach wspaniałego czerwonego wina, a spać poszły dopiero nad ranem.

— Dokąd mam jechać? — zapytała Pia niewyraźnie.

— Fasanenstrasse 47 w Kelkheim — odpowiedział dyżurny obrzydliwie przytomnym i w ogóle niezaspanym głosem. — Wysłałem już na miejsce ekipę techników i wezwałem medyka sądowego.

— Moglibyście powiadomić Bodensteina? — Pia przewróciła się na plecy i ziewnęła szeroko. — Ja zaraz ruszam.

Zwlokła się z łóżka i przeszła do łazienki. Szybko umyła zęby i się ubrała, bo na prysznic nie było już czasu.

— O rany, ty już na nogach? — Pia zeszła na dół, stanęła w drzwiach kuchni i z niedowierzaniem spojrzała na siostrę, która siedziała przy stole z filiżanką kawy w jednej i papierosem w drugiej dłoni, a przed nią stał iPad połączony z przenośną klawiaturą. Psy zerwały się z legowisk i powitały swoją panią radosnym merdaniem ogonów.

— Cześć — odpowiedziała Kim i skrzywiła się. — Mój przeklęty zegar biologiczny budzi mnie również w dni wolne od pracy. I to punktualnie o siódmej rano. Dasz wiarę? A pamiętasz chyba, że zawsze lubiałam długo pospać.

— Mam gorszą wiadomość. Nici z miłego, wspólnego śniadania — oznajmiła Pia. Pogłaskała psy, po czym nalała sobie filiżankę kawy. — W Kelkheim znaleziono kolejną ofiarę.

— Weźmiesz mnie ze sobą? — Kim zamknęła iPada. — Za dwie minuty będę gotowa.

Kim od lat pracowała na stanowisku zastępcy dyrektora Szpitala Sądowego dla psychicznie i nerwowo chorych przy więzieniu nieopodal Hamburga, a poza tym cieszyła się doskonałą opinią specjalistki i biegłej sądowej powoływanej do sporządzania opinii zarówno przez prokuratury, jak i sądy. Neff wyjechał na święta i nie było szans, żeby pojawił się na miejscu kolejnej zbrodni, więc obecność kogoś, kto potrafi ocenić sytuację z zupełnie

innego punktu widzenia nie mogła nikomu zaszkodzić.

— W sumie... dlaczego nie? Ubieraj się. — Pia upiła łyk koszmarnej kawy. Nie zwróciła jednak uwagi na paskudny smak, bo zależało jej jedynie na działaniu kofeiny, a tej było w naparze pod dostatkiem.

Po kilku minutach siedziały już w samochodzie. Samochód terenowy Pii podskoczył hałaśliwie na progu bramy wyjazdowej z gospodarstwa.

— Ale amortyzatory to ty wymień — powiedziała Kim.

— Całe auto powinnam wymienić — odparła Pia smutno. — Muszę się pospieszyć, bo niedługo wypadnę przez podłogę razem z fotelem.

— Myślisz, że to znowu ten Snajper? — zapytała Kim.

Wczoraj wieczorem Pia opowiedziała jej o obu morderstwach, nad którymi aktualnie pracowała.

Tym razem ofiarą nie padła starsza kobieta, tylko młody mężczyzna. Co więcej, został zamordowany w święta. Jeśli więc sprawcą był Snajper, domniemania Neffa okazałyby się całkowicie bzdurne i bezwartościowe.

— Całkiem możliwe — odparła Pia, skręciła w B8 i przyspieszyła. Na wysokości zjazdu do Bad Soden minął ją srebrny mercedes kombi. Kierowca gwał, trąbiąc i nie zwracając uwagi na ograniczenie prędkości.

— No proszę, Henning już w drodze — powiedziała i pozdrowiła szybko oddalające się auto byłego męża kilkoma mrugnięciami długich świateł, po czym wdepnęła pedał gazu do samej podłogi. Stary silnik rzeźił głośno, ale wskazówka prędkościomierza powędrowała mozolnie w górę i zatrzymała się przy stu czterdziestu kilometrach na godzinę. To była maksymalna prędkość.

— Jak się czujesz, kiedy jedziesz na miejsce zbrodni? — Kim spojrzała na nią z zainteresowaniem. — Jesteś podekscytowana?

— Raczej spięta — odparła Pia. — W sumie człowiek nigdy nie wie, czego konkretnie może się spodziewać.

— A jak jedziesz przez okolicę, myślisz czasem: „O, tutaj kiedyś

znalazłam zwłoki”?

— Tak, często tak jest. — Pia potaknęła. — Mam w głowie coś w rodzaju mapy z pozaznaczanymi miejscami, w których znaleziono zwłoki. Jeszcze po latach pamiętam, gdzie się spalił czyjś dom albo gdzie ukryto ofiarę morderstwa.

Zwolniła i zredukowała bieg. Na skrzyżowaniu, na którym droga krajowa przechodziła w lokalną, skręciła w prawo, a po kilkuset metrach w lewo.

— To tutaj, kawałek przed nami. — Zatrzymała się za radiowozem. — Mój szef jest już na miejscu.

— OFIARA TO MAXIMILIAN GEHRKE, dwadzieścia siedem lat — tłumaczył młody komisarz policji, który pierwszy dotarł na miejsce znalezienia zwłok. — Szedł odwiedzić ojca, jak co dzień o ósmej rano. Zdaje się, że to był ich stały rytuał. Tak w każdym razie twierdzi sąsiadka, która go znalazła.

— Zauważyła coś dziwnego?

— Nie, niestety. Wyszła na spacer z psem i go zauważyła. To wszystko. Nie słyszała strzału.

— Dziękuję.

Bodenstein się rozejrzał. Zmarły leżał na brzuchu, z nogami na chodniku prowadzącym do jednej z willi, i torsem na poźółkłej zimowej trawie. Strzał musiał zabić go na miejscu, bo nawet nie zdążył wyjąć rąk z kieszeni, by je odruchowo wyprostować.

— To nie był strzał w głowę — stwierdził Bodenstein zdziwiony. Wciągnął jednorazowe rękawiczki i dotknął karku ofiary. Ciało nie było jeszcze zimne. Po lewej stronie pleców, mniej więcej na wysokości piersi, znajdowała się rana wlotowa. Jasnoszary materiał kurtki dookoła niej nasiąkł krwią.



— Strzał od tyłu, prosto w serce — odezwał się ktoś za jego plecami.

— Witaj, Henning. — Bodenstein odwrócił się. Przez chwilę nie wiedział, czy powinien przywitać medyka sądowego zwyczajowym „wesołych świąt”. Uznał jednak, że byłoby to nie na miejscu, zważywszy na sytuację, w jakiej przyszło im się spotkać. — Dzięki, że tak szybko przyjechałeś. Znaleźć kogoś w święta to nie jest prosta sprawa.

— Nie ma o czym mówić. W ogóle ta cała Gwiazdka jest strasznie przereklamowana. — Henning Kirchhoff otworzył aluminiową walizeczkę, wyjął z niej kombinezon jednorazowy, w który zaraz się ubrał, a na koniec włożył rękawiczki jednorazowe. — Co o tym myślisz? To ten sam sprawca, co w Niederhöchstadt i Oberursel?

— Nie jestem pewien. — Bodenstein odsunął się na bok. — Tamten dotychczas mordował ofiary strzałem w głowę. Dlaczego miałby zmienić swój sposób działania? Dzisiejszy sprawca, podobnie jak Snajper, również użył tłumika.

Na ulicy pojawił się stary samochód terenowy Pii i zatrzymał się za jednym z radiowozów. Bodenstein przyglądał się, jak jego współpracownica w towarzystwie nieznaney mu kobiety przechodzi na drugą stronę jezdni i podchodzi do furtki, przez którą zdążył przejść Maximilian Gehrke, zanim dosięgnął go śmiertelny strzał.

— Dzień dobry, szefie — przywitała się Pia. — I wesołych świąt.

— Dziękuję i nawzajem. — Bodenstein skinął głową.

— Pozwolisz, że przedstawię, to moja siostra. Przyjechała do mnie z wizytą.

— Bardzo mi miło. — Bodenstein podał jej dłoń. — Oliver von Bodenstein.

— Katharina Freitag, ale wolę, gdy mówi się Kim.

Miała silny, zdecydowany uścisk dłoni, pełne zainteresowania spojrzenie

i szaroniebieskie oczy otoczone gęstymi rzęsami. Podobieństwo między obiema siostrami było uderzające: identyczne, wystające kości policzkowe, szerokie, pełne usta i wysokie czoła, co u młodszej Kim bardziej rzucało się w oczy, bo naturalne blond włosy zaczesywała starannie do tyłu, podczas gdy Pia nosiła luźno spięty koński ogon.

— Wiem, to nie jest normalne, że ciągnę rodzinę na miejsce zbrodni — powiedziała Pia. — Ale Kim jest biegłą sądową z zakresu psychiatrii i może nam pomóc.

— Nie mnie o tym decydować — odparł Bodenstein. — Ale jeśli o mnie chodzi, to nie mam nic przeciwko.

Po drugiej stronie ulicy zebrało się kilkoro gapiów. Wiadomość o krwawym morderstwie rozeszła się lotem błyskawicy po luksusowej okolicy.

— Chciałbym teraz porozmawiać z ojcem ofiary — oznajmił Bodenstein, kiedy wprowadził Pię we wszystko, czego sam zdążył się dowiedzieć o ofierze. Henning kończył już oględziny ciała, ale widząc byłą szwagierkę, przerwał i przywitał się zaskoczony.

Przy krawężniku zatrzymał się niebieski bus, a ze środka wysiedli technicy odpowiedzialni za zabezpieczanie śladów. Kiedy Henning Kirchhoff zobaczył Christiana Krögera, na jego ustach pojawił się tryumfalny uśmiech.

— Pięć do siedmiu. Odrabiam straty — zwrócił się do Pii i Kim. — W tym roku Kröger siedem razy był szybciej przy zwłokach. Jeśli Snajper będzie dalej równie aktywny, mam jeszcze szansę na remis.

— Nawet tego nie skomentuję! — Pia z niedowierzaniem potrząsnęła głową. — Że też nie potraficie dać sobie spokoju z tymi głupimi wyścigami!

— To dlatego pędziłeś jak szalony po drodze publicznej? — zapytała Kim.

— Hm. No cóż, tak wyszło. — Najwyraźniej to wyznanie nie przyszło mu wcale łatwo.

— Dobrze, chodźmy może do środka — zwrócił się do Pii Bodenstein. — Nie chcę być przy tym, jak tych dwóch znów skoczy sobie do gardeł.

W SWOJEJ PRACY Pia spotykała codziennie różnych ludzi; młodych i starych, inteligentnych i tępych, praktycznych i marzycieli, uprzejmych i agresywnych, uczciwych i konfabulantów. Wielu z nich znajdowało się w stanie wzburzenia emocjonalnego, więc często nie potrafili udawać i — bezwiednie i czasem tylko na chwilę — pokazywali swoje prawdziwe oblicze. Praca Pii wymagała obiektywnego i neutralnego podejścia, lecz nawet ona nie potrafiła nie darzyć niektórych osób większą sympatią niż innych.

Szczerze współczuła Fritzowi Gehrke. Staruszek był załamany, a jednak starał się odpowiadać rzeczowo na wszystkie pytania Bodensteina. Jak wielu ludzi z jego pokolenia, nie pozwalał sobie na utratę kontroli i rozklejanie się. Młodzi tak nie potrafili i często wpadali w histerię. Zanosili się szlochem, krzyczeli i załamywali się emocjonalnie. On za to mobilizował wszystkie siły, byle tylko udzielić pomocnych odpowiedzi.

Od śmierci żony w 1995 roku mieszkał sam w tym wielkim domu, który zbudował ponad pięćdziesiąt lat wcześniej. Był pierwszą osobą, która tutaj zamieszkała, a dziś miał osiemdziesiąt jeden lat. Cierpiał na różne choroby związane z wiekiem, lecz nie wymienił ich z nazwy. Tak czy inaczej, całkiem dobrze dawał sobie radę. Miał gosposię, która dbała o codzienne funkcjonowanie domu, i tylko w niedzielę i święta miała wolne. Dwa razy dziennie przyjeżdżała pielęgniarka, a codziennie rano odwiedzał go syn Maximilian. Maximilian, jego jedyne dziecko, każdego ranka przynosił bułki i razem zjadali śniadanie, czytając gazety.

— Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ktoś mógłby chcieć zrobić coś takiego. Dlaczego ktoś celowo zabił mojego syna? — zapytał trzęsącym się

głosem.

Zaprosił ich do salonu, po czym usiadł w fotelu, gotów odpowiadać na pytania. Miał przerzedzone siwe włosy, był uczesany i starannie ubrany w koszulę, krawat i bordowy wełniany sweter. Dłoń zaciśniętą na lasce pokrywały starcze plamy. Dom był co prawda wiekowy, ale idealnie wysprzątany i bardzo zadbany. Trawertynowe posadzki błyszczały napastowane i nawet frędzle dywanu były starannie ułożone w jedną stronę.

— Max był skromnym, ciepłym młodzieńcem. — W jego oczach ukrytych za okularami w złotych oprawkach pojawiły się łzy. — Studiował pedagogikę ze specjalnością muzyczną, uczy w szkole muzycznej tu w Kelkheim i gra na organach. Poza tym prowadzi jeszcze chór w kościele Świętego Franciszka.

Wiedział, że jego syn nie żyje, a jednak nie potrafił się przemóc, by mówić o nim w czasie przeszłym.

— Gdzie mieszkał pański syn? — zapytał Bodenstein.

— Miał mieszkanie kawałek dalej, w Kelkheim, przy Frankfurterstrasse. — Fritz Gehrke wytarł nos w kwiecistą materiałową chusteczkę do nosa. — Proponowałem mu, żeby zamieszkał ze mną. W domu jest wydzielone mieszkanie, z osobnym wejściem. Ale dla niego ważniejsza jest samodzielność. Urodził się z ciężką wadą serca i wiele lat spędził w szpitalach, więc nie powinien się przemęczać. Nigdy nie mógł szaleć jak jego rówieśnicy, biegać czy grać w piłkę. Mimo to miał wielu przyjaciół, bo jest... bo był... przepraszam...

Staruszkowi załamał się głos. W milczeniu potrząsał głową, starając się odzyskać kontrolę nad emocjami.

Rozległo się pukanie. Pia przeprosiła i podeszła do drzwi wejściowych.

— Skończyliśmy już z ciałem. — Christian Kröger miał na sobie kombinezon jednorazowy i kaptur. — Udało nam się też znaleźć miejsce,

z którego strzelał. Chcesz zobaczyć?

Pia potaknęła i ruszyła za Krögerem na ulicę. Przywitała się z ludźmi z zakładu pogrzebowego, którzy pakowali zwłoki do plastikowego worka, żeby przetransportować je do Instytutu Medycyny Sądowej we Frankfurcie.

— Popatrz, tam, na górze. — Kröger wskazał na działkę po przeciwnej stronie ulicy, położoną sporo wyżej niż dom Gehrków i otoczoną żywopłotem z cisów. — Tam musiał stać.

— A to nie byłoby zbyt ryzykowne? — Pia była sceptyczna. — Poza tym mieszkańcy tamtego domu musieliby go zobaczyć.

— Otóż nie, to idealne miejsce. Chodź, sama się przekonasz.

Razem przeszli na drugą stronę ulicy. Dopiero tam Pia dostrzegła wąski chodnik ze schodami, prowadzący obok działki z żywopłotem do ulicy, która przebiegała jeszcze powyżej. Kiedy dotarli do żywopłotu, Kröger przeszedł przez niski płotek z siatki i zniknął między gałęziami.

— No dalej! — zawołał. — Ale idź dokładnie za mną. Tym razem sprawca zostawił ślady! Mamy odciski jego butów w śniegu!

Pia zeszła ze schodów, przeszła nad siatką i weszła między cisy. Ku jej zaskoczeniu, żywopłot wcale nie był tak gęsty, jak jej się wydawało. I rzeczywiście, widok na dom stojący w głębi działki zasłaniał potężny rododendron, jednocześnie oferując strzelcowi doskonałą kryjówkę.

— Tutaj. — Kröger wskazał miejsce na ziemi. — Tutaj stał i czekał. Wyciął sobie nawet mały prześwit w żywopłocie, dlatego dookoła leżą gałązki.

Pia podeszła bliżej i wyjrzała na ulicę. Nic nie zasłaniało domu Fritza Gehrkego.

— Przeprowadzimy oczywiście analizę balistyczną toru lotu pocisku — poinformował ją Kröger. — Ale dam sobie rękę uciąć, że mam rację i strzał został oddany dokładnie z tego miejsca. Potem strzelec wrócił tą samą drogą,

którą tu przyszedł. Schodami wyszedł na ulicę powyżej i tyle go widzieli. Może zostawił samochód gdzieś w okolicach ulicy Nachtigallenweg albo jeszcze dalej, między domami. Niestety, jest za mało śniegu, więc ślad znika. Tak czy inaczej, stamtąd tylko kilka sekund dzieliło go od B8.

Razem ruszyli schodami w górę, a kiedy dotarli do ulicy, Pia się rozejrzała.

— Masz rację — potaknęła. — To doskonała droga ucieczki.

Nagle rozdzwoniła się jej komórka. Wyjęła ją z kieszeni. Na wyświetlaczu nie pojawił się numer dzwoniącego, ale mimo to odebrała.

— Hähnel, Kelkheim. — Młody, męski głos, drżący z napięcia. — Właśnie otrzymaliśmy list dla was...

— Dla nas? — Pia trąciła Krögera i dała mu znak, żeby nigdzie nie szedł.

— Tak, zgadza się. Jest zaadresowany: „Wydział Zabójstw, Hofheim”.

— Kto wam go przyniósł?

— Staruszka z psem — odparł policjant z Kelkheim. — Jakiś mężczyzna podszedł do niej przy klasztorze i wcisnął jej kopertę do ręki.

— Macie jej nazwisko i adres?

— No przecież! — Policjant najwyraźniej poczuł się urażony.

— Świetnie. Zaraz u was będziemy. — Pia się rozłączyła.

— Co się dzieje? — Kröger spojrzał na nią z zainteresowaniem.

— Dyżurny z komisariatu w Kelkheim — odpowiedziała ponuro. — Przed chwilą przyszła do nich jakaś kobieta, żeby przekazać list zaadresowany do nas. Jeśli to Snajper, to gość jest cholernie bezczelny!

„MAXIMILIAN GEHRKE musiał zginąć przez swego ojca, winnego milczącej zgody na śmierć człowieka i przekupstwa”. Pia umieściła wydruk nekrologu na tablicy ściennej i zapisała nad nim dane ofiary oraz datę i godzinę śmierci. W sali odpraw K11 powoli zbierali się funkcjonariusze, do których dyżurnemu udało się dodzwonić. Wcześniej Pia i Bodenstein

podjechali do kobiety, która przyniosła list do komisariatu, jednak okazało się, że jako świadek nie będzie szczególnie pomocna. Mężczyzna, który napędził jej ogromnego stracha, wyglądał jak biegacz. Nie potrafiła nic powiedzieć o jego twarzy, bo miał ciemne okulary i szal podciągnięty do samego nosa. Na dodatek przez cały czas milczał.

— Trzy rzeczy wiemy o nim na pewno — zaczęła Pia. — Uderzył już trzy razy, dobrze zna okolicę i zabija z zemsty.

— Jak dotąd nie mamy jednak pojęcia, za co może się mścić — dodał Kai.

— Za to informacje w nekrologach brzmią bardzo rzeczowo — myślał na głos Bodenstein. — Może on się uważa za kogoś w rodzaju Robin Hooda?

— Raczej nie. — Kim zaczęła mówić w chwili, kiedy do sali weszła doktor Nicola Engel. — Gdyby tak było, starałby się zyskać jak największy rozgłos. To raczej coś osobistego.

— Ciekawe. — Dyrektorka pokiwała głową i przyjrzała się jej. — Kim pani jest, jeśli wolno spytać?

Kim i Pia w jednym momencie zerwały się z krzeseł.

— Doktor Kim Freitag — przedstawiła się siostra Pii i podała Nicoli dłoń. Kobieta zawahała się, ale po chwili ją uścisnęła. — Jestem siostrą Pii Kirchhoff. Przyjechałam do niej na święta.

— Rozumiem. Jednak nie mamy w zwyczaju włączania członków rodzin w śledztwa dotyczące morderstw. — Doktor Engel rzuciła Pii karcące spojrzenie. — Za chwilę będziemy gościć matki, rodzeństwo i dziadków, którzy w wolne dni akurat nie mają nic lepszego do roboty.

W jej głosie słychać było kpinę, która nie zwiastowała niczego dobrego. Chwilę wcześniej Pia była przekonana, że szefowa ucieszy się z profesjonalnego wsparcia, lecz teraz całkowicie straciła rezon.

— Ja... ja... — zaczęła.

— Ale zaraz, pani nazwisko coś mi mówi — oznajmiła doktor Engel, nie

zaszczycając Pii nawet jednym spojrzeniem, po czym przechyliła głowę i uważnie przyjrzała się Kim.

— Jestem zastępcą dyrektora Szpitala Sądowego dla psychicznie i nerwowo chorych Ochsenzoll w Hamburgu, a moje ekspertyzy zamawiane są przez sądy i prokuratury w całym kraju. — Z kieszeni oliwkowej kurtki Kim wyjęła wizytówkę i podała ją Nicoli. — Ostatnio pracowałam przy sprawie mordercy autostradowego z Karlsruhe. Specjalizuję się w ocenie sprawców seryjnych morderstw, gwałcicieli i pedofilów.

— Na początku grudnia brała pani udział w seminarium w Wiedniu i wygłosiła tam pani referat o psychobiologicznej charakterystyce sprawców przemocy, mam rację?

— Jak najbardziej. To seminarium miało miejsce w Pałacu Sprawiedliwości w ramach kongresu naukowego. — Kim się uśmiechnęła. — Wczoraj siostra opowiedziała mi o sprawie, którą akurat się zajmuje. Skojarzyłam ją z pewnym przypadkiem z USA, przy którym pracowałam.

— Boże, tylko nie John Allen Muhammad! — jęknął Kai znad laptopa.

— A jednak, to właśnie ta sprawa. — Kim pokiwała głową i zrobiła zaskoczoną minę. — Co w tym dziwnego?

— Nasz superekspert, kolega Neff z policji krajowej od kilku dni chwali się udziałem w jej wyjaśnieniu — wytłumaczył Ostermann. — Słuchając go, można odnieść wrażenie, że pracując dla FBI, samodzielnie odwalił całą robotę.

— Doprawdy? — Kim była jeszcze bardziej zdziwiona. — Dwa lata spędziłam w Quantico, ale powiem uczciwie, nie przypominam sobie, żeby w śledztwie brał udział jakiś funkcjonariusz z Niemiec.

— No dobrze. — Nicola Engel uznała, że najwyższy czas przerwać dyskusję. — Wróćmy do naszej sprawy. Po odprawie zapraszam do mojego biura, pani Freitag. Chciałabym zamienić z panią kilka słów na osobności.



— Oczywiście. — Kim znów się uśmiechnęła.

— Koleżanko Kirchhoff, proszę zreferować najnowsze ustalenia w sprawie — poprosiła Pię Nicola, zajmując jej krzesło.

Policjantka szybko przedstawiła fakty, naszkicowała na tablicy mapkę sytuacyjną miejsca zbrodni i zaznaczyła potencjalne drogi ucieczki.

— Jeśli chodzi o wykorzystaną amunicję, to ponownie jest to pocisk półpłaszczowy większego kalibru, a sprawca znów użył tłumika. — Pia zakończyła sprawozdanie. — Tym razem jednak po raz pierwszy zostawił ślady, a konkretniej odcisk buta na śniegu. Sprawcę widziała też staruszka, której przekazał list dla nas. Niestety, opis, który nam podała, jest bardzo ogólny.

— Na Wikipedii znalazłem ojca naszej dzisiejszej ofiary — odezwał się Kai. — Friedrich Gehrke urodzony w 1931 w Kolonii. Studia medyczne, małżeństwo z Marianne Seitz w 1953, ukończenie studiów dwa lata później. Praca w firmie teścia od 1958. I tak dalej, i tak dalej... żona umiera, firma rozrasta się i zmienia się w koncern... bla, bla, bla... 1982 drugie małżeństwo. 1998 firmę kupuje inwestor z USA. Cała masa odznaczeń, między innymi Krzyż Zasługi I klasy.

— To bla, bla, bla może być całkiem interesujące — przerwał mu Bodenstein. — I co to za firma konkretnie?

— Zaczynali od fabryki produkującej tabletki na żołądek — przeczytał Kai. — Seitz&Synowie. Ale Seitz nie miał synów, więc zmienił nazwę na Seitz&Zięć. A Gehrke był bardzo pracowity i z niewielkiej manufaktury zrobił wielki koncern farmaceutyczny SANTEX, specjalizujący się w produkcji leków bez recepty do obrotu pozaaptecznego. W 1998 sprzedał firmę za dwa miliardy dolarów koncernowi ze Stanów. Biedny to on nie jest.

— Jedna rzecz nie daje mi spokoju i uważam, że trzeba się nad nią zastanowić — włączyła się do rozmowy Kim. — Dwie pierwsze ofiary

Snajpera zginęły od strzałów w głowę. Tymczasem Maximilian Gehrke został zamordowany strzałem w serce. A jego ojciec wspomniał, że syn chorował na serce.

Bodenstein potaknął.

— Przed kilkoma laty poddał się operacji przeszczepu serca — potwierdził.

— Być może sprawca wiedział o tym i celowo zniszczył organ otrzymany od dawcy — dywagowała Kim. — Żeby w ten sposób pokazać swoją wszechwładzę.

Przez chwilę panowała cisza.

— Przecież to może być cecha wspólna łącząca wszystkie ofiary! — Bodenstein zerwał się na równe nogi i podszedł do tablicy. W jego oczach błyszczała ekscytacja. — Nasz pierwszy punkt zaczepienia!

Palcem postukał w zdjęcie Margarethe Rudolf.

— Jej mąż jest chirurgiem transplantologiem, a nasza ostatnia ofiara żyła z przeszczepionym sercem! To nie może być przypadek!

Ostermann stukał w klawiaturę, pospiesznie wpisując coś w wyszukiwarce.

— Profesor Dieter Paul Rudolf, urodzony w 1950 roku w Marburgu — przeczytał na głos chwilę później, po czym zagwizdał przeciągle. — Ten gość to chodząca encyklika, tfu, znaczy encyklopedia transplantologii! Pracował między innymi z Christiaanem Barnardem w Kapsztadzie, potem na uniwersytecie w Zurychu i w klinice uniwersyteckiej Hamburg-Eppendorf. Opracował kilka nowych procedur operacyjnych i jest uważany za jednego z najlepszych krajowych specjalistów od przeszczepu serca. Od 1994 dyrektor Szpitala Urazowego we Frankfurcie. W 2004 roku porzucił to stanowisko na rzecz prywatnego szpitala w Bad Homburg i tam pracuje do dzisiaj. Napisał kilkadziesiąt książek i otrzymał całą kupę odznaczeń.

— Ile może być w okolicach szpitali, w których wykonuje się przeszczepy serca? — myślał na głos Bodenstein. — Powinniśmy porozmawiać z profesorem Rudolfem. Może będzie pamiętał pacjenta o nazwisku Gehrke.

SZARY PORANEK zmienił się w szary dzień. Bodenstein odebrał z dyżurki kluczyki do samochodu służbowego i zamyślony szedł wolnym krokiem przez dziedziniec w kierunku garaży. Odszukał samochód, do którego miał dokumenty, otworzył drzwi i wsiadł za kierownicę, żeby poczekać w środku na Pię i jej siostrę, które wciąż jeszcze rozmawiały z Nicolą Engel.

Od rozmowy z matką Cosimy, którą odwiózł poprzedniego wieczoru do domu, Bodenstein czuł się trochę, jakby znalazł się w jakimś nierzeczywistym świecie. Zaufanie Gabrieli bardzo mu schlebiało i cieszyło go, lecz jednocześnie wywoływało niepokój. W jego rodzinnym domu nigdy się nie przelewało; poza pałacem i przynależnymi do niego terenami rozciągającymi się między Schneidhain a Fischbach Bodensteinowie nie posiadali materialnego majątku. Oliver nie znał się na zarządzaniu kapitałem i nic nie wiedział o bankach, a wyglądało na to, że przyjdzie mu się tym zajmować. Nawet gdyby nie zgodził się na plan Gabrieli, by już teraz przejąć zarząd nad jej majątkiem, nie miał wpływu na to, że uczyniła go głównym spadkobiercą i depozytariuszem jej pieniędzy i nieruchomości, którymi miałyby zarządzać, by przekazać je dalej swoim dzieciom. Jej prawnicy, bankierzy i zarząd fundacji błyskawicznie się zorientują, że nie ma bladego pojęcia o rzeczach, nad którymi winien mieć pieczę, i prawdopodobnie równie szybko zaczną wyprowadzać pieniądze i go okradać. Wyobrażał sobie również reakcję Cosimy, kiedy dowie się o decyzji matki. Dawniej zawsze myślał, że byłej żonie zupełnie nie zależy na pieniądzach. Jednak łatwo zachowywać się tak, jakby pieniądze nie były ważne, jeśli miało się ich tyle, ile miała jej rodzina. Po śmierci ojca Cosima otrzymała potężną sumę

w spadku. Finansowała z tego swoje projekty filmowe, podróże i życie. Przy jej stanie posiadania urzędnicza pensja Olivera wydawała się śmiesznie żałosna. Nie było nawet mowy, żeby mógł sobie pozwolić na postawienie domu w jednej z najlepszych dzielnic Kelkheim, gdzie zamieszkali przed dwudziestu laty, bądź zapewnić dzieciom naukę w najlepszych prywatnych szkołach. Większość mężczyzn nie potrafiłaby żyć u boku znacznie bogatszej żony, która może sobie na wszystko pozwolić. Jednak Bodenstein, dzięki surowemu wychowaniu i wrodzonej skromności nigdy nie czuł się z tego powodu źle. Teraz wszystko miało się zmienić. Nie będzie musiał pracować w policji. Tylko co miałby robić z życiem, gdyby porzucił zajęcie, które było dla niego czymś więcej niż tylko sposobem na zarabianie pieniędzy? Już poprzedniego wieczoru, wracając z Bad Homburg, postanowił, że przynajmniej na początku z nikim nie podzieli się tą wiadomością. Nawet Ince nie piśnie ani słówka. Zwłaszcza jej. Często reagowała bardzo emocjonalnie, gdy rozmawiał przez telefon z Cosimą albo kiedy jechał odebrać Sopię od byłej żony. Nieważne, ile razy i jak gorąco zapewniał ją, że między nim a Cosimą wszystko skończone, Inka zdawała się nie do końca w to wierzyć. Przyjmując ofertę Gabrieli, wiązał się z rodziną byłej żony pewnie nawet bardziej niż w czasach małżeństwa z nią.

— No, już jesteśmy! — oznajmiła Pia, otwierając drzwi pasażera. Bodenstein podskoczył przestraszony, bo zamyślony nie zauważył, że podeszły do samochodu. — Telefony grzeją się do czerwoności, a Kai przeklina, aż uszy więdną. Prasa zwąchała jakoś sprawę kolejnego mordu.

— Wcale nie uważam, żeby było w tym coś złego. — Bodenstein uruchomił silnik. — Przy odrobinie szczęścia znajdzie się ktoś, kto zauważył coś interesującego.

Spojrzał w lusterko wsteczne.

— Jak poszło u Engel? Czego od pani chciała?

— Uznała, że posiadam wystarczające kompetencje, by was wesprzeć. — Kim się uśmiechnęła. — Jednak bardzo jednoznacznie dała mi do zrozumienia, że jestem tu tylko gościem. Nie mam co liczyć na wynagrodzenie i nie mam prawa wysuwać jakichkolwiek roszczeń, dopóki Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nam nie pobłogosławi i nie zostanie zewnętrzną doradczynią. Dopiero wtedy może mnie oficjalnie wciągnąć na listę współpracujących osób. Mnie to w każdym razie nie przeszkadza. Mam tyle zaległego urlopu, że lepiej i tak bym go nie wykorzystała.

— W takim razie witam serdecznie w naszym zespole i życzę powodzenia! — Bodenstein uśmiechnął się do niej ciepło. — Nicola Engel nie jest osobą, którą łatwo do siebie przekonać.

Kim bardzo mu się spodobała. Była równie bystra i inteligentna jak siostra, posiadała dużą siłę przekonywania i nie opuszczała jej poczucie humoru.

— Ona jest profesjonalistką, ja też, więc nie było źle — odparła Kim. — Poza tym wyjątkowe sytuacje wymagają wyjątkowych środków.

— Święte słowa! — Bodenstein ze śmiechem pokiwał głową i wyjechał na dziwnie pustą ulicę.

DWADZIEŚCIA MINUT później on, Pia i Kim stanęli przed córką profesora Rudolfa. Kobieta była ubrana na czarno i widać było, że od czwartku wieczór nie zaznała zbyt wiele odpoczynku. Miała bladą skórę, miejscami wręcz poszarzałą, i zapuchnięte, podbiegnięte krwią oczy.

— Dzień dobry. — Bodenstein podał jej dłoń. — Jak się pani czuje? A pani córka?

— Przestała się odzywać. Z nikim nie rozmawia i nic nie mówi — odparła kobieta. — Mój były mąż zabrał ją ze swoją nową rodziną do dziadków, do ich domu nad jeziorem Starnberger See.

— Świetne rozwiązanie. — Oliver pokiwał głową. — Czy dla pani zmiana

otoczenia również nie byłaby najlepszym wyjściem?

— Może i tak, ale nie mogę zostawić ojca samego. — Karoline Albrecht poprawiła wełniany sweter, owinęła się nim szczelniej i założyła ramiona na piersiach. — Poza tym muszę się zająć organizacją pogrzebu mamy.

W jej zielonych oczach widniała bezdenne rozpacz. Wyjątkowo rzadko Bodenstein widywał równie silne emocje. Świadomość jej rozpacz i żałoby dotarła do niego nagle z siłą, na jaką nie był przygotowany. W normalnych warunkach bez problemu potrafił zachować profesjonalny dystans i obiektywizm w kontaktach z osobami, które w wyniku morderstwa straciły bliskich — wyćwiczył to podejście przez lata pracy w policji. Teraz jednak wzruszało go coś w tej kobiecie, która stała naprzeciwko niego nieco przygarbiona i z kamienną miną walczyła ze sobą, by pokazać innym siłę i opanowanie.

— Czy któraś z przyjaciółek nie mogłaby pani pomóc i wesprzeć w takim momencie? — podpowiedział delikatnie.

— Są święta — przypomniała Karoline. — Nie chcę i nie mam prawa od nikogo tego wymagać. Poza tym daję sobie radę. Życie musi toczyć się dalej.

Bodenstein położył jej dłoń na ramieniu i ścisnął lekko. Tak, ona da sobie radę. Karoline Albrecht była silną kobietą. Zły los jej nie złamie, nawet jeśli przez chwilę miała takie wrażenie.

— Chcielibyśmy zamienić kilka słów z pani ojcem — powiedział.  
— Byłaby pani tak uprzejma i nas zapowiedziała?

— Oczywiście, zapraszam do środka.

Weszli do domu. W powietrzu czuło się znacznie lepszy zapach, niż kiedy byli tu poprzednim razem. Stół w salonie został uprzątnięty i nie było śladu po świątecznych ozdobach. Karoline Albrecht zniknęła za drzwiami wychodzącymi z salonu. Wróciła po kilku chwilach.

— Ojciec oczekuje państwa w swoim gabinecie — powiedziała i wskazała

kierunek.

Profesor Rudolf przez ostatnie dni przeżywał katusze, które odcisnęły swoje piętno na jego twarzy. Siedział za biurkiem, otoczony regałami z książkami zajmującymi całe ściany od podłogi po sufit, i wyglądał jak cień samego siebie. Kiedy weszli, nawet nie wstał, żeby ich przywitać.

— Zostawisz nas samych? — poprosił córkę. Karoline bez słowa wyszła i delikatnie zamknęła za sobą drzwi. Bodenstein opowiedział profesorowi o kolejnym morderstwie, które miało miejsce tego ranka w Kelkheim.

— Ofiarą jest młody, dwudziestosiedmioletni mężczyzna — zakończył. — Od jego ojca wiemy, że od urodzenia chorował na serce i że uratował go dopiero przeszczep.

— Straszne. — Profesor potrząsnął głową, choć bez wielkiego zainteresowania.

— Pomyśleliśmy, że może jego nazwisko będzie panu znane. Nazywał się Maximilian Gehrke.

— Gehrke? Przykro mi, ale nie pamiętam nikogo o takim nazwisku — zaprzeczył profesor. — Przeszczepami zajmuję się na co dzień od przeszło dwudziestu lat. Tyle już ich było, że trudno mi przypomnieć sobie pojedynczego pacjenta.

— Ale może pamięta pan szczególne, niecodzienne przypadki? — wtrąciła się do rozmowy Kim. — Maximilian musiał być bardzo młody, kiedy trafił do lekarza. Dziecko z ciężką wrodzoną wadą serca. Proszę, może się pan jeszcze zastanowi?

Mężczyzna zdjął okulary, potarł zaczerwienione oczy i zaczął myśleć.

— A jednak — odezwał się w końcu i uniósł wzrok. — Teraz pamiętam tego chłopca. Urodził się z tetralogią Fallota. Ta siniczna wada serca przerodziła się z biegiem czasu w hipertrofię prawej komory i prawego przedsionka. Do tego doszło jeszcze kilka innych niekorzystnych

okoliczności. Po kilku operacjach, które nie przyniosły spodziewanej poprawy, chłopak właściwie stracił szanse na przeżycie. Ostatnią, jaka mu została, było HTX, czyli przeszczep serca.

Bodenstein i Pia wymienili spojrzenia. Czyżby trafili właśnie na punkt zwrotny śledztwa? Czy udało im się ustalić okoliczności łączące ofiary Snajpera?

— A czy nazwisko Ingeborg Rohleder cokolwiek panu mówi? — zapytała Pia.

— Co to za osoba? — Profesor założył okulary.

— To pierwsza ofiara — wyjaśniła. — Miała siedemdziesiąt cztery lata i mieszkała w Esch... przepraszam, w Niederhöchstadt.

— No tak, już chyba o nią pytaliście, prawda? Ale niestety, nie wiem, co to za osoba. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z tym nazwiskiem. Czy to wszystko?

— Nie, jeszcze nie. — Bodenstein szukał odpowiednich słów, by poruszyć delikatny temat. — Czy myślał pan jeszcze może nad listem od sprawcy i tym, co chciał przekazać?

— Może mi pan wierzyć albo nie, ale od kiedy mi go pokazaliście, bez przerwy łamię sobie głowę, czego to dotyczy. — Starszy mężczyzna zgarbił się mimowolnie. — Mimo najlepszych chęci nie potrafię tego zrozumieć. Przez te wszystkie lata, od kiedy tylko pracuję jako lekarz, nigdy jeszcze nie miałem problemów z rodziną pacjenta czy pacjentki.

Pożegnali się i wyszli na zewnątrz, lecz sami, bo Karoline Albrecht już się nie pojawiła.

— Rany, to niesamowite, że ci się udało skłonić go do zastanowienia! — Pia z uznaniem spojrzała na siostrę, kiedy szli w stronę samochodu.

— Pomyślałam o tej mapie, którą masz w głowie. — Kim się uśmiechnęła. — O tym, że nie zapominasz żadnych zwłok i żadnego miejsca zbrodni.



Miałam nadzieję, że ten lekarz ma podobnie.

— Dzięki temu mamy w końcu coś, co łączy dwie ofiary. — Pia podciągnęła zamek kurtki pod samą szyję. — Tylko co nam to daje? Nie mamy najmniejszego użytecznego dowodu czy wskazówki i to mnie doprowadza do szału! Sprawca musiał bardzo dużo wiedzieć o swoich ofiarach, o ich przyzwyczajeniach, planie dnia i o życiu prywatnym. Wyszukał sobie miejsca, w których mógł spokojnie czekać, aż się pojawią. Strzelał, a potem znikał bez śladu. Jak to w ogóle jest możliwe? Naprawdę nikt go nie widział?

— Może ludzie go widzieli, kto wie? Tylko nie zwracali na niego uwagi — wyjaśniła Kim. — Dokładnie na takiej samej zasadzie, jak my teraz widzimy z przodu człowieka z psem. Za dziesięć sekund nie będziesz pamiętała, że na niego patrzyłaś, bo nie zrobił niczego, co zwróciłoby twoją uwagę. Sprawca jest człowiekiem, który potrafi się wtopić w otoczenie i przede wszystkim nie przyciągać niczyjej uwagi.

— Jeśli chodzi o ten list z rana, to coś z nim jest nie tak. — Pia zmieniła temat. — Sprawca musi się cholernie pewnie czuć, bo decyduje się na ryzyko, że go zdemaskujemy.

— To ryzyko wcale nie jest duże — zaprotestował Bodenstein. — Jestem pewny, że starannie wybrał tę staruszkę, której wcisnął do ręki swój list. To starsza bojaźliwa kobieta, a poza tym nie zapominaj, że działał z zaskoczenia. Nie lekceważ go! Snajper nie zostawia niczego przypadkowi!

— Prędzej czy później i tak popełni błąd — zauważyła Pia.

— Ja bym wolał na to nie czekać. — Bodenstein otworzył samochód. — Z dnia na dzień będzie wzrastał nacisk, żebyśmy go znaleźli. Już teraz ludzie wpadają w panikę.

— A sprawca nie poprzestanie na tych trzech ofiarach — ostrzegła Kim. — Teraz zależy mu na uwadze.

— To dajmy mu tyle uwagi, ile tylko się da! — stwierdziła Pia. — Pójdźmy z tym do prasy, z każdym, najdrobniejszym szczegółem! Uspokoimy w ten sposób ludzi, bo rozumieją, że bezpośrednio nic im nie grozi.

— Nie odważyłbym się na taki krok. — Bodenstein potrząsnął głową i uruchomił silnik. — To może spowodować, że będzie więcej ofiar, za które my poniesiemy odpowiedzialność.

— Odpowiedzialność za ofiary ponosi jedynie sprawca — poprawiła go Kim.

OTWORZYŁA ZAMRAŻARKĘ i gdy ujrzała zapas plastikowych pojemników, jej oczy wypełniły się łzami. Mama była zawsze tak bardzo oszczędna! Prawie nigdy niczego nie wyrzucała. Starannie myła słoiki po dżemach i ogórkach, żeby później wykorzystać je do własnych zapraw i kompotów. Tak samo postępowała z plastikowymi pudełkami po lodach, których używała do zamrażania jedzenia, i zawsze starannie opisywała ich zawartość. „Gulasz szegedyński”. Karoline odczytała staranne odręczne pismo matki. „12.09.2012”.

— Mamo! Mamo... — wyszeptała i otarła łzy z policzków. — Ty wiesz, jaka marna ze mnie kucharka.

Wyjęła opakowanie z gulaszem, zamknęła wieko zamrażarki i stromymi schodami wyszła z piwnicy. Od rozmowy z policją ojciec nie opuszczał gabinetu, lecz Karoline to nie przeszkadzało, bo jego obecność utrudniałaby jej ten swoisty dialog z matką. Nie pasował tutaj. A w każdym razie na pewno nie za dnia. Jak daleko sięgała pamięcią, ojciec wychodził z domu o siódmej rano i rzadko się zdarzało, by wrócił przed dziesiątą wieczorem. Mama nigdy się na to nie skarżyła, a kiedyś nawet wyznała córce, że niemal boi się momentu, kiedy jej mąż przejdzie na emeryturę i całe dni będzie

spędzał w domu. Matka Karoline świetnie odnalazła się w takim życiu. Miała bardzo wiele zajęć i rozwijała swoje zainteresowania, których mąż niestety nie podzielał. Dla niego liczyła się tylko praca i nic więcej.

To tak jak dla mnie — pomyślała Karoline i z trudem powstrzymała się od płaczu. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego przez ostatnich dwadzieścia lat pracowała jak szalona, zamiast spędzać czas z rodziną i przyjaciółmi. Wszystko, co wcześniej było dla niej ważne, nagle stało się przerażająco banalne. Z jednej strony szkoliła najlepszych zarządzających na świecie, mówiła im o wartościach, o równoważeniu braków osobowościowych, o systemach zarządzania czasem i o strategiach poprawy kultury przedsiębiorstwa, a z drugiej w prywatnym życiu zaniedbała wszystkie te wartości, o których z takim przekonaniem perorowała. W pogoni za sukcesem i uznaniem zniszczyła nie tylko swoje małżeństwo, ale też wszystkie przyjaźnie i znajomości. Policjant zapytał ją, czy jakaś przyjaciółka mogłaby przyjechać się nią zająć. Nie, nie mogłaby. Bo nie miała już żadnych przyjaciółek. Taka była smutna prawda. Jediną bliską jej osobą była matka, lecz ona odeszła. Śmierć matki otworzyła w jej wnętrzu jakieś drzwi, które skrywały próżnię — przestrzeń, którą u innych ludzi z normalnym życiem wypełniały wspomnienia, przeżycia, miłości, szczęście, przyjaciele, kochankowie i ci wszyscy, którzy są bliscy i się liczą. Ona nie miała czego wspominać. Prócz żałoby po matce dręczyła ją nagła świadomość, jak powierzchowne, pozbawione sensu i pełne pozorów życie prowadziła.

Karoline zmusiła się, by wejść do kuchni. Dawniej kochała to miejsce, które stanowiło centrum jej rodzinnego domu. To było królestwo mamy, w którym kuchenka nigdy nie stała pusta, a z piekarnika unosiły się smakowite zapachy. Na szerokich parapetach stały doniczki z ziołami, a na drewnianych półkach leżały czosnek i cebula. Dziś ta sama kuchnia nie

posiadała już wcześniejszego czaru: teraz budziła grozę. Szybę rozbitą przez kulę prowizorycznie zastąpił kawałek tektury wklejony taśmą. Poza tym drobiazgiem nic nie przypominało o czwartkowym wieczorze. Ludzie, którzy przyszli posprzątać, byli bardzo dokładni. Karoline wyjęła z szuflady garnek, włożyła do niego zamrożony gulasz i postawiła na kuchence. Potem otworzyła opakowanie lanych klusek i na drugi palnik wstawiła garnek z osoloną wodą. Jedynie taka ucieczka w codzienne obowiązki chroniła jej świat przed legnięciem w gruzach, a ją przed pogrążeniem się w przerażającym odrętwieniu. Karoline nie brała tabletek, które przepisał jej lekarz, a mimo to czuła się otumaniona. Kiedy psychiatra z policyjnego zespołu interwencyjnego zaproponował jej rozmowę, również grzecznie odmówiła. Nie chciała mówić, bo nie było o czym. Z szokiem po śmierci matki musiała poradzić sobie sama. Jedyne, czego potrzebowała, to czasu. Musiała zrozumieć i zaakceptować to, co się stało. Przemyśleć to. I znaleźć drogę naprzód.

Karoline wyjrzała przez okno na przykryty śniegiem ogród. Tam, za ogołoconym z liści żywopłotem czaiła się śmierć. Policjanci powiedzieli, że strzelec leżał na dachu budki transformatorowej i stamtąd oddał strzał. Ale... dlaczego? W gazetach i telewizji twierdzili, że Snajper wybiera swoje ofiary przypadkowo. Pierwszą zamordowaną przez niego osobą była jakaś staruszka, która wyszła z psem na spacer. Dziś rano zaatakował ponownie, tym razem zabijając jakiegoś młodego mężczyznę, który zbliżał się do drzwi domu swojego ojca. To mogły być przypadkowe ofiary szaleńca, które złym zrządzeniem losu znalazły się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Tymczasem jej matka była w kuchni, w swoim domu, ukrytym na końcu ślepej uliczki i otoczonym żywopłotem! Nie ma mowy, żeby to mógł być przypadek! Sprawca musiał wszystko bardzo starannie zaplanować.

Woda na lane kluski zaczęła się gotować. Karoline otrząsnęła się

z zamyślenia, podeszła do kuchenki i zmniejszyła gaz.

Niespodziewanie przerzedziła się mgła rozpaczy i bezradności, pośród której błąkała się od czwartkowego wieczoru: jej matka nie zginęła przypadkowo! W takim razie dlaczego musiała umrzeć? Czy było coś, o czym matka jej nie powiedziała? Coś, co przed nią ukryła? Jakaś tajemnica sprzed lat, którą zachowała tylko dla siebie? Zrobiła coś, o czym nie chciała mówić? Karoline postanowiła, że musi się tego dowiedzieć. Koniecznie. Inaczej nigdy już nie zazna spokoju.

KOLEDZY Z DOCHODZENIÓWKI bardzo skrupulatnie przeszukali mieszkanie Maximiliana Gehrkego i przywieźli do komendy kilka dużych kartonów, w których znajdowały się dzienniki, listy i inne rzeczy osobiste ofiary. Bodenstein pojechał po raz kolejny spotkać się z Fritzem Gehrkiem, a Pia, Kim i Kai Ostermann zajęli się przeglądaniem zawartości pudeł. Maximilian był wyjątkowo sumiennym kronikarzem i obszernie opisywał swoje życie w pamiętnikach. Było to dość niezwykłe jak na tak młodego mężczyznę, lecz już pobieżna lektura jego dzienników pozwalała zrozumieć, skąd brała się ta pasja pisania. Z powodu ciężkiej choroby jego dzieciństwo i młodość przypominały raczej życie w złotej klatce. Co więcej, kiedy miał dziesięć lat, zmarła jego matka. To z pewnością nie mogło być łatwe dla młodego chłopaka, jednak Maximilian nie przelewał na karty pamiętników żalu czy rozgoryczenia. Jego wielką miłością były muzyka i książki; grał na pianinie i na organach i uwielbiał czytać. Często pisał recenzje książek i koncertów.

„Zdaję sobie sprawę, że nigdy się nie zestarzeję” — przeczytała Pia w dzienniku z 2000 roku. „I właśnie dlatego kocham życie tak bardzo, jak się tylko da. Tata cały czas żyje nadzieją, że pewnego dnia znajdzie się odpowiedni dawca, a moje ciało będzie dość zdrowe, by przyjąć przeszczep.

Nie wiem, czy powinienem się cieszyć i czekać na taką możliwość, bo przecież transplantacja oznacza, że ktoś inny musi umrzeć — ktoś młody, bo serc starszych osób się nie przeszczepia”.

— Niesamowita dojrzałość jak na piętnastolatka — stwierdził Kai.

— Nie ma się czemu dziwić — odparła Kim. — Mierzył się z tym tematem właściwie całe życie. Tym smutniejsze, że mimo wszystko nie dożył starości.

Każde morderstwo stanowi wyzwanie, by odnaleźć porządek i powiązania między pozornie chaotycznymi i niełączącymi się ze sobą szczegółami i faktami. Trzeba poznać życie ofiary i jej pełną historię, by ustalić motyw i odnaleźć sprawcę. Pod koniec takiej analizy Pia nierzadko wiedziała o zamordowanym więcej niż jego czy jej grono przyjaciół, czy nawet rodzina. Mimo to nie mogła dopuścić, by powstała między nią a ofiarą jakakolwiek więź emocjonalna. Współczucie dla zamordowanego czy wściekłość na sprawcę wpływałyby na jej obiektywizm. Niezliczonym godzinom spędzonym w podziemiach Instytutu Medycyny Sądowej zawdzięczała umiejętność postrzegania ofiary nie jako człowieka, lecz przede wszystkim jako obiektu kryminalistycznego dochodzenia. Tym razem miała trudności z utrzymaniem odpowiedniego dystansu; czuła to z każdą kolejną przeczytaną stroną jego pamiętników. Maximilian Gehrke był co prawda ofiarą, tak samo jak Ingeborg Rohleder czy Margarethe Rudolf, lecz choć sprawca zabił ich, w gruncie rzeczy to nie oni byli jego celem. Musieli umrzeć, bo działania ich najbliższych stanowiły w oczach mordercy niesprawiedliwość, za którą postanowił się zemścić.

— Mam! — krzyknęła podniecona Kim. — Słuchajcie, coś znalazłam! Szesnastego września dwa tysiące drugiego roku Maximilian zapisał, że znaleziono odpowiedniego dawcę i już wieczorem musi być w szpitalu.

Kai i Pia podnieśli wzrok. Kim przeczytała kilka zdań, przerzuciła parę

stron i czytała dalej. Siedemnastolatek miał problem z tym, że w jego ciele znalazł się organ innego człowieka. I mimo że już po paru tygodniach od przeszczepu czuł się znacznie lepiej, nie mógł przestać poszukiwać informacji o pochodzeniu swojego nowego serca. Co się stało z dawcą? Dlaczego musiał tak wcześnie umrzeć? Maximilian Gehrke uparł się, że zrobi wszystko, żeby poznać dane dawcy i w końcu dopiął swego.

— Jego serce pochodziło od niejakiej Kirsten Stadler — czytała Kim. — Dowiedział się tego od jednej z pracownic Szpitala Urazowego we Frankfurcie, ale nie napisał niestety od kogo.

Ostermann przysunął laptop i wpisał nazwisko dawczyni do komputerowej bazy danych, a potem w wyszukiwarce Google.

— W Internecie jest kilkadziesiąt osób o nazwisku Kirsten Stadler, ale nie ma tej, której szukamy — mruknął. — Na samym Facebooku jest czternaście profili pod takim nazwiskiem.

— Myślicie, że jego ojciec o tym nie wiedział? — Pia popatrzyła na nich sceptycznie.

— Mógł nie wiedzieć — potaknęła Kim. — W Niemczech biorcy nie poznają tożsamości dawców. Zupełnie inaczej jest w Stanach Zjednoczonych. Tam całkiem normalną rzeczą są spotkania biorcy z rodziną dawcy.

— A ja wam powiem, że nie wierzę, żeby Maximilian wspomniał o tym ojcu — stwierdził Kai. — Nazwisko tej kobiety poznał w nie do końca legalny sposób i nie drążył dalej tematu. Nie usiłował nawiązywać kontaktu z rodziną Kirsten.

Pia odłożyła do kartonu dziennik, który właśnie czytała, i sięgnęła po telefon, żeby dać znać Bodensteinowi. Nazwisko Stadler było nowym śladem, a każdy nowy ślad mógł prowadzić do przełomu i trzeba było go zbadać, nawet jeśli w trakcie dochodzenia miałyby okazać się ślepa uliczka.

*OPUŚCIŁ BRAMĘ i przekręcił klucz w zamku. Potem wsiadł za kierownicę*

auta, którego silnik już działał, i ruszył uliczką między ciągnącymi się w nieskończoność szeregami garaży. W końcu dotarł do ulicy. Święta i powszechna psychoza wywołana atakami Snajpera sprawiły, że ludzie woleli zostać w domach. W drodze na autostradę nie minął go żaden inny samochód. W pierwotnym planie zamierzał zostawić więcej czasu między kolejnymi egzekucjami, jednak teoria to jedno, a praktyka to zupełnie co innego. Policja zorganizowała grupę specjalną pod pełnym fantazji kryptonimem „Snajper”. Nie miał wątpliwości, że prędzej czy później go dopadną. Zbrodnia doskonała nie istnieje, a i on nie miał ambicji, by taką zaplanować. Z każdą kolejną ofiarą zostawiał coraz więcej śladów, ryzyko rosło, a policja w końcu się połapie, o co mu chodzi. Dlatego nie mógł czekać. Miał jeszcze kilka rzeczy do załatwienia. Niestety, pogoda w najbliższych dwóch dniach miała pokrzyżować mu plany, bo prognozy zapowiadały deszcz i wiatr, a to skrajnie złe warunki, jeśli chodzi o oddanie strzału z ośmiuset metrów. Jednak na piątek zapowiedziano przejaśnienia i brak wiatru. Czyli idealnie. Do piątku będzie zachowywał się najnormalniej na świecie i nie będzie zwracał na siebie uwagi. Mimo wskazówek, które przekazał w nekrologach, policja wciąż błędziła po omacku. I przy odrobinie szczęścia jeszcze przez jakiś czas tak pozostanie.



Na poranną odprawę grupy specjalnej „Snajper” w dzień po świętach przybył cały wydział K11. Cem Altunay przerwał urlop w Turcji, a Kathrin Fachinger wykurowała się na tyle, że mogła bez przeszkód wrócić do pracy.

— Dlaczego nie zostałem poinformowany o morderstwie w pierwsze święto? — utyskiwał Andreas Neff, stojąc przed Bodensteinem. — Jak mamy konstruktywnie współpracować, jeśli doświadczam tutaj bezustannego mobbingu?

— Ależ nikt pana nie mobbuje — zapewnił go Oliver. — Znacznie łatwiej byłoby pana zawiadomić, gdyby zostawił nam pan numer telefonu, pod którym da się pana zastać również w dni wolne od pracy.

— Przecież zostawiłem!

— No nie wiem. Kilka razy próbowałem się do pana dodzwonić — oznajmił Ostermann. — Miał pan wyłączoną komórkę i nie uruchomił pan poczty głosowej. Przez Facebooka nie chciałem pana szukać.

Kilka osób uśmiechnęło się dyskretnie. Neff wyjął telefon z kieszeni i zabrał się za sprawdzanie listy połączeń, a gdy skończył, nic już nie powiedział.

Kiedy do sali odpraw weszła doktor Nicola Engel, wszystkie rozmowy ucichły jak nożem uciął. Kobieta podeszła do głównej tablicy na ścianie i przesunęła wzrokiem po zebranych.

— Mam nadzieję, że święta były dla wszystkich udane. A teraz proszę się skupić na pracy — zaczęła. — Na początku chciałabym przedstawić nową członkinię naszego zespołu: doktor Kim Freitag, zastępca dyrektora Szpitala Sądowego Ochsenzoll w Hamburgu i jednocześnie doświadczona biegła sądowa. Doktor Freitag wesprze nas jako doradczyni.

— A na co nam kolejni doradcy? — mruknął Neff, wyraźnie

niezadowolony.

— Pan jest analitykiem operacyjnym, a doktor Freitag psychologiem sądowym. — Lodowaty ton Nicoli momentalnie pozbawił Neffa animuszu. — Macie całkowicie różne kompetencje jako uczestniczący w tym śledztwie.

Zaskoczony Bodenstein uniósł brwi. Nigdy jeszcze nie widział, żeby jego przełożona zachowywała się tak władczo w stosunku do zewnętrznego współpracownika! Zauważył też trwające ułamek sekundy spojrzenia, jakie wymieniły Nicola i Kim Freitag — było w nich coś jakby milczące porozumienie. Co się tu działo? Czyżby to nie przypadek zdecydował, że siostra Pii trafiła do ich wydziału?

— W gruncie rzeczy przyda się nam każda pomoc, tym bardziej że wzrasta presja z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a prokuratura też nie jest zachwycona tym, że mamy trzecią ofiarę i żadnego śladu. — Nicola Engel skinęła głową w stronę Kim. — Doktor Freitag pracowała już przy podobnych sprawach i przedstawi państwu kilka swoich spostrzeżeń.

— Trzy morderstwa, których dotyczy śledztwo — zaczęła siostra Pii — w znacznym stopniu różnią się od zdecydowanej większości morderstw, jakimi na co dzień zajmują się wydziały zabójstw. Przez to, że sprawca nie zbliża się nawet do ofiary, nie zostawia przydatnych nam śladów na zwłokach, dzięki którym identyfikuje się większość morderców w zwykłych sprawach. W ten sam sposób jesteśmy zdani jedynie na poszlaki i wskazówki. Również motyw sprawcy jest bardzo nietypowy, jeśli chodzi o bezpośredni wybór ofiar. Jego zemsta nie dotyczy bowiem tych, których zabija, tylko ich krewnych. Musimy założyć, że ofiary nie znały sprawcy i najprawdopodobniej nigdy nie miały z nim do czynienia. W ten sposób sprawca daje nam wskazówki, jak mamy odczytywać jego działania i demaskuje się też trochę. To nie psychopata, który zabija z chęci pozbawiania życia. Powiedziałabym, że jest wręcz odwrotnie: uważa, że to,

co robi, jest usprawiedliwione i słuszne, a mimo to ma poczucie pewnej niesprawiedliwości. Ocena jego sposobu działania...

Kim zatrzymała spojrzenie na Andreasie Neffie, który stał pod ścianą i z ramionami założonymi na piersiach obserwował, jak mówi, lecz przy każdym słowie mrużył oczy i potrząsał głową. Przerwała swój wywód.

— Czyżby kolega był innego zdania? — zapytała.

— Proszę mówić dalej, pani doktor — odparł Neff z pełnym wyższości uśmiechem. — Ja to po prostu widzę zupełnie inaczej niż pani.

— Kolega Neff jest międzynarodowym ekspertem z dziedziny analizy operacyjnej ze szczególnym uwzględnieniem seryjnych morderców i snajperów — wtrącił się Kai. — Pracował nawet z FBI!

— Doprawdy? — W oczach Kim pojawił się błysk zainteresowania. — W którym wydziale pan pracował?

— To nie gra roli w naszej sprawie — zapewnił pospiesznie Neff.

— Co kolega taki skromny? Pan Neff rozwiązał sprawę snajperów z Waszyngtonu! I to praktycznie w pojedynkę! — Kai uśmiechał się niewinnie, nie zwracając uwagi na pełne wściekłości spojrzenia Neffa.

— W 2002 roku pracowałam w BAU w Quantico. A pan? — Kim zmarszczyła czoło. — Bo powiem szczerze, że mam bardzo dobrą pamięć do nazwisk i twarzy, ale pana nie potrafię skojarzyć.

Ostermann skręcał się ze śmiechu, Pia też z całych sił walczyła o zachowanie powagi.

— Należałem do sztabu prokuratorów okręgowych. — Przyparty do muru Neff na przemian robił się blady i czerwony.

Bodenstein spojrział w stronę Nicoli, która z zainteresowaniem przysłuchiwała się tej wymianie zdań, lecz nie przejawiała najmniejszej chęci, by interweniować i uchronić Neffa przed całkowitą publiczną kompromitacją.

— Myślę, że za bardzo odchodzimy od tematu — powiedział głośno. Wolał prowadzić swój zespół w spokojnej i skupionej atmosferze, a tego typu przepychanki i licytacje temu nie służyły. — Bardzo dziękuję za pani opinie, koleżanko. Chciałbym teraz jeszcze raz podsumować wszystkie fakty i ustalenia śledztwa.

— Dziś po południu odbędzie się pogrzeb Ingeborg Rohleder — oznajmił Andreas Neff, kiedy Bodenstein skończył. Zakłopotanie minęło i wróciła jego pewność siebie. — Uważam, że sprawca się tam pojawi.

— Nie jestem o tym przekonana — zaprzeczyła Kim.

— Ależ z całą pewnością tam przyjdzie! — Neff nie uśmiechał się już jak przed świętami. Nie traktował już wszystkich z pobłażliwą wyższością, w jego tonie pojawiła się zapiekłość. — Sprawca ma manię wielkości, a poza tym szuka podniety i przygody. To stosunkowo młody mężczyzna, zwinny, wysportowany, z silnymi cechami narcystycznymi. To, co robi, przynosi mu zaspokojenie.

— Zatem poważnie różnimy się w ocenie sprawcy. — Kim ponownie zaprzeczyła. — W moim odczuciu mamy do czynienia z profesjonalistą.

— Z zawodowym mordercą? — Neff uśmiechnął się kpiąco.

— Nie słucha pan uważnie — odparła Kim przyjaznym tonem. — Myślę, że sprawca jest profesjonalistą. To wyszkolony strzelec wyborowy albo snajper. Możliwe, że służył w policji albo w wojsku.

— Może tak, a może nie. — Neff lekceważąco machnął dłonią. — Tak czy inaczej, pojawi się na pogrzebie pierwszej ofiary. Całkiem możliwe, że w przebraniu, ale będzie chciał ponapawać się swoim dziełem.

— W żadnym wypadku. — Kim potrząsnęła głową. — Ofiara przestaje dla niego istnieć zaraz po strzale. Ledwie wykona jeden wyrok, a już skupia się na następnym.

— Dziękuję za te opinie. — Bodenstein po raz kolejny przerwał ekspertom

wymianę zdań, żeby nie dopuścić do wybuchu następnej kłótni. — Najważniejszym zadaniem na teraz jest znalezienie jak największej ilości informacji o Kirsten Stadler, której serce zostało w 2002 roku przeszczepione Maximilianowi Gehrkeemu przez profesora Rudolfa, męża drugiej ofiary. W tym momencie ten związek między kolejnymi ofiarami to dla nas najważniejszy ślad. Pia, ty pojedziesz porozmawiać z panią Rohleder. Musimy sprawdzić, czy istnieje jakiś związek między Ingeborg Rohleder a pozostałymi ofiarami. Kathrin, Cem, wy udacie się do Frankfurtu do Szpitala Urazowego i poprosicie o umożliwienie wglądu do dokumentacji medycznej. Najprawdopodobniej będą próbować odprawić was z kwitkiem, więc jednocześnie ty, Kai, zajmiesz się wyciągnięciem z prokuratury nakazu udostępnienia wnioskowanych dokumentów. Pozostali jadą do Kelkheim i rozmawiają ze wszystkimi mieszkańcami okolicy, w której mieszka Gehrke. No tak, jeszcze jedno. Zewnętrzni doradcy są tutaj, żeby wspierać nasze śledztwo. Jesteśmy jednym zespołem, a ta sprawa wymaga od nas skupienia i zmobilizowania wszystkich sił. Nie życzę więc sobie, nie, to złe słowo, żądam, żeby wszyscy grali do jednej bramki, jak dotychczas mieliśmy w zwyczaju. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno.

Ostatnie zdanie Bodenstein powiedział tak ostrym i chłodnym tonem, jak nigdy wcześniej, a zaskoczeni funkcjonariusze i funkcjonariuszki potaknęli zdecydowanie.

— W takim razie kończymy odprawę. Wszyscy wiedzą, co mają robić. Miłego dnia. — Bodenstein zakończył spotkanie, rozległo się szuranie krzeseł i przy akompaniamencie cichych rozmów wszyscy rozeszli się do swoich zadań.

— A ja? Co ja mam robić? — zapytał naburmuszony Neff.

— Z tego, co słyszałem, wybiera się pan na pogrzeb pierwszej ofiary — przypomniał Bodenstein, po czym wskazał na kartony z rzeczami

Maximiliana Gehrkego i na dzienniki, które leżały na stole. — Potem proszę zabrać się za analizę osobistych zapisków, które znaleźliśmy w domu ostatniej ofiary — dodał. — Najważniejsze dla nas są wydarzenia od roku 2002 włącznie. Może znajdzie pan jakiś związek między sprawcą a Gehrkiem.

— NIE, MOJA MATKA nigdy nie była pacjentką Szpitala Urazowego we Frankfurcie. — Renate Rohleder była już przygotowana do pogrzebu. Cała w czerni stała za ladą kwiaciarni, w której oprócz niej, Pii i Kim nie było żywej duszy. — Nigdy nikomu nie oddawała swoich organów ani nie miała żadnych przeszczepów. Przecież coś bym na ten temat wiedziała!

— A czy nazwisko Stadler, Kirsten Stadler coś pani mówi? — zapytała Pia.

— Tak. — Renate Rohleder pokiwała głową, a jej twarz wyrażała zaskoczenie. — Wcześniej byłyśmy sąsiadkami. Ona mieszkała z rodziną trzy domy dalej. Aż do wypadku. Potem się wyprowadzili.

— O jaki wypadek chodzi? — zainteresowała się Pia.

— Któregoś razu Kirsten poszła rano biegać po polach i ni stąd, ni zowąd padła na ziemię — tłumaczyła Renate. — Okazało się, że to był wylew krwi do mózgu. I to zupełnie nagle, jak grom z jasnego nieba. Dobrze pamiętam tamten dzień, bo byłam wtedy z psem na spacerze. Spieszyłam się, bo kiedy już miałam wracać, psisko popędziło za zającem. Nagle podbiegła do mnie Helen, córka Kirsten. Była strasznie zdenerwowana i krzyczała, że coś się stało jej mamie i że bym przysłała pomoc.

Sposób, w jaki się zachowywała, opowiadając o tamtych zdarzeniach, mówił znacznie więcej niż jej słowa. Renate Rohleder była wyraźnie zdenerwowana. Co chwila sięgała do nosa, poprawiała włosy czy muskała ucho — wyraźnie czuła się nieswojo.

— I co dalej? — drążyła temat Pia. — Co pani zrobiła? Czy pomogła pani

sąsiadce?

— Ja... wyszło, jak wyszło, bo nie miałam akurat ze sobą komórki. — Renate uśmiechnęła się niepewnie. — Poza tym mój pies wpadł pod samochód. Obiecałam Helen, że jak tylko wrócę do domu, wezwę karetkę, ale... jakoś wypadło mi to z głowy. Pies był cały we krwi, kobieta, która go potrafiła, zwymyślała mnie strasznie, a ja byłam okropnie spóźniona. Poza tym myślałam, że przecież na pewno ktoś tam jeszcze był i widział, co się dzieje... nie mogłam wiedzieć, że z Kirsten jest aż tak źle!

— To jest zaniechanie udzielenia pomocy — stwierdziła Pia.

— Tak, może i tak. — Widać było, że kwiaciarce wyjątkowo nieprzyjemnie jest wspominać tamto zajście. — Później miałam wyrzuty sumienia. Kirsten była taka kochana, bardzo ją lubiłam. Możecie mi wierzyć, że ta sprawa do dziś mnie prześladowuje. Pół roku po wypadku Kirsten jej rodzina wyprowadziła się z miasta, ale nie mam pojęcia dokąd. Potem już nie myślałam o tym wszystkim i właściwie zupełnie zapomniałam o tamtym dniu. Życie musi toczyć się dalej, tak to już jest.

— Muszę coś pani pokazać. — Pia wyjęła z plecaka ksero nekrologu przysłanego przez Snajpera i podała go pani Rohleder.

— Co to ma być? — zapytała kobieta z niepokojem.

— Człowiek, który zastrzelił pani matkę, przysłał nam to w liście — wyjaśniła Pia.

Renate Rohleder przeczytała nekrolog. Nagle cała krew odpłynęła z jej twarzy. Upuściła kartkę, jakby papier zaczął ją parzyć.

— Nie! — wyszeptała przerażona. — Nie! To... to przecież nieprawda! Pani Kirchhoff... chyba nie wierzy pani, że to ja...

Nie odważyła się powiedzieć głośno, że to ona ponosi odpowiedzialność za śmierć matki.

— Z naszych ustaleń wynika, że wiadomość jest autentyczna — odparła

policjantka rzeczowo. — Po każdym kolejnym morderstwie otrzymywaliśmy podobne nekrologi.

Zadzwieczał dzwonek przy drzwiach i do sklepu weszła jakaś klientka.

— Proszę przyjść później — przeprosiła ją właścicielka i niemal wypchnęła za drzwi, a z kieszeni zielonego fartucha, pod którym miała żałobne ubranie, wyjęła klucze i zamknęła kwiaciarnię. Potem oparła się plecami o szybę, przycisnęła dłonie do piersi i zacisnęła powieki.

— To ordynarne pomówienie! Nie pozwolę na coś takiego. Chcę od razu zgłosić sprawę na policję. Przeciwno nieznanemu sprawcy. Chodzi o zniesławienie, oszczerstwo i składanie fałszywych zeznań. — Wzburzona wymieniła kilka zarzutów, które przyszyły jej do głowy. — Sama myśl, że miałabym być winna śmierci mamy... nie!

— Winnym śmierci pani matki jest tylko i wyłącznie ten człowiek, który ją zastrzelił — pocieszyła ją Pia. — Dotychczas zamordował troje niewinnych ludzi i obawiamy się, że na tym nie poprzestanie. Sprawca może pochodzić z otoczenia Kirsten Stadler. Pani Rohleder, znała pani tę rodzinę, byliście przecież sąsiadami. Może mogłaby nam pani pomóc? Czy domyśla się pani, kto mógłby to zrobić?

Renate Rohleder przełknęła głośno ślinę. Przesunęła dłońmi po twarzy i w końcu odsunęła się od drzwi.

— Była... była taka chłodna — powiedziała szeptem. — Przestraszyłam się, kiedy rzuciła mi w twarz, że ona na pewno się postara, żebym już nigdy w życiu nie zaznała radości.

— O kim pani mówi? — Pia słuchała jej w napięciu.

Renate Rohleder westchnęła.

— O Helen. Córce Kirsten — odparła kobieta. — Kilka miesięcy temu pojawiła się niespodziewanie w sklepie. Nie była sama. Towarzyszył jej jakiś mężczyzna. Nie poznałam jej. Zarzuciła mi, że przeze mnie zmarła jej matka.



Jakbym cokolwiek mogła poradzić, że Kirsten dostała wylewu!

— Czy widziała pani wcześniej tego mężczyznę? — dopytywała się Pia.

— Nie. Nie przedstawił się. — Renate Rohleder potrząsnęła głową.

— Jak wyglądał i ile miał lat?

— Nie mam pojęcia, ale na oko trzydzieści kilka, może zbliżał się do czterdziestki. — Nagle zadrżała. — Niesamowicie przystojny człowiek. Ale też było w nim coś... coś ponurego i fanatycznego. Bałam się go, chociaż przez cały czas milczał.

— MYŚLISZ, ŻE NASZ SPRAWCA może być kobietą? — Pia spojrzała z ciekawością na siostrę. Przed chwilą opuściły kwaciarnię i szły w kierunku samochodu.

— Jeśli uważasz, że strzelała córka Kirsten, to się mylisz — odparła Kim. Psycholożka przez całą rozmowę Pii z Renate Rohleder milczała, i trzymając się nieco z boku, słuchała uważnie, co kobieta ma do powiedzenia. — W moim przekonaniu to osoba impulsywna, która ma problemy z kontrolowaniem emocji. Tacy ludzie zabijają raczej w afekcie, a nie w starannie zaplanowany sposób jak nasz Snajper. Wykonanie tych wyroków jest jak podpis męskiej dłoni. Wiesz przecież, że kobiety zabijają inaczej niż mężczyźni. Przez dwadzieścia lat pracy w zawodzie spotkałam się z całą masą zła i z różnymi okropieństwami, ale nigdy jeszcze z kobietą, która zabijałaby niewinne osoby.

— No wiesz, mówi się, że wyjątek potwierdza regułę — zauważyła Pia. — Pomyśl tylko o kobietach dokonujących zamachów samobójczych na Bliskim Wschodzie. Doskonale wiedzą, że zabijają też małe dzieci, i się na to godzą.

— Uważam, że to wykluczone. Serio, Pia, córkę wybij sobie z głowy. Żeby w ten sposób mordować, potrzebne są nerwy ze stali i morze cierpliwości.

— W takim razie kim mógłby być mężczyzna, który jej towarzyszył?  
— Pia zatrzymała się przy samochodzie.

— O to powinnaś zapytać Helen Stadler — zaproponowała Kim.  
— A teraz dawaj, wsiadamy, bo odmrozę sobie dupsko.

Pia uśmiechnęła się szeroko i otworzyła auto. Jej siostra na pierwszy rzut oka nie należała do osób, którym podobne słowa przeszłyby przez usta.

— Ja w każdym razie cały czas obstawiałabym zawodowca — dodała Kim. — Powinniście popytać w armii albo wśród swoich w policji.

— Czego mielibyśmy szukać? Mamy za mało faktów, żeby sformułować konkretne pytania.

Odezwał się telefon Pii. Dzwonił Ostermann, żeby przekazać, że mąż Kirsten Stadler ma stały adres, który udało mu się ustalić. Mężczyzna nazywał się Dirk Stadler i mieszkał w Liederbach.

— Powinnaś tam pojechać — powiedział Kai. — Szef też jest już w drodze.

— Zrozumiałam. My też ruszamy — zapewniła go.

Budynek pod adresem, który podał im Kai, znajdował się na starym osiedlu szeregowców. Projektujący je architekt usiłował za pomocą drewnianych fasad przeciwdziałać monotonii identycznych segmentów. Bodenstein czekał już na narożniku. Chroniąc się przed lodowatym wiatrem, postawił kołnierz płaszcza i schował dłonie w kieszeniach. Pia zaparkowała za jego służbowym samochodem.

— Rohleder kompletnie się rozsypała, kiedy pokazałam jej nekrolog — poinformowała szefa. — Kirsten Stadler była ich sąsiadką, dość dobrze się znały. Doskonale pamięta dzień, w którym tamta zmarła, bo ciągle jeszcze ma wyrzuty sumienia, że jej nie pomogła. Twierdzi, że się spieszyła, że pies jej uciekł i że na koniec wpadł pod samochód. Pewnie i tak nic by nie zdziałała, nawet gdyby natychmiast pobiegła ją ratować albo wezwała

pogotowie, bo Kirsten miała wylew krwi do mózgu. Jednak córka zmarłej, Helen Stadler, najwyraźniej ma inne zdanie.

— Przed kilkoma miesiącami w towarzystwie jakiegoś tajemniczego mężczyzny odwiedziła kwiaciarnię Rohlederów i robiła wymówki Renate — dodała Kim. — Jeśli sprawca rzeczywiście wie o tym wszystkim, musi pochodzić z otoczenia tej kobiety.

— No dobrze, w takim razie chodźmy zapytać wdowca po Kirsten Stadler, co o tym wszystkim sądzi. — Bodenstein upewnił się, że są na właściwej ulicy, i już po chwili stanęli przed domem z numerem 58f. Gdy zadzwonił do drzwi, otworzył im szczupły, niemal chudy mężczyzna z siwymi włosami i postępującą łysiną czołową.

— Dzień dobry, nazywam się Bodenstein i jestem z policji kryminalnej w Hofheim. — Bodenstein pokazał mężczyźnie legitymację. — To panie Kirchhoff i Freitag. Chcielibyśmy porozmawiać z panem Dirkiem Stadlerem.

— To ja. — Mężczyzna przyglądał się im z mieszaniną zdziwienia, zaskoczenia i obawy, typową dla wszystkich, którym niespodziewanie wizytę składa policja kryminalna.

— Czy możemy wejść?

— Tak, tak, zapraszam.

Wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat, ubrany był w szare sztruksy, oliwkowy pulower wycięty w serek i koszulę. Nie był wysoki — kiedy mówił do Bodensteina, musiał zadzierać głowę.

— Syn wpadł do mnie na obiad, mam nadzieję, że to nie będzie państwu przeszkadzać. — Dirk Stadler spojrział na nich przepaszająco. Zaprowadził ich korytarzem do dużej kuchni otwartej na jadalnię. Przy stole siedział mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna, który słysząc gości, na chwilę tylko oderwał się od tabletu, skinął głową na powitanie i wrócił do swojego zajęcia.

— To mój syn Erik — przedstawił go Dirk Stadler. — No dobrze, w czym mógłbym pomóc?

— Chodzi o pana zmarłą żonę — odparł Bodenstein.

— O Kirsten? — Mężczyzna spojrział na nich zaskoczony. — Ale to chyba jakaś pomyłka? Przecież ona zmarła przeszło dziesięć lat temu!

— Słyszał pan zapewne o morderstwach, które miały miejsce w ostatnich dniach, prawda? — kontynuował Oliver. — W Niederhöchstadt i w Oberursel zastrzelono dwie kobiety. Snajper celował w głowę. A w pierwsze święto ta sama osoba zastrzeliła młodego mężczyznę w Kelkheim.

— Tak, czytałem o tym w gazetach — potwierdził Dirk Stadler. — Poza tym ciągle o tym mówią w radiu i w telewizji.

Erik Stadler odłożył tablet, wstał i podszedł do ojca. Był tylko troszkę wyższy od niego i miał te same głęboko osadzone oczy i podobne rysy twarzy.

— Sprawca skontaktował się z nami — tłumaczył Bodenstein. — Po każdym z morderstw przygotował nekrolog, w którym uzasadniał swoje działania. W dzienniku ostatniej z ofiar trafiliśmy na nazwisko pańskiej zmarłej żony. Zamordowany, Maximilian Gehrke, miał dwadzieścia siedem lat, lecz nawet tego wieku prawdopodobnie by nie dożył, bo miał ciężką wrodzoną wadę serca. Jednak przed dziesięcioma laty przeszczepiono mu serce pana zmarłej żony.

Obaj mężczyźni momentalnie pobledli i wymienili szybkie spojrzenia.

— Kobieta, która została zamordowana w Oberursel, była żoną lekarza, który wówczas przeprowadził operację transplantacji serca.

— O Boże... — wyszeptał Dirk Stadler wyraźnie wstrząśnięty.

— A pierwszą ofiarą Snajpera była matka pańskiej ówczesnej sąsiadki z Niederhöchstadt.

— Ale... ale to przecież jakieś szaleństwo! To nie może być prawda! — wyszeptał Dirk Stadler. — Dlaczego? Po tylu latach...

— My również zadajemy sobie te pytania — potaknął Bodenstein. — Na pierwszy rzut oka między ofiarami nie widać żadnego związku. Okazało się jednak, że wszystkich łączy osoba pańskiej żony.

— Muszę... usiąść... przepraszam... — wyjąkał Dirk Stadler. — Proszę... niech państwo wejdą do salonu... proszę się rozebrać.

Pia zauważyła, że mężczyzna kuleje i nierówno stawia stopy. Wyglądało to tak, jakby miał jedną nogę krótszą. Stadler wprowadził ich do salonu i usiadł przy stole, a Bodenstein, Pia i Kim zajęli pozostałe miejsca.

Erik Stadler posprzątał brudne naczynia i zaniósł je do otwartej kuchni z białymi błyszczącymi meblami, blatami z czarnego marmuru i wyposażeniem ze stali nierdzewnej. Przy wysokim oknie wychodzącym na ogród stała przystrojona choinka, a na ławie przy kanapie czekały na gości pierniczki. Dom był urządzony skromnie, ale ze smakiem. Wszędzie dominowały czerń i biel. W przeciwieństwie do willi profesora Rudolfa z natłokiem kwiatów, ciężkimi zasłonami z aksamitu i wyblakłymi dziecięcymi rysunkami przyczepionymi magnesami do lodówki, tutaj dało się odczuć brak kobiecej ręki. Jedynym meblem, który nie pasował do pozostałych, był potężny antyczny kredens, na którym stało oprawione w srebrną ramkę zdjęcie radośnie uśmiechniętej kobiety. Dirk Stadler zauważył spojrzenie Pii.

— To właśnie Kirsten, moja żona — wyjaśnił smutnym głosem. — Zdjęcie zostało zrobione w wakacje przed jej śmiercią. Nasz ostatni wspólny urlop we Francji, na wybrzeżu.

Erik Stadler przysiadł się do ojca.

— Ja... wciąż nie mogę uwierzyć, że to przez moją żonę... umierają kolejni ludzie. — Dirk Stadler odchrząknął. Widać było, że z trudem udaje

mu się zapanować nad emocjami. — Dlaczego? Jaki to miałoby sens?

— W naszej ocenie coraz bardziej na pierwszy plan wysuwa się motyw osobisty — odparł Bodenstein. — Sprawca szuka zapłaty, zemsty za śmierć pańskiej żony. Musi to być więc ktoś, kto ją dobrze znał i był z nią w bliskich relacjach.

— Ale przecież ona zmarła na wylew krwi do mózgu! — powiedział Dirk bezradnie. — To był wypadek, tragiczny, ale wypadek i nikt nie ponosi za niego winy. Kirsten miała tętniaka w głowie i w pewnym momencie ten tętniak pękł. To się mogło zdarzyć w dowolnym miejscu i o dowolnej porze!

ZJADŁ TYLKO TROCHE, po czym odłożył sztućce na talerz.

— Nie smakuje ci? — zapytała Karoline.

— Wręcz przeciwnie. I to bardzo. — Po twarzy jej ojca przemknął uśmiech. — Ale nie jestem głodny.

Ona czuła się podobnie, lecz zmuszała się, żeby coś zjeść. Tak samo jak zmuszała się, by dalej żyć.

— Dziękuję, że tak się o mnie troszczysz, Karoline. Bardzo doceniam twoje wsparcie.

— Nie ma o czym mówić. Czuję radość, że mogę to robić. — Udało jej się uśmiechnąć.

Od dwóch dni i nocy łamała sobie głowę nad tym, jak ubrać w słowa to, co nie dawało jej spokoju. Dlaczego tak trudno przychodziło jej rozmawiać z ojcem o swoich podejrzeniach? Gdzie podziała się jej elokwencja, błyskotliwość i odwaga? Od śmierci matki niemal ze sobą nie rozmawiali, a w pewnym momencie uświadomiła sobie, że właściwie nigdy nie było inaczej. Iluzja harmonii między nimi była zasługą tylko i wyłącznie mamy, a bez jej pośrednictwa i koncyliacyjnego podejścia między nią a tatą panowałaby cisza. Karoline z ojcem nigdy nie łączyły serdeczne więzi, być

może dlatego, że w dzieciństwie i młodości ojciec nie odgrywał w zasadzie żadnej roli w jej życiu. Był geniuszem, jednym z najlepszych w swoim fachu i to, co robił, było ważne, bo ratował życie śmiertelnie chorym. Zawsze była z niego bardzo dumna i cieszyła się, kiedy inni mówili o nim z szacunkiem i podziwem, jednak przez lata przepaść między nimi coraz bardziej się pogłębiała. Kiedy zdecydowała się nie iść w jego ślady i wybrała inną drogę kariery, dał jej do zrozumienia, jak bardzo go rozczarowała. Właśnie od tego czasu otwarła się między nimi przepaść; nieprzyjemne napięcie, które można było wypełnić tylko milczeniem albo kłótnią.

Śmierć mamy była szansą, by się do siebie zbliżyli, jednak miała wrażenie, że ojciec nie zamierza wykorzystać tej okazji. Każda rozmowa, którą zaczynała, szybko przechodziła w wymianę banałów, która pozostawiała w niej niesmak.

— Muszę cię o coś zapytać, tato — zaczęła w końcu, zanim zdążył wstać od stołu i skryć się w swoim gabinecie.

— Słucham cię.

— W prasie twierdzą, że mama była przypadkową ofiarą tego szaleńca. — Unikała patrzenia mu w oczy i bardzo starannie dobierała słowa, dbając, by nie wywołać w nim nieprzychylnej reakcji. — Jednak zastanawiałam się nad tym, i biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, nie sądzę, żeby tak było.

Dopiero teraz uniosła głowę i zobaczyła, że po raz pierwszy od kilku dni ojciec patrzy jej prosto w oczy.

— Do czego w takim razie doszłaś? — odpowiedział pytaniem.

— Nikt nie zbliża się do naszego domu przypadkiem — wyjaśniła i odłożyła sztucę. — Okno w kuchni wychodzi na ogród, a za żywopłotem nie ma nawet drogi, którą ktoś mógłby iść. Morderca musiał bardzo dokładnie zbadać położenie domu i okolicę. Wtedy odkrył budkę transformatorową. To nie mógł być przypadek.

W oczach starego człowieka pojawiło się zainteresowanie.

— Myślę, że celowo wybrał i zamordował akurat mamę — dokończyła Karoline. — Ale nie potrafię zrozumieć, jaki mógłby mieć powód, żeby to zrobić. Chyba że...

Przerwała na chwilę i potrząsnęła głową.

— Chyba że co?

— Chyba że mama miała jakąś tajemnicę, o której nikt nie wiedział. Nikt, czyli nawet ty i ja — wyjaśniła. — Co prawda nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co by to mogło być, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Ojciec patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem sięgnął po widelec i zaczął dłubać nim w jedzeniu. W żaden sposób nie skomentował jej słów. Mijały kolejne sekundy i minuty. Znów to okropne milczenie! Dawniej pewnie poczułaby się zdeprimowana, lecz tym razem nie zamierzała oddawać pola.

— Czego chcieli wczoraj ci ludzie z policji? — Karoline nie dawała za wygraną.

— Szukali związku między poszczególnymi morderstwami. — Ojciec odpowiedział dopiero po chwili.

— No i? Mają jakieś podejrzenia? Jest jakiś związek? — nastawała Karoline.

Jego wahanie trwało trochę zbyt długo.

— Nie. Na razie szukają po omacku. — Wytrzymał jej spojrzenie i nawet nie drgnęła mu powieka. Za to Karoline poczuła się, jakby otrzymała cios w brzuch, kiedy zrozumiała, że bez skrpułów ją okłamał.

— Nie wierzę ci. — Powiedziała to tonem ostrzejszym, niż zamierzała, bo nienawidziła, kiedy ktoś traktował ją z lekceważeniem. — Dlaczego kłamiesz?

— Skąd w ogóle pomyśl, że kłamię?



— Bo mnie unikasz — odparła. — Pamiętaj, że zawsze rozpoznam, czy ktoś mówi prawdę. Czego chciała od ciebie policja? Dlaczego kiedy przyszli, wyrzuciłeś mnie z gabinetu jak małe dziecko?

Ku jej zaskoczeniu wyciągnął rękę nad stołem i ujął jej dłoń.

— Żeby cię chronić i żeby to wszystko jeszcze jakiś czas trzymać z daleka od ciebie — wyjaśnił łagodnym głosem. — Wiem, jak bardzo kochałaś matkę i jaka była dla ciebie ważna. Wiem też, jak bardzo martwisz się o Gretę.

Przez kilka sekund była gotowa mu uwierzyć, bo chciała mu wierzyć. Ale potem przejrzała jego manipulacje. Poczowała złość i rozczarowanie. Dotarła do niej gorzka świadomość porażki i tego, że nie ma już na świecie nikogo, komu mogłaby zaufać.

— Coś przede mną ukrywasz, a ja nie wiem ani co to takiego, ani dlaczego to robisz. — Uwolniła dłoń z jego uścisku i wstała. — Ale możesz być pewny, że się tego dowiem.

— CZY CZUJE SIĘ PAN NA SIŁACH, by opowiedzieć nam pokrótce o okolicznościach jej śmierci? — poprosiła Pia. — Co się wtedy wydarzyło?

Ojciec i syn na zmianę opowiadali smutną historię szesnastego września 2002 roku. Kirsten Stadler, wówczas trzydziestosiedmioletnia wysportowana kobieta, okaz zdrowia, jak co dzień rano wyszła pobiegać po okolicznych polach. Po powrocie miała zawieźć dzieci do szkoły. Kiedy po godzinie nie wróciła do domu, Erik i Helen ruszyli jej szukać i znaleźli ją nieprzytomną na polnej drodze. Obok siedział jej pies.

— Lekarz pogotowia kazał ją przewieźć do Szpitala Urazowego i tam stwierdzono, że to wylew krwi do mózgu — dokończył Dirk Stadler. — Ja w tamtym czasie pracowałem na Dalekim Wschodzie i trudno było mnie złapać. Za to teściowie natychmiast pojechali do szpitala, żeby pomóc

Erikowi i Helen.

— To było naprawdę straszne — wspominał młodszy z mężczyzn. — Mama leżała na intensywnej terapii i wyglądała, jakby tylko spała, ale lekarze powiedzieli, że jest w stanie śmierci mózgowej. Wylew na tyle uszkodził mózg, że nie było szans na poprawę jej stanu.

Przez chwilę panowała cisza. Nikt się nie odzywał i słychać było jedynie szum wiatru w kominku. Na zewnątrz delikatnie poruszały się gałęzie pozbawionych liści drzewek owocowych, stojących na niewielkim trawniku.

— Dwa dni później wróciłem z Chin. Dzieci były w ciężkim szoku — opowiadał dalej Dirk Stadler. — Teściowie nie byli wcale w lepszym stanie. Pod silną presją lekarzy wyrazili zgodę na pobranie organów swojej martwej mózgowo córki.

Odchrząknął.

— Moja żona z różnych powodów była przeciwna przeszczepom i nawet miała podpisaną deklarację odmowy podejmowania resuscytacji, co wówczas było naprawdę rzadkością. Lekarze powinni byli poczekać, aż ja wrócę, jednak bardzo im się spieszyło. Tak bardzo, że nie zachowali nawet przepisowego odstępu między dwoma badaniami potwierdzającymi śmierć pnia mózgu. W protokole szpitala znalazły się sfałszowane zapisy. Co gorsza, pobrali więcej organów, niż zapowiadali. Nie tylko serce i nerki, ale praktycznie wszystkie organy, nawet oczy, kości, skórę i tkanki miękkie. Dlatego zaskarżyłem szpital i poszedłem z tym do sądu.

Przerwał na chwilę i spojrzał smutno na zdjęcie żony na kredensie.

— Do dzisiaj pocieszam się tym, że dzięki Kirsten uratowano życie kilku osobom — powiedział cicho. — Jednak mój teść nie posiadał się z bólu i wściekłości. Uważał, że został oszukany, bo nigdy nie podpisał żadnej zgody na pobranie organów, a jedynie zgodę na leczenie córki. Koniec końców, stało się tak, jak w większości procesów z dużymi szpitalami:

zaproprowano mi ugode pozasadowa i wypate odszkodowania. Zgodilem sie, bo nie mialem juz z czego placic adwokatowi. A dzteki temu nawet po zaplaceniu wszystkich rachunkow zostalo mi dosc pieniedzy, zeby oplacic edukacje dzieci.

Pia uwaznie obserwowala obu mezczyzn i analizowala kazdy gest i kazde slowo, jakiego uzyli, jednak nic nie wzbudziło jej podejrzen. Dirk Stadler sprawial wrazenie mezczyzny, ktory poniosl ciezka strate i na dodatek musial przejść potem przez pieklo, lecz z czasem odnalazl spokój i pogodzil sie z przeszloscia. Rowniez Erik Stadler zachowywal sie spokojnie i z opanowaniem. Ubieral w slowa to, o czym myslala Pia.

— Wszyscy potrzebowalismy czasu, zeby sie z tym uporac — powiedzial. — Mama by nie chciala, zebyśmy siedzieli beczynn timer, toneli w smutku i zalewali sie lzami. Byla radosna i pelna zycia i taka ja zachowalismy we wspomnieniach. Tylko dzteki temu dajemy rade normalnie funkcjonowac. Wszystkie rany, nawet te bardzo glębokie, w koncu sie goja, jezli sie ich nie rozdrapuje.

— Nie potrafię sobie wyobrazic, kto moglby mscic sie na ludziach, ktorzy nie mieli nic wspolnego ze smiercia Kirsten — dodal Dirk Stadler. — Wtedy, na samym poczatku, jeszcze bym zrozumial, ze ktos moze nie wytrzymac czegoś takiego. Ale dzisiaj? Po dziesieciu latach?

— Ja juz musze niestety isc. — Erik Stadler spojrzal na zegarek i podniosl tablet. — W Sulzbach prowadze firme, a na przełomie roku mamy straszny ruch. Proszę dzwonic, gdybyście panstwo czegoś potrzebowali. — Z etui wyjal wizytowke i podal ja Bodensteinowi, na co policjant zrewanzowal sie obu mezczyznom tym samym.

— My rowniez nie chcemy zajmowac wiecej czasu. — Oliver wstal, a za nim Pia i Kim. — Jezli przypomna sobie panowie o czymś, co mogloby nas zainteresowac, prosze o telefon.

Dirk Stadler odprowadził ich do drzwi.

— Coś się panu stało w nogę? — zapytała Pia.

— Niestety — odparł Stadler i się uśmiechnął. — Ale to już piętnaście lat temu, w Dubaju. Jako inżynier pracowałem w różnych miejscach na świecie. Miałem pecha, bo nie udało się doprowadzić nogi do dawnej sprawności. Najgorzej jest, kiedy robi się zimno albo w powietrzu czuć wilgoć. Wtedy mam problemy.

— Czym zajmuje się pan zawodowo?

— Po śmierci żony musiałem zarzucić pracę w zawodzie, bo trzeba było zająć się dziećmi — odparł Stadler. — Wziąłem roczny urlop bezpłatny, a potem dostałem posadę w Wydziale Architektury i Budownictwa we Frankfurcie, gdzie zasilam szeregi niepełnosprawnych.

Erik ubrał się w kurtkę i czapkę.

— Dzięki za obiad, tato. — Położył ojcu dłoń na ramieniu i puścił do niego oko. — Czasem dobrze zjeść coś innego niż fast food.

— Nie ma za co — odparł ojciec. — Zadzwoń do mnie w sprawie niedzieli. I pozdrów, proszę, Lis.

— Pewnie. Trzymaj się.

Dirk Stadler uśmiechnął się do syna, lecz ledwie Erik zniknął za drzwiami, mężczyzna spoważniał.

— Jeszcze jedna sprawa — powiedział do Bodensteina i Pii. — Mój teść nigdy nie przeboleł straty Kirsten. Była jego jedyną córką. Cały czas uczęszcza na spotkania grupy krewnych osób dawców organów, a poza tym...

Przerwał i potrząsnął głową.

— Co poza tym? — dopytywała się policjantka.

Nagle Stadler zrobił smutną minę.

— Może nie powinienem o tym mówić, ale nie chcę niczego przemilczeć.

— Zacisnął usta, zawahał się, ale ostatecznie wziął głęboki oddech i dokończył: — Mój teść był wybitnym strzelcem i doskonałym myśliwym.

— ALEŻ TO STRASZNE — powiedziała Pia, kiedy wracali do samochodów. — W jednej sekundzie wszystko jest dobrze, a w następnej nic nie jest takie jak wcześniej.

Dirk Stadler zapisał im adres swoich teściów w Glashütten, lecz uznali, że dalej pojedą jednym autem, a drugie wcześniej odstawią na komendę w Hofheim.

— Co pani sądzi na temat obu Stadlerów? — zwrócił się Bodenstein do Kim.

— Dirk Stadler jako mąż Kirsten poniósł największą stratę — odpowiedziała po chwili zastanowienia. — Ale odniosłam wrażenie, że zdążył się pogodzić z jej śmiercią i odzyskał równowagę. Ani on, ani jego syn w czasie rozmowy nie zachowywali się nerwowo. Byli spokojni jak ludzie, którzy nie mają nic do ukrycia. Ich zaskoczenie również nie było udawane, tak w każdym razie uważam. Są mocno ze sobą związani.

— Niech to szlag! — Pia stanęła gwałtownie. — Całkowicie zapomnieliśmy zapytać go o córkę!

— Nie, ona na pewno nie jest sprawczynią. — Kim potrząsnęła głową. — Pamiętaj, że szukamy mężczyzny.

— Ale moglibyśmy przynajmniej z nią porozmawiać — upierała się Pia. — Poza tym do Renate Rohleder przyjechała z jakimś facetem.

Nagle odezwała się jej komórka.

— Cześć, Henning — przywitała się, widząc na ekranie numer frankfurckiego Instytutu Medycyny Sądowej. — Ja...

— Wiesz, która jest godzina? Piętnaście po drugiej — przerwał jej lodowatym tonem. — Czternasta piętnaście, jeśli tak będzie ci łatwiej. Kiedy

pariasi z lochów Instytutu Medycyny mogą liczyć na, to, że policja kryminalna zaszczyci ich swoją obecnością?

— O co ci chodzi? — Pia nie ukrywała zaskoczenia. — Umawialiśmy się na jakieś spotkanie?

— Twój szef wydzwaniał, żeby zabukować jak najszybszą sekcję, więc z braku ludzi zgodziłem się ją sam przeprowadzić — odparł Henning. — I w ogóle dlaczego taki pan jak von Bodenstein, posiadający nienaganne maniery, nie odbiera telefonu? Już kilka razy usiłowałem się z nim skontaktować.

— Jesteśmy w drodze. Będziemy za piętnaście minut, okej? — przyrzekła Pia.

Henning zakończył rozmowę bez pożegnania, podobnie jak zaczął ją bez powitania.

— Niech to diabli! Sekcja! — Bodenstein sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął smartfon, po czym sprawdził ekran. — Nic już nie rozumiem. Ustawiłem przecież przypomnienie! O, popatrz, jest alarm, prawda?

Mówiąc to, podsunął telefon Pii.

— Może nie powinieneś był wyłączać dźwięku? — Policjantka uśmiechnęła się szeroko. — Wtedy pewnie usłyszalibyś alarm.

— Ta technika mnie przerasta — mruknął Bodenstein i skrzywił się ponuro. — Dobra, zrobimy tak. Zostawimy moje auto tutaj, a pojedziemy waszym. Wracając, odwiozę je do komendy, a przy okazji wpadnę do Dirka Stadlera, żeby zapytać o córkę.

Dalej pojechali samochodem Pii i Kim, bo był wygodniejszy, a Bodenstein zadysponował radiowóz do Joachima i Lydii Winkler, teściów Dirka Stadlera.

— Uważam, że obaj Stadlerowie reagowali całkowicie naturalnie, kiedy opowiadałeś im o nekrologach dla kolejnych ofiar — powiedziała Pia,

a zwracając się do siostry, wyjaśniła, dlaczego to mówi: — Od czasu szkolenia z komunikacji niewerbalnej w sytuacjach zatrzymań i aresztowań bardzo zwracam uwagę na mowę ciała ludzi, z którymi stykam się zawodowo.

— Nie należy definitywnie wykluczać żadnej możliwości — powiedziała Kim. — Są ludzie, którzy potrafią przechytryć wykrywacz kłamstw. Ale powiem uczciwie, że nie potrafię sobie wyobrazić, by to Dirk Stadler wspinał się na budkę transformatorową albo czaił się w żywopłocie sąsiadów pana Gehrkego. Poza tym, kulejąc, za bardzo zwracałby na siebie uwagę.

— Nie, to byłoby zbyt proste — potwierdził Bodenstein.

Jechali pustą autostradą, a później przez miasto, gdzie również zaskakująco mało ludzi chodziło po chodnikach. Strach przed tajemniczym Snajperem zmienił wszystkie okoliczne miejscowości w niemal wymarłe miasta duchów.

— Patrzcie tam! — krzyknęła Pia, kiedy mijali dworzec, a przed nim przystanek taksówek pełen samochodów czekających na klientów, którzy zazwyczaj musieli stać w kilometrowych kolejkach. — No nie, tak przecież dalej być nie może!

— Obawiam się, że Snajper jeszcze nie wypełnił swojej misji — mruknął Bodenstein ponurym głosem.

— Musimy coś zrobić! Ludzie niepotrzebnie wpadają w panikę!

— O tym już chyba rozmawialiśmy, prawda? — Oliver potrząsnął głową. — Z naszej strony byłoby nieodpowiedzialnością, gdybyśmy chcieli teraz przekonywać ludzi, że nic im nie grozi, skoro w gruncie rzeczy tak nie jest.

— Tak długo, jak będzie mocno wiało, morderca nie uderzy — zauważyła Kim. — Sprawca unika bezpośredniego kontaktu ze swoimi ofiarami i strzela jedynie z daleka, a to jest możliwe tylko przy idealnych warunkach.

Pia czuła się coraz bardziej bezradna. Nigdy jeszcze nie była w podobnej

sytuacji. Szukali ducha — przebiegłego, sprawnego i bezlitosnego mordercy, który niczego nie pozostawia przypadkowi, nie popełnia błędów i zawsze wyprzedza policję o krok. Kirsten Stadler była pierwszym, jeszcze niejasnym śladem, a trafili na nią dopiero po trzech ofiarach! Kim dobrze to rano ujęła; stanęli przed zupełnie nowym wyzwaniem. Osobowości ofiar i ich życie prywatne, czyli czynniki, które zazwyczaj odgrywały bardzo ważną rolę w każdym śledztwie, w tym wypadku nie miały znaczenia, bo celem mordercy nie były bezpośrednio jego ofiary — one stanowiły tylko środek do celu. Nie było żadnych śladów, żadnych poszlak i żadnych świadków. Jedyne, co mieli, to trójkę ofiar, trzy nekrologi, odcisk buta o wzorze sprzedawanym w całym kraju w setkach tysięcy sztuk, opis świadka tak ogólny, że pasowałaby do niego jedna trzecia mężczyzn z Niemiec, i Kirsten Stadler. Co będzie, jeśli ten szaleniec nie zakończy swojej chorej krucjaty i będzie zabijał dalej? Ile jeszcze osób miał na swojej liście?

— Z całą pewnością możemy przyjąć, że u Renate Rohleder Helen nie pojawiła się z bratem — odezwała się niespodziewanie Kim. — Po pierwsze, nie pasuje wiekiem, a po drugie tamten miał być wyjątkowo przystojny. Erika Stadlera nie określiłabym w ten sposób. I to mimo najlepszych chęci.

— Hm — mruknęła Pia. Do samego Instytutu w samochodzie panowała cisza. Kiedy wchodzili do środka, ogarnęło ją bardzo dobrze znane uczucie. Ciężkie drewniane drzwi secesyjnej willi prowadziły do wnętrza, które od lat czterdziestych dwudziestego wieku stanowiły siedzibę Instytutu Medycyny Sądowej frankfurckiego uniwersytetu. Przez pewną część swojego życia częściej przebywała w tym budynku niż w swoim mieszkaniu. Ruszyli korytarzem z ciemną boazerią, na końcu którego znajdowały się schody do piwnic. W pierwszej z dwóch sal sekcyjnych, na metalowym stole leżały umyte zwłoki Maximiliana Gehrkego.

— Cześć! — Ronnie Böhme, asystent sekcyjny, wyszedł z niewielkiego



biura, które służyło również za kuchnię dla personelu. — No, w końcu jesteście. To dzwonię po szefa.

— Dzięki, Ronnie. — Pia uśmiechnęła się, zdjęła kurtkę i powiesiła ją na wieszaku. Bodenstein i Kim pozostali w płaszczach — w salach sekcyjnych zawsze panował chłód.

— Właśnie zaparzyłem kawę. Częstujcie się. — Böhme uśmiechnął się, nie odrywając słuchawki od ucha. W tym samym momencie w korytarzu rozległy się kroki.

— Nie życzę sobie żadnych przeprosin i usprawiedliwień! — W drzwiach stanął Henning. Tuż za nim pojawił się jakiś młody mężczyzna, który wyglądał jak student, a na samym końcu do sali wszedł prokurator Heidenfelder. Pia przypomniała sobie jego pierwszą sekcję przed siedmioma laty, w czasie której zrobiło mu się tak niedobrze, że nie mógł powstrzymać wymiotów. Denatką była Isabel Kerstner, a sprawa jej śmierci była pierwszą, nad którą pracowała wspólnie z Bodensteinem.

— Nie zamierzałem się usprawiedliwiać — odparł Bodenstein. — Zaczynajmy.

— Dziękuję, ale do tego nie potrzebuję twojego pozwolenia — warknął Henning.

W jaskrawym świetle lamp operacyjnych widać było wyraźnie zniszczenia, jakie spowodował pocisk Core-Lokt, opuszczając ciało ofiary. Maximilian Gehrke miał roztrzaskane żebra i potężną dziurę w piersi. Pia spojrzała na jego pociągłą twarz. Wyglądał, jakby spokojnie spał. Dzięki lekturze jego dzienników odnosiła wrażenie, że go dobrze zna. Nagle ogarnęła ją złość na tego, kto uzurpował sobie prawo do usprawiedliwiania morderstwa i kto mianował siebie sędzią i katem.

— Wielka szkoda, że ktoś tak młody, kto tyle w życiu przeszedł, musiał zginąć w ten sposób — powiedziała ze współczuciem. — Jedyne pociecha,

że nie cierpiał.

— Był martwy, zanim upadł na ziemię — potwierdził Henning. — Kula dosłownie rozerwała jego serce.

— Kiedyś nie było jego, jeśli chodzi o ścisłość.

— Słucham? — Henning spojrzał na nią znad zaciągniętej na nos maseczki.

— Przed dziesięcioma laty przeszedł transplantację serca — wyjaśniła jego była żona.

Lekarz wyprostował się i zdjął z twarzy maseczkę.

— No dobrze, w takim razie coś musimy sobie wyjaśnić — oznajmił, przesuwając wzrokiem po wszystkich obecnych. — Wiecie chyba, że jestem wielkim orędownikiem przeprowadzania sekcji — lepiej zrobić o jedną za dużo niż o jedną za mało. Ale też jestem przeciwnikiem marnowania czasu. Dlatego chciałbym wiedzieć, czego oczekujecie po tej sekcji? Rzadko przyczyna śmierci jest aż tak jednoznaczna.

— Sekcja została zarządzona przez prokuratora. Przy morderstwach... — zaczął Heidenfelder, jednak Henning uniósł dłoń i przerwał mu.

— To jak? — zapytał. — To już trzecie zwłoki, przy których student pierwszego roku medycyny nie miałby problemów z określeniem przyczyny śmierci.

— Jak tonący łapiemy się brzytwy — wyznał Bodenstein. — Na tę chwilę wygląda na to, że dawczyni serca, które przeszczepiono Maximilianowi Gehrkemu, może być przyczyną wszystkich trzech morderstw. Ale nie mamy nic poza przypuszczeniami. Nic, co by się ostało w sądzie, żadnych śladów ani dowodów.

— Ode mnie też dostaniesz jedynie protokół posekcyjny, który o niczym nie przesądzi. Tak samo jak protokoły poprzednich dwóch ofiar Snajpera — odparł Henning i wzruszył ramionami.

— Odmawia pan wykonania sekcji? — wtrącił się prokurator.

— Oczywiście, że nie. — Henning założył maseczkę. — Ale wystarczy, że pan tu będzie. Do ciebie, Oliver, zadzwonię, gdy skończę.

ŚWIADOMOŚĆ, ŻE OJCIEC coś przed nią ukrywa, nie dawała Karoline Albrecht spokoju. I choć najrozsądniejszym wyjściem byłaby rozmowa z tym miłym detektywem, który odwiedził ich dom, wolała tego nie robić. Straciła już matkę, więc nie chciała ryzykować jeszcze utraty ojca, porozumiewając się za jego plecami z policją. Za to ogromnie bała się prawdy, która, nie daj Boże, mogłaby zniszczyć obraz matki, który przechowywała w sercu. Być może ojciec miał rację, twierdząc, że chce ją chronić? Karoline nie mogła otrząsnąć się z zaskoczenia, gdy myślała nad swoim zachowaniem. Przez całe życie, kiedy tylko stanęła przed jakimś problemem, chwytiała byka za rogi i zwyciężała — skąd więc teraz brała się ta cała niepewność? Dlaczego godzinami jeździła samochodem po okolicy, nie potrafiąc podjąć decyzji? Czy wciąż jeszcze mogła przypisywać to szokowi, jaki przeżyła w czwartek wieczorem? Poprzedniego dnia do późnej nocy rozmawiała z byłym mężem przez telefon. Wcześniej zamieniła kilka słów z Gretą; córka czuła się nieco lepiej, a dzięki odpowiednim tabletkom uspokajającym nie dręczyły jej koszmary.

— Da sobie radę — powiedział Carsten. — Potrzebuje tylko trochę czasu. Zmiana otoczenia bardzo jej pomogła. U dziadka i babci na wsi świat jest cały czas taki, jaki powinien być.

— Dziękuję, że tak dobrze się nią wszyscy zajmujecie — odparła Karoline. — Przekaż to, proszę, swoim rodzicom i Nicki.

— Pewnie. Ale to przecież oczywiste. — Na chwilę zawiesił głos. — A jak ty się czujesz? Dajesz sobie jakoś radę?

Niewiele brakowało, a jego delikatne i pełne współczucia pytanie

skwitowałyby zwyczajową odpowiedzią, że tak, wszystko w porządku i że daje radę. Jednak tym razem frazes utknął jej w gardle, bo przecież nie chodziło o gripę czy nieudany interes. Nie chodziło też tylko o śmierć matki, lecz o zwątpienie w sens życia.

— Niezbyt — przyznała się byłemu mężowi. — Cały czas bardzo tęsknię za mamą. Najchętniej schowałabym się pod kołdrą i płakała.

Opowiedziała mu o swoich wątpliwościach co do przypadkowości strzału i o tym, że ojciec ją chyba okłamuje.

— Muszę się dowiedzieć, o co w tym naprawdę chodzi — powiedziała. — Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby mama miała zrobić coś, za co mogłaby zostać zamordowana.

— Oj, Karo, Karo! — westchnął Carsten. — Rozumiem twoje rozterki. Ale proszę, nie rób niczego, co mogłoby być dla ciebie niebezpieczne, dobrze? Dajesz słowo?

Przyrzekła mu.

— Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała, koniecznie daj znać — powiedział na sam koniec. — I pamiętaj, że zawsze jesteś u nas miłym gościem.

Z wysiłkiem podziękowała mu za te słowa, a potem zakończyli rozmowę. A przecież to ona, a nie Nicki, mogłaby siedzieć teraz z Carstenem i gromadką dzieci u teściów, w spokojnej okolicy nad jeziorem Sternberger See w ich gospodarstwie. Tylko że sama sobie odebrała tę możliwość.

Karoline zmusiła się, by przestać o tym myśleć i skupić się na czym innym. To Carsten — pewnie nawet spodziewając się, że nie posłucha jego rad, by pozostawiła wyjaśnienie tej sprawy policji — podsunął jej pomysł skontaktowania się z bliskimi pozostałych dwóch ofiar. To po to jechała właśnie do Eschborn. Pierwsza ofiara Snajpera — bo tak prasa cały czas nazywała szalonego mordercę — była starszą kobietą z Niederhöchstadt. Co

prawda Karoline nie miała zielonego pojęcia ani jak zmarła się nazywała, ani gdzie szukać jej krewnych, jednak wyjazd do miejscowości, z której pochodziła, wydał się Karoline najwłaściwszym początkiem tego detektywistycznego zadania. Na desce rozdzielczej zapaliła się kontrolka niskiego stanu paliwa, dlatego zjechała na najbliższą stację i zatankowała. Mimo że paliwo było wyjątkowo tanie, pod dystrybutorami nie stały żadne auta, a ona była jedyną klientką.

— Przez cały ranek takie pustki — potwierdziła kobieta za kasą, krępa pięćdziesięciolatka, wskazując palcem na pierwszą stronę wyłożonej na ladę bulwarówki „Bild”. — To dlatego. Czytała pani? Wszyscy się boją, że ten wariat komuś znowu może łeb odstrzelić. Tylko o tym gadają, mówię pani.

— A czy to nie było gdzieś tutaj w pobliżu? — Karoline żywiła odrazę dla takich plotek, jednak w tym wypadku uznała, że cel uświęca środki. — Znała pani tę staruszkę?

— No a jak! Stara Rohlederowa! Często tu bywała. A to po benzynkę, a to gazetkę kupić. Naprawdę, straszna tragedia. — Kasjerka nie miała nic do roboty, a na dodatek była bardzo gadatliwa, więc okazała się trudnym do przecenienia źródłem informacji. Kiedy Karoline zapłaciła i nieco później wracała do samochodu, wiedziała już, jak się wabił pies ofiary, jakim autem jeździła, że jej córka miała kwiaciarnię przy Unterortstrasse w Eschborn i że po południu odbył się jej pogrzeb na miejskim cmentarzu w Niederhöchstadt. Poza tym, i to była najważniejsza informacja, wiedziała też, gdzie Ingeborg Rohleder i jej córka mieszkały.

TELEFON W SAMOCHODZIE rozdzwonił się, akurat kiedy Bodenstein mijął stadion Commerzbank Arena i zmierzał w stronę autostrady. Ostermann chciał przekazać nowości, które nie miały żadnego znaczenia. Intensywne przepytywanie sąsiadów w Kelkheim potwierdziło tylko, że nikt nie

zauważył niczego ani nikogo podejrzanego, kto kręciłby się po okolicy rankiem w pierwsze święto. Policja z Glashütten nie zastała małżeństwa Winklerów w domu, więc funkcjonariusze zostawili im jedynie wiadomość, że mają stawić się w wydziale zabójstw K11 w Hofheim. Specjaliści z laboratorium kryminalistycznego nie znaleźli żadnych użytecznych odcisków palców czy śladów DNA na kopertach, w których przyszły nekrologi, a Napoleon Neff nie zauważył na pogrzebie Ingeborg Rohleder niczego interesującego.

— Ślepa uliczka — podsumował Ostermann. — Niestety, dzisiaj nie używa się już stempli pocztowych, dzięki którym można by ustalić, gdzie został nadany konkretny list. Poza tym nekrologi zostały wydrukowane na drukarce atramentowej, a atrament do nich jest produktem masowym, podobnie zresztą jak papier.

— Dawniej dało się zbadać ślady śliny na kopertach czy analizowało się układ czcionek, by zidentyfikować konkretną maszynę do pisania — odezwał się Kröger, który siedział z Kaiem w biurze. — Albo w ogóle analizowało się rodzaj papieru, bo to pozwalało ustalić czas jego produkcji. Dzisiaj sprawcy w każdym kryminale otrzymują całą masę wskazówek, co powinni robić, żeby nie zostawiać śladów.

— Co z Kathrin i Cemem? Udało im się coś wskórać w szpitalu? — zapytał Bodenstein.

— Nie. — Jeśli Oliver miał jeszcze jakieś resztki nadziei, to Kai je właśnie rozwiął. — Twierdzą, że nie ma na miejscu osoby, która mogłaby wydać zgodę. A na postanowienie z prokuratury wciąż czekamy.

Wracali w podobnie deprymującej ciszy, jaka towarzyszyła im w drodze do Instytutu Medycyny Sądowej. Henning Kirchhoff miał rację, kiedy stwierdził, że w przypadku Maximiliana Gehrkego sekcja zwłok była marnowaniem czasu — podobnie jak u Ingeborg Rohleder i Margarethe

Rudolf. Żadna z nich nie przyniosła informacji, które w jakikolwiek sposób by im pomogły. Bodenstein miał wrażenie, że zupełnie stracił zapał do dalszego śledztwa.

— Zostawiłeś samochód w Liederbach — przypomniała mu Pia, kiedy znaleźli się na wysokości centrum handlowego Main-Taunus. Jechał środkowym pasem, bo chciał dotrzeć do Hofheim. W ostatniej chwili włączył migacz i skręcił gwałtownie w prawo. Pocieszał się myślą, że przynajmniej Rosalie jest już bezpieczna w Nowym Jorku i że świetnie się tam odnalazła. Zachwyty nad miastem, w którym miała spędzić cały rok, przyćmił tęsknotę za domem. Zastanawiał się też, kiedy powinien powiedzieć Ince o propozycji matki Cosimy? Nie wiedział, jak zareaguje. Dotychczas nie miał jeszcze okazji, by z nią o tym porozmawiać. Całymi dniami oboje siedzieli w pracy, a noce Inka spędzała u siebie, bo on zajmował się Sophią. Od kilku dni zastanawiał się, jak powinien jej to wytłumaczyć, żeby nie zarzuciła mu niesprawiedliwie, że nadal chce podtrzymywać kontakt z Cosimą. Żył teraz w takim stresie, że zupełnie nie uśmiechało mu się kłócić jeszcze z Inką.

Bodenstein zatrzymał się przy swoim służbowym aucie, odpiął pas i wysiadł.

— Do zobaczenia. — Pożegnał się z Pią, która usiadła za kierownicą.

— Trzymaj się. — Skinęła głową. — Masz kluczyki?

Poklepał się po kieszeni płaszcza, po czym ruszył wzdłuż rzędu garaży do uliczki, przy której stał dom Dirka Stadlera. Wraz z zapadnięciem zmroku we wszystkich domach, w których ktoś przebywał, zostały opuszczone rolety. Tu i ówdzie przez szyby w drzwiach wydostawała się na zewnątrz słaba poświata, lecz poza tym wszystkie budynki były skąpane w ciemnościach. Szeregowiec Dirka Stadlera wyglądał jak opuszczony. Bodenstein zadzwonił do drzwi, poczekał chwilę i zadzwonił jeszcze raz, lecz nikt mu nie otworzył. Silny wiatr zakołysał wysokimi bukszpanami rosnącymi po obu stronach

wejścia i uniósł z ziemi suche liście. Temperatura spadła o kilka stopni, a zimno nieprzyjemnie przenikało przez nogawki. Tak, kochał swoją pracę, którą wykonywał od trzydziestu lat z okładem, i to mimo że czasem była nużąca i nieprzyjemna. Kochał wyzwania, jakie stawiało przed nim każde śledztwo, i przede wszystkim kochał ulgę i zadowolenie, kiedy kolejny sprawca wpadał w ich ręce, a tym samym czynił zadość niesprawiedliwości, jaką tamten wyrządził ofierze i jej rodzinie. Oliver nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby robić coś innego, i jeśli miałyby być szczery, niczego innego po prostu nie potrafił. Dla niego to nie był tylko zawód, ale przede wszystkim powołanie, więc godził się na to, że nie zawsze będzie mu dane wracać do domu o siedemnastej. Bywały też okresy, kiedy wszystko wydawało się iść nie tak, jak zaplanował. Zajmował się wieloma przypadkami, z których tylko znikoma część nie została rozwiązana — zyskiwały wtedy miano „cold case” i co pewien czas do nich wracano, by sprawdzić, czy nie pojawiły się jakieś nowe dowody. Nowoczesne techniki kryminalistyczne pozwalały przeprowadzać dokładniejsze analizy i badać mniejsze próbki, a poza tym korzystanie z coraz większej ilości ogólnoeuropejskich baz danych pozwalało znajdować wciąż nowe powiązania. Spokój, opanowanie i cierpliwość były cechami niezbędnymi każdemu policjantowi, lecz on miał nieprzyjemne wrażenie, że czekanie, co się zdarzy, było w tej chwili najgorszym wyjściem. Odwrócił się i ruszył z powrotem do samochodu.

W jego głowie wciąż rozbrzmiewało echo słów Gabrieli, która zapowiedziała, że za zajmowanie się jej majątkiem będzie otrzymywał odpowiednie wynagrodzenie. Zajmując stanowisko urzędnicze, nie mógł posiadać dodatkowego źródła dochodu. Czy więc propozycja byłej teściowej będzie wiązała się z koniecznością rzucenia pracy? Czy w ogóle będzie w stanie sprostać oczekiwaniom Gabrieli?



Bodenstein uruchomił silnik i ustawił maksymalne ogrzewanie. Lodowate powietrze z wywietrzników trafiło go prosto w twarz, więc z cichym przekleństwem skierował nawiew na bok, po czym włączył wycieraczkę i ruszył.

W czasie jazdy z Liederbach do Hofheim myślał o zaletach oferty Gabrieli. Nigdy więcej nie musiałby na przykład zrywać się w środku nocy do pracy, a w niedzielę nikt nie budziłby go telefonem, że gdzieś znaleziono zwłoki. Z ramion spadłoby mu brzemienie myślenia o brakach kadrowych, animozjach w zespole, zagmatwanych przepisach i ograniczeniach i przede wszystkim nie musiałby już zawracać sobie głowy bzdurną biurokracją. Nie musiałby też oglądać spalonych ciał, ciał w stanie rozkładu i napuchniętych od wody zwłok topielców. Nie spędzałby długich godzin na przesłuchaniach, nie byłby już karmiony stekami bzdur i kłamstw, przestałby się denerwować, nie gnałby nigdzie i nie zarywał nocy. Czy brakowałoby mu napięcia i niemal ekscytacji, które odczuwał, jadąc na miejsce znalezienia zwłok? Gorączki towarzyszącej łowom na mordercę? Uczucia, że robi coś słusznego? Współpracy ze swoimi ludźmi? Czy mógłby jeszcze cokolwiek osiągnąć, zajmując się jedynie majątkiem pozostawionym przez byłą teściową?

— Nie — odpowiedział sam sobie na głos. — Nie, nie podejmę się tego.

I niespodziewanie zrobiło mu się lżej na sercu.

KAROLINE ALBRECHT spędziła dłuższą chwilę w samochodzie, zastanawiając się, czy na pewno powinna wysiąść i podejść do drzwi jednego z szeregowców i zadzwonić. Bogiem a prawdą, nie miała szczególnej ochoty dowiadywać się czegokolwiek na temat kobiety, którą złośliwy los uczynił jej towarzyszką w cierpieniu. Ją samą przepełniał ból, żaloba i złość i nie wiedziała, czy poradzi sobie z kolejną porcją takich emocji. Goście zaproszeni na stypę wychodzili jeden po drugim, aż w końcu Karoline

zebrała się na odwagę. Nie chciała odwlekać tej chwili, bo w końcu zrobiłoby się zbyt późno na wizytę.

— Tak? — Renate Rohleder uchyliła odrobinę drzwi i przez szparę zmierzyła ją nieprzyjaznym wzrokiem. — O co chodzi?

— Dzień dobry, nazywam się Karoline Albrecht. Przepraszam, że przychodzę bez zapowiedzi, ale... ale chciałabym z panią porozmawiać. W zeszłym tygodniu moja mama... została zastrzelona. W Oberursel. Przez... tego samego sprawcę, który zabił pani matkę.

— O Boże... — Kobieta otworzyła szeroko przekrwione od płaczu oczy, a nieufność ustąpiła miejsca zaciekawieniu. Nie zapytała, skąd Karoline zna jej nazwisko i adres, tylko bez słowa zdjęła zabezpieczenie z drzwi i otworzyła je na całą szerokość. — Proszę, niech pani wejdzie.

W domu unosiła się słodkodusząca woń zmieszana z zapachem sierści mokrego psa. Przez chwilę obie kobiety stały w wąskim przedsionku i mierzyły się trochę nieśmiałym wzrokiem. Rozpacz zostawiła głębokie ślady na twarzy Renate Rohleder: głębokie bruzdy ciągnące się od nosa do kącików ust, opuchnięte powieki i ciemne worki pod oczami. Mimo że była tylko nieznacznie starsza od Karoline, wyglądała jak staruszka.

— Tak... tak strasznie mi przykro, że pani matkę też to spotkało. — Karoline pierwsza przerwała milczenie, a Renate zanosła się szlochem, objęła ją i przycisnęła do piersi. A ona, która nigdy nie lubiła obcego dotyku, przylgnęła do jej obfitego biustu i poczuła, jak ściskający serce pierścień lodu rozpada się na tysiące kawałków. Nie starała się nawet powstrzymać emocji, a łzy popłynęły szerokim strumieniem po jej policzkach. Już po chwili szlochała tak samo głośno i bezradnie jak ta obca kobieta, której dusza została równie mocno skrzywdzona jak jej własna.

Nieco później siedziały w salonie i piły herbatę. Już na początku przeszły na ty, lecz przez dłuższą chwilę nie potrafiły poruszyć tematu, z powodu

którego się spotkały. Stara labradorka leżała na swoim legowisku i przyglądała się im smutnymi, ciemnymi oczyma, przysłoniętymi niebieskawą mgiełką.

— Tpsi praktycznie przestała jeść, od kiedy mamy nie ma z nami — powiedziała Renate i westchnęła ciężko. — Była przy tym... kiedy to się stało...

Karoline zadrżała.

— Moja córka Greta stała koło mamy, kiedy morderca strzelił do niej przez zamknięte okno w kuchni — odparła. Trudno jej było uwierzyć, z jaką łatwością wypowiedziała słowa, których z ojcem za wszelką cenę unikali, tworząc kolejne eufemizmy.

— Boże! — jęknęła Renate przerażona. — To musiało być dla niej okropne! Jak sobie daje radę?

— Łatwo nie jest. Wyjechała z ojcem i jego rodziną. Mam wrażenie, że dobrze jej to robi. — Karoline objęła dłońmi filizankę. — Nie mogę uwierzyć, że ten człowiek zamordował moją matkę ot tak, bez przyczyny! Dom rodziców stoi na skraju lasu, na samym końcu ślepej uliczki. Tam się po prostu nie przechodzi przypadkowo.

Renate wyprostowała się gwałtownie i spojrzała na nią uważnie.

— To przecież nie są przypadkowe zabójstwa — powiedziała cicho. — W gazetach tak piszą dlatego, że policja nie chce, żeby ludzie wiedzieli.

— Co proszę?! — Karoline drgnęła zaskoczona.

— Policja uważa, że to wszystko przez tę Kirsten, Kirsten Stadler. — Renate zadrżał głos, a oczy momentalnie wypełniły się łzami. — Na jej nazwisko wpadli dzięki ostatniej ofierze. Przez to i przez... przez te nekrologi.

Zaniosła się szlochem.

— Boże, to takie straszne! Byłyśmy sąsiadkami, no prawie sąsiadkami, ja

i Kirsten. Często ją widywałam, a czasem nawet wychodziłyśmy razem na spacer. Kirsten też miała psa, hovawarta. Wabił się Spike.

Karoline nie miała pojęcia ani kim była „ta Kirsten”, ani jakie znaczenie mają pozostałe rzeczy, o których mówiła Renate.

— A o co chodzi z tymi nekrologami? — przerwała jej.

— Poczekaj. — Renate zerwała się z miejsca, szybkim krokiem wyszła z salonu i wróciła po chwili z kartką, którą podała Karoline. — To przyszło pocztą na policję w Eschborn.

Nekrolog wydrukowany na zwykłej kartce papieru.

„Śp. Ingeborg Rohleder. Ingeborg Rohleder musiała umrzeć, bowiem jej córka jest winna nieudzielenia pomocy oraz współwinna nieumyślnego spowodowania śmierci. Sędzia” — przeczytała.

— Co to ma znaczyć? — wyszeptała Karoline. — I co to może mieć wspólnego z moją matką?

— Nie mam pojęcia. — Renate wytarła nos, a potem opowiedziała Karoline, co wydarzyło się szesnastego stycznia 2002 roku. — Wciąż nie mogę się pogodzić z tym, że to ja miałabym być winna śmierci mojej matki. Co ja takiego strasznego zrobiłam? Nie mogłam przecież wiedzieć, co się stało Kirsten. Kto w ogóle mógłby przypuszczać, że młoda, wysportowana kobieta ot tak, nagle, dostanie wylewu? Przecież była zupełnie zdrowa! Poza tym, jak mogłabym jej pomóc?

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Renate wpatrywała się gdzieś przed siebie i gniotła w palcach chusteczkę do nosa. Karoline domyślała się, ile musiało ją kosztować przewyciężenie poczucia winy i wyrzutów sumienia i opowiadanie jej tego wszystkiego.

— Czekaj, czy ja dobrze zrozumiałam? — Karoline wolała się upewnić. — Ten człowiek, Sędzia, jak sam się nazywa, zamordował twoją matkę za to, że wtedy nie pomogłaś?

Renate zrobiła nieszczęśliwą minę i potaknęła, a potem wzruszyła ramionami.

— To nie mieści się w głowie. Dlaczego mnie nie zastrzelił? Dlaczego akurat moją matkę, która była... takim dobrym człowiekiem! Była... była ciepła, serdeczna i każdemu pomagała.

Rozpacz znów okazała się silniejsza i Renate zalała się łzami.

— To było tak dawno temu — ciągnęła po chwili, kiedy udało się jej zapanować nad płaczem. — W ogóle już o tym nie myślałam. Aż do tego... aż do dnia, kiedy do kwaciarni weszła Helen z jakimś mężczyzną.

— Helen?

— Córka Kirsten. Zapytała, dlaczego wtedy nie pomogłam jej matce, i dopiero w tamtej chwili wszystko do mnie wróciło.

— Kiedy to było? I czego chciała?

— Nie pamiętam dokładnie, kilka miesięcy temu. W wakacje. Helen zapytała, czy jestem świadoma, do czego wtedy doprowadziłam, i że gorzko tego pożałuję. A ten facet, który z nią był, ani razu się nie odezwał i tylko patrzył na mnie tak dziwnie. Mówię ci, napędził mi niezłego stracha.

Co to wszystko mogło znaczyć?

— Policja też mnie o niego pytała, ale ja byłam w takiej rozsypce, że nie mogłam zebrać myśli. Jak sobie poszli, to coś sobie przypomniałam.

— Sięgnęła po gazetę, która leżała na stole, i podała ją Karoline. — Przedwczoraj przez przypadek zobaczyłam to ogłoszenie i wtedy sobie przypomniałam.

Wskazała na jeden z anonsów.

— Ten znaczek był na samochodzie, którym przyjechali. Zaparkowali dokładnie pod oknem.

Znaczką tym było logo zakładu złotniczego z Hofheim.

— Rozumiesz, Karoline? — szepnęła Renate tajemniczo, a w jej oczach

pojawił się dziwny błysk. — Myślę, że to on jest Sędzią!

Karoline wpatrywała się w nią zaskoczona, gorączkowo usiłując poskładać w całość nadmiar informacji. Nekrologi. Kirsten Stadler. Nieudzielenie pomocy. Śmierć mózgu. Nagle poczuła się jak akrobatka tańcząca na linie utkanej z resztek dziecięcej ufności, pod którą nie było rozpiętej siatki zabezpieczającej.

— Renate, mogłabyś sobie przypomnieć, do którego szpitala trafiła Kirsten Stadler, kiedy to się stało? — Zmusiła się do spokojnego tonu, lecz jej struny głosowe aż bolały z napięcia, a dłonie miała mokre od potu. Z dzikim biciem serca oczekiwała na to, co usłyszy.

— Nie pamiętam... czekaj... musiałabym pomyśleć. — Renate potarła skronie i zacisnęła powieki. — To był jakiś szpital we Frankfurcie, chyba Urazowy. Tak, chyba tak. Ale nie mogli jej już pomóc, bo była w stanie śmierci mózgowej. Zbyt długo nie oddychała...

W głowie Karoline myśli wirowały jak szalone. Nie słuchała już, co Renate ma jeszcze do powiedzenia. Wysiłkiem woli udało jej się pożegnać i wyjść na świeże powietrze. Niepewnym krokiem ruszyła ciemną ulicą w stronę samochodu.

Wsiadła, oparła dłonie na kierownicy i odetchnęła kilka razy. Wszystko w niej wzbraniało się przed podejrzeniem, że ojciec mógł mieć coś wspólnego z przypadkiem Kirsten Stadler. Nie, nie chciała tego wiedzieć. Mama nie żyła i nic już nie przywróci jej do życia.

— WIESZ, NASZE MIEJSCA zamieszkania chyba nie mogłyby się bardziej różnić. — Kim usiadła wygodnie na dwuosobowej kanapie. — Ja mam loft w Hamburgu, a ty własne gospodarstwo na wsi.

— Tak, od zawsze o tym marzyłam! — potwierdziła Pia i uśmiechnęła się szeroko, wznosząc toast białym winem. — Dość długo mieszkałam

w mieście i miałam już po dziurki w nosie godzin spędzonych na poszukiwaniu jakiegoś miejsca do zaparkowania czy jeżdżenia po garażach podziemnych.

— Ale tutaj nie masz przecież żadnych sąsiadów! — zaprotestowała Kim.  
— Gdyby coś ci się stało, nikt by się nawet nie zorientował!

— Wiesz, zazwyczaj nie jestem sama, tylko z Christophem, a poza tym najbliższy sąsiad jest ledwie pięćset metrów dalej. — Pia potrząsnęła głową.  
— Cokolwiek by powiedzieć, czuję się tu pewniej i bezpieczniej niż w mieście, w którym stosunki międzyludzkie wymknęły się spod jakiegokolwiek kontroli. Wiesz, jak często znajdujemy ciała, które miesiącami leżą w mieszkaniach, bo nikt nie zainteresował się zniknięciem jakiegoś człowieka? Co ci da, że mieszkasz w bloku z dziesięcioma czy dwudziestoma ludźmi na klatce, skoro pies z kulawą nogą się tobą nie interesuje? Tutaj, z dala od zgiełku, ludzie przynajmniej zwracają na siebie uwagę.

— Naprawdę nie wiem, czy dałabym radę przenieść się tak daleko od cywilizacji. — Kim upiła łyk wina.

— Z daleka od cywilizacji? — Pia nie mogła powstrzymać śmiechu.  
— Daj spokój, niecałe sto metrów dalej biegnie najruchliwsza autostrada w całym kraju!

— Wiesz przecież, o czym mówię. Jestem po prostu zaskoczona, że ta samotność cię nie przeraża, tym bardziej po tym, przez co przeszłaś.

— Tylko że tamto stało się w mieszkaniu, gdzie miałam sąsiadów po prawej i po lewej stronie — przypomniała jej Pia. — I wiesz co? Nic to nie dało.

Po pracy siostry pojechały na zakupy, oporządziły konie, a na koniec Pia przygotowała obiad: kotlety jagnięce z czosnkiem. Olej z oliwek, świeże zioła, do tego polenta z parmezanem i marchewki smażone na maśle. Spędzały przyjemny wieczór, sącząc drugą już butelkę wina Gavi di Gavi

i delektując się posiłkiem.

— Codziennie gotujecie? — zapytała Kim.

— Tak — potaknęła Pia. — Zazwyczaj Christoph bierze to na siebie. Jest boskim kucharzem. Ja raczej zawsze należałam do tych osób, które wieczorem zapychają się pizzą z tuńczykiem, a przez cały dzień pochłaniają kebaby, hot dogi i hamburgery. Ale wiesz, wiele się nauczyłam i sporo rzeczy jako tako mi wychodzi. Z wyjątkiem zupy dyniowej.

— Jako tako?! Dziewczyno, to przecież było boskie!

— Dzięki. — Pia uśmiechnęła się i upiła łyk wina. W kominku trzaskał ogień, a przyjemne ciepło promieniowało na cały pokój. Od trzech lat, czyli od czasu kompletnej przebudowy domu, jakość życia i mieszkania w starych wnętrzach uległa diametralnej poprawie: pojawiły się potrójne, ciepłe okna, nowy dach z poprawną izolacją i nowoczesne centralne ogrzewanie zamiast starych pieców akumulacyjnych, które nigdy nie działały jak należy, choć zżerały gigantyczne ilości prądu. Na pierwszym piętrze zbudowali dużą sypialnię z balkonem, wspańiałą łazienkę i dodatkowe pomieszczenie, które wykorzystywali jako garderobę. Za to stara sypialnia na parterze została przekształcona w pokój dla gości.

— Nie mogę się już doczekać, kiedy poznam tego twojego Christoha — powiedziała Kim. — Tak się cieszę, że w ogóle do ciebie przyjechałam!

— Ja też się cieszę. — Pia spojrzała na młodszą siostrę. Dawniej były nierozłączne i wszystko robiły razem. Ale Pia szybko poczuła zew wolności i zaraz po maturze opuściła rodzinny dom, który uważała za przygnębiający i pozbawiony radości. Zamieszkała z przyjaciółką, zaczęła studiować prawo i jednocześnie pracować, żeby jak najszybciej uniezależnić się od rodziców. Najmłodsza Kim wolała wygodę mieszkania z rodzicami. Zresztą ona zawsze była delikatniejsza i spokojniejsza niż Pia. Była też bardziej konsekwentna i miała bardziej sprecyzowane marzenia. Rodzice z początku ciężko



przeżywali, że żadne z ich dzieci nie poszło w ślady ojca i nie podjęło pracy w Hoechst AG, lecz w końcu zaakceptowali fakt, że będą mieli w rodzinie bankowca i dwie studentki. Podczas gdy Kim i Lars z uporem podążali obraną ścieżką, Pia porzuciła studia i zaczęła pracę w policji, znów przysparzając wstydu rodzicom, którzy na kręglarni i wśród znajomych z chóru parafialnego już przechwalali się posiadaniem w rodzinie przyszłej prawniczki. Lecz największy cios zadała im, wychodząc za Henninga Kirchhoffa — medyka sądowego. Wtedy też w ogóle przestali o niej wspominać. Nieco później podobny los spotkał Kim, bo młodsza córka zajmowała się najniebezpieczniejszymi przestępcami i psychopatami. Milczeniem wymazali je obie z historii rodziny. W przeciwieństwie do Pii, która bez żalu spaliła za sobą wszystkie mosty, Kim mocno przeżywała odrzucenie. Wyprowadziła się do Hamburga i przez dziesięć lat jedynym kontaktem z rodzicami były oficjalne kartki świąteczne.

— Co właściwie sprawiło, że w tym roku zdecydowałaś się przyjechać do domu? — zapytała Pia.

— Właściwie nie wiem. — Kim wzruszyła ramionami. — Mam wrażenie, że mój czas w Hamburgu powoli dobiega końca. Po jedenastu latach w tej pracy nie widzę już wyzwania dla siebie, chyba że miałabym czekać na dyrektorski stołek. A powiem ci szczerze, że mam całą masę ofert, w tym również z Frankfurtu.

— O rany! — Pia była zachwycona. — To byłoby super! Mieszkałybyśmy blisko siebie!

— Tak, też mi się to podoba — przyznała Kim. Zamyślona obracała w dłoniach kieliszek. — O wiele bardziej niż wyjazd do Berlina, Monachium, Stuttgartu czy do Wiednia. Frankfurt jest dokładnie pośrodku, więc mi odpowiada. Stąd wszędzie jest blisko.

— Masz jakiegoś faceta? — zapytała Pia.

— Nie. — Kim potrząsnęła głową. — Już od dawna nie. Ale całkiem mi z tym dobrze. A ty i Christoph? Od kiedy jesteście razem?

— Już sześć lat. — Pia się uśmiechnęła.

— Rany, nie miałam pojęcia. Czyli to coś poważnego, tak?

— No chyba. — Pia zachichotała. — Dziesięć dni temu się pobraliśmy.

— Co?! — Kim wytrzeszczyła oczy z wrażenia. — I tak spokojnie o tym mówisz?

— Poza tobą nikt o tym nie wie, nawet jego córki. Chcieliśmy z Christophem zrobić to tylko dla siebie. Za to latem wydamy wielkie przyjęcie tutaj, w gospodarstwie i zaprosimy znajomych.

— Fantastycznie! — Kim nie mogła powstrzymać radości. — Jejku, teraz to już naprawdę nie mogę się doczekać, żeby go poznać.

— Nic się nie bój, poznasz go już niedługo. Jestem pewna, że ci się spodoba. Jest fantastycznym facetem. — Tyle że teraz po drugiej stronie kuli ziemskiej. W chwili, kiedy pomyślała te słowa, ogarnęła ją ogromna tęsknota, którą dotychczas jakoś udało jej się kontrolować.

Siostry milczały przez chwilę. W kominku strzeliła jakaś szczapa i wyrzuciła w powietrze snop iskier. Jeden z psów warczał przez sen, poruszał łapkami i machał ogonem.

— Twój szef mi się podoba — oznajmiła Kim niespodziewanie.

— Co proszę? Że niby Bodenstein? — Pia z wrażenia uniosła brwi.

— Nie. — Kim uśmiechnęła się rozbawiona. — Nie Bodenstein. Właściwie to szefowa. Nicola. Nicola Engel.

— Co... co?! — Tym razem Pia z wrażenia rozdziawiła buzię. — Ty chyba żartujesz!

— Nie, serio. — Kim przyglądała się kieliszkowi w dłoni. — Ma w sobie coś wyjątkowego.

— Przecież Engel na śniadanie je surowe mięso, zagryza kilogramem

gwoździ, a gdy jeszcze jest głodna, to tego, kto z nas się jej akurat nawinie, pożera na deser — odparła Pia, nie mogąc się otrząsnąć po nagłym wyznaniu siostry. — Po niej kwas spływa jak woda po kacze. Co ona ma w sobie takiego specjalnego?

— Sama nie wiem. — Kim wzruszyła ramionami. — Po spotkaniu z nią byłam naprawdę pod wrażeniem. A od dawna mi się coś takiego nie zdarzyło.

Obudziła go cisza. Przez całą noc wiatr wściekle bił w ściany jego domu, wył w kominie i łomotał roletami, lecz teraz zapanował całkowity spokój. Sięgnął w bok i po omacku odszukał budzik na nocnej szafce. Za dziesięć szósta. Dobra pora, by rozpocząć dzień; dzień, o którym będzie głośno w prasie i to nie tylko regionalnej. Od pierwszego strzału pisały o nim wszystkie gazety, a w telewizji i w radiu był tematem numer jeden. Już jego w tym głowa, żeby w najbliższym czasie nic się w tym względzie nie zmieniło. Nie podobało mu się jednak to, że opisywano go jako mordercę, który na oślep wybiera swoje ofiary. To nie była prawda, i ludzie mieli prawo, by się o tym dowiedzieć. Pomysł z nekrologami był dobry, jednak policja z jakichś przyczyn nie chciała przekazać tych informacji prasie. Dlatego sam znalazł dziennikarza, jednego z lepszych, który w ostatnich dniach opublikował kilka poważnych tekstów na temat jego działań. Wysłał mu kopie nekrologów. Zrzucił z siebie kołdrę, poszedł do łazienki i opróżnił pęcherz. Potem wszedł pod prysznic i umył się dokładnie w wodzie tak gorącej, jak tylko dało się wytrzymać. To mógł być jego ostatni prysznic, tak samo jak ostatnia mogła być jego noc w tym domu. Codziennie musiał liczyć się z możliwością, że zostanie złapany. Każdy dzień mógł być ostatnim dniem na wolności. Dzięki tej świadomości cieszył się każdą chwilą i wszystkimi zmysłami chłonął najdrobniejsze codzienne zdarzenia. Wygodne łóżko z materacem kieszeniowym, ciepła kołdra i poszewki z adamaszku. Nieprzyzwoicie drogi żel pod prysznic, miękki ręcznik czy bielizna pachnąca płynem do płukania. Ogolił się bardzo starannie, z dużą ilością pianki. Wiedział, że na taki luksus w więzieniu nie będzie mógł liczyć. Być może dziś wieczorem będzie po wszystkim. Ale też może dopiero za trzy dni albo za dwa tygodnie. Niepewność była ekscytująca i przyprawiała go o motylki w brzuchu, których od dawna już nie czuł. Cały

*czas pamiętał jednak, że to tylko skutek uboczny tego, co musi zrobić. Nie pozostawiono mu wyboru. Inaczej niczego się nie nauczą. Nie mieli żadnego poczucia winy, żadnych wyrzutów sumienia i wszystko uchodziło im na sucho. W żadnej z tych osób nie dostrzegął żalu. W żadnej. Dlatego musiał dać im lekcję.*

*Jeśli dzisiaj go złapią, będzie gotowy. Wszystko już zaplanował. Niczemu nie zaprzeczy. Adwokata również nie będzie potrzebował, bo przecież się przyzna — bezzwłocznie i bez wahania. To część jego planu. Dwadzieścia trzy po siódmej. Już za niecałe sześć godzin pociągnie za spust. Włożył kurtkę i wyszedł, by po raz ostatni kupić u niej chleb i precel.*

BODENSTEIN RÓWNIEŻ zwrócił uwagę na nagłą poprawę pogody i brak wiatru. Stał na balkonie z filiżanką kawy w dłoni i z troską spoglądał na wiszącą nieruchomo flagę w ogrodzie sąsiadów po lewej stronie.

Cisza. Zerowa prędkość wiatru.

Idealne warunki dla Snajpera.

Bodenstein przesunął spojrzeniem po horyzoncie. Po lewej stronie błyskały czerwone światelka umieszczone na szczycie wieży telewizyjnej we Frankfurcie, a obok niej połyskiwały rozświetlonymi już oknami rzędy biurowców należących do banków. Pośrodku leżało miasto Höchst z dzielnicą przemysłową, a całkiem po prawej stronie znajdowało się lotnisko. Łącznie teren, który obejmował wzrokiem, zamieszkiwało ponad ćwierć miliona ludzi, z których każdy mógł stać się kolejną ofiarą Snajpera. Wszyscy policjanci w regionie zostali poinformowani o podwyższonym stopniu zagrożenia, do pracy ściągnięto funkcjonariuszy, którzy mieli przyznane urlopy, i wezwano posiłki z sąsiednich krajów związkowych. Zdawał sobie jednak sprawę, że kontrolowanie całego obszaru między Renem a Menem było fizycznie niewykonalne. Znacznie zwiększona gęstość

i częstotliwość patroli i wzmożona czujność mieszkańców mogły doprowadzić do tego, że po następnym zamachu Snajper nie będzie w stanie uciec i wpadnie w ich ręce, jednak nie ma sposobu, żeby zapobiec kolejnej śmierci. Bodenstein upił łyk kawy.

Kirsten Stadler.

Czy śmierć tej kobiety przed dziesięcioma laty rzeczywiście mogła być przyczyną morderczej krucjaty Snajpera? Bodenstein wolał nie ryzykować najmniejszego zaniedbania, więc zlecił dyskretną obserwację Dirka i Erika Stadlerów. Nie było szans na nadzór operacyjny przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, lecz na ulicy, przy której stał dom Stadlera, radiowozy miały pojawiać się ze znacznie większą regularnością. To samo dotyczyło również frankfurckiej dzielnicy Nordend, gdzie mieszkał Erik Stadler. Oliver poprosił o informację, czy i kiedy opuszczają swoje domy.

Powietrze było chłodne i czyste. Zrobiło mu się zimno.

Opiekunka Sophii zaczynała pracę o ósmej rano, więc skoro i tak nie mógł wcześniej wyjść do pracy, sięgnął po gazetę, którą zazwyczaj czytał dopiero w biurze. Zszedł na parter, przygotował kolejną filiżankę kawy i usiadł przy kuchennym stole. Prawie się zakrztusił, kiedy spojrzął na pierwszą stronę. Ogromne czarne litery obwieszczały: SNAJPER. CO UKRYWA POLICJA. Pospiesznie otworzył gazetę na trzeciej stronie, gdzie miał się znajdować właściwy artykuł zawierający informacje z pierwszej ręki, i zaczął czytać. Pierwsze akapity stanowiły zlepek domysłów i spekulacji, lecz później z każdą kolejną linijką wzrastała w nim złość. Autor, który podpisywał się jedynie inicjałami KF, podał imiona wszystkich ofiar, pierwsze litery ich nazwisk i wiek, który umieścił w nawiasach, zaraz obok tych danych. Twierdził też, że policja doskonale wie, iż Snajper nie morduje na oślep, lecz wybiera ofiary według klucza, a ukrywa tę informację przed społeczeństwem najprawdopodobniej ze względu na sposób prowadzenia śledztwa. Skąd ten

człowiek zdobył imiona i nazwiska ofiar? Czyżby wśród jego ludzi znalazł się ktoś nielojalny, kto sprzedawał informacje prasie? A może sprawca sam skontaktował się z dziennikarzem i przekazał mu, co sam uznał za stosowne?

KAROLINE ALBRECHT potrzebowała połowy nocy i całej butelki czerwonego wina, by ze zdobytych fragmentów informacji ułożyć w głowie puzzle w możliwie logiczny obraz. Koniecznie musiała skonfrontować swoją wiedzę z ojcem, choćby i ryzykując zerwanie na zawsze serdecznych kontaktów. Złościła się, bo strach, tak bardzo nietypowy dla niej, odbierał jej rozsądek, paraliżował i nie pozwalał działać. W drodze z Kelkheim do Oberursel na zmianę to oblewała się potem, to trzęsła z zimna. Miała przy tym ściśnięty żołądek i mokre dłonie. Ostatnim razem czuła się tak dwadzieścia cztery lata temu podczas egzaminu na prawo jazdy! Podjechała pod dom rodziców, lecz widząc samochód ojca na podjeździe, znów poczuła taki strach, że chciała zawrócić i uciec, zanim tata zdąży ją zauważyć.

— Weź się w garść, mały tchórze, i załatw to raz na zawsze — upomniała się na głos. Zaparkowała, wysiadła i odetchnąwszy głęboko, podeszła do drzwi. Kiedy chciała włożyć klucz do zamka, ojciec złapał od środka klamkę i otworzył, żeby wyjść.

— O, cześć, Karoline — powiedział. — Wcześniej dzisiaj jesteś.

Starannie ogolony i uczesany, ubrany w długi płaszcz, w ręce trzymał aktówkę.

— Cześć, tato. — Była zaskoczona, widząc go w takim stanie. — Wyjeżdżasz?

— Tak. Muszę jechać do szpitala — wyjaśnił. — Tutaj mam wrażenie, że świat wali mi się na głowę, a w takich sytuacjach praca jest chyba najlepszym lekarstwem.

— Musimy porozmawiać — oznajmiła Karoline, kiedy chciał ją minąć

i wsiąść do samochodu.

— Czy to nie może poczekać do wieczora? O dziesiątej mam ważną operację i muszę...

— Wciąż masz jakieś ważne operacje. Zawsze, kiedy chcę z tobą porozmawiać, zasłaniasz się pracą. — Nie dała mu dokończyć. — Tym razem to pilne i nie może poczekać.

— Czy coś się stało?

Nie mogła uwierzyć, że zadał to pytanie na poważnie.

— Wiem, że czegoś mi nie mówisz — powiedziała. — Tylko nie mogę dojść dlaczego. Czy robisz to rzeczywiście z czystego altruizmu, czy może dlatego, że chcesz coś przede mną ukryć?

— Nie mam nic do ukrycia! — Czyżby w jego oczach pojawił się dziwny błysk? Co to było? Złość? Niepewność? A może... strach?

— Doprawdy? W takim razie na pewno nie będziesz miał nic przeciwko, żebym porozmawiała z policją i od nich się dowiedziała, czy dla mamy też przyszedł nekrolog.

Jego wahanie było wystarczającą odpowiedzią. Ostatnia resztką nadziei, która jeszcze tliła się w jej sercu, w jednej chwili zgasła i zniknęła. Ojciec, jej własny tata, okłamał ją, i to nie dlatego, że chciał jej czegoś oszczędzić, tylko dlatego, że — tak samo jak Renate Rohleder — czuł się winny!

— Co było w tym nekrologu? — nie dawała za wygraną. — Co napisał Sędzia? Mów! Mam prawo wiedzieć, dlaczego mama musiała umrzeć i dlaczego moja córka przeszła przez najgorszą traumę, jaką można sobie wyobrazić!

— Karoline! — Odstawił aktówkę i chciał dotknąć dłonią jej ramienia, lecz kobieta cofnęła się, żeby mu to uniemożliwić. — Nie chciałem niczego przed tobą ukrywać. Planowałem poczekać na właściwy moment, kiedy w ciszy i spokoju będziemy mogli o tym porozmawiać, a nie tak jak teraz,



w biegu.

— W ciszy i spokoju? Czyli kiedy? — Cholera, znów zaczęło się jej zbierać na płacz. Jednak łzy z miejsca postawiłyby ją na przegranej pozycji, więc musiała je powstrzymać. Nie mogła sobie pozwolić, by okazać słabość. Nie teraz! — Wiesz o tym nekrologu od wizyty policji, prawda?

— Tak, wtedy mi go pokazali. Ale chciałem poczekać, aż poczujesz się lepiej. Uwierz mi, że odkąd się o nim dowiedziałem, nie przestaję się zadrećzać i wciąż robię sobie wyrzuty! — Ojciec westchnął ciężko i jakby zapadł się w sobie. Zgarbił się, ale nie odwrócił wzroku. — Morderca napisał w nekrologu, że to ja jestem odpowiedzialny za to, że on ją zamordował! To tak nieprawdopodobnie bezpodstawny zarzut, że nawet nie wiem, co o nim myśleć. To samo powiedziałem policji. Moja praca polega przecież na ratowaniu życia! Niestety, poruszam się w bardzo wąskim przedziale między życiem a śmiercią, nadzieją a rozczarowaniem.

— Czyli jednak mama nie była przypadkową ofiarą tego... Snajpera. — Karoline skrzyżowała ramiona na piersi. — Czy miałeś cokolwiek wspólnego z tą Kirsten Stadler? Co się z nią w ogóle działo?

— Przecież ci powiedziałem, że te zarzuty są całkowicie bezpodstawne i pozbawione sensu — odpowiedział ojciec złym i zniecierpliwionym tonem, który pojawiał się w jego głosie, ilekroć jakiś temat zaczynał go drażnić albo chciał zakończyć rozmowę. Karoline przypomniała sobie, jak bardzo mama nie lubiła właśnie tego sposobu jego odzywania się. Uważała, że to ogromnie niegrzeczne w stosunku do rozmówców tak jednoznacznie pokazywać, że chce się ich pozbyć. A jednak zawsze znajdowała usprawiedliwienie dla swego męża, tłumacząc, że nic złego nie chciał w ten sposób przekazać, tylko myślami był już przy kolejnym pacjencie, który potrzebował pomocy.

Mama znajdowała wytłumaczenie dla tak wielu rzeczy, pomyślała Karoline i poczuła bolesne ukłucie w sercu, bo jej postępowanie również

tłumaczyła przed innymi.

Być może tylko dzięki temu znosiła dwoje egocentrycznych pracoholików — męża i córkę.

— Co się wtedy stało? — drążyła.

— Nic, co by zasługiwało na uwagę. Rutynowa sprawa — upierał się ojciec, lecz Karoline miała wrażenie, że to nie mogło tak wyglądać. Dla niego transplantacja serca mogła być rutynową sprawą, ale dla jego pacjentów i ich rodzin sama świadomość, że operować będzie sławny profesor Dieter Rudolf miała ogromne znaczenie. Jej ojciec był ostatnią deską ratunku w wielu z pozoru beznadziejnych sytuacjach. Czy kiedykolwiek zdał sobie sprawę, jak wielką siłę miało jego nazwisko? Czy w ogóle był w stanie widzieć w tych ludziach ich losy i przyszłość, czy tylko przypadki medyczne?

— Tato! — Karoline ściszyła głos. — Jeśli zrobiłeś coś, co mogło doprowadzić do śmierci mamy, to nigdy ci tego nie wybaczę!

Serce waliło jej tak mocno, że czuła niemal fizyczny ból. Nigdy jeszcze nie rozmawiała z nim w ten sposób! W słabym świetle lampki nad drzwiami jej ojciec wyglądał, jakby nagle się postarzał. Nie przypominał tego wszechwiedzącego, pewnego siebie rodzica, którego obraz zawsze miała przed oczyma i o którego uznanie i uwagę walczyła — bezskutecznie — jako dziecko.

— Za kogo ty mnie w ogóle uważasz? Jak mógłbym zrobić coś, co by mogło narazić na niebezpieczeństwo twoją matkę? — wychrypiał. — Nie zrobiłem nic złego i nie czuję się niczemu winien! Musisz mi uwierzyć. Ten przypadek to nie było wówczas nic nadzwyczajnego. Do szpitala trafiła jakaś kobieta, która po wylewie krwi do mózgu przez kilka godzin pozostawała bez tlenu i doszło do śmierci mózgowej. Było za późno na jakąkolwiek pomoc. Najbliżsi wyrazili zgodę na pobranie od niej organów, przeprowadzone

zostały wszystkie konieczne testy i badania, dane zostały przekazane do Eurotransplantu, a personel tej organizacji skontaktował się z chorymi, którzy czekali na organy i którzy wykazywali zgodność tkankową. Jeszcze tej samej nocy od kobiety w stanie śmierci mózgowej organy zostały pobrane i przeszczepione. Wszystko zgodnie z procedurą. Dla jej rodziny to z pewnością ogromna tragedia, ale dla mnie najzwyczajniejszy dzień w pracy.

— Coś musiało się zdarzyć! Coś musiało pójść nie tak! — upierała się Karoline. — Inaczej po dziesięciu latach nie objawiłby się szaleniec, który z zemsty morduje niewinnych ludzi!

— Ależ na tym właśnie polega problem, że wszystko poszło tak, jak powinno! Słowo honoru! — odparł ojciec z naciskiem. Podniósł z ziemi aktówkę i ruszył w stronę samochodu. Czujnik ruchu włączył reflektor nad bramą garażu i podjazd zalało jaskrawe światło.

— Zobaczymy się dzisiaj wieczorem? — zapytał, bo Karoline nie skomentowała jego słów.

— Nie wiem. Może — odparła i odprowadziła go wzrokiem. Nigdy jeszcze nie wątpiła w to, co mówił, jeśli już w ogóle zdarzało się jej myśleć o jego pracy. Teraz nie wiedziała, w co wierzyć. Podejrzewała jednak, że nie powiedział jej prawdy. Coś musiało wówczas pójść nie tak i to dlatego zginęła jej matka.

BODENSTEIN SIEDZIAŁ w pustej sali odpraw i podpierając głowę dłonią, spoglądał niezadowolony na tablicę, na której wisiały starannie podpisane zdjęcia ofiar i miejsc ich odnalezienia. Domyślał się, że Snajper uderzy znowu, być może nawet dzisiaj, a on w żaden sposób nie mógł temu zapobiec. Niezależnie od tego, jak intensywnie się zastanawiał i ile pomysłów przychodziło mu do głowy, ostatecznie nie wiedział, co powinien zrobić; jak dotąd policja nie dysponowała nawet najbardziej ogólną

wskazówką, według jakich kryteriów Snajper wybiera kolejne ofiary.

„Wielka krzywda się stała, lecz winnych jej dosięgnie taki sam ból jak ten, który sprawili swoją obojętnością, chciwością, próżnością i bezmyślnością. Oni właśnie, którzy z własnej woli noszą brzemień winy, niech żyją w strachu i przerażeniu, bo oto przyszedłem sądzić żywych i umarłych”.

Bodenstein złożył kopię listu, który Sędzia przysłał do redakcji gazety „Taunus Echo”. Oryginał znajdował się w drodze do laboratorium kryminalistycznego. Wystarczył krótki telefon do biura prasowego, by dowiedzieć się, który dziennikarz „Taunus Echo” podpisuje swoje artykuły inicjałami KF. Później jednak stracił godzinę, zanim w końcu udało mu się połączyć z Konstantinem Faberem. Dziennikarz zareagował dość opryskliwie, kiedy Bodenstein zarzucił mu, że swoimi przedwczesnymi spekulacjami i publikacją danych ofiar mógł zaszkodzić prowadzonemu śledztwu.

— W Niemczech mamy na szczęście wolność słowa — oznajmił Konstantin. — Poza tym jako dziennikarz mam wręcz obowiązek, by o takich sprawach informować swoich czytelników.

Bodenstein na końcu języka miał ostrą odpowiedź, jednak w porę wziął głęboki oddech i się powstrzymał. Nic by nie zyskał, zrażając do siebie prasę, a dobre stosunki z dziennikarzami i ewentualna współpraca z nimi mogły w przyszłości okazać się bardzo pomocne dla śledztwa. Okazało się, że Faber rzeczywiście otrzymał pocztą nekrologi wraz z dodatkowym listem, a wszystko to oczywiście anonimowo. Nie było jednak najmniejszych wątpliwości, że nadawcą był ten sam samozwańczy Sędzia, który poprzednie nekrologi przysłał policji. Jadąc do biura, Bodenstein nadłożył trochę drogi, żeby zahaczyć o redakcję „Taunus Echo” w Königstein i zamienić kilka słów z Konstantinem Faberem. Kopertę wraz z listem od Sędziego Oliver zarekwirował jako dowody w toczącym się postępowaniu. W zamian za

obietnicę wyłączności na nowe informacje dziennikarz obiecał mu, że jeśli morderca skontaktuje się z nim ponownie, natychmiast da mu znać.

Artykuł w lokalnej gazecie wywołał falę paniki, co przełożyło się na nawal histerycznych telefonów na gorącą linię. Jednak tym razem część z tych wiadomości wyglądała na tyle interesująco, że trzeba było je jak najszybciej sprawdzić. Dlatego też poranna odprawa została skrócona do minimum i dotyczyła tylko najważniejszych kwestii. Przy okazji udało mu się zażegnać nową kłótnię między Neffem a Kim Freitag, a zaraz potem rozdzielić ludziom zadania i rozesłać ich do pracy, by zbadali każdy obiecujący ślad, licząc, że może dziś trafią na coś, co w końcu przyniesie tak bardzo oczekiwany przełom.

Przede wszystkim należało odnaleźć Joachima Winklera, teścia Dirka Stadlera, oraz mężczyznę, który towarzyszył Helen Stadler, kiedy przyjechała do Renate Rohleder do kwaciarni. Ktoś inny musiał porozmawiać jeszcze z dziećmi Stadlera, Erikiem i Helen, oraz dawnymi sąsiadami Dirka i Kirsten z Niederhöchstadt. Należało również ustalić dane pracowników Szpitala Urazowego we Frankfurcie, którzy dziesięć lat wcześniej zaangażowani byli w sprawę Kirsten Stadler. Potrzebowali nakazu prokuratorskiego, by dopuszczono ich w końcu do akt pacjenta oraz akt procesu, jaki Dirk Stadler wytoczył szpitalowi. Kto reprezentował szpital przed sądem? Jak nazywał się adwokat Dirka? Kogo miałby przekupić przy okazji przeszczepu ojciec Maximiliana Gehrkego? Czy mogło chodzić o przeszczep serca dla jego syna? I czy w ogóle dało się kogokolwiek przekupić, żeby szybciej dostać nowy organ?

Pół nocy Bodenstein spędził w Internecie, szukając informacji na temat transplantologii. Najistotniejszy w tych poszukiwaniach okazał się fakt, że bardzo trudno jest znaleźć dawcę serca dla osoby chorej. Nie wystarczy bowiem ustalić, skąd ma pochodzić nowy organ, lecz trzeba przeprowadzić

cały szereg testów i badań, by wykluczyć możliwość odrzucenia serca przez biorcę. Kojarzeniem dawców i biorców zajmuje się fundacja pożytku publicznego Eurotransplant z siedzibą w Holandii, obsługując jedynie pacjentów zarejestrowanych w swoich bazach. Mimo to niedawno wybuchł skandal, gdyż niektórzy trafiali na listę oczekujących, nie spełniając odpowiednich warunków. Bodenstein czytał gdzieś o tym w gazecie, jednak nigdy dotąd nie zajmował się bliżej tym tematem.

— No proszę, jeszcze tu siedzisz? — Głos Pii wyrwał go z zamyślenia. — Jak tam? Przeszkadzam?

— Nie, skąd. Wejź, proszę. — Uśmiechnął się do niej. — Tylko zamknij za sobą drzwi.

Odkąd rozpoczął się ten cały koszmar, nie mieli właściwie szans, by w spokoju zamienić kilka słów.

Pia przyciągnęła sobie krzesło i usiadła naprzeciwko niego.

— W jaki sposób samowolny Sędzia trafił akurat na Konstantina Fabera? — zapytała szeptem. — Przeszukałam stronę gazety i dowiedziałam się z niej, że Konstantin jest przecież odpowiedzialny za działy kultury i ekonomii.

— Prawdopodobnie przypadek — stwierdził Bodenstein. — Na czas świąt i przerwy noworocznej Faber został dyżurnym redaktorem dla wszystkich działów i dlatego list od Snajpera wylądował na jego biurku. Mogło jednak pójść gorzej. Faber jest przynajmniej chętny do współpracy i nie szuka taniej sensacji.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

— Dzisiaj znowu coś się zdarzy — powiedziała nagle Pia. — Mam złe przeczucia.

— Ja niestety też — przytaknął Bodenstein.

— Na dodatek szalu można dostać przez te ciągłe awantury tutaj — dodała

Pia. — Nie da się posiedzieć w spokoju i zastanowić, bo co chwila ktoś wyskakuje z jakimś genialnym pomysłem, nową teorią, chce dokądś jechać i coś sprawdzić albo odkrywa tajemną prawidłowość w działaniach mordercy. I jeszcze te codziennie nowe profile psychologiczne! Ile można!

— Ja mam tak samo — przyznał Bodenstein i westchnął ciężko. — Nasze wsparcie z zewnątrz zamiast przynosić świeże spojrzenie, tylko mąci nam tu wodę.

— Sama lepiej bym tego nie ujęła. — Pia uśmiechnęła się smutno i potaknęła. — Czuję się, jakbym znów trafiła do szkoły policyjnej. Muszę się ze wszystkiego tłumaczyć i uzasadniać każdą decyzję. Za dużo w tym gadania i czepiania się.

— Dobra, to co robimy? — zapytał Bodenstein.

— Pozbądźmy się ich — zaproponowała Pia. — Napoleona Neffa i mojej siostry. Ich zadaniem powinna być analiza wyników, a nie mącenie.

— Pełna zgoda.

Ze względu na ogromne zainteresowanie mediów i obawy mieszkańców Ministerstwo Spraw Wewnętrznych oczekiwało natychmiastowych wyników i z dnia na dzień wywierało coraz większą presję na Nicolę Engel, a ona dawała to odczuć Oliverowi. Bodenstein jednak nie pierwszy raz kierował tak dużym zespołem pracowników. Na razie po prostu dawał wszystkim względną swobodę działania. Doświadczenie uczyło jednak, że ludzi o tak przerośniętym ego jak Andreas Neff należało stanowczo powstrzymać w ich zapędach do rządzenia, bo inaczej zagrażali płynnej pracy całego zespołu. Siostra Pii również nie była przyzwyczajona do tak szerokiej współpracy. Jako ekspertka i biegła sądowa miała nawyk autorytatywnego wygłaszania swojego zdania, z którym nikt nie powinien już dyskutować.

— Mamy jakieś informacje na temat Stadlerów? — zapytał Bodenstein.

— Erik Stadler jakiś czas spędził u siebie w firmie i o siódmej wieczorem

pojechał do domu. Dzisiaj rano wyszedł siedem po ósmej, żeby pobiegać — odparła Pia. — Stadler senior wyszedł tylko po gazetę, a poza tym siedzi w domu.

— W takim razie najpierw jedziemy do Erika, a potem porozmawiamy z jego ojcem — zdecydował Bodenstein. — Jedziemy sami — dodał, wstając z krzesła.

*WIELU LUDZI ma niewiarygodnie silne przyzwyczajenia. Weźmy na przykład tę sprzedawczynię z piekarni. Według jej planu dnia można by nastawiać zegarek. Wszystko dokładnie co do minuty, żadnych spóźnień. Przez ostatnich czternaście dni obserwacji nie stwierdził żadnych odstępstw od stałego planu. Zero jakiegokolwiek spontaniczności. Codziennie wychodziła z domu za piętnaście szósta rano. Jechała do pracy w sklepie należącym do dużej sieci piekarni, obok supermarketu Rewe w Eschborn Camp Phoenix Park. Za każdym razem parkowała dokładnie w tym samym miejscu za dyskontem Aldi. Jej zmiana trwała od szóstej rano do pierwszej po południu. Miała tylko jedną przerwę na śniadanie, która jednak była zależna od ruchu w sklepie. Po skończonej pracy szła do Rewe zrobić zakupy, które prawie zawsze trwały mniej niż piętnaście minut. Wsiadała do samochodu i wracała do domu przy Berliner Strasse w Schwalbach, w którym mieszkała z mężem. Kiedy wracała, on już na nią czekał, jednak wychodził najpóźniej o wpół do trzeciej, bo najprawdopodobniej o tej porze kończyła się jego przerwa obiadowa. Sprzedawczyni z piekarni o czwartej po południu jechała do drugiej pracy w salonie manicure w Bad Soden, gdzie przez cały tydzień, po dwie godziny dziennie do wpół do siódmej wieczorem zajmowała się paznokciami klientek. Dzieci na razie nie mieli, ale być może odkładali tę decyzję na przyszłość, bo przecież kobieta była jeszcze młoda.*

— Dzień dobry — przywitała go uśmiechem, kiedy przyszła jego kolej



*i sięgnęła po chleb. — To samo co zawsze?*

*— Nie, dzisiaj wyjątkowo nie — odpowiedział uśmiechem.*

*— Co ja słyszę? Przestał panu smakować nasz chlebek wiejski?*

*— Wciąż smakuje, ale zostało mi jeszcze z wczoraj. Dzisiaj poproszę kanapkę z jajkiem.*

*— Już podaję! — Dłonią w rękawiczce sięgnęła do witryny i podała mu papierową torebkę z bułką z zieloną sałatką i jajkiem ugotowanym na twardo, a do tego kilka serwetek jednorazowych.*

*— I jak tam? — zapytał przyjaźnie. — Walizki już spakowane?*

*— Nie, jeszcze nie. — Roześmiała się. — Tym zajmę się w weekend, jak będę miała trochę spokoju. Dwa siedemdziesiąt poproszę.*

*Podał jej banknot pięć euro.*

*— Reszty nie trzeba — powiedział. — Przyda się na urlopie.*

*— O! Dziękuję! — Zawodowo uprzejmy uśmiech ustąpił miejsca prawdziwej radości. — To już teraz szczęśliwego nowego roku! Do zobaczenia!*

*O tak, pomyślał. Do zobaczenia.*

*Na pożegnanie również jej życzył szczęśliwego nowego roku i przyjemnego urlopu, po czym wyszedł z piekarni.*

NA DUŻYM PLACU przed starą fabryką na samym końcu Wiesenstrasse w Sulzbach stało tylko kilka samochodów. Działanie wyglądało na opuszczony. Asfalt był popękany i upstrzony dziurami, przy dużych boksach transportowych wypełnionych workami ze śmieciami piętrzyły się stosy zużytych opon, a w narożniku rdzewiał sobie pogięty kontener morski.

— Jeszcze dwadzieścia lat temu to był największy lokalny pracodawca — powiedział Bodenstein, lawirując między kałużami z roztopionego śniegu. — Aż do dnia, kiedy jeden z właścicieli zamknął się w biurze i strzelił sobie

w głowę. Potem błyskawicznie przyszło bankructwo. Żadna firma nie chciała przejąć zabudowań.

— Chyba wiem dlaczego — stwierdziła Pia, spoglądając na ponurą fasadę. — To miejsce ma złą karmę. Jesteś pewien, że trafiliśmy pod właściwy adres?

Poczuła ciarki na plecach.

— Erikowi Stadlerowi złe wibracje chyba nie przeszkadzają — stwierdził Bodenstein i wskazał głową na prostokątny plastikowy szyld nad jednym z wejść: „SIS — Stadler Internet Services”.

Szklane drzwi były tak brudne, że wyglądały, jakby zrobiono je z piaskowanego szkła, bo nikt chyba nie zadawał sobie trudu, by chwycić za klamkę, o czym dobitnie świadczyły liczne odciski palców i całych dłoni na szkle i na ramie. Bodenstein i Pia weszli do środka. Wytarte czerwone płytki, wypłowiała i miejscami odchodząca żółta tapeta i pozamykane drzwi ze staromodnymi tabliczkami „Biuro”, „Księgowość”, „WC”, „Produkcja”. Na ścianie wisiał plastikowy drogowskaz informujący gości, że firma SIS ma siedzibę na piętrze. Pia z Bodensteinem weszli po schodach. Mieli wrażenie, że znaleźli się w innym świecie. Policjantka rozglądała się zaskoczona.

— Ależ ktoś musiał kupę kasy zainwestować w tę ruinę — powiedziała głosem pełnym podziwu. — Matko, zobacz, nawet parkiet położyli!

— To panele winylowe — poprawiła ją kobieta, która tuląc do piersi trzy grube segregatory, wyszła akurat z pomieszczenia naprzeciwko schodów, na drzwiach którego widniała tabliczka z napisem „Archiwum”. — Faktura drewna. Nie są tanie, ale za to niezniszczalne i przede wszystkim antystatyczne, a to w firmie pełnej komputerów jest nie do przecenienia. Mogę państwu w czymś pomóc?

— Dzień dobry, nazywam się Bodenstein i jestem z policji kryminalnej w Hofheim. — Bodenstein pokazał jej legitymację służbową i przedstawił

Pię. — Chcielibyśmy porozmawiać z panem Stadlerem.

— Bardzo mi przykro, szefa nie ma. — Przyjazny uśmiech zniknął z jej ładnej, pokrytej piegami buzi, a jego miejsce zajął grymas niezadowolenia. — I nie mam pojęcia, kiedy go zastaniecie, bo ostatnio najczęściej pracuje spoza biura.

— A z kim mamy przyjemność? — Bodenstein uśmiechnął się uprzejmie.

— Franka Fellmann. Asystentka szefa. — Kobieta wyprostowała się, wypięła ponętnie zaokrąglony biust, przewróciła oczyma i westchnęła teatralnie. — A do tego księgowa, recepcjonistka, sekretarka i sprzątaczką. Do wyboru, do koloru.

Nie próbowała nawet ukryć gorzkiego tonu. Bodenstein doskonale wiedział, jak przydatna może być mieszanina urażonego ego i wrodzona gadatliwość, więc natychmiast podjął grę i spojrzał na nią wzrokiem pełnym współczucia.

— Czy to nie zbyt wiele pracy dla tak delikatnej osoby? — Uśmiechnął się przyjaźnie. — I na dodatek lada dzień sylwester, a pani nie może iść do domu!

— Wszystko zostawił na ostatnią chwilę i oczywiście ja muszę się tym zajmować — poskarżyła się Franka Fellmann i zademonstrowała segregatory, które przyniosła z archiwum. — Dzisiaj rano wpadł tylko na chwilę, bo pilnie potrzebowałam jego podpisów pod kilkoma dokumentami, a potem zaraz pognął dalej. A ja mam sobie radzić z tym wszystkim sama.

W czasie kiedy sfrustrowana asystentka skarżyła się Bodensteinowi, Pia rozejrzała się po korytarzu. Na ścianach pomalowanych na kolor mokka zauważyła fotografie oprawione w ramki. Paralotniarstwo. Skoki ze spadochronem z budynków i mostów. Zwykle skoki ze spadochronem. Biatlonista przekraczający linię mety z rękoma uniesionymi w geście zwycięstwa.

— To wszystko to zdjęcia szefa — wyjaśniła Franka Fellmann, choć nikt jej nie pytał. — To jego całe życie. Wariat.

— Erik Stadler jest base jumperem? — Pia spojrzała na nią zaskoczona.

— Żeby tylko base jumperem. On robi wszystko, co tylko jest groźne dla życia — wyjaśniła asystentka z mieszaniną dumy i pogardy. — Jest uzależniony od adrenaliny. Kiedyś startował nawet w igrzyskach olimpijskich i wygrał brązowy medal w biathlonie. Wtedy jeszcze służył w bundeswerze w Bawarii.

— Hm, to naprawdę interesujące. — Bodenstein pokiwał głową. — Jeśli będzie się pani jeszcze dzisiaj widziała z szefem albo chociaż z nim rozmawiała, proszę mu przekazać, żeby się z nami skontaktował.

— A o co chodzi? — Pani Fellmann błyskawicznie wróciła do roli asystentki szefa i z profesjonalnym zaciekawieniem uniosła idealnie wyregulowane brwi.

— On doskonale wie, o co chodzi — odparł Bodenstein wymijająco. — Dziękujemy za rozmowę.

Ruszyli z powrotem w stronę schodów, lecz Pia w ostatniej chwili o czymś sobie przypomniała i odwróciła się do asystentki.

— Jeszcze jedno, pani Fellmann, czy może wie pani, gdzie znajdziemy siostrę szefa? — zapytała.

Franka Fellmann spojrzała na nią zbita z tropu, a potem przeniosła wzrok na Bodensteina.

— Przecież ona nie żyje — odparła. — Kilka miesięcy temu popełniła samobójstwo. Od tego czasu szef się bardzo zmienił. Nie jest już sobą.

Pia otrząsnęła się z pierwszego zaskoczenia.

— Nie mieliśmy o tym pojęcia. Dziękuję za tę informację. Do widzenia.

W milczeniu zeszli na parter i wyszli z budynku.

— Dlaczego Stadlerowie ukryli to przed nami? — myślała głośno Pia,

kiedy wracali do samochodu.

— Nie ukryli, tylko myśmy ich o Helen nie pytali — przypomniał jej szef.

— Tak czy inaczej, to dość dziwne. — Pia się zatrzymała. — Nie wydaje ci się? Przez godzinę opowiadają ze szczegółami, jak umierała ich matka i żona, a jednocześnie ani słowem nie wspominają o Helen i zapominają nas poinformować, że dziewczyna nie żyje.

— Hm — mruknął Bodenstein.

— Myślisz o tym, co ja? — zapytała Pia.

— Czyli? Że Erik Stadler może być naszym Snajperem? — odpowiedział Bodenstein pytaniem.

— Właśnie. — Pia przygryzła dolną wargę i się zamyśliła. — Uprawia sporty ekstremalne. Kocha ryzyko. Biatlonista i były żołnierz, czyli musi świetnie strzelać.

— Jedziemy jak najszybciej do Frankfurtu, żeby zamienić z nim kilka słów — zaproponował Bodenstein. — Może go zastaniemy.

— Dam sobie rękę uciąć, że go nie zastaniemy — mruknęła Pia.

KAROLINE ALBRECHT zrobiła coś, czego jeszcze nigdy nie odważyła się zrobić: z dziko walącym sercem i wyrzutami sumienia przeszukała należący do ojca gabinet, do którego od zawsze miała zakaz wstępu. Kiedy trzydzieści lat wcześniej została przyłapana przez tatę na siedzeniu przy jego biurku i rozmowie przez telefon z koleżanką, dostała szlaban na wejście do tego pokoju z oknami w wykuszach, potężnym sejfem i ścianami zabudowanymi regałami z książkami. Nigdy więcej nie przekroczyła progu tego pomieszczenia bez wyraźnego wezwania. Do dziś skrywała w pamięci nieprzyjemne wspomnienia umoralniających kazań, które jej prawił ojciec w tym jakże świętym miejscu. Wychodząc z domu, ojciec starannie zamykał swój gabinet, tłumacząc to troską, by gosposia niczego mu nie

poprzestawiała. Karoline wiedziała od matki, gdzie jest schowany zapasowy klucz. Przez kilka chwil stała niepewnie pośrodku pokoju. Od czego powinna zacząć? I przede wszystkim, czego właściwie szukała? W końcu pokonała swoje opory i sprawdziła kosz na śmieci, lecz nie znalazła w nim niczego interesującego. Z dokładnością rewidenta podatkowego sprawdzała wszystko, co dało się sprawdzić. Zgodnie z przewidywaniami, w biurku ojca nie natrafiła na żadne tajemnice, a hasło do starego komputera okazało się dla niej przeszkodą nie do pokonania. W pamięci telefonu znalazła tylko jeden numer, którego początkowe cyfry zdradzały, że to Kelkheim. Ojciec wybrał go dwudziestego piątego grudnia. Poza tym od czwartku zeszłego tygodnia ani nikt więcej nie zadzwonił do niego, ani on nie dzwonił do innych. Karoline uznała, że to dość dziwne. Przez pół godziny zastanawiała się, gdzie tata mógłby trzymać klucz do potężnego, staroświeckiego sejfu. Sprawdziła za obrazami, zajrzała pod dywan i włożyła rękę do pustego wazonu, po czym zabrała się za przeglądanie książek, jedna po drugiej. Okazało się, że miała rację, bo w końcu znalazła klucz w napisanym przez jej ojca podręczniku pt. *Chirurgia klatki piersiowej*, który, notabene, nadal był jedną z podstawowych książek dla studentów medycyny. Podczas poszukiwań wyrzuty sumienia ustąpiły miejsca podnieceniu, które zmuszało ją do skupienia i odciągało uwagę od wszystkiego, co mogłoby ją rozpraszać. Przekręciła klucz w zamku i otworzyła ważące ze sto kilogramów drzwi ze stali i betonowych płyt. Poza paszportami rodziców i kilkunastoma pudełeczkami z biżuterią matki natknęła się na kolekcję zegarków ojca, gotówkę, dokumenty samochodów, złote monety, kronikę rodzinną, umowy ubezpieczeniowe, surowe wydruki dwóch kolejnych książek naukowych, zeznania podatkowe za zeszłe lata i segregator z dokumentami dotyczącymi nieruchomości, które ojciec kupował jako zabezpieczenie na starość. To, co miała nadzieję zastać w sejfie, a mianowicie nekrolog matki, którego treść bardzo ją interesowała,

musiało znajdować się gdzie indziej. Kiedy zabierała się do zamknięcia ciężkich drzwi, usłyszała ciche brzęczenie telefonu. Karoline zaczęła nasłuchiwać, aż w końcu stwierdziła, że dźwięk musi dochodzić z wnętrza sejfu. Pospiesznie otwierała jedną szkatułkę na biżuterię po drugiej, aż znalazła aparat, który tymczasem przestał dzwonić — ojciec schował go w pudełku po zegarku. Był to smartfon, całkiem aktualny model, z naładowaną baterią. Dlaczego ojciec chował włączony telefon do sejfu? I dlaczego korzystał ze staromodnej komórki, skoro posiadał nowoczesny aparat z dotykowym ekranem?

Karoline stała przez chwilę niezdecydowana, aż w końcu włączyła ekran i przesunęła po nim palcem. Momentalnie pojawiło się menu i ikonka sygnalizująca dwa nieodebrane połączenia. Przygryzła wargę. Wiedziała, że jeśli otworzy listę nieodebranych połączeń, z głównego ekranu zniknie powiadomienie. Czy jej ojciec znał się na tyle dobrze na obsłudze tego smartfona, żeby to zauważyć? Nie ustawił hasła, ale możliwe, że to dlatego, że nigdy nie brał telefonu ze sobą. Ciekawość była silniejsza niż wątpliwości. Najpierw sprawdziła listę połączeń przychodzących, która wprawiała ją w zaskoczenie. Tylko wczoraj jej ojciec rozmawiał z kilkoma osobami łącznie przez ponad godzinę! Dzwonił też do swoich kolegów, przyjaciół i znajomych, co akurat jej nie zdziwiło. Tylko dlaczego używał do tego telefonu schowanego w sejfie, a nie stacjonarnego aparatu, który czekał na jego biurku? Na to pytanie nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

*PRZED KILKOMA TYGODNIAMI przez czysty przypadek zauważył ten wieżowiec — pewnie dlatego, że zawisła na nim gigantyczna podświetlana płachta reklamowa, która przyciągała wzrok i wyróżniała się na tle innych biurowców ze szkła i stali, tworzących zabudowę terenów przemysłowych południowej części Eschborn. Mniej więcej kilometr w linii prostej dzielił go*

od centrum handlowego Seerose, co przy bezwietrznej pogodzie nie stanowiło problemu nie do przejścia. Dwukrotnie przyjeżdżał i sprawdzał budynek, który akurat był gruntownie remontowany. Niezauważony przez nikogo wszedł po rusztowaniu aż na sam dach. Robotnicy, których spotykał, nie zwracali na niego uwagi. Najwyraźniej tak wiele firm pracowało przy tym projekcie, że obca twarz nie była niczym zaskakującym. Również mieszkańcy trzystu dwunastu apartamentów, którzy od miesięcy żyli w pyłe i hałasie przebudowy, nie dziwili się, widząc kogoś na rusztowaniu. Sprawdził dokładnie, jak może się dostać na dach. Za pierwszym razem wszedł tam po rusztowaniu, jednak uznał, że to zbyt męczące, szczególnie z ciężką torbą, więc następnym razem wjechał na górę windą. Z wejściem do budynku nie miał najmniejszych problemów. Tym razem również na chybił trafił wybrał dzwonek domofonu, a kiedy usłyszał czyjś głos, krzyknął jedynie: „Poczta!”. Zabrzęczał elektryczny zamek i drzwi stanęły otworem. Hol i przejście do wind były w zasięgu kamer, lecz wiedział o nich i dlatego nałożył kaptur i na dodatek kask, jakich używali robotnicy. Bez problemu wszedł do windy i wjechał na dwudzieste trzecie piętro. Tam otworzył szklane drzwi prowadzące na balkon, przeszedł nad barierką i stanął na rusztowaniu. Kilka minut później był już na dachu i wspinał się zamontowaną tam na stałe stalową drabinką. Tutaj, na samym szczycie, wśród gąszczy anten radiowych i talerzy satelitarnych mógł zostać zauważony z wieżowca giełdy, ale przecież człowiek w kasku roboczym na głowie nie był na tyle interesujący, żeby ktoś zwrócił na niego uwagę. Ruszył przed siebie betonowym murkiem, aż dotarł do przerwy między budką z urządzeniami technicznymi domu a przednim penthouse'em i zsunął się na jej dno. Ściany chroniły go przed ciekawskimi spojrzeniami. Tutaj mógł złożyć broń i nieniekajony przez nikogo obserwować okolice supermarketu Rewe. Nie miał wątpliwości, że to będzie najbardziej spektakularny strzał i że ludzie długo o nim nie zapomną. Tutaj,



*na górze, było zimno, lecz niczego innego się nie spodziewał, więc miał na sobie bieliznę termoaktywną i puchową kurtkę. Starannie poskładał karabin, wsunął pocisk do komory i przyjął właściwą pozycję. Żeby na wszelki wypadek jeszcze się zamaskować, zarzucił na siebie i na karabin szarą płachtę. Teraz nie dało się go zobaczyć nawet na zdjęciach satelitarnych, gdyby takie zostały zrobione. Spojrzał przez celownik optyczny i ustawił ostrość. Flagi reklamowe salonu meblowego Mann Mobilia wisiały nieruchomo na masztach. Nie było wiatru. Idealnie. Przyglądał się ludziom, samochodom i ogłoszeniom na tablicy przy Aldi. Przyrządy optyczne były tak doskonałej jakości, że mógł odczytać stemple ubezpieczenia na tablicach aut na parkingu — a przecież był niemalże kilometr dalej. Jej samochód stał na swoim miejscu. Wszystko gotowe. Spojrzał jeszcze na zegarek. Za szesnaście dwunasta. Od wejścia do budynku do teraz minęło ledwie jedenaście minut. Została mu godzina i dwadzieścia pięć minut czekania. Ale to nie problem. Był bardzo cierpliwym człowiekiem.*

W MIESZKANIU ERIKA STADLERA w dzielnicy Nordend nie dostrzegli najmniejszego ruchu, a komórki nie odbierał.

— Niepotrzebnie tu przyjeżdżaliśmy. Zmarnowany czas — burknęła Pia.  
— Pracuje z domu, akurat! Ciekawe, gdzie się teraz włóczy.

Żeby wrócić do samochodu, który zostawili na Oeder Weg, musieli iść kilka minut piechotą. W dzielnicy Nordend było katastrofalnie mało miejsc postojowych i wszystkie były oczywiście zajęte. Najtrudniejsza sytuacja panowała tu wieczorami, w weekendy i, tak jak teraz, w święta i na przełomie roku, kiedy wszyscy brali urlopy, żeby przedłużyć sobie wolne.

— Stadler senior pracuje dla miasta, prawda? — Bodenstein wolał się upewnić. Otworzył samochód i wsiadł za kierownicę.

— Zgadza się, ale chyba w cuda wierzysz, jeśli myślisz, że kogokolwiek

tam teraz zastaniesz — odparła Pia. — Może lepiej zadzwoń do pani Fellmann. Bardzo jej przypadłeś do gustu, jeśli wiesz, o czym mówię. Bez wahania da ci numer starego Stadlera.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Przypadłem jej do gustu? — Bodenstein zmarszczył brwi i spojrzał na nią zaskoczony.

Gdyby tak zachował się ktokolwiek inny, Pia uznałaby to za tani chwyt powodowany chęcią usłyszenia komplementów na swój temat. Jednak nie gdy chodziło o jej szefa i to, jak oddziałuje na kobiety. W tej dziedzinie Oliver von Bodenstein był wyjątkowo naiwnym człowiekiem, a co gorsza, nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie zauważał też najoczywistszych sygnałów, jakie kobiety mu wysyłały. W przeszłości już nieraz wpadał przez to w poważne tarapaty i pewnie też dlatego tak późno się zorientował, że w jego małżeństwie źle się dzieje. Po prostu nie potrafił ani przejrzeć kobiecego wyrachowania, ani się bronić przed nim — dlatego też Inka Hansen ze swoją otwartością i prostolinijnością była dla niego właściwą parterką. Pia bardzo rzadko rozmawiała z szefem o prywatnych sprawach, ale czasem dręczyła ją ciekawość, jak mu się układa i czy jest szczęśliwy z tą bądź co bądź nudną i dziwnie pozbawioną emocji panią weterynarz, której Pia nie potrafiła rozgryźć.

— No cóż, sądząc po tym, jak wypinała pierś i trzepotała rzęsami, można to wziąć za taniec godowy. I jeszcze te spojrzenia rannej łani — dodała z kpina, z przesadną ekspresją naśladowując wyraz twarzy Franki Fellmann. — Tak przy okazji, jest też po same uszy zakochana w swoim szefie. Świata poza nim nie widzi. Nie sądzę jednak, żeby spotykała się z wzajemnością.

— A ty to wszystko ustaliłaś w czasie trzyminutowej rozmowy między schodami a archiwum. — Bodenstein mlasnął z uznaniem, założył okulary do czytania i wybrał numer z wizytówki, którą Erik Stadler przekazał mu w czasie spotkania u ojca. Pia znów miała rację. Telefon odebrała Franka

Fellmann i bez wahania podała mu numer ojca swojego szefa. Bodenstein wprowadził go do swojej komórki.

— Stadler. — Chwilę później z głośników w samochodzie popłynął głos Dirka Stadlera.

— Bodenstein, policja kryminalna Hofheim — przywitał się Oliver oficjalnym tonem. — Gdzie pan teraz jest, panie Stadler?

— Na cmentarzu miejskim we Frankfurcie — odparł zaskoczony mężczyzna. — Dlaczego pan pyta?

— Pojechał pan na grób córki? — Bodenstein nie odpowiedział na jego pytanie.

Przez kilka sekund w samochodzie panowała cisza.

— Nie. — Głos Stadlera stał się głuchy, jakby mężczyzna miał problem z mówieniem. — Moja córka leży na cmentarzu w Kelkheim. Tutaj jestem akurat zawodowo. Sprawdzamy stan nagrobków i grobowców pod kątem bezpieczeństwa.

— Dlaczego przemilczał pan fakt, że pańska córka popełniła samobójstwo? — nie odpuszczał Bodenstein.

— Nie sądziłem, że to ma dla was jakieś znaczenie — odparł Stadler po krótkiej chwili. Odchrząknął. — To wciąż jeszcze bolesny dla mnie temat. Po śmierci żony córka i ja przechodziliśmy bardzo trudny okres i bardzo się do siebie zbliżyliśmy.

Bodenstein spodziewał się jakiegoś taniego kłamstwa, więc szczere wyznanie Stadlera wytrąciło mu broń z ręki.

— W takim razie proszę mi wybaczyć ton i moją bezpośredniość — powiedział znacznie spokojniej. — Byłem naprawdę rozczarowany, że wczoraj nie wspomniał pan o niej ani słowem.

I właśnie ta cecha jego charakteru sprawiała, że Pia podziwiała swojego szefa: Oliver był człowiekiem, który jeśli popełnił błąd, miał dość siły

i godności, by się do niego przyznać i przeprosić.

— Nie mam panu tego za złe. Rozumiem, że czas nie gra na waszą korzyść. — Stadler przyjął jego przeprosiny. — To przecież też ogromny stres.

— Chcielibyśmy zamienić z panem kilka słów.

— Oczywiście — odparł Dirk Stadler. — O szesnastej kończę pracę.

— W takim razie proszę się nas spodziewać o wpół do piątej. Dziękuję i do zobaczenia.

Bodenstein zakończył rozmowę.

— Ciekawe, czy jest jakiś inny powód, dla którego mógłby nie mieć ochoty informować nas o samobójstwie córki? — odparła Pia.

— Sam się nad tym zastanawiam. — Bodenstein oparł o zagłówek, zamknął oczy i zamilkł.

CELINA HOFFMANN zaklęła pod nosem. Już po raz trzeci przejeżdżała alejką między miejscami parkingowymi i żadne się jeszcze nie zwolniło! Została minuta do pierwszej, więc jeśli szybko nie znajdzie miejsca, gdzie mogłaby zostawić samochód, spóźni się na swoją zmianę! A wtedy rozminie się z Hürmet! A koniecznie chciała zwrócić koleżance pięćdziesiąt euro, które pożyczyła dwa tygodnie temu, i zależało jej, żeby zrobić to przed sylwestrem. Celina nie była osobą szczególnie poukładaną, ale za to głęboko przesadną. Pamiętała, że już nawet jej babcia zawsze powtarzała, by nie rozpoczynać kolejnego roku z długami, bo to przyciąga nieszczęścia i powoduje jeszcze większe długi.

— No, w końcu! — mruknęła głośno, bo w opłu tuż przed nią zapaliły się światła biegu wstecznego i kierowca zaczął wycofywać auto. Szybko włączyła migacz, cofnęła kawałek i czekała, aż starszemu człowiekowi uda się wymanewrować z miejsca parkingowego. Nie szło mu zbyt dobrze, bo

żona, która została na zewnątrz, by mu mówić, ile ma jeszcze miejsca, stała bezradnie i milczała. Kobieta obawiała się, że to może jeszcze trochę potrwać.

Niech to szlag! To był kolejny już dzień, w którym wszystko, ale to absolutnie wszystko idzie nie tak, jak powinno! Najpierw zasnęła, a kiedy wsiadła do samochodu, okazało się, że nie ma benzyny. Udało jej się dojechać do stacji benzynowej, lecz kiedy zatankowała, stwierdziła, że tym razem zapomniała portfela. Na szczęście młody sprzedawca ze stacji znał ją z widzenia. Wyłożył za nią pieniądze, a ona obiecała, że zaraz mu odda. Wróciła więc do domu, winda znów była zepsuta, i musiała schodami wbiec na siódme piętro. Więc z całą pewnością to nie był jej szczęśliwy dzień!

W końcu staruszkowi udało się wyjechać tyłem. Żona wgramoliła się na siedzenie pasażera i odjechali, a Celina mogła zająć zwolnione miejsce. Pędem przecięła parking, już z daleka widząc długą kolejkę do kasy w piekarni. Na jej zmianie pracowała stara Asunovic — jeszcze tylko jej tu brakowało! Nie miała wątpliwości, że koleżanka doniesie szefowi o jej spóźnieniu. Przepchnęła się między klientami czekającymi na swoją kolej i otworzyła drzwi do ciasnego pomieszczenia socjalnego, przez które można było się dostać również do magazynu.

— Hürmet jeszcze jest? Czy już poszła? — wysapała, rzuciła torebkę na krzesło i nałożyła fartuch.

— Znowu się spóźniłaś — odburknęła niezadowolonym tonem starsza koleżanka. Wyjmowała właśnie z pieca konwekcyjnego blachę z preclami. — Oczywiście, że już poszła. Przecież jest pięć po pierwszej!

— Wiem, ale nie było gdzie zaparkować. — Celina precisnęła się obok koleżanki, wyszła z pokoju i stanęła za ladą.

— No w końcu! — Özlem, druga koleżanka z popołudniowej zmiany, przywitała ją równie nieprzyjaznym tonem. — Bo mamy urwanie głowy.

— Hej, słuchaj, gdybyś przypadkiem widziała, jak Hürmet wychodzi z Rewe, to daj mi znać, dobrze? — poprosiła Celina. — Muszę jej oddać pięć dych. Jak ją złapię, to biorę na siebie wieczorne sprzątanie.

— To nie ma sprawy. — Özlem skinęła głową i zajęła się kolejnym klientem.

*PRZED CZTERNASTOMA MINUTAMI wyszła z pracy i jak zazwyczaj udała się do supermarketu. Czekał na nią cierpliwie. Jak co dzień wszędzie kłębiły się tłumy klientów. Mimo że wielu pracowników zagłębia biurowców wzięło wolne i przedłużyło sobie przerwę świąteczną, parkingi przed sklepami były przepelnione i panował straszny rozgardiasz. Ludzie wchodzili do jakiegoś sklepu, by zaraz wyjść i przejść do następnego. Część poruszała się szybkim, zdecydowanym krokiem, inni spacerowali bez pośpiechu, z uśmiechami na ustach. Kiedy patrzył na nich z góry, miał wrażenie, że widzi mrówki w mrowisku. Wciąż jeszcze pogoda była bezwietrzna i tylko u niego, na górze, czuć było delikatny ruch powietrza, lecz się tym nie przejmował, bo wziął poprawkę przy ustawianiu celownika. Przy strzale z tak dużej odległości nie da się uniknąć zniekształcenia lotu pocisku, i to nawet korzystając z bardzo precyzyjnego karabinu. Tym razem nie zamontował tłumika, żeby niepotrzebnie nie zmniejszać prędkości pocisku. Przy krótkich dystansach to nie miało znaczenia, ale od mniej więcej sześciuset metrów należało eliminować dodatkowe utrudnienia. Wyrównał oddech i skoncentrował się na wyjściu z supermarketu. I proszę, oto ona! Z koszykiem z zakupami na przedramieniu wyszła ze sklepu i pewnym krokiem ruszyła obok sklepu z ubraniami i butami w stronę Aldi, gdzie zostawiła samochód. Wdech. Wydech. Przez lunetę celowniczą widział jej głowę. Poruszył palcem na spuście... STOP! Cholera, zatrzymała się i odwróciła! Chyba ktoś ją zawołał. Nieważne, nie będzie miał już lepszej okazji do strzału. Nacisnął spust.*

*Rozległ się huk wystrzału, a odrzut broni uderzył go kolbą w obojczyk.*

KAROLINE SIEDZIAŁA PRZY STOLE w kuchni swojej willi i marszcząc czoło, przyglądała się prezentacji PowerPoint, którą stworzyła na laptopie. Starła się ustalić zależności między faktami i zrozumieć te powiązania. Informacje, którymi dysponowała, były jak dotąd dość skąpe, jednak udało jej się dowiedzieć, kim była trzecia ofiara Sędziego. W gazetach i w Internecie pojawiły się co prawda tylko imiona i pierwsze litery nazwisk, jednak z tego i z jednej z wiadomości, którą znalazła na skrywanym w sejfie telefonie ojca wywnioskowała, kto to był. Nie potrafiła jednak znaleźć logicznego wyjaśnienia, co Renate Rohleder i jej ojciec mogliby mieć wspólnego z Friedrichem Gehrkiem. Karoline знаła go z widzenia, bo należał do grona dalszych znajomych jej rodziców, i wiedziała, że miał około osiemdziesięciu lat.

— Ktoś zastrzelił Maximiliana. — Taką wiadomość staruszek nagrał roztrzęsionym głosem na pocztę ojca. — Oddzwon proszę.

I to wszystko. Zatem znajomość Gehrkego z jej rodzicami, a przynajmniej z ojcem, nie mogła być tak powierzchowna, jak jej się wydawało. On w każdym razie znał numer tajnego telefonu taty. W przeciwieństwie do niej.

Karoline zadzwoniła do Renate i poprosiła, by przeczytała ogłoszenie, na którym dostrzegła takie samo firmowe logo jak na samochodzie, którym poruszał się towarzysz Helen Stadler. Po chwili szukania ustaliła, że to pracownia złotnicza Hartig w Hofheim. Właścicielem interesu był niejaki Jens-Uwe Hartig i do niego należał też sklep z przyległym warsztatem w Hofheim, przy jednej z głównych ulic. Na ich stronie internetowej Karoline nie znalazła żadnych przydatnych informacji. Kilka zdjęć jakichś przedmiotów, które sam stworzył, godziny otwarcia, numery telefonu i NIP. Ani jednej fotografii szefa przy pracy, brak referencji czy opisu jego drogi

zawodowej. Ciekawe, co ten cały Jens-Uwe Hartig mógłby mieć wspólnego z córką zmarłej Kirsten Stadler? Czy to w ogóle możliwe, żeby razem z Helen stali za tymi moderstwami?

Karoline rozmasowała ścierpnięty kark i ugryzła bułkę z salami, która stanowiła jej śniadanie i obiad. Coś jej nie pasowało, a miała zbyt skąpe informacje, żeby wiedzieć, co takiego. Zamknęła komputer i wyjęła listę kontaktów, które przepisała z telefonu ojca, zanim schowała go do tego samego pudełka po zegarku, zamknęła w sejfie, a klucz do niego odłożyła do książki, w której go znalazła. Kiedy skończyła, wyszła z gabinetu i zamknęła drzwi na klucz, jednak nie odwiesiła go na swoje miejsce, tylko wzięła ze sobą. Na wszelki wypadek. Paraliżującą rozpacz zastąpił gorączkowy niepokój. Nie wytrzymała długo w domu, w którym coś tak straszego spotkało jej matkę. Dręczyły ją wspomnienia tamtego wieczoru. Wsiadła w samochód, ruszyła i wybrała numer do córki. Ulżyło jej, kiedy usłyszała, że Greta czuje się nieco lepiej. Nie płakała już i opowiadała, że z kuzynką Daną pojechała do stadniny i że chciałyby dostać konia na własność. Jak co roku po sylwestrze Carsten planował wziąć całą rodzinę na narty do Austrii, a Greta cieszyła się na ten wyjazd.

Żując bułkę, Karoline ponownie przebiegła wzrokiem całą listę i zatrzymała się na jednym z nazwisk, które nic jej nie mówiło. Peter Riegelhoff, z kierunkowym z Frankfurtu i strasznie długim numerem, który najwyraźniej przełączał dzwoniącego gdzieś dalej, bo przeszukała internetowe książki telefoniczne i nic nie znalazła. W ostatnich dniach ojciec często rozmawiał z tym całym Riegelhoffem. Karoline znów uruchomiła komputer i wpisała zagadkowe imię i nazwisko do wyszukiwarki. Wyglądało na to, że we Frankfurcie mieszka kilka osób o tym nazwisku: byli jakiś importer win ekologicznych, marketingowiec, dentysta i adwokat. Żeby ustalić, o którego z nich chodzi, musiałyby do nich zadzwonić. Nie czuła się



dobrze, śledząc życie ojca i sekretnie sprawdzając jego kontakty, jednak to on nie pozostawił jej wyboru.

— HÜRMET! POCZEKAJ! — Celina wypadła bocznymi drzwiami piekarni na parking i rzuciła się biegiem w stronę koleżanki. Hürmet zatrzymała się, obróciła i uśmiechnęła.

— Czekaj! Nie chcę z długami wchodzić w nowy rok! — Celina roześmiała się zasapana i zamachała banknotem pięćdziesięciu euro, który wsunęła wcześniej do kieszeni fartucha. Wyciągnęła dłoń i w tym momencie głowa koleżanki eksplodowała. Tak po prostu. W powietrze wystrzeliła fontanna krwi i tkanki mózgowej. Jednocześnie rozległ się huk, a szyba wystawy obok zatrzęsała się gwałtownie. Czas się zatrzymał. Celina otworzyła usta, żeby krzyknąć, lecz z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Stała i patrzyła z niedowierzaniem, jak Hürmet pada na ziemię niecały metr od niej. Runęła bezwładnie na asfalt, jakby jej ciało zmieniło się w miękki budyń. Koszyk z zakupami zsunął się z jej przedramienia, a jego zawartość rozsypała się po ziemi. Celina stała nieruchomo, wciąż jeszcze z wyciągniętą przed siebie dłonią z banknotem, i patrzyła, nie rozumiejąc, co się dzieje z jej koleżanką, której twarz nagle się zdematerializowała. Dookoła wybuchła panika. Ludzie krzyczeli, rodzice rzucali się na ziemię, przykrywając sobą dzieci, niektórzy uciekali jak szaleni, a jeszcze inni kryli się między samochodami. Celina nie widziała zderzających się ze sobą samochodów i biegających dookoła ludzi. Wpatrywała się osłupiała w krwawą masę, która niegdyś była głową Hürmet. Powoli zaczynała słyszeć wysoki, histeryczny wrzask. Ktoś złapał ją za ramię i pociągnął. Broniła się, bo z jakiegoś powodu nie mogła oderwać wzroku od odrażającego obrazu, który miała przed oczyma. Dopiero kiedy nieznajomy uderzył ją w policzek, z siłą, od której ugięły się pod nią kolana, powróciła rzeczywistość, a ona ocknęła się

z dziwnego letargu.

— Uciekajmy! — krzyczał nieznajomy. — Chodź!

Celinę bolało gardło. To ona przez cały czas krzyczała! Co się tu stało?

— Gdzie... gdzie jest Hürmet? — wymamrotała przerażona. — Ja... muszę jej oddać... pięćdziesiąt euro...

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i nagle otoczyła ją ciemność.

WEZWANIE ALARMOWE od centrali przyszło dokładnie w momencie, kiedy zjeżdżali z autostrady A66 do Hofheim.

— Gdzie? — zapytał Bodenstein.

— Eschborn, galeria handlowa Seerose — odparł przez radio funkcjonariusz z centrali. Pia zareagowała błyskawicznie. Włączyła lewy migacz, zawróciła o sto osiemdziesiąt stopni i dodała gazu. Kilka sekund później pędzili już autostradą w przeciwną stronę.

Bodenstein poprosił o szczegóły.

— Jedna ofiara, kobieta zastrzelona przed supermarketem — wyjaśnił dyżurny. — Nic więcej nie wiem. Cała galeria handlowa została zabezpieczona przez naszych, poderwaliśmy też helikopter.

— O której przyszło zgłoszenie?

— Trzynasta trzydzieści siedem.

Czyli przed trzema minutami. Nie dało się jechać szybciej, lecz mimo to Bodenstein miał przecucie, że się spóźni: sprawca będzie miał dość czasu, żeby się ulotnić bez śladu. Choć może jeszcze jest tam na miejscu, wmieszany bezczelnie w tłum, dzięki czemu łatwo wydostanie się z niebezpiecznej dla niego strefy.

Bodenstein znał tę galerię. Prawdziwe zagłębienie z supermarketami, salonami meblowymi, fast foodami i niezliczonymi sklepami i firmami usługowymi. Na dodatek tuż obok znajdował się wjazd na autostradę A66

i drugi, na drogę krajową L3005, skąd można było jechać do Taunusu i dalej, na autostradę A5. Poza tym w okolicy biegły liczne lokalne drogi, chodniki i polne drogi w kierunku Schwalbach, oferując możliwość dyskretnej ucieczki. Jednak najlepszym kamuflażem był tłum, który w piątek przed sylwestrem szczerlnie wypełniał takie miejsca.

— Myślisz, że to nasz Snajper? — Pia była skupiona na drodze. Niczym kierowca wyścigowy prawą stroną wyprzedziła kilka aut, ani na chwilę nie zwalniając i ignorując trąbienie wściekłych użytkowników drogi.

— Tak, to on. Na sto procent — potaknął ponuro Bodenstein.

— Dla mnie to zabrzmiało trochę jak zeszłotygodniowe wezwanie do centrum Main-Taunus. — W głosie Pii słychać było nadzieję, że może jednak to kolejny fałszywy alarm. Bodenstein spodziewał się jednak najgorszego.

— Niestety nie. Ostatnim razem nie było mowy o ofiarach, tylko o strzałach — zaprzeczył. — Co to za chory sukinsyn. Idealnie wybrał miejsce i czas.

Kim była kolejna ofiara tego bezdusznego mordercy, który odważył się uderzyć w biały dzień, a później zniknął jak kamfora? Jak bardzo chory musi być ktoś, kto morduje niewinne osoby, żeby w ten sposób zemścić się na członkach ich rodzin? I cóż takiego spowodowało na nich jego zemstę? Co chciał osiągnąć? Jaki był jego ostateczny cel? I jak, do jasnej cholery, było możliwe, że przez dziesięć dni od śmierci pierwszej ofiary nie udało im się posunąć śledztwa ani o krok dalej? Bezradność i brak wyników zabijały morale jego zespołu, nie wspominając o frustrującym czekaniu na kolejny krok przeciwnika i wzrastającej presji ze strony Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, prasy i mieszkańców. W takich warunkach nawet najcierpliwszy i najbardziej zrównoważony policjant dałby się w końcu ponieść nerwom. Jak w ogóle można było patrzeć na to wszystko i zachowywać spokój i rozsądek? Żeby tylko nie siedzieć i nie czekać

z założonymi rękoma, działali, czasem zbyt pośpiesznie, czasem robili złe założenia albo wyciągali mylne wnioski i w ten sposób popełniali błędy.

Pia zjechała z autostrady i zahamowała ostro. Ruch na drodze zamarł w zasadzie jeszcze przed końcem zjazdu.

— Bez sygnałów nie damy rady — powiedziała. Bodenstein bez słowa sięgnął za fotel kierowcy i wyjął niebieskiego koguta z magnetyczną podstawą, po czym otworzył okno i przymocował go do dachu.

— Przed nami blokada — stwierdziła Pia. — Może dzięki temu uda się go dzisiaj dorwać.

Cała Sossenheimer Strasse, główna trasa prowadząca do dzielnicy przemysłowej, w której mieściła się galeria handlowa, została zablokowana przez radiowozy z włączonymi migającymi niebieskimi światłami. Jeden z funkcjonariuszy pilnujących blokady cofnął swój samochód, żeby przepuścić Pię i Bodensteina. Pia przejechała i opuściła szybę.

— Dokąd mamy jechać? — zapytała.

— Na światłach w lewo, a potem cały czas prosto aż do KFC, tam znowu w lewo i prosto na parking! — Funkcjonariusz musiał przekrzykiwać ryk silnika krążącego nad ich głowami helikoptera.

— Dzięki. — Pia ruszyła z miejsca, by po kilku metrach znów gwałtownie zahamować przed setkami ludzi uciekających z terenu galerii. Część jechała samochodami, ale wielu poruszało się piechotą.

W końcu zdecydowanym ruchem szarpnęła za kierownicę i skręciła w prawo. Przejechała kawałek po chodniku, skręciła na parking przy salonie meblowym Mann Mobilia i ruszyła dookoła niego.

— Dobra, dalej idziemy piechotą — powiedziała i odpięła pas. — Samochodem i tak byśmy utknęli.

Bodenstein kiwnął głową na znak, że się zgadza, po czym ruszyli zapchaną ulicą. W poprzek dojazdu do L3005 stała policyjna blokada. Funkcjonariusze

w kamizelkach kuloodpornych i z bronią gotową do strzału sprawdzali każde auto, zanim przepuścili je dalej.

— To całkowicie bez sensu — poinformował Bodenstein szefa uzbrojonych policjantów, który koordynował akcję. — Gościa już dawno tu nie ma.

Wielki parking przed supermarketem Rewe został w znacznej części otoczony i ograniczony. Ratownicy medyczni i lekarze pogotowia zajmowali się ludźmi, którzy albo wpadli w szok, albo zostali poranieni przez latające w powietrzu kawałki szkła z rozbitej witryny. Nad głowami wszystkich, na tle zachmurzonego nieba krążył helikopter, a dookoła rozciągało się morze migających niebieskich sygnałów.

Dla ofiary na jakąkolwiek pomoc było za późno. Pocisk najpierw przebił głowę młodej kobiety, a później rozbił witrynę salonu obuwniczego, przed którym stała. Podobnie jak Ingeborg Rohleder, Margarethe Rudolf i Maximilian Gehrke dzisiejsza ofiara nie żyła, zanim upadła na ziemię. Taka młoda kobieta... w jednej sekundzie istniała, w następnej już nie. I tylko dlatego, że jakiś szaleniec coś sobie ubzdurał.

— Dane personalne ofiary? Wiemy, kim była? — Pia spojrzała na kolegów z zespołu, który pierwszy pojawił się na miejscu zbrodni, już kilka minut po strzale.

— Pracowała tu obok, w piekarni. Wracała właśnie do samochodu — odparła funkcjonariuszka. — Obok niej stała jej koleżanka. Wtedy padł strzał. Ta druga dziewczyna jest w szoku. Lekarze zajmują się nią w karetce.

Mówiąc to, podała Pii torebkę zamordowanej — tanią imitację luksusowej marki, w której oprócz portmonetki policjantka znalazła telefon komórkowy, pęk kluczy i całą masę jakichś drobiazgów. Pia podziękowała jej za informacje, nałożyła jednorazowe rękawiczki, które miała w kieszeni, i zajrzała do torebki. Wyjęła z niej portmonetkę, otworzyła ją i znalazła

dowód osobisty.

— Hürmet Schwarzer — przeczytała na głos i przyjrzała się zdjęciu. — Ależ piękna dziewczyna! I miała zaledwie dwadzieścia siedem lat. Mieszkała w Schwalbach.

— I dlaczego? — zapytał Bodenstein. — Dlaczego zamordował dwudziestosiedmioletnią sprzedawczynię z piekarni?

— Jeśli to rzeczywiście był Snajper, to niedługo sam nam to powie — odparła Pia. — Facet robi się coraz bardziej bezczelny.

— Bo zależy mu na rozgłosie — zgadywał Bodenstein. — Nie zabija dla samego zabijania. Dla niego to coś znacznie więcej. To środek do celu.

— Jedno jest za to pewne — mruknęła Pia. — Uważa nas za durniów, ośmiesza nas i konsekwentnie robi swoje.

Bodenstein się rozejrzał. Gdzie Snajper mógł się schować, żeby oddać pewny strzał? Nicco z boku po drugiej stronie ulicy znajdował się plac budowy. Czyżby wdrapał się tam na dach i czekał na właściwą okazję? Jak długo tam czekał? Może na parkingu przed salonem meblowym znajdowały się jakieś kamery, które mogłyby nagrać również sprawcę, jeśli się tam pojawił?

Bodenstein nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się aż tak bezradny. Miał wrażenie, że jest jak ktoś, kto za pomocą łomu chce otworzyć kufer ze skarbem, lecz nie może znaleźć miejsca, gdzie mógłby wetknąć łom, by podważyć wieko.

KAROLINE ALBRECHT opuściła redakcję „Taunus Echo” w Königstein i ruszyła Limburger Strasse w stronę deptaku, który po świętach zazwyczaj tętnił życiem. Tym razem wiele sklepów i lokali wzdłuż strefy pieszego ruchu było zamkniętych. Zatrzaszczył się o to tajemniczy szaleniec z bronią — a wystarczyły trzy strzały! Kawiarnia, której nazwę Karoline otrzymała od

recepjonistki w redakcji, była na szczęście otwarta. Kobieta weszła do środka, odsunęła kotarę chroniącą wewnątrz przed powiewami chłodnego powietrza z dworu i rozejrzała się. Przy długim kontuarze siedziało kilku mężczyzn i w półmroku piło kawę. Żaden z nich nie przypominał nawet z grubsza Konstantina Fabera, którego zdjęcie znalazła na stronie internetowej gazety, gdzie pracował. Nie chciała zacząć od wypytywania o niego, dlatego postanowiła, że chwilę poczeka. Kobieta w redakcji zapewniła ją, że Faber codziennie rano przychodzi tu wypić kawę. Sama również zamówiła kawę, po czym odprowadzana zaciekawionymi spojrzeniami stałych klientów zajęła miejsce przy jednym z nielicznych stolików. Akurat kiedy miała zamiar zrezygnować z czekania, zapłacić i wyjść, poczuła powiew lodowatego wiatru. Zadrżała z zimna i uniosła głowę. Rozpoznała go natychmiast, choć w rzeczywistości był znacznie bardziej puchowaty, niż można było wywnioskować na podstawie fotografii. Poza tym miał też znacznie bardziej przerzedzone włosy.

— Życzyłbym sobie, żebyśmy wszyscy mogli mówić o wesołych świętach, panowie! — Konstantin Faber przywitał się z pozostałymi i przysiadł na jednym z wolnych stołków barowych.

— Daj spokój — odparł jeden z mężczyzn. — Nigdy jeszcze nie miałem tak marnego obrotu w święta!

— Ja podobnie. — Drugi pokiwał głową. — Przez cały rok żyjemy nadzieją, że w święta się odkujemy, a kiedy przychodzi co do czego, pojawia się ten walnięty morderca i wszystko psu na budę.

Pozostali mężczyźni przytakiwali z nieszczęśliwymi minami. Najwyraźniej byli właścicielami knajp i restauracji w okolicy, bo rozmawiali o odwołanych rezerwacjach i o tym, że pracownicy wymyślają jakieś dziwaczne powody i symulują choroby, żeby nie przychodzić do pracy. Karoline udawała, że jest całkowicie pochłonięta telefonem, jednak przez cały czas uważnie słuchała

ich rozmowy.

— Ci, którzy zostawili kupowanie prezentów na ostatnią chwilę, pozamawiali wszystko w Internecie. — Drugi mężczyzna był załamany. — W styczniu będę musiał zwolnić dwójkę ludzi, bo nie mam ich za co utrzymać.

— Ja stwierdziłem, że odpuszczam, dopóki nie będzie po wszystkim — wtrącił kolejny restaurator. — Jutro wyjeżdżamy do Włoch. Dziesięć dni wcześniej czy później nie robi mi już różnicy.

Ktoś powiedział, że kierowcy komunikacji miejskiej i maszyniści boją się wyjeżdżać na trasy. Podobno we Frankfurcie były kłopoty z funkcjonowaniem metra, a taksówkarze woleli zostać w domach.

— Mam nadzieję, że niedługo dopadną tego popaprańca — oświadczył gospodarz, podając Konstantinowi filiżankę kawy. — Większość biznesów z okolicy pójdzie na dno, jeśli to jeszcze trochę potrwa.

— My też mamy sporo problemów — poskarżył się Konstantin. — Od kilku dni do redakcji dzwonią abonenci i żalą się, że nie otrzymują rano gazety pod drzwi. Okazało się, że wielu roznosicieli prasy przysłało zwolnienia lekarskie. Najgorsze, że nie można im się dziwić.

W czasie, kiedy mężczyźni przy barze rozmawiali o działaniach policji i o tym, co jeszcze mogłaby zrobić, Karoline walczyła ze sobą, żeby nie podejść i nie powiedzieć, że ta panika jest strasznie przesadzona, bo morderca nie będzie przecież strzelał do roznosicieli gazet czy kierowców autobusów! O tym, co właśnie usłyszała, dotychczas nie pomyślała, jednak wyglądało na to, że Sędzia poważnie zagraża egzystencji sporej części małych firm z okolicy.

Karoline wstała i podeszła do baru.

— Przepraszam, że tak od rana zawracam głowę — stanęła przed dziennikarzem. — Ale czy mam przyjemność z panem Faberem z „Taurus



Echo”?

— A kto pyta? — Faber przyjrzał się jej nieufnie. — Pani z policji?

— Nie. Pana współpracowniczka z redakcji skierowała mnie tutaj, twierdząc, że raczej na pewno uda mi się pana złapać — wyjaśniła. — Chciałabym z panem porozmawiać. Ale w jakimś innym miejscu.

— Uważaj, Faber! To może być próba uprowadzenia! — zażartował jeden z jego kolegów, a pozostali zanieśli się śmiechem. Faber nie zwracał na nich uwagi, a z jego wzroku zniknęła podejrzliwość.

— W porządku. — Zeskoczył ze stołka i sięgnął kurtkę. — Willi, dopiszesz mi?

— Pewnie — odparł barman.

Karoline zapłaciła za swoją kawę i wyszła za Konstantinem Faberem na ulicę.

PIA NIE BYŁA PRYZWYCZAJONA do pracy pod czujnym okiem gapiów. Zwłoki zazwyczaj są odnajdywane w mieszkaniach czy jeszcze jakichś innych ustronnych miejscach, gdzie jest się z dala od innych, na osobności. Na miejscu musiała rozmawiać z jednym czy dwoma świadkami i osobą, która natrafiła na zwłoki. Tym razem miała dookoła dziesiątki ludzi, którzy stali tuż obok, kiedy ktoś strzałem w głowę zamordował Hürmet Schwarzer. W kraju, w którym posiadanie broni należy raczej do rzadkości, a w życiu codziennym pistolety i karabiny się w zasadzie nigdy nie pojawiają, takie przeżycie musiało pozostawić w ludziach traumę na bardzo długi czas. Szczególnie źle sprawa miała się z pewnym siedmioletnim chłopcem, który z rodzicami i rodzeństwem był w salonie z butami, gdy witrynę roztrzaskał pocisk wystrzelony przez mordercę. Jego starsza siostra przymierzała właśnie buty, a on znudzony wyglądał na zewnątrz, i wtedy dokładnie przed jego oczyma rozegrała się przerażająca scena. Miał przy tym

szczęście w nieszczęściu, bo kula, która zabiła Hürmet Schwarzer, minęła go o milimetry i wbiła się w regał wystawienniczy.

Chłopiec został zabrany do jednej z karetek, gdzie zajął się nim lekarz. Bodenstein poszedł porozmawiać z jego rodzicami, a Pia rozglądała się za młodą kobietą, która stała podobno obok ofiary w chwili zamachu.

— Mogę z nią porozmawiać? — zapytała lekarza z pogotowia.

— Może pani spróbować — odparł mężczyzna. — Jest w ciężkim szoku po tym, co się stało. Nie udało nam się wydobyć z niej nawet jednego słowa.

Celina Hoffmann, dwudziestokilkuletnia blondynka, siedziała zgarbiona na stopniu z tyłu jednej z karetek i wpatrywała się w swoje dłonie. Cały czas miała jeszcze na sobie fartuch z piekarni, ale ktoś dodatkowo owinął ją złotym kocem termicznym. Z początku Pia sądziła, że kobieta jest piegowata, lecz kiedy przyjrzała się jej bliżej, dostrzegła, że jej twarz, włosy, fartuch i dłonie pokrywają drobne kropelki rozbryzgniętej krwi.

— Dzień dobry, pani Hoffmann — przywitała się. — Jestem Pia Kirchhoff z policji kryminalnej w Hofheim. Będzie miała pani coś przeciwko, jeśli sobie tutaj obok przycupnę?

Młoda kobieta uniosła głowę i spojrzała na nią pustym wzrokiem, a po chwili wzruszyła ramionami. Cała drżała, a jej twarz była szara jak popiół. Nawet jeśli szok w końcu osłabnie, dziewczyna nigdy nie pozbędzie się z pamięci obrazów tego, co się rozegrało na jej oczach. Niektórzy ludzie są twardsi niż inni i potrafią wypchnąć z głowy złe wspomnienia albo jakoś je sobie wytłumaczyć. Inni do końca życia noszą rany w duszy. Pia przysiadła obok Celiny.

— Chcia... chciałam oddać Hürmet pięćdziesiąt euro, zanim pojedzie na urlop... — wyszeptała dziewczyna i pokazała Pii zmięty banknot. Po jej policzku potoczyła się łza. — Pożyczyłam od niej pieniądze... przed świętami. I chciałam... to znaczy nie chciałam zaczynać roku z długami... bo

to przynosi pecha.

— Pani i Hürmet byłyście koleżankami? — zapytała policjantka.

— Tak. My... pracowałyśmy razem w piekarni — wyjaśniła Celina. Mówiła drżącym głosem i nie odrywała wzroku od skropionych krwią dłoni. — Ona zawsze jest na rannej zmianie, a ja przychodzę po południu. Tylko że dzisiaj... się trochę spóźniłam... bo zabrakło mi benzyny. Hürmet już wyszła, więc patrzyłam, kiedy skończy zakupy. Jak ją zobaczyłam przed Rewe... to wybiegłam z piekarni i ją zawołałam. Ona się zatrzymała... potem się odwróciła... i...

Zamilkła i zalała się łzami. Mówienie przynosiło jej ulgę, pozwoliło w końcu zapłakać i oswajało szok. Zrozpaczona Celina Hoffmann szlochała. Pia bez słowa podała jej paczkę chusteczek higienicznych i cierpliwie odczekała, aż młoda kobieta ponownie odzyska kontrolę nad emocjami i dokończy opowiadanie.

— Na początku... nie wiedziałam, o co chodzi... — Po chwili Celina była gotowa, by mówić dalej. — Nagle Hürmet leżała przede mną na ziemi, a ja wrzeszczałam jak szalona, dopóki jakiś facet mnie nie spoliczkował i nie odciągnął.

— Czy widziała pani, z której strony padł strzał? — zapytała Pia.

— Nie. Bo... bo ja się nie rozglądałam. Patrzyłam na Hürmet. — Znow przerwała, po czym uniosła głowę. — Ale to musiało być z prawej od tyłu. I z góry. Bo... bo... Hürmet stała plecami lekko do parkingu... a jej twarz... jakby eksplodowała.

Młoda kobieta ukryła twarz w dłoniach, jakby chciała ochronić się przed przerażającymi obrazami ostatniej godziny, które teraz sama przywoływała z pamięci. Zrobiła na Pii wrażenie. Rzadko trafiała w swojej pracy na świadków, którzy tak dokładnie potrafili przypomnieć sobie szczegóły jakiegoś traumatycznego zdarzenia. Czasem ktoś mógłby pomyśleć, że

policja działa bezdusznie, przepytując osoby, które właśnie przeszły przez piekło. Jednak im wcześniej przesłucha się świadka, tym większa szansa, że zdobędzie się wiarygodne zeznania. Jeśli dać świadkowi czas, żeby wszystko sobie przemyślał i przetrawił albo nie daj Boże omówił swoje przeżycia z innymi, w jego zeznaniach nieuchronnie pojawią się też wnioski i emocje. Ludzki mózg jest tak skonstruowany, by chronić duszę przed ranami, więc wypiera złe przeżycia albo dzieli je na fragmenty, z którymi łatwiej sobie radzić. Z tego właśnie powodu ludzie często nie pamiętają wypadków, w których uczestniczyli albo które tylko widzieli. Taka amnezja najczęściej bywa trwała i nie mija.

— Wiem, jakie to dla pani trudne. — W głosie Pii słyhać było współczucie. — Ale muszę panią poprosić, żeby porozmawiała pani teraz z moimi współpracownikami zabezpieczającymi ślady na miejscu zbrodni.

Celina Hoffmann skinęła głową na znak, że się zgadza. Pia zapisała jej imię, nazwisko, adres i numer telefonu, a potem zatroszczyła się, by dziewczyną zajęły się jej koleżanki. Tymczasem na parkingu pojawił się Christian Kröger ze swoją ekipą i bez zbędnej zwłoki zabrali się za zabezpieczanie śladów.

— Z perspektywy świadka strzał padł z prawej strony z tyłu, z góry. — Pia przekazała Krögerowi i Bodensteinowi obserwacje Celiny. — Więc jeśli stała tutaj, to facet strzelał gdzieś stamtąd.

Pia wskazała dłonią na salon meblowy.

— Hm, ja bym raczej obstawiał tamten budowany biurowiec, tam dalej — odparł Bodenstein.

— Nie, na pewno nie, nie zgadzałyby się kąty i trajektoria. — Kröger rozejrzał się zamyślony i potrząsnął głową. — Ta dziewczyna bardzo dobrze wszystko zapamiętała. Kula trafiła ofiarę nad lewym uchem. Dlatego obstawiałbym dach tamtego salonu, Mann Mobilia. Zaraz któryś z naszych

chłopaków pojedzie tam rozstawić sprzęt i przeprowadzimy analizę trajektorii. Po obliczeniach będziemy mieli pewność.

— Dzwoni telefon! — krzyknął jeden z ludzi Krögera i podał Pii torebkę Hürmet Schwarzer. Pia wymieniła z Bodensteinem szybkie spojrzenia, po czym wyjęła z torebki telefon ofiary i spojrzała na wyświetlacz. „Dzwoni Patrick”, przeczytała. Kimkolwiek był, musieli dobrze się znać, skoro w pamięci telefonu zapisała jedynie jego imię, bez nazwiska czy firmy. Pia odebrała połączenie.

— Hürmet, co się z tobą dzieje? — usłyszała podniesiony męski głos. — Dlaczego nie odbierasz?

— Dzień dobry, Pia Kirchhoff z policji kryminalnej Hofheim — przedstawiła się. — Kim pan jest?

— Gdzie moja żona? — zapytał mężczyzna po chwili milczenia. Dzięki temu Pia wiedziała już, co go łączyło z ofiarą. — Co się dzieje? Dlaczego Hürmet nie odbiera telefonu?

— Panie Schwarzer, gdzie pan teraz jest? — Pia odpowiedziała pytaniem na pytanie. Musiała bardzo uważać. Nawet nie próbowała sobie wyobrazić, co mogłaby spowodować wiadomość o śmierci żony, gdyby mężczyzna siedział akurat za kierownicą rozpędzonego tira!

— Jestem... w domu — odparł Patrick Schwarzer i podał jej adres. Choć jeszcze przed chwilą mówił podniesionym tonem, teraz jego głos był słaby i drżał. — Błagam, niech mi pani powie, co się dzieje z moją żoną?

— Zaraz będziemy u pana — odparła Pia, przerwała połączenie i oddała telefon technikowi, który przyniósł jej torebkę, a teraz czekał z woreczkiem na dowody.

Poczuła, jak wzbiera w niej sprzeciw i złość, że po raz czwarty w ciągu kilku zaledwie dni będzie musiała zmierzyć się z rozpaczą bliskich ofiary. Najchętniej zepchnęłaby ten obowiązek na kogoś innego, lecz nie miała

nawet kogo wyznaczyć.

— Chodź — powiedział Bodenstein, który doskonale wiedział, co teraz czuje. — Miejmy to już za sobą.

— CZEGO DOWIEDZIELIŚCIE SIĘ od męża ofiary? — zapytała doktor Nicola Engel w czasie odbywającej się godzinę później odprawy. Ze względu na pośpiech miała ona miejsce w biurze Pii i Ostermanna. — Ustaliliście jakiś związek między jego żoną a pozostałymi ofiarami? Znał Kirsten Stadler?

— Facet się całkowicie załamał. Nie wytrzymał, kiedy mu powiedzieliśmy, co się stało. — Bodenstein potrząsnął głową. — Pracuje jako doradca klienta w banku Sparkasse w Hattersheim. Jak co dzień przyjechał do domu na obiad. Nie słuchał radia, więc nie wiedział, co się stało w Eschborn. Był kompletnie nieprzygotowany.

— Do jakiego stopnia mamy pewność, że sprawca dzisiejszego mordu to ten sam człowiek? Na jakiej podstawie ustaliliście, że to nasz Snajper? — dopytywała się szefowa.

— Mamy sto procent pewności. Sprawca użył dokładnie tej samej amunicji, którą zamordował trzy poprzednie osoby — wyjaśniła Pia.

— Dlaczego zdecydował się na kontakt z prasą? — Dyrektorki nie było na porannej odprawie, kiedy Bodenstein przedstawił zespołowi list, który Konstantin Faber otrzymał od sprawcy. — Przeanalizowaliście treść wiadomości do gazety? Co o niej sądzicie?

— „Wielka krzywda się stała, lecz winnych jej dosięgnie taki sam ból jak ten, który sprawili swoją obojętnością, chciwością, próżnością i bezmyślnością. Oni właśnie, którzy z własnej woli noszą brzemień winy, niech żyją w strachu i przerażeniu, bo oto przyszedłem sądzić żywych i umarłych”. — Andreas Neff przeczytał wiadomość od Snajpera. Analityk

stał oparty o szafkę na akta i spoglądał na pozostałych. — To psychopata — zawyrokował. — Psychopata z manią wielkości. Uważa się za sędziego decydującego o życiu i śmierci. W liście, który właśnie przeczytałem, sprawca zdradza nam wiele informacji na swój temat. Na przykład to, że jest bardzo religijny. Ostatnie zdanie nawiązuje przecież do Credo, katolickiego wyznania wiary. Ten człowiek realizuje jakąś misję i jednocześnie rzuca wyzwanie swoim prześladowcom. Dla niego to gra. Nasz sprawca jest żądny przygód.

Rozejrzył się po zebranych, oczekując aprobaty.

— Czy wierzy pani teraz w mój profil? Miałem rację?

Pytanie skierował do siostry Pii, która stała obok niego.

— Wierzyć, znaczy nic nie wiedzieć — odparła Kim, nie patrząc w stronę Neffa. On za to nie odrywał od niej spojrzenia. Nikt w zespole nie miał wątpliwości, że kobieta bardzo mu się podoba. I tak samo dla każdego — z wyjątkiem samego Neffa — było oczywiste, że Kim w najmniejszym stopniu nie jest nim zainteresowana. Ani słowem nie skomentowała jego kolejnej teorii. Zamyślona przygryzła dolną wargę.

— Czy ktoś miał okazję porozmawiać z Helen Stadler? — zapytała niespodziewanie. — Wiemy może, w jakim celu odwiedziła Renate Rohleder i czego od niej chciała?

Pia i Bodenstein wymienili szybkie spojrzenia. Przez nerwowy dzień i tragiczne wydarzenia pod supermarketem całkowicie zapomnieli przekazać zespołowi swoje ustalenia z przedpołudnia!

— Helen Stadler, czyli córka Kirsten Stadler przed kilkoma miesiącami popełniła samobójstwo — wyjaśnił Bodenstein. — Dziś rano dowiedzieliśmy się tego od sekretarki i współpracownicy jej brata, Erika Stadlera. Później rozmawialiśmy jeszcze z ich ojcem, który to potwierdził.

— Przy okazji dowiedzieliśmy się, że Erik Stadler był biatlonistą. Poza

tym uwielbia adrenalinę, uprawia sporty ekstremalne, w tym na przykład base jumping i skoki ze spadochronem — dodała Pia. Nie była zachwycona, że musi to powiedzieć, bo w ten sposób dawała Neffowi argumenty, którymi mógł uzasadniać swoją teorię, nawet jeśli tylko pozornie. — Wcześniej startował nawet w którejś z olimpiad i zdobył brązowy medal w biathlonie. A na dodatek jest byłym żołnierzem, bo służył w bundeswerze. To by oznaczało, że umie strzelać. I to nawet bardzo dobrze. Dziś w południe nie było go ani w firmie, ani w domu.

— No proszę. — Andreas Neff uśmiechnął się zadowolony i pokiwał głową. — Mamy go na widelcu. To on. Jako syn Kirsten Stadler ma też dobrze udokumentowany motyw.

— Oliver? Jak ty to widzisz? — Nicola Engel spojrzała uważnie na Bodensteina.

— Rzeczywiście, Erik Stadler zdaje się spełniać wszystkie nasze założenia, jeśli chodzi o bycie sprawcą. — Oliver ociągał się trochę z odpowiedzią i zamyślony drapał się po nieogolonej brodzie.

— W takim razie dodajemy go do listy poszukiwanych. Trzeba wysłać za nim list gończy — zdecydowała Nicola.

— Koledzy z Frankfurtu pilnują jego mieszkania — dodał Kai Ostermann. — Wyślę jeszcze patrol do jego firmy. W końcu gdzieś będzie się musiał pokazać.

— Nie mamy też żadnych informacji na temat rodziców Kirsten Stadler. Zostawiliśmy im wiadomość, ale się nie zgłosili — dodał Cem. — A przecież oni mają tak samo prawdopodobny motyw jak mąż Kirsten i jej syn.

Nicola Engel myślała przez chwilę, po czym wstała z krzesła i powiodła dookoła zdecydowanym wzrokiem.

— Pora zwrócić się o pomoc do prasy — uznała. — Damy im wszystko, co mamy. Cztery ofiary zamordowane w ciągu jednego tygodnia! To się



w głowie nie mieści! Cały region wpadł w panikę. Chcemy czy nie, jesteśmy zdani na pomoc społeczeństwa, dlatego przedstawimy wszystko, czym dysponujemy. Miejsca zbrodni, daty, godziny... wszystko. Ktoś musiał przecież coś widzieć albo słyszeć. Chcę, żeby prasa i telewizja dostały szczegółowe rekonstrukcje każdego z czterech morderstw i opis wszystkich potencjalnych dróg ucieczki.

— W takim razie ja się tym zajmę. — Ostermann pokiwał głową.

— Niech w wiadomościach podkreślają, że sprawca musiał mieć ze sobą dużą sportową torbę albo torbę na zakupy — przypomniał mu Cem. — W ten sposób transportował rozłożoną broń.

— Oczekuję wyników! — Nicola Engel jeszcze raz przesunęła wzrokiem po twarzach zebranych. Brakowało tylko, żeby klasnęła władczo w dłonie. — Dobrze, to do roboty!

— Motywem działania sprawcy wydaje się odpłata, a nie czysta zemsta — zauważyła jeszcze Kim.

— A to jakaś różnica? — Kathrin Fachinger uniosła sceptycznie brwi. — Przecież chodzi o to samo — lincz za jakąś wyimaginowaną krzywdę.

— Odpłata to symetryczna odpowiedź na niesprawiedliwość, która zakłada zastosowanie środków karnych odpowiadających ciężarem gatunkowym czynowi, którego ma dotyczyć — wyjaśniła Kim. — Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, i to niezależnie od tego, czy chodzi o pozytywną odpowiedź na pozytywne działania, czy negatywną na negatywne. Bo pamiętajmy, że odpłata może dotyczyć też czynienia dobra. Z punktu widzenia etyki odpłata jest podstawowym założeniem zasady sprawiedliwości. Zemsta natomiast to wynaturzona forma odpłaty, na przykład krwawa zemsta, czyli wendeta. Mściciel ignoruje istnienie prawnych środków wymierzania sprawiedliwości i zadośćuczynienia, bo nie uważa, żeby były wystarczające.

— Jak tam nie widzę szczególnej różnicy. — Ostermann potrząsnął głową.

— Według kodeksu karnego zemsta to jeden z motywów zabójstwa kwalifikowanego, koniec, kropka.

— Zgadza się. — Kim przyznała mu rację. — Jeśli mowa o konsekwencjach działań sprawcy, to rzeczywiście są one takie same w obu przypadkach. Różnica leży w motywacji. Moim zdaniem mamy do czynienia z wyjątkowo rzadkim typem charakterologicznym mordercy. Bardzo daleko mu do psychopaty i w żadnym razie nie cierpi na manię wielkości. To, co robi, to nie jest gra, i nie rzuca nam wyzwania. Nie bawi się z nami w kotka i myszkę, bo w najmniejszym stopniu nie zależy mu na podnieceniu, jakie daje mordowanie i pościg. Miejsca na kolejne morderstwo wyszukuje, kierując się tylko i wyłącznie względami praktycznymi, a nie żeby prowokować. Optymalne pole widzenia, pewna droga ucieczki. Jestem przekonana, że szukacie prawdziwego profesjonalisty.

„MARGARETHE RUDOLF musiała umrzeć, bo jej mąż z próżności i chciwości dopuścił się morderstwa”.

Karoline Albrecht z całych sił walczyła ze łzami i była głęboko wdzięczna Faberowi, który milcząc taktownie, dał jej czas, by zapanowała nad emocjami i odzyskała nad sobą kontrolę. Dziennikarz stał przy oknie w sali konferencyjnej na pierwszym piętrze budynku, w którym siedzibę miała redakcja jego gazety, i wyglądał na zewnątrz.

— Dlaczego przysłał to akurat panu? — zapytała drżącym głosem Karoline.

— Jeśli mam być szczery, to nie mam zielonego pojęcia. — Faber odwrócił się w jej stronę. — Może jest czytelnikiem naszej gazety i skojarzył moje nazwisko? A może ten ktoś zna mnie osobiście?

Przysunął sobie krzesło i usiadł przy stole naprzeciwko niej. W redakcji niewiele się działo, a przez przeszkłone ściany widać było, że większość

stanowisk pracy w otwartym biurze jest pusta.

— Ale równie dobrze mogło trafić na mnie przez czysty przypadek — dodał. — Większość kolegów wyjechała na święta i na sylwestra, a ja na ochotnika zgłosiłem się na redaktora dyżurnego gazety. Tym bardziej że ten okres to zazwyczaj sezon ogórkowy.

Karoline Albrecht przyjrzała mu się uważnie. Bez najmniejszych oporów uwierzył jej, że jest córką drugiej ofiary Snajpera i nawet nie poprosił, by pokazała mu dowód, żeby sprawdzić jej nazwisko panięńskie. Pewnie widać było po niej, przez co przechodzi, i to dodawało jej wiarygodności.

— Mógłby mi pan powiedzieć, co pan wie o tej sprawie? — zapytała.

— Na tym polega problem, że nic nie wiem. — Faber wzruszył ramionami. — Naprawdę. Niech pani sama zobaczy, mój artykuł to po prostu zestawienie wszystkich krążących przypuszczeń i spekulacji. Policja była nawet zła, że coś takiego napisałem, ale uważam, że społeczeństwo miało prawo zostać poinformowane, co się dzieje.

Rozczarował ją taką odpowiedzią, bo najwyraźniej wiedział znacznie mniej od niej.

— Dlaczego nie zwróci się pani z tym do policji? — zapytał wprost. — Jest pani przecież krewną jednej z ofiar, więc na pewno wprowadziliby panią w szczegóły.

Karoline Albrecht przez chwilę milczała.

— Mój ojciec jest bardzo szanowanym i uznanym lekarzem — wyjaśniła. — To jeden z najlepszych specjalistów na świecie. Dla wielu ludzi jego opieka stanowi ostatnią deskę ratunku, bo też uratował nieskończenie wiele ludzkich istnień. Tymczasem ktoś mu zarzuca, że celowo pozbawił kogoś życia, i morduje w zemście moją matkę! Nie potrafię w to uwierzyć.

— I chce pani poszukać informacji na własną rękę, czy ojciec naprawdę jest temu winien czy nie.

— W rzeczy samej — potwierdziła. — Chcę wiedzieć, dlaczego moja mama musiała umrzeć. To dla policji wątek poboczny, bo im zależy przede wszystkim na ujęciu sprawcy. Mnie to nie wystarczy.

— A jakiej pomocy oczekiwałaby pani z mojej strony? Proszę się zastanowić, jestem przecież tylko redaktorem lokalnej gazety, odpowiedzialnym za działy ekonomiczny i kulturalny. Afery? Śledztwa? Proszę mi wybaczyć, ale to nie moja specjalność.

Karoline Albrecht wyczuwała jego zagubienie, więc nie naciskała. Skinęła głową i przyjrzała mu się raz jeszcze. Niewysoki, korpulentny, z przeredzonymi włosami, w szarej wełnianej marynarce wyglądał jak wypalony nauczyciel krótko przed emeryturą. Bez dwóch zdań, w niczym nie przypominał Boba Woodwarda czy Carla Bernsteina. Być może był po prostu zbyt stary i zbyt wygodny, żeby dostrzec w tej sytuacji swoją szansę. Nie rozumiał, jak mógłby wykorzystać to, że Snajper napisał akurat do niego. Konstantin Faber był słabym człowiekiem i nie mogła na niego liczyć.

— Czy pozwoli mi pan skopiować te nekrologi? — zapytała.

— Tak, oczywiście — zapewnił ją pospiesznie. Oboje wstali. Karoline sięgnęła po torebkę, wzięła ze stołu cztery kartki i ruszyła za Faberem korytarzem wyłożonym miękką wykładziną. Zaprowadził ją do sali z kserokopiarkami i drukarkami.

— Jeśli będzie miała pani jeszcze jakieś pytania, proszę śmiało dzwonić — powiedział, kiedy się żegnali, jednak nie dało się nie zauważyć ulgi na jego twarzy, gdy nabrał pewności, że nie będzie już prosić go o pomoc.

— Dziękuję. — Karoline podała mu swoją wizytówkę. — Czy mógłby mi pan dać znać, jeśli dowie się pan czegoś nowego?

— Tak, oczywiście, będę z panią w kontakcie — zapewnił, odwracając wzrok. Karoline była przekonana, że przysiągłby jej wszystko, czego by sobie zażyczyła, byle jak najszybciej się jej pozbyć.

DIRK STADLER przyjechał jednocześnie z Pią i Bodensteinem. Przywitał się z nimi skinieniem głowy, wjechał między garaże i po chwili zobaczyli go znów, jak utykając, idzie w ich stronę.

— Niestety, trochę mi zeszło — powiedział i podał dłoń najpierw Pii, a potem jej szefowi.

— My też jesteśmy później, niż zapowiadaliśmy — odparł Bodenstein. — Nie wiem, czy pan słyszał, ale mamy kolejną ofiarę.

— Tak, słyszałem w radiu — potwierdził Stadler i skinął głową. — Proszę, proszę do środka. W domu będzie nam na pewno cieplej niż tutaj.

Zanim dotarli do wejścia, otworzyły się drzwi sąsiedniego szeregowca i w progu pojawiła się sąsiadka z paczką, którą kurier zostawił u niej dla pana Stadlera.

— Mam bardzo miłych sąsiadów. — Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. — A można naprawdę źle trafić. Na osiedlach takich jak to ludzie mieszkają naprawdę blisko siebie.

Poprosił Pię, żeby przytrzymała paczkę, po czym odszukał klucze i otworzył zamek.

— Od jakiegoś czasu przeszedłem na zakupy w Internecie — wyjaśnił Stadler i wpuścił ich do środka, po czym zamknął. — Może to i nie jest dobre dla lokalnego handlu, ale co robić, jeśli człowiek ma problemy z chodzeniem.

Mężczyzna włączył światło i zdjął płaszcz. Pia odłożyła paczuszkę na konsolce pod ścianą w korytarzu i ruszyła za gospodarzem i szefem do dużego salonu, w którym siedzieli poprzednio. Stadler zapytał, czy przygotować coś do picia, ale oboje grzecznie podziękowali.

— To może zacznę tak: dlaczego zakładacie, że te wszystkie morderstwa mają jakiś związek z moją zmarłą żoną? — zapytał Stadler, kiedy usiedli przy stole.

— Renate Rohleder, córka pierwszej ofiary, była pana sąsiadką, kiedy mieszkaliście państwo w Niederhöchstadt. W dniu, kiedy zmarła pańska żona, pańska córka Helen poprosiła ją o pomoc, jednak ona odmówiła — zaczął Bodenstein.

— Tak, teraz sobie przypominam, o kogo chodzi. — Stadler skinął głową. — Ona jest właścicielką kwaciarni w Eschborn, prawda? I miała psa. Czasem chodziła z moją żoną na spacer.

— Tak, zgadza się, to ona — potwierdził policjant. — Mąż drugiej ofiary to szef transplantologii i dyrektor szpitala, w którym zmarła pańska żona i z którym pan się procesował. Trzecia ofiara z kolei to młody chłopak, biorca przeszczepu, który otrzymał serce pańskiej zmarłej żony. Od dzieciństwa ciężko chory.

— Mój Boże... — wyszeptał Stadler wyraźnie poruszony.

— A teraz — ciągnął Bodenstein — mamy czwartą ofiarę, młodą, dwudziestosiedmioletnią kobietę. Nic o niej jeszcze nie wiemy, ale obawiam się, że jej mąż może mieć jakiś związek z wydarzeniami z szesnastego września 2002 roku.

Celowo pominął kwestię nekrologów, które otrzymała policja.

— Dlaczego podczas naszego ostatniego spotkania nie wspomniał pan nawet, że Helen nie żyje? — zapytała Pia.

— Przez myśl mi nie przeszło, że to może mieć jakiegokolwiek znaczenie. — Dirk Stadler był wyraźnie roztrzęsiony i starał się zapanować nad emocjami. — A poza tym... to jeszcze bardzo świeża rana. Przez wiele lat martwiłem się o Helen. Jednak rok temu zacząłem wierzyć, że najgorsze już minęło. Myślałem, że odzyskała równowagę, pozbyła się poczucia winy i zwalczyła depresję. Kończyła studia, w jej życiu pojawił się pewien mężczyzna, z którym w zeszłe wakacje się zaręczyła. Ślub miał się odbyć w październiku, nawet porozsyłali już zaproszenia. A potem... nagle...

rzuciła się pod pociąg. Nic tego nie zapowiadało.

— Gdzie to się stało? — zapytała policjantka. — I kiedy dokładnie?

— W Kelsterbach — odparł Dirk Stadler zduszonym głosem.  
— Szesnastego września, dokładnie w dziesiątą rocznicę śmierci matki.

— Dlaczego pańska córka cierpiała na depresję? — Pia tym razem chciała wiedzieć wszystko. — I czego dotyczyło poczucie winy, o którym pan wspomniał?

Dirk Stadler zamilkł i minęło trochę czasu, zanim odpowiedział. Toczył bój z emocjami o kontrolę nad sobą, a jego ból i rozpacz były tak widoczne, że Pia złapała się na tym, że chciałyby go pocieszyć.

— Moja żona codziennie rano wychodziła z psem pobiegać — zaczął w końcu. — Niezależnie od pogody. Była bardzo wysportowana, bo trenowała do maratonu nowojorskiego. Uwielbiała Amerykę i gdyby tylko mogła, na pewno by się tam przeniosła. Helen czasem biegała razem z nią, ale tamtego ranka nie miała ochoty i została w łóżku. Miała wtedy czternaście lat. Po godzinie od jej wyjścia dzieci zaczęły się denerwować, bo powinna była wrócić, żeby odwieźć je do szkoły i pojechać do pracy. Nie mogły się dodzwonić na komórkę, więc ruszyły jej szukać, bo dobrze wiedziały, którędy zazwyczaj biega. I... i szybko ją znalazły. Nie odbiegła daleko od domu. Musiała tam leżeć co najmniej godzinę. Erik wziął jej komórkę i zadzwonił po pogotowie, a potem próbował ją ratować. Helen w tym czasie pobiegła szukać pomocy. Później, już w szpitalu, lekarze ustalili, że Kirsten miała wylew krwi do mózgu, który sam z siebie nie powinien był jej zabić. Gdyby tylko została wcześniej znaleziona i do przyjazdu karetki ktoś by robił jej sztuczne oddychanie, trafiłaby na stół operacyjny i być może nie musiałyby umierać.

Podniósł wzrok. Jego oczy podejrzanie błyszcząły. W końcu po jego policzku potoczyła się łza.

— Moja córka przez całe życie robiła sobie wyrzuty, że tamtego ranka wybrała ciepłe łóżko i wygodę, zamiast pobiec z matką. — Głos Stadlera brzmiał tak, jakby mężczyzna zaraz miał się rozpłakać. Drżały mu mięśnie szczęki i nozdrza. — Rozumie pani? Helen była przekonana, że jej matka by żyła, gdyby tylko ona nie została w domu.

— ALE MASAKRA — mruknęła Pia, kiedy wracali do komisariatu. — Najpierw umiera mu żona, a potem córka, która przez dziesięć lat walczy z poczuciem winy, popełnia samobójstwo! Niektórych los naprawdę nie oszczędza.

Zaczęło padać. Deszcz ze śniegiem.

Bodenstein włożył okulary i w słabym świetle lampki do czytania map przeglądał akta procesowe, które dostał od Dirka Stadlera, kiedy tylko wspomniał, że mogłyby mu się przydać.

— Niesamowita tragedia, masz rację.

Miał nadzieję, że w aktach znajdzie dane kolejnych osób, które przed dziesięcioma laty miały cokolwiek wspólnego ze sprawą Kirsten Stadler i Szpitalem Urazowym we Frankfurcie. Być może udałoby się w ten sposób ustalić i odnaleźć potencjalne ofiary, zanim Snajper je dopadnie.

— Musimy jak najszybciej spotkać się i porozmawiać z narzeczoną Helen Stadler — powiedziała Pia i uruchomiła wycieraczki. Woda i błoto pryskające spod kół innych samochodów były słone od soli do posypywania dróg i w mgnieniu oka brudziły szybę, tak że nic nie było przez nią widać. — Dobrze, że jej ojciec jest taki pomocny. Gdyby nie chciał współpracować, nie posunęlibyśmy się nawet kawałek do przodu.

Bodenstein mruknął coś niezrozumiałego. Siedział zgarbiony, a jego wzrok wędrował po dokumentach, które czytał w skupieniu.

— Za dziesięć minut będziemy w biurze. — Pia nie mogła powstrzymać



uśmiechu. — Tam będzie ci wygodniej. Nie musisz męczyć wzroku w samochodzie.

— W sumie masz rację. — Zamknął skoroszyt. Potem westchnął głęboko i spojrzał przez przednią szybę. Ulice tonęły w deszczu. Oliver bębnił palcami w okładkę skoroszytu i myślał. Pia widziała, jak marszczy usta i wiedziała, że jest bardzo skupiony. Znała tę minę. Coś go bardzo zajmowało, ale nie był jeszcze gotów, by się tym z nią podzielić. Zjechała z autostrady i dwa kilometry dalej zaparkowała na dziedzińcu komendy policji. Tuż za służą bezpieczeństwa wpadli na Kaia Ostermanna.

— Szefowa zarządziła natychmiastowe spotkanie, żeby omówić aktualny stan dochodzenia — oznajmił i wskazał głową w stronę świetlicy. — Wieczorem o dziewiętnastej odbędzie się duża konferencja prasowa, mamy zarezerwowaną halę miejską.

— No w końcu! — Pia zdjęła mokrą kurtkę.

— Nie mamy żadnych informacji na temat Erika Stadlera, ale za to Winklerowie zgłosili się na policję — ciągnął Ostermann.

Bodenstein skinął głową i podał mu skoroszyt, który dostał od seniora Stadlera.

— Akta procesu przeciwko Szpitalowi Urazowemu — powiedział. — Być może trafimy tam na nazwiska, które jeszcze się nie pojawiły w sprawie.

— Dobra, zaraz się tym zajmę — obiecał Kai.

— Po konferencji prasowej pojedziemy do Glashütten i porozmawiamy z Winklerami — zdecydował Bodenstein. — Pia, masz jakieś inne plany?

— Nie, tak będzie super. Wiesz przecież, że i tak nikt na mnie nie czeka — odparła. — Ale nie sądzisz, że lepiej będzie, jeśli najpierw podjechałabym porozmawiać z narzeczonym Helen Stadler? W hali miejskiej i tak się do niczego wam nie przydam. Poza tym mogłabym spróbować porozmawiać z mężem dzisiejszej ofiary Snajpera.

— To niech już zdecyduje Nicola Engel — stwierdził Bodenstein, widząc, jak szefowa zmierza korytarzem w ich stronę. Obcasy jej czółenek wybijały bojowe staccato na pokrytej płytkami podłodze.

— Uuu, już w zbroi i z naostrzonym mieczem — skomentował Ostermann.

— Wszystko słyszałam. — Doktor Engel minęła ich szybkim krokiem, pozostawiając w powietrzu zapach werbeny i owoców cytrusowych. — Co tak państwo stoicie? No już, proszę się ruszać!

Od wieczornej rozmowy z Kim Pia łamała sobie głowę, co takiego mogło fascynować jej siostrę w doktor Nicoli Engel. Nawet po długim i męczącym dniu dyrektorka wydawała się wciąż kipieć energią. Zawsze wyglądała jak wycięta z żurnala: starannie polakierowane paznokcie, elegancki makijaż i fryzura ułożona tak idealnie, jakby Nicola właśnie wstała z fryzjerskiego fotela. Miała na sobie jasnozielony kostium, pojedynczy sznur pereł, kolorową chustę na szyi i przynajmniej dwunastocentymetrowe, dopasowane kolorystycznie szpilki. Mimo że Pia wiedziała o uczuciu łączącym niegdyś Bodensteina i szefową, ba, wiedziała nawet o ich narzeczeństwie, w jej wyobrażeniu Nicola Engel nie posiadała w domu łóżka, tylko w najlepszym razie coś w rodzaju krzesła elektrycznego, na które siadała, by następnego dnia pojawić się w pracy, buzując energią. Nie wierzyła, by ta kobieta była kiedykolwiek i przez kogokolwiek widziana w rozciągniętych spodniach od dresu czy spranej koszulce, jak bez makijażu odpoczywa wygodnie rozłożona na kanapie. Bodenstein miał chyba jakąś chorą skłonność do tego typu wyrafinowanych kobiet, które przez życie pędziły na pełnym gazie, nie zwracając uwagi na nic dookoła: Cosima von Bodenstein również należała do tego gatunku, a jego aktualna towarzyszka, Inka Hansen, była w końcu chłodną, zorientowaną na cel pracoholiczką.

— Szanowni państwo, proszę o spokój. Możecie siadać! — zarządziła dyrektorka głośno. — Za pół godziny w hali miejskiej rozpoczyna się nasza

konferencja prasowa i nie chciałabym się na nią spóźnić.

Poza Bodensteinem, Ostermannem, Altunayem i Fachinger miejsca w sali zajęli Kim, Andreas Neff i kilku funkcjonariuszy z innych wydziałów, którzy zostali oddelegowani do pracy w grupie specjalnej. Bodenstein i Pia przybliżyli wszystkim wydarzenia mijającego dnia.

Nicola Engel wyraziła zgodę, by Pia wzięła Cema i Kim i by razem pojechali porozmawiać z narzeczonym Helen Stadler, który na jednej z głównych ulic Hofheim posiadał pracownię złotniczą.

— No dobrze, w takim razie do roboty — powiedziała, spoglądając na zegarek, i ruszyła w stronę wyjścia. — Ostermann, gdzie są materiały dla prasy?

— Proszę. Przygotowałem pięćdziesiąt kopii. — Kai podał jej gruby plik zadrukowanego papieru wpiętego w skoroszyt, który Nicola natychmiast przekazała Bodensteinowi.

— Ja również przygotowałem krótki dokument z najważniejszymi punktami profilu charakterologicznego sprawcy. — Neff pospieszył z informacją, poprawiając krawat. — Myślę, że najlepiej będzie, jeśli głos zabiorę zaraz po pani...

— W ogóle nie zabierze pan głosu. A przynajmniej nie przy przedstawicielach mediów. — Tymi słowami Nicola Engel pozbawiła go złudzeń i nie patrząc nawet w jego stronę, włożyła płaszcz.

— Ale przecież mam kompetencje, żeby... — Neff aż sapnął z oburzenia i rozczarowania.

— Na tę chwilę wystarczy nam naszych kompetencji. — Doktor Engel dalej nie zaszczyciała go ani jednym spojrzeniem. — Na podium znajdzie się jedynie Bodenstein jako osoba prowadząca dochodzenie, a także szef prewencji, rzecznik prasowy, ktoś z prokuratury i ja.

— Równie dobrze mogę oszczędzić sobie czasu i wracać do domu

— mruknął Neff nadąsany. — Najwyraźniej nikt tu nie potrafi docenić moich umiejętności.

— Wręcz przeciwnie. Potrafię docenić umiejętności każdego, kto współpracuje z zespołem i wykonuje pracę, która leży w zakresie jego obowiązków. — Nicola zatrzymała się przed szklanymi drzwiami i zmierzyła go chłodnym wzrokiem. — Z tego, co wiem, jest pan analitykiem operacyjnym i pana zadaniem jest analiza śladów pozostawionych na miejscu zbrodni w celu ustalenia jej jak najwierniejszego przebiegu oraz znalezienie podobieństw i powiązań konkretnej sprawy z innymi. Pana zadaniem jest uzupełnianie pracy moich ludzi. Nie posiada pan kwalifikacji do wygłaszania jakichś teorii dotyczących psychiki sprawcy. Jeśli ktokolwiek miałby do tego prawo, to na pewno nie pan, a biegła sądowa z zakresu psychiatrii.

— Dotychczas nie miałem niczego przeciwko parytetom w policji. — Neff nie posiadał się z oburzenia. — Ale to, co się tutaj dzieje, to jakaś chora solidarność jajników!

— Proponuję ruszać, moi państwo. Nie chcę, żeby dziennikarze niepotrzebnie czekali. — Nicola Engel dała znać dyżurnemu, by otworzył drzwi służby bezpieczeństwa. Ledwie zabrzączał zamek, pchnęła szklaną tafłę i wyszła do części dostępnej dla wszystkich przychodzących. Wtedy zauważyła, że na dworze pada. — Kolego Bodenstein, ma pan parasol?

— Ruda kura bojowa — syknął Neff jadowicie. — Kogut by się jej przydał, bo widać, że dawno go nie miała.

— Skoro mowa o jajkach, to dobrze by panu zrobiło, gdyby pana poczuły od czasu do czasu jakąś kobiecą rękę. — Zamiast Nicoli odpowiedziała mu Kim.

Neff zrobił się czerwony jak burak. Dyrektorka Engel usłyszała ich wymianę zdań. Odwróciła się i uśmiechnęła promiennie.

— Poczekajcie! Stójcie! To ważne! — Korytarzem pędził w ich stronę

zdyszany Kröger.

— Kolego Kröger, jesteście już mocno spóźnieni — westchnęła Nicola. — Co takiego się stało?

— Ustaliliśmy, skąd padł strzał, który zabił Hürmet Schwarzer! — krzyknął Kröger, walcząc o oddech. — Zebraliśmy odpowiednie dane i zrobiliśmy symulację komputerową. Wprowadziliśmy wszystko, co mieliśmy. Wysokość ofiary, wagę, kąt rany wlotowej i tak dalej.

— Wszyscy wiemy, jak to się robi — przerwała mu Nicola, nie kryjąc zniecierpliwienia. — Do rzeczy, proszę, bo naprawdę nie mamy czasu!

— Chodzi o to, że to wcale nie jest dobry czy bardzo dobry strzelec... — Na Krögerze miny Nicoli nie robiły wielkiego wrażenia. Niewzruszony potoczył wzrokiem po współpracownikach, przedłużając chwilę przerwy, by podnieść dramatyzm tego, co miał do powiedzenia. — ...tylko nadzwyczajnie dobry strzelec. Bez najmniejszych wątpliwości to doskonale wyszkolony snajper albo strzelec wyborowy, bo to, co zrobił, to nie jest poziom hobbysty, który sobie popyka na okolicznych strzelnicach! Sprawca strzelał mianowicie z dachu budynku przy Bremer Strasse w Eschborn! To niemal kilometr dalej!

— Jest pan tego pewny? — Nicola Engel spojrzała na niego sceptycznie.

— Absolutnie! Na sto procent i bez najmniejszych wątpliwości. — Kröger potaknął energicznie. — W pobliżu nie ma żadnego innego budynku, z którego dałoby się oddać strzał, zachowując odpowiednie kąty. Byliśmy tam i za pomocą laserowego dalmierza sprawdziliśmy dokładnie, ile to metrów: osiemset osiemdziesiąt dwa i dziewięćdziesiąt centymetrów. Niewiarygodne!

— Trzeba będzie sprawdzić wszystkie strzelnice i kluby strzeleckie w pobliżu — zdecydował Ostermann. — Taki specjalista, jeśli kiedykolwiek się w nich udzielał, musi być powszechnie znany. Do tego wszyscy obecni

i byli żołnierze oraz nasi — tak samo aktywni, byli i rezerwiści.

— Dobrze. — Nicola krótko skinęła głową. — Niech pan się tym zajmie, kolego Ostermann.

— I wyślij ludzi do tego wieżowca — dodał Bodenstein. — Niech chodzą od drzwi do drzwi i przepytują lokatorów. A nuż ktoś coś słyszał albo widział. Może w holu albo przed wejściem są kamery, to też trzeba sprawdzić.

— Robi się. — Ostermann zasalutował i skinął głową.

Przed schodami czekał już samochód służbowy.

— Świetna robota, kolego Kröger — powiedziała Nicola Engel, po czym odwróciła się i schowana pod parasolem Bodensteina zeszła energicznym krokiem w dół i wsiadła do auta.

— Superbabka — mruknęła Kim i puściła oko do siostry.

— Dobra, my też ruszamy — odpowiedziała policjantka. — Może jeszcze zastaniemy tego całego Hartiga.

BODENSTEIN NIE PRZYPOMINAŁ SOBIE, by jakakolwiek konferencja prasowa przyciągnęła tylu dziennikarzy. Przed halą miejską stały wozy transmisyjne wszystkich chyba liczących się nadawców, a przy stanowiskach akredytacyjnych tłoczyły się prawdziwe tłumy. Umundurowani funkcjonariusze przepuścili doktor Engel, Bodensteina, rzecznika prasowego i szefa prewencji poza kolejnością. W niewielkim pomieszczeniu czekał na nich prokurator Rosenthal, żeby zapytać o najnowsze ustalenia.

— Mamy opracowanie zawierające wszystkie miejsca zbrodni razem z datami i godzinami — wyjaśniła na koniec doktor Engel. — Jeśli mamy liczyć na pomoc społeczeństwa, to musimy potraktować je poważnie i przekazać wszystkie informacje, jakimi dysponujemy. Inaczej to by się miało z celem.

— Jestem tego samego zdania. — Prokurator skinął głową.

Odezwała się komórka Bodensteina. Cosima! Że też akurat teraz! Była żona posiadała talent dzwonienia w możliwie najmniej odpowiednich momentach.

— Przepraszam najmocniej — powiedział, stanął w narożniku pomieszczenia i odebrał połączenie.

— Cześć, Oliver! — wykrzyknęła Cosima. — Chciałam ci tylko powiedzieć, że siedzę w pociągu do Königstein. Na lotnisku nie udało mi się znaleźć żadnej taksówki, uwierzyłyś? Nikt nie chciał jechać do Taunusu.

— Czekaj, a ty nie powinnaś być właśnie w drodze na Syberię? — Bodenstein uniósł ze zdziwienia brwi.

— Ech, wiesz, tam jest chyba za zimno dla mnie. — Cosima roześmiała się, ale nie zabrzmiało to szczerze. — Mój zespół dalej realizuje plan, ale mi jakoś przeszła ochota na ten wyjazd. Mogę później wpaść po Sophie?

— Jak ci będzie pasowało. Mała jest u Inki. Na mnie nie możesz liczyć, bo siedzę po szyję w robocie. Mamy strasznie ciężki przypadek. Trafiłaś tuż przed rozpoczęciem konferencji prasowej — odparł.

— Chodzi o tego Snajpera? Z tego, co słyszałam, to wywołał powszechną histerię.

— Słuchaj, muszę już kończyć, ko... — Nie wypowiedział ostatniego słowa, bo w porę ugryzł się w język. Niewiele brakowało, a powiedziałaby do niej „kochanie”! I to po czterech latach od rozstania! Wielki Boże, oby tylko nie zauważyła tego przejęzyczenia!

— Nie ma sprawy — odpowiedziała Cosima. — Odbiorę ją od Inki, jeśli w ogóle uda mi się dojechać z Königstein do Ruppertshain, bo to wcale nie jest takie pewne.

— W porządku, dam jej znać, że będziesz — obiecał.

— Dzięki. W takim razie do jutra — pożegnała się i rozłączyła.

Przez dwadzieścia pięć lat małżeństwa Cosima nigdy jeszcze nie przerwała wyprawy filmowej — a w każdym razie teoretycznie — bez żadnego powodu! Bodensteinowi coś się tu nie podobało, choć jeszcze nie wiedział co. Czyżby dowiedziała się o zmianie testamentu przez matkę i dlatego rzuciła wszystko i przyjechała z powrotem? Pospiesznie napisał do Inki, żeby się nie zdziwiła. Wiedział, że nie będzie płakać z powodu skrócenia opieki nad małą o prawie trzy tygodnie. Ale on poczuł delikatne uczucie żalu, kiedy o tym pomyślał.

Znów odezwał się jego telefon, tym razem dzwonił Kai Ostermann.

— Erik Stadler wrócił właśnie do domu — powiedział. — Co mamy robić?

— Zaraz, niech pomyślę. — Oliver podszedł do Nicoli, która omawiała szczegóły konferencji z prokuratorem, i przedstawił problem.

— Macie dość informacji, żeby uzasadnić wystawienie nakazu aresztowania? — zapytał Rosenthal.

— Nie, na razie nie mamy niczego konkretnego — przyznał Bodenstein. — Obawiam się, że w sądzie dałoby się to łatwo obalić.

— Ale za to mamy dość na zatrzymanie w sprawie — wtrąciła się doktor Engel.

— Dobrze, w takim razie zatrzymajcie go i przesłuchajcie — zdecydował prokurator i spojrzął na zegarek. — Musimy już wychodzić.

— Kai! — Oliver przystawił słuchawkę do ucha. — Niech ktoś cały czas obserwuje jego mieszkanie, żeby nam nie zwiął. Jak tylko tutaj skończę, wsiadam w samochód i jadę do Frankfurtu, żeby go zatrzymać.

W drodze na podwyższenie, gdzie czekał na nich stół i pięć krzeseł, wysłał Pii SMS-a i wyłączył dźwięk w telefonie.

— OTWARTE DO WPÓŁ DO SIÓDMEJ! Niech to szlag trafi!



Pia spojrzała na ciemne już okna pracowni złotniczej i zapukała w szklane drzwi. Może Jens-Uwe Hartig, narzeczony Helen Stadler, siedział jeszcze w środku gdzieś na zapleczu i pracował? Ale w pracowni panowały bezruch i ciemność.

— Punktualnie robi sobie fajrant — stwierdził Cem. — Mamy gdzieś prywatny adres tego całego Hartiga?

— Niestety nie. — Pia wyjęła jedną z ostatnich wizytówek i wsiadła do samochodu, żeby zapisać na niej wiadomość do złotnika. Długi i męczący dzień, bezustanny stres, wilgoć i chłód dawały jej się we znaki. Była podminowana, wszystko ją bolało i marzyła o tym, by wrócić do domu, paść na kanapę, ułożyć się na niej wygodnie i odpocząć. Akurat kiedy z wysiłkiem wysiadała z samochodu, pojawił się jakiś staruszek i głośno fukając, ruszył w ich stronę, po czym stanął naprzeciwko niej.

— Te, panienko, a czytać to nie umie? Ślepa, czy co? Tu nie wolno samochodem! — zaatakował Pię. Po całym dniu w biegu jej zapasy cierpliwości i uprzejmości były na wyczerpaniu.

— Kup pan sobie lepiej okulary — poradziła mu. — Zakaz wjazdu jest od dziewiętej do osiemnastej, czyli od pół godziny nie obowiązuje.

Po czym obeszła go i do skrzynki pocztowej na drzwiach sklepu wrzuciła swoją wizytówkę.

— Chodźcie, jedziemy teraz do Winklerów do Glashütten — powiedziała do Kim i Cema. — To jest ważniejsze.

Staruszek wyciągnął tymczasem telefon z kieszeni kurtki, stanął przed samochodem i zaczął robić zdjęcia tablicy rejestracyjnej. Pia go zignorowała i podała kluczyki Cemowi.

— Możesz prowadzić? Ja mam dość na dzisiaj.

— Pewnie. — Wziął kluczyki i wsiadł za kierownicę. Pia usiadła na miejscu pasażera, a Kim na tylnej kanapie. W czasie jazdy w samochodzie

panowała cisza, a Pia była wdzięczna za ten spokój. Przemieszczali się prawie pustymi ulicami, a na wysokości Königstein deszcz ustąpił miejsca opadom śniegu. Dopiero wtedy Pia sprawdziła telefon i dostrzegła SMS-a od Bodensteina, w którym szef informował ją, że Erik Stadler pojawił się w domu i że pojedzie po niego zaraz po konferencji prasowej.

Erik Stadler. Czy bardzo kochał swoją siostrę? Jak musiał się czuć, przez lata będąc świadkiem jej męczarni? Czy samobójstwo Helen Stadler mogło wywołać w nim taką reakcję, że zaczął mordować ludzi? Erik Stadler i jego ojciec mieli aż dwa dobre powody, by nienawidzić Renate Rohleder, Dietera Rudolfa i Fritza Gehrkego. Pia ziewnęła. W samochodzie było przyjemnie ciepło. Poczula, jak ogarnia ją zmęczenie i senność. A mogła wylegiwać się w słońcu, na statku, obok Christopha i beztrosko zażywać odpoczynku! Zamiast tego siedziała w ciemnym samochodzie, dookoła sypał śnieg, a śledztwo nie posuwało się naprzód! Brak możliwości działania i tylko reagowanie na posunięcia mordercy wpływały na wszystkich deprymująco. Cztery ofiary! A oni wciąż poruszali się po omacku.

— Dobrze, już jesteśmy — powiedział Cem, a Pia podskoczyła przestraszona, bo głos kolegi wyrwał ją z zamyślenia. — W oknach widać światło, więc zakładam, że są w domu.

Kim zamknęła iPada i wsunęła do torebki. We troje wysiedli z samochodu, naciśnęli dzwonek przy furtce i brodząc w głębokim śniegu, ruszyli w stronę wejścia do domu Winklerów.

Matka Kirsten Stadler, Lydia Winkler, była drobną kobietą o krótko przyciętych, ufarbowanych na ciemnorudy kolor włosach, ze zmęczoną twarzą poraną siecią zmarszczek.

— Proszę, niech państwo wejdą — powiedziała przyjaźnie. — Przykro mi, że musieliście państwo fatygować się tutaj w taką pogodę.

— Proszę się nie przejmować. — Pia zmusiła się do uśmiechu. — Na

szczęście dostaliśmy z budżetu dodatek na opony zimowe do samochodów służbowych.

Dom był większy, niż wydawało się z zewnątrz. Zbudowany w trudnym do pomylenia typowym stylu lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, z przytłaczającymi sufitami z drewna, ciemnobrązowymi płytkami częściowo ukrytymi pod perskimi dywanami, staromodnymi zasłonami i dużymi oknami w metalowych ramach przypominał trochę pałac Fritza Gehrkego. Pani Winkler zaprosiła ich do ogromnego salonu, w którym zmieściłby się cały parter domu Pii. Jednak ciemna boazeria na suficie optycznie ograniczała przestrzeń.

— Proszę chwilę poczekać, pójdę tylko po męża. — Kobieta zniknęła, nie proponując im nawet, by usiedli. Pia, Cem i Kim spojrzeli zdziwieni po sobie, a potem dyskretnie się rozejrzeli. Na jednej z komódek stała cała bateria oprawionych w ramki zdjęć. Pia przyjrzała im się dokładniej. Większość przedstawiała Kirsten Stadler albo jej dzieci w różnym wieku, jednak na żadnym nie dopatrzyła się jej męża. Również ściany ozdabiały fotografie zmarłej córki. Kirsten Stadler była śliczną dziewczynką, a później bardzo atrakcyjną kobietą o szczerym uśmiechu.

Po dłuższej chwili pani Winkler wróciła, prowadząc za sobą męża. Był sporo od niej wyższy, miał łysą głowę, szczupłe policzki i zgorzkniały wyraz twarzy. W jego jasnych oczach czaiło się napięcie i podminowanie, jakby czekał na najmniejszą prowokację, by wybuchnąć. Już na pierwszy rzut oka wydał się Pii niesympatyczny.

— No proszę, policja. Później się już chyba nie dało, co? — Joachim Winkler przywitał ich niezadowolonym spojrzeniem i demonstracyjnie schował dłonie w kieszeniach spodni. Pia nie zareagowała na jego słowa i na kilka chwil zapadła kłopotliwa cisza. W domu było bardzo gorąco, a ona czuła, jak zaczyna ociekać potem. Miała sucho w ustach i zaczynała ją boleć

głowa.

— Czego policja od nas chce? — warknął Winkler nieprzyjemnym tonem.

— Być może pański zięć Dirk Stadler przekazał już panu, że głośne morderstwa dokonywane przez Snajpera mogą być w jakiś sposób powiązane ze śmiercią pańskiej córki. — Pia nie robiła długich wstępów. Winkler, który od początku był do nich źle nastawiony, przestał ukrywać swoją wrogość, ledwie usłyszał nazwisko zięcia.

— Nie, nic o tym nie wiedzieliśmy — warknął z wściekłością. — Nie utrzymujemy żadnych kontaktów z mężem naszej córki.

Ani jego, ani jego żonę zdawało się nie interesować, jaki związek mógłby istnieć między ich córką a kolejnymi morderstwami. Byli spięci, ale nie zdenerwowani ani zaskoczeni. Dziwna reakcja, pomyślała Pia.

— Giną krewni ludzi, którzy mieli związek ze sprawą śmierci państwa córki — ciągnęła policjantka. — Tymczasem pan Stadler twierdzi, że nie może całkowicie wykluczyć pańskiego związku z tymi morderstwami.

W tym samym momencie Pia dostrzegła przerażone spojrzenie Cema i zrozumiała swoją pomyłkę, lecz było już za późno, by naprawić błąd.

— Słucham?! — Joachim Winkler nie panował nad złością. — Jak ten mały gnojek może mówić takie rzeczy?! Niby dlaczego? — krzyczał.

Rozmowa przyjęła zupełnie nieplanowany obrót i to właściwie jeszcze zanim na dobre się zaczęła. Nieszczęśliwe sformułowanie pytania, co tak rozwścieczyło Winklera, Pia mogła złożyć na karb przemęczenia albo, możliwe, antypatii względem teścia Stadlera. Niezależnie od wszystkiego, miała jednak świadomość, że taki błąd nie powinien być się jej zdarzyć. Przecież była profesjonalistką! Uznała szybko, że lepiej będzie pozostawić dalszą rozmowę Cemowi, który zachowywał się znacznie dyplomatyczniej niż ona.

— Joachimie, nie denerwuj się, proszę. — Staruszka położyła dłoń na

ramieniu męża, lecz strząsnął ją niedelikatnie.

— Nie będę słuchał tych kłamstw! Nie pozwolę sobie na coś takiego! — Winkler wciąż był wściekły. — Dajcie wy mi wszyscy święty spokój!

Odwrócił się gwałtownie i szybkim krokiem wyszedł z salonu, a po chwili rozległ się ryk telewizora włączonego na cały regulator.

— Bardzo mi przykro. — Pia uniosła ramiona w geście bezradności. — Użyłam pewnie niewłaściwych słów. Mogłam ująć to nieco delikatniej, jednak proszę nas zrozumieć, od kilku dni pracujemy w naprawdę ogromnym stresie.

— Nic się nie stało. — Lydia Winkler zmusiła się do uśmiechu. — Mój mąż jest bardzo drażliwy, jeśli chodzi o Kirsten. Wciąż jeszcze obwinia się za to, co się stało.

Helen Stadler czuła się winna śmierci matki. Ojciec Kirsten, dziadek Helen, również miał wyrzuty sumienia?

— Ale przecież pani córka zmarła na wylew krwi do mózgu. — Pia spojrzała na nią zaskoczona. — Nie ma mowy o niczyjej winie, to się po prostu zdarza.

— Bardzo ciężko przeżyliśmy to, co się stało. Po śmierci naszej córki doszło do rozpadu rodziny. Bardzo trudno radzić sobie z nagłą i niespodziewaną śmiercią najbliższych, a kiedy jeszcze dochodzi do tego to wszystko, przez co musieliśmy przejść po jej odejściu... Proszę mi wierzyć, to była prawdziwa próba ognia.

— Nie do końca rozumiem, o czym pani mówi? Co się stało po jej odejściu? — zapytał Cem.

— Och, to długa historia. — Lydia Winkler westchnęła i wskazała na kanapę. — Proszę, niech państwo usiądą.

KAROLINE ALBRECHT była już na niejednej konferencji prasowej, lecz

dotychczas zawsze siedziała z przodu, na podwyższeniu. Tym razem po raz pierwszy stała ściśnięta w tłumie dziennikarzy, reporterów, operatorów kamer i fotografów, których twarze wyrażały jedynie głód sensacji. Z niepokojem czekała, aż miejsca za stołem zajmą przedstawiciele policji. Konstantin Faber przysłał jej krótkiego mejla z informacją o konferencji, ale na wszelki wypadek zaraz zastrzegł, że sam się na niej nie zamierza pojawiać. Liczba chętnych przed wejściem była tak ogromna, że już po chwili nikt nie był w stanie kontrolować napierającego tłumu, dzięki czemu udało jej się dostać do środka bez akredytacji.

Tuż po siódmej wieczorem na podwyższeniu pojawili się przedstawiciele policji i prokurator i zasiedli za długim stołem, na którym wyrósł las mikrofonów. Zapłonęły reflektory, a halę zalały błyski fleszy. Szefowa policji z Hofheim, energiczna rudowłosa kobieta w zielonym kostiumie pierwsza zabrała głos i rzetelnie przedstawiła wszystkie fakty, czym całkowicie zaskoczyła Karoline. Kobieta spodziewała się raczej, że policja będzie kontynuowała politykę skrywania niektórych wiadomości, a już z całą pewnością nie poinformuje prasy o braku postępów w śledztwie. Tymczasem policja wybrała pełną otwartość.

— Nie musicie państwo wszystkiego notować — zwróciła się do zebranych dziennikarzy doktor Nicola Engel. — Przygotowaliśmy dla państwa kompletny zapis całości konferencji, z którego możecie państwo korzystać. Znajdziecie tam wszystkie daty, dane liczbowe i miejsca. Dziękuję za uwagę. Jeśli macie państwo jakieś pytania, jestem do dyspozycji.

Tymi słowami wywołała burzę. Wszyscy krzyczeli, skakali i machali rękoma, byle tylko móc zadać pytanie. Dwie młode kobiety z mikrofonami, które miały podchodzić do kolejnych dziennikarzy, nie były w stanie zapanować nad sytuacją. W końcu ruda policjantka energicznie uspokoiła tłum i sama decydowała, kto i kiedy ma zadawać pytania.

— Czy macie jakieś obiecujące tropy?

W hali zapadła cisza. Słyszeć było jedynie migawki aparatów.

— Niestety, jak dotąd żadnych — odparł spokojnym głosem Oliver von Bodenstein. — Przedstawiliśmy państwu wszystkie fakty, jakimi dysponujemy. Poinformujemy państwa również, jeśli dowiemy się czegokolwiek, co mogłoby doprowadzić do zmniejszenia poczucia zagrożenia wśród mieszkańców. Niestety, w tej chwili nic więcej nie możemy państwu przekazać. Dlatego właśnie apelujemy do wszystkich osób przebywających w tym regionie o nadzwyczajną uwagę. Jedyne, co możemy stwierdzić z dużą pewnością, to to, że morderca nie wybiera swoich ofiar na chybił trafił. To niestety wszystko, co mogę państwu powiedzieć.

Konferencja zakończyła się kwadrans przed dwudziestą. Hala momentalnie opustoszała i tylko gdzieś tam technicy z telewizji pakowali kamery i pozostały sprzęt transmisyjny. Karoline zastanawiała się, czy w ogóle był sens tu przychodzić. Miała wrażenie, że określenie „ofiara numer dwa” kalalo dobre imię matki i uwłaczało jej pamięci. Walczyła ze sobą, czy nie sięgnąć po mikrofon i nie wykrzyknąć tej żądnej sensacji masie pismaków, żeby w końcu zaczęli okazywać szacunek zmarłym. Przewidziała jednak, że wszyscy rzuciliby się na nią, zwabieni obecnością „córkę ofiary numer dwa” i usiłowałiby wyciągnąć od niej prywatne informacje, rodzinne zdjęcia, czy — co napawało ją jeszcze większym wstrętem — oczekiwaliby łzawych i wzruszających historii.

Karoline wyszła do lobby hali miejskiej. Już z daleka dostrzegła Bodensteina, który wyraźnie nie był zachwycony koniecznością rozmowy z jakimś natarczywym reporterem. Kiedy podeszła bliżej, przeczytała na jego karcie akredytacyjnej, że jest z „Taunus Echo” — bardzo ją to zainteresowało. Faber — ten żaloszny tchórz Faber wysłał kogoś z redakcji, zamiast samemu się pofatygować! Zwolniła i nadstawiła uszu.

— Czy wam się naprawdę wydaje, że my w policji siedzimy sobie i popijamy tylko kawkę? — mówił właśnie nadkomisarz Bodenstein, a z jego miny trudno było wywnioskować, czy jest tylko zły, czy już wściekły. — Kilkunastu funkcjonariuszy zamiast pracować waruje przy gorącej linii i odbiera połączenia, których dzięki artykułowi jednego z waszych kolegów jest tyle, że telefony się urywają!

Bardzo jej się spodobał jego sposób mówienia. Karoline lubiła, kiedy ktoś nie robił błędów i wyrażał się kulturalnie, niezależnie od okoliczności.

— Do dzisiejszego popołudnia około dwustu ludzi miało widzieć sprawcę, i to wszędzie, zarówno tam, gdzie to byłoby rzeczywiście możliwe, jak i w całkowicie wydumanych miejscach. A my musimy teraz weryfikować każdy z takich sygnałów. Możecie chyba sobie wyobrazić, jakich to wymaga nakładów pracy i ilu ludzi angażuje.

— Ale w ten sposób możecie otrzymać wskazówkę, która zaprowadzi was do rzeczywistego sprawcy! — Reporter lokalnej gazety nie dawał za wygraną.

— Nie, to jest tylko i wyłącznie marnowanie naszego czasu. — Bodenstein zmarszczył czoło i spojrzał na telefon. — Proszę mi wierzyć, to nie jest pierwsze dochodzenie, które prowadzę, i nie pierwsze morderstwo, którym się zajmuję. Wiem, kiedy i jakie informacje należy ujawniać, a jakie zatrzymywać na potrzeby dochodzenia. Wolność prasy wolnością prasy, ale proszę przekazać panu Faberowi, że znacznie bardziej nam pomoże, jeśli następnym razem zgłosi się do nas, kiedy otrzyma podobną wiadomość. Natychmiastowa publikacja takich treści bez konsultacji z nami to ogromny błąd.

— No dobrze, to mamy dla pana jedną nowość. — Reporter zatrzymał policjanta, kiedy ten ruszał do wyjścia. — Jest jeden prawnik. Adwokat konkretniej. Reprezentował klinikę, którą pozwał Stadler. Nazywa się Peter



Riegelhoff. Może będzie wiedział coś więcej o tym, co się wtedy naprawdę stało.

Karoline aż sapnęła zaskoczona. Przecież to była informacja, którą ona przekazała rano Faberowi, prosząc go, by dał słowo, że nikomu o tym nie powie! Co za tchórzliwy i fałszywy gnojek! Nagle opanowało ją złe przeczucie. Wyteżyła pamięć, żeby przypomnieć sobie, o czym jeszcze rozmawiała z Faberem. Czy podawała mu jeszcze jakieś nazwiska? A jeśli to dołoży tylko policji dodatkowej pracy i nie przyniesie żadnych efektów?

— Mam nadzieję, że ani pan Faber, ani pan nie będziecie usiłowali prowadzić dochodzenia na własną rękę — powiedział policjant. — Bo to może mieć fatalne skutki. Proszę nie zapominać, że Snajper jest wyjątkowo niebezpiecznym przestępcą. Proszę też przekazać panu Faberowi, że liczę na pamięć o naszych ustaleniach. Tymczasem życzę dobrej nocy.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł szybkim krokiem.

Karoline odprowadziła go wzrokiem. Czy powinna go dogonić i przyznać się, że rozmawiała z Faberem? Tylko po co? Czy rzeczywiście miała mu cokolwiek do powiedzenia? Czy wiedziała o czymś, czego on już nie wiedział? Przecież informacje, którymi dysponowała, pochodziły od Renate Rohleder, a ona miała je od policji. Wyszła na świeże powietrze, nasunęła na głowę kaptur płaszcza i patrzyła, jak Bodenstein i jego rudowłosa szefowa wsiadają do samochodu służbowego.

Nie. Jeszcze jest za wcześnie, żeby zawracać głowę zestresowanym policjantom jakimiś niesprecyzowanymi domysłami.

PIA POCZUŁA ULGĘ i nieco uspokojona usiadła między Cemem a siostrą na kanapie, a Lydia Winkler zajęła miejsce naprzeciwko nich, w fotelu. Spokojnym głosem zaczęła opowiadać o wydarzeniach, które miały miejsce szesnastego września 2002 roku. Mówiła o telefonie przerażonego Erika,

o tym, jak płakał jej w słuchawkę i krzyczał, że mama się przewróciła i nie chce się obudzić, i o tym, co było później.

— Natychmiast wsiedliśmy z mężem w samochód i pojechaliśmy do Niederhöchstadt, żeby zająć się dziećmi — wyjaśniła. — A potem do szpitala. Bo wiedzieliśmy, gdzie trafiła Kirsten. Erik i Helen wpadli w panikę, a Dirk pracował za granicą i nie mogliśmy się do niego dodzwonić. W szpitalu powiedziano nam, że Kirsten doznała wylewu krwi do mózgu, który został bardzo poważnie uszkodzony w wyniku braku tlenu. Innymi słowy doszło do jego śmierci. Byliśmy w szoku i nie potrafiliśmy zrozumieć, co ci lekarze nam tłumaczą. Kirsten leżała na intensywnej terapii i wyglądała, jakby po prostu spała. Była podłączona do respiratora, miała ciepłą skórę i nawet się pociła... jelita jej też działały.

Lydia Winkler przerwała na chwilę i przełknęła głośno. Potem nabrała głęboko powietrza i wróciła do swojej opowieści:

— Powiedziano nam bardzo wyraźnie, że wylew krwi do mózgu Kirsten spowodował miejscowe niedotlenienie i jego część została nieodwracalnie zniszczona. I zaczęto na nas naciskać. Zależało im, żebyśmy jak najszybciej podjęli decyzję o przekazaniu jej organów do przeszczepu. To było... mieliśmy wrażenie, że to jak zgodzić się na zamordowanie naszej córki. Żeby oni ją pokroili i wyjęli z niej organy... bo przecież ona wyglądała, jakby żyła.

Głos kobiety znów się załamał. Lydia walczyła ze łzami, a bolesne wspomnienia sprawiały, że to, co wydarzyło się dziesięć lat wcześniej, wróciło z nową siłą. Dirk Stadler przebywał wtedy na drugim końcu świata i nie można było się do niego dodzwonić, więc lekarzom zależało, by to rodzice podjęli decyzję, a oni, otoczeni przez personel szpitala, czuli się przeciążeni. Nigdy nie rozmawiali z córką o tym, co sądzi o oddawaniu organów do przeszczepu, więc nie wiedzieli, czy podpisywała zgodę na takie zabiegi czy sprzeciw. Nie mieli też pojęcia, czy może w jej testamencie

znajdują się odpowiednie dyspozycje.

— Poprosiliśmy, żeby poczekać na Dirka, ale lekarze bardzo naciskali. Coraz bardziej, prawdę mówiąc. Udowadniali, że to niemoralne, nie podjąć takiej decyzji. Opowiadali o pacjentach, którym mogliby pomóc. Nie zawahali się przed niczym. — Lydia Winkler obracała w palcach okulary do czytania i walczyła, by nie dać się ponieść emocjom. Na domiar złego siedemnastoletni wówczas Erik usłyszał przypadkiem rozmowę dwójki lekarzy i zrozumiał, że oni już dawno zdecydowali, co będzie dalej z jego matką. Intensywna opieka i te wszystkie urządzenia były im potrzebne tylko po to, żeby jej organy nadawały się do przeszczepu.

— To go całkowicie wyprowadziło z równowagi — wspominała Lydia Winkler. — On wtedy jakby oszalał. Zaczął krzyczeć, tupać i nie dawał się uspokoić. W pewnym momencie odesłano nas do domu. Kiedy następnego ranka pojawiliśmy się w szpitalu, postawiono nas przed faktami dokonanymi. W nocy zabrano naszemu dziecku wszystko, co się tylko dało... nawet... nawet oczy i kości! Oni ją dosłownie wypatroszyli!

Przerwała i skrzywiła się boleśnie. Pia widziała, jak ciężko jej jest panować nad sobą.

— Kiedy ją tam zobaczyliśmy, w szpitalnej kostnicy, to było przerażające. Wyglądała jak pusta kukła. Puste oczodoły zakleili jej plastrami — dodała drżącym głosem. — Wyglądała przy tym, jakby strasznie cierpiała. Życzylibyśmy sobie dla niej innego losu, innej śmierci. Żeby spokojnie zasnęła otoczona rodziną po odłączeniu tych wszystkich maszyn i urządzeń. Ale ograbiono ją z tego. Ją i nas.

Dirk Stadler dopiero następnego dnia wrócił z Dalekiego Wschodu, gdzie wówczas pracował. Pokazano mu podpisaną deklarację zgody na przekazanie organów do przeszczepu. Podpisaną przez jego teścia. Joachim Winkler upierał się stanowczo, że nigdy niczego takiego nie podpisywał i nie dawał

żadnej zgody, a jedyny dokument, jaki został mu przedstawiony, dotyczył zgody na leczenie, bo Kirsten, kiedy trafiła do szpitala, była w stanie, który wykluczał samodzielne podejmowanie decyzji.

— Jakkolwiek by na to patrzeć, na zgodzie znajdował się jego podpis — czarno na białym — ciągnęła Lydia Winkler. — Nie mam najmniejszych wątpliwości, że zostaliśmy wprowadzeni w błąd i okłamani, jednak koniec końców stanęło na słowie przeciw słowu. Później zapewniano nas, że mój mąż był w takim stanie emocjonalnym, że po prostu nie zrozumiał, co do niego mówiono. To go całkowicie załamało, bo choć bardzo chciał, nie mógł dowieść, że było inaczej.

— Czy to dlatego pani zięć pozwał Szpital Urazowy we Frankfurcie? — zapytał Cem.

— Tak, to był jeden z powodów. — Lydia Winkler pokiwała głową. — Ale przede wszystkim chodziło nam o to, jak oni w ogóle potraktowali naszą córkę. Kiedy tylko się okazało, że musi umrzeć, w oczach lekarzy przestała być człowiekiem. Byli jak sępy. Tylko czekali, aż sobie pójdziemy. A to, co zrobili z jej zwłokami, to było obrzydliwe. Takie... takie bez serca. Uwłaczające.

— A jak się miała sprawa z oskarżeniem przed sądem? — zapytał Cem.

— Dirk i szpital doszli do porozumienia i zawarli pozasądową ugodę. Dostał od nich jakieś odszkodowanie i zapłacili za jego adwokata. Dla mnie to było jednoznaczne z tym, że przyznają się do winy.

Pia pomyślała, że pospieszyła się z oceną Joachima Winklera, bo mogła w ten sposób wyrządzić mu krzywdę. Jednocześnie wiedziała też, że ojciec Kirsten Stadler miał bardziej niż uzasadniony motyw, by być Snajperem. Pytanie tylko, czy siedemdziesięcioletni staruszek byłby w stanie popełnić te wszystkie czyny.

— Zięć wspomniał, że bierzecie państwo udział w spotkaniach grupy

samopomocy, to prawda? — zapytała Pia.

— Tak, to prawda — przyznała Lydia Winkler i pokiwała głową. — Po śmierci naszej córki byliśmy jak sparaliżowani, nic do nas nie docierało. Nie było też wokół nikogo, z kim moglibyśmy podzielić się tym, co przeżywaliśmy. Naszymi wyrzutami sumienia. Poczuciem winy. Wnuczka znalazła tę grupę w Internecie. To ludzie wspierający krewnych osób, którzy znaleźli się w sytuacji podobnej do naszej. Rodzice, którzy wyrazili zgodę, by ich nastoletnie dziecko po wypadku zostało dawcą organów. Małżonkowie. Rodzice dorosłych dzieci. Nikt nie jest dobrze przygotowany na sytuację, w której musi szybko podjąć decyzję o tak ogromnym znaczeniu i takich konsekwencjach. Bycie z najbliższą osobą, którą lekarze przestają traktować jak człowieka, jak umierającego człowieka, a zamiast tego jak... jak materiał, magazyn części zamiennych. I to jest najgorsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić. Śmierć jest okropna, to mało powiedziane. Ale kiedy dochodzi do tego taki brak szacunku, brak poszanowania godności, to tego nie da się zapomnieć. Nigdy. Nawet teraz, po dziesięciu latach, niemal co noc śni mi się to wszystko od nowa i wcale nie pomaga świadomość, że dzięki Kirsten uratowano życie wielu innym osobom. Jej nikt nie ratował. Nikt o nią nie dbał. A w ostatecznym rozrachunku zniszczyli w ten sposób też życie Helen.

*DOPIERO CZWARTA OFIARA zapewniła mu należną ilość czasu antenowego i wzmianki we wszystkich programach informacyjnych. Konferencja prasowa policji była transmitowana na żywo z hali miejskiej, a prasa dała mu przydomek „Snajpera z Taunusu”. Co za idiota wpadł na tak porywające i oryginalne przezwisko? Z zainteresowaniem wysłuchał wiadomości i dowiedział się, że to policja popisała się elokwencją.*

— *Uważamy, że kolejne morderstwa są ze sobą powiązane — ogłosił*

policjant prowadzący dochodzenie, elegancki mężczyzna o przystojnej twarzy, mówiący lekko nosowym barytonem. Natychmiast sobie wyobraził, że ten człowiek pasowałby idealnie do amerykańskich seriali kryminalnych, takich jak „Zabójcze umysły” czy „Dowody zbrodni”. — Motyw, którym kieruje się sprawca, jest zemsta, jednak nie jest wymierzona w ofiary, tylko w krewnych zamordowanych.

— Szczere wyrazy uznania, panie von Bodenstein! Jest pan na właściwym tropie! — Wzniósł toast butelką piwa i z kpiącym spojrzeniem przepił do policjanta na ekranie, a potem zagryzł wypity alkohol chlebem z serem.

W końcu policja robiła to, z czym liczył się już od dawna — prosiła mieszkańców regionu o pomoc, szukała świadków i dzieliła się zaskakującą liczbą informacji na temat czterech ofiar, okoliczności ich śmierci, dat, godzin i miejsc. Policja przygotowała nawet wycinki z Google Maps! Jak w dobrym programie kryminalnym!

Zamyślony oparł się wygodniej. Policja była coraz bliżej, jednak jak dotąd śledczy cały czas poruszali się po omacku. I bardzo dobrze. Nie powinni wpaść na jego ślad zbyt szybko, lecz od teraz musiał być jeszcze ostrożniejszy. Tak naprawdę potrzebował nieco więcej czasu, bo nie chciał się spieszyć. I rzeczywiście, musiał przyznać im rację, nie wziął pod uwagę, że wśród mieszkańców okolic wybuchnie panika. Przed rozpoczęciem konferencji prasowej telewizja wyemitowała rozmowy z szefową jakiejś restauracji, sklepikarzem, szefem centrum handlowego i kierowcą autobusu. Z obawy przed grasującym na wolności szaleńcem z bronią niemal stanęła komunikacja publiczna i taksówki, ze względu na brak gości pozamykano restauracje, a w magazynach firm kurierskich rosły góry nedoręczonych paczek, bo kierowcy odmawiali wyjazdów w trasę. Rzeczywiście, nie przewidział, że cała sprawa przyjmie aż takie rozmiary. Lecz niewiele go to obchodziło, podobnie jak to, co inni o nim myślą. Było mu całkowicie

*obojętne, czy uważano go za szaleńca, psychopatę, wariata czy pozbawionego serca mordercę. Przyjdzie dzień, w którym wyjaśni wszystkim swoje powody, a w najgorszym razie zrobi to dopiero przed sądem. Sięgnął po pilota i wyłączył telewizor. W nagłej ciszy usłyszał stukot kropel deszczu o szyby okien. Tak czy inaczej, doprowadzi sprawę do końca. Dał przecież słowo.*

NIE DAŁO SIĘ ZAPRZECZYĆ, że Joachim Winkler miał doskonały motyw. Im dłużej Lydia Winkler opowiadała o depresji męża i jego rozpacz, tym bardziej rosło w Pii przekonanie, że oto mogła trafić na mordercę. Przygnieciony poczuciem winy, bólem i obezwładniającą wściekłością cierpiał do dziś z powodu nieustających irracjonalnych wyrzutów sumienia. Nie istniał żaden dowód, że wówczas w szpitalu, kiedy podpisywał zgodę na leczenie córki, został oszukany. Dla kogoś tak bezkompromisowego i bezkrytycznego wobec siebie jak Winkler ta sytuacja musiała być prawdziwą męczarnią i gorzką porażką, z którą nie potrafił sobie poradzić. Poza tym znał wszystkich, którzy wówczas, dziesięć lat wcześniej, mieli cokolwiek wspólnego ze śmiercią jego córki. Lydia Winkler przyznała, że walka ze szpitalem stała się prawdziwą obsesją Joachima. Od tamtego czasu chęć wyrównania rachunków stała się treścią jego życia.

— Dziękuję pani za szczerość — powiedział Cem, przyjaźnie i z empatią, jak tylko on potrafił. — Jestem w stanie sobie wyobrazić, ile musiało panią kosztować mówienie o tym wszystkim.

— Mam tylko nadzieję, że wam pomogłam — odparła Lydia Winkler i uśmiechnęła się smutno.

Wstali z kanapy. W głębi domu umilkł ryk telewizora, jednak Joachim Winkler już się nie pojawił.

— Czy pani mąż posiada jakąś broń palną? — odezwała się Pia po raz

pierwszy po niemal godzinie milczenia, lecz koniecznie chciała to wiedzieć.

— Tak, i to kilka sztuk. — Lydia Winkler się zawahała. — Dawniej był świetnym strzelcem i zapalonym myśliwym. Ale to już minęło.

— Pozwoliłaby nam pani rzucić okiem na tę broń?

— Tak, oczywiście.

Przez kuchnię zaprowadziła ich do dużego garażu na dwa samochody, w którym stał stary model białego mercedesa. Obok stołu warsztatowego i zamrażarki skrzyniowej stała duża stalowa szafa na broń. Pani Winkler wyjęła klucz z szuflady stołu i otworzyła drzwi. Pięć karabinów. Cztery samopowtarzalne i jedna wiatrówka. Pia nałożyła rękawiczki jednorazowe i po kolei obejrzała każdy z egzemplarzy. Zaglądała do lufy i wahała komory naboju. Pani Winkler spoglądała na nią z rosnącą nieufnością.

— Sądzi pani, że mój mąż mógłby mieć cokolwiek wspólnego z tymi morderstwami? — zapytała z rozdrażnieniem, kiedy policjantka odłożyła ostatni karabin na swoje miejsce i potrząsnęła głową. Nikt z nich ostatnio nie strzelał.

— Niczego takiego nie twierdzimy — zapewnił ją Cem. — Ale proszę nas zrozumieć, mamy obowiązek zbadać każdy ślad i zweryfikować każdy sygnał.

Pani Winkler zamknęła szafkę i rzuciła Pii nieprzyjazne spojrzenie.

— Mój mąż cierpi na chorobę Parkinsona. Bez tabletek nie jest w stanie się nawet ogolić. — Uruchomiła otwieranie bramy, która z ciężkim stukotem zaczęła się podnosić. — Nie muszę chyba państwa odprowadzać. Do widzenia.

— Do widzenia — odparł Cem. — I jeszcze raz bardzo dziękuję za pomoc.

Lydia Winkler w milczeniu skinęła głową. Czekwała, aż brama otworzy się do końca, a ledwie przekroczyli próg garażu, zaczęła się zamykać.

— Ależ była wściekła — stwierdziła Kim, kiedy brodząc w śniegu, ruszyli



w stronę samochodu.

— Mam to gdzieś — mruknęła Pia. — Stary ma motyw i aż ocieka nienawiścią. Zupełnie by mnie nie zaskoczył, gdyby miał w tym wszystkim jakiś udział.

— Pamiętaj, że facet choruje na parkinsonizm.

— No i? To przecież znaczy tylko tyle, że raczej nie może samodzielnie strzelać. Ale planować i śledzić innych może bez problemów.

Dotarli do służbowego auta. Cem otworzył bagażnik i wyjął szczotkę, żeby odśnieżyć szyby i dach, a Pia i Kim wsiadły do środka.

— Sprawca musi pochodzić z bliskiego otoczenia Kirsten Stadler — orzekła Pia, kiedy Cem zajął miejsce za kierownicą i uruchomił silnik. — Wdowiec, syn, rodzice. Wszyscy mają motyw, a od śmierci Helen nawet więcej niż jeden. Teraz trzeba będzie posprawdzać ich alibi.

— WRÓCIŁ O DZIEWIĘTNASTEJ CZTERNAŚCIE i od tego czasu nie opuszczał mieszkania — poinformował jeden z policjantów, którzy pilnowali domu przy Adlerflychtstrasse w dzielnicy Nordend, gdzie mieszkał Erik Stadler.

— Jest sam? — Bodenstein wolał się upewnić.

— Nie mam pojęcia — odparł umundurowany funkcjonariusz. — W tym domu mieszka dziesięć rodzin, więc bez przerwy ktoś wchodzi i wychodzi.

— Jak wrócił? Był piechotą? Przyjechał samochodem?

— Piechotą. Miał na sobie ubranie do biegania.

— W porządku, dziękuję. — Bodenstein uniósł głowę i spojrzał na rozświetlone okna najwyższego mieszkania. — W takim razie nie ma na co czekać. Idziemy.

Przeszli przez ulicę i podeszli do drzwi. Bodenstein nie chciał ostrzec Stadlera, że będzie miał gości, bo w ten sposób mógłby mu umożliwić

ewentualną ucieczkę, więc wybrał pierwszy dzwonek, mając nadzieję, że są ułożone zgodnie z kolejnością mieszkań. I rzeczywiście, otworzyła mu kobieta, która mieszkała na parterze. Kiedy zobaczyła jego legitymację policyjną i umundurowanych policjantów za nim, skinęła jedynie głową i wróciła do siebie, nie przejawiając zainteresowania powodem ich odwiedzin. Windą wjechali na siódme piętro, tam wysiedli i pokonali kilka stopni prowadzących do penthouse'u. Zza zamkniętych drzwi słychać było dudnienie muzyki techno. Bodenstein zadzwonił. Muzyka ucichła, rozległy się kroki. Po chwili gospodarz otworzył drzwi. Erik Stadler miał na sobie jedynie bokserki i biały podkoszulek podkreślający jego wyćwiczone mięśnie. Na lewym ramieniu mężczyzny widać było skomplikowany tatuaż. Widząc policję, Erik uniósł brwi.

— Znowu ten cieć pode mną dzwonił, że za głośno słucham muzyki? — zapytał i dopiero wtedy rozpoznał Bodensteina. W jego oczach pojawił się cień strachu, a uśmiech stał się wymuszony. — Od kiedy do zakłócania ciszy wysyłają policję kryminalną?

— Dobry wieczór — przywitał się Bodenstein. — Nie przyjechaliśmy ze względu na hałasy. Możemy porozmawiać?

— Proszę bardzo. — Odsunął się, żeby ich wpuścić.

Podobnie jak ojciec, Erik Stadler lubił przestrzenie. Większość ścian nośnych została zastąpiona kolumnami, dzięki czemu powstało ogromne pomieszczenie. Z sięgających podłogi okien rozciągał się wspaniały widok na dachy okolicy i wieżowce dzielnicy bankowej. Pod jedną ze ścian znajdowała się otwarta kuchnia, a zaraz obok niej schodami można było wejść na antresolę. Wspaniałe mieszkanie i sądząc po okolicy, na pewno nie tanie.

— No dobrze, to o co w takim razie chodzi? — Erik Stadler spojrzał na Bodensteina. Zachowywał się spokojnie, lecz widać było, że pod maską luzu

jest bardzo spięty. Z jego oczu wycierała niepewność.

— Gdzie był pan dzisiaj około godziny trzynastej? — zapytał Bodenstein.

— Tutaj — odparł Stadler. — Pracowałem. Często wracam pracować do domu. Tutaj znacznie łatwiej mi się skupić niż w biurze.

— Czy są jacyś świadkowie, którzy mogliby to potwierdzić? — Przez trzydzieści lat pracy w policji Bodenstein spotkał bardzo wiele osób, którym się wydawało, że potrafią go okłamać. I wszyscy byli pewni, że robią to dobrze, jednak udawało się naprawdę niewielu.

— Nie, a dlaczego pan pyta? — Było jasne, że Erik Stadler nie potrafił kłamać i że dręczyły go wyrzuty sumienia. Miał kłopot, by nie odwracać wzroku i patrzeć Bodensteinowi w oczy.

— Gdzie pan przebywał w środę dziewiętnastego grudnia około ósmej rano? — Policjant kontynuował zadawanie pytań. — Poza tym w czwartek dwudziestego grudnia o siódmej wieczorem i we wtorek dwudziestego piątego grudnia o ósmej rano?

Stadler zrobił zaskoczoną minę, lecz z całą pewnością spodziewał się tego pytania. Udał zaskoczenie.

— Dwudziestego piątego? Przecież to pierwsze święto. — Podrapał się po głowie, dotknął ucha, udając zamyślenie, przesunął palcem po nosie, a na koniec złożył ramiona na piersi, nie spodziewając się nawet, jak wiele zdradza swoją mową ciała. — Rano na pewno poszedłem biegać. Codziennie biegam. Bardzo dużo trenuję, żeby zrównoważyć czas, który w pracy spędzam przy biurku.

— Gdzie pan biegał, w jakich godzinach i o której dokładnie pan wrócił? Czy ktokolwiek pana widział? Czy rozmawiał pan z kimkolwiek?

— Nieszczególnie pamiętam, prawdę mówiąc. W końcu codziennie robię sobie taki trening. Ale dlaczego to takie ważne?

Bodenstein nie reagował na jego pytania. Zauważył za to pot, który

pojawił się na czole młodego człowieka, nerwowe ruchy palców i niepewne spojrzenie. To normalne, że ludzie tracą pewność siebie, kiedy są przepytывani przez policję kryminalną, jednak niepokój Erika Stadlera był zdecydowanie zbyt widoczny.

— Czy to prawda, że trenował pan biatlon? — zapytał Bodenstein.

— Dość specyficzny sport dla kogoś z tych okolic.

— To było w czasach, kiedy służyłem w wojsku. Byłem strzelcem górskim — wyjaśnił Stadler. Tym razem powiedział prawdę. — W ten sposób zacząłem trenować biatlon. Dziś nie mam już czasu na jazdę na nartach.

— Ale ma pan czas na uprawianie innych sportów ekstremalnych?

— Od czasu do czasu. Ale do czego pan zmierza?

— Czy jest pan dobrym strzelcem?

— Tak. Kiedyś byłem nawet bardzo dobrym. — Stadler skinął głową.  
— Ale od kilku lat nie strzelam.

Bodenstein zapytał po kolei o wszystkie ofiary Snajpera, jednak Erik przyznał, że spośród nich znał jedynie Ingeborg Rohleder, która była matką ich dawnej sąsiadki, i że zna profesora Rudolfa. O Maximilianie Gehrkem i Hürmet Schwarzer nigdy wcześniej nie słyszał.

— Panie Stadler, proszę się dobrze zastanowić i przypomnieć sobie, czy ma pan alibi na te wszystkie momenty, o które pana wcześniej pytałem — zakończył Bodenstein. — Jest pan podejrzany o popełnienie tych morderstw. Dlatego będzie pan musiał pojechać ze mną do komendy w Hofheim.

— Pan chyba żartuje! — zaprotestował Stadler. — Nie jestem mordercą!

— W takim razie nie będzie miał pan problemów z wyjaśnieniem mi, co pan porabiał w czasie, kiedy dochodziło do kolejnych morderstw — odparł Bodenstein.

— Ale ja... ja nie mogę. Nie potrafię! — Stadler przesunął dłońmi po głowie. — Musiałbym się dobrze zastanowić.

— Będzie miał pan dość czasu na przypominanie sobie wszystkiego — zapewnił go Bodenstein. — Proszę się ubrać i spakować podstawowe rzeczy. Jeden z policjantów będzie panu towarzyszył.

— Jestem aresztowany?

— Jest pan zatrzymany — odparł Bodenstein.

— Pan jest w błędzie. I to w grubym błędzie. Ja z tą sprawą nie mam nic wspólnego! — starał się go przekonać Erik.

— Mam nadzieję, że rzeczywiście tak jest. Tak będzie lepiej dla pana. — Bodenstein się odwrócił. — Proszę się pospieszyć.

Dziesięć minut później jechali windą na parter. W holu budynku natknęli się na jakąś kobietę. Miała krótko przycięte czarne włosy, była ubrana w sportowym stylu, a na wierzch narzuciła jasny płaszcz.

— Erik! — krzyknęła, kiedy rozpoznała, kto idzie między dwoma funkcjonariuszami. — Co... o co chodzi? Co się stało?

— Lis, ja... — zaczął Stadler i chciał się zatrzymać, jednak policjanci nieubłaganie ciągnęli go dalej.

— Co to ma znaczyć?! — Kobieta upuściła sportową torbę. — Chcę porozmawiać z moim chłopakiem! Dlaczego go wyprowadzacie? Dokąd go zabieracie?

Bodenstein zastąpił jej drogę. Dopiero wtedy go zauważyła.

— Do Hofheim — wyjaśnił. — Musimy z nim porozmawiać.

— Dobrze, ale... co... — przerwała i nagle wytrzeszczyła oczy. — Przecież ja pana... widziałam... dzisiaj był pan w telewizji, prawda?

Oliver skinął głową. W oczach kobiety pojawiło się przerażenie, bo zaczęło do niej docierać, o co może chodzić. Zgarbiła się, odwróciła, przysiadła na schodach i zaczęła płakać.

DOPIERO O JEDENASTEJ WIECZOREM dotarła do domu. Bodenstein

zamówił pizzę do biura, dzięki czemu ani ona, ani Kim nie były głodne. Siostra, ziewając szeroko, zaraz zniknęła w pokoju gościnnym, a ona wykorzystała okazję i przez Skype'a skontaktowała się z Christophem. Na kilka minut mogła zapomnieć o nieprzyjemnym dniu i z mężem pośmiać się z jego opowieści o niektórych gościach.

— Wyglądasz na wycieńczoną — powiedział w pewnym momencie.

— Miałam ciężki dzień — odparła. — Dzisiaj zginęła czwarta osoba, a my wciąż szukamy po omacku. Czego byśmy nie próbowali, nie posuwamy się naprzód. Coraz częściej żałuję, że nie mogę się do ciebie teleportować.

— O niczym bardziej nie marzę. — Zaśmiał się ciepło, by dodać jej otuchy, lecz szybko spoważniał. — Cieszę się, że nie jesteś w gospodarstwie sama.

— Ja też się cieszę, że mam przy sobie Kim — przyznała Pia.

Rozmowa z Christophem przywracała jej chęć życia. Mimo tysięcy kilometrów, które ich dzieliły, czuła się bardzo blisko niego.

— Tęsknię za tobą — powiedział na koniec. — Bez ciebie mam wrażenie, że wszystkiego jest tylko połowa.

Jego słowa obudziły ciepło w jej sercu. Zamknęła oczy i poczuła toczące się po policzkach łzy. Kiedy komunikator zakończył pracę i z ekranu zniknął obraz męża, Pia zamknęła komputer i przez chwilę siedziała wpatrzona gdzieś w przestrzeń przed sobą. Czy kiedykolwiek wcześniej kogokolwiek tak bardzo kochała? Z Henningiem było przecież zupełnie inaczej. Nawet jeśli całymi dniami był w pracy i w sumie nigdy nie wiedziała, gdzie jest i co robi, nigdy nie odczuwała tak boleśnie jego nieobecności i nigdy jej go tak nie brakowało jak teraz Christopha. W poprzednim małżeństwie nawet czasem się cieszyła, że może pobyć trochę sama.

Myślami powędrowała do Dirka Stadlera. Christoph przed laty stracił żonę i matkę swoich trzech córek w bardzo podobny sposób jak on. Wylew krwi

do mózgu. Jak grom z jasnego nieba. Opowiedział jej kiedyś, jak to się stało i jak bardzo był załamany i zrozpaczony. Niespodziewanie został sam z trójką małych dzieci, a wszystkie marzenia o wspólnym życiu w Afryce musiał złożyć do grobu razem z ciałem żony. To dzieci zmusiły go do wzięcia się w garść. Dzięki nim udało mu się uporać ze stratą żony i powrócić do normalnego życia — podobnie jak Dirkowi Stadlerowi. Jednak Stadler dziesięć lat później stracił jeszcze córkę. Jak można poradzić sobie z czymś takim? Jak zareaguje, kiedy się okaże, że jego syn jest mordercą z czworgiem ludźmi na sumieniu? Czy miał pojęcie o tym, co robi Erik? Bo jak dotychczas, wszystkie poszlaki wskazywały właśnie na tego mężczyznę. Bodenstein był przekonany, że zatrzymując go, dopadł Snajpera, jednak Pia nie mogła pozbyć się wątpliwości. Czy to, że nie chciał adwokata, było oznaką jego niewinności? Może jutro rano dowiedzą się czegoś więcej.

Kai z benedyktyńską dokładnością przejrzał gruby segregator z aktami sprawy sądowej wytoczonej szpitalowi przez Dirka Stadlera, lecz ku rozczarowaniu Bodensteina i Pii nie znalazł w nim żadnych nowych nazwisk poza znanymi już profesora Rudolfa i jednego z szefów kliniki profesora Ulricha Hausmanna. Nigdzie też nie przewinęło się nazwisko Patricka Schwarzera. Wieczorem Kathrin ponownie odwiedziła męża Hürmet Schwarzer, zamordowanej sprzedawczyni z piekarni, lecz mężczyzna nie pamiętał, by kiedykolwiek słyszał nazwisko Stadler. Był przy tym pod wpływem silnych środków przeciwbólowych, więc nie powiedział niczego, co byłoby pomocne.

Nagle odezwał się telefon Pii. Sięgnęła do kieszeni i odczytała wiadomość. Kai pytał, czy już śpi. Przeprowadził krótkie śledztwo w sieci na temat grupy wsparcia PKOMMT, a jego wyniki określił jako wstrząsające. Do wiadomości dołączył link. Po rozmowie z Christophem Pia nie czuła się w ogóle senna, więc otworzyła komputer i wpisała adres w przeglądarce.

Otworzyła się strona PKOMMT. Nazwa organizacji była skrótem od Pomoc dla Krewnych Ofiar Morderstw Mafii Transplantologicznej.

— Jasna cholera — szepnęła Pia i zaczęła czytać.

Grupa została założona w 1998 roku przez ludzi, którzy pod wpływem szoku i nacisków zgodzili się oddać organy swoich krewnych do przeszczepu i dopiero po jakimś czasie zorientowali się, że choć ich bliscy przez lekarzy określani byli jako „osoby w stanie śmierci mózgowej”, to nie byli martwi, a umierający. Pia kliknęła na ikonkę „O nas” i dowiedziała się, że organizacja zrzesza trzystu dziewięćdziesięciu dwóch członków, wśród których byli nie tylko krewni, ale również osoby zawodowo zajmujące się tematyką przeszczepu organów i z innych niż rodzinne powodów wyrażające się krytycznie o transplantologii. Na kolejnych stronach członkowie przedstawiali swoje historie i opisywali, w jakich okolicznościach tracili krewnych, a pracownicy szpitali omawiali po kolei całą procedurę operacji przeszczepu organów. Pia, która nigdy nie interesowała się tą tematyką i nawet nienaciskana przez nikogo kilka lat wcześniej wypełniła zgodę na zostanie pośmiertnie dawcą, czuła, jak targają nią emocje. Sięgnęła po telefon i wybrała numer Kaia. Kolega odebrał po kilku sekundach.

— Jakaś masakra — powiedziała tylko.

— Lydia Winkler też opisała swoją historię — odparł Kai.

— Tak, widziałam i czytałam. — Pia przesunęła stronę w dół. — Przerażające, naprawdę. Zaraz zniszczę zgodę i wycofam nazwisko z bazy danych.

— Ej, spokojnie, przecież przeszczepy organów nie są niczym złym! Powiedziałbym nawet, że wręcz przeciwnie! Jeśli ktoś jako dorosła osoba zostanie dobrze poinformowany i zaakceptuje, że nie umrze w gronie najbliższych, to to jest przecież jak najbardziej w porządku, bo może uratować życie innych.



— A ty byś chciał tak umrzeć? — Pia była przerażona. — Wyobraź sobie, że jeszcze nie jesteś tak do końca martwy, jak ta kobieta z USA, która obudziła się w drodze na operację pobrania organów!

— Spokojnie, są przecież dokładne procedury stwierdzania śmierci mózgu — zapewnił ją Kai. — Lekarze muszą nie tylko potwierdzić wystąpienie klinicznych objawów śmierci mózgu, ale też mieć przekonanie o ich nieodwracalności.

— Myślisz, że można mieć pewność, że oni to naprawdę robią? — Pia zadrżała.

Na to pytanie Kai jej nie odpowiedział.

— Uważam za to, że bardzo interesujące są motywy ludzi, którzy działają w ramach tej grupy — powiedział. — Przede wszystkim skarżą się na wywieranie na nich nacisków, pomimo że przecież znajdowali się w wyjątkowym stanie emocjonalnym. Tymczasem postawiono ich przed moralnym wyborem ratowania innych i niemal zmuszono do wyrażenia zgody na pobranie organów.

— Zupełnie jak w przypadku rodziców Kirsten Stadler — przyznała Pia. — Im lekarze też opowiadali wtedy o innych pacjentach, którzy będą musieli umrzeć, jeśli natychmiast nie dostaną nowego serca albo nowej nerki. Pani Winkler twierdziła, że czuli się wręcz szantażowani, kiedy ich pytano, czy chcą być odpowiedzialni za czyjąś śmierć dlatego, że za długo się zastanawiają! Przecież to jest nieludzkie!

— A do tego dochodzi jeszcze fakt, że osoba w stanie śmierci mózgowej wcale nie wygląda na nieżywą — dodał Kai. Pia słyszała, jak rozmawiając, pisze na klawiaturze. — Ludzie w szoku nie do końca rozumieją, że ich krewny czy krewna są w zasadzie już martwi, i żyją nadzieją, że się jeszcze obudzą. Z drugiej strony nie można w nieskończoność czekać, bo organy pobiera się tylko z żyjącego ciała, a z martwego już nie. *Per definitionem*

osoba w stanie śmierci mózgowej uważana jest za martwą. Znajdziesz tę definicję w podlinkowanym sprawozdaniu z posiedzenia rady etyki dotyczącym zagadnienia: „Moralne i etyczne aspekty aktualnej definicji śmierci mózgowej”. W skrócie chodzi o to, że osoba w stanie śmierci mózgowej wciąż jest traktowana jako żywa na poziomie komórkowym, lecz jest pozbawiona zdolności pojmowania i interakcji, czyli inaczej mówiąc, to człowiek w stanie wegetatywnym, a nie żywy. Od początku w kwestii ustalania definicji śmierci mózgu dużą rolę odgrywali transplantolodzy.

Tymczasem Pia wybrała zakładkę „Zarząd Fundacji”.

— Joachim Winkler jest zastępcą przewodniczącego, a Lydia Winkler pełni funkcję protokolantki — przerwała koledze. — Pierwszym przewodniczącym jest niejaki Mark Thomsen zamieszkały w Eppstein. Tam też ich stowarzyszenie jest zarejestrowane. Mają nawet gorącą linię dla osób dotkniętych tym problemem. Można do nich dzwonić dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby uzyskać wsparcie w sytuacjach kryzysowych.

— A Erik i Dirk Stadlerowie? Też należą do tego stowarzyszenia? — zainteresował się Kai.

— Może i tak, ale na pewno nie ma ich w zarządzie — odparła Pia. — Między Dirkiem Stadlerem a jego teściami panuje, delikatnie mówiąc, cisza radiowa. Poza tym Dirk z lekceważeniem wypowiadał się na temat PKOMMT. Nie sądzę, żeby do nich należał. Obstawiałabym, że on już zamknął ten temat i przestał się nim zajmować. Jeśli ktoś bezustannie drąży jakąś sprawę i nie daje sobie możliwości nabrania dystansu, to nie ma szans, żeby się kiedykolwiek od tego uwolnił. Tymczasem ja miałam wrażenie, że Dirk poradził sobie z bólem po stracie i wrócił do normalnego życia. Tak czy inaczej, nie jest jakimś dziwacznym socjopatą, bo na przykład ma bardzo serdeczne kontakty z sąsiadami.

— Hm. — Kai nie był przekonany.

— Wiesz, dużo o tym myślałam i doszłam do wniosku, że morderstwa Hürmet Schwarzer i Maximiliana Gehrkego jakoś nie pasują mi do schematu.

— Pia zmieniła temat. — Dlaczego Gehrke musiał umrzeć? Tylko dlatego, że dostał serce Kirsten Stadler?

— Nie, to już przecież ustaliliśmy. Snajper go zabił, żeby ukarać jego ojca — odparł Kai.

— Ale za co? — zapytała Pia. — Co takiego zrobił jego ojciec, żeby go teraz karać?

— Ma ogromną władzę i całą masę pieniędzy — odparł Kai. — Możliwe, że kogoś przekupił, żeby jego syn dostał serce poza kolejnością.

— Nie, coś takiego by nie przeszło. — Pia potrząsnęła głową. — Nad wszystkim czuwa Eurotransplant i to oni decydują, kto otrzyma organ. Poza tym muszą się zgadzać wszystkie parametry. Nie każdy biorca przyjmie każdy organ.

— A to ty nie czytasz gazet? — W głosie Kaia pojawiła się nutka kpiny. — Akurat głośno jest o kolejnym dużym skandalu, bo jakieś szpitale stosowały nieuczciwe praktyki, i kobieta, która nie kwalifikowała się do przeszczepu, i tak otrzymała nową wątrobę.

— Nie, nie miałam o tym pojęcia. — Pia ziewnęła. — Trzeba będzie zasięgnąć opinii specjalisty, żeby się dowiedzieć, jak dokładnie wygląda ta procedura. Obawiam się jedynie, że wiesz, ręka rękę myje i niezależnie od tego, jak postawimy pytania, i tak niczego się nie dowiemy.

— W takim razie zapytaj swojego byłego — zaproponował Kai i również ziewnął. — Może będzie coś wiedział. No dobra, ja będę uciekał do domu. Jutro też jest dzień.

Życzyli sobie dobrej nocy, jednak Pia była zbyt wzburzona, żeby natychmiast zasnąć, więc jeszcze po północy siedziała przed komputerem i przeszukiwała Internet. Dowiedziała się przy tym rzeczy, które pozwoliły

jej zrozumieć, dlaczego tak wielu ludzi nie wypełnia deklaracji zgody na pobranie organów.

W nocy przestało padać, a słupek rtęci powędrował kilka kresek w górę. Jeszcze panowała ciemność wczesnego poranka, a Bodenstein już jechał krętą drogą z Ruppertshain do Fischbach. Poprzedniego wieczoru Ostermann ustalił prywatny adres Jensa-Uwego Hartiga w Kelkheim-Münster. Dla Olivera pozostawało tajemnicą, jak Kai to robi, bo sam potrafił co najwyżej odebrać mejle, sprawdzić coś w policyjnych bazach danych i przeczytać wiadomości w Internecie. Tak czy inaczej do Hartiga było mu po drodze, więc postanowił złożyć wizytę narzeczonemu zmarłej Helen Stadler z samego rana, w drodze na komendę, jeszcze zanim porozmawia z jej bratem. Wieczorem poprzedniego dnia Cosima przyjechała po Sophię, ale Inka i tak nie została na noc. Wyjaśniła, że będzie musiała kilka razy jechać sprawdzić stan konia po operacji kolki, więc praktyczniej będzie, jeśli się prześpi u siebie. Z początku chciał jej zaproponować, że przyjedzie do niej — może skrycie na to liczyła — lecz po wyczerpującym dniu wolał zostać sam, by nie musieć z nikim rozmawiać. Kelkheim położone w dolinie, pogrążone było we mgle, a temperatura była niższa o kilka stopni w porównaniu do Ruppertshain. Inwersja pogodowa, pomyślał. Częste zjawisko w tej okolicy, szczególnie zimą, jeśli przez kilka dni nie wieje. Bodenstein znalazł adres bez pomocy nawigacji satelitarnej i zadzwonił do drzwi Hartiga, jednak nikt się nie odezwał. Kiedy chciał wracać do samochodu, otworzyły się drzwi na klatkę schodową i Bodenstein zobaczył kobietę z wózkiem i psem na smyczy.

— Proszę poczekać! Pomogę pani! — zaproponował od razu i pomógł kobiecie wydostać się na dwór, co nie było łatwe, biorąc pod uwagę psa i wózek. Potem okazał jej swoją legitymację i zapytał o Jensa-Uwego Hartiga.

— Toście się akurat rozminęli, bo on przed chwilą odjechał — odparła kobieta. — Na pewno na cmentarz. Od kiedy to się stało, codziennie przed pracą tam jedzie.

— Od kiedy co się stało? — zapytał Bodenstein.

— No wie pan, od kiedy jego dziewczyna popełniła samobójstwo. Dwa tygodnie przed ślubem, da pan wiarę? Bardzo ciężko to przyjął.

Pies szarpał się na smyczy, skakał na wszystkie strony, aż w końcu zaplątał się między kółka wózka.

— Znała pani jego dziewczynę? — Bodenstein nachylił się, żeby uwolnić zwierzę.

— Dziękuję. — Kobieta znów się uśmiechnęła. — Tak, oczywiście, znałam Helen. Często u niego bywała.

— Ale nie mieszkali razem?

— Nie. Po ślubie chciał się stąd wyprowadzić i zamieszkać z nią w swoim domu — tłumaczyła sąsiadka. — W Hofheim. Bo Jens-Uwe ma tam jeszcze dom. Ale bez niej jak widać nie chce w nim mieszkać.

— Rozumiem. A czy przypadkiem orientuje się pani, na którym cmentarzu pochowano Helen?

— Na miejskim. — Kobieta zrobiła krok w jego stronę i dodała konfidencjonalnym szeptem: — Jej ojciec chciał ją pochować w Liederbach, ale Jens-Uwe się nie zgodził, bo wolał, żeby leżała w Kelkheim. Powiedział, że dzięki temu będzie mógł lepiej o nią dbać. Dziwnie to brzmi, prawda?

Bodenstein musiał się z nią zgodzić. Podziękował za otwartość i rozmowę, pożegnał się, wrócił do samochodu i ruszył w stronę miejskiego cmentarza.

— POWIESZ NAM, jak to było dziesięć lat temu? — poprosiła Pia. — Czy wtedy obowiązywały równie restrykcyjne procedury jak dzisiaj?

Razem z Kim siedziała przy biurku byłego męża w jego biurze

w Instytucie Medycyny Sądowej i czekała, aż Henning wyjaśni im, jak w rzeczywistości wygląda system przeszczepu organów, jakie warunki musi spełniać biorca i jakie przepisy regulują obszar kontrolowany bardzo surowo przez Niemiecką Fundację Transplantacji Organów. Po skandalach, które miały miejsce w kilku ostatnich latach, nadzór nad przekazywaniem organów stał się wyjątkowo restrykcyjny, tym bardziej że liczba dawców w Niemczech drastycznie zmalała po ujawnieniu wcześniejszych nieprawidłowości.

— No cóż, już wtedy przepisy były bardzo surowe — powiedział Henning. — Może nie aż tak jak obecnie, ale wiecie, ludzie uczą się na błędach i starają się wyciągać wnioski, stąd przepisy również ewoluują.

— Czy istnieje możliwość, że ktoś kupi sobie albo komuś z rodziny lepsze traktowanie przy selekcji biorcy? — zapytała Pia.

— Czekaj, do czego zmierzasz? — Henning zdjął okulary i czyszcząc je, ze zmarszczonym czołem przyglądał się byłej żonie.

— Zastanawiamy się, dlaczego Snajper wybrał i zastrzelił Maximiliana Gehrkego — wyjaśniła policjantka. — Był on biorcą serca pobranego od Kirsten Stadler, a jego ojciec jest cholernie bogaty. Być może jakoś kupił sobie przychylność pracowników szpitala.

Henning założył okulary i się zastanowił.

— Hm, zgłaszając pacjenta do Eurotransplantu, można podać, że to przypadek wyjątkowo pilny — powiedział w końcu. — Ale z drugiej strony do przeszczepów kwalifikuje się w zasadzie tylko tak zwanych pacjentów *high urgency*. Jeśli występuje zgodność tkankowa i immunologiczna, a pacjent przez przypadek jest w pobliżu miejsca, gdzie znajduje się pasujący dawca, to mógłbym sobie wyobrazić, że to możliwe.

— Czy słyszałeś, żeby taki scenariusz został kiedykolwiek zrealizowany? — zapytała Kim.

— Jeśli chodzi o przeszczepy serca, to nie, nigdy o czymś takim nie słyszałem. Ale jeśli chodzi o przeszczepy wątroby, to trochę inna sprawa. Akurat w gazetach macie przykład, że wszystko się może zdarzyć — odparł Henning. — Gdy chodzi o serce, dawca i biorca muszą do siebie pasować pod względem wymiarów ciała i wagi, a odstępstwa nie mogą przekraczać piętnastu procent. Nie mówiąc już o grupie krwi, bo nie ma możliwości przeprowadzenia transplantacji, jeśli dawca i biorca mają różne grupy krwi. W przeszłości w Stanach Zjednoczonych i w Szwajcarii były takie przypadki. W 1997 roku w USA jedna operacja się udała, ale w 2004 roku w Zurychu pacjentka zmarła, bo lekarze pomylili grupę krwi dawcy z grupą krwi biorcy.

— Jak to, pomylili? Gdyby ich nie zamienili, toby się wszystko udało? — Kim była zaskoczona.

— Zgadza się. Jeśli dawca serca ma uniwersalną grupę 0, to jego serce można przeszczepić dawcom z każdą inną grupą — wyjaśnił Henning profesjonalnym tonem i z profesorskim błyskiem w oku. — Za to w drugą stronę to nie zadziała i serce od dawcy z grupą A, B albo AB nie zostanie przyjęte przez ciało biorcy o grupie krwi 0.

— Czyli to raczej mało prawdopodobne, żeby ktoś zapłacił za przeszczepienie konkretnego organu. — Pia była rozczarowana, bo już prawie uwierzyła, że wie, dlaczego Snajper zamordował Maximiliana Gehrkego i dlaczego jego ojciec został uznany za winnego.

— Nawet bardzo mało prawdopodobne, ale też nie całkowicie wykluczone — odparł Henning. — W Niemczech mamy setki ludzi czekających na pasujące organy, ale też świadomość dawców i gotowość oddawania organów jest wyjątkowo niska w porównaniu do innych krajów w Europie. To oznacza, że wielu pacjentów całymi miesiącami wisi na listach oczekujących, a w tym czasie są podtrzymywani przy życiu. Lekarze w szpitalach, które się nimi zajmują, bardzo dobrze znają ich i historię ich



choroby. Jeśli do tego samego szpitala trafia potencjalny dawca, a jego dane przekazywane są dalej, do Eurotransplantu, fundacja odsyła listę pacjentów do pilnego przeszczepu. Wtedy szpital kontaktuje się raz jeszcze z Eurotransplantem i wyjaśnia, że mają pasującego biorcę na miejscu, i bywa, że dostają wtedy zgodę na zmianę procedury. Z sercem jest jeszcze taka sprawa, że po wyjęciu z ciała musi zostać wszczepione biorcy nie później niż w ciągu czterech godzin, bo inaczej nie podejmie pracy.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — Kim była zaskoczona.

— Tak samo jak ty jestem powoływany na biegłego przez sądy i prokuratury, a szpitale zlecają mi ekspertyzy. — Henning się uśmiechnął. — Jeśli chcecie, mogę poszperać i dowiedzieć się czegoś więcej.

— Byłoby super. — Pia dopiła kawę, spojrzała na zegarek i wstała. — W Szpitalu Urazowym we Frankfurcie totalnie nas lekceważą. Zupełnie jakby mieli coś do ukrycia.

— Całkiem możliwe, że mają — potaknął Henning. — Coś się pewnie wtedy stało, a oni to do dzisiaj tuszują, żeby nikt się nie dowiedział.

— Rodzina Kirsten Stadler wytoczyła szpitalowi proces, przy czym skończył się on w ten sposób, że zawarta została ugoda pozasądowa, a szpital wypłacił odszkodowanie jej mężowi — dodała Pia.

— Bardzo wiele spraw toczących się przeciwko lekarzom, którzy nie zachowali ostrożności czy po prostu zrobili coś źle, kończy się gdzieś z dala od publiczności, na drodze negocjacji i ugody — potwierdził Henning i również się podniósł. — Ale muszę też wystąpić w obronie lekarzy. Bo prawdę mówiąc, to aż dziwne, że w szpitalach popełnia się tak niewiele błędów. To, do czego zmusza się lekarzy i personel, jest nieludzkie. Każdy potrafi się chyba domyślić, że po dziesięciu czy dwunastu godzinach dyżuru nikt nie jest w stanie się skoncentrować na niczym skomplikowanym. Tymczasem ani lekarz, ani anestezjolog nie mogą sobie pozwolić na

najmniejszy błąd wynikający z dekoncentracji właśnie. Lakiernik samochodowy może dane miejsce jeszcze raz pokryć lakierem albo spolerować. A chirurg nie ma drugiego podejścia. Presja jest gigantyczna, a odpowiedzialność jeszcze większa.

Odprowadził je na korytarz. Już miały iść, kiedy Pia sobie o czymś przypomniała.

— Mógłbyś dla nas sprawdzić, czy kilka miesięcy temu, we wrześniu, przeprowadzaliście sekcję zwłok Helen Stadler, która popełniła samobójstwo? — poprosiła byłego męża, który tego dnia wydawał się zachowywać wyjątkowo przyjaźnie. — Z tego, co wiemy, szesnastego września 2012 rzuciła się pod pociąg w Kelsterbach.

— Pewnie, nie ma sprawy. — Henning pokiwał głową. — Dam znać, jak coś będę wiedział.

NA PARKINGU PRZED CMENTARZEM miejskim w Kelkheim stało tylko jedno auto — ciemne volvo z naklejonym logo firmy złotniczej Hartig z Hofheim. Bodenstein zaparkował obok, wysiadł i ruszył w stronę schodów do głównej bramy. Ostatnim razem był tutaj pewnego słonecznego dnia przed kilkoma laty na pogrzebie zamordowanego nauczyciela Hansa-Ulricha Pauly'ego. Przed cmentarną kaplicą skręcił w lewo i ruszył główną alejką. Lubił cmentarze, panującą na nich ciszę i spokój. Niezależnie od tego, dokąd wyjeżdżał z rodziną na wakacje, zawsze starał się odwiedzać miejscowe kościoły i robić długie spacery po lokalnych cmentarzach. Chętnie odczytywał inskrypcje nagrobne i myślał o tym, kim byli ludzie, którzy zostali złożeni do konkretnych mogił. Szczególnie stare nekropolie odpowiadały jego wrodzonej skłonności do melancholii i nawet kpiące uwagi Cosimy nie zmieniły jego przyzwyczajień.

Cosima. Ciekawe, co takiego się wydarzyło? Dlaczego tak nagle przerwała

planowaną od dawna wyprawę? Czyżby z powodu mężczyzny? Zawód miłosny? Mimo że od dawna byli po rozwodzie, zauważył, że była żona nie jest mu całkowicie obojętna i że odczuwa złość w stosunku do osób, które mogły sprawić jej ból. Idąc spokojnie pośród porannej mgły, między pozbawionymi liści drzewami, z gałęzi których kapłała woda, myślał, jak dziwna i pełna tajemnic jest ludzka psychika. Żaden człowiek, nikt nigdy nie skrzywdził go tak mocno i tak mocno nie rozczarował jak matka trójki jego dzieci — a teraz to on jej współczuł!

W słabym świetle budzącego się dnia Bodenstein zauważył jakiś ruch po lewej stronie. Przy jednym z grobów w alejce ze świeżymi mogiłami, z których część jeszcze nie miała gotowych nagrobków, tylko prowizoryczne drewniane krzyże, stał jakiś mężczyzna. Miał spuszczoną głowę i złożone dłonie, więc z szacunku dla jego prywatności Bodenstein nie podchodził bliżej. Nieznajomy chyba wyczuł jednak jego obecność, bo uniósł wzrok, rozejrzał się, a potem ruszył prosto w jego stronę.

— Czy pan Jens-Uwe Hartig? — zapytał Bodenstein.

Mężczyzna skinął głową. Był tuż przed czterdziestką, choć możliwe, że już przekroczył ten wiek, miał zaczerwienione oczy, kilkudniowy zarost, ciemne potargane włosy i sprawiał wrażenie wycieńczonego. Bodenstein się przedstawił.

— Odwiedzam ją codziennie rano — wyjaśnił Hartig. Mówił zachrypniętym głosem. — Mieliśmy się pobrać. Zaproszenia zostały rozesłane. Wszystko ustalone, nawet menu na weselny obiad. Wykupiliśmy podróż na miodowy miesiąc: trzy tygodnie w Kalifornii. To było wielkie marzenie Helen. Ale nie dotrwała, bo w końcu pozbawiły ją życia.

— Ktoś zamordował pana narzeczoną? — Bodenstein nie wiedział, co o tym myśleć.

Hartig zatrzymał się i przesunął dłonią po twarzy.

— Jej demony — wyjaśnił cicho. — Jej demony okazały się silniejsze niż moja miłość. To one ją zamordowały, a ja muszę z tym żyć, choć życie bez Helen nic już dla mnie nie znaczy.

— JOACHIM WINKLER był chemikiem i przez czterdzieści lat zawodowej kariery pracował w dawnym Hoechst AG. — Kai Ostermann sprawdził wszystko starannie. — Później pracował w firmie będącej spadkobierczynią Hoechst AG. Nigdy nie popadł w konflikt z prawem, ale jest zarejestrowanym właścicielem broni palnej i posiada pozwolenie na posiadanie kilku sztuk karabinów myśliwskich.

— Widzieliśmy je wczoraj — potwierdziła Pia. — Od lat nikt z nich nie strzelał. Czy i jak moglibyśmy potwierdzić, że cierpi na chorobę Parkinsona, jak twierdzi jego żona?

— Ja się tym zajmę — zaproponował Andreas Neff.

Po wymianie zdań z szefową przed konferencją prasową Pia nie spodziewała się, żeby Neff z własnej woli pojawił się w komendzie, a jednak stało się inaczej. Mężczyzna przyszedł do pracy bardzo punktualnie i sprawiał wrażenie człowieka, który sporo sobie przemyślał. Przede wszystkim zrezygnował z garnituru i jak wszyscy ubrany był w dżinsy i sweter. Wraz z krawatem zniknęła również jego wyniosłość, bo zmusił się nawet, by przeprosić wszystkich za swoje zachowanie.

— Świetnie. — Pia nie należała do osób, które długo chowają urazę i bez wahania dała Neffowi drugą szansę. Koniec końców był doświadczonym policjantem, a w obecnej sytuacji liczyła się każda para rąk.

Odprawę rozpoczęli, nie czekając na Bodensteina, bo Pia dostała od niego SMS-a z informacją, że jego spotkanie z Jensem-Uwem Hartigiem potrwa dłużej, niż zakładał. Cem zdał relację z wizyty u Winklerów, a Pia i Kim opowiedziały na koniec, czego dowiedziały się rankiem od Henniga.

— Jaką grupę krwi miała Kirsten Stadler? — zapytała Pia.

— Nie wiem, nie zwróciłem uwagi, jeśli w ogóle było to w aktach — odparł Kai.

— Daj mi te papiery — poprosiła Kim. — Zobaczę, czy coś znaję.

Kai podał jej skoroszyt, który Dirk Stadler przekazał Bodensteinowi.

— Próbowałem skontaktować się z tym całym profesorem Hausmannem — dodał Ostermann. — Wciąż jest dyrektorem do spraw leczniczych Szpitala Urazowego we Frankfurcie. Niestety, twierdzą, że wyjechał na święta i wróci dopiero po sylwestrze, a tam, gdzie jest, nie ma zasięgu i nie da się z nim skontaktować. Kierownictwo Szpitala Urazowego rzuca nam kłody pod nogi i nic nie wskazuje, żeby to się miało zmienić. Mimo wielu próśb nie przekazali nam na przykład listy pracowników z 2002 roku.

— W takim razie musimy zmienić nieco taktykę. Proponuję modyfikację strategii i wyłonienie spośród nas dwóch grup celowych, z których każda będzie miała inny zakres działań. — Pia spojrzała pytająco na Nicolę Engel, która stała w drzwiach i przysłuchiwała się odprawie. Szefowa skinęła głową, dając jej znak, żeby kontynuowała. — Pierwsza będzie nadal szukać mordercy, a druga zajmie się ustaleniem przyszłych potencjalnych ofiar.

— Dlaczego nie zlecimy pełnej obserwacji wszystkich podejrzanych? — zapytał Cem. — Winklerowie, Dirk Stadler i jego syn powinni być sprawdzani dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jesteśmy przecież pewni, że sprawca musi pochodzić z najbliższego otoczenia Kirsten Stadler.

— To niemożliwe, choćby tylko z powodu ograniczeń kadrowych i braków finansowych — zauważyła cierpko doktor Nicola Engel, nie ruszając się z wejścia do sali. — Poza tym same podejrzania i przeczucia to wciąż trochę za mało. Żaden sędzia ani prokurator nie wyda pozwolenia na pełną kontrolę operacyjną przy tak słabych przesłankach.

— Zostawimy częstsze patrole w okolicach ich miejsc zamieszkania —

powiedziała Pia. — Na tę chwilę niczego więcej zrobić nie możemy.

Pia rozdzieliła zadania i zakończyła poranną odprawę.

— Chciałabym teraz porozmawiać z Erikiem Stadlerem — oznajmiła.  
— Kim, myślę, że ty powinnaś przyglądać się przesłuchaniu z za lustra w przyległym pomieszczeniu.

— Pójdę tam z panią — zaproponowała Nicola Engel, a zaskoczona Pia skinęła głową. — Pani poprowadzi przesłuchanie, a ja będę tylko obserwowała.

To, że szefowa chciała wziąć udział w przesłuchaniu podejrzanego, było wyjątkowe i to z kilku różnych powodów. Jednak z drugiej strony ta sprawa z całą pewnością nie była zwykłym dochodzeniem.

— Oczywiście — odpowiedziała Pia. — W takim razie ruszajmy.

BODENSTEIN PRZYGLĄDAŁ SIĘ biżuterii wystawionej w witrynach niewielkiego sklepu. Pierścionki, broszki, łańcuszki, zegarki i zapinki ze złota, srebra i platyny, ozdabiane perłami, brylantami i szlachetnymi kamieniami. Niektóre urzekały prostotą i skromnością, inne przyciągały oko przepychem.

— I pan sam to wszystko zrobił? — Policjant był pod dużym wrażeniem.

— Oczywiście. To w końcu moja praca. — Hartig się uśmiechnął. — Naprawa uszkodzonej biżuterii to tylko jeden aspekt działalności złotniczej, bo znacznie większą przyjemność sprawia tworzenie nowej.

— I gdzie pan to wszystko wykonuje? — Bodenstein się rozejrzał.

— Proszę, pokażę panu pracownię. — Hartig zniknął za zasłoną. Oliver ruszył za nim. Korytarz kończył się zaskakująco dużym pomieszczeniem. Cztery stoły robocze, regały pełne form odlewniczych, chemikalia, imadła, plastikowe pudełka z narzędziami, butle z propanem.

— Jak pan widzi, wszystko tutaj wykonujemy sami — wyjaśnił Jens-Uwe

Hartig i przesunął dłonią po noszącym ślady użytkowania blacie roboczym jednego ze stołów warsztatowych. — Unikalna biżuteria na zamówienie klientów, przeróbki, renowacja starych dzieł sztuki zdobniczej, czyszczenie i naprawa uszkodzeń. Mamy możliwość pokrywania warstwami galwanicznymi, odlewania, wykuwania, walcowania, spawania i lutowania.

— My? — Bodenstein przyglądał się obcęgom, szczypcom, pilnikom, brzeszczotom i młotkom, które wisały w nienagannym porządku na tablicy nad każdym ze stołów.

— Zatrudniam dwóch pracowników i jedną uczennicę — wyjaśnił mężczyzna. — Fach złotniczy to jeden z najstarszych fachów rzemieślniczych świata. To też tak naprawdę fascynująca praca, wymagająca kreatywności, cierpliwości i dużych zdolności manualnych. Oczywiście używamy również najnowszych zdobyczy techniki, spawamy laserowo i stosujemy oprogramowanie do projektowania CAD, ale ja, jeśli mam być szczery, najbardziej lubię stare, tradycyjne metody pracy. To jest na przykład lutownica, w którą się dmucha, żeby płomień miał wyższą temperaturę.

— Hm, interesujące. — Bodenstein skinął głową. — A surowiec, z którego wykonujecie te wszystkie przedmioty, gdzie go trzymacie? To musi być przecież warte fortunę, prawda?

— Zgadza się. Wieczorami materiały trafiają do sejfu — odparł Hartig. — Opilki i skrawki są rozdzielane w zależności od materiału i powtórnie wykorzystywane.

Wyszedł z warsztatu do niewielkiego pomieszczenia obok, które służyło za kuchnię, świetlicę i biuro.

— Kawy? — zaproponował i uruchomił ekspres.

— Chętnie. — Bodenstein skinął głową i usiadł. — Czarna, bez cukru.

Młynek w ekspresie zaczął mleć. Oliver się rozejrzył. Na ścianie naprzeciwko wisało wielkich rozmiarów czarno-białe zdjęcie pięknej

kobiety.

— To Helen — wyjaśnił Hartig, podążając za wzrokiem policjanta.  
— Moja wielka miłość. Moja pokrewna dusza.

— Bardzo pan za nią tęskni, prawda?

— Od czasu jej śmierci czuję się, jakbym stracił połowę siebie i połowę życia — wyznał Hartig i postawił na stole filiżankę kawy. — Czasem się zastanawiam, czy to się jeszcze kiedykolwiek zmieni.

Bodenstein powstrzymał się przed jakimikolwiek pseudopsychologicznymi radami i nie próbował go pocieszać. Po chwili milczenia wyjaśnił złotnikowi powody swojej wizyty i uzasadnił, dlaczego sądzi, że Snajper pochodzi z kręgu znajomych rodziny Stadlerów, a jego działania są odpłatą za cierpienie i śmierć, jakich doświadczyli.

Hartig oparł się o krawędź zlewu. Stał tak z kubkiem kawy w dłoni i słuchał uważnie, lecz nie komentował.

— Gdzie i kiedy poznał pan Helen Stadler? — zapytał Bodenstein.

— To było mniej więcej przed czterema laty. Występowałem gościnnie z wykładem przed grupą samopomocową, na której spotkania uczęszczała Helen z dziadkami.

Bodenstein drgnął.

— Pan? Co sprawiło, że pan się tam pojawił? Czyżby pan również stracił w ten sposób bliskich?

Hartig westchnął ciężko i usiadł naprzeciwko policjanta. Odsunął stos notatek i odstawił swoją kawę.

— Gorzej. Znacznie gorzej — odparł gorzkim tonem. — Ja byłem z drugiej strony barykady. To ja ich zabijałem.

— Ach tak?! — Bodenstein się zdziwił.

— Byłem lekarzem. — Hartig opadł na oparcie krzesła. — Musi pan wiedzieć, że pochodzę z prawdziwej dynastii lekarzy. Pradziadek, dziadek,



tata, wujek, kuzyni — wszyscy lekarze. Cały klan. I to nie tacy pierwsi lepsi z przychodni, tylko prawdziwe autorytety medyczne. Pionierzy w swoich dziedzinach. Cieszący się powszechnym szacunkiem. Dorastałem w tym świecie i nie miałem innego wyjścia, jak podążać ich ścieżką. Bóg obdarzył mnie talentami, które są nieodzowne dla dobrego chirurga. Studia nie sprawiały mi kłopotów, a nazwisko otwierało drzwi, które dla innych pozostawały zamknięte. A jednak brakowało mi tej profesjonalnej bezduszności i wyrachowania, które są konieczne, żeby być rzeczywiście najlepszym. Zacząłem wątpić w to, co robiłem. Byłem zbyt miękki i zbyt empatyczny...

— I rzucił pan to wszystko, żeby zostać... złotnikiem?

— Zdolności manualne potrzebne w obu zawodach są w gruncie rzeczy tożsame. — Hartig uśmiechnął się, ale momentalnie spoważniał. — Tyle że tutaj człowiek nie musi oglądać cierpienia innych, ich bólu, agonii, rozpaczycy pacjentów i ich bliskich, kiedy trzeba im powiedzieć, że nie ma już żadnej nadziei. Na dodatek bardzo nie lubiłem atmosfery, jaka tam panowała w pracy. W wielu klinikach obowiązuje dryl niemal wojskowy. Taki mają styl zarządzania. Nie wolno samodzielnie myśleć, a już za żadne skarby nie wolno się sprzeciwiać. Może kariera lekarza potoczyłaby się zupełnie inaczej, gdyby nie chora ambicja ojca, który uparł się uczynić ze mnie kardiochirurga. Wysłał mnie do jednego ze swoich przyjaciół, który był transplantologiem. W czasie pierwszego pobrania wielonarządowego, w którym brałem udział, nabawiłem się traumy. Wie pan w ogóle, jak wygląda taka operacja?

Bodenstein potrząsnął przecząco głową.

— Pacjent, który do tego momentu był ratowany i intensywnie leczony, w jednej chwili zmienia się w magazyn części zamiennych. Serce, płuca, wątroba, nerki, trzustka, część jelit, kości, tkanki, oczy — wszystko można

pobrać, bo wszystko można wykorzystać. I jeszcze jedna ważna rzecz, trzeba się bardzo spieszyć. W przypadku pobrania wielonarządowego w szpitalu pojawiają się zespoły lekarskie z całego kraju i rzucają się na ciało wszyscy naraz. Pobrania wielonarządowe odbywają się z zasady tylko w nocy, bo dzięki temu nie zakłócają działania szpitala. Pacjent trafia na stół i jest otwierany. Do jamy brzusznej wlewa się schłodzoną wodę, żeby obniżyć temperaturę organów wewnętrznych, a następnie wykrwawia się go. Panuje straszny pośpiech, ludzie biegają, krzyczą i telefonują. Stoi się po kostki we krwi. Na wszelki wypadek w operacji asystuje anestezjolog, bo osoby w stanie śmierci klinicznej wciąż mogą reagować na bodźce — rośnie ciśnienie krwi, pojawiają się drgawki czy skurcze mięśni, a ciało się poci — zupełnie jak u żywej osoby pogrążonej we śnie. A potem nagle jest po wszystkim. Zespoły transplantacyjne znikają z sali, a ja stoję nad pustą powłoką, która jeszcze przed godziną była oddychającym człowiekiem. Nikt się już niczym nie przejmuje, a ja biegam po całym szpitalu, żeby znaleźć kogoś, kto zaszyłby przynajmniej te wypatroszone, wykrwawione zwłoki.

— A w którym szpitalu pan pracował? — zapytał Bodenstein.

— W Szpitalu Kardiologicznym w Dortmundzie — odparł Hartig i przesunął dłonią po brodzie. — Nie potrafiłem znieść i zaakceptować tego pozbawionego szacunku i godności podejścia do zwłok dawcy organów, tego braku człowieczeństwa, współczucia i empatii ze strony pracowników szpitala. Bo jeśli chodzi o samo dawstwo organów, to nie widzę w tym niczego złego. Przeszczepy ratują życie i wiem, że po prostu muszą odbywać się szybko. Ale problemem jest to, w jaki sposób przeprowadza się pobrania. To takie... uwłaczające. Niegodne. Większość lekarzy nie ma żadnego szacunku dla osoby, która wyraziła zgodę, by po śmierci zostać dawcą organów, i z własnej woli zrezygnowała z odejścia w otoczeniu najbliższych. Postępuje się po prostu nieetycznie. Bez pokory. Lekarze tylko walczą, kto

będzie najszybszy i najskuteczniejszy. A przez to pojawiają się błędy, uszkodzenia organów na przykład. Organy stają się nieprzydatne i nie można ich przeszczepić. Pojawiają się kłótnie i przepychanki. To jest po prostu odrażające.

— I dlatego zarzucił pan karierę lekarską? Dlatego zmienił pan zawód?

— Bodenstein patrzył na niego zdziwiony. — Przecież mógł pan wybrać jakiś inny kierunek w medycynie?

— Niby tak, ale w rzeczywistości taka opcja w ogóle nie wchodziła w rachubę — wyjaśnił Hartig i wstał. — Zamiast tego postanowiłem wystąpić przeciwko systemowi, z którym się nie zgadzałem, choć byłem przecież jego częścią. Wierzyłem po prostu, że mogę coś zmienić. Jeszcze kawy?

— Nie, dziękuję.

— Przepisy, które określają, kiedy człowiek jest w stanie śmierci mózgu, są bardzo restrykcyjne — ciągnął jubiler, kiedy nalał sobie drugi kubek kawy i wrócił na miejsce. — Przepisy Federalnej Izby Lekarskiej i procedury Niemieckiej Fundacji Transplantacji Organów. Każdy kolejny krok jest opisywany i protokołowany, bo definicja śmierci mózgu nie przestaje być przedmiotem ostrych sporów. Dwaj niezależni lekarze, którzy nie mają nic wspólnego z procedurą pobrania organów, muszą w odstępie dwunastu godzin przeprowadzić określoną pulę badań danego pacjenta. Dopiero wtedy, jeśli dwukrotnie potwierdzone zostanie zaistnienie nieodwracalnych uszkodzeń mózgu, a pacjent nie jest w stanie samodzielnie oddychać i jest sztucznie wentylowany, zostaje wydana diagnoza śmierci pnia mózgu. Oczywiście już wcześniej prowadzi się badania, na podstawie których szuka się biorców dopasowanych pod względem zgodności tkankowej — grupa krwi, wykluczenie chorób zakaźnych i tak dalej. Jednak szpital to, jakkolwiek by patrzeć, przedsiębiorstwo, a kliniki specjalistyczne kładą bardzo duży

nacisk na podtrzymanie renomy. Lekarze się specjalizują i potrzebują udanych operacji do swoich życiorysów zawodowych. Pamiętajmy przy tym, że transplantologia to królowa wszystkich dziedzin chirurgii. I dlatego właśnie za każdym razem nagina się przepisy, i to do granic możliwości, przy cichej zgodzie, a w każdym razie przy braku jakiegokolwiek reakcji ze strony szefostwa i zarządu. Wiele razy byłem świadkiem sytuacji, kiedy szefowie i ordynatorzy oddziałów medycyny ratunkowej, neurochirurgii, intensywnej terapii czy transplantolodzy nie zachowywali przewidzianych przepisami odstępów między kolejnymi badaniami, ale w dokumentacji wszystko się zgadzało. Zgłosiłem taką sprawę mojemu szefowi i dostałem taki ochrzan, że szkoda gadać. Zgłosiłem to następnie kierownictwu szpitala i momentalnie założono mi kaganiec. Ale nie mogłem poradzić sobie z sumieniem. Te przepisy zostały ustanowione w dobrym celu, dlatego zgłosiłem sprawę bezpośrednio do Federalnej Izby Lekarskiej. Zaczęto mi grozić, lecz nie zwracałem na to uwagi. Miałem dwadzieścia sześć lat i byłem dość głupi, żeby w imię sprawiedliwości i zasad stanąć do walki z całym potężnym systemem. Ale koniec końców żaden z tych lekarzy nie miał najmniejszych kłopotów. Dalej robili swoje, bez żadnych konsekwencji. Ja za to miałem przechłapanie i podpadłem ojcu. W jego oczach skalałem własne gniazdo. Złamałem niepisane zasady lojalności i solidarności lekarskiej. Jednym słowem, dla niego byłem zdrajcą.

— Co pan wie o sprawie Kirsten Stadler? — zapytał Bodenstein i dopił kawę, która nie była już nawet ciepła.

— Jej sytuacja musiała wyglądać bardzo podobnie do tej, którą panu opisałem — odparł Hartig. — Tuszowanie błędów, fałszowanie opinii, niszczenie dokumentów. Protokół badania anestezyjologicznego rozplynął się w powietrzu. Ponoć w ogóle nie powstał, bo w czasie pobrania organów oficjalnie nie stosuje się znieczulenia. W końcu pacjent w stanie śmierci

mózgowej uważany jest za zmarłego. Ale tam też brakowało dokumentacji samej eksplantacji, ponoć dlatego, że dotyczyłyby zespołów z zewnątrz.

Bodenstein przyjrzał mu się i zamyślił. Nie wiedział, co sądzić o tym człowieku. Z jego słów przebijała rezygnacja, a jednak nie sprawiał wrażenia osoby zgorzkniałej, a już na pewno nie pałającej chęcią zemsty. Raczej wydawał się zadowolony, że udało mu się zaprzestać praktyk, które mu w żaden sposób nie odpowiadały. Smutek w jego oczach należało raczej przypisać utracie wielkiej miłości niż temu, że tak bardzo pomylił się z wyborem zawodu i stracił wiele lat, zanim się odnalazł. Z drugiej jednak strony nie można było lekceważyć jego związku z tą sprawą. Jak głęboko utożsamiał się z dramatem Stadlerów? Jak dalece za własne przyjął ich nieszczęście? Hartig oficjalnie nie był członkiem rodziny Kirsten Stadler, ale przecież zaręczył się z jej córką. Czy znał nazwiska pracowników szpitala, których starała się namierzyć policja? Czy jego pomoc mogła przynieść przełom, którego tak bardzo potrzebowali?

Przez chwilę panowała cisza.

— W PKOMMT poznałem wielu ludzi, którym podobne praktyki zniszczyły życie — dodał Hartig. — Dlatego postanowiłem zaangażować się na ich rzecz.

— Walczy pan przeciwko dawstwu organów? — Bodenstein uniósł brwi.

— Nie, nie przeciwko dawstwu organów. Oczywiście, że nie — odparł złotnik. — Ale przeciwko działaniom szpitali. Przeciwko naciskowi moralnemu na krewnych, przeciwko obciążaniu ich w dramatycznych okolicznościach poważnymi decyzjami, które muszą podejmować w imieniu swojego dziecka, męża czy żony. Nie raz i nie dwa przeżyłem sytuację, kiedy pogrążeni w szoku krewni poddawani byli niemal szantażowi, więc nie potrafili się oprzeć i nie potrafili odmówić, aż w końcu, wbrew sobie, wyrażali zgodę. Dlaczego? Bo nie chcieli być odpowiedzialni za śmierć

innych. A potem życie im się rozsypywało. Lekarze i szpitale powinni trzymać się przepisów i przestrzegać zasad moralnych i etycznych. Powinni dawać krewnym więcej czasu, staranniej ich o wszystkim informować, i to nawet ryzykując, że nie podejmą decyzji o oddawaniu organów. Już teraz brak organów jest wyrokiem śmierci dla osób, które potrzebują natychmiastowego przeszczepu, a takie skandale tylko pogłębiają chaos i sprawiają, że sytuacja staje się jeszcze trudniejsza, bo coraz więcej ludzi zgłasza sprzeciw do centralnej bazy danych o dawcach.

— Czy Helen podzielała pana punkt widzenia?

— Nie. — Hartig potrząsnął głową i spojrzał na zdjęcie na ścianie. — Helen nie była w stanie znaleźć żadnych okoliczności łagodzących. Jej spojrzenie na dawstwo było bardzo radykalne. Uważała, że to wbrew naturze. Nigdy nie pogodziła się z okolicznościami śmierci matki. To zniszczyło jej życie. Nie potrafiłem jej uratować.

KAROLINE ALBRECHT zatrzymała się przed domem Fritza Gehrkego w Kelkheim, wyłączyła silnik i wysiadła. Między domami utrzymywała się gęsta mgła i robiło się coraz chłodniej. Otworzyła furtkę i weszła do ogrodu, przez który biegła betonowa ścieżka do drzwi. Zimozielone tuje, trawnik, resztki śniegu i stare liście. Zadrżała, widząc ciemne plamy. To do tego miejsca dotarł Maximilian, zanim dosięgnął go pocisk z karabinu mordercy. Jej mama zginęła na miejscu, w ułamku sekundy straciła życie. Jak szybko umiera człowiek, kiedy pocisk półpłaszczowy wbija się w jego ciało i rozrywa mu serce? Czy Maximilian poczuł cokolwiek? Czy jakakolwiek myśl przemknęła mu przez głowę? Czy wiedział, co się dzieje? A może po prostu ogarnęła go ciemność? Nicość?

Im bardziej zbliżała się do drzwi domu, tym większe ogarniały ją wątpliwości, czy słusznie robi. Dlaczego chciała zakłócać żałobę starszego

człowieka, który właśnie stracił jedyne syna? Co chciała mu powiedzieć? Że sam jest sobie winien? Czy to, co Fritz Gehrke zrobił przed dziesięcioma laty, nie było w jakiś sposób usprawiedliwione? Każdy rodzic wykorzystałby wszystkie możliwości, byleby tylko zapewnić dziecku jak największe szanse na przeżycie. Przed niczym by się nie cofnął. Czuła, że dla Greta też byłaby gotowa wszystko zaryzykować! Dobłą minutą stała przed drzwiami i bała się zadzwonić. Czy powinna była zapowiedzieć wizytę? A może lepiej, że przyszła nieoczekiwana, gdyż zaskoczenie dawało jej jakąś przewagę?

Karoline nabrała głęboko powietrza i nacisnęła dzwonek. Drzwi otworzyły się dopiero po dłuższej chwili. Z trudem go poznała, bo w niczym nie przypominał tryskającego energią mężczyzny, którego widziała przed wieloma laty. Fritz Gehrke, niegdyś jedna z ważniejszych postaci niemieckiej gospodarki, członek licznych rad nadzorczych, stał się cieniem samego siebie, zgarbiony, pobladły i z przekrwionymi oczyma.

— O co chodzi? — zapytał ostrożnie. — Kim pani jest?

— Jestem Karoline Albrecht, córka profesora Dietera Rudolfa — odpowiedziała. — Przypomina pan sobie?

Staruszek przyjrzał się jej uważnie, a potem w jego oczach pojawił się błysk przypomnienia.

— Ależ oczywiście. Mała Karoline. — Uśmiechnął się słabo i wyciągnął dłoń, szczupłą i pokrytą starczymi plamami. — Ileż to czasu minęło!

Otworzył szerzej drzwi i dał jej znak, by weszła.

— Przynajmniej ze dwadzieścia — potaknęła Karoline.

— Proszę, rozbierz się i zapraszam do salonu. — Uśmiechnął się przyjaźnie.

Karoline zdjęła płaszcz, odwiesiła go na jednym z haczyków w garderobie i ruszyła korytarzem w stronę niewielkiego salonu, do którego prowadził ją gospodarz.

— Nie jestem tu tylko po to, żeby wyrazić swoje współczucie i złożyć kondolencje — wyjaśniła, kiedy już usiadła w niewygodnym fotelu. — Moja matka została zamordowana przez tego samego człowieka, który zastrzelił pana syna.

— Wiem. — Fritz Gehrke usiadł naprzeciwko niej i oparł łaskę o poręcz fotela. — Wiem o tym. Bardzo mi przykro. Twoja matka była cudowną kobietą.

Karoline zadrżała.

— Ja... ja tego nie rozumiem — powiedziała zduszonym głosem. — I dlatego chciałabym dowiedzieć się, dlaczego moja matka musiała zginąć.

— Niestety, w życiu już tak jest, że niektórych rzeczy nie da się wytłumaczyć — odparł Gehrke. — Czasem nie mamy innego wyjścia, jak zaakceptować rzeczywistość, niezależnie od tego, jakie to dla nas trudne. I uwierz mi, ja również ogromnie cierpię po stracie dziecka. Tylko Max mi pozostał. Ale znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Karoline spojrzała na niego zaskoczona. Czyżby nie czytał gazet? A może policja ukryła przed nim tło tych morderstw? Nie mogła też wykluczyć, że cierpi na demencję starczą.

— Ale przecież to nieprawda! — zaprotestowała. — Ten morderca nie strzela na oślep do przypadkowych osób! Policja jest przekonana, że wszystkie zabójstwa są powiązane ze sobą poprzez sprawę śmierci niejakiej Kirsten Stadler, która dziesięć lat temu zmarła w Szpitalu Urazowym we Frankfurcie. Trafiła tam z wylewem krwi do mózgu, lekarze orzekli w jej przypadku śmierć pnia mózgu, i w ten sposób została dawczynią organów. Za każdym razem, kiedy morderca zabija kolejną osobę, przesyła na policję nekrolog z wyjaśnieniem, dlaczego to zrobił. Mojemu tacie zarzucił chciwość i próżność. Za te jego grzechy musiała zginąć mama.



Fritz Gehrke wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany.

— Proszę, błagam, niech mi pan powie, co się wtedy wydarzyło? Co się stało przed dziesięcioma laty? Jeśli pan wie, niech pan nic przede mną nie ukrywa! — powiedziała z naciskiem. — Mój ojciec twierdzi, że to była rutynowa sprawa, ale ja w to nie wierzę.

Z przerażeniem dostrzegła łzy w oczach staruszka. Gehrke przełknął ślinę, powstrzymując szloch i szukając odpowiednich słów.

— Czy wysłał... czy dla mojego syna też przygotował nekrolog? — wychrypiał. Tym razem jego spojrzenie wyrażało strach.

— Tak. — Karoline zawahała się, ale w końcu sięgnęła do torebki, wyjęła kopię nekrologu i podała mu ją. Tym razem to Gehrke się zawahał, lecz wziął kartkę do ręki i przeczytał treść wiadomości od mordercy: „Maximilian Gehrke musiał zginąć przez swego ojca, winnego milczącej zgody na śmierć człowieka i przekupstwa”.

Momentalnie zbladł i jęknął boleśnie. Zaczął drżeć.

— Czy... czy mogę to zachować? — wyszeptał.

Karoline potaknęła zaniepokojona.

Gehrke przez dłuższą chwilę walczył o odzyskanie kontroli nad emocjami.

— Maximilian otrzymał serce Kirsten Stadler — wyjaśnił zachrypniętym głosem, a Karoline zaniemówiła z wrażenia. Jak jej ojciec mógł przemilczeć taką wiadomość? Jakim prawem? — Miał ogromne wyrzuty sumienia, że ktoś musiał zginąć, żeby on mógł żyć. Ja... a ja się cieszyłem. Po prostu. Bo nie miał już chorego serca.

— Tak, tylko... dlaczego w takim razie zginął? — Nowina o przeszczepie wyprowadziła ją z równowagi.

— Wierzyliśmy, że to, co robimy, jest właściwe. Wszyscy w to wierzyliśmy. — Głos mu się łamał. — I teraz przyszło nam za to zapłacić.

— Moja matka musiała zapłacić za coś, za co nie ponosiła żadnej

odpowiedzialności! — zaprotestowała Karoline. — Tak samo zresztą jak pana syn! Proszę mnie zrozumieć, wszystko bym oddała, żeby tylko mieć pewność, że mój ojciec nie ma nic wspólnego z morderstwem mamy. Ale jeśli się okaże... jeśli... nigdy mu tego nie wybaczę.

Głos odmówił jej posłuszeństwa i musiała zacisnąć usta, żeby nie zacząć płakać. Potrząsnęła głową.

Gehrke wsparł się na lasce i z wysiłkiem dźwignął się z fotela, po czym podszedł do okna i stanął plecami do niej.

— Chyba lepiej będzie, jeśli już pójdziesz — powiedział cicho.

Karoline podniosła torebkę.

— Bardzo mi przykro. Naprawdę nie chciałam, żeby pan...

— Nie zrobiłaś niczego, za co musiałybyś przeproszać. — Staruszek przerwał jej, unosząc dłoń. — Wręcz przeciwnie. Jestem ci bardzo wdzięczny. Przynajmniej nie będzie mnie męczyło dłużej pytanie, dlaczego Max musiał w ten sposób zginąć.

Spojrzała na niego zaskoczona, bo dopiero teraz zrozumiała, co miał na myśli. Niezależnie od tego, jak trudna i gorzka może być prawda, ona przecież też poczuła ulgę, kiedy Faber pokazał jej nekrologi. Różnica polegała jednak na tym — i miała wielką nadzieję, że ta wiedza nie załamie staruszka — że zarzuty mordercy odnosiły się bezpośrednio do niego, Renate Rohleder i jej ojca, ale nie do niej. A Gehrke musiał wiedzieć, czy były prawdziwe, czy też opierały się na urojeniach psychopatycznego mordercy.

NOC W POJEDYNCZEJ CELI w policyjnym areszcie zawsze jest trudna dla ludzi, którzy nigdy wcześniej nie byli zamknięci w samotności. Nagłe odizolowanie, poczucie bezradności i niemocy, które pojawiała się w momencie szczęknięcia metalowego zamka blokującego drzwi do celi, zawsze pozostawiało ślad w psychice zamkniętych osób. Również Erik

Stadler miał problem z opanowaniem nerwów, a z jego twarzy dało się wyczytać, że tej nocy nie spał spokojnie. Pia często przeprowadzała przesłuchania w swoim biurze, żeby wprowadzić możliwie spokojną, odprężającą atmosferę, dzięki czemu zyskiwała zaufanie podejrzanych. W czasie szkoleń i wykładów dotyczących różnych taktyk wydobywczych nauczyła się i potem sprawdziła w praktyce, w jaki sposób i jakimi metodami skłonić osobę po drugiej stronie biurka do mówienia, bo to był jej główny cel — żeby podejrzany zaczął mówić. Często kłamali, a im więcej mówili, tym bardziej plątali się w swoich łągarstwach. Stres działał na ich niekorzyść. Jednak Erika Stadlera nie zaprosiła do swojego biura, tylko kazała zaprowadzić go do jednego z pozbawionych okien pomieszczeń do przesłuchań. W niewielkim pokoju stał pojedynczy stół, na nim sprzęt nagrywający, trzy krzesła, dwie kamery pod sufitem i lustro weneckie, dzięki któremu z pomieszczenia obok można było śledzić przebieg przesłuchania, samemu nie będąc widzianym.

— Dlaczego mnie tu trzymacie? — zapytał Erik Stadler, kiedy Pia włączyła nagrywanie i podyktowała informacje wymagane protokołem i procedurami.

— Doskonale pan wie — odparła. — Czy już sobie pan przypomniał, co pan robił w czasie, kiedy dokonywane były kolejne zabójstwa?

— Przecież już to wczoraj wyjaśniłem. Biegałem. — Wiele wysiłku wkładał w zachowanie pozorów spokoju, lecz nie potrafił sobie z tym poradzić. Był bardzo zdenerwowany, co zdradzała mowa jego ciała. Czyżby strach był objawem winy? — Nikogo nie zastrzeliłem! Dla mnie ta cała sprawa jest już zamknięta. Życie musi toczyć się dalej, a ja chcę żyć. I to na wolności.

— A kto by nie chciał! — zauważyła Pia. — Czasem robimy rzeczy, których znaczenia i konsekwencji nie da się z początku oszacować, a potem

nagle budzimy się z ręką w nocniku, bo wiemy, że nie ma już drogi powrotu.

— Nikogo. Nie. Zastrzeliłem. Rozumie pani?! — powtórzył Stadler powoli, akcentując każde słowo osobno. — Biegałem. Bardzo dużo biegam. Uprawiam sport, który wymaga świetnej kondycji.

— Gdzie pan biegał? Czy ktoś pana widział? Czy z kimś pan rozmawiał?

— Nie, przecież już mówiłem, że nie! — powiedział Stadler. — Zawsze biegam w pojedynkę, bo mało kto potrafi utrzymać moje tempo.

— Jakie stosunki łączyły pana z siostrą?

— Z moją siostrą?

— Tak jest. — Pia skinęła głową. — Z pańską siostrą Helen, która we wrześnieu popełniła samobójstwo.

— Świetnie się rozumieliśmy, jeśli o to chodzi — odparł Erik. — Przez tę sprawę z matką miała trochę problemów ze sobą. Od śmierci matki żyła w przekonaniu, że to jej wina. Przez ostatnie lata nasze relacje się nieco rozluźniły i nie byliśmy już tak blisko. Ja prowadziłem firmę, a Helen poszła na studia i znalazła chłopaka. Miałem wrażenie, że pokonała problemy i wyszła na prostą.

— Dlaczego w takim razie miałaby popełniać samobójstwo?

— Nie mam pojęcia. Może w jej głowie sytuacja wyglądała zupełnie inaczej, niż my mogliśmy ocenić z zewnątrz?

— Jak dobrze zna pan narzeczonego swojej siostry?

— Nie rozumiem? — Stadler wzruszył ramionami. — Znam go i tyle. Byli ze sobą przez kilka lat i przez ten czas się nie rozstawali. Gdy Helen gdzieś jechała, on jechał z nią, i na odwrót.

— Lubił go pan?

— Tak, facet jest w porządku. Bardzo dbał o moją siostrę, chyba nawet jej matkował. Ale ona tego potrzebowała. Wcześniej ojciec pełnił tę rolę, potem przejął ją Jens-Uwe.

Włączył się sygnał wibracyjny w komórce Pii. Spojrzała na wyświetlacz; Henning przesłał mejla z wynikami sekcji zwłok Helen Stadler.

— No dobrze — powiedziała i wstała. — Przyślę kogoś, komu wskaże pan na mapie swoje trasy biegowe. A potem jeszcze raz porozmawiamy.

Z tymi słowami skinęła głową w stronę szefowej, która milczała przez całe przesłuchanie, i razem podeszły do drzwi. Pia zapukała, żeby strażnik z zewnątrz wypuścił je na korytarz.

— Zaraz! Chwila! — Stadler również zerwał się z miejsca. — Jak to? Kiedy mnie wypuścicie?

— Wtedy, kiedy będę miała pewność, że to nie pan zastrzelił cztery osoby w okolicy — wyjaśniła Pia.

TO NIE BYŁ PIERWSZY RAPORT z sekcji zwłok samobójcy, który rzucił się pod pociąg, lecz Pia wciąż nie mogła zrozumieć, jak ktoś może być tak samolubny i pozbawiony empatii, żeby akurat w ten sposób odbierać sobie życie. Miała w sobie ogromne pokłady współczucia dla maszynistów i strażaków z ochotniczej straży pożarnej, którzy zazwyczaj pierwsi docierali na miejsce i musieli zbierać fragmenty rozerwanych zwłok, nierzadko rozrzucone na sporym odcinku torów. Helen Stadler była do tego stopnia bezmyślna, że rzuciła się pod pociąg pospieszny z mostu nad szynami. Jej drobne, ledwie pięćdziesięciodwukilogramowe ciało zostało rozerwane na kilka fragmentów, przy czym tors i górne kończyny zachowały się w stanie stosunkowo nieuszkodzonym.

Pia skończyła lekturę raportu i kiedy Bodenstein wszedł do biura, oderwała wzrok od ekranu.

— Cześć, szefie. Jak tam, coś nowego od narzeczonego? — zapytała.

— Żebyś wiedziała — odparł Bodenstein. — Dzięki tej rozmowie zrobiliśmy spory krok naprzód. Zwołajcie, proszę, wszystkich na szybkie

spotkanie w moim biurze.

— Dobra, ja lecę po Engel. — Pia zerwała się z krzesła, a Kai sięgnął po telefon, żeby zadzwonić do Kathrin i Cema. Nieco później wszyscy pracownicy wydziału stali lub siedzieli w biurze szefa i słuchali jego sprawozdania z rozmowy z narzeczonym Helen Stadler.

— Jens-Uwe Hartig był lekarzem, ale porzucił ten zawód po tym, jak zgłosił swojego szefa i współpracowników do Federalnej Izby Lekarskiej ze względu na notoryczne łamanie procedur i przepisów ekstrakcji organów do przeszczepów.

— Coś takiego! — Pia aż sapnęła z wrażenia. — Hartig był chirurgiem transplantologiem?! Czy to nie jest niesamowity przypadek?

— Nie, w żadnym razie. — Bodenstein potrząsnął głową. — Angażuje się w działalność PKOMMT, tej grupy wsparcia, bo jego zdaniem nieetyczne zachowania wielu lekarzy wobec dawców organów i ich rodzin są nie do przyjęcia. Dopiero tam poznał Winklerów i Helen.

— W którym szpitalu pracował? — dopytywała się Pia.

— W Szpitalu Kardiologicznym w Dortmundzie — odparł Bodenstein. — Kai, sprawdź to najszybciej, jak się da. I ustal jeszcze, gdzie studiował.

— Pewnie. — Kai skinął głową i zapisał sobie zadania w notesie. — Jeśli pojawi się podejrzenie, że lekarze nie przykładali się do ratowania Kirsten Stadler, żeby móc użyć jej organów, mielibyśmy przynajmniej jasny i pewny motyw tych wszystkich morderstw i wystarczyłoby ustalić, kto był w tę sprawę zaangażowany. I nie chodzi przecież o całą obsadę szpitala, tylko o kilkoro ludzi bezpośrednio odpowiedzialnych za to, co tam się działo.

— Zapytałeś go o nazwiska? — włączyła się do rozmowy Nicola Engel.

— Oczywiście. — Oliver potaknął. — Ale twierdzi, że to było dawno temu i nie pamięta nikogo poza Rudolfem i Hausmannem. Tyle że to nam nic nie daje, bo te nazwiska już znamy.

— W takim razie podpytajmy Erika Stadlera, może on coś będzie wiedział  
— zaproponowała Pia.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i weszła funkcjonariuszka z dyżurki.

— Przed chwilą był listonosz — powiedziała i podała Bodensteinowi nieotwartą kopertę. — Przyniósł to dla was.

— Dziękuję. Proszę położyć ją na blacie. — Bodenstein założył okulary, rękawiczki jednorazowe i ostrożnie wyjął list. Nekrolog, wykonany jak wszystkie poprzednie.

Wszyscy zebrani wokół stołu czekali w napięciu, jaka będzie jego treść.

— „Śp. Hürmet Schwarzer” — odczytał na głos Bodenstein. — „Hürmet Schwarzer musiała umrzeć, ponieważ jej mąż pod wpływem alkoholu dopuścił się nieumyślnego spowodowania śmierci i tym samym obciążył swoje sumienie życiem dwojga ludzi”.

— Zorientował się już, że to my prowadzimy jego sprawę i zwraca się bezpośrednio do nas — zauważył Cem.

— Tylko dlaczego dwojga ludzi? — Kim uniosła brwi.

— Dobre pytanie. — Bodenstein odłożył list na blat. — Zakładałbym, że chodzi o Kirsten Stadler i jej córkę Helen. Wtedy trzeba zadać od razu kolejne pytanie, komu tak bardzo na nich zależało, żeby z ich powodu zabijać?

— Ojcu i bratu — odparła Pia.

— I Hartigowi — dokończył Bodenstein. — W jego biurze wisi wielkie zdjęcie Helen Stadler, a on codziennie rano w drodze do pracy odwiedza jej grób.

— Powinniśmy skonfrontować Erika Stadlera z tymi nekrologami — stwierdziła Pia.

— Zgadza się. I zrobmy to od razu. — Bodenstein wstał. Pia wróciła na

chwilę do swojego biura, żeby wydrukować raport z sekcji zwłok Helen, i wsunęła go do akt sprawy.

— Co myślisz o Hartigu? Długo z nim rozmawiałeś. — Pia spojrzała na szefa, kiedy schodzili na parter. — Co to w ogóle za człowiek?

— Bardzo wrażliwy. Taki miłosierny samarytanin. — Bodenstein otworzył szklane drzwi na klatkę schodową i puścił ją przodem. — Niemal obsesyjnie kochał Helen Stadler. Jej śmierć zniszczyła mu życie.

— Na tyle, żeby teraz biegał z karabinem i mordował winnych?

Bodenstein się zamyślił.

— Wiesz, mam wrażenie, że to człowiek, który jeśli coś postanowi, to z wielką konsekwencją będzie dążył do realizacji celu. I nawet jeśli na pierwszy rzut oka można uznać go za miłosiernego samarytanina, to w gruncie rzeczy chyba raczej jest wojownikiem. Będzie wolał walczyć, niż cierpliwie czekać. I nie odpuszcza, jeśli coś jest dla niego ważne.

— Zna wszystkie zależności, wszystkie zdarzenia i pewnie też wszystkie nazwiska. — Pia pokiwała głową. — Musimy go zaraz dodać do listy potencjalnych sprawców, a potem przepytąć pod kątem alibi na czas morderstw.

— Powinniśmy dowiedzieć się też czegoś więcej o Helen — potaknął Bodenstein. — Gdzie mieszkała? Co się stało z rzeczami z jej mieszkania?

— Zapytajmy jej brata. — Pia skinęła głową w stronę jednego z funkcjonariuszy, który czekał obok drzwi sali przesłuchań, by otworzył.

DO KAŻDEGO PRZESŁUCHANIA Bodenstein podchodził z przeświadczeniem, że będzie okłamywany. Niektórzy łgali sprytniej i udatniej niż inni, ale jego nie dało się oszukać. Erik Stadler również kłamał, a Bodenstein zadawał sobie pytanie dlaczego. Co takiego miał do ukrycia? Czyżby był Snajperem? Najwyższy czas nieco przykręcić mu śrubę



i zwiększyć presję. Trzeba było działać tak, żeby nie dawać mu szans na zastanowienie.

— W ten sposób nie posuwamy się naprzód — zauważył Bodenstein. — Dobrze, zacznijmy więc od początku. Jak naprawdę wyglądała sytuacja z pana matką?

— Przecież już pan o wszystkim wie — odparł Stadler, nie kryjąc irytacji. — Razem z ojcem dokładnie wam wszystko opowiedzieliśmy!

Masował nadgarstki, bawił się palcami i robił się coraz bardziej nerwowy.

— Mamy powody, żeby nie wierzyć w tamtą historyjkę — mruknął Bodenstein. — To jak będzie? Powie mi pan prawdę? W jakim stanie była pańska matka, kiedy znaleźliście ją z siostrą? Co pan wtedy zrobił? Jak się zachował? Co się wydarzyło, kiedy pańska matka trafiła w końcu do Szpitala Urazowego we Frankfurcie?

— A co to ma za znaczenie? Co to może jeszcze zmienić? — Jego oczy błyszczały wściekłością, jakby się obawiał, że policja chce zwabić go tymi pytaniami w pułapkę. Ktoś, kto mówi prawdę o wydarzeniu, którego był świadkiem, nie musi się przecież niczego obawiać.

— Otóż jesteśmy przekonani, że to ma znacznie i może wiele zmienić. Bardzo wiele.

Erik Stadler zastanowił się, po czym wzruszył ramionami. Nerwowo rozglądał się po pomieszczeniu, a na jego czole perlił się pot. W końcu wytarł dłonie w spodnie, potwierdzając tym gestem swoje zdenerwowanie.

— Moja matka wyszła biegać i nie wróciła na czas do domu. Razem z Helen poszliśmy jej szukać, bo znaleźliśmy trasy, którymi biegała. Kiedy ją znaleźliśmy, leżała obok drogi, a przy niej siedział nasz pies. Wezwałem pogotowie z jej komórki, a potem się nią zająłem.

— Proszę o więcej szczegółów — powiedział ostro Bodenstein. — Co to znaczy, że się pan nią zajął? Trzymał ją pan za rękę?

— Nie, starałem się prowadzić resuscytację. Niedługo przed jej wypadkiem przeszedłem kurs pierwszej pomocy, obowiązkowy zresztą przed egzaminem na prawo jazdy, więc wiedziałem, co powinienem robić.

— Czy pana matka oddychała samodzielnie? — Do przesłuchania włączyła się Pia.

— Nie. — Erik Stadler zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi. — Mimo to nie przerywałem masażu serca i sztucznego oddychania. Nie przerywałem, dopóki nie pojawiła się karetka.

— Czy pańska matka choćby na chwilę odzyskała w tym czasie świadomość? — dopytywał się Bodenstein.

On i Pia na przemian zadawali pytania, żeby Stadler nie miał czasu przyzwyczać się do stylu przesłuchiwania przez jedną osobę.

— Nie — odpowiedział, lecz tym razem nie odwracał wzroku i nie unikał spojrzenia Bodensteina.

— Co było potem?

— Potem lekarz z pogotowia i ratownik przejęli matkę. Załadowali ją do karetki i odjechali.

— Dlaczego nie pojechał pan z nimi?

— Ja... przecież ktoś musiał zaopiekować się psem! Poza tym Helen miała atak hysterii. Zadzwoiłem do dziadka. Przyjechał po nas z babcią i zawieźli nas do szpitala.

Erik Stadler nie był już tak spięty; prawdopodobnie dlatego, że dopiero teraz mówił prawdę.

— Co się tam wydarzyło?

— Przez dłuższy czas nie mogliśmy zobaczyć się z matką. Udało się dopiero, kiedy trafiła na intensywną terapię. Była podłączona do tych wszystkich maszyn, rurek i do respiratora. Nikt nie chciał nam powiedzieć, co się dzieje. Dziadek zrobił tam wielką aferę.

— Gdzie był w tym czasie pański ojciec?

— Za granicą. Próbowaliśmy, ale nie można było się do niego dodzwonić.

— Co wydarzyło się potem?

— Ale co chcecie ode mnie usłyszeć? — Erik Stadler nachylił się nad stołem. — Nie wiem, nie pamiętam tego! Minęło już dziesięć lat! Mama była w stanie śmierci mózgowej, bo zbyt długo do jej mózgu nie docierał tlen!

— Czy pańska matka leżała na początku, czy na końcu swojej trasy biegowej, kiedy ją znaleźliście? — drążyła Pia.

— A co to za różnica? — Erik spojrzał na nią poirytowany.

— Jest różnica, bo mogła leżeć tam od kilku minut, jeśli już wracała do domu. Może też nie od razu straciła przytomność. W takiej sytuacji jej mózg dość krótko byłby pozbawiony dopływu tlenu.

— Nie rozumiem, do czego państwo zmierzają.

— To przecież oczywiste: chcemy wiedzieć, czy jej mózg rzeczywiście został nieodwracalnie uszkodzony z powodu braku tlenu, czy nie? — wyjaśniła Pia. — Pan twierdzi, że rozpoczął resuscytację natychmiast po odnalezieniu matki i nie przerywał, dopóki nie pojawiło się pogotowie. Oni kontynuowali sztuczne oddychanie, a kiedy dotarła do szpitala, została podłączona do respiratora.

Erik Stadler wzruszył ramionami.

— Jak tam chcecie. Niezależnie od tego, jak było — zaczął — lekarze stwierdzili śmierć mózgu. Krwawienie doprowadziło do nieodwracalnych zmian w pniu mózgu. Nigdy by się już nie obudziła.

— Pańska babcia powiedziała, że w szpitalu zrobił pan gigantyczną scenę, kiedy się pan przez przypadek dowiedział, że lekarze nie są zainteresowani ratowaniem pańskiej matki. Od początku traktowali ją jako potencjalną dawczynię organów.

— Boże, przecież ja miałem wtedy tylko siedemnaście lat! — Erik Stadler

nie ukrywał irytacji. — Byłem w szoku! Matka umierała na moich oczach! Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi! Nie wiem, co chcecie osiągnąć! Nie teraz, nie po dziesięciu latach! Ona nie żyje!

— To ja panu wytłumaczę, o co w tym wszystkim chodzi — zadeklarowała Pia. — Gdzieś na wolności biega człowiek, który strzela do niewinnych ludzi, żeby ukarać ich krewnych za to, co się stało z pana matką. To jest ktoś, kto zna prawdę i wie, co się wtedy stało! Ktoś, kto wierzy, że życie pańskiej matki można było uratować. Gdyby leżała na tym polu przez godzinę czy dwie i rzeczywiście miała uszkodzony i martwy mózg, kiedy dotarła do szpitala, to byłby to tragiczny wypadek. Zrządzenie losu, za które nikt nie ponosi odpowiedzialności. Ale to nie było tak!

W tym momencie Erik Stadler stracił panowanie nad sobą. W warunkach coraz większej presji, zasypywany gradem pytań, które przez ostatni kwadrans Bodenstein i Pia zadawali mu z prędkością karabinu maszynowego, przestał kontrolować emocje i się załamał.

— A co to zmieni, jeśli wam powiem, że mojej matce pozwolono umrzeć, bo komuś zależało na jej organach? — zaczął krzyczeć. — Przecież i tak by mi nikt nie uwierzył! Każdy by powiedział, że jestem kopnięty! Że po dziesięciu latach nie mogę pogodzić się ze śmiercią matki i dlatego rzucam takimi oskarżeniami! Że konfabuluje!

— My z całą pewnością byśmy tak nie pomyśleli — mówił Bodenstein spokojnym głosem. — Poza tym, przede wszystkim zajęlibyśmy się tymi, którzy wówczas zrobili to, co zrobili. Odnaleźlibyśmy ich i postawili przed oblicze wymiaru sprawiedliwości. Bo to znacznie lepsza i bardziej sprawiedliwa droga, niż mordować ich Bogu ducha winne żony, matki i dzieci!

— Może pan uratować komuś życie — dodała Pia.

— Nieraz już to słyszałem! — Erik Stadler zaśmiał się cynicznie. —

Dokładnie to samo powtarzali mojemu dziadkowi! Pan to podpisze, żebyśmy mogli pobrać organy! Pańska córka już nie żyje, ale nawet teraz może uratować życie kilku osobom! Urabiali go i dręczyli! Prali mu mózg! Załatwili moich dziadków! Ale żeby na tym poprzestali! O nie, zaczęli sypać przykładami: mały chłopiec przeżyje, tylko jeśli w ciągu dwóch tygodni dostanie nową wątrobę. A matka trójki dzieci będzie musiała umrzeć, jeśli w ciągu tygodnia nie dostanie nerki. I tak dalej, i tak dalej!

Jego czoło i twarz ociekały potem. Oddychał ciężko i toczył złym wzrokiem dookoła.

— Proszę się uspokoić — odezwał się Bodenstein koncyliacyjnym tonem.  
— Nie chcieliśmy rozdrapywać starych ran.

— Ale to zrobiliście! — wykrzyczał Erik. — Od dziesięciu lat usiłuję zapomnieć o tym horrorze. Moja siostra nie żyje, bo nigdy nie pozbyła się poczucia winy, a przecież ona nie miała żadnych powodów, żeby ponosić odpowiedzialność za to wszystko!

Zamilkł i potrząsnął głową, a potem zamknął na chwilę oczy.

— Kiedy mnie wypuścicie?

— Jeszcze nie teraz.

— To kiedy? Nie możecie przetrzymywać mnie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny, nie podając powodu!

Bodenstein wstał zza stołu, a Pia pozbierała akta.

— Pańskie zatrzymanie jest dobrze uzasadnione — wyjaśnił Bodenstein.  
— Dopóki nie przedstawi nam pan alibi na czas, kiedy popełniane były kolejne zbrodnie, będzie pan traktowany jako podejrzany. Już wczoraj pana ostrzegłem, prawda? Ma pan prawo milczeć i odmawiać składania zeznań, które mogłyby pana obciążać. Ma pan również prawo do adwokata, którego może pan w każdej chwili wezwać.

— Przecież to jakaś kpina! — Stadler był naprawdę zły. — Nikogo nie

zastrzeliłem! Nie potrzebuję adwokata!

— A jednak. Moim zdaniem, potrzebuje pan albo adwokata, albo czterokrotnego dobrego alibi.

— FACET wcale sobie z tym wszystkim nie poradził. — Pia potrząsnęła głową, ledwie strażnicy odprowadzili Erika Stadlera do celi. Była rozczarowana, bo spodziewała się czegoś więcej po tym przesłuchaniu. Czegoś pewnego. Faktów, informacji. Wskazówki, że Erik Stadler naprawdę jest Sędzią.

— Nie, ale trudno mu się dziwić. Nie da się nad czymś takim przejść do porządku dziennego — odparła Kim, która razem z doktor Engel, Kathrin, Kaiem i Cemem obserwowała przesłuchanie z pokoju za lustrem weneckim. — Ale niezależnie od wszystkiego, nie mówi nam prawdy o śmierci matki, co podkreślają jego zachowania niewerbalne. Jeśli chodzi o profil psychologiczny, to jak najbardziej mógłby być sprawcą. Ma motyw i warunki.

Pia nie miała ochoty dłużej słuchać tych gadek o profilach psychologicznych sprawcy. Powoli zaczynała żałować, że w ogóle wciągnęła siostrę w dochodzenie w sprawie Snajpera. Miała też wrażenie, że coś przeoczyła. Tylko co takiego?

— Stadler coś przed nami ukrywa — stwierdziła Kim. — Tylko co i dlaczego?

— Możliwe, że trzyma się oficjalnej wersji wydarzeń, bo zawarli z ojcem ugodę ze szpitalem. — Bodenstein wzruszył ramionami. — Dostali za to odszkodowanie i nie chcą łamać umowy.

— Ale ukryli to przed Helen — dodał Kai. — Dziewczyna nie miała pojęcia o ugodzie i żyła w przeświadczeniu, że jest winna śmierci matki.

— No tutaj to bym raczej był ostrożny. — Bodenstein potrząsnął głową.

— To są czyste spekulacje. Jedyne, co wiemy, to to, że ta historia nie trzyma się kupy. Któryś z członków rodziny albo ze znajomych Kirsten Stadler tak długo dusił w sobie frustrację, żal i chęć zemsty, że w końcu nie wytrzymał i tama pękła.

— Możliwe też, że powody są znacznie bardziej przyziemne, niż w tej chwili zakładamy. — Pia przygryzła dolną wargę i się zamyśliła. Miała głowę pełną wyrywkowych faktów i informacji, które musiała poskładać w jedną logiczną całość.

— Wiemy za to na pewno, że Stadler dobrze strzela — zauważyła Kathrin.

— Tylko że biatłoniści strzelają z kilku metrów do nieruchomej tarczy. — Cem potrząsnął sceptycznie głową. — Tymczasem nasz Snajper trafił poruszającego się człowieka z prawie kilometra! To zupełnie inna klasa.

— No dobrze, co w takim razie zamierzacie zrobić? — Nicola Engel spojrzała na nich badawczo. — Wypuście go?

— Nie, wolałbym go zostawić. — Bodenstein potrząsnął głową. — Z drugiej strony, bez jednoznacznych dowodów nie możemy go przetrzymywać w nieskończoność.

— W takim razie znajdźcie dowody!

— Jednym z tych dowodów jest fakt, że nie było kolejnej ofiary, od kiedy siedzi za kratkami — mruknęła Kathrin.

— To nie wystarczy — zaprotestował Bodenstein. — Wypuścimy go, ale jeszcze nie teraz. Kai, ty zajmiesz się organizacją obserwacji po wyjściu. Poza tym będzie musiał oddać paszport i codziennie meldować się w komisariacie w Niederhöchstadt. Cem i Kathrin, wy pojedziecie porozmawiać z dziewczyną Stadlera, nie wiem, może to jego żona. Tak czy inaczej, chcę wiedzieć, jak się zachowywał w ostatnim czasie, czy coś się zmieniło... sami zresztą wiecie, o co pytać.

— Wszystko jasne. — Cem potaknął z poważną miną.

Śledczy czuli presję, która rosła z godziny na godzinę, bo każdy oczekiwał, że lada chwila znów coś się stanie, znów przyjdzie wezwanie i będzie trzeba jechać do piątej ofiary Snajpera, a potem pocztą odbiorą kolejny nekrolog. Korytarzem w ich stronę szedł jeden z funkcjonariuszy z dyżurki.

— Przyszła do pana jakaś kobieta. Mówi, że nazywa się Wenning i chce z panem rozmawiać — powiedział do Bodensteina. — Jest z adwokatem.

— Dzięki. Zaraz podejść. — Bodenstein skinął głową, po czym spojrział na Kathrin i Cema. — W takim razie mała zmiana planów. Pojedziecie do Frankfurtu porozmawiać z jego sąsiadami, ale najpierw złożcie wizytę Patrickowi Schwarzerowi. Może dzisiaj będzie już w stanie normalnie rozmawiać. Pokażcie mu nekrolog. Musimy znaleźć jakieś powiązanie z Kirsten Stadler.

Ekipa K11 rozeszła się do swoich zadań i tylko Pia została z szefem na korytarzu.

— O co chodzi? — zapytał Bodenstein.

— Myślę, że zadajemy nie te pytania, co trzeba — odpowiedziała Pia.

— Czyli? Co masz na myśli?

— No bo zobacz. — Spojrzała na szefa. — Stadler coś przed nami ukrywa, ale to niekoniecznie oznacza, że jest mordercą, prawda? Przypomnij sobie sprawę Kaltensee, a dokładniej Nowaka i Elarda Kaltensee. Pamiętasz go? Tego profesora?

— Tak, pewnie. — Bodenstein wciąż nie wiedział, do czego zmierza jego współpracowniczka. — Tylko co oni mają z tym wszystkim wspólnego?

— Uważaliśmy ich obu za podejrzanych, bo ewidentnie kłamali i nie chcieli powiedzieć prawdy — przypomniała Pia. — Okazało się jednak, że ukrywali przed nami nie morderstwa, jak początkowo zakładaliśmy, tylko swój sekretny związek. Erik Stadler też skrywa jakąś tajemnicę, której za



żadną cenę nie chce wyjawzić. Ale nie jest Sędzią. To nie on.

— Skąd ta pewność?

— No wiesz — Pia wzruszyła ramionami — na razie to tylko przecucie. W czasie przesłuchania powiedział, że od dziesięciu lat stara się zapomnieć o tamtych wydarzeniach i prowadzić normalne życie. Widziałam, że nie kłamie. Wtedy akurat mówił prawdę. Z drugiej strony rozumiem też, że chce trzymać się oficjalnej wersji, którą ustalili przed laty. Dlatego myślę, że jego nerwowość wynika z tego, że boi się wygadać.

Bodenstein zmarszczył czoło.

— Może i masz rację — powiedział zamyślony. — Ale dlaczego ryzykuje oskarżenie o cztery zabójstwa i areszt śledczy?

— Tutaj akurat może być kilka powodów. To, czego nie chce nam powiedzieć, może być znacznie gorsze niż bycie posądzonym o morderstwo. Albo — i to uważam za najbardziej prawdopodobne — chce kogoś chronić.

Przez dłuższą chwilę stali naprzeciwko siebie i mierzyli się wzrokiem.

— To co, najpierw Stadler, czy jego dziewczyna? — zapytała Pia.

— Najpierw dziewczyna — zdecydował Bodenstein.

LIS WENNING, blada i wyraźnie zaniepokojona, czekała w holu przed służą bezpieczeństwa. Obok niej stał wysoki, brodaty mężczyzna w garniturze i krawacie, którego znał każdy policjant z Frankfurtu i okolic. Już sam wybór doktora Andersa jako obrońcy mógł uchodzić za przyznanie się do winy, bo prawnik ten zajmował się niemal wyłącznie sprawami oskarżonych o najbardziej spektakularne i najbrutalniejsze morderstwa. Wybrał wyjątkowo skuteczny sposób promowania swojego nazwiska, a co za tym idzie, nie mógłby sobie darować, gdyby nie skorzystał również na sprawie Snajpera.

— Chciałbym porozmawiać z moim klientem — zażądał zaraz na wstępie.

— Będzie pan mógł z nim porozmawiać, kiedy tylko skończymy z panią Wenning. — Bodenstein odrzucił jego prośbę. — Proszę tu poczekać.

Adwokat zaprotestował, na co Lis Wenning poprosiła go o zrozumienie i cierpliwość, a Pia zauważyła, że mówią sobie po imieniu.

— Skąd zna pani doktora Andersa? — Pia nie mogła powstrzymać ciekawości i ledwie znalazły się same na korytarzu, rozpoczęła rozmowę z ciemnowłosą kobietą. Prowadziła ją do pokoju przesłuchań, w którym przed chwilą siedział Erik Stadler.

Bodenstein wpuścił je do środka, zamknął drzwi i wskazał miejsca. Lis usiadła na brzeжку krzesła, ściskając w dłoniach pasek torebki. W jej wielkich, ciemnych oczach widać było troskę i niepokój.

— To klient centrum fitness — wyjaśniła. — Poza nim nie znam żadnych prawników, a gdy wczoraj wieczorem pani kolega przyjechał po Erika, domyśliłam się, że to musi być coś poważnego. Gdzie go trzymacie? Co mu zarzucacie?

Pia przyjrzała się kobiecie i postanowiła, że nie będzie niczego przed nią ukrywać.

— Pana Stadlera podejrzewamy o zamordowanie czterech osób — powiedziała.

— Pani chyba żartuje! — Lis Wenning pobladła jeszcze bardziej i złapała się za gardło. — Dlaczego? Po co miałyby kogoś zabijać?

— Żeby pomścić śmierć matki i siostry — wyjaśniła Pia. — Niestety, na razie pan Stadler nie przejawia chęci współpracy z nami. Na czas, w którym doszło do zabójstw, nie ma alibi. Twierdzi, że akurat biegał. Może pani będzie mogła nam pomóc.

Dziewczyna Stadlera wciąż jeszcze zmagала się z szokiem i usiłowała przetrwać oskarżenie, które właśnie usłyszała. Przerazona potrząsała głową.

— Gdzie pan Stadler przebywał dziewiętnastego grudnia między ósmą

a dziesiątą rano? — zapytał Bodenstein. — Dwudziestego grudnia około dziewiętnastej? I w pierwszy dzień świąt o ósmej rano? A wczoraj w południe?

— Ja... nie wiem. Naprawdę nie wiem — wyjąkała kobieta. — Dziewiętnastego i dwudziestego grudnia na pewno był w pracy. A w święta, jak się obudziłam, to już go nie było. Wrócił dopiero wieczorem.

Przerwała i się zawahała.

— Nie powiedział mi, dokąd poszedł. A ja nie pytałam. Wczoraj na pewno siedział w firmie, bo ma bilans roczny i muszą wszystko pozamykać, a księgowa akurat złożyła wymówienie.

— Nie, wczoraj nie pojawił się w firmie. Zostawił tam za to wiadomość, że będzie pracował w domu.

Lis Wenning zamrugła zdezorientowana i popatrzyła na Pię i Bodensteina.

— Pani Wenning, czy w ostatnich tygodniach zauważyła pani jakąś zmianę w zachowaniu pana Stadlera? — Bodenstein mówił cichym, przenikliwym głosem. — Czy zaczął robić rzeczy, których wcześniej nie robił?

Przez chwilę Lis Wenning walczyła z lojalnością, lecz w końcu skinęła głową.

— Tak, zmienił się — przyznała wreszcie. — I to bardzo się zmienił. Od śmierci Helen. Jej samobójstwo bardzo go dotknęło. On i Helen byli ze sobą blisko związani. Chwilami byłam o nią niemal zazdrosna.

Na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech, ale szybko spoważniała.

— W jaki sposób się zmienił? Jak zachowywał się wcześniej, a jak po jej śmierci? — dopytywała się Pia.

— Przestał się uśmiechać — wyjaśniła Lis Wenning. — W ogóle się nie śmieje. I zamknął się w sobie. Często miałam wrażenie, że myślami jest

gdzieś indziej. Poza tym zaczął obsesyjnie uprawiać sport. Aż do przesady. Erik... on jest uzależniony od mocnych przeżyć i adrenaliny. Przestałam z nim jeździć na te jego zawody. Nie potrafiłam znieść tych wyczynów.

Lis zamilkła. Zacisnęła usta. Nagle wydała się zagubiona i bezradna.

— A ostatnio miałam wrażenie, że cały czas się czymś przejmuję. Martwił się o coś — wyszeptwała i spuściła głowę. — Czułam, że coś przede mną ukrywa. Nagle zrobił się strasznie niepunktualny i zaczął chować komórkę, jakby nie chciał, żebym coś w niej zobaczyła.

— Czy domyśla się pani, co mogło go tak zajmować i martwić? — zapytał Bodenstein.

— Ja... to znaczy... pomyślałam... że znalazł sobie inną. I ma romans. — Po jej policzku potoczyła się łza. — Kilka razy usiłowałam z nim o tym porozmawiać, ale... ale on od razu ucinał jakiejkolwiek próby. To w sumie zupełnie do niego niepodobne, bo on taki nie jest. I... i dopiero niedawno... powiedział mi... że mnie kocha.

Lis Wenning wyjawiała wszystko, co wiedziała. Gdyby tylko mogła, dałaby mu alibi, być może nawet zdecydowałyby się dla niego kłamać, ale jednak wybrała prawdę.

— Czy pan Stadler posiada broń palną?

— Tak. Kilka sztuk. Trzyma je w szafie pancерnej w firmie.

— Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby jeszcze dzisiaj przekazała ją pani naszym ludziom. — Bodenstein zakończył rozmowę. — Przebadamy ją i miejmy nadzieję, że w poniedziałek pan Stadler będzie gotów z nami porozmawiać. Do tego czasu musi niestety u nas zostać.

Lis Wenning skinęła głową i wstała.

Bodenstein i Pia odprowadzili ją do adwokata, który nie krył zniecierpliwienia, bo chciał jak najszybciej spotkać się ze swoim klientem. Oliver zdecydował jednak, że najpierw sam chce porozmawiać z Erikiem.

Poprosił Cema, żeby pojechał z panią Wenning do Sulzbach i zabezpieczył broń Stadlera juniora.

Erik Stadler siedział na wąskiej pryczy. Miał zamknięte oczy, głowę oparł o ścianę i tkwił tak nieruchomo.

— Panie Stadler — zaczął Bodenstein, wchodząc do celi. Pia przysłuchiwała się z progu. — Dlaczego nie mówi nam pan prawdy? Dlaczego ryzykuje pan oskarżenie o popełnienie czterech morderstw, skoro uważa pan, że jest pan niewinny? Czy chce pan kogoś w ten sposób ochronić?

Brak odpowiedzi.

— Dzisiaj zostanie pan przewieziony do aresztu śledczego. Tam, jeśli zajdzie taka potrzeba, zostanie pan na dłużej.

Erik Stadler otworzył w końcu oczy. Przez kilka chwil Pia miała nadzieję, że wreszcie zacznie mówić i poznają prawdę. Jednak się rozczarowała.

— Róbcie, co chcecie — odparł Stadler. — Bez adwokata nic już nie powiem.

KIEDY PIA i Bodenstein skręcili w Stichstrasse, przy której stał dom Dirka Stadlera, zostali niemal stratowani przez kobietę, która biegła ze spuszczoną głową i nie patrzyła, dokąd idzie. W słabym świetle ulicznych latarni Pia rozpoznała w niej księżową Erika Stadlera.

— Pani Fellmann? — zapytała zaskoczona.

Kobieta drgnęła przestraszona, zatrzymała się i odwróciła. Miała zaczerwienione, opuchnięte oczy i mokre od łez policzki.

— Dzień dobry... wyszłam właśnie od pana Stadlera... zostawiłam mu klucze do firmy, bo przez cały dzień jak głupia czekałam na Erika, który oczywiście nie raczył się pokazać, choć byliśmy umówieni — wyjaśniła. — W sumie wczoraj był mój ostatni dzień w pracy, ale dał mi słowo honoru,

że dzisiaj specjalnie pojawi się w biurze, żeby się ze mną pożegnać i że wypijemy lampkę szampana za lata współpracy. Dokończyłam jeszcze bilans roczny — ale całkiem sama, bo mój szef oczywiście zostawił mnie na lodzie! Nawet nie raczył zadzwonić, żeby mi o tym powiedzieć!

Przerwała i znów załała się łzami. Była ogromnie rozczarowana i zraniona takim lekceważeniem.

— Od jak dawna pracowała pani dla Erika Stadlera? — zapytała Pia.

— Od samego początku! Od kiedy tylko założył firmę! — Franka Fellmann zanosła się szlochem. — Czyli od października 2009 roku. Na początku na pół etatu, ale interes szedł coraz lepiej, przybywało zleceń i Erik potrzebował księgowej na pełen etat.

Sięgnęła do torebki, wyjęła paczkę chusteczek higienicznych i głośno wytarła nos.

— Zajmowałam się przede wszystkim pilnowaniem klientów, żeby płacili na czas faktury. Bo takimi przyziemnymi sprawami wielcy geniusze komputerowi nie lubią zaprzętać sobie głowy.

Zaśmiała się gorzko, skrzywiła i znów zapłakała.

— Erik zawsze był świetnym szefem, a ja naprawdę wspaniale się czułam, budując tę firmę razem z nim. Ale teraz... dalej już tak nie mogę. Mam syna, który mnie potrzebuje, a od kilku miesięcy cała firma jest na mojej głowie. Od śmierci siostry szefa wszystko zaczęło się walić.

— Znała ją pani? To znaczy, siostrę szefa? — zapytał Bodenstein.

Twarz Franki Fellmann przez chwilę wyrażała niechęć.

— Tak, oczywiście, że ją znałam. To prawie rodzinna firma. Co jakiś czas się wszyscy spotykaliśmy i wspólnie świętowaliśmy. Helen często bywała na takich imprezach.

— Jakim była człowiekiem?

Franka zawahała się i znów zaczęła płakać.

— Nie wiem, czy powinnam, bo o zmarłych mówi się dobrze albo wcale — wyszłochała w końcu. — Ale Helen to była fałszywa zdzira. A wszyscy obchodzili się z nią jak z jajkiem. Tymczasem jak by jeden z drugim dał jej solidne lanie, to by pewnie znacznie bardziej jej pomogło niż to ciągle wytrząsanie się nad nią. Skoro już pytacie mnie o zdanie, to wam powiem, że Helen terroryzowała rodzinę i niszczyła ją swoją obsesją na punkcie matki.

Bodenstein i Pia wymienili szybkie spojrzenia. Żadne z nich nie chciało przerywać France.

— Za każdym razem, gdy się rozkręcało przyjęcie albo grill i zaczynały dopisywać humory, ta musiała wyskoczyć z czymś o matce i natychmiast psuć nastrój. Ale za to ona była w centrum uwagi. To było chore, robiła to tylko po to, żeby ludzie się nią interesowali. Często miałam wrażenie, że podobała jej się taka rola i uwielbiała manipulować innymi. Raz jej powiedziałam, że powinna pójść na jakąś terapię, to naskoczyła na mnie jak jakaś wariatka. Potem już się do mnie nie odzywała. Przestała mnie zauważać, jakbym była powietrzem.

— Czym Helen zajmowała się zawodowo? Pracowała gdzieś? Erik zatrudnił ją w swojej firmie? — zapytała Pia.

— Pewnie bardzo by chciała, ale przecież ona nic nie umiała! — odparła pani Fellmann z pogardą w głosie. — Przez jakiś czas szef próbował ją do czegoś przyuczyć i posadził przy telefonie, ale nawet to ją przerosło. Przychodziła, kiedy chciała, dzwoniła w swoich prywatnych sprawach, i nie można było na niej polegać, bo wszystko zawałała. W końcu powiedziałam, że albo ona, albo ja. Jens-Uwe i Helen śmiertelnie się na mnie obrazili, ale dzięki temu firma znów zaczęła normalnie funkcjonować, a tylko to się dla mnie liczyło.

Franka Fellmann była zazdrosna o Helen Stadler i raczej na pewno jej nienawidziła, lecz jej śmierć nie zmieniła niczego na lepsze. Siostra szefa

nawet zza grobu zniszczyła w końcu wszystko, co miało dla Franki znaczenie.

— Co potem robiła?

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że zapisała się na studia. Chyba na psychologię i socjologię. Ale ich nie skończyła.

— Gdzie mieszkała?

— Tutaj, z ojcem. — Pani Fellmann wskazała głową za siebie. — I nie chciała się wyprowadzić, chociaż Jens-Uwe miał bardzo duże mieszkanie.

— Zna pani jej narzeczonego? Jensa-Uwego Hartiga?

— Tak, pewnie, że znam. Dziwny facet. — Chusteczką, którą przed chwilą wycierała nos, osuszyła oczy z łez. — Skrajnie nadopiekuńczy. Dla niego liczyła się tylko Helen, nikt inny. Nie widział, co się dzieje dookoła i nie odstępował jej na krok. Pomagał jej, pocieszał i bronił tak samo, jak mój szef i jego ojciec. Ale naprawdę dziwne było to, że rozmawiali tylko o przeszłości. Jak jakieś staruszki z domu starców! W ogóle nie żyli tym, co teraz. I Jens-Uwe, zamiast ją wyprowadzić na prostą i pokazać, do czego ma dążyć, utwierdzał ją tylko w przekonaniu, że dobrze robi, przeżywając w kółko tę swoją tragedię.

— Chcieli się pobrać, prawda?

— Tak, na początku października. W kościele i potem w urzędzie stanu cywilnego w Kiedrich, bo stamtąd pochodzi Jens-Uwe. Zlecałam drukowanie zaproszeń, stąd wiem. Myślę, że wszyscy się trochę cieszyli. To znaczy Erik, jego dziewczyna i ich ojciec. Bo mieliby z głowy zajmowanie się szurniętą Helen.

Zaszlochała.

— Mam straszne wyrzuty sumienia, że zostawiam ich tak samych, w trudnym momencie, ale ja już nie mogę dłużej! Dalej tak się po prostu nie da. Od tygodni szef nie pokazuje się w biurze, nie mówi, gdzie jest ani co



planuje, i nie odbiera telefonu! Tak się przecież nie da pracować. A teraz jeszcze, na sam koniec, w ostatni dzień nie przychodzi, chociaż wczoraj zaklinał się na wszystkie świętości, że wpadnie się pożegnać!

— Wczoraj był w biurze? — Pia wydawała się zaskoczona.

— Nie. Ostatnim razem widziałam go chyba przed świętami. — Franka Fellmann potrząsnęła głową.

— Powiedział pani, gdzie będzie? Może wyjechał za granicę?

— Nie mam pojęcia. W ogóle nic mi już nie mówi.

Odezwał się telefon w jej torebce. Wyłowiła go spośród innych rzeczy.

— To mój syn — powiedziała z przepaszającym uśmiechem i otarła łzy.  
— Muszę go odebrać od kolegi.

— Jeszcze tylko jedno pytanie — poprosiła Pia. — Może pani obito się coś o uszy: czy Jens-Uwe Hartig jest strzelcem?

— Strzelcem? — Franka Fellmann popatrzyła na nią jak na wariatkę, ale nagle na jej twarzy pojawił się uśmiech zrozumienia. — Strzelcem, takim od strzelania. Myślałam, że chodzi pani o znak zodiaku. Niestety, nie mam pojęcia.

— DLACZEGO OSTATNIM RAZEM sprzedał nam pan jakąś bajkę? — Pia spojrzała ostro na Dirka Stadlera, kiedy po chwili znaleźli się w jego salonie. Mężczyzna tymczasem rozebrał choinkę i wystawił ją na taras. Kiedy przyszli, akurat odkurzał.

— O czym pani mówi? Jaką bajkę? — Stadler spojrzał na nią zaskoczony. Dokuśtykał do stołka, usiadł na nim i zaczął masować nogę.

— O dniu, w którym zmarła pańska żona. Było inaczej, niż nas pan zapewniał.

— Nieprawda! Powiedziałem przecież, jak było. Po co miałbym mówić nieprawdę?

— Bo prawnicy pieniędzmi zamknęli panu usta — wyjaśniła Pia. — Zapłacili panu za to, żeby nie opowiadał pan, co się naprawdę stało, i nikomu nie zdradził, że pańska żona była przytomna, kiedy Erik ją reanimował. Ile pan za to dostał?

Pia dość dowolnie zinterpretowała to, co opowiedział jej Erik Stadler, lecz uznała, że warto zaryzykować. Oczekiwała ostrego sprzeciwu i oburzenia, jednak Dirk Stadler tylko westchnął ciężko.

— Pięćdziesiąt tysięcy euro. Ale to, co pani mówi, to całkowite bzdury. Erik nie mógł pomóc mojej żonie. Kirsten była nieprzytomna i nie reagowała na bodźce.

— Skąd pan może to wiedzieć? Przecież nie było pana wtedy w kraju!

— Erik mi o tym wszystkim opowiedział — wyjaśnił Dirk Stadler.

— I uznał pan, że prawda i sprawiedliwość jest w tym wypadku warta raptem pięćdziesiąt tysięcy euro, tak?

— Nic pani nie rozumie... — Stadler wzruszył ramionami. — Nikt niczego nie sfalszował. Ale mój teść nie potrafił się pogodzić z tym, że to on podpisał dokument ze zgodą na pobranie organów. I to on potem upierał się, że koniecznie muszę pozwać szpital, a ja dałem mu się przekonać, choć od samego początku sprawa była skazana na niepowodzenie. Druga strona dysponowała oryginalnym podpisem pod zgodą na pobranie organów, dzięki czemu mieli wygraną w kieszeni. Jednak zdecydowali się zaproponować mi pieniądze za wycofanie pozwu. Zaakceptowałem ich propozycję. Proszę się postawić na moim miejscu. Po tym wszystkim nie miałem już sił walczyć. Z góry przegrana sprawa przeciwko wielkiemu szpitalowi, którą ich prawnicy mogli przeciągać całymi latami, żeby zrujnować mnie finansowo! Na dodatek, niezależnie od wyniku, Kirsten i tak nie odzyskałaby życia. Musiałem znaleźć nową pracę i zająć się dziećmi. Przede wszystkim Helen wymagała opieki. Miała wtedy tylko czternaście lat. Dlatego poszedłem im

na rękę, wycofałem pozew i wziąłem pieniądze. Dzięki temu mogłem też dać Erikowi i Helen trochę pieniędzy na start.

— Na czym oparł pan pozew? — zapytał Bodenstein. — Skąd miał pan informacje, że coś poszło nie tak, jak powinno?

— Dałem przecież panu skoroszyt ze wszystkimi aktami — odparł Stadler.

— Mimo to chętnie usłyszałbym to również od pana — nie dawał za wygraną Bodenstein.

— No dobrze. Ja nie chciałem nikogo pozywać. — Stadler wyciągnął przed siebie nogę, krzywiąc się przy tym z bólu. — Dla moich dzieci postanowiłem zamknąć temat. Chciałem razem z nimi przeżywać utratę matki i żony, żeby nauczyć się z tym żyć. Jednak teść nastawał i nie dawał mi spokoju. Był jak opętany, wymyślał ciągle jakieś teorie spiskowe, a to, co Jens-Uwe mu jeszcze naopowiadał, tylko utwierdzało go w przekonaniu, że ma rację.

— Zaraz! — Bodenstein przerwał mu gwałtownie. — Pan Hartig twierdził, że Helen poznał około cztery lata temu. Jak w takim razie mógł cokolwiek opowiadać pana teściowi, skoro to się działo dekadę temu?

Stadler spojrzał na niego zaskoczony.

— Nie wiem, może rzeczywiście Helen poznał dopiero przed kilkoma laty. Moich teściów zna za to znacznie dłużej, a poznali się przez tę grupę wsparcia, do której trafili po śmierci Kirsten. Jens-Uwe naopowiadał im o swoich doświadczeniach, o tym, że był świadkiem, jak nie zachowuje się przepisowych przerw między kolejnymi badaniami, że często brakuje protokołów pooperacyjnych albo lekarze je fałszują... był bardzo przekonujący, a ja w końcu dałem się namówić i wniosłem pozew. Przez ten ruch moja rodzina żyła tym tematem następnych kilka miesięcy, a zanosilo się na lata. Nie dawaliśmy sobie czasu, żeby wyleczyć rany. Poza mną nikt nie zauważył, jak bardzo Helen cierpiała. Była wtedy dorastającą

dziewczynką, wyjątkowo wrażliwą i delikatną, ale też miała bardzo radykalne i bezkompromisowe poglądy, jak zresztą wielu młodych ludzi. Uważała też, że jej matce celowo pozwolono umrzeć, żeby zdobyć dostęp do organów do przeszczepu.

— Czy Helen poznała prawdę? — dopytywał się Bodenstein.

Dirk Stadler zgarbił się i westchnął zrezygnowany.

— Przecież już mówiłem panu i pańskiej koleżance, że nie ma żadnej prawdy i nieprawdy. Moja żona wyszła pobiegać i doznała wylewu krwi do mózgu, co doprowadziło do jej śmierci. Helen nie mogłaby jej pomóc, nawet gdyby w chwili wystąpienia krwawienia stała tuż obok niej. Być może moja żona przeżyłaby wtedy kilka dni dłużej na intensywnej terapii, może nawet kilka miesięcy, podłączona do tych wszystkich urządzeń podtrzymujących funkcje życiowe. Ale to byłaby wegetacja. Nie miała najmniejszych szans, żeby odzyskać świadomość i wrócić do zdrowia. Jej mózg umarł. EEG pokazywał płaską linię. Helen nie chciała tego słuchać. Nie wierzyła. Była zrozpaczona i wmawiała sobie, że za mało zrobiła. Że to ona jest winna. W ciągu ostatnich lat sześciokrotnie podejmowała próby samobójcze. Czasem znikła na kilka dni z domu. A ja za każdym razem przechodziłem przez piekło. Nie miałem pojęcia, gdzie jest i co się z nią dzieje. Ilekroć dzwonił wtedy telefon, robiło mi się zimno ze strachu, bo bałem się, że to policja znalazła jej zwłoki. Jednak za każdym razem wracała. Twierdziła, że zatrzymywała się u jakiegoś znajomego. Kilka lat temu zakochała się w Jensie-Uwem. Wyglądało na to, że to jej bardzo pomogło, bo uspokoila się, wyciszyła i zaczęła interesować różnymi rzeczami. Jej samobójstwo spadło na nas jak grom z jasnego nieba. Dopiero co wróciła do normalnego życia, cieszyła się na ślub...

Dirk Stadler zamilkł i wierzchem dłoni przetarł oczy.

— Wciąż jeszcze nie potrafię tego pojąć. Pojechała do Frankfurtu na

przymiarce sukni ślubnej i tego samego wieczoru odebrała sobie życie.

— Ale w Kelsterbach? Dlaczego akurat tam? Po co tam pojechała?

— Niestety, nie mam zielonego pojęcia. Do dzisiaj to dla mnie zagadka. Mogła przecież wybrać każde inne miejsce, a pojechała specjalnie tam.

— Czy zostawiła list pożegnalny? Jakąś wiadomość?

— Nie, Niestety.

Pia pomyślała o liście, który redakcja „Taunus Echo” otrzymała od Snajpera. „Przyszedłem sądzić żywych i umarłych”. Ostatnie zdanie było zmodyfikowaną frazą katolickiego wyznania wiary.

— Czy jest pan osobą wierzącą? — Pia nieoczekiwanie zmieniła temat.

— Nie. — Dirk Stadler potrząsnął głową. — Wiele lat temu przestałem wierzyć w sprawiedliwego Boga.

— Czy moglibyśmy zobaczyć rzeczy, które zostały po Helen?

— Jeśli to konieczne, to proszę. Niczego nie ruszałem w jej pokoju. Wszystko jest tak, jak zostawiła.

— Czy wie pan, gdzie w ostatnich dniach przebywał pański syn? — zapytał Bodenstein.

— Nie. — Kolejna niespodziewana zmiana tematu bardzo go zaskoczyła. — Po raz ostatni widziałem go w Wigilię. Przyjechali do mnie z Lis. A przed chwilą była u mnie jego księgowa, żeby oddać klucz do firmy, bo nie mogła się do niego dodzwonić. Czy wszystko z nim w porządku?

— Tak, ale musieliśmy go zatrzymać. Wczoraj pojechałem po niego do jego domu — wyjaśnił Bodenstein. — Mamy podstawy, by podejrzewać go o udział w tym wszystkim.

— Erika? Podejrzewacie Erika?! — Dirk Stadler wpatrywał się w nich jak ogłuszony. — Ale... przecież... chyba nie sądzicie, że mój syn... byłby zdolny, żeby kogoś zastrzelić?

— No cóż, jest strzelcem i to całkiem dobrym. Poza tym miałby bardzo

dobry motyw. I nie ma alibi na czas, kiedy były popełniane kolejne morderstwa.

— Ale przecież to nie Erik! On... On nigdy by czegoś takiego nie zrobił!

I Bodenstein, i Pia zwrócili uwagę na trwające mgnienie oka zawahanie. Czyżby Dirk Stadler jednak nie był stuprocentowo przekonany o niewinności swojego syna?

Stadler wstał z wysiłkiem ze stołka i pokuśtykał przez pokój. W jednej chwili zniknęła jego otwartość.

— Chcieliście zobaczyć pokój Helen, tak? — zapytał. — Musicie wejść na piętro. Drugie drzwi po prawej. Jak skończycie, zjedźcie dać mi znać. Ja nie będę tam wchodził, bo strasznie boli mnie dzisiaj noga.

— Dobrze, oczywiście. — Bodenstein skinął głową.

Stadler nachylił się nad odkurzaczem, lecz w ostatniej chwili coś przyszło mu do głowy.

— Na waszym miejscu porozmawiałbym jeszcze z Jensem-Uwem. Albo z Markiem Thomsenem.

— Markiem...?

— To przewodniczący PKOMMT — wyjaśnił Stadler i uśmiechnął się gorzko. — To... ojciec zastępczy Helen. Jakby go w ogóle potrzebowała.

PRZY CENTRUM HANDLOWYM Seerose w Eschborn panował ożywiony ruch, bo w ludziach uruchomił się dziwny instynkt odwiedzania miejsc zbrodni. I tak ciekawscy ściągali z daleka i z bliska, ale nie na zakupy, lecz żeby zobaczyć miejsce, gdzie Hürmet Schwarzer zginęła od kuli Snajpera. Sporo osób robiło tam sobie zdjęcia. Rozbita szyba sklepu obuwniczego została zastąpiona nową. Również piekarnia, w której pracowała ofiara, działała jak co dzień. Zupełnie jakby nic się nie stało.

— Nie do wiary — powiedziała Pia, rozglądając się z odrazą, kiedy mijali

tłum ludzi otaczający jeszcze widoczne ciemne plamy krwi na chodniku.  
 — Dlaczego oni to robią?

— Sam chciałbym to zrozumieć. Ale obawiam się, że nigdy tego nie  
 pojmem. — Bodenstein potrząsnął głową. — Jestem głodny jak wilk. Idziemy  
 coś zjeść?

— Pewnie. — Pia natychmiast przyklasnęła jego pomysłowi. — Co  
 powiesz na Burger Kinga? Jest tu, na miejscu.

— Jeśli bardzo chcesz.

Bodenstein nie był wielkim fanem fast foodów i Pia o tym wiedziała, ale  
 miała akurat ochotę na kalorie, mięso i majonez. Mogła skrócić do KFC,  
 jednak nie przepadała za tą restauracją, więc wybór był prosty. Chwilę  
 później stali w kolejce do kasy.

Bodenstein ze sceptyczną miną studiował tablice świetlne nad kasami i już  
 z daleka było widać, że nie pasuje do tego miejsca.

— Co podać? — Młody chłopak za ladą z trzaskiem ustawił przed Pią  
 plastikową tacę i wprowadził do systemu jej zamówienie.

— Wybrałeś coś? — zapytała szefa.

— Jeszcze nie. — Bodenstein zastanowił się, po czym spojrzał na kasjera.  
 — Co mógłby mi pan dzisiaj polecić?

— Eee... a na co masz ochotę? — Chłopak szybko opanował zdziwienie.  
 — Jesteś wege?

— Nie. Czy w menu macie danie o nazwie Fish Mac? — dopytywał się  
 Bodenstein.

— Nie, no pewnie, że nie. Przecież to Burger King.

Pia z trudem zapanowała nad napadem śmiechu, a Oliver niezrażony  
 początkowym niepowodzeniem prosił o opis kolejnych zestawów wraz  
 z podaniem składników poszczególnych kanapek. Ludzie w kolejce  
 przypatrywali się tej scenie z rosnącym niedowierzaniem. W końcu

zdecydował się na Big Kinga XXL z frytkami i wodą mineralną. Pia poczekała, aż zapłaci, chwyciła tacę i ruszyła w stronę wolnego stolika.

— Dlaczego wszyscy tak dziwnie na mnie patrzą? — zapytał Bodenstein, siadając naprzeciwko niej.

— Boże, nigdy jeszcze czegoś takiego nie przeżyłam! — Pia zanosła się śmiechem i chichotała, aż łzy popłynęły jej z oczu. — Ty naprawdę go zapytałeś, co by ci polecił?! Chryste, kto zadaje takie pytania w fast foodzie?

— Nie jestem zorientowany w ich kuchni. — Bodenstein bronił się z godnością, ale w końcu sam nie wytrzymał i uśmiechnął się szeroko. — Z Fish Makiem to wyskoczyłem jak filip z konopi, co?

— Żebyś wiedział! — Pia potrząsnęła głową i wytarła oczy chusteczką. — Jak ten kasjer na ciebie patrzył! Nigdy nie zapomnę jego miny!

Bodenstein odwinął hamburgera i przyjrzał mu się uważnie, po czym ugryzł pierwszy kęs.

— Hm, smakuje całkiem nieźle — stwierdził. — Ale wygląda zupełnie inaczej niż na tablicy z menu.

Pia pokręciła głową, nie przerywając jedzenia. Niemal godzinę spędzili w pokoju Helen Stadler i nie znaleźli niczego, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie. Owszem, była tam cała masa książek, ubrania, albumy, kosmetyki i papiery ze studiów, a w zamkniętym pudle w szafie schowane pluszowe maskotki, lecz to nigdzie ich nie zaprowadziło. W szufladach biurka leżały pamiątki, stare bilety na koncerty, pocztówki, fotografie matki i sporo drobiazgów, których człowiek nie ma odwagi wyrzucić. Absolutnie nic nadzwyczajnego — a jednak brakowało im czegoś, co dziś stanowi nieodłączny element wyposażenia pokoju każdego nastolatka, a mianowicie komputera.

Stadler potwierdził, że Helen posiadała laptopa. W dniu śmierci miała go ze sobą w plecaku, bo zawsze nosiła go przy sobie. Jednak ojciec już go nie



zobaczył. Po zakończonym dochodzeniu policja zwróciła mu plecak z rzeczami córki, ale komputera brakowało. Dziwne. Być może, zastanawiał się Dirk Stadler, wcześniej tamtego dnia zostawiła go u Jensa-Uwego.

Kiedy zadzwonił Kai, Pia właśnie zjadała ostatnie frytki. Poprosiła go, żeby sprawdził Marka Thomsena z PKOMMT i dowiedział się czegoś na jego temat.

— No i ślepa uliczka — orzekł. — W całej okolicy nie mieszka nikt o takim imieniu i nazwisku.

— Ale przecież na wizytówce PKOMMT jest podany jako prezes — przypomniała mu Pia, przyciskając ramieniem komórkę do ucha.

— Zgadza się. Sam widziałem. I jest też adres w Eppstein. Ale to wszystko — odparł Kai. — Zgodnie z danymi z centralnego rejestru, w Eppstein nie mieszka żaden Thomsen. A w naszych bazach też nikogo takiego nie znajduję.

— No proszę, a to ci nowina. — Pia wytarła tłuste palce w serwetkę. — Właściwie mógłbyś zadzwonić do Lydii Winkler. Może ona będzie mogła nam pomóc.

— Pewnie, zaraz zadzwonię. Aha, jest jeszcze jedna ciekawa wiadomość i dotyczy Patricka Schwarzera. Wyobraź sobie, że wcześniej odrabiał zastępczą służbę wojskową jako kierowca karetki.

— Czekaaj, niech zgadnę — powiedziała Pia. — Szesnastego września 2002 roku akurat miał dyżur.

— Zgadza się, miał — potwierdził Kai. — Dzień wcześniej obchodził urodziny i pozwolił sobie na trochę szaleństwa, przez co następnego dnia nie zdążył porządnie wytrzeźwieć. Przy zawracaniu karetką z Kirsten Stadler na pokładzie władował się w rów i spowodował spóźnienie o dobrych czterdzieści pięć minut.

Cem i Kathrin pokazali mężowi Hürmet Schwarzer wiadomość, którą

policja otrzymała od Sędziego, na co mężczyzna przypomniał sobie o tamtych wydarzeniach. Wcześniej całkowicie zapomniał o wypadku sprzed dziesięciu lat, bo wydawał mu się pozbawiony znaczenia. Jeden jedyny błąd, jaki popełnił przez dwa i pół roku służby zastępczej. Kiedy dotarło do niego, że ten właśnie głupi błąd sprzed lat kosztował jego żonę życie, znów się załamał i zapowiedział, że popełni samobójstwo. Dlatego Cem musiał wezwać psychologa i czekać na jego ojca i brata, żeby się nim zajęli.

„Wielka krzywda się stała, lecz winnych jej dosięgnie taki sam ból jak ten, który sprawili swoją obojętnością, chciwością, próżnością i bezmyślnością” — Pia zacytowała z pamięci list Sędziego, który otrzymali od redaktora gazety.

— O tak, zabójca osiągnął swój cel — zauważył Kai rzeczowo. — Gość jest na krawędzi.

W drodze do samochodu Pia opowiedziała szefowi o przeszłości Patricka Schwarzera i przekazała pozostałe wiadomości od Kaia.

— Popatrz, to znów przemawia przeciwko Erikowi Stadlerowi — zastanowił się Bodenstein. — Musiał wiedzieć, co się wtedy wydarzyło.

— A jak myślisz, czy to możliwe, że mamy do czynienia z profesjonalnym zabójcą na zlecenie, wynajętym przez jednego ze Stadlerów? — zapytała Pia i zadrżała. Dopaść profesjonalistę, być może nawet obcokrajowca, który mógł incognito przyjechać z innego kraju i zaraz zniknąć bez śladu, było prawie niewykonalne.

— W takim wypadku skupimy się na szukaniu zleceniodawców. — Bodenstein się rozejrzał. Wszystko zasłaniała gęstniejąca mgła.

— Wtedy wszystkie profile psychologiczne byłyby warte tyle co papier, na którym zostały spisane — mruknęła Pia. — A zlecenie mogłoby wyjść też od starego Winklera. Albo kulejącego Stadlera.

— Niech to szlag — zmełł przekleństwo Bodenstein. — Od zeszłego

tygodnia nie posunęliśmy się naprzód ani o krok! A czas ucieka!

— Nieprawda. Wiemy przynajmniej, dlaczego on to robi — zaprzeczyła Pia. Z pełnym żołądkiem znacznie przyjemniej się myślało. — Kirsten Stadler i jej córka są motywem.

— Dlaczego dopiero teraz?

— Samobójstwo córki mogło wyzwolić taką reakcję w sprawcy — zgadywała policjantka. Podniosła dłoń i wyliczyła podejrzanych: — Erik Stadler. Dirk Stadler. Joachim Winkler. Jens-Uwe Hartig. To są nasi główni podejrzani i ich musimy mieć na oku. Ale jeszcze ważniejsze jest ustalenie, czy mogą być dalsze ofiary. Dlatego powinniśmy przycisnąć Stadlera juniora, Hartiga i szpital.

— Tak też zrobimy — zapowiedział Bodenstein i skinął zdecydowanie głową. — Dopadniemy sukinsyna.

Słabe światło wpadało przez szpary w roletach zewnętrznych. Bodenstein otworzył oczy i leżał przez chwilę bez ruchu, czekając, aż jego mózg uwolni się od resztek zaskakująco realnych snów. Rzadko kiedy jakaś sprawa, nad którą pracował za dnia, pochłaniała go również w nocy. Tym razem jednak ludzie, którzy dla niego i dla jego zespołu stanowili część zagadki, znaleźli drogę do jego snów, jakby chcieli mu coś przekazać. Przewrócił się na plecy i cieszył się ciszą, jaka panowała w domu. Nie wołało go żadne dziecko, żaden pies nie domagał się wyjścia na spacer... Nie było również Inki. Pościel po jej stronie łóżka była ułożona tak samo jak zeszłego wieczoru. Poprzedniego dnia, późno po południu wysłała mu SMS-a, że musi jechać do Limburga, bo została wezwana do jakiegoś pilnego przypadku i nie ma pojęcia, o której skończy. Żeby go nie budzić po nocy, wróci do siebie. Nieprzekonujące i w gruncie rzeczy błahe wyjaśnienia wydały mu się zastanawiające, bo przecież w przeszłości nieraz przyjeżdżała w środku nocy. Miała swój komplet kluczy, więc nie musiała go budzić. Dlaczego więc tak się zachowała? Czy coś się stało? Miał wrażenie, że w święta wszystko było w jak najlepszym porządku, a teraz nagle zaczęła go unikać? Czyżby czuła się zaniedbywana? A może zaczęła wątpić we wspólną przyszłość? Wiedział, że Sophia była dla niej problemem, ale miał nadzieję, że to, co ich łączyło, było dostatecznie silne, by zaakceptowała i tę sytuację. Wcześniej, z Cosimą, często się kłócił czy burzliwie dyskutował. Z Inką wręcz przeciwnie, nigdy o nic się nie spierali; milczała, kiedy coś jej nie odpowiadało. Coraz boleśniej uświadamiał sobie, że to, co na początku brał za idealną harmonię, w rzeczywistości wynikało z jej braku umiejętności sprzeciwu, a nawet znacznie gorzej: z jej braku zainteresowania i obojętności. Inka była dumną i niezależną kobietą. Przez całe życie nie udało jej się zbudować żadnego

trwałego związku i najwyraźniej było jej z tym dobrze, więc dlaczego teraz, tuż po pięćdziesiątce, miałyby cokolwiek zmieniać? Może za bardzo się do siebie zbliżyli? Może ciążyło jej to przywiązanie? Albo zaczęła odczuwać nudę? Bodenstein spojrzął na wyświetlacz elektronicznego budzika. Minęła ósma rano. Na dziś zaplanował spotkanie z Fritzem Gehrkiem, bo chciał spokojnie porozmawiać o zarzutach Sędziego, które ujawnił w liście i nekrologu. Usiadł, zsunął nogi z łóżka i poszedł wziąć prysznic.

Dlaczego Inka nie odpowiedziała na jego SMS-a, w którym życzył jej dobrej nocy?

I przede wszystkim, co tak naprawdę było między nimi? Miłość? Raczej nie. A w każdym razie na pewno nie to gorące, głębokie uczucie wywołujące szybsze bicie serca, które tak długo odczuwał w związku z Cosimą, nawet jeśli — o czym dowiedział się poniewczasie — nie spotykało się z wzajemnością. Jego związek z Inką nie zrodził się z gwałtownej miłości i zakochania, tylko tak, po prostu. Prawie przy okazji. Miłość ich dzieci odkurzyła dawną sympatię. Każde z nich miało swoją pracę i swoje życie i nigdy niczego sobie nie wyznali, żadne z nich nie podjęło ostatecznej decyzji. Inka stopniowo przenosiła się do jego domu, a on akceptował, że nie robiła tego konsekwentnie i do końca: nie chciała wynająć swojego mieszkania, jakby bojąc się postawić kropkę nad i, by przypieczętować oficjalnie ich związek. Po rozstaniu z Cosimą i krótkim romansie z Anniką Sommerfeld Inka stała się jego powierniczką. Słuchała go, rozmawiała, godzinami wisieli na telefonie. W pewnym momencie wylądowali w łóżku. I było im dobrze. Tak po prostu. Ale z żalem musiał przyznać się przed sobą, że to nie było nic więcej.

Goląc się, myślał o tym, że właściwie jej nie zna. Inka wyznaczyła granice, których nie mógł przekraczać. Zawsze była ostrożna i miała tajemnice, do których go nie dopuszczała. Jakby zamknęła część swojego wnętrza. Mógł

rozmawiać z nią na każdy temat, ale nigdy ich rozmowy nie dotyczyły jej samej. Do dziś nie powiedziała mu, kim jest ojciec Thordis. Nie rozmawiała z nim też o czasie, który spędziła w Ameryce, i nigdy nie wspominała żadnych znajomych ani przyjaciół.

Dziwił się, że tak gruntownie to roztrząsa. Czy miał do tego prawo tylko dlatego, że przez dwie noce nie spała z nim w jednym łóżku i nie odpowiedziała na jednego SMS-a? Czy to usprawiedliwiało wątpliwości w sens ich związku? Inka prowadziła klinikę weterynaryjną dla koni i miała ogromnie dużo pracy. On też się nie obijał, szanował jej zaangażowanie, a ona jego. Wszystko. Nie ma nad czym się zastanawiać. A mimo to wciąż czuł jakiś niepokój i nie wiedział, jak sobie z tym poradzić. Czyżby znów coś sobie wmawiał, bo nie miał odwagi spojrzeć obiektywnie i pogodzić się z prawdą? Czy rzeczywiście odpowiadała mu zwyczajność i normalność tego związku?

Bodenstein ubrał się i zszedł na dół. Zatopiony w myślach uruchomił ekspres do kawy i wsunął dwie kromki chleba do tosterka. Sprawdził telefon. Inka mu nie odpisała. Tosty posmarował białym serem i dżemem truskawkowym. Zjadł je na stojąco, a na koniec wypił filiżankę kawy. Za oknem budził się kolejny chmurny, mokry i pozbawiony słońca dzień. W gazetach pisali, że grudzień 2012 był najbardziej ponurym miesiącem od 1951 roku, kiedy zaczęto prowadzić kronikę pogody. Może zresztą to właśnie brak słońca i stresujące śledztwo, którego nie mógł zakończyć, sprawiały, że wszystko widział w czarnych barwach? Przypomniawszy sobie o ofercie od matki Cosimy. Jeszcze nie rozmawiał o tym z Inką i niemal zapomniał o całej sprawie. Był jednak świadom, że im dłużej będzie zwlekał, tym trudniej będzie mu zacząć. Z drugiej strony nie chciał poruszać tak poważnego tematu w biegu, bez odpowiedniego przygotowania. Tym bardziej, że spodziewał się emocjonalnej reakcji, jak na wszystko, co wiązało się z rodziną Cosimy.

Postanowił, że da sobie jeszcze trochę czasu. Jutro sylwester, pojutrze Nowy Rok, a wraz z nim nowe szanse i możliwości. Teraz miał dopaść mordercę.

*W DOMU BYŁO BARDZO ZIMNO — tak zimno, że przy każdym wydechu tworzył się obłok pary wodnej. Przykryty dwiema kołdrami odczuwał przyjemne ciepło, więc odwlekał chwilę, kiedy będzie musiał wstać, choć pełen pęcherz dawał mu się już we znaki. Gdyby nie to, mógłby jeszcze długo tak leżeć. Nigdzie się nie spieszył. Dni upływały pod znakiem oczekiwania na odpowiednią pogodę. Miał nadzieję, że w końcu mgła się podniesie! Poprzedniego wieczoru czytał kryminał tak długo, aż oczy zaczęły same mu się zamykać ze zmęczenia. To była jedna z jej ulubionych książek. Świetnie napisana, trzymała w napięciu, lecz odrzucały go szczegółowe opisy zbrodni, jakich psychopata dopuszczał się na kobietach.*

*Przesunął wzrokiem po odchodzących paskudnych tapetach i wyjrzał przez okno, którego drewniane ramy obchodziły z farby.*

*Zdecydowanym ruchem zrzucił z siebie kołdry, sięgnął po polarową bluzę, którą powiesił na krześle obok łóżka, i wsunął stopy w wyłożone futerkiem kapcie. W łazience i w salonie było tak samo zimno jak w sypialni, a co gorsza, skrzynia na drewno obok pieca była pusta. Niech to szlag! Poszedł do ubikacji, potem ubrał się w szalik i czapkę, wziął kosz i wyszedł na zewnątrz, żeby narąbać drewna. Schody zaskrzypiały pod jego ciężarem, a z środkowej jodły przed domem zerwały się kruki i odleciały z wściekłym wrzaskiem. Mgła wisiała nad okolicznymi domami, a powietrze było zimne i wilgotne. Obszedł dom, przyniósł kilka polan, wyciągnął siekierę wbity w pień do rąbania i zabrał się do roboty. Nieco sportowej zaprawy z samego rana nie mogło zaszkodzić. Po dziesięciu minutach miał zapas drewna na dwa dni. Dźwignął kosz i wrócił do domu. Niedługo potem w piecu trzasnął ogień, a po pokoju*

*rozchodziło się przyjemne ciepło. Nalał wody do taniego ekspresu, wsypał zmieloną kawę do papierowego filtra i uruchomił zaparzanie. Ostatniego lata postanowił doprowadzić dom do porządku, lecz ważniejsze sprawy zaprzętnęły jego głowę. Za to teraz już się nie opłacało wkładać w to wysiłku. Prędzej czy później policja i tak trafi na jego ślad, dopadną go i postawią przed sądem. Ludzie zaczną go nienawidzić, oskarżać o chorobę psychiczną i nazywać psychopatą. Po tym, co zrobił i co jeszcze zamierzał zrobić, nie mógł mieć im tego za złe. W oczach zwykłych ludzi nie istniało żadne usprawiedliwienie dla jego poczynań, lecz niewiele go to obchodziło. Ludzie, którzy ginęli, zostali skazani na śmierć przez swoich rodziców, małżonków i dzieci. On był ledwie katem. Wykonywał ich wyroki. I wszystko starannie dokumentował. Żywi otrzymają swoją karę, a zmarli sprawiedliwość. Wszyscy.*

PUNKTUALNIE O DZIEWIĄTEJ RANO Bodenstein zatrzymał samochód przed domem Fritza Gehrkego i wysiadł. Nikt nie zareagował na dzwonek, więc otworzył sobie furtkę do ogródka, podszedł do drzwi i zapukał. Rolety we wszystkich oknach były jeszcze opuszczone i panowała cisza. Olivera ogarnęło złe przeczucie. Kiedy zastanawiał się, do kogo powinien zadzwonić, żeby móc wejść do środka i poszukać staruszka, przed domem zaparkowało małe białe auto z napisem „Siostra Hildegarda”. Zza kierownicy wysiadła masywna, silna kobieta, której jaskrawa fryzura miała kolor wiśniowy, zarzuciła na ramię czarną torebkę i energicznym krokiem ruszyła w jego stronę. Pod puchową kurtką miała coś w rodzaju białego fartucha, a na nogach białe buty.

— Żałosne hieny z brukowców! Czy wam nawet w niedzielę sumienie nie dokucza? — warknęła nieprzyjemnie, nie dając mu szans, żeby mógł się przedstawić. — Wynocha mi! Już! Bo wezwę policję!



— Nie jestem dziennikarzem, tylko policjantem — wyjaśnił Bodenstein i pokazał jej legitymację. — A pani?

— A to przepraszam, skąd mogłam wiedzieć. Jestem Karin. Karin Michel.  
— Pełen skruchy uśmiech rozpromienił jej zarumienioną twarz.

— A nie siostra Hildegarda? — Bodenstein puścił do niej oko.

— Wszystkie jesteśmy siostry Hildegardy. — Pani Michel roześmiała się radośnie. — Siedem nas jest. Większość pracowała w domach opieki, ale taka robota jest na dłuższą metę frustrująca. Teraz mamy trochę więcej nerwów, ale też możemy więcej czasu poświęcić naszym staruszkom. A oni są nam za to wdzięczni.

Mówiąc to, podeszła do drzwi i wyjęła z kieszeni okazały pęk kluczy. Bodenstein ruszył za nią.

— Wszystkie okna są zasłonięte — powiedział. — Poza tym dzwoniłem i nikt nie reagował.

— Niech się pan nie przejmuję, to normalne — odparła Karin Michel. — Naprawdę, bardzo mi głupio teraz, że tak na pana naskoczyłam. Ale po prostu przez kilka ostatnich dni reporterzy nie dawali panu Gehrkeemu spokoju. A on swoje przeszedł i nawet pan nie wie, jak mu ciężko.

Założyła okulary, które nosiła na łańcuszku na szyi, i wybrała właściwy klucz. Ludzie tacy jak ona wzbudzali szacunek Bodensteina. Zajmowanie się starszymi i chorymi ludźmi nie należy do łatwych zadań, a jeszcze trudniej jest zachować przy tym optymizm, serdeczność i współczucie.

— Już o tym zapomniałem — zapewnił ją. — Jak często zajmuje się pani panem Gehrkiem?

— Przyjeżdżam dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Ten biedak nie powinien być teraz sam, to niedobre dla niego. — Kobieta była gadatliwa. — Max, on też był tutaj codziennie i często zabierał gdzieś ojca albo coś razem robili. Straszne, co się z nim stało. Naprawdę straszne.

W końcu udało jej się odblokować zamek i otworzyć drzwi. Owiało ich ciepłe powietrze ze środka domu. Pachniało dymem i wyczuwalnym zaduchem. Złe przeczucia Bodensteina się wzmogły, lecz Karin Michel nie widziała w tym niczego nadzwyczajnego.

— Halo! Panie Fritz! To ja! Karin! — krzyknęła głośno. — Znowu siedzi w ciemnościach! Często mu się to zdarza. Czasem zapomina po prostu włączyć światła i podnieść rolety. Tak bywa. Już kiedyś się przez to przewrócił i potłukł. Całe szczęście, nie stało mu się nic poważnego. — Przyciskiem uruchomiła podnoszenie wszystkich rolet w całym domu. Rozległo się terkotanie i pomieszczenia wypełniły się światłem z zewnątrz. — Ja już Maksowi tłumaczyłam, że powinien zamontować czujniki ruchu, ale pan Gehrke nie chciał nawet o tym słyszeć. To za dużo prądu! Tak tłumaczył. Wie pan, on jest rocznik trzydziesty pierwszy, to dzieci wojny. Jest oszczędny aż do przesady. Ale powiem panu, że mam takich kilku i wszyscy są tacy sami.

Kobiecie buzia się nie zamykała, ale jednocześnie nie była wścibska i nie chciała wyciągnąć od niego żadnych informacji.

— Może niech pan tutaj poczeka, dobrze? A ja pójdę go poszukać i powiem, że pan przyszedł i że chce pan porozmawiać.

— Świetnie, oczywiście. — Bodenstein skinął głową. — I dziękuję.

— Nie ma o czym mówić. — Karin Michel pewnym krokiem ruszyła przed siebie poszukać właściciela domu.

Bodenstein chodził nerwowo tam i z powrotem. Kiedy usłyszał krzyk, rzucił się biegiem. Karin Michel szła w jego stronę. Miała szeroko otwarte oczy i białą jak kreda twarz.

— O Boże! O Boże! — wyjąkała. — Pan Gehrke! On... niech pan zobaczy!

Bodenstein odsunął ją delikatnie i wszedł do gabinetu. Intuicja go nie

myliła, a złe przeczucia znalazły właśnie potwierdzenie. Fritz Gehrke nie żył. Siedział zgarbiony za biurkiem, z brodą wspartą na piersi. Na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby uciął sobie spokojną drzemkę i odszedł we śnie, jednak czujne oko Bodensteina natychmiast zauważyło strzykawkę, którą staruszek ścisnął w dłoni. Policjant położył dłoń na ramieniu Karin Michel i zaprowadził roztrzęsioną kobietę do kuchni.

— Proszę, niech pani usiądzie — powiedział, po czym zajrzał do kilku szafek, aż znalazł szklanekę. Napełnił ją wodą z kranu i podał kobiecie. — Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

— Wczoraj. Wczoraj wieczorem, około osiemnastej — wymamrotała wstrząśnięta i upiła łyk wody. Drżały jej ręce. — Zachowywał się normalnie, życzył mi dobrej nocy i poszłam.

— Czy pan Gehrke był diabetykiem? — dopytywał się Bodenstein.

— Tak. Miał cukrzycę starczą, typ drugi. Ale dobrze sobie z nią radził. Pan Fritz jest... był bardzo zdyscyplinowanym człowiekiem.

Niespodziewanie zalała się łzami.

— To nie jest pierwsza osoba, którą widzę martwą — wyjaśniła i otarła dłonią łzy z policzków. — Ale pan Gehrke był takim miłym człowiekiem! Takim dzielnym. To, co się stało z jego synem... to złamało mu serce.

Bodenstein nieco inaczej oceniał sytuację, jednak nie chciał pozbawiać miłą pielęgniarzkę złudzeń, więc swoje podejrzenia zachował dla siebie.

KAROLINE ALBRECHT mijala Niedernhausen, jadąc autostradą A3. Włączyła migacz, zmieniła pas i dodała gazu. Czarne porsche 911S przyspieszało jak odrzutowiec na pasie startowym — ponad czterysta koni mechanicznych brutalnie katapultowało auto do przodu, wbijając ją w fotel, a wskazówka prędkościomierza w jednej chwili osiągnęła sto pięćdziesiąt na godzinę. Karoline od zawsze uwielbiała szybką jazdę. Pierwszym autem,

jakie dostała zaraz po zdaniu egzaminu na prawo jazdy, był volkswagen golf GTI. Porsche jeździła od chwili, kiedy została partnerką w firmie i mogła wybrać sobie auto służbowe z tego przedziału cenowego. W gruncie rzeczy czuła jednak, że było tak samo wystawne i niepotrzebne jak jej luksusowy dom. Jeśli Greta na powrót odnajdzie w sobie radość z jazdy konnej, którą przestała się interesować, od kiedy przeniosła się do szkoły z internatem, podaruje jej konia. A wtedy znacznie praktyczniejszym rozwiązaniem niż sportowe superauto będzie wytrzymały wóz terenowy z hakiem holowniczym. Przez kilka minut Karoline pozwalała sobie na fantazje o przyszłości. Wyobrażała sobie dom, który kupi dla siebie i Grety: klasyczny wiejski domek z precudnym ogrodem, otoczony starymi drzewami i krzakami dzikiej róży. Może ze stawem gdzieś z tyłu. A nad nim wierzba płacząca ze zwieszającymi się nad wodą gałązkami. Za pieniądze, które dostanie po sprzedaży luksusowej willi w Kelkheim, będzie mogła przez kilka lat żyć i nie pracować, a po mamie przecież też dostanie co nieco. Myśl o matce gwałtownie przywróciła jej poczucie rzeczywistości. Na wysokości Montabaur musiała zwolnić do stu kilometrów na godzinę. Poprzedniego wieczoru zadzwonił do niej Carsten i zaprosił na sylwestra nad jeziorem Starnberger See w gronie swojej nowej rodziny i w towarzystwie byłych teściów. Dzięki Nicki, drugiej żonie Carstena, która bez żadnych uprzedzeń zaakceptowała ją jako matkę Grety i przyjęła w tej roli do rodziny, zawsze była mile widzianym gościem w domu rodziców Carstena. Mimo to grzecznie podziękowała. Nie mogła tak po prostu wyjechać, nie teraz. Musiała skupić się na przygotowaniach do pogrzebu mamy. I koniecznie musiała dowiedzieć się, co się wydarzyło przed dziesięcioma laty. W przeciwnym razie niepewność dręczyłaby ją do końca życia.

Spojrzała na swoje odbicie w lusterku wstecznym. Zobaczyła chaos, który dręczył ją od środka, smutek, żalobę, rozpacz, wściekłość i ból — wszystkie

te uczucia, które tak bardzo starała się od siebie odsunąć, bo obawiała się, że utraci nad nimi i nad sobą kontrolę. Jak długo jeszcze wytrzyma, zanim przyjdzie załamanie? Zanim wszystko runie jak domek z kart? Kiedy straci siły? Kiedy silną wolę?

— Weź się w garść, Karoline! Weź się w garść! — zganiła sama siebie. Zawsze potrafiła myśleć zadaniowo i skupić się na wykonaniu konkretnej rzeczy. Potrzebowała teraz tej umiejętności. Doktor Hans Furtwängler, u którego powinna być dwadzieścia sześć minut po jedenastej, jeśli wierzyć nawigacji satelitarnej, był jedną z tych osób, z którymi w ostatnich dniach kontaktował się jej ojciec. Rozmowy z Gehrkiem i Arthurem, które przeprowadziła poprzedniego dnia, nie przyniosły niczego nowego, gdy tymczasem rosło w niej ponure przekonanie, że coś jednak musiało być na rzeczy. Jakaś stara sprawa, coś złego, co powiązało ojca i jego kolegów. Karoline nie żywiła wielkich nadziei, że doktor Furtwängler powie jej cokolwiek więcej, lecz wiedziała również, że każdy strzęp informacji jest ważny, bo na ich podstawie w końcu odtworzy pełen obraz.

— ŚMIERĆ MAKSA tak strasznie nim wstrząsnęła, że nie chciał dłużej żyć — wyszłochała Karin Michel. Nie mogła się opanować i ciągle płakała, ściskając mokrą chusteczkę w dłoni.

Bodenstein i Pia wymienili szybkie spojrzenia. Stos pustych skoroszytów i ciepły jeszcze popiół w kominku w salonie świadczyły o zgoła innej przyczynie. Nawet etykiety skoroszytów zostały starannie usunięte i zniszczone w płomieniach, więc nie został najmniejszy ślad, który wskazywałby, o jakie dokumenty chodziło. Fritz Gehrke zniszczył bezpowrotnie i bardzo skutecznie dużą ilość papierów, a potem popełnił samobójstwo, wstrzykując sobie zbyt dużą dawkę insuliny. Nie pozostawił listu pożegnalnego, lecz na jego biurku leżała kopia nekrologu, który Snajper

przesłał policji po zamordowaniu jego syna. Bodenstein celowo nie pokazał mu tej wiadomości wcześniej, bo obawiał się, jak staruszek zniesie taką wiadomość. Ktoś jednak zrobił to za niego. Tylko kto? To mógł być tylko Faber, ten dziennikarz. Na pewno postanowił na własną rękę prowadzić śledztwo. Oliver nie miał wątpliwości, że treść nekrologu przeważyla szalę i sprowokowała Gehrkego do odebrania sobie życia. Pomyślał z wściekłością, że powie dziś Faberowi do słuchu.

— Czy pan Gehrke miał jakąś rodzinę? Krewnych, których powinniśmy zawiadomić o jego śmierci? — zapytała Pia. Stała w kuchni, w jednorazowych nakładkach na buty i lateksowych rękawiczkach.

— Miał tylko siostrę, o ile wiem — odparła Karin Michel nieco spokojniejszym tonem. — Ale ona mieszka gdzieś za granicą, a poza tym ma około osiemdziesięciu lat.

— Dziękuję, postaramy się ją odnaleźć. — Pia zapisała to sobie w notatniku. — Jest pani wolna, nie będziemy pani niepotrzebnie przetrzymywać, pani Michel. Bardzo dziękuję za pomoc.

Pielęgniarka wstała ze stołka i odprowadzana przez Pię, ruszyła do wyjścia. Zanim zniknęła za progiem, odpięła klucz do drzwi i podała go policjantce.

— Nie będę go więcej potrzebowała — powiedziała zduszonym głosem i wyszła.

Ludzie Krögera zajmowali się dokumentacją fotograficzną zwłok i gabinetu, a kiedy skończyli, zabrali się za badanie miejsca znalezienia ciała. Doktor Frederik Lemmer, który przyjechał tuż po Pii, zyskał sobie ogromny szacunek Krögera, czekał bowiem bez narzekania, aż technicy Christiana zabezpieczą ślady i skończą swoją część pracy. Kiedy Pia wróciła do gabinetu, dwóch funkcjonariuszy ostrożnie podniosło zwłoki z fotela i ułożyło je na dywanie.

— Możemy się trochę rozejrzeć? — zapytał Bodenstein.

— Pewnie, już praktycznie tu skończyliśmy. — Szef ekipy techników skinął łaskawie głową.

Oliver i Pia przejrzeni zawartość biurka. Nie byli szczególnie zaskoczeni tym, że nie znaleźli niczego ciekawego. Fritz Gehrke starannie posprzątał, zanim opuścił ziemski padół.

Lemmer zmierzył temperaturę zwłok. Przy okazji ustalił na ciele charakterystyczne plamy opadowe — na pośladkach, plecach, od spodu ud i przy stopach, bo krew, kiedy serce jej nie pompowało, spływała pod wpływem grawitacji do najniżej położonych rejonów ciała.

— Stężenie pośmiertne jeszcze nie zelżało — orzekł, spoglądając na Bodensteina i Pię. — Według mojej oceny śmierć nastąpiła między dwudziestą drugą a pierwszą nad ranem. Na pierwszy rzut oka można raczej wykluczyć udział osób trzecich.

Pia nacisnęła palcem w rękawiczce guzik słuchawki na telefonie. Ostatni numer został wybrany dwanaście minut przed dwudziestą pierwszą i rozpoczynał się kierunkowym do Oberursel, a wcześniej Fritz Gehrke rozmawiał z kimś z Kolonii.

— Idę o zakład, że to numer do profesora Rudolfa, męża ofiary numer dwa na naszej liście — mruknęła Pia.

— A skąd akurat taki pomysł? — Bodenstein spojrział na nią zaskoczony.

— Takie mam przecucie — odparła Pia.

Nagle rozległ się sygnał przychodzącego połączenia. Pia chciała odebrać, lecz Bodenstein dał jej znak, żeby tego nie robiła. Numer z kierunkowym do Frankfurtu. Po trzecim dzwonku włączył się automat zgłoszeniowy,

— Fritz, to ja — powiedział jakiś męski głos zaraz po sygnale. — Właśnie dotarła do mnie twoja wiadomość. Fritz? Jesteś tam? Niech będzie, zadzwonię później.

— Dlaczego nie chciałeś, żebym odebrała? — Pia nie rozumiała decyzji szefa.

— Żeby kolejna osoba nie zabrała się za palenie akt — odparł Bodenstein i spojrzał na Krögera.

— Moglibyście sprawdzić wszystkie numery z listy wybranych i przychodzących połączeń? I zapisane też.

— Nie ma sprawy. — Kröger skinął głową. — Najlepiej będzie, jak weźmiemy go ze sobą.

— A możecie zrobić tak, żeby dalej zgłaszała się sekretarka? No wiesz, jakoś przekierować przychodzące połączenia, żeby nie było słyhać, że telefon został odłączony — dopytywał się Bodenstein. — Dopóki nikt nie wie, że Gehrke nie żyje, jest szansa, że znajomi dalej będą dzwonić. A to może nam bardzo pomóc.

— Pewnie, nie ma sprawy. Zaraz się tym zajmę.

— I byłoby dobrze, gdyby udało się jak najszybciej. Aha, przekaz Kaiowi listę telefonów, żeby mógł sprawdzić te numery.

— No pewnie, wszystko szybko, szybko, szybko! — Kröger nie krył złości. — Wszystko najlepiej na wczoraj. Wiesz przecież, że robimy, co w naszej mocy.

— Christian, jesteś naszym najlepszym człowiekiem. I nikt nie ma co do tego wątpliwości. — Bodenstein poklepał kolegę po ramieniu.

— Kpić to sobie możesz z innych — burknął szef techników i odszedł, potrząsając głową.

Nagle zadzwonił telefon Pii.

— To Kai — powiedziała do szefa i włączyła głośnik, żeby Bodenstein wszystko słyszał.

— Znalazłem Thomsena! — oznajmił Ostermann, zanim zdążyli się z nim przywitać. Mimo że zwykle był stonowany, tym razem nie mógł ukryć



podeksytowania. — W rzeczywistości jego pełne imię to Markus, a nazywa się Brecht-Thomsen, a w każdym razie pod takim nazwiskiem jest zameldowany. Nic dziwnego, że wczoraj go nie znalazłem, gdy sprawdzałem bazę meldunkową.

— Gdzie mieszka? — zapytała Pia.

— Lärchenweg 12 w Eppstein-Vockenhausen. — Kai podyktował adres.

— Dzięki — powiedział Bodenstein. — Zaraz wpadniemy do niego z wizytą i zadamy kilka pytań.

— Poczekajcie! — krzyknął Kai. — Mam coś jeszcze! Można przyjąć, że Mark Thomsen to kolega po fachu! Był pogranicznikiem, a dokładniej pracował w Zespole 9 Federalnej Straży Granicznej! Możemy założyć, że raczej na pewno całkiem dobry z niego strzelec.

Bodenstein i Pia wyszli z domu Fritza Gehrkego. Ich praca w tym miejscu już się skończyła. Cem i Kathrin mieli później porozmawiać z sąsiadami i dowiedzieć się, czy Gehrke w ostatnich dniach, a w szczególności poprzedniego wieczoru miał jakichś gości.

— Nie dziwi cię, że w tej sprawie mamy do czynienia właściwie z samymi świetnymi strzelcami? — Pia wsiadła do auta szefa. Jej samochód stał zaparkowany nieco dalej przy tej samej ulicy i pomyślała, że zostawi go tu do wieczora.

— Może to zbieg okoliczności — odparł Bodenstein i cofnął kawałek, żeby przepuścić bus do przewozu zwłok. — W Niemczech sporo ludzi ma broń i umie się nią posługiwać. Znajdziesz wśród nich myśliwych, sportowców czy dawnych pracowników służb, w tym policji. Oczywiście, że nie ma ich tylu, co w Stanach, ale wiesz, mało też nie. Po prostu przy innych dochodzeniach nie wypyujemy wszystkich, czy potrafią strzelać, bo to bez znaczenia.

— Niby masz rację. — Pia nachyliła się i wprowadziła do nawigacji adres,

który podał jej Kai. — Bardzo jestem ciekawa spotkania z ojcem zastępczym Helen Stadler. Nie mogę się doczekać, co nam powie.

DOM PRZY LÄRCHENWEG 12 w Vockenhausen najlepsze lata miał już za sobą, a kiedyś musiał być naprawdę ładnym bungalowem. Dziś przypominał porzuconą rudere, z odpadającym tynkiem, omszałym dachem i zapuszczonym kwietnikiem od frontu.

Bodenstein zadzwonił. Nikt nie otworzył, jednak na podjeździe przed garażem stał brudny czarny samochód terenowy, a ciszę spokojnej niedzieli przerywały rytmiczne uderzenia siekiery.

— Ktoś rąbie drewno. Chodź, obejdziemy dom i zobaczymy, co się dzieje z tyłu — zaproponowała Pia i wkroczyła na teren posesji. Minęli garaż i weszli do ogrodu, który ogrodem był już tylko z nazwy, cały zapuszczony i zaniedbany. Trawnik nie był przed zimą skoszony, a wokół budynku pośród porzrzucanych śmieci sterczały chwasty. Przy stopniach prowadzących na drewnianą werandę stał mężczyzna i choć na dworze panował mróz, on miał na sobie jedynie dżinsy i koszulkę z krótkim rękawem. Nie zauważył ich, bo zajęty był rąbaniem drewna. Robił to bardzo metodycznie i z wprawą, a grube pocięte polana wrzucał do ustawionego na schodach kosza. Obok niego leżał rottweiler. Nagle pies uniósł głowę i rzucił się w ich stronę.

— Świetnie! — pisnął Bodenstein i błyskawicznie schował się za plecami Pii.

— Gdzie się podziali odważni rycerze? — zakpiła. Zatrzymała się spokojnie i nawet nie drgnęła, kiedy w jej stronę zbliżał się, szczekając, umięśniony potwór z wyszczerzonymi zębami.

Mężczyzna opuścił siekiere i się odwrócił.

— Arko! Spokój! — rozkazał ostrym głosem. Pies zamilkł i znieruchomiał.

— Pan Thomsen? — Bodenstein dopiero teraz odważył się wyjść zza pleców Pii. — Proszę wybaczyć, że przeszkadzamy panu w niedzielę, ale...

Wyjął legitymację i chciał ją pokazać, lecz Mark Thomsen machnął dłonią, że nie musi.

— Gliniarze — powiedział. — Nie muszę widzieć flepów, żeby wiedzieć. Wszyscy wyglądacie tak samo. Poza tym też robiłem w firmie. Czego chcecie?

Zbliżał się do pięćdziesiątki, był umięśniony i wysportowany. Gęste ciemne włosy, starannie przycięta bródka i kilka tatuaży na szerokim bicepsie.

— Prowadzimy dochodzenie w sprawie Snajpera — wyjaśnił Bodenstein.

— Aha. — Thomsen nie wykazywał wielkiego zainteresowania. — A co ja mam z tym wspólnego?

— W trakcie śledztwa trafiliśmy na PKOMMT i dowiedzieliśmy się, że pan jest szefem tej organizacji. Czy znalazłby pan dla nas trochę czasu?

— A co tam, jak mogę pomóc, to czemu nie. — Thomsen wzruszył ramionami, chwycił ciężki kosz z drewnem i zagwizdał na psa, który natychmiast stanął tuż obok niego, ani na chwilę nie spuszczał oczu. — Chodźcie do środka.

Ruszyli przez werandę do salonu. W domu panował przejmujący chłód.

— To minus palenia w kominku — wyjaśnił Thomsen. — Ale spokojnie, zaraz będzie ciepło. Chodźcie, usiądziemy w kuchni.

Rozpalił ogień w kominku, który stał w salonie. Dom w środku wyglądał równie nieciekawie jak z zewnątrz. Drzwi i ramy okienne były podrapane i obchodziły z lakieru, płytki prosiły o mycie, a dawno nieczyszczone okna ledwie przepuszczały światło. Za to kuchnia zupełnie nie pasowała do reszty domu, bo w tym pomieszczeniu panował idealny porządek. Na ścianie wisiała ramka ze zdjęciem mniej więcej czternastoletniego chłopca

w koszulce piłkarskiej, który uśmiechał się do obiektywu.

— No dobra, to jak mogę pomóc? — zapytał Mark Thomsen, kiedy wszedł do kuchni po napaleniu w kominku. — Napijcie się kawy?

Oboje podziękowali.

— Co to jest PKOMMT i co to właściwie znaczy? — zapytała Pia.

— Jesteśmy grupą osób o podobnych poglądach — wyjaśnił Thomsen, nalał sobie kawy, osłodził i zamieszał. — Łączy nas wspólnota interesów. Nazwa organizacji jest skrótem od „Pomoc dla Krewnych Ofiar Morderstw Mafii Transplantologicznej”.

— Mafii transplantologicznej? — upewnił się Bodenstein. — Co ma pan na myśli?

— Lekarze transplantolodzy to prawdziwe sępy. Wystarczy, że zwietrzą gdzieś szanse na pozyskanie organów, a nic ich nie zatrzyma i nic nie będzie dla nich święte. To, co się dzieje, kiedy pobierają organy, to nic innego, jak zwykle morderstwo — tłumaczył Thomsen z przekonaniem. Oparł się na blacie kuchennym i mówił dalej: — W pojedynkę człowiek nie ma z nimi najmniejszych szans. Ale w grupie jesteśmy w stanie przebić się do świadomości opinii publicznej i ostrzec ludzi, którzy znaleźli się w takiej samej sytuacji jak my kiedyś.

— Jaką sytuację ma pan na myśli? — zapytała Pia.

— Taką, kiedy traci się bliską osobę w wypadku. I sama ta strata jest wystarczająco okropna. A kiedy człowiek trafia potem do szpitala, natychmiast opadają go lekarze i zaczynają wywierać na niego presję. I to jest prawdziwe piekło — odpowiedział Mark Thomsen. — Po czymś takim człowiek nigdy już się nie podnosi.

— Przeżył pan taką traumę?

— Niestety tak. Przed piętnastoma laty. Mój syn miał wypadek na rowerze. W szpitalu stwierdzili u niego śmierć mózgu. Żona przeżyła

załamanie nerwowe, więc lekarze obskoczyli tylko mnie. Wywierali na mnie ogromną presję, żebym tylko się zgodził na oddanie do przeszczepu organów syna. — Thomsen uniósł głowę i rzucił spojrzenie na zdjęcie na ścianie. — Ale ja nie chciałem się zgodzić. Benni wyglądał tak normalnie, zupełnie nie jak ktoś, kto nie żyje. Nie chciałem przyjąć do wiadomości, że się już nie obudzi. Ale oni byli przeszkoleni i urabiali mnie, naiwnego jak dziecko. Śmierć Benniego to straszna tragedia, tłumaczyli, ale przecież nic więcej nie da się dla niego zrobić. Natomiast on swoimi organami mógłby pomóc innym chorym. Chciałem się zastanowić, chciałem mieć czas, żeby w spokoju porozmawiać o tym z żoną, ale oni upierali się i naciskali. Twierdzili, że nie są w stanie długo stabilizować Benniego i podtrzymywać jego funkcji życiowych, więc nalegali, bym szybko podjął decyzję. W pewnym momencie nie potrafiłem się dłużej opierać. Byłem na skraju załamania nerwowego. Wyraziłem zgodę. I do dziś tego żałuję.

Mark Thomsen westchnął ciężko i potrząsnął głową.

— Nie mogłem być przy synu, kiedy umierał. Przewieźli go z oddziału intensywnej terapii do sali operacyjnej, a następnego dnia, kiedy chciałem zobaczyć ciało i poszedłem do prosektorium, nie zobaczyłem tam już mojego syna. To była pusta powłoka, nic więcej. Nawet rysy twarzy miał zmienione i zaklejone plastrami oczy, bo pobrali od niego rogówkę i siatkówkę! — Mówił beznamiętnym głosem, jednak czuć było, że nie przestał cierpieć z powodu tamtych wydarzeń. Piętnaście lat nie wystarczyło, by złagodzić ból. — Moje dziecko odeszło w sposób niegodny i uwłaczający, na stole operacyjnym. Miał tylko piętnaście lat. Jeśli macie dzieci, to możecie sobie wyobrazić, przez co przeszedłem i jak dzisiaj się z tym czuję.

— Tak, potrafię. Potrafię to sobie wyobrazić — potaknął Bodenstein. — Sam mam trójkę dzieci...

— Moje małżeństwo nie przetrwało tej tragedii. Żona odeszła ode mnie

dwa lata później, a ja straciłem pracę.

— Czym zajmuje się pan obecnie? Jak pan zarabia na życie? — zapytała Pia.

— Pracuję w prywatnej firmie ochroniarskiej. — Thomsen zmusił się do śmiechu, ale zabrzmiało to sztucznie. — Nic innego nie umiem robić.

— Był pan w Zespole 9 — stwierdził Bodenstein.

— Dawne czasy. Od dwunastu lat jestem poza firmą.

— Człowiek nie zapomina, jak się posługiwać bronią.

— Święte słowa — potwierdził Thomsen, a w jego oczach pojawił się ironiczny błysk. — To jak z jazdą na rowerze.

Powiedział to tak beznamiętnie i rzeczowo, że Pia momentalnie zrozumiała, że antyterrorystą nie przestaje się być nigdy. Do oddziału antyterrorystycznego Zespołu 9 Federalnej Straży Granicznej nie biorą każdego policjanta, który się do nich zgłosi. Poza morderczym przygotowaniem fizycznym członkowie tej elitarnej jednostki uczą się zbliżać do samych granic swojej psychiki, a kiedy zadanie tego wymaga, przekraczać je bez mrugnięcia okiem. Każdy z członków Zespołu 9 to nadludzko wytrzymała maszyna bojowa, która nie zna ani wahania, ani wyrzutów sumienia. Idealni zabójcy.

— Czy zna pan Helen Stadler? — zapytała.

Twarz Thomsena momentalnie zmieniła się w nieprzeniknioną maskę, jednak zadrżał mu kącik ust.

— Pewnie, że tak — potwierdził. — Jej dziadkowie działają przecież w PKOMMT. To o co chodzi z Helen?

— O to, że Helen nie żyje i pan doskonale o tym wie.

— No tak, racja. Byłem nawet na pogrzebie. Dlaczego o nią pytacie?

— Uważamy, że Snajper morduje ludzi mających związek z Helen i jej matką — odparł Bodenstein. — Dlatego wychodzimy z założenia, że

morderca należy do kręgu rodziny lub znajomych Helen Stadler.

— Rozumiem. I wymyśliliście sobie, że kopnięty były strzelec wyborowy ze straży granicznej pasuje wam do obrazka, więc to na pewno on. — Mark Thomsen parsknął pogardliwie i odstawił kubek do zlewu.

Pia odwróciła głowę. W korytarzu leżał potężny rottweiler i obserwował ją uważnie bursztynowymi oczami. Był równie niebezpieczny jak naładowana i odbezpieczona broń. Tak samo jak jego właściciel.

— Dirk Stadler nazwał pana „ojcem zastępczym” swojej córki — powiedziała. — Rozumiem więc, że byliście sobie bardzo bliscy.

Thomsen skrzyżował ramiona na piersi i popatrzył na nią z taką pogardą, że Pia poczuła gęsią skórkę. Męczyzna wydawał jej się co najmniej dziwny, a intuicja podpowiadała jej, że coś jest z nim nie tak.

— Joachim Winkler był myśliwym — powiedział Thomsen. — Całkiem dobrze strzela. Tak samo jak chłopak Helen, Hartig. A jej brat był biatlonistą. Wszyscy oni byli z nią znacznie bardziej związani niż ja.

— Winkler choruje na parkinsonizm — zaproponowała Pia. — Bez tabletek nie jest w stanie utrzymać szklanki w dłoni, nie mówiąc o oddaniu celnego strzału z prawie tysiąca metrów.

Gdzieś w domu zadzwonił telefon. Thomsen drgnął, a potem się wyprostował.

— Przepraszam na chwilę — powiedział sucho i wyszedł z kuchni, zanim Bodenstein zdążył zaprotestować. Pies momentalnie wstał i stanął w wejściu, blokując im drogę. Pia zrobiła krok w stronę drzwi, żeby podsłuchać, o czym Thomsen będzie rozmawiał, lecz zamarła w pół kroku, powstrzymana groźnym, niskim warkotem wydobywającym się z gardła rottweilera.

— No już, już dobrze. — Spojrzała na psa. — Spokojnie, mały.

Niedługo później wrócił Mark Thomsen. Mijając swojego pupila, pogłaskał go po głowie, a następnie wydał krótką komendę. Pies bez chwili

wahania wycofał się kawałek i położył na podłodze.

— Czy posiada pan broń, panie Thomsen? — zapytał Bodenstein.

— A co to kogo obchodzi?

— Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

— Posiadam pozwolenie na broń. Ale wszystkie egzemplarze, które posiadałem, wyprzedałem w ostatnich latach, bo potrzebowałem pieniędzy.

— Ma pan jakieś umowy? Paragony?

— Oczywiście.

— Dla kogo pracuje pan obecnie?

— Topsecure. — Thomsen spojrział nagle na zegarek. Niespodziewanie zrobił się nerwowy.

— Gdzie pan przebywał dziewiętnastego grudnia między ósmą a dziesiątą rano, dwudziestego grudnia około dziewiętnastej, w pierwszy dzień świąt o ósmej rano i dwudziestego ósmego grudnia w okolicach pierwszej?

Thomsen zmarszczył brwi.

— Po co zadajecie takie pytania? — zapytał niezadowolony. — Nie mam pojęcia, gdzie wtedy byłem. Pewnie tutaj, ale diabli wiedzą. Jak jestem po nocnej zmianie, to śpię przez cały dzień.

— Czy od dziewiętnastego grudnia pracuje pan na nockach, czy na dziennych zmianach?

— Na nockach.

— To oznacza, że nie ma pan alibi na czas, o który pana zapytałem — oznajmił Bodenstein. — A to z kolei czyni pana podejrzanym. Ma pan motyw, ma pan umiejętności i miał pan możliwości. Jako były policjant doskonale pan wie, o czym mówię. Muszę pana poprosić, żeby udał się pan z nami do komendy.

Thomsen nie odpowiedział. W jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk. Rozejrzał się po niewielkiej kuchni, zanim znów spojrział na



Bodensteina.

— Odmawiam — powiedział.

— Nie może pan...

Thomsen odwrócił się i błyskawicznym ruchem otworzył jedną z szuflad. Zanim Pia zdążyła zareagować, przystawił jej do skroni pistolet, który niespodziewanie pojawił się w jego dłoni. Policjantka poczuła na skórze zimny metal lufy.

— Broń służbowa i komórki. Na stół. — Ton jego głosu nie dopuszczał jakiegokolwiek dyskusji. — Natychmiast.

— Do czego chce pan doprowadzić? Pakuje się pan w jeszcze większe kłopoty — zaprotestował Bodenstein. Pia wolała nie czekać i natychmiast wyjęła z kabury pistolet, po czym razem z komórką odłożyła go na stół. Serce waliło jej jak oszalałe i drżały jej dłonie. Thomsen nie wyglądał na kogoś, kto by się zawahał, żeby pociągnąć za spust.

— Niech pan opuści broń. — Bodenstein mówił zaskakująco spokojnym głosem. — Nic się nie stało, a jeśli odda mi pan pistolet, ma pan moje słowo, że o wszystkim zapomnimy.

— Jako były policjant wiem, że to nieprawda — odparł Thomsen. — Na mnie te techniki deeskalacyjne nie działają. Więc jazda.

Bodenstein spojrzał na Pię, wyjął pistolet i położył go razem z komórką na blacie.

— Nic wam się nie stanie, jeśli nie będziecie robić głupot — obiecał im Thomsen. — A teraz spokojnie wyjdziecie przodem na korytarz i na dół, do piwnicy.

KAŻDY RUCH RĘKI, każde uderzenie młotkiem sprawiało jej radość. Czy jest coś piękniejszego niż własny dom? Długie miesiące spędzili na planowaniu, wybieraniu wykładzin, tapet, płytek do łazienki, poręczy na

schody i drewna na taras. Z początku mieli jedynie plany i kawałek łąki, ale w końcu prace mogły ruszyć i dzień po dniu jej marzenia zaczęły przybierać realne kształty. Bettina Kaspar-Hesse codziennie przyjeżdżała na budowę doglądać prac, aparatem fotograficznym dokumentowała postępy i cieszyła się z każdej zmiany: z wylanej posadzki pod piwnicę i ze ścian fundamentowych, ze stropu nad piwnicą, ze ścian, z parteru, z pierwszego piętra i z więźby dachowej. W kaloszach brodziła w błocie, rozmawiała z kierownikiem budowy i konsultowała się z architektem, uzgadniała mniejsze i większe zmiany w projekcie i tęsknie wyglądała dnia, w którym w końcu będą mogli się wprowadzić; dnia, w którym marzenia staną się rzeczywistością. Stare mieszkanie przy Sterngasse stało się o wiele za małe, a dzieci gwałtownie potrzebowały więcej miejsca. Tych kilka metrów kwadratowych, które miały do dyspozycji, przestawało im wystarczać. Za to tutaj, w nowym domu, przestrzeni było pod dostatkiem. Wielkie pokoje, bawialnia w piwnicy i własny ogród z huśtawką, basenem i dużą trampoliną! Bettina cieszyła się luksusem posiadania garażu, z którego wchodziło się prosto do kuchni! Koniec z taszczeniem siat z zakupami przez cały parking i schodami na trzecie piętro! Uśmiechnęła się i czule przesunęła dłonią po blacie kuchennym z dębowego drewna. Codziennie budziła się z poczuciem szczęścia, kiedy wyglądała przez sięgające podłogi okna i widziała las. Dziękowała wtedy losowi za to, jaki był dla niej łaskawy i jak wiele szczęścia spotkało ją przez ostatnich dziesięć lat. Wcześniej nawet przez myśl jej nie przeszło, że pewnego dnia jej życie stanie się tak cudowne. Wtedy, tuż po tym, jak zdruzgotana i złamana ostatkiem sił uwolniła się z więzów katastrofalnego pierwszego małżeństwa, przez przypadek spotkała Ralfa, wielką miłość z czasów młodości. On ją wspierał i nigdy nie hamował, w przeciwieństwie do byłego męża, któremu się nic nie podobało. Był nieudacznikiem, który z frustracji zaczął pić i ją bić. Ale teraz miała już za

sobą mroczną i ponurą przeszłość. Wraz z Ralfem przyszedł spokój i wróciło szczęście. Podarował jej dwójkę cudownych dzieci, choć nie miała nawet odwagi marzyć, że kiedyś jeszcze zostanie matką. Dom był ukoronowaniem jej szczęścia. Jej dom. Jej własny. Jej cztery ściany, jej meble. I wszystko dokładnie takie, jak sobie wymarzyła i zaplanowała, kiedy przez długie wieczory ślęczała nad rysunkami. Wiedziała, że pewnego dnia pospłacają długi i dożyją w tym domu późnej starości. Szczęśliwej, spokojnej i pełnej miłości.

Bettina uśmiechnęła się i wróciła do ciasta, które wyjęła z lodówki. Chciała upiec *quiche lorraine*, placek lotaryński. Czekają ją sporo pracy, żeby przygotować jutrzejsze przyjęcie sylwestrowe. W wielkim garnku na kuchence dusiła się wołowina na *tafelspitz*. Długo myślała, co podać do jedzenia, i wybrała duszone mięso, bo można je przyrządzić na wiele sposobów. Na dodatek wspaniale smakuje nawet odgrzewane.

— Święta będziemy obchodzili już w nowym domu — zapowiedział latem Ralf, kiedy prace na placu budowy toczyły się w ślimaczym tempie. Z początku bardzo w to wątpiła. A jednak dotrzymał słowa. Dwudziestego czwartego listopada wprowadzili się do siebie. Błyskawicznie rozpakowali wszystkie kartony, powiesili ubrania w szafach i ustawili książki na regałach.

W drzwiach zachrobotał klucz.

— Jesteśmy! — zawołał Ralf od progu, a chwilę potem do kuchni wpadły roześmiane dzieci z błyszczącymi oczyma i czerwonymi policzkami. Były zachwycone wycieczką do bazanciarni, na którą Ralf wziął je, żeby Bettina miała spokój przy pracy. Dzieci otworzyły lodówkę i wyjęły butelkę soku multiwitaminowego, po czym wspięły się na stołki po drugiej stronie blatu oddzielającego salon od otwartej kuchni.

— Cześć, kochanie. — Ralf wszedł boso do kuchni, objął ją w pasie i pocałował. — O rany, ależ tu zapachy się unoszą! Aż ślinka cieknie.

— Nie rusz! To wszystko na jutro! — Serce Bettiny biło mocniej, ilekroć mąż znajdował się w pobliżu. — Ale w piekarniku na głodnych czeka mała niespodzianka.

— Mmm, wywąchałem już wcześniej. — Ralf zajrzał przez szybę. — Pizza!

— Pizza! Pizza! — wiwatowały dzieci. — Z czym ją zrobiłaś, mamo?

— Ze wszystkim, co lubicie. — Bettina się roześmiała. — To teraz szybko nakryjcie do stołu, ale najpierw umyjcie ręce. Gdy będziecie gotowi, możemy siadać do jedzenia.

Spojrzała mężowi głęboko w oczy.

— Kocham ten dom — powiedziała. — Ale znacznie bardziej kocham ciebie.

Wziął ją w ramiona i delikatnie potarł zimnym policzkiem o jej ciepłą twarz.

— Ja cię też kocham — wyszeptał. — Do końca życia będę cię kochał.

— NIECH TO CHOLERA! Szlag by trafił! — Bodenstein nie krył wściekłości. — Przecież to nie miało prawa się zdarzyć! Ten facet nas tutaj najnormalniej w świecie uwięził!

Thomsen zaprowadził ich do kotłowni w piwnicy. Ogniotrwałe stalowe drzwi zatrzasnęły się za nim z głuchym łoskotem, a potem rozległ się zgrzyt przekręcanego klucza. Nie mogli uciec! Najgorsze, że ogrzewanie było wyłączone i w piwnicy panował straszny ziąb; ziąb i ciemność.

Pia starała się zapanować nad drgawkami, które nie chciały ustąpić. Przerazenie, które ją ogarnęło, było jak zaraza. Thomsen od początku wydawał się jej niebezpiecznym człowiekiem, jednak takiego obrotu spraw nigdy by nie przewidziała.

— Ostermann wie, dokąd pojechaliśmy. — Bodenstein starał się ją

uspokoić. Jednocześnie posuwał się po omacku wzdłuż ściany, szukając włącznika prądu. Na próżno. Musiał znajdować się na zewnątrz. A przez niewielkie okienko z zakratowanym wywietrznikiem wpadało zbyt mało światła, żeby dobrze się rozejrzeć.

Pia wolała się nie zastanawiać, co mogłoby się zdarzyć. Co by się stało, gdyby Thomsen, uciekając, podpalił dom. Spłonęliby razem z budynkiem albo udusili się dymem. Mógł też zatopić piwnicę, jak niegdyś skrzywiona psychicznie Daniela Lauterbach.

Pia nabrała głęboko powietrza, zagryzła zęby i w końcu zapanowała nad emocjami. Powiedział przecież, że nic im się nie stanie. Nie mieli innego wyjścia, jak wziąć jego słowa za dobrą monetę.

— Myślisz, że to jego szukamy? — zapytała. Jej oczy przyzwyczyły się już do panującego w piwnicy głębokiego półmroku i dostrzegła puste wiadro. Odwróciła je dnem do góry i usiadła.

— Moim zdaniem to może być on — potwierdził Bodenstein. — Co jak co, ale strzelać to on na pewno potrafi wyśmienicie.

— I nie ma nic do stracenia — dokończyła Pia. — Ale wdepnęliśmy w gówno!

— Czyli? O co ci chodzi? — Bodenstein był wyraźnie zdenerwowany.

— Daj spokój, to chyba oczywiste. Poza tym koniecznie muszę do toalety! Matko, ale mnie ciśnie! Jeszcze trochę i nie wytrzymam.

— Skorzystaj z wiadra — zaproponował Bodenstein. — Odwrócę się.

— Nie, no co ty. Postaram się wytrzymać. — Na zmarznięte dłonie naciągnęła rękawy kurtki. — Thomsen bardzo lubił Helen. Kiedy zapytałam go o nią, skurczyła mu się twarz.

— Erik Stadler też lubił swoją siostrę — odparował szef.

— Jak brat siostrę, więc to co innego — ciągnęła Pia. — Przez te wszystkie lata bardzo cierpiał, bo stracił matkę. Ale przecież w tym czasie

zbudował też świetnie działającą firmę, jest w związku z kobietą, ma hobby, uprawia sport i spotyka się z przyjaciółmi.

— Tak czy inaczej, Erik też odpowiada profilowi, który Neff nam przygotował. I to bardzo dobrze do niego pasuje.

— Ach, daj już sobie spokój z tymi profilami! — jęknęła Pia. — Przecież to jakieś idiotyzmy. Pomyśl, Stadler jest zbyt chaotyczny, zbyt impulsywny i niecierpliwy. Już prędzej obstawiałabym Thomsena. Ten gość jest zimny jak lód, nie okazuje emocji i na dodatek to wyszkolony profesjonalista.

— Jens-Uwe Hartig też nam pasuje i na razie pozostanie podejrzanym. — Bodenstein wcisnął ręce w kieszenie płaszcza i zaczął chodzić tam i z powrotem jak tygrys zamknięty w klatce. Pomieszczenie nie było zbyt obszerne, więc co kilka metrów musiał zawracać. Pia nie spuszczała z niego wzroku i jak kibic tenisa kręciła głową w prawo i w lewo, żeby za nim nadążyć. — Jak by się dobrze zastanović, to stracił wszystko, co wcześniej było jego życiem. Zobacz, w życiu zawodowym i prywatnym nic mu nie zostało. Poza tym kipi chęcią zemsty. A jeśli Thomsen powiedział prawdę, to gość też umie strzelać. On i Helen przez całe lata nie rozmawiali o niczym innym jak tylko o przeszłości i o śmierci jej matki. To jest moim zdaniem co najmniej dziwne. Ba, to jest chore. Normalni ludzie patrzą w przyszłość i starają się pogodzić z tym, co się wydarzyło. Helen Stadler nie była chyba do tego zdolna. Hartig też nie.

— Helen miała ogromne poczucie winy, więc śmierć matki uczyniła tematem przewodnim swojego życia — potaknęła Pia. — Zupełnie jakby bez tej winy nie potrafiła funkcjonować.

— I właśnie dlatego nie można uważać jej za osobę normalną. To było jak choroba. — Bodenstein oparł się o ścianę. — Na pęczki znajdziesz ludzi, którzy celowo wmawiają sobie chorobę, żeby ściągnąć na siebie uwagę innych.

— Jakoś cały czas nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktoś z własnej woli pchał się w taką sytuację. I to przez całe lata! — Pia potrząsnęła głową i ścisnęła kolana. Nie trzęsła się już. Thomsen zamknął ich, żeby zyskać czas na ucieczkę, a nie dlatego, że chciał im coś zrobić.

— Prawda jest taka — zaczął Bodenstein — że wszyscy jakoś ostatecznie uporali się z problemami i tragediami, a tylko Helen pławiła się w żalu. Uważam, że powinniśmy przyjrzeć się dokładniej Hartigowi. Może coś mu się poprzestawiało i uznał, że ma obowiązek zemścić się na tych, którzy doprowadzili Helen do samobójstwa.

— A jej dziadkowie? Ci Winklerowie? — myślała na głos Pia. — Obwiniają się o to, że podpisali zgodę na pobranie organów od córki. Wcześniej Thomsen znalazł się w podobnej sytuacji, podjął podobną decyzję, co przyniosło opłakane skutki i zniszczyło mu życie.

Miała wrażenie, że zaraz pęknie jej pęcherz. Gdyby nie to, że została uwięziona akurat z szefem, byłoby jej zdecydowanie łatwiej; przy Kaiu czy Christianie nie miałyby takich oporów i załatwiłaby się do wiadra. Jednak akurat przy Bodensteinie czuła się wyjątkowo niezręcznie.

— To mamy czterech głównych podejrzanych: Jensa-Uwego Hartiga, Marka Thomsena, Joachima Winklera i Erika Stadlera — podsumował Oliver. — Trzej ostatni posługują się bronią, a gdy chodzi o Hartiga, będziemy musieli to dopiero ustalić. Cała czwórka ma motywy, lepsze albo gorsze, ale ma. Wszyscy też dysponują środkami, by dokonać takich zbrodni, i można przyjąć, że mieli też okazję. Hartig i Stadler nie są żonaci, więc mogą dowolnie dysponować czasem. Winkler jest rencistą, a Thomsen pracuje w firmie ochroniarskiej.

— Tylko zauważ, że pełna inwigilacja ofiar wymaga sporo czasu. Trzeba ustalić ich plan dnia, znać miejsca, w których się pojawiają, a potem wybrać najodpowiedniejsze do dokonania morderstwa. — Pia zatarła dłonie

i wyprostowała lewą nogę, bo zaczynała jej cierpnąć. — Cały czas trzeba mieć Stadlera seniora na oku. Jego ta sprawa dotknęła chyba najbardziej. O rany, słuchaj, dłużej nie dam rady. Odwróć się, proszę.

Wstała, postawiła wiadro dnem na dół i opuściła spodnie.

EKSPEDYCJA RATUNKOWA przybyła z odsieczą punktualnie o szesnastej czterdzieści, po czterech i pół godzinie od chwili, kiedy Thomsen uwięził ich w swojej piwnicy. Cem Altunay przyprowadził czwórkę umundurowanych funkcjonariuszy i z szerokim uśmiechem otworzył drzwi.

— Gdzieście się do diabła podziewali? — Bodenstein zachowywał się tak, jakby policjanci nie stawili się na ratunek o umówionej godzinie.

— Procedury! Nie mogliśmy zacząć szukać, dopóki ktoś nie zgłosił waszego zaginięcia — odparł Cem radośnie. — Kai twierdził, że siedzicie sobie gdzieś w ciepłku i zajadacie obiad.

— Co proszę?! — Pia spojrzała na współpracownika, zastanawiając się, czy przypadkiem nie żartuje.

— Tak właśnie było, słowo. Thomsen zadzwonił pół godziny temu i poinformował dyżurnego, że zamknął was w kotłowni — potwierdził Cem. — Powiedział, że tylne drzwi do domu są otwarte, a w tych zostawił klucz. Potem się rozłączył.

— Co to ma niby znaczyć? — Pia potrząsnęła głową i wyprostowała obolałe kończyny.

— Zorientował się, że robi się gorąco, więc uznał, że trzeba się zmywać. A do tego potrzebował trochę czasu — zgadywał Bodenstein. — Dobrze, w takim razie przeszukujemy dom. Cem, wezwij, proszę, techników. Niech przewrócą tu wszystko do góry nogami. A Kai ma jak najszybciej zorganizować list gończy. Sprawa jest pilna, niech wszyscy szukają Thomsena.



— Już się tym zajął — powiedział Cem.

W kuchni na parterze leżała na stole broń służbowa Pii i Bodensteina, a obok niej ich telefony komórkowe — dokładnie tam, gdzie je zostawili. Kominek rozgrzał dom tak bardzo, że zrobiło się jak w saunie. Po kilku godzinach w zimnej piwnicy Pia miała wrażenie, że zaczyna rozmarzać. Kiedy doszła do siebie, ruszyła z Bodensteinem i Cemem sprawdzić pozostałe pomieszczenia. Po odejściu żony Thomsen urządził się tak, żeby było mu jak najwygodniej i najpraktyczniej: w salonie zamiast kanapy i foteli stały ciężary i bieżnia, a w pokoju obok widać było puste biurko, niepościelone łóżko i szafę na ubrania z otwartymi drzwiami.

— Wszystko z niej wyjął — stwierdziła Pia. — I zabrał ubrania.

— Thomsen jest poszukiwany i musimy go dopaść — potwierdził Bodenstein.

— Halo? Gdzie jesteście? — zawołała ze schodów jakaś funkcjonariuszka. — Chodźcie coś zobaczyć! Spodoba się wam!

Trzy pokoje i łazienka na piętrze wyglądały, jakby od dawna nikt ich nie używał. Nie działało tam ogrzewanie i czuć było stęchlizną. Młoda policjantka zaprowadziła Pię i Bodensteina do pokoju obok łazienki. Wszystko wskazywało na to, że wcześniej był wykorzystywany przez Benniego, syna Thomsena. Pod skośnym dachem stało młodzieżowe łóżko, na ścianach wisiały pożółkłe plakaty Eintrachtu Frankfurt z sezonu 1997/1998, a nad biurkiem znajdowało się sześć pustych korkowych tablic. Ktoś musiał w ogromnym pośpiechu zrywać przypięte do nich kartki, bo w korku tkwiły jeszcze szpilki z kawałkami wyrwanego papieru, a inne leżały na podłodze i biurku.

— To znaleźliśmy za biurkiem. — Policjantka uśmiechnęła się podekscytowana i podała Bodensteinowi kartkę. — Musiała mu spaść i najwyraźniej tego nie zauważył.

— Pia, patrz! — Bodenstein przesunął wzrokiem po kartce i aż zagwizdał z wrażenia. — To mi wygląda na zapiski z obserwacji!

Podał kartkę Pii.

— Rzeczywiście! — Skinęła głową. — Ręcznie zapisane dossier Maximiliana Gehrkego. Szczegółowy plan dnia od maja do sierpnia tego roku! Ktoś go najnormalniej w świecie obserwował i śledził! I to przez kilka tygodni.

— Thomsen to człowiek, którego szukamy. — Bodenstein był o tym przekonany.

— Hm, tylko zobacz, charakter pisma nie pasuje do mężczyzny. Na moje oko mogła to pisać jakaś młoda dziewczyna.

— Co tam jeszcze wisiało? — Bodenstein przyjrzał się sześciu korkowym tablicom. — Chyba sporo, bo całe są podziurawione.

— No i jest ich sześć — zauważył rzeczowo Cem. — To chyba coś znaczy, prawda?

— Co masz na myśli? — zapytała Pia.

— Może każda z ofiar miała swoją tablicę — wyjaśnił poważnym głosem. — Wtedy trzeba by założyć, że Snajper chce zabić jeszcze dwie osoby.

**W KOŃCU COŚ DRGNĘŁO!** Wreszcie mieli jakiś punkt zaczepienia!

Po dwunastu dniach bez żadnych śladów, wskazówek, poszlak czy jakichkolwiek wyników wygłodniały sukcesów zespół rzucił się do gorączkowej pracy, pełen nowej motywacji i gnany ostrożną euforią. W napięciu i skupieniu raz jeszcze analizowano najdrobniejsze detale, zestawiano z pozoru przeczące sobie fakty i rozważano kolejne ruchy. Mimo to obraz, który wyłaniał się z jedyńskich jak dotąd dostępnych fragmentów układanki, wydawał się mocno zagmatwany.

— Ten dziennikarz z „Taunus Echo” upiera się, że to nie on kontaktował

się z Fritzem Gehrkiem. — Bodenstein powiadomił współpracowników o wynikach rozmowy z Faberem. — Twierdzi też, że spotkała się z nim Karoline Albrecht, córka ofiary numer dwa, i wymogła na nim pokazanie nekrologu dotyczącego jej matki. A on pokazał jej wszystkie, jakie posiadał, i pozwolił je skserować. Bo go poprosiła.

— Ciekawe, co na to pani Albrecht? Trzeba by ją zapytać. — Pia uniosła brwi. — No i przede wszystkim, jaki miała interes w tym, żeby spotkać się ze starym Gehrkiem?

— Może go znała? — Bodenstein wzruszył ramionami. — Gehrke i jej ojciec byli znajomymi.

— Nie udało mi się z nią skontaktować. Niestety, nie mamy jej komórki.

Za oknami zapadał zmrok, jednak nikomu nie przyszło do głowy, żeby wracać do domu. Nie teraz, nie, jeśli przełom mógł być tuż-tuż! Ktoś zamówił dla wszystkich pizzę z włoskiej restauracji przy Elisabethenstrasse. Zjedli ją na stojąco albo przy biurkach w sali odpraw grupy specjalnej „Snajper”. Kai wykorzystał ten czas, żeby podsumować wszystko, co na razie udało się ustalić.

Na poddaszu domu Marka Thomsena, wbrew temu, co mówił, znaleziono dwa karabiny, zgodnie z przepisami umieszczone w zamkniętej stalowej szafie na broń. Jednak po sprawdzeniu znalezionych dokumentów okazało się, że brakuje jednej sztuki broni długiej i jednej krótkiej. Poza tym technicy zabezpieczyli kilka segregatorów. Bodenstein nie spodziewał się znaleźć w nich niczego przełomowego, bo Thomsen uciekając, zabrał ze sobą wszystko, co uznał za ważne. Miał przecież dosyć czasu. Rozesłano za nim list gończy, podano jego dane i opis psa, którego wziął; do prasy trafiło też jego zdjęcie. Dość szybko udało się ustalić miejsce zamieszkania byłej żony. W czasie rozmowy kobieta potwierdziła jego motywację. Okazało się poza tym, że profil psychologiczny sporządzony przez Kim był niemal bezbłędny:

po śmierci syna Thomsen obsesyjnie zajmował się napiętnowaniem nieetycznego postępowania lekarzy i dostawał białej gorączki, jeśli się okazywało, że nikt nie chce wysłuchiwać jego żalów. Na dodatek był wyśmienitym strzelcem, który potrafił działać w sytuacjach skrajnie stresowych i nigdy nie tracił głowy ani kontroli nad emocjami. Podczas rozmowy z byłą żoną światło dzienne ujrzał również prawdziwy powód, dla którego Thomsen nie był już policjantem. Nie wchodząc w szczegóły, kobieta wymieniła pewne zajście, skutkiem którego było natychmiastowe zawieszenie, proces i dyscyplinarne zwolnienie ze służby.

Na wszelki wypadek — choć bez wielkich nadziei, że Thomsen popełni tak głupi błąd — Bodenstein zarządził całodobową obserwację domu Winklerów, widząc cień szansy, że się tam pojawi. Poza tym obdzwoniono wszystkich członków PKOMMT, którzy widnieli na stronie internetowej organizacji. Nikt nie wiedział, gdzie szukać Thomsena, a on jakby zapadł się pod ziemię.

Mimo że wszystko wskazywało na niego jako na sprawcę, Bodenstein nie zrezygnował z obserwacji pozostałych podejrzanych. Erik Stadler potwierdził im w rozmowie historię Patricka Schwarzera, ale też wyjaśnił, że krąg osób, które wiedziały, co się zdarzyło, był relatywnie szeroki, bo lekarz i ratownicy z karetki, którą nietrzeźwy Patrick wjechał do rowu, byli wyjątkowo wzburzeni jego czynem.

Ostermann sprawdził też wszystko, co można było znaleźć na temat Jensa-Uwego Hartiga.

Kwerenda baz danych policji i wojska podsunęła kilka nowych nazwisk, lecz prócz Marka Thomsena żadna z tych osób nie była związana z Helen Stadler.

W domu Fritza Gehrkego nie znaleziono niczego, co byłoby choć trochę interesujące. Staruszek przed śmiercią bardzo starannie wyczyścił willę ze

wszystkiego, co mogło mieć dla nich znaczenie. Nie zostawił również listu pożegnalnego. Ciekawa była tylko informacja o zmianie testamentu, jakiej dokonał dwa dni po śmierci Maximiliana: jedynym spadkobiercą swojego majątku uczynił Niemiecką Fundację Transplantacji Organów.

— Ironia losu, co? Facet był wykształconym lekarzem, szefem dużego koncernu farmaceutycznego, a mimo to nie mógł pomóc jedynemu synowi, który był chory — zauważył Neff, który — całkowicie przez przypadek oczywiście — zajął miejsce obok Kim. — Tutaj jego miliony nic nie mogły działać.

— To nie do końca tak, bo przecież mu pomógł — zaprzeczyła Kim. — Jego syn dostał nowe serce i zyskał kilka lat życia.

Pia popatrzyła na siostrę. Przez głowę przemknęła jej nowa myśl.

— Zaraz, a gdzie Gehrke studiował medycynę? — zapytała.

— W Kolonii — odparł Neff.

— Kai, sprawdziłeś już numery z telefonu Gehrkego? Masz wszystko spisane?

— Pewnie. Na szczęście staruszek najwyraźniej nie przepadał za komórkami i prawie wszędzie dzwonił na numery stacjonarne. A to znacznie ułatwiło mi sprawę. — Kai odszukał listę z wydrukowanymi informacjami i podał ją koleżance.

— Miałam rację. Ostatnią osobą, z którą rozmawiał przed śmiercią, był profesor Dieter Rudolf — stwierdziła. — A wcześniej dzwonił do jakiegoś doktora Hansa Furtwänglera z Kolonii. Kto to taki?

Kai natychmiast wprowadził imię i nazwisko mężczyzny do komputera.

— Dzisiaj rano dzwonił do niego ktoś z numeru z frankfurckim kierunkowym — kontynuowała Pia. — Znowu telefon stacjonarny. Numer należy do doktora Petera Riegelhoffa.

— Czeka, to nazwisko coś mi mówi... — przerwał jej Bodenstein i się

zamyślił.

— To adwokat — wyjaśnił Ostermann. — Już wcześniej go sprawdziłem.

— No właśnie! Stąd go zapamiętałem! — Bodenstein pokiwał głową. — Pierwszy raz wspomniał o nim ten redaktor z „Taunus Echo”, który zaczepił mnie, gdy wychodziłem po konferencji prasowej z hali miejskiej. Riegelhoff reprezentował interesy Szpitala Urazowego i doprowadził do ugody ze Stadlerem! Ciekawe, co takiego mógł chcieć od Gehrkego?

— Nie mam pojęcia, ale musimy się dowiedzieć — zdecydowała Pia i wróciła do analizy billingów. — Z doktorem Hansem Furtwänglerem Gehrke rozmawiał przez czternaście minut, a potem wybrał numer — też stacjonarny — do doktora Simona Burmeistera z Bad Homburg. Ta rozmowa z kolei trwała tylko dwanaście sekund.

— Czyli żadna rozmowa, a automatyczna sekretarka — stwierdził Kai. — Okej, słuchajcie, znalazłem właśnie Furtwänglera! Rocznik trzydziesty czwarty, emerytowany profesor, wcześniej internista i onkolog, specjalizacja z hematologii.

— A doktor Simon Burmeister — oznajmił Neff, który równolegle z Kaiem szukał w Google’u kolejnych nazwisk — to dyrektor oddziału chirurgii transplantacyjnej w Szpitalu Urazowym we Frankfurcie.

Czego Fritz Gehrke mógłby chcieć od tych czterech mężczyzn? Co ich łączyło? Co chciał im przekazać? Z prawnikiem mówili sobie po imieniu, co oznaczało duży stopień poufałości, gdyż osoby w wieku Gehrkego nieczęsto przechodzą z dużo młodszymi na ty.

— Mamy jakieś okoliczności, które by ich wszystkich łączyły? — zapytała Pia. — Może byli członkami Lions Club? Rotary Club? Albo jakiejś innej organizacji?

— Simon Burmeister w 2002 roku pracował już w urazowym — oznajmiła Kim, która wcześniej otworzyła sobie stronę szpitala z Frankfurtu.

— Burmeister został następcą profesora Rudolfa. Zgodnie z jego opublikowanym życiorysem, do Szpitala Urazowego przyszedł w 1999.

— Czyli może być kolejną ofiarą Snajpera! — Bodenstein sięgnął po słuchawkę. — Szybko, Pia, podyktuj mi jego numer.

Pia podała telefon do lekarza. Policjant natychmiast do niego zadzwonił, lecz zgłosił się jedynie automat. Oliver zostawił wiadomość z prośbą o pilny kontakt, po czym zadzwonił do adwokata, doktora Riegelhoffa. Połączenie odebrała jego żona, która nie okazała niezadowolenia, że ktoś przeszkadza jej w niedzielny wieczór. Jej mąż pracował jeszcze w swojej kancelarii, więc podała Bodensteinowi numer stacjonarny do biura i prywatną komórkę adwokata. Riegelhoff nie odbierał żadnego z tych telefonów, więc policjant zostawił mu wiadomość, również z prośbą o pilny kontakt.

Krótko po dziesiątej wieczorem w drzwiach sali odpraw pojawiła się doktor Nicola Engel. Przyszła poinformować, że prokurator wydał zgodę na założenie podsłuchu na telefonach należących do Winklerów oraz na przeszukanie mieszkań Erika Stadlera i Jensa-Uwego Hartiga.

— Doskonale. — Bodenstein nie krył zadowolenia. Wstał i rozejrzał się po swoich ludziach. — Stadler nigdzie się nie wybiera, ale Hartig z samego rana może spodziewać się naszej wizyty. O piątej, powiedzmy. Na początek bierzemy się za jego prywatne mieszkanie, a potem za sklep z pracownią. I to by było tyle na dzisiaj. Mamy za sobą wyczerpujący dzień, a jutro zaczynamy z samego rana, więc idźcie się wyspać.

Komputery zostały wyłączone, laptopy pozamykane. Pia przeciągnęła się i ziewnęła. Zauważyła, że Kim obserwuje doktor Engel, a także to, że wzrok Neffa również podążył za spojrzeniem Kim. Wunderwaffe z Wiesbaden coraz częściej szukał bliskości jej siostry, a żeby to osiągnąć, posuwał się nawet do przynoszenia jej kawy i rogalików z czekoladą — i to nieproszony! Im chłodniej Kim go traktowała, tym więcej wysiłku wkładał w znalezienie

do niej jakiegoś dojszcia. Kiedy nie wiedział, że ktoś go obserwuje, przestawał się pilnować, a wtedy z jego twarzy można było czytać jak z otwartej książki. To, co Pia tam przeczytała, napełniło ją niepokojem. Neff był nadętym dupkiem, a ona nie ufała jego przemianie. Czyżby coś jeszcze szykował?

KAROLINE ALBRECHT rozmasowała napięty kark. Od kilku godzin przeszukiwała Internet pod kątem informacji o doktorze Hansie Furtwänglerze, którego odwiedziła dziś w Kolonii. Nie dotarła jednak do niczego, co zwróciłoby jej uwagę. Furtwängler od czterdziestu lat pracował w zawodzie lekarza i przez ten czas nie zdarzyło się absolutnie nic, co mogłoby budzić wątpliwości albo ściągnąć na niego podejrzenia. Był szefem oddziału onkologicznego i hematologicznego dużego szpitala w Kolonii, później, kiedy osiągnął wiek emerytalny, otworzył prywatną klinikę. Zajmował się również pracą badawczą w swojej dziedzinie i opracował kilka metod leczenia białaczki, które dziś były standardowymi procedurami we wszystkich szpitalach. Poza Federalnym Krzyżem Zasługi otrzymał jeszcze wiele innych odznaczeń, był członkiem licznych organizacji lekarskich, należał do Lions Clubu i do paru fundacji dobroczynnych. Żadnych skandali, żadnych kontrowersji. Nic. Na koniec zabrała się za sprawdzanie doktora Arthura Janninga, który był jednym z najbliższych przyjaciół jej ojca, lecz poszukiwania też nic nie przyniosły. Janning, szef oddziału intensywnej terapii Szpitala Urazowego we Frankfurcie, cieszył się równie nieposzlakowaną opinią jak Furtwängler.

Zanim przystąpiła do pracy, miała wielką nadzieję, że znajdzie jakieś informacje, które pozwolą jej właściwie odczytać skąpe i zdawkowe uwagi poczynione przez Janninga i Furtwänglera. Rozmowa z Furtwänglerem, ruchliwym siedemdziesięciolatkiem o świeżej karaibskiej opaleniznie, przebiegała w spokojnej i przyjaznej atmosferze. Oczywiście zaraz na



początku złożył jej kondolencje i zapewnił, że głęboko jej współczuje. Karoline wyjaśniła mu, że była w Kolonii przejazdem i opadły ją wspomnienia z dzieciństwa — wizyt w jego przecudnym ogrodzie — lecz kiedy tylko napomknęła o Kirsten Stadler, jowialny mężczyzna zamknął się jak ostryga. Ściana milczenia okazała się nie do pokonania, więc spotkanie szybko dobiegło końca.

Karoline spojrzała na zegarek na piekarniku. Zaraz północ!

Zniechęcona i rozczarowana mizernymi skutkami swoich poszukiwań chciała złożyć broń i pójść spać, lecz akurat wtedy coś przyszło jej do głowy. Greta na żadne urodziny nie cieszyła się tak bardzo jak na trzynaste, bo to graniczny wiek, od którego mogła zarejestrować się oficjalnie na Facebooku. Od tamtego czasu pół życia spędzała na różnych portalach społecznościowych, publikowała swoje zdjęcia, zamieszczała w postach najróżniejsze błahostki, a stopień jej popularności wyrażał się ilością kliknięć „lubię to”. Pamiętała, że kiedyś Greta dąsała się cały weekend, bo ktoś na Facebooku usunął ją ze „znajomych”, co dziś miało podobnie doniosłe znaczenie jak dawniej pominięcie przy rozdawaniu zaproszeń na urodziny. Greta uważała, że Karoline bez konta na Facebooku praktycznie nie istnieje, więc jakiś czas temu zaoferowała pomoc i zarejestrowała matkę na tym portalu, a potem w kilku słowach wyjaśniła, jak się na nim poruszać. Ku swemu zaskoczeniu, Karoline rzeczywiście błyskawicznie zaczęła otrzymywać zaproszenia do grona znajomych ze strony dawnych koleżanek i kolegów, także ze szkoły. Nalała sobie kieliszek białego wina i zalogowała się na swoje konto. W wyszukiwarce wpisała Helen Stadler i natychmiast znalazła jej stronę. Ku jej zaskoczeniu, konto Helen wciąż było aktywne! Najwyraźniej nikt nie pomyślał, by po śmierci dziewczyny je zamknąć. Nie mogła uwierzyć swojemu szczęściu. Otworzyła listę znajomych Helen. Pięćdziesiąt cztery osoby. Ponieważ nie były znajomymi, mogła zobaczyć

raptem kilka publicznych zdjęć czy wpisów, lecz zanotowała sobie nazwiska tych, którzy zostawili swoje komentarze albo polubili jej posty. Jedno nazwisko pojawiało się częściej niż pozostałe: Vivien Stern. Karoline weszła na jej stronę i wysłała krótką wiadomość. Co prawda miała wątpliwości, czy ta młoda dziewczyna w ogóle jej odpowie, ale uznała, że warto spróbować.

*Dziś był ostatni dzień starego roku. Dzień szczególny. Moment przemyśleń i podsumowań. Co mi się udało, co mi nie wyszło? Jakież zamierzam wyciągnąć wnioski? Gdzie będę dokładnie za rok o tej samej porze? Jeśli chodziło o niego, to akurat było jasne. Nikt nigdy nie pojmie, dlaczego musiał zrobić to, co zrobił. Dlatego albo znajdzie się w więzieniu, albo będzie się smażył w piekle. W gruncie rzeczy obie możliwości oznaczały dla niego to samo.*

*Większość ludzi świętowała zakończenie starego i początek nowego roku w szerszym gronie. Jedli, pili i zachowywali się tak, jakby to była niezwykła noc. Inna niż wszystkie. W obcych kręgach kulturowych trzydziesty pierwszy grudnia jest najzwyczajszą datą, datą jak każda inna. Nie potrafił zaakceptować tego całego szału, rakiet, fajerwerków, sztucznych ogni i sylwestrowej hysterii. Już nie. Kiedyś było zupełnie inaczej. Dawniej spotykał się z kolegami, pili lampkę wina musującego, a potem, w domu, świętował z rodziną. Raclette albo fondue, żeby nie pić szampana na pusty żołądek. Lecz to stare dzieje. Teraz był sam. A dziś w nocy kogoś zabije. Wielu ludzi cieszyło się na Nowy Rok, a jednak nie było im dane go doczekać. W noc sylwestrową zdarzało się więcej wypadków niż w jakąkolwiek inną noc w roku. Staruszkowie i staruszki umierali jak każdego innego dnia. Lecz dziś miał umrzeć też ktoś, na kogo nie przysła jeszcze kolej. A może jednak? Czy temu człowiekowi już przy urodzeniu pisane było odejść dokładnie trzydziestego pierwszego grudnia 2012? Czy jego przeznaczeniem już wtedy było to, że dziś trafi go pocisk półpłaszczowy kaliber .308 Winchester, wystrzelony z karabinu snajperskiego Steyr SSG 69? Czy też może okazało się to wynikiem decyzji, które zapadały już za jego życia, prowadząc go nieodmiennie do miejsca, w którym dziś wyda ostatnie tchnienie?*

*Nie współczuł. Dla niego nikt nie miał współczucia, kiedy go potrzebował. On też musiał zaakceptować to, co się wtedy stało, i starać się żyć dalej. On również został sam, bez szans na to, by cokolwiek zmienić. Nieprzychylny los uderzył jak grom z jasnego nieba. Bez litości i bez ostrzeżenia, zostawiając go samego ze skutkami, by sobie jakoś radził. Przez całą resztę żałosnego życia.*

PIA ŹLE SPAŁA. Długo męczyło ją jakieś przeczucie, którego nie potrafiła nazwać, i nie wiedziała, czego dotyczy. Ogromnie działało jej to na nerwy. Za piętnaście czwarta rano wstała, ubrała się i zeszła do kuchni, żeby napić się kawy. Poprzedniego wieczoru rozmawiała przez Skype'a z Christophem, lecz celowo nie wspomniała mu nawet słowem o historii z Thomsenem i o odbezpieczonym pistolecie, który przystawił jej do głowy. I bez tego się o nią martwił. Domyślał się, że źle się odżywia, nie dosypia i zaharowuje się na śmierć, więc nie chciała go dodatkowo niepokoić. Tęskniła za nim każdą komórką ciała. Wprawdzie w ciągu dnia nie miała czasu myśleć o tym, jak bardzo jej brakuje jego obecności, bo sprawa Snajpera zajmowała ją praktycznie bez reszty, lecz wieczorami, kiedy leżała w łóżku, tęskniła ze zdwojoną mocą. Chciała jego bliskości, chciała ciepła jego ciała i zapachu jego skóry. Jak bardzo człowiek potrafi przyzwyczaić się do obecności drugiej osoby! I jak wielki ból sprawia jej brak! W jej wypadku to na szczęście przejściowe, lecz jak musiał czuć się ktoś, kto utracił miłość życia na zawsze? Z dnia na dzień? Jak musiał się czuć ten, kto otrzymywał wiadomość, że jego partner, partnerka, matka, córka albo syn właśnie zmarli? A oni nie mieli szansy, żeby się z nimi pożegnać? Pia pomyślała o Dirku Stadlerze, który dwukrotnie musiał usłyszeć tę hiobową wieść — za pierwszym razem, kiedy dowiedział się o śmierci żony, a za drugim córki. Podobnie Jens-Uwe Hartig, który tuż przed ślubem pochował przyszłą żonę.

Mark Thomsen stracił syna, a niedługo potem żonę i pracę.

Pia przypomniała sobie przerażenie Renate Rohleder i profesora Rudolfa, kiedy dotarło do nich, że najbliższa i najważniejsza dla nich osoba musiała umrzeć, bo sami popełnili jakiś błąd! Fritzowi Gehrke, temu schorowanemu staruszkowi, Snajper zabrał cel i esencję życia, jedyne, co mu zostało. A Patricka Schwarzera, dla którego wjechanie autem do rowu było niewiele znaczącym epizodem sprzed dziesięciu lat, ukarał śmiercią żony.

Są rzeczy gorsze niż śmierć, mawiamy, i jest w tym powiedzeniu sporo prawdy. Już sama strata jest ogromną katastrofą, pozostawiając rany, które nie chcą się zabiżnić. Tymczasem Snajper wzbudza w tych ludziach poczucie, że to oni ponoszą za to winę. To przerażająca tortura. Nieludzka. Czy Gehrke właśnie dlatego odebrał sobie życie?

Kiedy Pia przygotowała sobie dwie kromki chleba z nutellą i solonym masłem, w drzwiach kuchni stanęła Kim.

— Dzień dobry — wymamrotała niewyraźnie, i powłócząc nogami, dowlokła się do ekspresu. — Dlaczego jesteś tak obrzydliwie trzeźwa?

— Cześć! — Pia uśmiechnęła się szeroko. — Wiesz, mam gen wczesnego wstawania. Ja jestem skowronkiem, a ty sową. Chcesz coś zjeść, zanim pojedziemy?

Złożyła gorące tosty w kanapkę i wgryzła się w nią ze smakiem.

— Mowy nie ma. Tak wcześnie rano nic nie przełknę. — Kim z odrazą potrząsnęła głową i upiła łyk kawy.

— Jak się dobrze zastanowić, Mark Thomsen nie ma uzasadnionego motywu — oznajmiła Pia z pełną buzią. — No chyba że ze Stadlerami łączy go coś, o czym na razie nie mamy pojęcia.

— A wiesz, że też o tym myślałam? — odparła Kim. — Stadler dostał wtedy od szpitala pieniądze za podpisanie ugody. Mógł przecież kogoś za nie wynająć.

— Zawodowego mordercę? To sugerujesz?

— No bo zastanów się: czemu nie miałyby zapłacić prawdziwemu profesjonalistcie?

— Też mi to już przeszło przez myśl — przyznała Pia. — Dirk Stadler ma motyw tak samo pewny jak jego syn i teściowie, z którymi nie rozmawia. A jeśli ktoś ma odpowiednie powiązania, da sobie radę ze znalezieniem kogoś, kto odwali za niego brudną robotę. Litwini, Rosjanie, Albańczycy z Kosowa — oni robią takie rzeczy za drobniaki.

— Aż tak daleko nie musimy szukać. — Resztki senności zniknęły z twarzy Kim. — Zastanów się! Przecież może być tak, że rodzina Stadlerów opłaciła Thomsena, żeby w ich imieniu dokonał zemsty.

Pia się zamyśliła. Jedząc kanapkę z nutellą i solonym masłem, rozważała, czy to Mark Thomsen jest poszukiwanym zabójcą. Czy ten człowiek mógł podjąć się takiego zlecenia za pieniądze? Czy w ogóle zależało mu na pieniądzach? Przecież musiałyby wiedzieć, że najpewniej zostanie złapany i trafi za kratki. I to do końca życia. Nie, ktoś taki jak on, kto zna policję, zrobiłby to albo z przekonania, albo w ogóle. Poza tym z całą pewnością nie jest typem człowieka, który dałby się wykorzystywać.

— Poczekamy, zobaczymy. Może będziemy wiedzieć coś więcej po przeszukaniu domów. — Pia spojrzała na zegarek, wzięła ze stołu talerz i nóż i włożyła do zmywarki. — Dobra, wezmę teraz psy na spacer i nakarmię konie. Widzimy się potem w komendzie?

— No pewnie. — Kim znów ziewnęła. — Pojadę tam na dziewiątą, bo wcześniej chciałabym zrobić jakieś zakupy.

— Jesteś prawdziwym skarbem — orzekła Pia i uśmiechnęła się szeroko. — Nie będziemy musiały świętować sylwestra bez tradycyjnego mięsnego fondu.

— Mam jeszcze kupić zestaw do wróżb na Nowy Rok i jakieś fajerwerki?

— zawołała Kim, kiedy Pia była już we wiatrołapie i wkładała buty robocze.

— Po co? — Pia uśmiechnęła się szeroko. — Stąd widać wszystkie fajerwerki, jakie są odpalane we Frankfurcie. Nie ma sensu marnować kasy!

BODENSTEIN OD SAMEGO POCZĄTKU wiedział, że przeszukanie mieszkania Jensa-Uwego Hartiga nie przyniesie niczego nowego. O piątej rano Hartig był ubrany, choć trudno było stwierdzić, czy już, czy raczej jeszcze. Stanął w drzwiach nieogolony i przywitał się skinieniem głowy, kiedy zobaczył Bodensteina z prokuratorskim nakazem przeszukania.

— Nie ma sprawy — mruknął obojętnie. — Mogę zrobić sobie kawę?

— Proszę. — Bodenstein skinął głową. Pia ruszyła za nimi do kuchni. — Spał pan w ogóle?

— Trochę. — Hartig bez zainteresowania spojrzał na funkcjonariuszy, którzy mijali go z plastikowymi skrzynkami w dłoniach, by się rozdzielić i przebadać trzy pokoje w jego mieszkaniu. Włączył ekspres do kawy, wziął dzbanek i nalał wody do zbiorniczka. — Od kiedy Helen nie żyje, bardzo źle sypiam. Zazwyczaj siedzę przez telewizorem i oglądam jakieś filmy dokumentalne albo po prostu jadę do warsztatu. Praca pozwala mi się skupić na czymś innym.

— A dziś w nocy? Oglądał pan coś, czy był pan w pracowni? Silnik samochodu jest jeszcze ciepły.

— Zgadza się. Pół godziny temu wróciłem do domu. — Przez jego zmęczoną twarz przemknął cień uśmiechu. Otworzył szafkę. — Zupełnie jakbym się spodziewał, że będę miał gości. Proszę się częstować.

— Nie, dziękuję — odpowiedzieli unisono Pia i Bodenstein. Ekspres zaczął wydawać bulgoczące dźwięki. Aromat świeżej kawy zagłuszył nieprzyjemny smród potu i starego dymu papierosowego.

— Czy zna pan Marka Thomsena? — zapytała Pia.

— Tak. — Hartig skinął głową. — Gość ma zryty beret.

— Że co ma z beretem? — Bodenstein uniósł brwi.

— To skończony idiota.

— Czyżby był pan o niego zazdrosny?

— A dlaczego miałbym być o niego zazdrosny? — odpowiedział Hartig pytaniem na pytanie.

— Bo pana narzeczona utrzymywała dość bliskie kontakty z tym człowiekiem — zauważyła Pia. — Dirk Stadler nazwał Thomsena jej „zastępczym ojcem”.

— To jakaś bzdura. Mark narzucał się Helen i to jest fakt. Od kiedy po raz pierwszy pojawiła się z dziadkami w PKOMMT. Z początku schlebiało jej jego zainteresowanie, ale z czasem zaczęło jej to... przeszkadzać.

— W jakim stopniu?

— Rzeczywiście, zaczął się zachowywać, jakby był jej ojcem. Stał się przemądrzały, narzucał swoje zdanie i bez przerwy ją pouczał, co i jak ma robić, choć nikt go o radę nie pytał. — Hartig potrząsnął głową, jakby chciał odepchnąć od siebie nieprzyjemne wspomnienia. — Trudno w to uwierzyć, ale w domu przygotował dla niej specjalny pokój.

— Myśli pan, że czegoś od niej chciał?

— Widzieliście przecież zdjęcie Helen, prawda? — W głosie Hartiga pojawiła się nuta zgorzknienia. — Była piękną dziewczyną i wywoływała w ludziach uczucie bezradności. Jakby potrzebowała ochrony. Macho dla ubogich, właśnie w typie Thomsena, bardzo lubią takie dziewczyny. Czują się wtedy wielcy i silni, choć w gruncie rzeczy to zwykłe ofiary życiowe. Thomsen to parias. Nie ma kasy, nie ma z czego żyć i nurza się tylko w tych swoich fantazjach o odwecie. W ten sposób wciąż wzbudzał w niej zakłopotanie. Więcej, on ją wciągał w te swoje urojenia.

— Ma pan na myśli marzenia o zemście? — dopytywał się Bodenstein.



— Chciał karać ludzi, którzy jego zdaniem byli odpowiedzialni za jego problemy i upadek.

— Czy uznałby pan Thomsena za kogoś, kto byłby zdolny do zastrzelenia człowieka? — zapytała Pia ostrożnie. — Bo wie pan, mówić o czymś, a to zrobić, to dwie zupełnie różne rzeczy.

— Ależ oczywiście! Nie mam wątpliwości, że byłby zdolny. — Hartig nalał sobie kawy i się skrzywił. — On ma stosunkowo nisko ustalone bariery psychiczne. W Zespole 9 Federalnej Straży Granicznej strzelał do ludzi i zabijał. I nieraz powtarzał, że to żaden wysiłek, sprzątnąć kogoś z kilkuset metrów. Dla niego to było jak gra komputerowa.

Pia nie skomentowała tych słów. Nie chciało jej się wierzyć, że Thomsen mógłby wczoraj zastrzelić ją czy Bodensteina, jednak wyobrażała sobie, że bez wahania postrzeliliby ją w nogę, gdyby uznał, że to konieczne.

— Panie Hartig, czy umie pan posługiwać się bronią? — zapytał Bodenstein.

— Kiedyś umiałem. Mój ojciec był fanatykiem polowań i kiedy z bratem byliśmy jeszcze dziećmi, wyciągał nas ze sobą do lasu. Po raz pierwszy miałem broń w rękach, kiedy jeszcze byłem w przedszkolu. — Hartig zaśmiał się smutno. — Tak sobie wymyślił, że ciepłe kluchy zamieni w twarde gości.

— Ze strzelaniem jest jak z jazdą na rowerze. Tego się nie zapomina. — Pia zacytowała słowa, które poprzedniego dnia usłyszała od Marka Thomsena.

Hartig spojrział na nią, po czym wzruszył ramionami.

— Dziś bym pewnie nawet nie wiedział, gdzie wetknąć nabój — zapewnił ją.

Pia popatrzyła mu w oczy i ta krótka chwila wystarczyła, żeby nabrała pewności, że Hartig nie mówi prawdy. Jego pozorna obojętność, kamienna

twarz i udawany luz — wszystko to było starannie wyćwiczone i odegrane, a służyło jednemu nadrzędnemu celowi — wprowadzeniu ich w błąd. Jens-Uwe Hartig był bardzo inteligentnym człowiekiem, dla którego niepowodzenie stawało się przyczyną tragedii i urazy. Był kimś, kto działa i realizuje tylko te rzeczy, które są dla niego ważne. Jak daleko był gotów się posunąć, udowodnił już wcześniej, kiedy zanegował metody stosowane przez kolegów po fachu i przekreślił w ten sposób obiecującą karierę lekarską oraz zepsuł sobie stosunki z rodziną.

Pia raz jeszcze uważnie mu się przyjrzała. Miał tłuste, przydługie włosy, zgarbione plecy i ospałe, powolne ruchy. Obraz nędzy i rozpacz. Smutek, żaloba i złamane serce — to wszystko od razu rzucało się w oczy. Dobrze szło mu udawanie, bez dwóch zdań. I pewnie udałoby mu się ją zmanipulować, gdyby nie ten dziwny wyraz oczu, który pojawił się tylko na chwilę i w żaden sposób nie pasował do pozy, którą przybrał, kontaktując się z policją. Było w nich coś wyrachowanego i tak mrocznego, że Pia poczuła ciarki na plecach.

Policjanci zajmowali się przeszukiwaniem domu i pakowaniem do skrzynek wszystkiego, co wydawało im się warte przeanalizowania, a Bodenstein stał w kuchni i rozmawiał przez telefon. Zadzwoiła do niego Lis Wenning, żeby umówić się na spotkanie. Zdecydował, że Pia pokieruje przeszukaniem sklepu i pracowni Hartiga w mieście, on sam pojedzie najpierw do firmy Erika Stadlera, bo tam o siódmej trzydzieści ruszało przeszukiwanie, a potem uda się prosto do komendy, gdzie miała już czekać dziewczyna Stadlera.

— Gdzie pan właściwie przebywał, kiedy popełniono te wszystkie morderstwa? — zapytała Pia, kiedy została z Hartigiem w kuchni.

— Jeśli mi pani powie, kiedy zostały popełnione, to będę w stanie udzielić odpowiedzi — wyjaśnił Hartig. — Przy okazji, będzie pani przeszkadzało,

jeśli zapalę?

— Nie, zupełnie nie. To w końcu pana mieszkanie. — Pia potrząsnęła głową i wyliczyła daty i godziny kolejnych morderstw.

Hartig wysłuchał jej uważnie, zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Miał wąskie, delikatne nadgarstki i długie szczupłe palce. Dłonie chirurga. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że w gruncie rzeczy był bardzo przystojnym mężczyzną.

— Nie potrafię sobie dokładnie przypomnieć — przyznał w końcu i zacisnął powieki. — Ale pewnie alibi i tak bym nie miał. To dlatego przeszukujecie moje mieszkanie? Podejrzewacie mnie, prawda?

I znów to lodowate, wyrachowane spojrzenie.

— Nie — zaprzeczyła Pia. — Ale mamy nadzieję dowiedzieć się czegoś od pana. Pilnie potrzebujemy informacji, jednak pan nie chce się nimi podzielić.

To nie do końca odpowiadało rzeczywistości, jednak z całą pewnością posłużyło za argument, dzięki któremu prokuratura wydała pozwolenie na przeszukanie.

— O jakie informacje pani chodzi?

— O informacje na temat pracowników Szpitala Urazowego we Frankfurcie, którzy mieli jakąś styczność ze sprawą Kirsten Stadler. Czy przypomnieli się panu jakieś nazwiska?

— Nie, niestety. — Hartig potrząsnął głową i zrobił smutną minę. — Pamiętam jedynie profesora Rudolfa i doktora Hausmanna.

— Niechże pan już przestanie wciskać ten kit! — Pię ogarnęła bezradność, jak zwykle w czasie przesłuchania osoby, która kłamie albo uparcie milczy. — Pan i Helen nie rozmawialiście właściwie o niczym innym, jak tylko o sprawie jej matki! A to niemożliwe bez nazwisk konkretnych osób, które przyczyniły się do tego, co się stało! Dlaczego nie chce pan nam pomóc?

Nam i sobie! Naprawdę jest panu tak bardzo obojętne, że giną niewinni ludzie?

— O rany, pani naprawdę się wczuwa — stwierdził Hartig i uśmiechnął się kpiąco. — Przecież zupełnie ich pani nie zna. Dlaczego tak to panią rusza?

Pia wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Czy naprawdę chciał powiedzieć to, co przed chwilą usłyszała? A może to tylko takie makabryczne poczucie humoru? Dlaczego nie potrafiła nazwać tego, co nie dawało jej spokoju i budziło jej podejrzenia w stosunku do Hartiga?

— Bardzo rzadko się zdarza, że osobiście znam ludzi, którymi zajmuję się zawodowo — odparła. — Ale to nie zmienia faktu, że nie jestem w stanie zaakceptować sytuacji, w której jakiś idiota nazywa się Sędzią i uzurpuje sobie prawo do decydowania, kto ma żyć, a kto umrzeć. Żyjemy w państwie prawa, a ja je reprezentuję. Gdyby każdy mógł robić to, co mu tylko przyjdzie do głowy, żylibyśmy w anarchii.

— Państwo prawa? Pani chyba żartuje. To jakaś farsa. — Hartig skrzywił się z pogardą. — Poza tym dla mnie sprawa Stadlerów skończyła się z dniem, kiedy Helen zostawiła mnie samego. Po jej śmierci zerwałem wszelkie kontakty z jej rodziną i skupiłem się na przyszłości, w której nie ma miejsca dla demonów dręczących Helen. Potrafi pani zrozumieć, że chcę teraz żyć swoim życiem?

— Tak, jak najbardziej — potaknęła Pia. — Ale i tak za grosz panu nie wierzę. Dlaczego codziennie jeździ pan na cmentarz do Helen?

Hartig westchnął.

— Kochałem ją bardziej niż kogokolwiek na świecie — wyjaśnił. — To, że wybrała śmierć zamiast wspólnego życia i wspólnej przyszłości, sprawiło mi ogromny ból. To cios, którego do dziś nie potrafię przyjąć. Być może dlatego codziennie jeżdżę na jej grób.

Pia przyjrzała mu się sceptycznie, jednak nadaremnie czekała na jakiś

zdradzający go gest czy drgnięcie ust, które pozwoliłyby stwierdzić, że mężczyzna cynicznie kłamie. Postanowiła wyprowadzić go z równowagi.

— Jak się pan dogaduje z Erikiem Stadlerem i jego dziewczyną? — zaczęła z pozoru niewinny temat.

— Od śmierci Helen nie utrzymuję z nimi żadnego kontaktu. Ale wcześniej rozumieliśmy się całkiem dobrze.

— A z ojcem Helen? Dirkiem Stadlerem?

— Dirk był mi bardzo wdzięczny za wszystko, co robiłem dla jego córki. To nie była odpowiedź na jej pytanie.

— A co pan niby takiego dla niej robił?

Hartig zawahał się i zastanowił.

— Chroniłem ją. Broniłem najlepiej, jak potrafiłem. Robiłem, co mogłem, żeby dać jej poczucie bezpieczeństwa. Helen była kobietą pełną sprzeczności.

— Zamyślony spojrział na żarzącą się końcówkę papierosa. — Z jednej strony była bardzo świadomą, odważną i samodzielną osobą, a z drugiej strony przepełniały ją strach, obawy i wątpliwości. Utrata matki i okoliczności jej śmierci nie dawały jej spokoju. Każdego człowieka, który coś dla niej znaczył, oplatała jak bluszcz z zaborczością, która dla wielu byłaby pewnie nie do zniesienia. Jej dusza była pełna przerażenia, że pewnego dnia zostanie sama, porzucona i bezradna.

Zdusił niedopałek w popielniczce i przesunął dłonią po twarzy. Pia pomyślała o słowach Franki Fellmann, która zupełnie inaczej oceniała Helen Stadler.

— Dotarły do nas informacje, że Helen miała dość poważne problemy psychiczne, jednak nie chciała poddać się żadnej terapii.

— Cierpiała na zespół stresu pourazowego. Nie potrzebowała żadnej terapii, tylko miłości, ciepła i bliskości. Potrzebowała pewności i bezpieczeństwa. A ja jej to wszystko dawałem.

— Najwyraźniej za mało, bo jej to nie wystarczyło. Gdyby dobrze ją pan chronił, nie popełniłaby samobójstwa. — Pia była ciekawa, jak Hartig zareaguje na taką prowokację. Liczyła się z wybuchem wściekłości, z zaprzeczeniem i obrazą — a jednak jego odpowiedź była zupełnie inna, niż się spodziewała.

— Pewnie tak — powiedział spokojnie. — Najwyraźniej jej to nie wystarczyło. I to jest chyba najboleśniej w tej sprawie. Zawiodłem ją.

— Słyszeliśmy również, że Helen w ogóle nie próbowała poradzić sobie z traumą, tylko uczyniła ją centralnym punktem swojego życia. Że pławiła się w tym cierpieniu i niesprawiedliwości. A pan ją w tym wszystkim utwierdzał. W wakacje pojechał pan z nią do kwaciarni Renate Rohleder, której matka jest pierwszą ofiarą Snajpera. Czego tam szukaliście?

— To nieprawda, że ją w tym utwierdzałem. Ja jej pomagałem. Wskazywałem jej drogę i wspierałem. Chciałem, żeby z tego wyszła.

— W jaki sposób? Jeżdżąc po ludziach i grożąc im?

— Nikt nikomu nie groził — zaprzeczył Hartig i potrząsnął głową. — Helen straciła panowanie nad sobą. Kiedy stanęła naprzeciwko tej kobiety, przestała się kontrolować. Wcześniej, zanim weszliśmy do środka, nie miałem pojęcia, kogo tam spotkamy.

Pia zapytała go o jeszcze kilka spraw związanych z Helen, Dirkiem i Erikiem Stadlerami, o Marka Thomsena i dziadków Helen. Hartig odpowiadał spokojnie i nie zastanawiając się długo. Wszystko, co mówił, brzmiało całkowicie wiarygodnie i poprawnie. Jego wyraz twarzy pasował do tonu głosu, mówił wyraźnie i jasno, nie posługując się dwuznacznościami, upiększeniami czy przemilczeniami. Żadnych wewnętrznych sprzeczności, żadnej przesady. Perfekcyjnie zmanifestowany stan żałoby narzeczonego zmarłej kobiety, który nie potrafi sobie poradzić z nagłą samotnością, lecz stara się patrzeć w przyszłość i chce normalnie żyć. Trochę zbyt perfekcyjny

scenariusz, pomyślała Pia. Była zaskoczona, że Bodenstein, który miał niesamowite wyczucie, dał mu się zwieść. Powiedział, że Hartig był miłosiernym samarytaninem, a śmierć Helen całkowicie go rozbiła. Tymczasem człowiek, z którym rozmawiała, nie był wcale rozbity, ani emocjonalnie, ani w żaden inny sposób. Albo więc rzeczywiście udało mu się uporać z rozpaczą i żałobą po stracie ukochanej i wyszedł już na prostą, albo był wyrachowanym psychopatą, który w przemyślany sposób ich okłamywał.

LIS WENNING przyszła na spotkanie bez adwokata. Sprawiała wrażenie, jakby miała za sobą nieprzespaną noc, lecz była opanowana i spokojna. Bodenstein zaprosił ją do swojego biura, wskazał jedno z krzeseł dla gości, a sam zajął miejsce w fotelu.

— Dla Erika zrobiłabym wszystko. W ogień bym dla niego skoczyła — zaczęła młoda kobieta. — Jesteśmy razem od sześciu lat. Przez ten czas przeżyliśmy oczywiście różne wzloty i upadki. Największe trudności mieliśmy po samobójstwie Helen. Erik bardzo kochał siostrę. Jej śmierć była dla niego szokiem. Było mu bardzo ciężko, ale z drugiej strony dobrze zdawał sobie sprawę z trudności, z jakimi się borykała, i realistycznie na nie patrzył. Przez śmierć matki Helen nabawiła się problemów psychicznych, z którymi pewnie by sobie poradziła, gdyby nie pogłębił ich rozpad rodziny. Uczepiła się ojca. Zagarnęła go dla siebie, a on odnalazł się w tej roli. Helen była naprawdę poważnie chora. Miała napady strachu i fobie. Przeraził się bała się jakichkolwiek zmian, a wszelkie nowości wywoływały w niej napady paniki.

Lis Wenning potrząsnęła głową.

— Kiedy ojciec chciał kupić nowy samochód, Helen zaczęła robić straszne sceny. Zamknęła się w starym aucie, nie chciała wyjść i płakała jak małe dziecko. Nawet nowe meble napawały ją przerażeniem. Jej fobie były do tego

stopnia silne, że starych mebli nie można było nawet przestawiać. Dirk poddał się jej histeriom i niczego nie zmieniał. Kochał ją nad życie, ubóstwiał wręcz, a trzeba jej przyznać, że potrafiła być kochana.

— Księgowa z firmy Erika twierdzi coś zgoła odmiennego — rzucił Bodenstein.

— Franka? No cóż, zupełnie się nie dziwię. Erik jakiś czas temu zatrudnił Helen u siebie w firmie. Franka stała się chorobliwie zazdrosna. Wolała pracować po dwanaście godzin dziennie, niż kogokolwiek dopuścić. Wszystko w firmie zagarnęła dla siebie, a Erik nie sprzeciwiał się temu, bo przez pewien czas to było bardzo wygodne. Ale w końcu zaczęła przesadzać. Próbowала nim dyrygować, pyskowała klientom przez telefon, bo była po prostu przepracowana. W pewnym momencie przestała dawać radę i tyle. Wtedy Erik ją zwolnił.

— Zwolnił? A ona utrzymuje, że sama złożyła wypowiedzenie! — Bodenstein uniósł brwi.

— Bo to prawda. Tym razem to ona odeszła — potwierdziła Lis. — Erik dał jej wypowiedzenie przed dwoma laty. Wtedy obiecała poprawę i przyrzekła, że nie będzie już robić problemów. Pozwolił jej zostać, ale zatrudnił dodatkową sekretarkę.

— No dobrze, to może wróćmy do Helen. — Bodenstein wyprostował nogi. — Jak oceniałaby pani jej relacje z Markiem Thomsenem?

— Bardzo go lubiła — oznajmiła Lis. — Powiedziałabym nawet, że go uwielbiała. Przez bardzo długi czas Mark był jej jedynym powiernikiem. Wie pan, od pewnego wieku dziewczynki nie mówią ojcom wszystkiego.

Uśmiechnęła się słabo, lecz szybko spoważniała.

— Ale wtedy pojawił się Jens-Uwe i z dnia na dzień wszyscy poszli w odstawkę. Wprawdzie znali się już od jakiegoś czasu, ale na początku Jens-Uwe w ogóle nie zwracał na nią uwagi, bo jeszcze wtedy był żonaty.



— No proszę, o tym nie miałem pojęcia. — Bodenstein spojrział na nią zaskoczony, po czym zapisał sobie coś w notatniku.

— Nikt z nas nie poznał jego żony i nie wiemy, kim była. Dotarło do nas, że to ona zostawiła jego. Bardzo ciężko przeżywał rozstanie. Cierpienie uczyniło go atrakcyjnym w oczach Helen. Później on się w niej zakochał. Wielka miłość. Przez jakiś czas.

— Jak to, przez jakiś czas? Myślałem, że mieli się pobrać? — Wiele z tego, co mówiła Lis, zaskakiwało Bodensteina.

— On tak, bardzo chciał się z nią ożenić. Ona nie. Co prawda udawała szczęście i radość, ale to była tylko poza. Myślę, że w gruncie rzeczy ona się go bała.

— Dlaczego miałyby się go bać? Dirk Stadler powiedział nam, że związek z Jensem-Uwem dobrze jej robił i że w końcu dzięki niemu zaczęła wychodzić na prostą.

— Jens-Uwe dawał jej całą masę tabletek. Był w końcu lekarzem i mógł wystawiać recepty. Nie mam zbyt wielkiego pojęcia o lekarstwach, ale raz widziałam taką receptę i zapamiętałam nazwę leku, żeby potem ją znaleźć w Google’u. Lorazepam należy do grupy benzodiazepin. Stosuje się go przy napadach strachu, w epilepsji i zaburzeniach snu, ale też jest bardzo silnie uzależniający. Powiedziałam o tym Erikowi, on zapytał Helen, ale ona wszystkiemu zaprzeczyła i temat umarł. Ja byłam i jestem dalej pewna, że brała te tabletki, i nie tylko te. Bardzo się zmieniła. Często wpadała w taki stan, jakby była nieobecna. Jakby zwalniała. Wie pan, zmęczenie, apatia...

— Dlaczego Hartig miałby dawać jej te lekarstwa? — Bodenstein chciał wiedzieć więcej.

— Po to, żeby mógł ją kontrolować — odparła Lis Wenning. — Jens-Uwe musi wszystko kontrolować. Ma fioła na tym punkcie. Bez przerwy do niej wydzwaniał, wysyłał SMS-y i wymagał natychmiastowej odpowiedzi.

A Helen posłusznie robiła, co kazał. Aż w końcu Mark się zorientował, co się święci. Udało mu się doprowadzić do tego, że przestała brać te tabletki. Miała straszne problemy z zespołem abstynencyjnym. Bardzo cierpiała. Ale wtedy też zauważyła, że Jens-Uwe wcale nie chce dla niej najlepiej. Zamiast namówić ją na jakąś psychoterapię z prawdziwego zdarzenia, wolał ją ogłupiać narkotykami. Helen starała się wyrwać z tej chorej relacji i zakończyć związek, ale on ją jeszcze na tyle kontrolował, że nie dała rady. Jedyne, co udało jej się przeforsować, to to, że się do niego nie wprowadziła. Była bardzo nieszczęśliwa.

— Sąsiadka pana Hartiga wspomniała, że kupił duży dom, w którym miał zamieszkać z Helen już po ślubie — zauważył Bodenstein.

— To też nie jest prawdą. On ten dom posiadał od kilku przynajmniej lat. Wcześniej mieszkał tam ze swoją byłą żoną. I to też był jeden z powodów, dla których Helen nie miała ochoty się tam wprowadzać.

— Czy uważa pani, że Jens-Uwe mógłby być zdolny do zamordowania człowieka? — zapytał policjant po chwili milczenia.

Lis Wenning zawahała się. Myślała.

— Hm, on ma w sobie coś dziwnego, czego nie rozumiem — przyznała w końcu. — Jakiś taki fanatyzm, inność. Ale czy mógłby zabijać? Nie potrafię panu odpowiedzieć.

— A Mark Thomsen?

— Hm, on się tym zajmował zawodowo — odparła. — Był w policji w Federalnej Straży Granicznej. Wiem na pewno, że Mark bardzo lubił Helen. Jak córkę, jeśli można tak to określić. Jej samobójstwo strasznie mocno go dotknęło. No dobrze, on mógłby zabijać. Właściwie to nie ma już nic do stracenia.

— Ponoć Helen pracowała z nim nad planem zemsty — powiedział Bodenstein. — Czy coś pani o tym słyszała?

— Nie. — Lis Wenning potrząsnęła głową. — Helen nigdy nie rozmawiała ze mną o swojej matce i o niczym, co było związane z jej śmiercią. Wszystko, co na ten temat wiem, pochodzi jedynie od Erika i Dirka.

— Jak wygląda sytuacja z alibi Erika na czas popełnienia kolejnych morderstw? Dlaczego nie chce nam powiedzieć, gdzie wtedy był i co robił? — Bodenstein spojrzał na nią uważnie.

— Może dlatego, że po prostu nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie? — Lis wzruszyła ramionami. — Bo widzi pan, jak on idzie biegać, to całkowicie się wyłącza. A jego trasy to nie jest kółko po parku, jak dla większości ludzi. Kiedy jest w odpowiednim nastroju, potrafi przebiec po trzydzieści czy czterdzieści kilometrów.

— Czy uważa pani, że byłby zdolny zabijać ludzi?

— Absolutnie nie! — odparła z pełnym przekonaniem. — Erik jest może nieco dziwny i uprawia to swoje niebezpieczne hobby, ale kocha wolność bardziej niż cokolwiek innego. I choćby dlatego nigdy nie zrobiłby niczego, co mogłoby zaprowadzić go do więzienia. Do tego jest... no cóż, jest egoistą. Taka jest prawda. Samobójstwo Helen było dla niego ciosem, ale nigdy w życiu nie wpakowałby się przez nią albo dla niej w kłopoty.

HENNING ZADZWONIŁ DO PII akurat w momencie, kiedy wjeżdżała na parking komendy policji.

— Wybacz, że tak długo się nie odzywałem — powiedział. — Ale po prostu nie miałem niczego, co byłoby warte przekazywania. Wytypowałem sobie ludzi, którzy mogą coś wiedzieć, ale albo akurat wyjechali na święta i Nowy Rok, albo nie chcą nawet rozmawiać na te tematy, bo kogoś kryją. Jednak nie dałem za wygraną i szukałem dalej, aż w końcu trafiłem na kogoś, kto pracował w Szpitalu Urazowym za czasów Rudolfa.

Pia zaparkowała daleko z tyłu, przed samym garażem, w którym stały

wozy służbowe, i wyłączyła silnik.

— Rudolf rzeczywiście obchodził przepisy i nagiął procedury, żeby pomóc synowi swojego kolegi. Chłopak ponoć cierpiał na wrodzoną wadę serca i to całkowicie nieoperacyjną. Jedynym ratunkiem miał być przeszczep.

— Pozwól, że zgadnę — przerwała mu Pia. — Chodzi o Maximiliana Gehrkego.

— Żadne nazwiska w naszej rozmowie nie padły — zaprzeczył Henning. — Ta sprawa miała miejsce latem albo jesienią 2002 roku. Do szpitala trafiła pacjentka. Przypadkiem miała grupę krwi...

— ...zero — dokończyła Pia. — Kirsten Stadler. Co się stało potem?

— Mój informator nie chce zeznawać jako świadek i w razie czego wszystkiemu zaprzeczy — podkreślił Henning. — Ale zapewnił mnie, że pozwolono jej wtedy umrzeć, choć byliby w stanie jej pomóc. Twierdzi też, że rodzina tej pacjentki dostała od szpitala pokaźną sumę za milczenie.

— Sama nie wiem. Dla ciebie pięćdziesiąt tysięcy euro to jakaś zawrotna suma? — zapytała.

— Ja słyszałem o milionie euro — odparł Henning.

Ile serc zostało przeszczepionych w tym szpitalu na przełomie lata i jesieni 2002? I ile kobiet w stanie śmierci mózgowej z grupą krwi zero trafiło na ich oddział ratunkowy? Nie mogła z góry założyć, że na sto procent chodziło o Kirsten Stadler, lecz prawdopodobieństwo było bardzo wysokie.

Na parking wjechało srebrne bmw i zatrzymało się kilka metrów dalej. Pia przyglądała się, jak zza kierownicy wysiada Andreas Neff i przez chwilę stoi przy drzwiach, rozmawiając przez telefon. W końcu sięgnął po teczkę i ruszył w stronę wejścia do budynku.

— Jesteśmy cały czas przekonani, że sprawca wyrównuje rachunki z osobami w jakiś sposób związanymi ze śmiercią Kirsten Stadler, mordując ich krewnych — powiedziała Pia. — Jeśli twój informator aktywnie

uczestniczył w jakichkolwiek działaniach mających związek z tą pacjentką, to on albo jego najbliżsi znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jeśli wyjawisz nam jego tożsamość, będziemy w stanie zapewnić mu ochronę.

— Dobrze, przekażę mu twoją ofertę — zapewnił Henning. — Szczęśliwego nowego roku, na wypadek gdybyśmy się już dzisiaj nie słyszeli. A właśnie, przy okazji, jeśli nie masz nic lepszego do roboty, to czuj się zaproszona do Ralfa i Tiny. Będziemy u nich z kilkorgiem znajomych.

Słowa byłego męża sprawiły, że Pia poczuła delikatne ukłucie zazdrości, bo teraz, z Miriam, jej niegdyś najlepszą przyjaciółką, a obecnie swoją drugą żoną, spędzał dokładnie takiego sylwestra, o jakim ona zawsze marzyła, kiedy byli razem: na tarasie na dachu apartamentowca przy penthousie brata Henninga. Panorama Frankfurtu, jaka się stamtąd rozpościerała, zapierała dech w piersiach, a widok kanonady fajerwerków musiał być niezapomniany. Jednak kiedy Pia była jeszcze jego żoną, Henning nie miał ani czasu, ani ochoty, by w specjalny sposób świętować sylwestra, więc spędzała go albo w jednej z sal sekcyjnych Instytutu Medycyny Sądowej, albo samotnie na kanapie w mieszkaniu. Niewiele się zmieniło, pomyślała gorzko. Dziś znów będzie siedziała w domu, na kanapie. Ale przynajmniej nie będzie sama.

— Dzięki za pomoc, Henning — odpowiedziała i otworzyła drzwi, żeby wysiąść. — I dzięki za życzenia. Wam też wszystkiego najlepszego w nowym roku.

Zamyślona przeszła przez parking i stanęła przed wejściem do budynku. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego wszyscy, którzy w jakiś sposób byli związani ze Szpitalem Urazowym we Frankfurcie, tak uparcie milczeli. Ich milczenie, jakby wcześniej uzgodnione, musiało mieć jakiś powód, tak samo jak nagłe odejście profesora Rudolfa ze świetnie wyposażonego i renomowanego szpitala do pracy w niewiele znaczącej prywatnej klinice. Co się wtedy naprawdę stało? Nie, ta sprawa nie mogła dotyczyć tylko

i wyłącznie Kirsten Stadler. Coś znacznie większego kryło się za tą zмовą milczenia. Zaczynało ją drażnić, że ilekroć usiłowała porozmawiać z kimś na temat Szpitala Urazowego, natrafiała na mur milczenia.

— ZGODZIŁAM SIĘ Z PANIĄ POROZMAWIAĆ tylko dlatego, że Helen by tego chciała — zaczęła Vivien Stern, kiedy zasiadła z Karoline Albrecht przy niewielkim stoliku w kącie kawiarni Café Laumer. Na wiadomość od niej odpowiedziała jeszcze tej samej nocy, zgadzając się na zaproponowane spotkanie. Zaraz na początku Karoline zapowiedziała, że ona zaprasza i funduje śniadanie, na co młoda kobieta bez wahania wybrała najdroższy zestaw z kieliszkiem prosecco. Karoline po raz pierwszy od kilku dni poczuła głód, więc żeby dotrzymać Vivien towarzystwa, zamówiła brioszkę i café au lait.

— A poza tym, ona i tak chciała pójść do prasy z tym wszystkim, co ustaliła. Tyle że nie zdążyła, bo ją zamordowali.

— Co proszę? — Karoline patrzyła zaskoczona na dziewczynę i nie wiedziała, co powiedzieć. Vivien Stern miała dwadzieścia pięć lat i od roku studiowała geografię i biologię na Uniwersytecie Williamstown w Connecticut. Jednak ładna blondynka była tak drobna i miała taką delikatną urodę, że gdyby powiedziała, że w przyszłym roku zdaje maturę, Karoline bez wahania by jej uwierzyła. — Myślałam, że popełniła samobójstwo?

— Mowy nie ma! Nie Helen! — odparła Vivien z pełnym przekonaniem. — Była na tropie jakiejś dużej afery i normalnie nie mogła usiedzieć na miejscu. Cieszyła się, że w końcu coś ma, a wtedy człowiek nie popełnia samobójstwa.

— Na tropie jakiejś afery? — Karoline nastawiła uszu. Kotłowało jej się w żołądku, kiedy patrzyła, jak Vivien układa plaster wędzonego łososia na

maślanym rogaliku, a potem wgryza się w to dziwne zestawienie.

— Helen była opętana myślą, że lekarze pozwolili umrzeć jej matce, żeby dorwać się do jej organów — wyjawiała z pełną buzią. — Z początku myślałam, że trochę ściemnia, ale Helen zbierała dowody i w końcu mnie przekonała. Ona miała rację. Chciała to wyjaśnić i nagłośnić, żeby wszyscy wiedzieli, co się wtedy stało. Mówiła, że wszyscy kłamią, a ona dostanie na głowę, jeśli w końcu nie odkryje prawdy. Poza tym podejrzewała, że jej facet próbuje ją otruć.

— Tak dobrze się znałyście, że to wszystko pani mówiła?

— Świetnie się znałyśmy. Już w podstawówce byliśmy najlepszymi przyjaciółkami, a potem studiowałyśmy razem we Frankfurcie.

Po rogaliku z wędzonym łososiem przyszła kolej na jajko na miękko. Vivien Stern musiała być okrutnie wygłodniała.

— Rozumiem... — Karoline spojrzała do notatnika, w którym zapisała sobie kilka pytań. Przygotowała się do tej rozmowy, lecz okazało się, że niepotrzebnie, bo dziewczyna sama z siebie zaczęła opowiadać, jak to Helen czuła się osaczona i że jej chłopak ogłupiał ją jakimiś silnymi lekami.

Karoline Albrecht odłożyła długopis i westchnęła w duchu. Vivien była wielką gadułą z wyraźnym zamiłowaniem do melodramatycznych gestów i tonu, a na dodatek nadużywała superlatywów. Karoline miała wrażenie, że marnuje czas. Poza tym musiała się bardzo starać, żeby rozumieć mówiącą scenicznym szeptem studentkę, bo w kawiarni panował straszny gwar. Przy sąsiednim stoliku siedziało kilka pań w średnim wieku, które co chwila wybuchały śmiechem.

— Helen była wykończona, znaczy psychicznie, aż przykro było patrzeć.

— Vivien potrząsnęła głową i nabrała głęboko powietrza. — Zaproponowałam jej, żeby poleciała ze mną do Ameryki na studia. Wie pani, nowe życie, nowe znajomości, nowi ludzie. Żeby machnęła ręką na to całe

gównu tutaj i spadała za ocean. Spodobał się jej mój pomysł, więc zaczęliśmy przygotowania. Buzia na kłódkę oczywiście, nikomu ani słowa, ale Jens-Uwe jakoś zwąchał plan i zaczął robić problemy. Nie wiem, może ją szpiegował, dorwał się do jej komórki albo kompa... No w każdym razie skończyło się tak, że ktoś puka do drzwi, ja otwieram, a ten stoi w progu i zaczyna mi grozić! Że pożałuję, jeśli dalej będę wpięprzała się w jej życie i że ona go kocha i nie jedzie do żadnej Ameryki. Powiedziałam mu, że może mi naskoczyć. Wtedy mu odbiło i normalnie mnie pobił. Rozumie pani? O wszystkim opowiedziałam Helen, ale ona nie zareagowała. Bała się. Ciągłe dzwonił jej telefon. On ją stalkował. Chciał wiedzieć, gdzie jest i co robi. Panikowała i nie miała pojęcia, co dalej, tym bardziej gdy się dowiedziała, że dokładnie to samo robił pierwszej żonie. Prześladował ją, dopóki nie dostał sądowego zakazu zbliżania się. Jak mi o tym opowiedziała, tym bardziej zaczęłam ją namawiać, żeby pojechała ze mną do Ameryki. No i żeby wyznała wszystko ojcu i Markowi.

— Markowi? — Karoline zaczęła się gubić w zawłościach towarzyskich i trudno jej było zrozumieć, kto jaką odgrywał rolę.

— To taki jej przyjaciel, wie pani, jak drugi ojciec. Znali się z tej grupy, co ona chodziła do niej z dziadkami. Ale jemu za żadne skarby nie chciała powiedzieć o Jensie-Uwem. Twierdziła, że gdyby Mark się dowiedział, toby go zabił. Uznałyśmy, że najlepiej będzie, jeśli po prostu zniknie z dnia na dzień. — Vivien westchnęła i wypła łyk prosecco, po czym skrzywiła się z odrazą i przepłukała usta świeżo wyciśniętym sokiem z pomarańczy. — Wszystko zorganizowałam dla niej w tajemnicy. Wizę studencką, mieszkanie, zapisałam ją na uniwersytet w Connecticut, kupiłam bilety lotnicze i tak dalej. Pierwszego października miałyśmy siedzieć w samolocie. A przy tym Helen cały czas udawała szczęśliwą narzeczoną, żeby Jens-Uwe się nie zorientował. Nawet kupiła suknię ślubną! Jednocześnie spotykała się



z jakimiś typami, sama nie wiem z kim. Domyślałam się jedynie, że chodziło o tego lekarza, który miał na sumieniu jej matkę.

No w końcu zaczyna być interesująco, pomyślała Karoline i poczuła, że aż drży z podekscytowania. Czyżby jej cierpliwość miała się opłacić?

— Wie pani, o jakiego lekarza chodziło? — zadała najważniejsze z pytań, jakie przygotowała.

Vivien się zawahała.

— Nie, niestety, nie mam pojęcia.

To nie mogła być prawda! Nie tak blisko!

— No cóż, w takim razie nie będę zajmowała pani więcej czasu. I dziękuję za spotkanie. — Karoline zmusiła się do uśmiechu i sięgnęła po torebkę, żeby uregulować rachunek. — Być może informacje od pani choć trochę mi pomogą. Zobaczymy.

— Dlaczego nie zostawi pani tego wszystkiego policji? Niech oni szukają gościa, który zastrzelił pani matkę. — Vivien potrząsnęła głową.

— To akurat zostawiłam policji i się nie wtrącam — wyjaśniła Karoline. — I jestem przekonana, że go znajdą. Tylko że mnie chodzi o coś innego.

— A co takiego?

Karoline się zawahała. W oczach dziewczyny nie widziała głodu sensacji, tylko raczej coś w rodzaju nieufności. Vivien Stern nie oczekiwała od niej makabrycznych szczegółów. Zależało jej, by zrozumieć, skąd w ogóle pojawił się pomysł tego spotkania i dlaczego Karoline interesowała się historią jej przyjaciółki. Przez chwilę czuła się jak na egzaminie albo na rozmowie kwalifikacyjnej, lecz uznała, że to jej wyobraźnia.

— Po każdym z morderstw Snajper przesyłał na policję nekrologi dla swoich ofiar — wyjaśniła w końcu. — Opisywał w nich, dlaczego postąpił tak a nie inaczej. Okazało się, że morduje nie tych, którzy są czemuś winni, tylko ich najbliższych krewnych. Matki, synów czy żony.

— Ale dlaczego akurat tak? — Vivien była szczerze wstrząśnięta.

— Żeby ocaleni mieli szansę poczuć taki sam ból, do jakiego przyczyniła się ich chciwość czy obojętność. Tak właśnie wyjaśnił to w liście.

— O Boże...

— Moja matka musiała według niego umrzeć przez ojca, który z chciwości i próżności sam dopuścił się zabójstwa. Tak twierdzi ten Snajper. — Słowa te łatwiej przeszły jej przez gardło, niż się spodziewała. — Mój ojciec jest chirurgiem transplantologiem. To on przeszczepił część organów matki Helen.

Vivien zapomniała z wrażenia zamknąć buzię.

— Chcę poznać prawdę, bo ojciec, kiedy go proszę o wyjaśnienia, milczy albo mnie zbywa — ciągnęła Karoline. — Muszę wiedzieć, co się wtedy wydarzyło. Co naprawdę zrobił mój ojciec i jego koledzy ze szpitala. Kiedy padł strzał, obok mojej matki stała moja trzynastoletnia córka. Chyba potrafi sobie pani wyobrazić, co tam przeżyła i jak się teraz czuje.

Dziewczyna pokiwała głową i popatrzyła na nią smutno.

— Jeśli się dowiem, że to, co Snajper napisał w nekrologu, jest prawdą — mówiła Karoline cichym głosem — to nigdy tego ojcu nie wybaczę. Zrobię wszystko, żeby resztę życia spędził w więzieniu.

Nabrała głęboko powietrza. Vivien Stern nie spuszczała z niej wzroku. W końcu sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej czarny zużyty notes.

— To jest brulion, w którym Helen robiła notatki. Z niego dowie się pani wszystkiego, co jej się udało ustalić. Zawsze zostawiała go u mnie, bo nikomu innemu nie ufała. Pewnie powinnam była przekazać go policji, ale powiem szczerze, że spanikowałam. — Nagle w jej oczach pojawiły się łzy. — Bo... bo mi się wydaje... że tym Snajperem jest Jens-Uwe. On... on wcześniej był lekarzem, więc mógł mieć z tym coś wspólnego. — Vivien znów sięgnęła do torebki, tym razem w poszukiwaniu paczki chusteczek

jednorazowych. Karoline odczekała, aż dziewczyna wytrze nos. — Boję się jak cholera! Nie mogę przestać, od kiedy mnie pobił. Ten przygłup jest zdolny do wszystkiego. Za trzy dni wracam do Stanów. Tam nic mi nie zrobi. A ponieważ dopiero wtedy będę bezpieczna, musi mi pani dać słowo, że przez ten czas nikomu nie wyjawię pani mojego nazwiska. Dobrze?

Nie udawała, że się boi. Karoline była przekonana, że jest szczerą w swoich emocjach. Nie widziała żadnego powodu, żeby komukolwiek wspominać o istnieniu Vivien. Czy może jednak powinna z kimś porozmawiać? Czy ten policjant, którego widziała na konferencji, nie będzie chciał wiedzieć, skąd ma ten notes?

— Będę z panią zupełnie szczerą — odpowiedziała. — Jeśli któraś z wiadomości z notatnika okaże się interesująca dla policji, natychmiast im go przekażę i powiem, jak weszłam w jego posiadanie.

Vivien popatrzyła na nią, po czym przełknęła głośno. W końcu potaknęła.

— Pani przynajmniej nie kłamie — powiedziała. — Każdy na pani miejscu by mi wszystko obiecał, żeby tylko dostać ten notatnik.

Przesunęła go po blacie stolika w stronę Karoline.

— Proszę go wziąć. Mam nadzieję, że pani pomoże — powiedziała dziewczyna z bardzo poważną miną. — Może dzięki niemu policja znajdzie tego gnojka, który ją zamordował.

PIA OTWORZYŁA SZKLANE DRZWI i skinieniem głowy przywitała się z dyżurnym, który natychmiast wpuścił ją do służby bezpieczeństwa. Odprawa grupy specjalnej „Snajper” odbywała się w dolnej sali, przerobionej na ich centrum operacyjne. Pia spóźniła się na jej rozpoczęcie. Kiedy weszła, po cichu zajęła miejsce obok Kaia. Bodenstein omawiał swoją rozmowę z Lis Wenning. Zaraz po nim wypadła jej kolej.

— Jestem przekonana, że Hartig kłamie, kiedy się upiera, że nie pamięta

żadnych nazwisk — oświadczyła.

— Dla mnie wyjaśnienie, dlaczego nie chce nam pomóc, jest chyba tylko jedno: to on jest Snajperem i chce dokończyć to, co sobie zaplanował — skomentowała Kathrin. — Dlaczego go po prostu nie zatrzymamy?

— Bo nie mamy przeciwko niemu żadnych dowodów. — Bodenstein potrząsnął głową.

Pia wolałaby wierzyć tak niezachwianie jak jej koleżanka, że to Hartig pociąga za spust, lecz mimo wszystkich obciążających okoliczności nie była przekonana, czy na pewno on jest mordercą.

— Przed chwilą rozmawiałam jeszcze z Henningiem, który z kolei rozmawiał z lekarzem, będącym w 2002 pracownikiem Szpitala Urazowego — ciągnęła. — Potwierdził, że w wypadku Kirsten Stadler doszło do sporych nieprawidłowości, ale nie chce podać swojego nazwiska ani tym bardziej zeznawać. Pojawia się coraz więcej wątpliwości i sprzeczności, a ja mam wrażenie, że nikt nie mówi nam całej prawdy! Pytanie tylko dlaczego?

— Czyny Snajpera wywołane są głęboko zakorzenioną nienawiścią, która, tłumiona, wciąż rosła i przybierała na sile — wyjaśniła Kim. — Samobójstwo Helen okazało się tą kroplą, która przepełniła czarę. Było zapalnikiem, który wywołał reakcję łańcuchową.

— Tutaj się akurat z panią zgodzę. — Andreas Neff potaknął i wyjął z teczki jakąś kartkę. Sprawiał wrażenie, jakby chciał się podzielić interesującymi nowościami i tylko czekał na właściwy moment, żeby wszystkich wprowadzić w stan ekstazy. — W ostatnim czasie nieco dogłębniej sprawdziłem życiorys Dirka Stadlera. W policji krajowej mamy otwarty dostęp do wszystkich kanałów informacyjnych.

— Chwalipięta — mruknął Kai.

— Stadler urodził się w Rostoku, czyli w byłej NRD, jednak od 1982, po udanej ucieczce, mieszka w Niemczech Zachodnich. Inżynier budownictwa

lądowego. Pracował w firmie Hochtief jako szef projektu, często wyjeżdżał na kontrakty zagraniczne. Nienotowany, ma cztery punkty karne za przekroczenie prędkości we Flensburgu. Jeden samochód zarejestrowany na niego, srebrna toyota yaris o numerach MTK-XX 342. Od 2004 pracuje w Urzędzie Miejskim we Frankfurcie. Posiada aktualne orzeczenie o niepełnosprawności.

— Świetna robota. — Bodenstein z uznaniem pokiwał głową.  
— Sprawdził pan aktualność tych danych?

— Oczywiście, że tak! Pozwoliłem sobie również sprawdzić Marka Thomsena. Tutaj sprawa była nieco trudniejsza, ale od czego ma się znajomości, więc skorzystałem ze swoich kontaktów.

Przerwał i potoczył wzrokiem po zebranych, jakby oczekiwał głośnego aplauzu. Zaskoczony ciszą, kontynuował:

— Oficjalna wersja jest taka, że zakończył pracę w służbach w 2000 z racji niekorzystnych wyników zawodowej ewaluacji psychologicznej, której musiał się poddać po zastrzeleniu w czasie akcji dwóch osób, które nie stanowiły dla niego bezpośredniego zagrożenia. W rzeczywistości został zawieszony i zmuszony do natychmiastowego odejścia z policji. W czasie służby w Zespole 9 Federalnej Straży Granicznej zastrzelił siedemnaście osób.

Te informacje sprawiły, że pozycja Thomsena na czele listy osób podejrzanych się umocniła.

— Uznałem również, że całkiem interesujące wyniki może dać sprawdzenie historii kont bankowych Hartiga, Stadlera i Winklera. No i ich kont mejlowych.

— To się nie uda. Potrzebowalibyśmy nakazu sądowego. — Bodenstein potrząsnął głową.

— Niekoniecznie, szczególnie w wypadku, kiedy przestępstwo jest w toku.

— Neff uśmiechnął się niewinnie. — Jak już wspomniałem, mam całkiem dobre wejścia, więc to wszystko już załatwiłem.

— Bez konsultacji ze mną?

— Och, pan jest bez przerwy zajęty, nie chciałem zawracać głowy — odparł Neff. — Powinien się pan raczej cieszyć, że ktoś wykazuje się tutaj inicjatywą.

— Wręcz przeciwnie! Zupełnie się z tego nie cieszę! — huknął Bodenstein. — Między samodzielną inicjatywą a samowolą jest gigantyczna różnica! To, co pan zrobił, to złamanie konstytucji i wolności obywatelskich! Bez nakazu sądu nie można sobie na to pozwalać!

— Niech pana o to głowa nie boli. — Neff uśmiechnął się szeroko. — Jak będzie trzeba, to dostaniemy takie nakazy bez gadania.

Bodenstein walczył przez chwilę sam ze sobą. Wiedział, że Neff miał poniekąd rację, a jednak taki sposób prowadzenia dochodzenia zupełnie mu nie odpowiadał. Jako szef ponosił odpowiedzialność za wszystko, co robili jego ludzie. Z drugiej strony — i to wbrew sobie! — musiał przyznać, że wiadomości o mejlach i telefonach podejrzanych, szczególnie w trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźli, mogły im bardzo pomóc. W końcu zmusił się, by zaakceptować ryzyko i włączyć do materiałów śledztwa informacje zdobyte przez Neffa.

— No dobrze, w takim razie proszę przedstawić swoje ustalenia — poprosił.

Twarz Neffa rozjaśnił uśmiech zwycięzcy. Wyjął z teczki plik wydruków komputerowych i odchrząknął.

— Przez ostatnich kilka dni i tygodni Thomsen bardzo rzadko korzystał z telefonu — zaczął. — Sprawdziliśmy wszystkie połączenia. Kilka razy dzwonił do Winklerów. Myślę, że korzystał też z telefonu na kartę, ale tego niestety nie da się sprawdzić. Wczoraj, za szesnaście dwunasta, ktoś

zadzwoił do niego na jego numer stacjonarny. To był pierwszy telefon od jakiegoś czasu.

— Zgadza się — potwierdziła Pia. — Ktoś zadzwonił, kiedy u niego byliśmy. Po tej rozmowie zrobił się strasznie nerwowy.

— Czy udało się panu ustalić, kto i skąd do niego dzwonił?

— Niestety, na razie jeszcze nie. — Neff zrobił smutną minę i potrząsnął głową. — Wiem jedynie, że to był numer z Holandii, z telefonu komórkowego. Thomsen też równie oszczędnie korzystał ze skrzynki mejlowej. Domyślałam się, że skoro pracował kiedyś w firmie, to wiedział, jakie mamy możliwości i dlatego był taki ostrożny. Posiada tylko jedno konto bankowe, w Sparkasse, i ma na nim dwa tysiące sześćset czterdzieści cztery euro i piętnaście centów. Na to konto wpływa jego wypłata i z niego opłaca telefon, prąd, raty za dom, abonament za jakieś czasopismo i prywatne ubezpieczenie zdrowotne. Ma do niego wydaną kartę kredytową Mastercard, z której również korzysta. Płaci nią za wszystko — za paliwo, zakupy i drobiazgi. Nic podejrzanego nie zauważyłam.

Mimo że Bodenstein dobrze wiedział, jak dalece można było inwigilować każdego człowieka, przerażeniem i odrazą napawała go świadomość, jak małym wysiłkiem i z jaką prędkością państwo może zgromadzić nawet najbardziej prywatne informacje o obywatelu.

— Za to znacznie bardziej interesujący jest nasz pan złotnik, Jens-Uwe Hartig. — Neff rozkoszował się absolutną uwagą wszystkich obecnych. — On z kolei posiada kilka kont bankowych, ale jest mocno zadłużony. Na mieszkanie w Kelkheim i dom w Hofheim ma jeszcze niespłacony kredyt. Sklep z warsztatem wynajmuje. Płaci alimenty byłej żonie, która mieszka w Bremie. A teraz najciekawsze: do września co miesiąc otrzymywał od Dirka Stadlera tysiąc euro. W tytule każdego przelewu jest jedynie imię Helen. Jeszcze krótko po samobójstwie Helen dość często rozmawiali przez

telefon, czasem nawet po kilka razy dziennie. Hartig dzwonił też do Erika Stadlera. Od listopada ich kontakt nagle się urwał, jakby się przestali do siebie odzywać.

Pia spojrzała na szefa, a on na nią. Informacje Neffa potwierdzały wersję Hartiga.

— Jednak trzy dni temu — Neff popatrzył na zebranych podekscytowany — dokładnie dwudziestego ósmego grudnia, panowie Stadler i Hartig ucięli sobie nie byle jaką pogawędkę, bo trwała od dziewiętnastej czterdzieści pięć do dwudziestej pierwszej dziewięć! Niestety, nie da się ustalić, czego dotyczyła, bo nie mamy założonego podsłuchu!

— W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak zapytać samego Stadlera, co omawiali przez prawie półtorej godziny — zaproponowała Pia, a Bodenstein skinął głową.

— WĄTPIĘ, żeby Helen nie zostawiła listu pożegnalnego — stwierdziła Pia. — Może Stadler albo Hartig ukrywają go przed nami, bo dziewczyna napisała w nim coś, co jest im nie na rękę. Myślę, że na tym powinniśmy się skupić. Mam wrażenie, że Helen jest epicentrum tej całej sprawy.

Nikt się nie sprzeciwił. Kai zaczął omawianie listy informacji i sygnałów, które napłynęły za pośrednictwem gorącej linii. Od czasu, kiedy Bodenstein przedstawił ze szczegółami okoliczności poszczególnych morderstw, policję zalała potężna fala telefonów z informacjami. Każda z nich otrzymywała swój numer porządkowy i wszystkie były sprawdzane, zazwyczaj tylko po to, żeby się okazało, że są fałszywe albo bez związku ze sprawą. Ośmioro policjantów z wydziałów poszukiwań i przestępczości przeciwko mieniu od rana do wieczora dyżuruowało na zmianę przy telefonach, by ze wszystkimi dzwoniącymi porozmawiać osobiście.

— I niestety, jak dotąd żadna z informacji nie przyniosła przełomu. — Kai



zakończył swoją część odprawy.

Cem i Kathrin odbyli rozmowę z szefem firmy ochroniarskiej, w której pracował Thomsen. Mężczyzna stwierdził, że nie może o nim złego słowa powiedzieć: Thomsen był bardzo punktualny, słowny, lojalny, świetnie dogadywał się ze współpracownikami, nie był konfliktowy i wszyscy klienci bardzo sobie chwalili jego usługi. Tam, gdzie odbywał dyżury, znikał problem włamań. Na prośbę Cema o przedstawienie policji grafiku dyżurów Thomsena kierownictwo bezzwłocznie je udostępniło i przekazało wydruki. Dzięki temu udało się ustalić, kiedy i w jakich obiektach pracował Thomsen. Kilkanaście razy w czasie każdego dyżuru ochroniarze musieli złożyć meldunek na temat miejsca, w jakim się znajdują, daty i godziny, a całość była zapisywana w systemie komputerowym. Na dodatek wszystkie samochody należące do firmy zostały wyposażone w lokalizatory GPS, dzięki czemu dyspozytorzy na bieżąco kontrolowali, gdzie znajdują się poszczególne auta.

— Interesujące okazało się zestawienie obiektów, których pilnował Thomsen — ciągnął Cem. — Jest wśród nich na przykład centrum handlowe Seerose w Eschborn, gdzie zginęła Hürmet Schwarzer. Przy okazji sprawdziliśmy, że w te dni, kiedy popełniano kolejne morderstwa, Mark Thomsen miał wolne.

— Pies, którego wczoraj widzieliście u niego w domu, w rzeczywistości należy do firmy ochroniarskiej. — Głos zabrała Kathrin. — Topsecure posiada pięć odpowiednio ułożonych psów, a Thomsen często zabierał Arko ze sobą do domu i nikt nie miał nic przeciwko.

— Co się dzieje teraz z tym psem? — zapytała Pia.

— Z tego, co nam wiadomo, wczoraj w jakiś sposób odnalazł się w swoim kojcu — wyjaśniła Kathrin. — Niestety, nikt nie wie, o której godzinie się tam pojawił. Pewne jest tylko to, że dzisiaj rano był już na miejscu.

— To by oznaczało, że Thomsen ukrywa się gdzieś w okolicy — stwierdziła Pia.

— Miałaś czas, żeby dokładniej przyjrzeć się protokołowi z sekcji zwłok Helen Stadler? — Bodenstein spojrzał na Pię.

— Tylko pobieżnie — odpowiedziała policjantka. — Za to Kathrin przeczytała całość starannie.

— Niewiele z niej zostało po przejechaniu przez pociąg. — Kathrin poczuła się wywołana do odpowiedzi. — Jednak wiadomo na pewno, że w chwili śmierci miała we krwi bardzo wysoki poziom barbituranów.

— No proszę, a to ci nowina. — Bodenstein pokręcił głową. — Tymczasem dziewczyna Erika Stadlera twierdzi, że Helen poddała się terapii i przestała brać, od kiedy jej chłopak prawie wykończył ją środkami uspokajającymi i antydepresantami.

W tym momencie dostrzegł Petera Ehrenberga z wydziału przestępczości przeciwko mieniu, który stał w drzwiach i ze skrzyżowanymi na piersi rękoma przysłuchiwał się ich rozmowie.

— Tak? O co chodzi? — zapytał Oliver.

— Mamy coś — odparł Ehrenberg. Jego flegmatyczny sposób bycia i ociężałość potwornie działały Bodensteinowi na nerwy. — Chodzi o ten wiezowiec w Eschborn. Jedna z mieszkanek twierdzi, że widziała sprawcę na rusztowaniu.

— Słucham? Kiedy dostaliście tę wiadomość? — Bodenstein poczuł, jak ogarnia go irytacja.

— Głowy nie dam, ale chyba w sobotę.

W sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Wszystkie oczy skierowane były na niewysokiego mężczyznę przydzielonego do analizy zgłoszeń przychodzących na gorącą linię.

— W sobotę? — zapytał Bodenstein z niedowierzaniem. — Przecież

dzisiaj jest poniedziałek! Dlaczego dopiero teraz dostajemy taką informację?

— A ty w ogóle wiesz, ile trafia do nas sygnałów, które trzeba posprawdzać? — Mężczyzna zrobił urażoną minę. — Telefon nawet na chwilę nie przestaje dzwonić!

— Czy to znaczy, że nikt nie przejrzał zapisów z kamer zainstalowanych w tym wieżowcu? Przecież ta informacja była jednoznaczna!

— Pewnie, że się tym zajęliśmy! Wszystkie nagrania obejrzelśmy już w piątek. — Ehrenberg starał się bronić. — Ale w tym domu jest trzysta dwanaście mieszkań, więc setki ludzi łążą tam i z powrotem, a na dodatek wszędzie kręcą się robotnicy! Jak się nie wie, czego się szuka, to się tego nie znajduje!

Bodenstein opanował się z największym wysiłkiem, choć wewnątrz gotował się z wściekłości. Najchętniej złapałby tego drobnego policjanta za ramiona i nim potrząsnął. Jednak Ehrenberg nic by nie zrozumiał, ale za to na pewno skorzystałby z okazji i z miejsca poszedł na zwolnienie. Dlatego Oliver sięgnął po telefon i poinformował doktor Engel o nowości.

— Trzymaj. — Ehrenberg zrobił ponurą minę i podał Kaiowi pamięć USB. — Przewiń do jedenastej trzydzieści trzy.

Ostermann nic nie powiedział. Odebrał pamięć przenośną i zaraz podłączył ją do swojego laptopa. Pozostali wstali z miejsc i stanęli dookoła, by widzieć ekran, na którym po chwili pojawiły się drzwi wejściowe do wieżowca.

— Co konkretnie powiedział świadek? Co widział? — dopytywał się Bodenstein.

— To była kobieta — uściślił Ehrenberg. — Mieszka na ósmym piętrze. Za oknem ma ustawione rusztowania i właśnie na nich go zobaczyła. Akurat schodził. Od miesięcy trwa u nich remont elewacji, więc obecność człowieka na zewnątrz nie była niczym dziwnym. Dziwne wydało jej się za to, że ten człowiek miał na ramieniu sportową torbę.

Na korytarzu rozległ się stukot szpilek, a po chwili do sali weszła doktor Nicola Engel.

— Mamy świadka z Eschborn. Mieszkanka wieżowca, z którego strzelał Snajper, widziała go, jak schodził z dachu i już w sobotę zadzwoniła, żeby nam o tym powiedzieć. — Bodenstein wprowadził szefową w temat, nie spuszczać morderczego spojrzenia z Ehrenberga. — Niestety, kolega Ehrenberg dopiero dzisiaj znalazł czas, żeby nas poinformować.

Nicola Engel darowała sobie komentarz, jednak Ehrenberg zrobił się czerwony jak cegła.

— Co widać na nagraniach z kamer przemysłowych? — zapytała jedynie.

— Już, zaraz będziemy wiedzieć. — Kai przesunął film do przodu. Nagrany obraz był czarno-biały i miał dość słabą rozdzielczość. Trzy po wpół do dwunastej do holu wszedł jakiś mężczyzna i nie zwalniając kroku, skręcił w prawo, w stronę wind. Na głowie miał jasny hełm budowlany, a pod nim jeszcze na wszelki wypadek kaptur. Bardzo się pilnował, żeby ani razu nie spojrzeć w stronę obiektywu. Na ramieniu niósł ciemną sportową torbę.

— Nie rozumiem, jak można być tak... — syknął Bodenstein, z wysiłkiem zaciskając zęby. Nicola Engel rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

— Co jeszcze powiedziała ta kobieta? — zapytała.

— Dała nam opis, nawet bardzo szczegółowy, ale niestety, niezbyt pomocny — odpowiedział Ehrenberg. — Mężczyzna, między metr osiemdziesiąt a metr osiemdziesiąt pięć. Włosów nie widziała, bo podejrzany postawił kołnierz kurtki, aż zakrywał mu nos, a pod kaskiem miał jeszcze kaptur. Poza tym rękawiczki, džinsy, czarna kurtka, biały kask. Wydał się jej bardzo wysportowany, taki gibki. No i nie miał butów roboczych, tylko sportowe.

Opis podany przez mieszkankę wieżowca pasował równie dobrze do Erika Stadlera, jak do Marka Thomsena i Jensa-Uwego Hartiga.

Kai starał się na miejscu poprawić jakość czarno-białego obrazu.

— Jak dostał się do budynku? — zapytała Nicola Engel.

— Po prostu zadzwonił domofonem. — Ehrenberg wzruszył ramionami. — A potem mógł się podać za listonosza albo kuriera. Poza tym w tym domu od miesięcy trwa wielki remont, więc drzwi często stoją na oścież. Każdy może sobie wejść i wyjść i nikt tego nie sprawdza. Na pewno musiał tam być kilka razy, żeby sprawdzić dostęp do dachu i znaleźć sobie miejsce, w którym będzie mógł poczekać na ofiarę i strzelić.

— Dobrze, dziękuję, kolego Ehrenberg. — Dyrektorka spojrzała na niego chłodno. — Może pan wracać do pracy.

— Od trzech dni tkwię tylko przy telefonie — mruknął policjant. — Kiedy w końcu ktoś nas zmieni?

— Nigdy. — Tym razem Nicola zmierzyła go lodowatym wzrokiem. — Każdy funkcjonariusz, który jest zdolny do pracy, będzie robił swoje, aż złapiemy mordercę.

— Ale ja... — zaczął Ehrenberg.

— Dostaje pan dodatki za niedziele i święta i wynagrodzenie za nadgodziny! Czego jeszcze pan oczekuje? — Nie dała mu dokończyć. — Ja za to wymagam staranniejszej pracy! Taki błąd nie powinien być się zdarzyć i mam nadzieję, że już nigdy się nie zdarzy.

Ehrenberg odwrócił się na pięcie bez słowa sprzeciwu i zniknął za drzwiami, choć zanim wyszedł, rzucił Bodensteinowi pełne nienawiści spojrzenie, jakby to on był wszystkim winien.

— Z tym materiałem możemy trochę zawęzić kryteria poszukiwań — zauważyła Pia po chwili milczenia. — Jak pracowaliśmy nad sprawą Rusalki, udało się nam wkręcić do telewizji i dzięki temu dotarł do nas świadek z przełomowymi informacjami. Może ktoś widział naszego Snajpera, gdy na przykład wsiadał do samochodu. Zdjęcie zawsze bardzo wspomaga pamięć.

— Zgoda — potaknęła Nicola Engel. — Zobaczą, co się da zrobić. Przygotujcie, proszę, zestawienie wszystkiego, co mamy. I jeszcze jedno. Trzeba wypuścić Erika Stadlera. Bez dowodów nie możemy przetrzymywać go w nieskończoność.

— Od kiedy siedzi u nas za kratkami, nikt nie został zabity — zauważył Bodenstein.

— Taki dowód nie wystarczyłby żadnemu sędziemu w naszym kraju. — Doktor Engel potrząsnęła głową.

— W takim razie trzeba się postarać, żeby miał całodobową obserwację — stwierdził Bodenstein. — Nie jest, co prawda, jedynym podejrzanym w sprawie, ale też w żadnym razie go nie wykluczamy.

— To mogę załatwić — przyrzekła Nicola Engel i odwróciła się do wyjścia. — Proszę zaraz zająć się jego zwolnieniem i informować mnie na bieżąco.

DOKTOR PETER RIEGELHOFF wciąż jeszcze nie dał znaku życia i nie odbierał telefonu stacjonarnego ani w domu, ani w kancelarii, a komórkę miał wyłączoną.

— Jeśli ktoś nas tak ostentacyjnie unika, to znaczy, że ma coś na sumieniu! — Bodenstein był zły jak rzadko kiedy. W rzeczywistości znacznie bardziej niż opóźnienie weryfikacji zeznań kobiety z wieżowca w Eschborn wyprowadziło go z równowagi zachowanie Ehrenberga. Każdy członek grupy specjalnej pracował na pełnych obrotach i z ogromnym zaangażowaniem, a jeden znudzony leń bez ambicji mógł narazić całe dochodzenie! Zmarnowali ogromnie dużo cennego czasu! Co więcej, kogoś mogło to kosztować życie! Ostermann rozmawiał z funkcjonariuszami przydzielonymi do obsługi gorącej linii i dał im jednoznaczne wytyczne: każda informacja, choć w minimalnym stopniu powiązana z miejscem

zbrodni, ma zostać potraktowana priorytetowo!

— Może Riegelhoff pojechał na urlop — zgadywała Pia. — Wielu ludzi wykorzystuje święta i...

— Skręć, proszę, do Liederbach — przerwał jej Bodenstein. Jechali właśnie autostradą A66 i zbliżał się odpowiedni zjazd. — Chciałbym jeszcze zamienić dwa słowa ze Stadlerem seniorem.

Pia włączyła migacz i skręciła. Kilka minut później zatrzymali się tuż za samochodem, do którego Dirk Stadler wkładał walizkę.

— Wyjeżdża pan? — zapytała Pia.

— Tak. Jadę do siostry w Allgäu — odpowiedział mężczyzna. — Nie powinno się spędzać sylwestra w samotności. Wracam w środę, bo praca czeka.

— Proszę zostawić nam adres pana siostry i numer telefonu komórkowego, żebyśmy w razie czego mogli się do pana dodzwonić — poprosiła Pia.

— Oczywiście. Proszę, może państwo wejdą, to znajdę jakąś kartkę i zapiszę.

Stadler zatrzasnął głośno klapę bagażnika i pokuśtykał w stronę domu, a Pia i Bodenstein ruszyli za nim. W środku panowała ciemność, bo wszystkie rolety zostały już opuszczone. Stadler otworzył szufladę komódki w korytarzu, wyjął z niej notes i długopis, żeby zanotować adres i telefon, o który prosiła Pia.

— Co się dzieje z moim synem? — zapytał, podając karteczkę.

— Dzisiaj zostanie zwolniony do domu — odparł Bodenstein. — Panie Stadler, mamy jeszcze dwa pytania do pana. Czy umie pan strzelać?

— Ja? Nie. — Dirk Stadler potrząsnął głową i lekko się uśmiechnął. — Jestem przeciwny dostępowi do broni. Jako pacyfista z założenia odrzucam jej używanie.

— Czy służył pan w bundeswerze?

— Nie.

— To jeszcze jedno — wtrąciła się Pia. — Kiedy po raz ostatni rozmawiał pan z Markiem Thomsenem?

— Oj, dość dawno. — Stadler zmarszczył czoło i się zastanowił. — Nie pamiętam, ale pewnie ze dwa albo trzy tygodnie po pogrzebie Helen.

— Czy ostatnio Mark Thomsen usiłował nawiązać z panem kontakt?

— Nie, nie próbował.

— A Jens-Uwe Hartig? Czy z nim pan ostatnio rozmawiał?

— Nie. Po śmierci Helen Jens-Uwe całkowicie zerwał z nami kontakt — wyjaśnił Stadler. — I w pewien sposób potrafię go nawet zrozumieć. Łączyła nas jedynie Helen.

— Dlaczego co miesiąc przekazywał pan pieniądze na konto pana Hartiga?  
— zapytał Bodenstein.

— To był mój wkład w jego budżet domowy i opłata za studia Helen — odparł Stadler. — Oficjalnie Helen mieszkała wciąż u nas, ale i tak większość czasu spędzała u niego. Sama nie zarabiała, a ja nie chciałem, żeby Jens-Uwe ją utrzymywał, dopóki nie byli małżeństwem.

Jego wyjaśnienia brzmiały przekonująco, tym bardziej że zaraz po śmierci Helen płatności na konto Hartiga ustały.

— Dziękuję panu. Na razie nie mamy więcej pytań. — Bodenstein skinął głową. — Szerokiej drogi i szczęśliwego nowego roku.

— Dziękuję, państwu życzę tego samego. — Stadler się uśmiechnął. — Mam nadzieję, że dzisiejsza noc będzie spokojna. W razie jakichkolwiek pytań proszę o telefon.

*W SUPERMARKECIE było nie do wytrzymania. Ludzie ciągnęli wózki pełne fajerwerków i petard, żeby potem załadować je do samochodów, a na taśmach przy kasach piętrzyły się góry jedzenia i picia, jakby jutro miała się*



rozpocząć jakaś apokalipsa. W piekarni również panował ogromny ruch, jakby nic się nie wydarzyło. Nikt tam już nie pamiętał o Hürmet Schwarzer. Kierownictwo sklepu nie zadbało nawet, by po tragicznej śmierci jednej z pracownic gdzieś dyskretnie postawić jej zdjęcie z czarnym kirem. A przecież minęło raptem kilka dni! Na chodniku przed sklepem obuwniczym wciąż było widać rdzawe plamy krwi. Za ladą piekarni inne młode dziewczyny sprzedawały pieczywo. Uśmiechały się tak samo jak piękna Hürmet. Świat musi kręcić się dalej. Złe zdarzenia zostają wypchnięte ze świadomości i zapomniane. Zaniósł torbę z zakupami do samochodu, który zaparkował dość daleko od wejścia. Rzucił krótkie spojrzenie na wieżowiec, z którego padł strzał. Od zeszłego piątku wszyscy tak robili, by poczuć jakiś dziwny dreszcz. Ludzie rozmawiali o tym, co się stało, obchodzili łukiem plamy krwi, między którymi ktoś postawił kilka świeczek i położył kwiaty zwarzone przez mróz, a niektórzy robili zdjęcia, lecz nieszczerze ich to wszystko ruszało, bo przecież nie dotyczyło ich małego, żalosego życia. Jednocześnie uciszali wyrzuty sumienia patetycznymi i wyświechtanymi zwrotami w rodzaju: „Życie musi toczyć się dalej”, bo w głębi serca wiedzieli, że ich brak współczucia, ich egoizm i pogoń za sensacją są odrażające. Spoglądał na ich twarze i zamiast ludzi widział bezduszne zwierzęta, które kierowały się jedynie głodem i myślały tylko o sobie i o tym, jak się rozmnożyć. Jakby ich geny były cokolwiek warte! Miał coraz większe trudności, żeby akceptować ludzi. Cieszył się, że może ich unikać i że nie jest na nich zdany. Do bagażnika schował torby i zgrzewkę wody mineralnej, po czym wsiadł za kierownicę i przejechał pod autostradą w kierunku Sossenheim, do dzielnicy zabudowanej paskudnymi blokami. Jego garaż znajdował się pośród dwustu pięćdziesięciu innych, ustawionych w rzędach jeden obok drugiego. Dwadzieścia blaszanych bram po prawej i dwadzieścia po lewej stronie. W tych okolicach mieszkali głównie ludzie niedostosowani

*społecznie, starsze osoby, renciści i obcokrajowcy. Tutaj każdy pilnował własnego nosa. Zatrzymał się przed bramą numer 117 w czwartym rzędzie, wysiadł, otworzył ją i wciągnął rękawiczki. Dopiero wtedy wsiadł do drugiego samochodu i wyjechał, żeby zrobić miejsce. Nie gasił silnika, żeby działało ogrzewanie. Potem wjechał pierwszym autem do środka, przepakował zakupy i zamknął bramę. Ta procedura była nieco kłopotliwa, ale za to bezpieczna. Od kiedy policja zwróciła się do mieszkańców z prośbą o pomoc, a w gazetach i telewizji wciąż o nim mówili, wolał być ostrożniejszy, bo jeszcze nie skończył. Odrzucił pomysł, by zwrócić się do tego dziennikarza i poprzez niego wytłumaczyć opinii publicznej swoje racje. Ujawni wszystko dopiero w czasie procesu, ale najpierw musi skończyć to, co zaczął. Dobrze, że miał jeszcze ten dom, swój azyl. Jechał autostradą A66. Spojrzał na zegarek na tablicy rozdzielczej w chwili, kiedy na wysokości centrum handlowego Main-Taunus zjeżdżał na B8. Za dwanaście druga po południu. Jeszcze dziesięć godzin. Wtedy umrze ofiara numer pięć.*

— NIE, NIE BIEGAŁEM, ale... nie mogę powiedzieć, co robiłem. Gdyby Lis się dowiedziała, natychmiast by mnie rzuciła.

Po trzech dniach od zatrzymania Erik Stadler nie wyglądał świeżo.

— Był pan z inną kobietą? — zapytała Pia.

— Nie! — Stadler opuścił głowę. — Ja... spotkałem się z przyjacielem. Wspięliśmy się na niedokończony budynek Europejskiego Banku Centralnego i... i zeskoczyliśmy z niego.

Bodenstein i Pia zaniemówili.

— Ale... na litość boską, dlaczego pan nam tego wcześniej nie powiedział? — Bodenstein pierwszy odzyskał głos. — Przecież zatrzymaliśmy pana jako podejrzanego o popełnienie czterech morderstw! A przede wszystkim zmarnowaliśmy na pana ogromnie dużo cennego czasu!

Czasu, który morderca na pewno bardzo dobrze wykorzystał!

Zaskoczenie ustąpiło miejsca wściekłości.

— Przepraszam... naprawdę... — wyjąkał Stadler zawstydzony.  
— Myślałem tylko o sobie. Kilka miesięcy przygotowaliśmy tę akcję.

— Takie wygłupy są śmiertelnie niebezpieczne! — Pia nie mogła zapanować nad emocjami.

— Nie boję się śmierci. Nic a nic. — Stadler potrząsnął głową. Wyraźnie mu ulżyło, kiedy prawda w końcu wyszła na jaw. — Znacznie bardziej przeraża mnie wizja nudnego życia.

Bodenstein westchnął i potarł zmęczoną twarz. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie przeżył. Nie spotkał się z sytuacją, żeby ktoś naraził na szwank swoją firmę, interesy i przede wszystkim życie prywatne, zaryzykował oskarżenie o zabójstwo kilku osób, żeby ukryć przed policją coś, co było ledwie wykroczeniem! Pia ze swoją intuicją znów miała rację. Podobnie jak kiedyś profesor Kaltensee i Markus Nowak, którzy też coś ukrywali, tak i Erik Stadler miał zgoła inne wyjaśnienie podejrzanego zachowania.

— Może pan odejść — mruknął Bodenstein. Zaczynał czuć rezygnację.

— Nie skażecie mnie za to?

— Nie. — Podsunął Erikowi notes i długopis. — Proszę zapisać imię i nazwisko tego... zmęczonego życiem kolegi. A potem niech pan lepiej zejdzie mi z oczu, zanim nie zmienię zdania i nie zamknę pana za utrudnianie śledztwa!

— Zaraz, jeszcze jedna sprawa — przypomniała sobie Pia. — O czym rozmawiał pan w piątek z Jensem-Uwem Hartigiem?

— Jensem-Uwem? — Stadler przestał pisać i spojrzał na nią zaskoczony.

— Zgadza się. Z byłym narzeczonym pańskiej siostry.

— Ależ my przecież od miesiący nie zamieniliśmy ani słowa. Nie wiem nawet, co się z nim dzieje — odpowiedział i dokończył pisanie. — Proszę, tu

są dane mojego kolegi.

— W zeszły piątek, między dziewiętnastą czterdzieści pięć a dwudziestą pierwszą dziewięć rozmawiał pan z Hartigiem — upierała się Pia. — Dlaczego? O czym rozmawialiście?

— Przysięgam, że z nim nie rozmawiałem! Słowo honoru! — zaprotestował Stadler. — Po raz ostatni zamieniliśmy parę zdań na pogrzebie Helen i od tego czasu ani razu się nie kontaktowaliśmy.

W tym momencie Bodenstein zaczął coś podejrzewać. Wstał gwałtownie, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Pia złapała w biegu notes ze stołu, skinęła Stadlerowi na pożegnanie i popędziła za szefem. Dogoniła go dopiero na schodach na piętro.

— Co się stało? — zapytała zasapana.

Bodenstein nie odpowiedział. Z ponurą i zaciętą miną skręcił w lewo i razem z drzwiami wpadł do sali odpraw. Ostermann, Neff, Kim i Kathrin drgnęli zaskoczeni jego zachowaniem.

— Neff! — ryknął Bodenstein. — Z kim Jens-Uwe Hartig rozmawiał w zeszły piątek wieczorem?

— Eee... już sprawdzam... sekunda... — Napoleon nerwowo przerzucał swoje notatki. — Już... już...

— Niech się pan pospieszy — wysapał Bodenstein, nie kryjąc złości. Między jego brwiami powstała głęboka bruzda, co było znakiem, że żarty się skończyły.

— O! Już mam! — Neff uśmiechnął się niepewnie. — Od za piętnaście ósma do dziewięć po dziewiątej Hartig rozmawiał z Dirkiem Stadlerem.

— Z Dirkiem Stadlerem?! — Bodenstein się upewnił.

— Tak, tak jak mówię. Z Dirkiem Stadlerem.

— Dzisiaj na odprawie nie powiedział pan tego dość wyraźnie. — Bodenstein był bliski utraty panowania nad sobą. — Pakuj pan swoje rzeczy

i wynoś się pan z tego biura! Mam po dziurki w nosie pana niestaranności i nierzetelności!

— Ale.. — zaczął Neff, lecz nie spodziewał się, że to słowo stanie się kroplą, która przepełni czarę.

— I nie ma, do cholery, żadnego ale! Jak coś mówię, to tak ma być! — ryknął Bodenstein z wściekłością w oczach. — Wynocha! Już! Pakuj manatki i wynoś się! A przepustkę zostawić w dyżurce! I nie chcę już tu pana nigdy widzieć!

Po tych słowach odwrócił się na pięcie, zatrzasnął za sobą drzwi, zostawiając swoich ludzi w totalnym osłupieniu. Neff zrobił się czerwony jak burak i zaciskając usta, spakował pospiesznie swoje dokumenty do teczki, po czym chwycił kurtkę i bez słowa wyszedł z pomieszczenia.

— Goodbye, Napoleon — mruknął Kai. — Tylko proszę, już nigdy nie wracaj.

— Wow, nigdy jeszcze nie widziałam szefa w takim stanie — wyszeptała Kathrin i uśmiechnęła się szeroko. — O rany, powinniśmy otworzyć szampana. Nie, co ja mówię, całą skrzynkę szampanów! Nawet nie wiecie, jak się cieszę, że pozbyliśmy się w końcu tego obleśnego typu!

OJCA NIE BYŁO W DOMU, kiedy po południu wróciła do willi rodziców w Oberursel. Miała wrażenie, że od kiedy się pokłócili, zaczął jej unikać. Ale to jej akurat nie smuciło, ba, nawet było jej na rękę. Na czwartą po południu umówiła się z Iriną, gosposią z Rosji, którą zatrudniła jej matka. Chciała ustalić, jak dalej ma wyglądać jej praca. Dotychczas pojawiała się dwa razy w tygodniu, żeby zająć się wymagającymi wysiłku pracami, bo resztę załatwiała matka. Teraz jednak ojciec potrzebował kogoś, kto troszczyłby się o jego ubrania i przygotowywał posiłki. Czekając na Irinę, Karoline przejrzała pocztę pozostawioną jak zwykle na srebrnej tacy na komodzie

w przedpokoju. Ojciec wybierał tylko te koperty, które go interesowały, i zabierał je ze sobą do gabinetu, a o reszcie natychmiast zapominał. I tak znalazła tam cały plik kondolencji, wszystkie jeszcze zamknięte. Między nimi leżał również otwarty list z urzędowo wyglądającym pismem. Przejrzała je szybko. Zawiadomienie, że zwłoki matki zostały przekazane do zakładu pogrzebowego, by rodzina mogła je pochować. Nawet to nie było wystarczającym powodem, aby zadzwonił, pomyślała rozeźlona. Jak zwykle nie troszczył się o nic. Przeszukała pozostałą korespondencję, aż w końcu znalazła wizytówkę zakładu pogrzebowego, który przewiózł jej matkę z domu do Instytutu Medycyny Sądowej. Poza tym w dłoń wpadła jej wizytówka jednego z policjantów. Ją ojciec również zostawił na tacy. Karoline skontaktowała się zaraz z zakładem pogrzebowym i ustaliła, że mają zająć się przygotowaniem do pogrzebu, włącznie z załatwieniem wszystkich formalności. Obiecała jedynie, że postara się jak najszybciej przefaksować zaświadczenie z policji. W chwili gdy skończyła rozmawiać, zadzwoniła Irina. Ledwie przekroczyła próg, a już zalała się łzami. Po półgodzinnej rozmowie miały wszystko ustalone, a Karoline zapisała ojcu, jak ma teraz wyglądać plan rosyjskiej gosposi: Irina będzie przychodzić do niego co drugi dzień, od dziewiątej rano do południa. Jeśli to będzie za mało albo zechce zmienić te ustalenia, wystarczy, że do niej zadzwoni i sam załatwi resztę.

Karoline usiadła przy stole w salonie, przy którym tak często siadywała z matką, i zabrała się za otwieranie listów z kondolencjami. Kiedy tylko ustalony zostanie termin pogrzebu, będzie musiała przekazać do zakładu pogrzebowego gotową listę adresów, pod które należy wysłać zawiadomienia. No tak, i do nekrologu powinna wyszukać jakieś odpowiednie motto. Potem zostanie jej umówić się z księdzem i wybrać lokal na stypę, a w końcu wypisać mamę ze wszystkich klubów i organizacji, do

których należała. Piekły ją oczy i bolały plecy, a jednak nie chciała przerywać pracy. Od kilku dni dokładała sobie coraz więcej zadań do załatwienia, bo tylko to pozwalało jej jakoś funkcjonować. Poszukiwanie prawdy na temat przeszłości ojca miało w sobie coś rozpaczliwego i była tego świadoma, ale może tylko z tego powodu jeszcze nie straciła rozumu albo się nie załamała.

Za oknami robiło się zupełnie ciemno. Za kilka godzin Nowy Rok. Jeszcze nie było za późno, by wsiąść w samochód i pojechać do Grety. Potrzebowała na to najwyżej czterech godzin. Dopiero teraz przypomniała sobie o notesie z zapiskami Helen, który dostała od Vivien Stern w czasie spotkania w restauracji. Wstała i włączyła światło. Wyjęła notes z torebki i zaczęła go przeglądać. Szybko zorientowała się, że to był nie tyle notatnik, co dziennik, w którym Helen Stadler w kilku słowach opisywała wszystko, co danego dnia robiła, włącznie z najbardziej prozaicznymi czynnościami. Do tego notowała różne myśli, które przychodziły jej do głowy. Vivien Stern wydała się Karoline trochę stuknięta, ale była pewna, że strach, który odczuwała, był autentyczny. Mimo to miała wątpliwości, co powinna sądzić o tym, że Helen nie popełniła samobójstwa, a została zamordowana. W marcu niespodziewanie zmienił się styl wpisów. Karoline starała się zrozumieć daty, ciągi cyfr, nazwiska i dziwne skróty, których spora część wydawała się pojawiać tam bez ładu i składu. W pewnym momencie trafiła na nazwiska, które znała. Poczowała falę gorąca i jednocześnie ucisk w żołądku. Czyżby Helen rzeczywiście na coś trafiła? I to na dokładnie tę samą sprawę, którą ona odkryła? Młoda dziewczyna nie wahała się spotkać twarzą w twarz z ludźmi, których uważała za odpowiedzialnych za śmierć swojej matki. Profesor Ulrich Hausmann, doktor Hans Furtwängler, Fritz Gehrke i... profesor Dieter Rudolf! Karoline przełknęła głośno ślinę. Helen Stadler spotkała się z nim siódmego czerwca! Dlaczego? Po co? Czego chciała się od

niego dowiedzieć? Czy odpowiedział na pytania, z którymi do niego przyszła? Przekartkowała dziennik dalej, ominęła parę stron, po czym nagle stężała i pobladła.

— O Boże! — wymamrotała, kiedy zrozumiała, co oznaczają nazwiska zanotowane przez Helen Stadler.

Nagle uświadomiła sobie, jak późno się zrobiło. Jej ojciec mógł w każdej chwili pojawić się w domu, a akurat na spotkanie z nim nie miała najmniejszej ochoty. Postanowiła, że z domu zadzwoni do tego policjanta. Pospiesznie schowała dziennik Helen do torebki, na stole w jadalni zostawiła kartkę z wiadomością dla ojca, wyłączyła światła i wyszła z domu.

W KELKHEIM Bodenstein musiał poczekać przed zamkniętym szlabanem na przejazd pociągu, wykorzystał więc okazję, by sprawdzić smartfon, który jakiś czas temu wydał z siebie sygnał przychodzącej wiadomości. Okazało się, że Inka wysłała mu SMS-a i dostał mejla! Zadrzał, kiedy spojrzał na pole „nadawca”: sedzia@gmail.com! Czy to był tylko idiotyczny dowcip, czy Snajper rzeczywiście skontaktował się z nim bezpośrednio? Od czasu konferencji w hali miejskiej prasa regularnie podawała jego nazwisko jako osoby prowadzącej śledztwo, więc nie było problemu, żeby dotrzeć do jego adresu mejlowego! Niech to szlag! Mejl przyszedł pół godziny temu, a on, wzburzony błędem Neffa, niczego nie zauważył! Po tym, jak w napadzie złości wyrzucił nadętego policjanta z biura, poszedł do siebie i spróbował dodzwonić się do Dirka Stadlera. Mężczyzna miał jednak wyłączony telefon komórkowy. Jego siostra również nie odbierała. Po dwunastu dniach ciągłego napięcia i pracy w niewyobrażalnym stresie jego nerwy były w strzępach. Pospiesznie otworzył wiadomość i załącznik, który z nią przyszedł.

— O Boże! — krzyknął półgłosem.

Jego żyły wypełniła adrenalina. Nie zauważył nawet, że szlabany poszły



w górę. Zorientował się dopiero, kiedy ktoś za nim zaczął trąbić. Pospiesznie wrzucił migacz i zjechał na parking pod komisariatem w Kelkheim, który znajdował się ledwie pięćdziesiąt metrów za przejazdem, po lewej stronie. Stamtąd zadzwonił do Pii. Gdzieś w pobliżu wybuchały już pojedyncze petardy. Cały świat będzie świętował radośnie koniec starego i nadejście nowego roku, lecz gdzieś niedaleko mieszka ktoś, kto miał dzisiejszej nocy umrzeć. A on niewiele może zrobić, żeby temu zapobiec.

— Sędzia się do mnie zgłosił, tym razem bezpośrednio. Przysłał mi mejla. Posłuchaj — powiedział, ledwie Pia odebrała połączenie. — „Dziś w nocy zginie numer pięć. Już niedługo wszyscy poznacie całą prawdę”.

— Musimy jak najszybciej odnaleźć Riegelhoffa — zdecydowała Pia. I nawet słowem nie wspomniała, że nie jest zadowolona, że w takiej chwili upomina się o nią praca. — Może uda nam się go namówić na szczerą rozmowę. To jedyna osoba, która zna wszystkich zamieszanych w tamtą sprawę sprzed lat.

— On i profesor Dieter Rudolf — odparł Bodenstein. — Jestem u kolegów z Kelkheim. Zaraz wyślę do niego radiowóz. Przy okazji, nie udało mi się skontaktować z Dirkiem Stadlerem. Próbowałem dzwonić na jego komórkę i do jego siostry, ale żadne nie odbiera.

— Jest sylwester — przypomniała mu Pia. — A tak przy okazji, nie liczyłabym na to, że profesor Rudolf akurat dzisiaj zdecyduje się podzielić z nami prawdą.

— Jeśli tego nie zrobi, każę doprowadzić go do komisariatu. — Bodenstein stanął przed drzwiami do budynku. — Tak czy inaczej, musimy spróbować z nim porozmawiać. Zaraz po ciebie podskoczę.

Zakończył rozmowę i odczytał SMS-a od Inki: „Wybacz”, pisała. „Pilny przypadek w Usingen. Będę późno!”

„Ja również mam pilną sprawę”, odpisał. „Dam znać, co i jak. Gdybyśmy

się nie widzieli — szczęśliwego nowego roku!”

Następnie schował komórkę do kieszeni i wszedł do budynku komisariatu.

PO ROZMOWIE Z BODENSTEINEM Pia pospiesznie nakarmiła konie i psy, a potem spróbowała dodzwonić się do Kim. Siostra nie odbierała komórki, więc wysłała jej SMS-a. Potem pośród ciemności ruszyła w kierunku podjazdu. Myślała o Christophe, u którego zbliżało się właśnie południe. Ta sprawa zaczynała ją drażnić, bo była zbyt zagmatwana. Najchętniej kazałaby śledzić wszystkich podejrzanych i założyć podsłuchy na ich telefonach. Niestety, braki kadrowe nie pozwalały na takie szerokie działania, a na dodatek frankfurccy sędziowie znani byli z ostrożności w wydawaniu pozwoleń na zakładanie podsłuchów. Do tego Bodenstein zbyt sztywno trzymał się przepisów. Na jego miejscu byłaby znacznie bardziej otwarta na mniej formalne metody, które miałyby szansę przynieść jakieś ważne informacje. Kiedy Neff przyznał się w czasie popołudniowej odprawy, że w nie do końca oficjalny sposób poprosił znajomych o wrażliwe dane, Oliver nie wyglądał na zadowolonego. Tymczasem ona miała wrażenie, że ten nadęty mały człowieczek po raz pierwszy od początku ich współpracy zrobił coś pożytecznego. Chwilę później sam wszystko zniszczył przez swoją bezmyślność i brak rzetelności, podobnie jak Ehrenberg swoim lekceważącym podejściem. Tymczasem akurat informacja od Ehrenberga była jedną z najważniejszych, na jakie natrafili od początku śledztwa. Nic dziwnego, że Bodenstein w końcu stracił cierpliwość. Zresztą wszyscy zbliżali się do granic wytrzymałości — i fizycznej, i psychicznej.

Pia otworzyła bramę, wyszła i zamknęła za sobą. Niedaleko szumiała ruchliwa autostrada, było ciemno choć oko wykol, a chłód przenikał do szpiku kości. Potrafiła wytłumaczyć sobie reakcję szefa i nie miała mu tego za złe. Bezradność, na którą dotychczas byli skazani, sprawiała, że każdy na

jego miejscu straciłby cierpliwość. A najgorsze było to, że doskonale wiedziała, że kierownictwo Szpitala Urazowego we Frankfurcie coś przed nimi ukrywało! Mimo czterech trupów zdawali się wciąż jeszcze nie rozumieć powagi sytuacji i konieczności podjęcia szybkich działań — albo — i to wydawało jej się coraz bardziej prawdopodobne — bali się, że wyjdzie na jaw coś, co dotychczas udawało się utrzymać w głębokiej tajemnicy.

Od strony przejazdu pod autostradą jechał jakiś samochód. Widziała zbliżające się reflektory, aż w końcu auto zatrzymało się obok niej.

— Riegelhoff jest w domu i czeka na nas. — Bodenstein włączył wsteczny bieg i wjechał tyłem w polną drogę, żeby zawrócić. — Na wszelki wypadek wysłałem do niego radiowóz, żeby nie zmienił zdania.

— Dlaczego wcześniej nie oddzwonił? — Pia zapięła pas bezpieczeństwa.

— Zaraz będziesz mogła go o to zapytać. — Bodenstein wciąż był zły i zdenerwowany. Samochód podskoczył na torach.

— Dlaczego Sędzia zdecydował się tym razem uprzedzić, że zamierza wykonać wyrok na kolejnej ofierze? — zastanawiała się głośno Pia. — O co może mu chodzić?

— Nie mam pojęcia — odburknął szef i wjechał na autostradę A66 w kierunku Frankfurtu. — Może chce nas zdenerwować? Może chce się bawić w kotka i myszkę, żeby nam pokazać, że uważa nas za idiotów? A najbardziej wkurza mnie Faber, który za naszymi plecami usiłuje prowadzić jakieś prywatne śledztwo, choć wyraźnie go poprosiłem, żeby tego nie robił! Cholera, ale jestem wściekły!

Pia milczała. Mimo że przez kilka lat blisko współpracowała z Bodensteinem, nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie. Domyślała się jednak, że to nie z powodu samego śledztwa, tylko jakiejś prywatnej sprawy, która musiała mieć na niego taki wpływ.

*TUTAJ WSZYSTKO BYŁO co prawda znacznie mniej wygodne niż w domu, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało. Nie miał tu zmywarki, więc ręcznie umył oba garnki, talerz i sztućce. Bogiem a prawdą, lubił zmywać. To zajęcie bardzo go uspokajało. Tak samo jak mycie okien czy koszenie trawy. Takie prace pozwalały natychmiast zobaczyć efekty, a przy okazji człowiek się uspokajał, wyłączał i miał czas na myślenie. Lubiał ten domek, lubiał jego prostotę i ograniczenie do najpotrzebniejszych rzeczy. Rozkoszował się każdą chwilą, którą tu spędzał. Już wkrótce będzie musiał przeprowadzić się do więziennej celi. Ta świadomość nie opuszczała go nawet na chwilę. Odstawił do szafki czyste naczynia i sztućce i wytarł szmatką z mikrofibry porysowany zlew. W piecu płonął ogień i było tak ciepło, że mógł chodzić w koszulce z krótkim rękawem. Tutaj panował spokój. Nie miał sąsiadów, którzy by mu przeszkadzali. Tutaj nikt niczego od niego nie chciał. A przede wszystkim tu miał wszystkie papiery Helen. Za każdym razem, kiedy w jego duszy rodził się choćby cień wątpliwości co do zasadności jego planu, czytał materiały, które zgromadziła. Wtedy wracał słuszny gniew i budziło się pragnienie zemsty. Chciał ich ukarać i odpłacić im. Niech cierpią tak, jak ona cierpiała. Śmierć byłaby zbyt łagodną karą dla każdego z nich. Niech przechodzą przez to samo, przez co musiała przejść Helen, przez tę samą bezradność i rozpacz. Niech będą przeklęci do końca życia i długo potem. Spojrzał na zegarek. Siódma czterdzieści dwie. Powinien zacząć się przygotowywać. Ubrał się starannie, bo noc była zimna, a nie wiedział, jak długo przyjdzie mu czekać. Długie kalesony, czarne dżinsy i na wierzch spodnie termoaktywne, również czarne, bez żadnych elementów odblaskowych. Na górę czarny polar i czarna kurtka z kapturem. Trzy pary skarpetek, żeby tanie buty z supermarketu, które celowo kupił o rozmiar za duże, nie zsuwały mu się z nóg. Rękawiczki i czapka. Nie martwił się szczególnie, że policja może ustalić, kto będzie jego*

*kolejną ofiarą, bo skąd mieliby znać nazwiska, które umieścić na swojej liście? Mejla wysłał, żeby ich sprowokować. Byli co prawda coraz bliżej, ale wciąż miał jeszcze bezpieczną przewagę.*

*Karabin leżał w samochodzie. Na dojazd musiał zarezerwować mniej więcej trzydzieści minut — kilka razy przejechał ten odcinek, żeby to sprawdzić. Samochód zatankował już wcześniej. Nie zapowiadano na noc zmiany pogody. Mogło troszkę popadać, ale nie miało wiać. W całej Europie będą świętować nadejście nowego roku. Z hukiem eksplodują fajerwerki warte miliony euro. Bardzo mu to było na rękę.*

SKRĘCIŁA W LEWO, w Oberhöchstädter Strasse. Nagle odezwał się jej telefon. Trzymając kierownicę jedną ręką, Karoline uruchomiła program pocztowy, żeby odczytać mejla. Nadawcą był Konstantin Faber i już po pierwszej linijce listu zorientowała się, że jest na nią zły: „Szanowna Pani! Co też Pani strzeliło do głowy, żeby wiadomości, które przekazałem Pani w zaufaniu, udostępniać dalej? Wydzwania do mnie policja i obwinia mnie, że to ja przekazałem jeden z nekrologów Friedrichowi Gehrke, ojcu ofiary numer trzy! Otóż do Pani informacji, Gehrke popełnił samobójstwo, a przy jego zwłokach znaleziono ten właśnie nekrolog!”

Dopiero głośny dźwięk klaksonu uświadomił jej, że znalazła się na przeciwnym pasie. Gwałtownie szarpnęła kierownicą w prawo, po czym włączyła migacz i na światłach skręciła w Füllerstrasse. Zrobiło jej się niedobrze. Miała mdłości. Co najlepszego zrobiła? Fritz Gehrke popełnił samobójstwo! Przecież nie tak miało być! To nie mogła być prawda! Ale to ona była wszystkiemu winna, bo pokazała mu nekrolog. Tyle że wtedy zachowywał się całkowicie normalnie, wręcz miała wrażenie, że jest jej wdzięczny, bo w końcu zrozumiał, dlaczego jego syn musiał umrzeć. Światło zmieniło się na zielone, więc dodała gazu. Myśli wirowały w jej głowie jak

szalone. Jechała w kierunku B455 i myślała. Czy wypada dzwonić do tego policjanta w sylwestra o ósmej wieczorem i zawracać mu głowę? I gdzie podziła jego wizytówkę? Jedną ręką trzymała kierownicę, a drugą przeszukiwała torebkę, którą położyła na siedzeniu pasażera. W końcu wysypała z niej wszystko na fotel i włączyła lampkę na suficie. Jest! Nie, to jednak nie ta, której szukała. Pamiętała, że na pewno ją... Coś przemknęło w świetle reflektorów przed jej porsche. Karoline drgnęła przestraszona i zorientowała się, że za szybko jedzie — i to o wiele, o wiele za szybko! Zaparła się nogami o pedał hamulca. Samochód zaczął się ślizgać po mokrym od deszczu asfalcie i wjechał w zakręt, jakby miał przeciąć go na wprost. Karoline szarpnęła gwałtownie kierownicą w prawo. Auto straciło sterowność, a tył uciekł bokiem na zewnątrz. W pewnej chwili poczuła brutalne uderzenie, kiedy tylne koło wyrznęło w wysoki krawężnik.

— Cholera! — krzyknęła. Szarpnięcie wyrwało jej z rąk kierownicę i rzuciło nią w bok. Skronią uderzyła o boczną szybę, a potem przez kilka sekund miała wrażenie, że unosi się swobodnie w powietrzu. W końcu samochód wylądował bokiem na mokrej drodze prowadzącej na leśny parking, obrócił się kilka razy dookoła własnej osi i ślizgając się, wypadł na pobocze, a potem orząc ściółkę, wylądował między drzewami. Hałas giętej blachy i łamanych gałęzi sprawiał jej niemal fizyczny ból. W końcu wrak znieruchomiał. Nagle zrobiło się całkiem ciemno i cicho — słychać było tylko tykanie stygnącego silnika. Karoline wisiała ogłuszona w pasach bezpieczeństwa i czuła, że coś gorącego spływa jej po twarzy. Potem straciła przytomność.

DOM RIEGELHOFFA, piękna niewielka willa, znajdował się przy Waldfriedstrasse, tuż obok lasu komunalnego. Przy krawężniku przed furtką czekał radiowóz — koledzy z policji z Frankfurtu przyjechali już wcześniej.

— To jawna bezczelność! Nie macie prawa nas zatrzymywać! — warknął adwokat, kiedy Pia i Bodenstein weszli do środka. Mężczyzna miał pięćdziesiąt kilka lat, był silnej budowy, miał szare włosy i czerwony, kluchowaty nos. Czekał na nich ubrany w kaszmirowy płaszcz, spod którego widać było elegancki smoking z muszką. Jego żona również była gotowa do wyjścia, ubrana w długą do ziemi suknię balową i pelerynę z futrzanym kołnierzem. — Jesteśmy zaproszeni! Musimy iść, bo się spóźnimy!

Bodenstein miał już wszystkiego dosyć.

— Gdyby zadzwonił pan wcześniej, moglibyśmy sobie oszczędzić spotkania w sylwestra, a wtedy i pan, i my moglibyśmy świętować ze znajomymi — odparł lodowatym tonem, również nie marnując czasu i energii na powitania. — A przede wszystkim wiedzielibyśmy przynajmniej, kogo dzisiejszej nocy Snajper weźmie na muszkę, i moglibyśmy zapewnić tej osobie ochronę.

— Nie mam pojęcia, co pan sugeruje, ale... — zaczął Riegelhoff, jednak Bodenstein nie dał mu dokończyć.

— Zaraz pan zrozumie — powiedział z naciskiem. — I powiem więcej. Jeśli nie udzieli nam pan szczerych odpowiedzi i nie dowiemy się tego, po co tu przyszliśmy, Nowy Rok spędzi pan w celi pod zarzutem utrudniania śledztwa. Ma pan na to moje słowo.

Riegelhoff spojrział na niego z wściekłością, ale chyba zrozumiał powagę swojego położenia, bo nie próbował się kłócić.

— Kochanie, daj nam dziesięć minut — powiedział do żony. Kobieta wzruszyła ramionami i popatrzyła na niego obojętnie, a on wrócił do Pii i Bodensteina. — Proszę, może gdzieś usiądziemy.

Zdjął płaszcz, przewiesił go przez poręcz schodów i zaprowadził gości do gabinetu. Pia w kilku słowach przedstawiła mu obecną sytuację wraz z informacjami przekazanymi bezpośrednio przez Snajpera. Powiedziała

również o ustaleniach policji, zgodnie z którymi mordercą powodowała chęć zemsty na ludziach, którzy jego zdaniem byli odpowiedzialni za śmierć Kirsten Stadler albo przynajmniej się na nią zgodzili.

— No ale jak ja mógłbym pomóc? — zapytał Riegelhoff. Najwyraźniej wciąż jeszcze miał nadzieję, że uda mu się szybko zakończyć to nieprzyjemne spotkanie i w spokoju pojechać świętować nadejście nowego roku.

— Przed dziesięcioma laty reprezentował pan Szpital Urazowy we Frankfurcie w sprawie wytoczonej przez Dirka Stadlera — wyjaśnił Bodenstein. — To oznacza, że posiada pan wiedzę zarówno na temat okoliczności śmierci Kirsten Stadler, jak i zna pan nazwiska osób, które w jakiś sposób miały styczność z tą sprawą. Snajper powiadomił nas, że tej nocy zginie piąta osoba. I z dużą dozą prawdopodobieństwa znów będzie to osoba postronna, która nic złego nie zrobiła.

— Możliwe, że pan również znajduje się na jego liście — dodała Pia. — W takim wypadku zamordowałby pana żonę. Albo dzieci.

— Niesmaczny dowcip! — Riegelhoff skrzywił się niezadowolony.

— Może i niesmaczny, ale na pewno nie dowcip. — Bodenstein spojrzał na niego poważnie. — Snajper zastrzelił matkę kobiety, która wówczas nie pomogła dzieciom Kirsten Stadler, kiedy znalazły ją nieprzytomną na polnej drodze. I żonę kierowcy karetki, który nie wytrzeźwiał dobrze po nocnym pijaństwie i wpakował karetkę z Kirsten Stadler do rowu. Kolejną ofiarą była żona profesora Rudolfa, a następną syn Friedricha Gehrkego, któremu przeszczepiono serce zmarłej. Przy okazji, ostatnio próbował się pan dodzwonić do pana Gehrkego, prawda? To znaczy, że się znaliście.

Riegelhoff pobladł. Nerwowo bawił się spinką do mankietów.

— Jak to znaliśmy? — zapytał zaniepokojonym tonem.

— Gehrke przedwczoraj popełnił samobójstwo — wyjaśniła Pia.



— O... to... ja nic o tym nie wiedziałem. — Riegelhoff sprawiał wrażenie bardzo poruszonego, jednak Pia zauważyła w jego oczach dziwny błysk. Nie była pewna, ale wydawało jej się, że to ulga. Ciekawe...

— Czego mógł chcieć od pana? Zostawił panu wiadomość, a pan chciał oddzwonić. Dlaczego spalił wszystkie dokumenty, które miał w domu, zanim odebrał sobie życie?

— Niestety, nie mam zielonego pojęcia — odparł Riegelhoff. — Zostawił mi wiadomość ze swoim nazwiskiem i prośbą o oddzwonienie, to wszystko. Byłem nieco zaskoczony, że po tylu latach nagle się do mnie odzywa, ale cóż... od naszej ostatniej rozmowy minęło dobrych osiem lat, jak nie więcej.

— W takim razie to by oznaczało, że chodziło mu o sprawę Kirsten Stadler — zgadywał Bodenstein. — Jaki on miał z tym związek?

Riegelhoff się zawahał. Gdzieś na dworze wybuchła petarda, a adwokat podskoczył przestraszony, słysząc głośny huk. Nagłą nerwowość starał się ukryć za ironicznymi komentarzami.

— No to udało się wam napędzić mi stracha — powiedział i uśmiechnął się nieszczerze.

Pia miała już serdecznie dosyć. Nie było czasu do stracenia, a on usiłował pogrywać z nimi i unikał jasnych odpowiedzi.

— Może pan sobie nie zdaje z tego sprawy, ale teraz to kwestia życia i śmierci! — powiedziała z naciskiem. — Chcemy chronić tych, którzy mogą znajdować się na liście mordercy. A pan może nam pomóc! Proszę podać nam nazwiska lekarzy i innych osób odpowiedzialnych za tę sprawę, którzy pracowali w 2002 w Szpitalu Urazowym. Mamy w głębokim poważaniu, jaki jest pana związek z tą sprawą i co pan wtedy robił, ale dziś w nocy ma zginąć kolejna osoba, a pan może temu zapobiec. Rozumiemy się? Chce pan wziąć na siebie odpowiedzialność za śmierć kolejnego człowieka?

Riegelhoff zawahał się i zaczął myśleć. W końcu skinął głową.

— Wszystkie papiery mam w swojej kancelarii, w archiwum — powiedział. — Możemy tam zaraz pojechać.

— W takim razie nie traćmy czasu. — Bodenstein skinął głową. — Pana żona niech jedzie z nami, bo nie żartowałem, kiedy mówiłem, że nie możemy wykluczyć pana jako kolejnego nazwiska na liście Snajpera.

DOOKOŁA PANOWAŁA CIEMNOŚĆ. I chłód. Całe ciało pulsowało bólem, lecz miała wrażenie, że mimo to niczego nie czuje. Tylko nacisk, jakby miało rozsadzić jej głowę. Niczego nie rozumiała. Gdzie była? Co się stało? Dlaczego w powietrzu unosił się zapach benzyny? Nagle pojawiło się oślepiające światło, więc zamknęła oczy.

— Halo? Halo! — Czyjś obcy głos. I jasność. — Halo! Słyszysz mnie pani? Karetka już w drodze!

Karetka?

— Halo! Proszę nie zamykać oczu! — Ktoś mocno potrząsnął jej ramieniem.

To musiał być sen.

— Dajcie mi spokój — mruknęła.

— Dochodzi do siebie — powiedział jakiś męski głos.

Do świadomości Karoline przebiło się wycie syren. Nie jednej, kilku. Z wysiłkiem uniosła powieki. Niebieskie pulsujące światła. Zrobiło się jasno jak w dzień. A przecież to musiał być wieczór! Sylwester! Chciała zadzwonić do Greta i złożyć jej życzenia. Greta. Mama.

Metaliczny dźwięk i skrzypienie tuż przy uchu. Świeże powietrze.

— Zimno — wyjąkała.

— Zaraz będzie dobrze — odpowiedział jakiś mężczyzna. — Już panią wyciągamy. Czy coś panią boli?

— Głowa. Trochę. I ramię. Co się stało?

Karoline zamrugła. Jaskrawe światła ją oślepiły. Obok stał umundurowany policjant.

— Miała pani wypadek. — Mężczyzna był jeszcze młody, miał najwyżej dwadzieścia kilka lat. — Pamięta pani?

— Nie. Ja... tak, jakieś zwierzę... wyskoczyło na drogę. Ja... hamowałam — wyszeptała. Zbliżało się coraz więcej ludzi. Mężczyźni w odblaskowych kamizelkach, w ciemnobłękitnych kombinezonach. Lekarze. Strażacy.

Ktoś uwolnił ją z pasów bezpieczeństwa, dzięki którym nie stało się nic gorszego, po czym została ostrożnie wyjęta z tego, co zostało ze sportowego porsche. Znalazła się na noszach.

— Mogę iść sama — zaprotestowała słabo.

— Tak, pewnie — odpowiedział ktoś. Ktoś inny zamocował jej kołnierz ortopedyczny. W drodze do karetki Karoline mogła się trochę rozejrzeć. Droga została zamknięta. Policja. Straż. Wielki, żółty holownik pomocy drogowej podjechał w momencie, kiedy znikła we wnętrzu ambulansu. W środku było jasno. Ratownicy podali jej kroplówkę, żeby złagodzić objawy szoku. Lekarz zapytał, jak się nazywa, gdzie mieszka i czy pamięta, jaki dziś dzień. Był chyba zadowolony, bo na wszystkie pytania odpowiedziała poprawnie i bez wahania.

Tylko dlaczego tak późno dostrzegła to zwierzę? W ogóle dlaczego tak szybko jechała? Zaczęła sobie przypominać. Szukała przecież wizytówki tego policjanta! Tylko po co...?

— W samochodzie była moja torebka i telefon! — powiedziała do młodszego z ratowników. Miała wrażenie, że łatwiej się dogada z nim niż ze starszym. — Proszę...

— Zaraz zobaczę, czy się uda je znaleźć — obiecał i wyskoczył na zewnątrz. Chwilę później wrócił. Ku jej uldze trzymał w ręku brązową torebkę Bottega Veneta.

— Telefon też znalazłem i wrzuciłem do środka — powiedział i usiadł na rozkładanym siedzeniu obok niej. Trzasnęły drzwi i samochód ruszył.

— Dziękuję. A portfel i klucze?

Młody mężczyzna zajrzał do torebki i skinął głową.

— Wszystko na miejscu — potwierdził, a ona spokojnie zamknęła oczy.

— Jedziemy do szpitala w Bad Homburg. Czy mamy kogoś powiadomić?

— Nie, nie trzeba... — Karoline zmusiła się do uśmiechu. — Później sama się tym zajmę.

Dała się unieść kołysaniu karetki. Słyszała wycie syreny na dachu i starała się w myślach wyznaczyć trasę, którą jechali. Na szczęście nic strasznego się jej nie stało. No i nie musiała się już martwić, że zapomniała zrobić zakupy.

*DOBRY PLAN to podstawa. Niedokończona budowa była doskonałym miejscem, bo oferowała schronienie, a w szerszej perspektywie wiele dróg ucieczki. Dwa razy wszystko dokładnie sprawdził. Samochód zostawił kawałek dalej, przy stacji benzynowej, zaraz przy rondzie, z którego w pięć minut mógł się dostać na A5. Gdyby zrobiło się gorąco, mógł też uciekać przez pola do Weiterstadt albo przez tereny przemysłowe do Büttelborn i dalej na A67. Wszędzie dookoła rozciągały się łąki i ugory i stały raptem te trzy nowe domy. Ułożył się wygodnie, a zamiast na dwunogu broń oparł na dwóch workach cementu, które na dodatek dobrze go maskowały. Dopiero kwadrans po dziewiątej wieczorem. Jeszcze cała masa czasu. Leżąc, zamontował celownik optyczny Kahles i spojrzął przez niego. Cóż za genialna optyka! Zajrzał do rozświetlonego domu. W otwartej kuchni stała gospodyni i rozmawiała z jakąś inną kobietą. Śmiały się. Przed domem stał samochód z numerami z Groß-Gerau. Domyślił się, że zaprosili gości. To mu nie przeszkadzało. Dzieci siedziały w salonie przed telewizorem, jedno na podłodze, drugie na skórzanej czarnej kanapie. Piękne dzieci. Chłopiec*

*i dziewczynka. Gospodarz był na piętrze, razem z jakimś innym mężczyzną. Pewnie z dumą oprowadzał go po swoim nowym domu. Wprowadzili się tam dopiero przed kilkoma tygodniami. I całe szczęście! Gdyby dalej mieszkali w starym miejscu, w bloku wielorodzinnym, miałby znacznie większe problemy, żeby znaleźć odpowiednie miejsce do oddania strzału. Pewnie, że mógłby zastrzelić go gdzie indziej. W samochodzie na przykład, w drodze do pracy. Albo w parku — ale wołał tak. Na jej oczach. Na oczach dzieci. Niech widzą, jak umiera ich ojciec. Będą tak samo bezradne, przerażone i rozbite jak wcześniej Helen! Niech nigdy w życiu nie zapomną tego widoku!*

KRÓTKO PO DZIEWIĄTEJ zatrzymali się przed kancelarią przy Eschersheimer Landstrasse w Nordend, zachodniej dzielnicy Frankfurtu. Wysiedli. Funkcjonariusze z radiowozu, którzy im cały czas towarzyszyli, również teraz ruszyli za nimi. Riegelhoff potrzebował dłuższej chwili, żeby znaleźć kartę magnetyczną i przesunąć ją przez szczelinę czytnika przy szklanych drzwiach wejściowych. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że nie mógł trafić, a przy każdej odpalonej gdzieś w pobliżu petardzie drżał i oglądał się zalekniony.

Renomowana kancelaria adwokacka HR&F i Partnerzy, w której Riegelhoff był starszym partnerem, zajmowała cztery ostatnie piętra nowoczesnego biurowca. Pół całego piętra stanowiło archiwum, a Riegelhoff najwyraźniej nie miał pojęcia na temat systemu archiwizacji dokumentów, bo odnalezienie właściwych akt zajęło mu bite czterdzieści pięć minut. W końcu przywiózł dwadzieścia trzy segregatory. Znajdowały się w nich wszystkie dokumenty związane ze sprawą, którą Stadler wytoczył Szpitalowi Urazowemu we Frankfurcie.

Jego biuro stanowiło coś w rodzaju luksusowego penthouse'u, ze szklanymi ścianami i tarasem dookoła. Tam Riegelhoff zabrał się do roboty.

Żona prawnika pokazała policjantom, gdzie jest łazienka, a gdzie kuchnia, po czym usiadła przy biurku męża.

— Wyjdź, proszę, na dwór, jeśli chcesz palić — powiedział Riegelhoff, nie podnosząc głowy znad akt. Chwilę wcześniej jego żona wyjęła zapalniczkę i otworzyła ją z metalicznym trzaskiem.

— Ha! — fuknęła kobieta, ale wstała. Jej suknia zaszeleściła. Ruszyła w stronę szklanych drzwi na taras, odsunęła je i wyszła. W pomieszczeniu na chwilę zrobiło się chłodno. Pia obserwowała, jak żona adwokata pali papierosa i rozmawia przez telefon, chodząc tam i z powrotem. Piękna kobieta nie interesowała się niczym innym, tylko spóźnieniem na imprezę. Nie obchodziło jej niebezpieczeństwo, które groziło jej i jej mężowi.

— Dlaczego akta pana Stadlera mieszczą się w pojedynczym segregatorze? — Bodenstein uniósł brwi.

— Jego prawnik ma pewnie kilka segregatorów — wyjaśnił Riegelhoff. — Ale słusznie pan zauważył, powodowie nigdy nie otrzymują pełnej dokumentacji. My dysponujemy po prostu protokołami z kontroli wewnętrznych i opiniami, których Stadler nie mógł zobaczyć i nigdy ich nie pozna.

— A to dlaczego? — zdziwiła się Pia.

— Bo wtedy w szpitalu rzeczywiście nie wszystko poszło tak, jak powinno — przyznał prawnik. — Lekarze popełnili błędy, których popełnić nie powinni. Stąd wynikało też zainteresowanie szpitala zawarciem ugody i wycofaniem sprawy. Proces mógłby doprowadzić do poważnego skandalu, utraty zaufania i skutkować ogromnymi szkodami finansowymi.

— Dlaczego wcześniej nam pan tego nie powiedział? — Bodenstein znów się zdenerwował. Każda osoba, z którą rozmawiał w związku z tym śledztwem, albo kłamała albo na różne sposoby unikała mówienia prawdy!

— Dlatego, że Szpital Urazowy jest naszym klientem. I to bardzo ważnym

klientem — wyjaśnił Riegelhoff. — Pewnie czeka mnie straszna awantura za umożliwienie państwu wglądu w te akta, ale nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za śmierć kolejnej osoby!

Jakby nagle odkrył w sobie sumienie! Albo może znalazł się między młotem a kowadłem i zdecydował się na mniejsze zło?

— Ile pieniędzy dostał Stadler za podpisanie ugody ze szpitalem? — zapytała Pia.

— Pięćdziesiąt tysięcy euro — odparł adwokat. — Ale z tego, co wiem, rodzina Stadlerów znacznie więcej pieniędzy otrzymała dodatkowo od pana Gehrkego.

— A to dlaczego? — Bodenstein i Pia zadali to pytanie niemal jednocześnie.

— Tego niestety nie wiem. Jednak nasza oferta musiała im odpowiadać, bo niezwłocznie wycofali pozew — dodał prawnik i otworzył kolejny skoroszyt. — Całą resztą się nie interesowałem, bo to nie była moja sprawa.

Ciszę przerwał telefon Bodensteina. Policjant jedną ręką podał Pii papiery, które przeglądał, a drugą odebrał połączenie.

— Bodenstein — mruknął do mikrofonu.

— Karoline Albrecht... dobry wieczór... — Usłyszał kobiecy głos. — Jestem córką... profesora Rudolfa. Przepraszam, że w takim dniu i tak późno dzwonię.

— Pamiętam panią, wiem kim pani jest — odparł Bodenstein. — Świetnie, że pani dzwoni, bo mamy coś do omówienia. I nie będzie to przyjemna rozmowa!

— Chodzi o pana Gehrkego, prawda? Tak, słyszałam już o tym. Bardzo mi przykro, naprawdę. Nie spodziewałam się, że to się stanie. Nie miałam pojęcia — zapewniła go kobieta, przy czym mówiła dość niewyraźnie. Szeptala i jąkała się, jakby była już po kilku lampkach szampana. — Ale

dzwonię do pana z innego powodu. Jestem w posiadaniu notatnika Helen Stadler i myślę, że znalazłam w nim coś, co was zainteresuje. Chodzi o listę celów.

— Co proszę? Jakich celów? — Bodenstein nie był pewien, czy się nie przesłyszała. — Co to ma znaczyć?

— To lista nazwisk. Pierwsza jest Ingeborg Rohleder. Potem moja matka. Syn pana Fritza Gehrkego. I jeszcze kilka osób, których w żaden sposób nie kojarzę. Ach, racja. Są na niej również doktor Burmeister i doktor Janning.

Bodensteinowi odjęło mowę.

— Dowiedziałam się też, że Helen nie popełniła samobójstwa, tylko została zamordowana — ciągnęła pani Albrecht. — Sprawcą jest prawdopodobnie jej chłopak.

— Gdzie pani ma ten dziennik?

— Niestety nie wiem.

— Jak to, przecież przed chwilą pani powiedziała, że go pani ma?

Przez parę chwil po drugiej stronie panowała całkowita cisza. Bodenstein zaczął się obawiać, że Karoline Albrecht się rozłączyła.

— Bo jest mały problem. Miałam wypadek i leżę teraz w szpitalu w Bad Homburg. A dziennik został w moim samochodzie. Tylko że nie mam pojęcia, gdzie go zawieźli.

— W którym miejscu się pani rozbiła? — Bodenstein błyskawicznie odzyskał panowanie nad sobą. Przez dyżurnych z drogówki z Hattersheim mógł ustalić wszystko, czego potrzebował. Kobieta podała mu miejsce, gdzie wypadła z drogi, numery rejestracyjne auta i model, a także opisała wygląd dziennika Helen Stadler. Bodenstein podziękował jej i się rozłączył, po czym natychmiast wybrał kolejny numer.

— Bodenstein, K11 — przywitał się krótko. — Ustalcie najszybciej, jak się da, gdzie trafił rozbity samochód z dzisiejszego wypadku.



Pia spojrzała na niego, unosząc brwi.

— Tak, zgadza się. Dzisiaj, troszkę wcześniej. Na K772, między Oberursel a B455. Czarne porsche, numery F-AP 341. Tak, dziękuję. Poczekam.

„Co się dzieje?” zapytała Pia bezgłośnie, lecz Bodenstein nie odpowiedział, tylko uniósł dłoń i dał jej znak, żeby uzbroiła się w cierpliwość. Po chwili Oliver wstał i zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem, aż w końcu ponownie zgłosił się dyżurny z wydziału ruchu drogowego.

— Samochód z miejsca wypadku zabrali ludzie z H&K — przekazał, czego się dowiedział. — Zazwyczaj odstawiają wraki na teren swojej firmy, żeby czekały tam na przyjazd biegłego do oceny uszkodzeń.

— Świetna robota. Gdzie dokładnie mieści się siedziba tej firmy?

Dyżurny przedyktował adres pomocy drogowej. Bodenstein podziękował i podszedł do umundurowanych funkcjonariuszy, którzy czekali w narożniku pomieszczenia na sofie dla gości i raczyli się kawą. Natychmiast wysłał ich z poleceniem przeszukania rozbitego porsche Karoline Albrecht i przywiezienia brulionu, który powinien się w nim znajdować. Mężczyźni skinęli głowami i zaraz wyszli, zadowoleni, że w końcu mają coś do roboty poza siedzeniem i czekaniem. Potem Oliver usiadł i wyjaśnił Pii, czego się przed chwilą dowiedział.

Riegelhoff nagle podniósł wzrok.

— Już mam. Znalazłem to, czego szukałem — oznajmił i wypiął ze skoroszytu kilka kartek. — To jest protokół pooperacyjny pobrania organów od dawcy. Są na nim nazwiska wszystkich lekarzy uczestniczących w zabiegu.

Pia podeszła, wzięła papiery, wróciła na miejsce i zaczęła je czytać.

— Profesor Rudolf, doktor Simon Burmeister, doktor Arthur Janning i... Jens-Uwe Hartig! — Pia aż sapnęła z wrażenia, a potem podniosła głowę

i z niedowierzaniem popatrzyła na Bodensteina. — Szefie! Nie rozumiem... Hartig jest tutaj wymieniony jako jeden z chirurgów dokonujących eksplantacji organów Kirsten Stadler. Dlaczego nas okłamał?

Podsunięła kartki Bodensteinowi.

— Kai przecież wszystko sprawdził! Dlaczego nie zauważył, że Hartig pracował wtedy w Szpitalu Urazowym?

— Być może dlatego, że do dzisiaj nie doczekaliśmy się odpowiedzi na pytania przesłane do szpitala — warknął Bodenstein. — Poczekaj, zadzwonię do niego i zapytam, dlaczego o tym nie wspomniał.

Wybrał numer Jensa-Uwego, bo już wcześniej zapisał go sobie w telefonie. Jednak Hartig nie odbierał.

Pia zanotowała resztę nazwisk i poprosiła o dostęp do pozostałych skoroszytów z dokumentami z tamtej sprawy.

— Ależ proszę, najlepiej niech je pani weźmie wszystkie. — Adwokat wzruszył ramionami, po czym spojrział na zegarek, a potem na swoją żonę, która wciąż stała na balkonie i rozmawiała przez komórkę. — Mam nadzieję, że to wam się przyda.

— Za dużo ich! — Pia spojrzała bezradnie na listę wynotowanych nazwisk, która stawała się coraz dłuższa. — Poza tym mogę się założyć, że jak przejrzę dokumenty, trafię na kolejnych dwadzieścia, jeśli nie więcej! Przy okazji, po co aż dwunastu lekarzy przy takiej operacji?

— Bo to było pobranie wielonarządowe — wyjaśnił prawnik. — Takie operacje muszą odbywać się w szybkim tempie. Czasem pięć czy sześć zespołów działa równocześnie nad zwłó... to znaczy... zajmuje się dawcą.

— Snajper nie może zakładać, że uda mu się zabić ich wszystkich! — Pia patrzyła na listę.

— Może oszczędzimy sobie czasu, jeśli w samochodzie pani Albrecht będzie jeszcze ten dziennik — mruknął Bodenstein i spojrział na zegarek.

— Szczerze mówiąc, nie liczyłabym na to — odparła Pia. Coś przyszło jej do głowy, więc szybko spojrzała na Riegelhoffa. — Stadler wystąpił z pozwem nie ze względu na pobranie organów z ciała żony, tylko ze względu na sposób, w jaki szpital ją potraktował, prawda?

Prawnik potaknął.

— W takim razie musimy skoncentrować się na osobach podejmujących decyzje — stwierdziła Pia. — Na przykład na tej, która błędnie poinformowała Joachima Winklera, co podpisuje. Kto w szpitalu jest odpowiedzialny za załatwianie formalności? Kto rozmawia z krewnymi pacjenta? Lekarze? Czy zatrudnia się do tego specjalny personel?

— Czasem lekarze — odparł Riegelhoff. — Ale w takich dużych i specjalistycznych szpitalach jak Szpital Urazowy we Frankfurcie pracuje przeszkolony psychologicznie personel zajmujący się pełną koordynacją transplantacji organów i organizacją ich pobierania.

— Kto konkretnie był za to odpowiedzialny w czasie, kiedy do szpitala trafiła Kirsten Stadler?

— Nie przypomnę sobie tego teraz. — Riegelhoff potrząsnął głową i na chybił trafił wybrał inny skoroszyt, po czym go otworzył i zaczął kartkować.

— To trwa zbyt długo! Chryste, jest już wpół do jedenastej! Marnujemy czas! — Bodenstein potrząsnął głową. — Dobrze, w takim razie dzwonię do profesora Rudolfa. Mam nadzieję, że chociaż on odbierze mimo sylwestra.

Wstał, przeszedł w narożnik przestronnego biura i wybrał numer męża drugiej ofiary. Tym razem szczęście mu dopisało.

— Dajcie mi w końcu święty spokój! — warknął profesor Rudolf, kiedy Bodenstein się przedstawił. — Proszę o uszanowanie mojej żałoby!

— Przecież respektuję pana żałobę — zachnął się Bodenstein. — Osoba, która zastrzeliła pana żonę, zapowiedziała, że dzisiejszej nocy zamorduje kolejnego człowieka. Wiemy już na pewno, że wszystkie zabójstwa są

związane z wydarzeniami, które miały miejsce dziesięć lat temu w Szpitalu Urazowym we Frankfurcie. Jesteśmy akurat w kancelarii adwokackiej, która reprezentowała szpital w sądzie w sprawie wytoczonej przez Dirka Stadlera, i trafiliśmy na kilka nazwisk. Kto ze szpitala zajmował się rodziną Stadlerów? Jak się nazywała osoba odpowiedzialna za koordynację pobrania organów?

W słuchawce zapadła cisza.

— Profesorze, niechże się pan zastanowi! — poprosił Bodenstein. — Niech nam pan pomoże! Ma pan szansę zapobiec śmierci niewinnej osoby!

Profesor Rudolf rozłączył się bez słowa.

— Co za skurwysyn — zaklął Bodenstein. — Teraz już naprawdę mam dość!

— Co chcesz zrobić?

Bodenstein wybrał kolejny numer.

— Zaraz każę go zatrzymać i natychmiast doprowadzić do komisariatu — warknął. — Niech sobie nie myśli, że ucieknie przed odpowiedzialnością.

Bodenstein wydał polecenie zatrzymania profesora Dietera P. Rudolfa, po czym schował komórkę do kieszeni i zmierzył Riegelhoffa nieprzyjaznym wzrokiem.

— To jak, przypomniał pan już sobie, czego Fritz Gehrke mógł od pana chcieć? — zapytał ostrym tonem.

— Nie — odpowiedział adwokat i spuścił wzrok.

— Mam nadzieję, że nie będzie pan musiał żałować takiej postawy — syknął Bodenstein lodowato.

— Dlaczego miałbym tego żałować? — Riegelhoff podniósł głowę.

— Bo ukrywa pan przed nami kluczowe informacje. — Bodenstein odwrócił się na pięcie. — Idziemy. Akta zabieramy do komendy.

— A co z nami? — Mężczyzna patrzył na nich przestraszonym wzrokiem.

— Możecie jechać na imprezę — mruknął Oliver.

— Co będzie, jeśli Snajper zasadził się akurat na nas? Dostaniemy ochronę policji?

— Przykro mi, ale to wykluczone. — Bodenstein potrząsnął głową. — Gdyby od początku chciał pan z nami współpracować, Snajper siedziałby za kratkami i nikogo więcej by nie zabił. To była pana decyzja i teraz musi pan sam ponosić ryzyko.

*ZJEDLI KOLACJĘ. Duszona wołowina z ziemniakami i sosem ziołowym. Teraz siedzą przy stole w salonie i piją kalifornijskie czerwone wino, cabernet sauvignon z Napa Valley, rocznik 2010.*

*Przez lunetę celowniczą mógł odczytać etykietę.*

*Widział ich talerze, widział ich twarze, widział potylice ich gości, którzy siedzieli plecami do okna i bez przerwy trzymali się za ręce.*

*Widział każdy szczegół. Kobieta wypita nieco za dużo, miała zaczerwienione policzki i ciągle się śmiała. Co chwila spoglądała zakochanym wzrokiem na męża, a on odpowiadał jej tym samym. Ta harmonia, to szczęście — dawniej pewnie by się wzruszył. Wcześniej może tak. Kiedy jeszcze był jak ten mężczyzna. Kiedy miał rodzinę. Marzenia. Przyszłość.*

*Do jego uszu dochodziły urywki słów i śmiechy. Dzieci oglądały jakiś film rysunkowy, który bardzo je bawił. Idylla. Szczęśliwa rodzina w nowym domu. Po dzisiejszej nocy nie będą już pełną rodziną, a co więcej, nigdy już nie będą szczęśliwi.*

*Wstali. Przed chwilą minęła dwudziesta trzecia.*

*Kobiety zajęły się sprzątnięciem ze stołu, a mężczyźni wyszli do garażu. Po chwili wrócili z naręczem fajerwerków. Dzieci podskoczyły radośnie i zaczęły biegać dookoła. Słyszał ich głosiki.*

*Mężczyźni wyszli na taras, żeby przygotować sztuczne ognie do odpalenia. Włożyli patyki do pustych butelek, otworzyli piwo i śmiali się głośno. Nie mieli pojęcia, że pięćdziesiąt metrów dalej czai się śmierć.*

*Śmierć, którą przyniesie.*

*On był śmiercią.*

PIERWSZE, NA CO PIA ZWRÓCIŁA UWAGĘ, to charakter pisma. Dokładnie taki sam widziała wcześniej, na kartce z rozpisany planem dnia Maximiliana Gehrkego, który znaleźli w domu Marka Thomsena. Kojarzył się ze sposobem pisania młodej dziewczyny. Pia tak często przyglądała się tej kartce, że natychmiast zauważyła charakterystyczne drobiazgi: zamiast kropki nad i osoba pisząca stawiała drobne kółeczko, a całość była pochylona mocno na prawą stronę, jak często zdarza się u osób leworęcznych. Pospiesznie przekartkowała czarny brulion. Czego miała szukać? Chodziło o nazwiska, ale skąd miała wiedzieć, gdzie znajdowała się lista, o której wspomniała Karoline Albrecht?

Pia siedziała na miejscu obok kierowcy w samochodzie służbowym, a Bodenstein z pomocą dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, którzy pobili rekord prędkości, gnając na sygnale do Höchst i z powrotem, wynosił z kancelarii skoroszyty z aktami i pakował je do bagażnika auta. Szef spojrzał tylko na czarny notatnik i zaraz go jej oddał.

— Nawet w okularach nie damę rady tego przeczytać. Oświetlenie w samochodzie pozostawia wiele do życzenia — utyskiwał. — Trzymaj, ty masz młodsze oczy.

— Minimalnie — odpowiedziała i pożyczyła jego okulary.

Mark Thomsen zniknął, Dirk Stadler nie dawał znaku życia, a teraz miało się okazać, że Jens-Uwe Hartig poszedł za ich przykładem i również zapadł się pod ziemię. Jego dom, mieszkanie i pracownia były pod ciągłą

obserwacją, ale nadaremnie.

W chwili kiedy Bodenstein zatrzasnął bagażnik, Pia znalazła to, czego szukała. Wyskoczyła z samochodu.

— Mam! Mam! Popatrz! — krzyczała podekscytowana. — Pani Albrecht miała rację! Helen przygotowała listę osób do zlikwidowania! Słuchaj tylko!

Pospiesznie odczytała szefowi nazwiska, które dziewczyna umieściła na liście, opatrując każde kolejnym numerem.

Renate Rohleder (matka, pies)

Dieter Paul Rudolf (żona, córka, wnuczka)

Patrick Schwarzer (żona)

Fritz Gehrke (syn)

Bettina Kaspar-Hesse (mąż, dzieci)

Simon Burmeister

Ulrich Hausmann (córka)

Arthur Janning (żona, syn)

Jens-Uwe Hartig (?)

— Boże, ona nawet zapisała ich adresy! — krzyknęła Pia. Drżała z podniecenia.

To było dokładnie to! W końcu przełom w śledztwie!

— Helen Stadler wyśledziła wszystkich, którzy w jej odczuciu w jakiś sposób przyczynili się do śmierci jej matki! A teraz ktoś wykonuje za nią to, co sobie zaplanowała! Nie rozumiem tylko, dlaczego na liście znalazło się również nazwisko Hartiga!

— Później będziemy się zastanawiać. — Bodenstein otworzył drzwi od strony kierowcy i sięgnął po radio. — Jeśli Snajper będzie trzymał się kolejności z listy, to dzisiaj ma zginąć ktoś powiązany z Bettiną Kaspar-Hesse. Podyktuj mi szybko adres.

— Sterngasse 118 w Griesheim — odparła Pia.

Bodenstein skontaktował się z centralą i przekazał wszystkie dane. Musiał dwukrotnie powtórzyć nazwisko kobiety.

— Griesheim pod Frankfurtem czy koło Darmstadt? — zapytał Pię.

— Nie mam pojęcia, nie napisała tego — krzyknęła policjantka. — Niech sprawdzą, w którym jest ta ulica!

Wybrała numer do Kaia. Na szczęście kolega odebrał.

— W Griesheim pod Frankfurtem nie ma ulicy Sterngasse — powiedział jeden z umundurowanych policjantów, którzy czekali obok. — Po dziesięciu latach patrolowania Frankfurtu wie się takie rzeczy.

— Nie, nie Offenbach! — Bodensteinowi głos drżał z niecierpliwości, kiedy powtarzał polecenia przez radio. — Macie znaleźć Sterngasse! Nie, nie Steingasse, do jasnej cholery!

— Mam Kaia na linii! — krzyknęła Pia. — Jest jeszcze w biurze, natychmiast się tym zajmie!

— Kiedy w końcu ustalicie adres, niech szybko pojedzie tam jakiś radiowóz! A najlepiej zaraz do nich zadzwoncie! Mają pogasić światła, zasłonić okna, schować się w piwnicy i czekać tam na nasz przyjazd! — zakończył rozmowę. — Pia! Wskakuj! Może uda nam się dojechać na czas!

*DWADZIEŚCIA MINUT DO PÓŁNOCY. Mężczyzna z kolegą przygotowali sztuczne ognie i petardy, a kobiety otworzyły w domu wino musujące. Przez otwarte na całą szerokość drzwi balkonowe usłyszał wystrzał korka. Telewizor zamigotał, ktoś włączył transmisję z fety pod Bramą Brandenburską.*

*Rozpoczęło się odliczanie.*

*Dzieci biegały podniecone po domu i ubierały się, żeby wyjść na dwór. Kolega pana domu wszedł do środka, może żeby pomóc kobietom*



*z szampanem.*

*Mężczyzna stał na tarasie z jedną ręką w kieszeni, a w drugiej trzymał piwo. Upił łyk, odchylił głowę i spojrzał w czyste, bezchmurne niebo. W oddali eksplodowała kolejna rakietka. O czym myślał? Być może o czymś pięknym. Był dumny z nowego domu, spędził cudowny wieczór i był w dobrym humorze w ostatnich minutach życia. Tak, umrze szczęśliwy, to na pewno.*

*W domu odezwał się telefon.*

*— Kto to może być o tej porze? — krzyknęła jego żona.*

*— Odbierz! Pewnie twoi rodzice! — odpowiedział i uśmiechnął się szeroko.*

*Potem odwrócił się i spojrzał wprost na niego. Czy mógł go widzieć? Tutaj, w niedokończonym domu, skrytego za dwoma workami cementu?*

*Telefon przestał dzwonić.*

*Nie sprawdzał, co się dzieje po bokach.*

*Oparł palec na spuście.*

*Miał jego twarz dokładnie naprzeciwko, widział każdą niedoskonałość skóry.*

*— Ralf! — krzyknęła kobieta, a jej głos zabrzmiał piskliwie. — Ralf! Do środka!*

*Nabrał powietrza i powoli wypuścił.*

*Potem zgiął palec i pociągnął za spust.*

Wiadomość dotarła do Bodensteina w chwili, kiedy zjeżdżał z A5 przy Griesheim. Gwałtownie nacisnął hamulec, żeby przy placu budowy nie wypaść ze swojego pasa ruchu.

— Miałeś rację, szefie — mówił smutnym, zrezygnowanym głosem Kai Ostermann. — Kolejnym celem rzeczywiście była pani Kaspar-Hesse. Zastrzelił jej męża. Koledzy z Darmstadt dotarli na miejsce jedenaście minut po otrzymaniu informacji, ale niestety, adres się nie zgadzał, bo Hessowie miesiąc temu przeprowadzili się do nowego domu i teraz mieszkają przy Tauberstrasse 18. Nasi ludzie zadzwonili do nich, ale było już za późno.

— Kurwa! — wrzasnął Bodenstein i zaczął uderzać dłonią w kierownicę. Pia nigdy nie widziała go tak wzburzonego. — Niech to cholera! Cholera! Cholera!

— Cała okolica została natychmiast zamknięta i obstawiona, ale i tak udało mu się zbiec — ciągnął Kai. — Gdzie jesteście?

— Za pięć minut będziemy na miejscu — odparł Bodenstein i pospiesznie wprowadził nowy adres do nawigacji.

Napięcie ostatnich godzin ustąpiło miejsca bolesnemu rozczarowaniu. Wszystkie starania i nadzieje posypały się jak domek z kart! Snajper znów był krok przed nimi.

— Co ze śmigłowcem? — krzyknął Bodenstein.

— Nie da rady, szefie. Jest sylwester — przypomniał mu Kai. — Ze względu na sztuczne ognie nie dostanie pozwolenia na lot na niskim pułapie.

— Niech to diabli. Dobra, będziemy w kontakcie. — Bodenstein opanował się nieco. — Jeśli uda ci się dodzwonić do Krögera, wyślij go, proszę, zaraz do Griesheim, nawet jeśli ktoś miałby się na ciebie obrazić.

— Pewnie, już dzwonię — potwierdził Kai. — Może to nie na miejscu, ale

szczęśliwego nowego roku.

— Dzięki. Tobie też, Kai — odpowiedziała Pia zmęczonym głosem.

Kiedy Bodenstein zjechał z obwodnicy Nordring na wysokości wjazdu do Griesheim, w niebo wystrzeliły pierwsze fajerwerki. Niebo eksplodowało wszystkimi barwami tęczy, a jasne wybuchy zalały okolicę feerią kolorów, lecz dopiero kiedy znaleźli się na wysokości lasku między autostradą A67 a miastem, rozpoczęła się prawdziwa kanonada. Za ostrym zakrętem trafili na policyjną blokadę. Bodenstein opuścił okno, pokazał legitymację i ruszył dalej.

Na rondzie zjechał trzecim zjazdem w Elbenstrasse, z której odchodziło kilka bocznych alejek, prowadzących w stronę lasu. Tauberstrasse była czwartą uliczką, przy której wydzielono nowe działki budowlane, a tylko dwie czy trzy spośród nich były zabudowane. Nietrudno było zauważyć, w którym domu wydarzyła się tragedia. Ich oczom ukazał się widok towarzyszący każdemu znalezieniu zwłok albo też miejscu morderstwa: karetki pogotowia, straż pożarna i radiowozy z włączonymi sygnałami świetlnymi. Bodenstein zatrzymał samochód przed ostatnią blokadą, a pozostałe kilkadziesiąt metrów pokonali na piechotę prowizorycznie wyasfaltowaną ulicą. Chłodne powietrze pachniało jeszcze prochem z petard. Po chwili minął ich bus przewożący zwłoki, a za nimi, przy blokadzie, nawet tutaj zebrało się kilku żądnych sensacji gapiów.

Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że i to morderstwo obciążało sumienie Snajpera, więc kiedy nadkomisarz Helmut Möller z Darmstadt, który na co dzień nie zajmował się oceną miejsc zbrodni, a po prostu miał akurat pecha być dziś dyżurnym od wszystkiego, zobaczył Bodensteina, uśmiechnął się z widoczną ulgą i bez oporów przekazał mu sprawę. Wprowadził ich pospiesznie w sytuację i nie robił żadnych problemów, kiedy usłyszał, że Bodenstein woli ściągnąć na miejsce własną ekipę

zabezpieczającą ślady.

— Potworna sprawa — powtarzał raz po raz. — Po prostu potworna. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Zastrzelił go na oczach żony i dzieci, rozumiecie?

Nagle odezwał się telefon Pii. Christoph! Odeszła kawałek na bok i odebrała połączenie.

— Szczęśliwego nowego roku, kochanie! — zawołał, wyraźnie w dobrym humorze. — U was znowu sieć jest chyba przeciążona, bo nie da się dodzwonić!

— Christoph! — przerwała mu Pia. — Tobie też szczęśliwego nowego roku. Ja jestem akurat na miejscu zbrodni. Przed chwilą Snajper zastrzelił kolejną ofiarę. Później do ciebie oddzwonię, dobrze?

— O Boże, biedactwo! — W głosie Christopha słychać było współczucie. — Miałem nadzieję, że siedzisz sobie w ciepłym domku z Kim i popijasz szampana. Pewnie, dzwoń, kiedy będziesz mogła. Myślę o tobie!

— A ja o tobie! I tęsknię!

Pia westchnęła głęboko i przygotowała się wewnątrz na wszystko, co miało ją czekać w ciągu najbliższych kilku godzin, po czym razem z szefem ruszyła w stronę domu. Jak zawsze w podobnych sytuacjach, spodziewała się przerażenia, bólu, rozpacz, krzyków i łez. Z trudem to wszystko znosiła. Bodenstein był tak samo bliski załamania jak ona — widziała to w głębokich cieniach i zmarszczkach, które przez ostatnich kilka dni pokryły twarz szefa. Nikt nie jest w stanie pracować tak długo pod taką presją. I nie na darmo policja oferuje wsparcie psychologiczne dla zespołów pracujących na miejscach zbrodni, bo cierpienie najbliższych ofiar pozostawia głębokie ślady nawet na najbardziej odpornych funkcjonariuszach.

Włączył się reflektor umieszczony pod okapem dachu, uruchamiany czujnikiem ruchu, i zalał jaskrawym światłem zwłoki Ralfa Hessego.

Mężczyzna leżał na tarasie przy białym murku, a jego wygląd przyprawiał wszystkich o ciarki na plecach. Krew, tkanka mózgowa i odłamki kości rozbryzgnęły się na ściany. Pocisk trafił go od przodu, dokładnie w twarz, a wychodząca kula rozerwała pół głowy.

Pia rozejrzała się uważnie. Dostrzegła fajerwerki powkładane w puste butelki po winie, ustawione na ziemi w niezagospodarowanym jeszcze ogrodzie. Za sąsiednią niezabudowaną działką stało pół bliźniaka w stanie surowym.

— Musiał się tam zacząć i stamtąd oddał strzał — stwierdziła. Bodenstein nie zareagował. Stał w milczeniu, z rękoma schowanymi w kieszeniach płaszcza, i ze zwieszonymi bezradnie ramionami i zaciśniętymi ustami spoglądał na zwłoki leżące u jego stóp.

— Co sprawia, że ktoś decyduje się zamordować pięcioro ludzi w tak niehumaniczny sposób? — wyszeptał. — Zabójstwo w afekcie można jeszcze w jakimś stopniu zrozumieć, ale to, co on wyprawia... to zaplanowane i popełnione z premedytacją morderstwa. Tak działają tylko terroryści zaślepieni jakąś morderczą ideologią.

Uniósł głowę. Jego oczy płonęły.

— Dotychczas zawsze udawało mi się zachowywać wewnętrzny dystans do spraw, które prowadziłem. Tym razem to, co ten skurwysyn robi, dotyka mnie osobiście. Specjalnie wysłał nam wiadomości, żeby się z nas ponaigrawać! Niech Bóg ma go w swojej opiece, jeśli żywcem wpadnie mi w ręce!

Pia położyła mu dłoń na ramieniu. Wiedziała, co się działo z jej szefem, bo sama czuła się podobnie, targana bezradnością i wściekłością.

— Chodź, musimy porozmawiać z jego żoną — powiedziała spokojnie i z przerażeniem przypominała sobie pewien lipcowy dzień sprzed dwóch lat. Nigdy nie zapomni tego paralizującego strachu, który ogarnął ją, kiedy na

podjeździe przed domem znalazła dwa zabite psy, w kuchni zakrwawionego i nieprzytomnego Christopha, i gdy okazało się, że jego wnuczka Lilly została uprowadzona. Wtedy udało się doprowadzić do szczęśliwego zakończenia sprawy i uratowania małej, a teraz? Bettina Kaspar-Hesse już nigdy nie zobaczy męża, nigdy go nie przytuli, nigdy nie uśnie już przy jego boku i nigdy nie obudzi go pocałunkiem.

— Racja. — Bodenstein skinął zdecydowanie głową. — Miejmy to już za sobą.

Do domu weszli przez otwarte drzwi tarasowe. Telewizor wciąż grał, pokazując zrelaksowanych i rozradowanych ludzi świętujących Nowy Rok pod Bramą Brandenburską. Bodenstein podniósł pilota ze stołu i wyłączył go. Stół w salonie nie był jeszcze posprzątanym, w kuchni piętrzyły się brudne naczynia, a zmywarka stała otwarta. Na tacy czekały cztery kieliszki musującego wina i otwarta butelka.

Ciemnowłosa mężczyzna, na oko czterdziestokilkuletni, rozmawiał z policjantem, po czym wszedł do środka.

— Jestem Darius Scheffler — przedstawił się. — Razem z żoną przyjechaliśmy do Ralfa i Bettiny świętować sylwestra. Właśnie wróciłem, bo pomagałem odprowadzić dzieci do sąsiadów.

Mimo że wyraźnie był jeszcze w szoku, odpowiedział na wszystkie pytania, które zadali mu Pia z Bodensteinem. Scheffler razem z Ralfem Hessem przygotowywał baterię sztucznych ogni do odpalenia o północy, ale na chwilę wszedł do domu, żeby pomóc kobietom z szampanem.

— Zadzwoił telefon — przypomniał sobie. — Bettina zapytała, kto to może być, a Ralf odkrzyknął, żeby odebrała, bo to pewnie jej rodzice. Bettina podniosła słuchawkę, przez chwilę nic nie mówiła, a potem nagle zbladła i zaczęła wołać Ralfa, żeby wszedł do domu! A potem... potem... ja... odwróciłem się i zobaczyłem... jak jego głowa... nagle... wybuchła.

Zniknęła. Poleciał plecami na ścianę... a krew... krew była wszędzie, jak fontanna.

Zamilkł i westchnął, tłumiąc szloch. Starał się zapanować nad emocjami.

— Czy poza panem ktoś jeszcze widział, co się stało? — zapytała Pia.

— Tak, wszyscy widzieliśmy — potwierdził Darius Scheffler. — Kiedy Bettina zaczęła krzyczeć, wszyscy odwrócili się w stronę Ralfa.

— Dzieci też?

— Nie, one na szczęście nie. Były akurat w przedpokoju, wkładały kurtki. Udało mi się zatrzymać je tam, zanim zdążyły wyjść i wszystko zobaczyć. Na szczęście.

— Gdzie jest pana żona? — zapytała Pia.

— Na górze, u Tiny. Zaprowadziłem dzieci do sąsiadów po drugiej stronie, żeby nie musiały być przy tym, co się tu teraz będzie działo.

— Bardzo dobrze pan zrobił. — Pia zmusiła się do smutnego uśmiechu. — Dziękuję za informacje. Proszę tylko zostawić któremuś z naszych ludzi dane, żebyśmy mogli spotkać się jeszcze i oficjalnie spisać pana zeznania.

Ruszyli w stronę schodów, a potem na piętro. Podszedł do nich lekarz i wyjaśnił szeptem, że kobieta jest w ciężkim szoku, ale odmówiła przyjęcia jakichkolwiek leków.

— Jest z nią przyjaciółka — dokończył. — Z tego, co wiem, jej rodzice też zostali zawiadomieni i są już w drodze.

— Możemy z nią porozmawiać? — zapytała Pia.

— Tylko jeśli to absolutnie konieczne. — Lekarz z pogotowia nie był zachwycony tym pomysłem, a Pia czuła się równie źle jak w sytuacji, kiedy musiała przekazać komuś informacje o śmierci bliskiej osoby.

— Mógłby pan tu chwilę poczekać? — poprosiła lekarza. — Możliwe, że jednak będzie pan jej potrzebny.

Bettina Kaspar-Hesse siedziała zgarbiona na łóżku w sypialni na

pierwszym piętrze nowo wybudowanego domu. Miała suche oczy, pusty wzrok i nie ruszała się, jakby była sparaliżowana. Obok niej siedziała przyjaciółka i obejmowała ją ramieniem.

— Pani Kaspar-Hesse, ogromnie mi przykro, że przychodzimy w takim momencie, ale musimy zadać pani kilka pytań — zaczęła Pia, kiedy oboje się przedstawili. — Jak się pani czuje?

Idiotyczne pytanie. Jak się niby miała czuć? Jednak Pia miała obowiązek przystąpić do zadawania pytań, nawet jeśli były zupełnie nie na miejscu.

— Mamy podstawy przypuszczać, że pani mąż jest kolejną ofiarą Snajpera, który zamordował już cztery inne osoby — ciągnęła Pia, choć kobieta wciąż siedziała nieruchomo, jakby w ogóle nie zauważyła ich obecności. — Dlatego musimy wiedzieć, czy pani lub pani mąż mieliście lub wciąż macie cokolwiek wspólnego ze Szpitalem Urazowym we Frankfurcie?

Bettina Kaspar-Hesse powoli uniosła głowę. Przez chwilę wpatrywała się w Pię, jakby nie rozumiała, o co chodzi, ale w końcu potaknęła.

— Kiedyś tam pracowałam — wyjaśniła szeptem. — Do pierwszej ciąży. Dlaczego pani o to pyta?

— Co tam pani robiła? Czym się pani zajmowała? — Pia nie odpowiedziała na jej pytanie.

— Byłam koordynatorką procedur transplantacyjnych — powiedziała Bettina głucho. — Raptem przez siedem miesięcy, bo potem zaszłam w ciążę.

— Czy przypomina sobie pani pacjentkę o nazwisku Stadler? Kirsten Stadler? Karetka przywiozła ją do szpitala szesnastego września 2002 z wylewem krwi do mózgu. Stwierdzono jej śmierć i została dawczynią organów.

Bettina Kaspar-Hesse potaknęła.

— Tak, ją akurat pamiętam całkiem dobrze, bo dzień wcześniej



dowiedziałam się, że spodziewam się dziecka. — Po jej twarzy przesunął cię cień uśmiechu, zadrżały jej kąciki ust, ale momentalnie znów posmutniała. — Proszę mi powiedzieć, dlaczego zadaje mi pani takie pytania? Do czego to wam potrzebne? To było przecież dziesięć lat temu, więc dlaczego...?

Głos jej się załamał.

— Czy pamięta pani nazwiska pozostałych współpracowników i lekarzy, którzy w jakiś sposób byli powiązani ze sprawą Kirsten Stadler? — drążył dalej Bodenstein.

— Ja... nie wiem... nie pamiętam... to było tak dawno. — Bettina Kaspar-Hesse wyłamywała sobie palce. — Moim szefem był profesor Rudolf. Poza tym na pewno byli tam doktor Janning i doktor Burmeister. Burmeister był szefem oddziału transplantologii. Zachowywał się jak sęp, jakby mu odbiło. Zmieszał mnie z błotem, bo krewni pacjentki nie chcieli podpisać zgody na przekazanie organów do przeszczepu. Wtedy podsunęłam im ten formularz, ale powiedziałam, że to przyjęcie na leczenie.

Pia i Bodenstein wymienili szybkie spojrzenia.

— Lekarze na mnie naciskali, żebym przekonała rodziców pacjentki do oddania organów. Mówili, że mam nie przebierać w środkach, że cel jest najważniejszy, a czas ucieka. Jakiś pacjent czekał na serce i bardzo im się spieszyło. Dlatego zrobiłam, co mi kazali, w końcu to była moja praca. Poza tym tamtego dnia byłam naprawdę podminowana, chciałam wypaść jak najlepiej. Wiem, że potem mąż tej kobiety pozwał szpital. Nie mam pojęcia, jak to się skończyło, bo byłam na macierzyńskim...

Zamilkła. Poderwała głowę, otworzyła szeroko oczy i wodziła przerażonym wzrokiem między Pią a Bodensteinem. Nagle zaczęło do niej docierać.

— Nie... — wyszeptała wstrząśnięta. — Boże, nie...! To nie może być tak... Błagam, powiedzcie, że to nie ma nic wspólnego z moim mężem... że

on przez to...

Przez kilka sekund siedziała jak sparaliżowana, ze wzrokiem wbitym gdzieś przed siebie. Potem powoli rozchyliła usta i wydała nieartykułowany krzyk. Odepchnęła przyjaciółkę, zsunęła się z łóżka i padła na kolana, bębniąc dziko pięściami w podłogę. Krzyczała i krzyczała, aż w jej głosie nie było już nic ludzkiego. Do pokoju wpadł zaniepokojony lekarz i złym wzrokiem zmierzył Pię.

— Koniec z tym przesłuchaniem! — syknął z wyrzutem, jakby Pia robiła to dla własnej przyjemności. Policjantka odwróciła się na pięcie i wyszła. Myśl, że jest winna śmierci męża, nie miała już opuścić Bettiny Kaspar-Hesse do końca życia.

*WRACAJĄC DO DOMU, zastanawiał się, czy powinien spalić buty w piecu, czy raczej zatrzymać się gdzieś po drodze i wrzucić je do kosza na śmieci. W pyłe zalegającym w tym niedokończonym domu na pewno zostawił całą masę śladów. I w sumie niepotrzebnie tyle trudu. Wiedział, że w końcu go złapią, a wtedy przyzna się do wszystkiego, więc po co analiza laboratoryjna obuwia. W radiu wszystkie stacje nadawały wiadomości specjalne i mówiły o piątej ofierze Snajpera.*

*Trochę zmartwiła go szybkość, z jaką policja znalazła się na miejscu. Zupełnie jakby wiedzieli, gdzie tym razem uderzy. Może w końcu skojarzyli kilka faktów? To by jednak oznaczało zagrożenie dla jego planu.*

*Skręcił w osiedle, samochód podskakiwał na zamarzniętych koleinach, a zawieszenie pojękiwało. We wszystkich oknach panowały ciemności. W sylwestra nikogo tu nie było, bo wszyscy woleli świętować w mieszkaniach, gdzie byli sąsiedzi, którym można było życzyć szczęśliwego nowego roku.*

*Ale tak było nawet lepiej.*

*Odstawił samochód i wszedł do domu. Było przyjemnie ciepło. Dopiero*

*teraz zdał sobie sprawę, jaki jest głodny. Kiedy się przebrał, dorzucił dwa bierwiona do ognia i przygotował jajecznicę z boczkiem. Zjadł prosto z patelni. Włączył telewizor. Żadnego oficjalnego oświadczenia policji, tylko zdjęcia z miejsca zbrodni. Sygnały świetlne, blokady, czerwono-białe taśmy, samochód do transportu zwłok i dziennikarze ze smutnymi minami, powtarzający niemal to samo, co w zeszły piątek. I znów określili go mianem psychopaty. Potwora. Idiotyczny dobór słów. Jakby innych nie znali. W dodatku byli w błędzie. Jednak już wkrótce poznają jego prawdziwe intencje. To, czy je rozumieją, to zupełnie inna sprawa, ale nie wątpił, że niektórzy — choćby i w tajemnicy — zaakceptują jego wyjaśnienia i pojmą, że musiał tak zrobić. Dotrze do nich, że ci ludzie nie mogli chodzić dalej bezkarnie na wolności.*

*Na liście były jeszcze cztery osoby. Burmeister był następny. Wyjechał z córką na urlop, ale pojutrze miał wrócić. Wtedy spotka go kara.*

O WPÓŁ DO TRZECIEJ w nocy rozdzwonił się telefon Pii. Razem z Bodensteinem i Krögerem byli w niedokończonyj połówce bliźniaka. Pia stała akurat przed wejściem i paliła papierosa.

— Cześć, Henning — przywitała się zaskoczona. — Jak tam, dobrze zaczęliście nowy rok?

— Nie wiem, jak my zaczęliśmy, ale mogę ci opowiedzieć, jak ja go zacząłem — odpowiedział oschle. — Świetnie się bawiłem w towarzystwie Friedricha Gehrkego.

— Co proszę?

— Mieliśmy drobną scysję z Miriam, po której zdecydowała się pojechać do jakichś przyjaciół. Nie podobało jej się, że wieczorem musiałem jeszcze podskoczyć zbadać znalezione zwłoki. A że Ronnie był akurat na dyżurze i niczego nie miał w planach, postanowiliśmy opróżnić kilka szuflad

w lodówce, jeśli wiesz, co mam na myśli.

— Chryste, Henning, ty jesteś naprawdę niereformowalny. — Pia potrząsnęła głową i poczuła wstyd, bo przez chwilę skrycie cieszyła się nieszczęściem Miriam. Była ona niegdyś jej najlepszą przyjaciółką, ale od kiedy przed dwoma laty wyszła za jej byłego męża, ich znajomość bardzo się poluźniła. Pię szczególnie bolało, że Miriam zrobiła to, czego jej nie udało się osiągnąć przez całe małżeństwo z Henningiem, a mianowicie pokonać jego chorobliwy pracoholizm. Najwyraźniej jednak myliła się w tej ocenie.

— No dobrze, to słuchaj — zaczął Henning, nie wspominając już słowem o kłótni z żoną. — Jest kilka spraw, które mogą ci się wydać wyjątkowo interesujące. W protokole z miejsca znalezienia zwłok zapisano jednoznacznie, że przed śmiercią Gehrke spalił w otwartym kominku sporo dokumentów. Zgadza się?

— Tak, to prawda. Sądząc po ilości popiołu, było tego niemało. Dlaczego pytasz?

— Bo ani w jego oskrzelach, ani w płucach, ani na śluzówkach nie znaleźliśmy śladu cząsteczek sadzy. Więc albo miał na twarzy maskę, albo nie było go przy tym, kiedy płonęły papiery.

— Co masz na myśli?

— Poczekaj, zaraz zrozumiesz. W okolicy nosa, ust i nad górną wargą ustaliliśmy miejscowe przesuszenia skóry i drobne wylewy. Poza tym znaleźliśmy też delikatne podrażnienia na śluzówkach nosa i ust.

— Aha.

— Szybki test wymazu w laboratorium wykazał, że Gehrke musiał wdychać chloroform. Jednorazowa dawka *in vivo* rozkłada się w płucach w tempie mniej więcej czterdziestu procent w pierwszych ośmiu godzinach. Dlatego pobraliśmy fragmenty płuc do badania i czekamy na wyniki. Ale to jeszcze trochę potrwa.

Pia była śmiertelnie zmęczona i ziewnęła. Wciąż nie mogła zrozumieć, do czego zmierza Henning.

— Słuchaj, nie wystarczy, że jutro rano prześlesz mi protokół? — zapytała. — Stoję właśnie w Griesheim przed domem, w którym zginęła kolejna ofiara Snajpera.

— A ja już myślałem, że z przyjaciółmi świętujesz sylwestra — odparł Henning zupełnie trzeźwym głosem i bez cienia zmęczenia. — Żartowałem, słyszałem przecież w radiu, co się stało. Może jednak wysłuchaj mnie do końca, co?

— No dobra, wal. — Pia westchnęła ciężko.

— Wstępne wnioski, do jakich doszedłem, są takie, że Gehrke wciągnął do płuc chloroform, po czym stracił przytomność — mówił dalej Henning. — W protokole Krögera nie znalazłem wzmianki, by gdzieś przy ciele znaleziono szmatkę nasączoną chloroformem. Poza tym drobne wylewy krwi z tyłu głowy i w okolicach karku pozwalają przypuszczać, że ktoś go przytrzymał. I to niezbyt delikatnie.

W końcu Pia zaskoczyła.

— Chcesz powiedzieć, że Gehrke został zabity?

— Sto punktów! Brawo! Należy ci się nagroda, mimo że trochę ci to zajęło. Aktualna ofiara cię usprawiedliwia.

— A co z insuliną?

— Mógł mu ją podać ktoś inny. Koniec końców był nieprzytomny, więc raczej się nie bronił. — Z głosu i zachowania Henninga nie wynikało, by problemy w małżeństwie miały dla niego jakieś znaczenie. — Chloroform wyszedł już z mody, ale to wciąż świetny środek, żeby ktoś na jakiś czas...

— Czekał, jesteś tego wszystkiego pewny? — weszła mu w słowo Pia.

Bodenstein i Kröger wyszli na dwór i zatrzymali się koło niej.

— Całkiem pewny. Ale oczywiście wszystko się potwierdzi, gdy

dostaniecie wyniki badań laboratoryjnych.

— Dzięki, Henning. — Pia znów przerwała byłemu mężowi. — Szefer właśnie wrócił. Rano pogadamy, trzymaj się.

— Czego chciał o tej porze nasz bóg Hadesu? — zapytał Kröger.

— Nie miał lepszego pomysłu na sylwestrową zabawę jak sekcja zwłok Gehrkego — wyjaśniła Pia. — I jest przekonany, że to nie było samobójstwo. Ktoś mu podał chloroform, a w jego płucach nie było śladów sadzy. To znaczy, że zginął, zanim spłonęły dokumenty z jego domu.

— Boże, kolejne morderstwo. — Bodenstein zrobił zrezygnowaną minę i potrząsnął głową. — Świetna wiadomość! Za długo się nudziliśmy!

— Idźcie się wyspać. — Kröger poklepał go po plecach. — My zajmiemy się resztą. Doktor Kirchhoff może sobie pracować w sylwestra, to czemu my mielibyśmy być gorsi.

— Wariat z ciebie, Christian. — Pia uśmiechnęła się i ziewnęła. — Chodź, szefie. Jedziemy do domu. Rano też będziemy mieli co robić.

BODENSTEIN ODWIÓZŁ PIĘ do jej gospodarstwa i wrócił do siebie. Jego wściekłość na Snajpera i złość wywołana własną bezradnością powoli ustępowały miejsca gorączkowemu napięciu. Ponieważ Inka zdecydowała, że po powrocie z wyjazdu do któregoś ze swoich zwierzęcych pacjentów położy się we własnym łóżku, nie miał wyrzutów sumienia, że tak późno wraca do domu. Wiedział, że nie musi na nikogo zważać. Nie musiał też przed nikim usprawiedliwiać się ze złego humoru i z tego, że pracuje w wolne dni. Nie było dzieci rozczarowanych, że coś im obiecał i nie dotrzymał słowa, i nikt nie patrzył na niego z wyrzutem. Jeśli tylko chciał, mógł wstać sobie o piątej rano, pozapalać światła, włączyć ekspres do kawy i pójść do łazienki, żeby w spokoju wziąć prysznic i się ogolić, i nie musiał się bać, że kogoś tym obudzi. Dlaczego więc, myślał, stojąc przed szafą z ubraniami w samym

ręczniku, miałyby zmieniać ten stan? Życie w związku było daleko bardziej skomplikowane niż życie w pojedynkę. Samotność miała znacznie więcej plusów niż minusów. Już bezpośrednio po rozwodzie z Cosimą bardzo podobało mu się samotne życie, choć wówczas mieszkał jeszcze nad powozownią w majątku rodziców i brakowało mu komfortu. Za to teraz posiadał piękny dom i boską wolność.

Rozkoszował się świeżo zaparzoną kawą, spoglądając przez wysokie okna na nocną panoramę okolicy. Nie należał do ludzi, którzy co roku wymyślali litanię postanowień zazwyczaj tylko po to, by tydzień po Nowym Roku zapomnieć, co sobie przyrzekli. Tym razem jednak wyznaczył trzy cele, które chciał osiągnąć w 2013 roku. Po pierwsze, chciał dopaść Snajpera. Po drugie, zakończyć związek z Inką, a po trzecie, przyjąć ofertę Gabrieli. Koniec z brakiem wiary we własne możliwości i bezustanną kapitulacją przed wszystkim, co zagrażałoby jego wygodzie. W tym roku zmieni co nieco i już się na to cieszył.

Zmotywowany w ten sposób zszedł na parter, włożył płaszcz i wszedł do samochodu. Czuł w kościach, że zbliża się przełom w sprawie Snajpera — intuicja mu to podpowiadała. Jednocześnie obawiał się, że coś ważnego przeoczył, więc się denerwował. Śledztwo od samego początku toczyło się zbyt chaotycznie, a zespół pracował w zbytnim rozproszeniu. Za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że mają w końcu coś konkretnego, dochodziło do kolejnego morderstwa, które burzyło dotychczasowe ustalenia. Z równowagi wyprowadzało go to całe gadanie o profilach psychologicznych sprawcy. Pomysł Nicoli, żeby ściągnąć profilerę i włączyć go do zespołu, okazał się całkowicie chybiony. Zanim w ogóle zorientowali się, o co chodzi z kolejnymi ofiarami, pojawiło się kilka profili, które codziennie trzeba było zmieniać i poprawiać. W końcu sam stracił w tym wszystkim orientację. Czy koniec końców to na nim spoczywała odpowiedzialność, że Snajper wciąż

był na wolności i kolejni ludzie tracili życie?

Jadąc pustymi, lecz zawalonymi resztkami petard ulicami pogrążonego we śnie Kelkheim przypomniał sobie swojego szefa z Frankfurtu, którego motto brzmiało mniej więcej tak: przypomnij sobie wszystko, co widziałeś lub słyszałeś, i wróć po śladach. Snajper nie dał im czasu, by się porządnie nad wszystkim zastanowić i wyeliminować fałszywe założenia. Parł ze swoim planem jak szalony, stawiając ich w bardzo niekomfortowej sytuacji. Musieli pędzić i go gonić, choć przy pracy detektywa nie ma niczego bardziej niszczycielskiego i groźnego dla wyników jak właśnie pośpiech, stres i przemęczenie. Zmęczeni ludzie popełniają błędy, wyciągają błędne wnioski i nie zauważają szczegółów. Przynajmniej mieli nazwiska i wiedzieli, kto ma być następny. Dzięki temu mogli ostrzec wszystkich, którzy znaleźli się na liście celów przygotowanej przez Helen Stadler.

Bodenstein od kilku dni w głębi duszy liczył się z tym, że to śledztwo zostanie mu odebrane. Sprawa Snajpera budziła tak gigantyczne zainteresowanie opinii publicznej, że spodziewał się albo przeniesienia jej do większej komendy, albo przysłania jakiegoś doświadczonego i wychwalanego mądrali z policji krajowej. Tymczasem nic takiego się nie stało. Albo ufano, że da sobie radę, albo nie znaleziono nikogo na tyle lekkomyślnego, kto byłby gotów zaryzykować swoją reputację w tak trudnej sprawie. Porażka zawsze jest szkodliwa dla dalszej kariery, a porażka na oczach tłumów oznacza zawodowe samobójstwo. On jednak nie miał zamiaru się poddawać. Wręcz przeciwnie! Teraz, kiedy większość fragmentów tej układanki leżała na stole, wystarczyło przysiąść nad nimi i ułożyć z nich czytelny obraz. To było jego zadaniem na dziś.

Oczy paliły Pię ze zmęczenia, kiedy krótko przed siódmą jechała asfaltową drogą wzdłuż autostrady w kierunku Hofheim. Do domu wróciła mniej więcej o czwartej nad ranem. Kim gdzieś wyszła, a jej łóżko było pościelone,



czyli w nim nie spała. Porozmawiała przez Skype'a z Christophem, a potem zasnęła na kanapie w salonie, lecz nie miała szans wypocząć, bo nie dość, że dręczyły ją koszmary, to o piątej rano przyszedł SMS. Kim wysłała go w odpowiedzi na jej wiadomość poprzedniego wieczoru o dwudziestej drugiej, lecz z powodu przeciążenia sieci dotarł dopiero po kilku godzinach: „Okej. Daj znać, jak będę potrzebna. Do 23 nic nie piję. Potem się zobaczy!;) 3maj się, Kim”.

O wpół do siódmej Pia zdecydowała się przesunąć wypoczynek na bliżej nieokreśloną przyszłość. Wzięła szybki prysznic, przebrała się, oporządziła zwierzęta i wyszła z domu.

Ranek był ciemny i ponury. W czasie jazdy zastanawiała się, czy popełniła kiedyś błąd, który mógłby kosztować Christopha życie. Postępowanie Renate Rohleder, Patricka Schwarzera i Bettiny Kaspar-Hesse nie posiadało znamion przestępstwa, uznałyby je raczej za zaniedbanie albo lenistwo. Coś, czego człowiek się wstydzi, więc wypiera z pamięci. Lecz podjęte przez nich wówczas decyzje tak mocno dotknęły kogoś innego, że dziś wracały jak bumerang i po latach zadawały śmiertelnie bolesne rany.

Przez ulicę przemknął lis. Jego oczy zabłyśły przerażająco zielono w świetle reflektorów, lecz już chwilę później zwierzę zniknęło w ciemności po drugiej stronie asfaltu.

Nikt nie przechodzi przez życie, nie raniąc innych i nie będąc dla kogoś powodem do rozczarowania, troski, nie zadając bólu czy nawet cierpienia. Jednak na każde działanie, które szkodziło innym, można znaleźć odpowiedź i wyrównanie krzywd — stosując kodeks karny. Czasy samosądów i archaicznych zasad minęły, i nawet jeśli wiele osób uważa, że prawo nie traktuje ich sprawiedliwie, sięganie po broń i zemsta nie są na porządku dziennym. Mimo to Snajper zdecydował się na taką formę odpłaty. Nie zaufał literze prawa i narzędziom do jego egzekwowania. Zamiast tego wołał

zastosować biblijną zasadę: „życie za życie, oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę, oparzenie za oparzenie, rana za ranę, siniec za siniec” i sam wymierzać sprawiedliwość. Co myślał i co czuł, popełniając te czyny? Wasi najbliżsi za moich najbliższych?

Rozległ się sygnał oznaczający przyjście SMS-a i wyrwał ją z zamyślenia. Otworzyła wiadomość od Henninga i przeczytała, nie zwalniając. „Doktor Hans Furtwängler z Kolonii”, pisał jej były mąż, „często współpracował z profesorem Rudolfem, może on będzie mógł wam pomóc. Numer do niego zaraz doślę!”

Doktor Furtwängler! Fritz Gehrke rozmawiał z nim przez telefon tuż przed śmiercią, a Helen Stadler umieściła jego nazwisko na swojej liście. Kai już wcześniej sprawdził staruszka i zapytał go nawet, o czym rozmawiali z Gehrkiem przez czternaście minut w sobotni wieczór. Nie mogła sobie przypomnieć, co Furtwängler mu odpowiedział. Koniecznie musi go o to zapytać! Skrzyła w drogę krajową w stronę Hofheim i już po trzech minutach zaparkowała przed komendą. Na parkingu stał samochód Kim. Przyjechała całkiem niedawno, bo na zamarzniętej nawierzchni widać było wyraźnie świeże ślady opon. Ciekawe, gdzie się podziewała zeszłej nocy?

PROFESOR DIETER RUDOLF nie posiadał się z oburzenia. Poprzedniego wieczoru pojawiło się u niego dwóch funkcjonariuszy, którzy zabrali go z domu i zamknęli w policyjnej celi, odmawiając prawa zadzwonienia choćby do jednej osoby! W drodze do pokoju przesłuchań powłóczył nogami, bo przy każdym kroku zsuwały mu się buty nałożone bez zarekwizowanych wcześniej sznurowadeł. Jednak w jego oczach szczytem poniżenia było odebranie mu paska od spodni, przez co musiał trzymać je w garści, pilnując, by nie spadły poniżej kolan.

— To, czego się dopuściliście, godzi w moje wolności obywatelskie! Nie

mieliście prawa! — zaatakował Pię i Bodensteina, ledwie wprowadzono go do pokoju przesłuchań. — Zaskarżę was, możecie być pewni, że was zaskarżę!

— Cisza i siadać! — Bodenstein wskazał mu krzesło za stołem, przy którym Pia wcześniej zajęła miejsce.

— Jakim prawem odzywa się pan do mnie w ten sposób? Wypraszam sobie! — Profesor nie krył oburzenia. — Znam swoje prawa!

— W społeczeństwie, w którym jednostki mają prawa, mają też obowiązki! — odpowiedział Bodenstein, obrzucając go lodowatym spojrzeniem. Szczupła twarz profesora oblała się szkarłatem, a gwałtownie poruszające się jabłko Adama zdradzało wzburzenie. Staruszek był nieogolony, a jego siwe włosy sterczały potargane na wszystkie strony. Noc w policyjnej celi wstrząsnęła nim potwornie i uraziła jego ego. Zareagował dokładnie tak, jak Bodenstein się spodziewał: agresją i podniesionym głosem. Ludzie zajmujący kierownicze stanowiska uważają, że są nietykalni. Przyzwyczajeni do bezwzględnego posłuszeństwa wśród swoich podwładnych, nie potrafią pogodzić się z sytuacją, w której im samym przychodzi wykonywać polecenia, i to wydawane przez osoby, których w innych okolicznościach nie zaszczyliby nawet spojrzeniem.

— Znam swoje obowiązki! — sapnął Rudolf z wściekłością w oczach. — Co miesiąc oddaję państwu w podatkach więcej, niż pan przez rok zarabia!

— Siadać w końcu! — ryknął brutalnie Bodenstein, a lekarz zaskoczony tym wybuchem momentalnie wykonał polecenie. — Nie ściągałem pana tutaj, żeby sobie pogadać o podatkach! Mówię o moralnych obowiązkach! Gdyby wczoraj nie odmówił mi pan podania nazwisk swoich współpracowników ze Szpitala Urazowego, uratowałby pan komuś życie! Dziś w nocy zamordowany został mąż pani Bettiny Kaspar-Hesse, która była

koordynatorką procedur transplantacyjnych! To kolejna ofiara, która częściowo obarcza pana sumienie!

Profesor zacisnął usta, skrzyżował ręce na piersi i buńczucznie wystawił brodę.

— Wiemy już z całą pewnością, że złamał pan przepisy, żeby przeszczepić serce synowi pańskiego przyjaciela, Maximilianowi Gehrkeemu. Chłopak był ciężko chory, a tu nagle pojawiła się Kirsten Stadler. Kobieta miała na swoje nieszczęście grupę krwi 0, więc organizm syna Fritza Gehrkego przeszczepu by nie odrzucił. Skrócił pan życie pani Stadler, przedwcześnie ogłaszając stan śmierci mózgowej.

— Ta kobieta tak czy inaczej by umarła — odburknął Rudolf. — Dzień wcześniej czy dzień później, jakie to miało znaczenie?

— Czyli przyznaje pan, że Kirsten Stadler jeszcze... — zaczęła Pia, której z wrażenia niemal odebrało mowę.

— Nic nie przyznaję! Nic! — wybuchnął profesor. — Tu nie ma nic do przyznawania!

— Lepiej niech mnie pan teraz uważnie wysłucha. — Bodenstein przerwał staruszkowi i nachylił się nad stołem. — Siedzi pan po uszy w gównie. Gdyby wcześniej wykazał pan chęć współpracy, pewnie nie trafilibyśmy na to wszystko, co teraz o panu wiemy.

— Moja żona została zastrzelona przez tego... przez tego szaleńca. — Mężczyzna szedł w zaparte. — Byłem głęboko poruszony jej śmiercią, można uznać, że to był szok! I co, to chcecie mi zarzucić? Że byłem w szoku?

— Ani nie był pan tak głęboko poruszony, ani w takim szoku, żeby nie rozumieć, o co toczy się gra, bo jakoś bez wahania zaczął pan zacierać ślady, między innymi dzwoniąc do Fritza Gehrkego! — warknął Bodenstein. — Nie wierzę w ani jedno pana słowo! Złamał pan przyrzeczenie lekarskie i popełnił

pan przestępstwo! Ale nie dało się tego ukryć, jak pan planował. Dlatego Gehrke zapłacił bardzo dużą sumę rodzinie pani Stadler, żeby w zamian wycofali pozew. Okazało się jednak, że był ktoś, kto o tym wszystkim wiedział i nie zamierzał milczeć. Nie spodziewał się pan, że Jens-Uwe Hartig tak się zachowa, prawda? To on opowiedział Stadlerom, jak było naprawdę.

— Nie wie pan, o czym pan mówi. — Profesor starał się zachować pozory opanowania, lecz w jego oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.

— Wręcz przeciwnie, z godziny na godzinę coraz lepiej się orientuję. — Bodenstein spojrział na kartkę z nazwiskami, które wynotowała dla niego Pia, po czym skinął głową. — Mecenas Riegelhoff opowiedział nam co nieco o tamtych wydarzeniach i udostępnił całą dokumentację sporu sądowego z rodziną Stadlerów. — Policjant oparł się wygodniej, lecz ani na chwilę nie przestał mierzyć profesora ostrym wzrokiem. — Również rozmowa z panem Hartigiem bardzo poszerzyła nasze horyzonty. Dziś mamy zaplanowane rozmowy z panami Furtwänglerem, Janningiem, Burmeisterem i Hausmannem.

W oczach profesora pojawiło się zaniepokojenie. Maską aroganckiej obojętności zaczęła opadać.

Zapanowała cisza. Nikt się nie odzywał, a Pia i Bodenstein nie spuszczała wzroku z przesłuchiwanego. Nagłe milczenie to sprawdzona taktyka. Większość ludzi nie potrafi sobie poradzić z taką sytuacją, tym bardziej jeśli wcześniej doszło do burzliwej wymiany zdań. Z minuty na minutę robią się coraz bardziej nerwowi i tracą panowanie nad sobą. Zaczynają gorączkowo myśleć, tworzyć jakieś wyjaśnienia, usprawiedliwienia i łgarstwa.

Profesor Dieter Rudolf poddał się dokładnie po siedmiu minutach i dwunastu sekundach.

— Chcę rozmawiać z adwokatem — wychrypiał poruszony.

— Będzie pan musiał. — Bodenstein wstał. — Jest pan zatrzymany pod

zarzutem nieumyślnego spowodowania śmierci Kirsten Stadler.

— Nie możecie mnie zatrzymać! — zaprotestował profesor. — Ja mam pacjentów, oni mnie potrzebują!

— Przez jakiś czas będą musieli radzić sobie bez pana — odparł Bodenstein i skinął na strażnika, który stał przy drzwiach, po czym razem z Pią wyszli z pokoju przesłuchań.

KIM WYSKOCZYŁA na stację benzynową kupić gotowe kanapki. Ułożyła je na dużym talerzu pośrodku stołu w sali odpraw, przy którym siedzieli Nicola Engel, Bodenstein, Pia, Ostermann, Altunay i Kathrin Fachinger. Wszyscy rzucili się na jedzenie. Pia wybrała słoną bułkę z serem.

— Szczęśliwego nowego roku! — Kim uśmiechnęła się i usiadła obok.

— Dzięki, tobie też — odpowiedziała uśmiechem Pia i nie przestając żuć, spojrzała na nią uważnie. — Gdzie spędziłaś sylwestra?

— Później pogadamy — szepnęła siostra. — Mogłaś przecież dać mi znać, pojechałabym z wami.

Zanim Kai zaczął przedstawiać najnowsze ustalenia, Pia wstała i szybko zrelacjonowała rozmowę z Henningiem.

— A to oznacza, że musimy wziąć pod uwagę możliwość, że Fritz Gehrke nie popełnił samobójstwa, tylko został zamordowany — zakończyła. — Dokładne wyniki badań laboratoryjnych otrzymamy tak szybko, jak to możliwe.

Kai dokładnie przejrzał dziennik Helen Stadler, który poprzedniej nocy otrzymał od Pii, i na jego podstawie opracował listę osób, z którymi chciał się dzisiaj skontaktować. Na razie udało mu się dodzwonić do byłej żony doktora Simona Burmeistera. Dowiedział się od niej, że doktor z siedemnastoletnią córką wyjechali na dwa tygodnie na Seszele, a powrót mają zaplanowany na jutro rano.

Pia przerwała mu pytaniem, o którym sobie nagle przypomniała.

— Kai, o czym Furtwängler rozmawiał z Fritzem Gehrke w sobotę wieczorem? To było tuż przed śmiercią Gehrkego.

— Twierdzi, że o niczym konkretnym — odparł Ostermann. — Byli starymi przyjaciółmi, a Gehrke podobno był w melancholijnym nastroju. Uznał, że to z powodu śmierci syna.

— Wierzysz mu?

— Na razie chyba tak. A ty masz jakieś wątpliwości?

— Henning powiedział, że powinnam rozmawiać właśnie z Furtwänglerem. Twierdzi, że przez wiele lat współpracowali. Sprawdziłam, czym się zajmowali, i wciąż nie mogę dojść, na czym polegała ta współpraca, bo jeden był kardiochirurgiem, a drugi jest onkologiem i hematologiem.

— Zaraz do niego zadzwonię i spróbuję się czegoś dowiedzieć. — Kai pokiwał głową i coś zapisał w notesie.

Dom Marka Thomsena stał pusty i nikt się wokół niego nie kręcił. Policja wzięła to miejsce pod obserwację, tak samo jak dom Winklerów, mieszkanie Hartiga i jego pracownię. Na drzwiach sklepu wisiała karteczka z informacją, że przerwa potrwa do szóstego stycznia 2013 roku. Sprawdzono również dom Hartiga w Diedenbergen, włącznie z przeprowadzeniem tam przeszukania. Był zupełnie pusty. Sąsiedzi zeznali, że rok wcześniej Hartig ruszył z dużym remontem, ale jesienią prace z dnia na dzień ustały.

Nagle odezwał się telefon ustawiony pośrodku stołu. Kai podniósł słuchawkę, zgłosił się i po chwili oddał ją Pii.

— Dzień dobry — odezwał się dziewczęcy głos. — Nazywam się Jonelle Hasebrink. Mieszkam w Griesheim przy Saalestrasse.

— Witaj, Jonelle. — Pia pochyliła się i przełączyła aparat w tryb głośnomówiący, żeby wszyscy mogli słyszeć ich rozmowę. — Z tej strony Pia Kirchhoff, policja kryminalna z Hofheim. Jak mogłabym ci pomóc?

— Wydaje mi się — odparła dziewczynka — że ja, to znaczy ja i mój chłopak, że widzieliśmy tego mordercę.

Wszyscy momentalnie znieruchomieli, przestali jeść i jak zaczarowani wpatrywali się w telefon.

— Tylko że rodzice nie mogą się o tym dowiedzieć. Bo oni... nie wiedzą... na razie... że mam chłopaka.

— Jonelle, a ile masz lat? — zapytała Pia, po czym zanotowała nazwisko dziewczynki i podsunęła karteczkę Kaiowi do dalszego sprawdzenia. Policjant natychmiast wprowadził je do bazy danych.

— Piętnaście.

— To znaczy, że jesteś niepełnoletnia. Dlatego twoi rodzice powinni być obecni w czasie rozmowy z policją — wyjaśniła Pia.

— A nie wystarczy, że powiem wam wszystko przez telefon? Zrobią mi awanturę.

— Hasebrink, Lutz i Peggy. Saalestrasse 17 — szepnął Kai.

— Jak dobrze widziałas tego człowieka? — zapytała Pia.

— Chyba słabo, raczej prawie wcale. — Jonelle przestraszona swoją odwagą postanowiła się wycofać, bo bała się konsekwencji tego telefonu. — Ale za to widziałam samochód, którym odjechał. Chociaż to pewnie bez znaczenia.

Pia spojrzała na Bodensteina. Policjant uniósł oba kciuki.

— Wręcz przeciwnie, to wyjątkowo ważne. — Pia starała się panować nad głosem. — Bardzo nam pomożesz, jeśli opowiesz o wszystkim, co widziałas. Bardzo chętnie byśmy podjechali się z tobą spotkać. Dobrze by było, żeby twój chłopak też tam był.

— Tylko jak miałabym powiedzieć o tym rodzicom? To znaczy nie o was, ale o Fabio?

— Nie sądzisz, że raczej będą z ciebie dumni, gdy dzięki tobie uda się



wyjaśnić sprawę dotychczasowych morderstw i uratować innych ludzi? Poza tym w przyszłości nie będziecie musieli się kryć ze swoim związkiem.

Dziewczyna się zawahała.

— Hm. Sama nie wiem. Może ma pani rację. To kiedy przyjedziecie?

— Możemy być za pół godziny.

Dziesięć minut później Bodenstein, Pia i Kim siedzieli w służbowym samochodzie i gnali w stronę Darmstadt. Niedokończona połówka bliźniaka bez najmniejszych wątpliwości posłużyła Snajperowi za kryjówkę — co do tego mieli już pewność, bo po pierwsze, wykonano badanie toru lotu pocisku, a po drugie, sprawca po raz pierwszy zostawił tak liczne ślady. Ludzie Krögera zabezpieczyli wyraźne odciski butów w pyłe charakterystycznym dla placów budowy i ślad ciała w miejscu, gdzie leżał z karabinem. Snajper zaczął się w pomieszczeniu na pierwszym piętrze, przy otworze okiennym sięgającym podłogi, osłonięty dwoma workami cementu. Doskonałe miejsce zapewniające świetną pozycję do strzału.

Pia spojrzała w lusterko wsteczne, na odbicie swojej siostry. Kim pisała coś na smartfonie i uśmiechała się do siebie. Nie chciała w obecności Bodensteina wypytywać jej, co porabiała w sylwestrowy wieczór. Ale umierała z ciekawości.

— NAJCHEŃTNIEJ ZOSTAWILIBYŚMY PANIĄ jeszcze do jutra na obserwacji — powiedział lekarz prowadzący. — Wstrząsu mózgu nie wolno lekceważyć, tym bardziej jeśli istnieje możliwość pojawienia się mikrourazów po uderzeniu.

— Przecież nie planuję jeździć na nartach. — Karoline Albrecht była zdeterminowana. — A w łóżku mogę leżeć równie dobrze u siebie w domu.

— Miała pani bardzo poważny wypadek samochodowy — przypomniał jej lekarz, ale nic już nie mógł zdziałać. Oczywiście że chętnie zatrzymałby ją

w szpitalu — pacjentka z prywatnym ubezpieczeniem zawsze była miłym gościem — lecz Karoline nie miała zamiaru marnować czasu. Krótco przed dwunastą zadzwoniła do Greta i złożyła jej życzenia z okazji nowego roku, jednak ani słowem nie wspomniała o wypadku. Nie chciała niepotrzebnie dokładać dziewczynie powodów do zmartwień. Do ojca nie udało jej się dodzwonić, bo miał wyłączony telefon, a stacjonarnego nie odbierał. Może położył się spać ze stoperami w uszach, bo z tego, co pamiętała, nigdy nie był fanem sylwestra i sztucznych ogni.

— Czuję się całkiem dobrze — zapewniła lekarza. — I damę panu słowo, że będę na siebie uważała. A jeśli coś mnie zaniepokoi, natychmiast do pana wrócę. Zgoda?

— Jak pani chce. — Mężczyzna w końcu dał za wygraną. — Każę przygotować wypis. Będzie pani musiała też podpisać oświadczenie o wyjściu na żądanie.

Ledwie zamknęły się za nim drzwi, Karoline spuściła nogi z łóżka i wstała. Było jej słabo i kręciło się jej w głowie. Na szczęście poza kilkoma siniakami i rozcięciem na czole wyszła z wypadku praktycznie bez szwanku. Przeszła do niewielkiej łazienki i przestraszyła się, widząc swoje odbicie — blada skóra, lewa strona twarzy podbiegała już fioletem, a pod okiem rosła szkarłatna śliwa. Ktoś odwiesił do szafy sukienkę, w której wczoraj jechała. Zadrżała z obrzydzenia, wciągając na siebie brudne i zaplamione krwią rzeczy, ale pocieszała się, że zaraz będzie w domu, a tam weźmie prysznic i się przebierze. Nagle odezwał się jej telefon. Numer był zastrzeżony, ale mimo to odebrała połączenie. Domyślała się, że może szukać jej ktoś z policji albo pomocy drogowej.

— Bodenstein z tej strony, dzień dobry. — Usłyszała głęboki, męski głos policjanta, który już znała. — Jak się pani czuje?

— Dzień dobry. Dziękuję za troskę, całkiem dobrze. Na szczęście

zadziałały poduszki i kurtyny i ochroniły mnie przed poważniejszymi obrażeniami — odparła. — Wracam teraz do domu. Czy ten dziennik jakoś wam pomógł?

— Tak, jest bardzo przydatny. Niestety, wczoraj wieczorem się jeszcze spóźniliśmy. Snajper uderzył po raz kolejny.

— O Boże... — Karoline przysiadła na brzegu łóżka. — Gdybym nie miała wypadku... i mogła wcześniej przekazać ten notes...

— Proszę nie robić sobie wyrzutów, bo to nie pani wina — przerwał jej policjant. — I też nie z pani winy Fritz Gehrke pożegnał się z życiem. Mamy już wstępne wyniki sekcji zwłok i okazuje się, że najpierw został uspiiony, a potem zamordowany zbyt dużą dawką insuliny. Dopiero później ktoś spalił w jego domu wszystkie dokumenty. Dotychczas byliśmy przekonani, że on sam to zrobił, żeby coś przed nami ukryć. Jednak ostatnie ustalenia i niszczenie akt rzucają nowe światło na sprawę.

Jedna hiobowa wieść po drugiej. Przez śmierć matki i problemy z ojcem była tak ogłupiona, że niemal nic nie czuła, słuchając o kolejnych ofiarach i kolejnych morderstwach. W jakiejś książce przeczytała, że gdy ktoś został dotknięty podobną tragedią, już nigdy nie potrafi żyć tak jak kiedyś. Teraz wiedziała, że to prawda.

— Pani ojciec przyjaźnił się z panem Gehrkiem — ciągnął policjant. — Prawda?

— Trudno mi powiedzieć, czy byli przyjaciółmi, czy tylko znajomymi — odpowiedziała. — Ale co do tego, że znali się od bardzo dawna, nie ma najmniejszych wątpliwości. Poza tym firma Gehrkego finansowała badania prowadzone przez ojca.

Telefon wydał sygnał informujący o słabej baterii.

— Gdyby nagle nam przerwało, to dlatego, że bateria mi pada, a nie mam ładowarki.

— W takim razie się pospieszę — oznajmił Bodenstein. — Wczoraj w nocy zatrzymaliśmy pani ojca. Nie chce z nami rozmawiać i czeka na adwokata, do czego ma oczywiście prawo. Jednak dla nas najważniejsze jest, żeby się dowiedzieć, o czym rozmawiał z Gehrkiem w noc poprzedzającą jego śmierć i...

Smartfon Karoline przestał działać. Kobieta wstała, sięgnęła po torebkę i wrzuciła do niej telefon. Mama nie żyła. Tata aresztowany. Nowy rok zaczynał się w najgorszy możliwy sposób — tak samo źle, jak zakończył się poprzedni. Włożyła płaszcz i ruszyła w stronę dyżurki pielęgniarek, a po podpisaniu oświadczenia wyszła na dwór. Marzyła o prysznicu i śnie. Ale zanim będzie mogła położyć się do łóżka, musi pojechać jeszcze do domu rodziców.

DO GRIESHEIM DOTARLI o wpół do jedenastej. Okolica wciąż jeszcze była zamknięta przez policję, bo zespół techników zabezpieczał ślady na dość dużym obszarze i z użyciem psów tropiących badał prawdopodobne drogi ucieczki Snajpera, by możliwie najwierniej zrekonstruować tę właściwą. Hasebrinkowie mieszkali przy drugiej bocznej uliczce przed Tauberstrasse. Tutaj stało znacznie więcej nowych domów, a do nich należała połówka czerwonego bliźniaka. Jonelle była bardzo ładną nastolatką o lekko zadartym nosie, długich, prostych włosach i wielkich oczach. Jej chłopak Fabio, szczupły i z włosami na jeża, przypominał raczej kogoś, kto na co dzień nosi zbyt szerokie dżinsy, czapkę daszkiem do tyłu i sportowe buty, lecz na spotkanie z rodzicami dziewczyny ubrał się znacznie staranniej. Siedzieli teraz oboje przy sosnowym stole w salonie Hasebrinków i wyglądali na bardzo spiętych. Kiedy Bodenstein i Pia usiedli naprzeciwko, nastolatkowie popatrzyli na nich wzrokiem skazańców. Rozmowa od początku się nie kleiła, a Pia upatrywała przyczyny w kwaśnych i ponurych minach rodziców

Jonelle, którzy nie próbowali nawet ukrywać, że Fabio w roli chłopaka ich piętnastoletniej córki to dla nich katastrofa. W końcu Pia poprosiła Kim, by zechciała wyjść i porozmawiać z rodzicami dziewczyny. Kiedy zostali sami, Jonelle i Fabio zrobili się znacznie rozmowniejsi.

Chodzili ze sobą od czterech miesięcy. Już wcześniej spotykali się w niedokończonej połówce bliźniaka na Tauberstrasse, tym bardziej że od roku nie toczyły się tam żadne prace budowlane, bo wykonawca zbankrutował. Jonelle i Fabio spotkali się również w poprzedni piątek, w pomieszczeniu na drugim piętrze. To jedyne miejsce, w którym robotnicy wstawili okna, więc było tam nieco cieplej.

— Siedzieliśmy sobie i gadaliśmy — wyjaśniła dziewczyna, odgarniając z twarzy kosmyk włosów. — No i nagle usłyszeliśmy jakiś hałas. Spanikowaliśmy, bo myśleliśmy, że to ten właściciel albo ktoś od niego. Nie było jak zwiewać, więc się schowaliśmy za workami z cementem.

— Gość władował się schodami na piętro — ciągnął Fabio. — Widzieliśmy go przez chwilę. Obszedł wszystko. Potem skierował się do pokoju, z którego widział dom obok. Siedział tam kilka minut, a potem zszedł na pierwsze piętro i tam został. Słyszeliśmy, jak czymś hałasował. No i poszedł sobie. My też tam już dłużej nie siedzieliśmy.

— Jak wyglądał ten mężczyzna? — zapytała Pia. — W co był ubrany?

— Nie wiem. — Jonelle wzruszyła ramionami. — Aż tak dobrze go nie widziałam. Ale miał czarne ciuchy. Jakąś czapkę i kaptur.

— Czarne dżiny i ciemnoniebieską kurtkę — doprecyzował Fabio.

— No i miał brodę — stwierdziła Jonelle.

— E, raczej, nieogolony — poprawił ją chłopak. — W każdym razie to nie była broda. Tylko tutaj coś miał.

Przesunął palcem wskazującym po górnej wardze.

— Wąsy? — pomogła mu Pia.

— No właśnie, nie pekaesy, tylko wąsy.

— Ile mógł mieć lat? Tak na wasze oko?

— Dość stary był. — Jonelle spojrzała na swojego chłopaka. — Chyba nawet ze czterdzieści lat miał. Może nawet więcej... nie jestem pewna.

Dość stary! Dzięki, mała, pomyślała Pia.

— Co jeszcze się wydarzyło? — zapytał Bodenstein.

— Łaził tam i hałasował, a potem się jeszcze kręcił na parterze — wyjaśnił chłopak. — Ja już nie mogłem tam wysiedzieć. Wypad gościu, tak myślałem, bo na czwartą miałem piłkę nożną, a trener nie daruje, jak ktoś się spóźnia. Ale nic nie powiedziałem. W końcu gość się wyniósł, a my spadaliśmy stamtąd najszybciej, jak się dało. Potem pojechałem mopedem na trening.

— Ja chciałam do domu — ciągnęła Jonelle. — Ale pomyślałam, że kupię coś słodkiego. To poszłam na stację benzynową HEM, bo tam jest sklep. Idę Elbestrasse, przez rondo, a potem kawałek jeszcze, i widzę gościa, jak wsiada do samochodu tuż obok tego sklepu! Stary opel, ciemnoniebieski albo czarny. Zapamiętałam numery, sama nie wiem, dlaczego. Pewnie dlatego, że nie był stąd i dziwnie się zachowywał.

Podyktowała im numery rejestracyjne. MTK-WM 177.

— Jesteś pewna, że to był ten sam mężczyzna, którego widziałaś w niedokończonym domu? — chciał się upewnić Bodenstein.

— No mówię, że tak. Ten sam. — Jonelle skinęła głową.

— Jesteś bardzo uważną obserwatorką i bystrą dziewczyną — pochwalił ją z uśmiechem Bodenstein. — Bardzo wam obojgu dziękuję za pomoc i za ten telefon.

Uśmiechnęli się niepewnie, ale widać było, że są z siebie dumni. Pia była pewna, że już niedługo historia z ich spotkania z policją i wkład w sprawę Snajpera uczyni ich lokalnymi bohaterami. Jonelle poruszyła się niespokojnie.

— A pani to by mogła jeszcze pogadać ze starszymi? No wie pani, że Fabio i w ogóle? — poprosiła Pię i spojrzała na Bodensteina swoimi wielkimi oczyma. — Żeby nie było...

— Myślę, że pani doktor Freitag załatwiła to już za nas — zapewniła dziewczynkę Pia. — Nie będziecie mieli żadnych problemów.

*MUSI POZBYĆ SIĘ SAMOCHODU, i to natychmiast! Już, zaraz! Policja ma nie tylko numery rejestracyjne, ale też markę, model i kolor! Jak im się udało tak szybko wpaść na jego ślad? Gdzie popełnił błąd? Przecież tak bardzo uważał, żeby nikt go nie widział! Mało brakowało, a zawał by go strzelił, kiedy przez przypadek usłyszał w radiu tę informację. Jechał i trzął się cały z nerwów. Deptali mu po piętach. Na szczęście nie mają zielonego pojęcia, gdzie jest. Musi umiejętnie wykorzystać tę przewagę, bo w przeciwnym razie może zapomnieć o reszcie planu, nad którym tyle pracował.*

*Jechał w kierunku Königstein. Miał mokre od potu dłonie. Bał się, że zaraz ktoś go rozpozna i zostanie zatrzymany. Naprawdę się bał. Nie, nie tego, że trafi w ręce policji. Nie bał się więzienia. Strachem przepełniało go to, że mogliby uniemożliwić mu dokończenie jego dzieła. Że zatrzymaliby go przed końcem tego, co zaplanował. Na ulicach panował bardzo mały ruch. Piątek. Nowy Rok. Większość leżała w domach i leczyła kaca albo z obawy przed strasznym Snajperem wolała nie wychodzić na dwór. Mniej samochodów na drogach to większa szansa, że nikt przypadkiem go nie zauważy. Z drugiej strony granatowy opel meriva bardziej rzucał się w oczy.*

*Lecz nawet na taką ewentualność przygotował furtkę w swoim planie. Wiedział, że mogą trafić na ślad samochodu. I zrobi teraz dokładnie to, co zaplanował, choć kusiło, by w napadzie paniki porzucić auto gdzieś w lesie.*

ZACZEŁO PADAĆ. Z początku spadło zaledwie kilka kropel, ale już po

chwili ze stalowoszarego nieba spłynęły na ziemię strugi deszczu. Ulewa dudniła o blaszany dach samochodu i zalewała przednią szybę. Bodenstein co kilka sekund włączał wycieraczki, żeby cokolwiek widzieć. Od pół godziny siedzieli z Pią w samochodzie i obserwowali dom pod adresem Taunusblick 72 na osiedlu Heidesiedlung w Liederbach, gdzie miał mieszkać Wolfgang Mieger, właściciel niebieskiego opla merivy o numerach MTK-WM 117. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Dom wydawał się opuszczony. Ze skrzynki pocztowej wysypywała się nieodebrana korespondencja i niechciane ulotki, drózkę od furtki do drzwi przykrywały wyschnięte liście, a wszystkie okna były zasłonięte roletami.

Tylne lewe drzwi samochodu otworzyły się na chwilę i do środka wskoczył Cem.

— Co za cholerna pogoda! — zaklął i odgarnął z czoła mokre włosy. Podobnie jak Bodenstein i Pia miał pod płaszczem kamizelkę kuloodporną, która okazywała się bardzo przydatna, kiedy do człowieka strzelano, ale na co dzień była tak wygodna jak gipsowy gorset.

— Co mówią sąsiedzi? — zapytała Pia.

— Wolfgang Mieger przeniósł się w 2011 roku do domu spokojnej starości — odparł Cem. — Cierpi na demencję starczą, krewnych brak, nie miał się nim więc kto zajmować. Kilka lat wcześniej zmarła jego żona, nie mieli dzieci. Od jedenastego dom stoi pusty. Czasem ktoś tu wpada, latem kosi trawę, ale nigdy się nie przedstawił, więc sąsiedzi nie wiedzą, kto to taki.

— Czyli jeśli mamy pecha, to grupa realizacyjna przyjedzie tu na darmo — stwierdziła Pia i chuchnęła w zmarznięte dłonie. Co prawda służbowe wozy policji zostały wyposażone w takie nowości jak elektryczne szyby, ale próżno by szukać zbytków w rodzaju ogrzewania postojowego. — Jeśli jednak mamy szczęście, trafiliśmy na kryjówkę Snajpera.

Po pierwszym podnieceniu, które opanowało wszystkich zaangażowanych



w śledztwo, kiedy się okazało, że za sprawą spostrzegawczości pary nastolatków duch Snajpera przyoblekł się w ciało człowieka z krwi i kości, przyszło nieznośne wyczekiwanie. Dotychczas policja nie otrzymała nekrologu po śmierci Ralfa Hessego. Policyjni informatycy prześledzili drogę, jaką pokonał mejl do Olivera, i ustalili, że został wysłany z otwartej i niezabezpieczonej sieci WLAN. Na szczęście w okolicy niewiele było takich niezabezpieczonych miejsc. Większość administratorów nauczyła się ustalać hasła dostępowe, żeby uniknąć wykorzystywania ich sieci do nielegalnej działalności. Czyżby Snajper działał w coraz większym stresie? Czy wiedział, że są w posiadaniu dziennika Helen Stadler i deptają mu po piętach? A jeśli tak, to skąd miał taką wiedzę?

Ostermann dodzwonił się do doktora Burmeistera. Złapał go w pokoju hotelowym na Sesselach i poinformował, że następnego ranka, zaraz po wyjściu z samolotu będzie czekała na niego obstawa policyjna. Na jego pytanie, co takiego się stało, Kai nie udzielił mu odpowiedzi, bo Pia chciała porozmawiać z nim osobiście najszybciej, jak tylko się da. Mark Thomsen nie dawał znaku życia, tak samo jak Jens-Uwe Hartig. Kai dotarł do jednej z jego pracownic i okazało się, że nie miała pojęcia o planach zamknięcia sklepu do szóstego stycznia. Zgodnie z jej wiedzą, Hartig nic takiego nie zapowiadał i nigdzie się nie wybierał. Prokuratura wydała zgodę na namierzenie jego komórki, lecz jak dotąd ani razu z niej nie korzystał, więc nie było wiadomo, gdzie przebywa.

— Włącz chociaż na chwilę silnik — poprosiła Pia. — Zaraz zamarznę.

Bodenstein przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył. Po chwili działania nawiewu para wodna zniknęła z przedniej szyby i znów było cokolwiek widać. W pewnym momencie zadzwonił telefon. Oliver odebrał przez zestaw głośnomówiący.

— Oddział antyterrorystyczny będzie u was za dziesięć minut — przekazał

Ostermann. — I nie uwierzycie. Napoleon znów się pokazał. Mam się go pozbyć?

— Nie. — Przeszła mu już złość na Neffa. — Może nam się przydać. Znalazłeś coś jeszcze w notatniku?

— To w sumie kalendarz. Codziennie wpisywała do niego, co się wydarzyło. Masa notatek o niczym. Ale znalazłem kilka interesujących fragmentów — odparł Kai. — Helen rozmawiała na przykład z Fritzem Gehrkiem, profesorem Ulrichem Hausmannem, doktorem Simonem Burmeisterem i doktorem Arthurem Janningiem. Zapisała nawet dokładnie gdzie i kiedy. Przy każdym spotkaniu dodawała tę samą datę, jakby koniec ultimatum: dziewiętnasty grudnia 2012. Niestety nie napisała, czego dotyczyły jej rozmowy, a z tego, co wyczytałem, na razie trudno wywnioskować. SANTEX, niezgodność grup krwi, grupa 0, uniwersalność, dawca A, biorca 0 — nie, na odwrót — tak, Szpital Kliniczny Uniwersytetu w Bernie, Klinika Uniwersytecka w Zurychu i nawet adres Niemieckiej Federalnej Izby Lekarskiej! Nie mam pojęcia, co to wszystko miałoby znaczyć.

— Zapytamy jej ojca, gdy tutaj skończymy — zdecydowała Pia. — Domyślam się, że już wrócił.

— Udało ci się znaleźć Janninga i Hausmanna? — zapytał Bodenstein.

— Nie, niestety, na razie nie — mruknął Ostermann. — Ale pracuję nad tym.

— Musimy się jeszcze dowiedzieć, od kogo Karoline dostała ten dziennik — powiedział Bodenstein.

— Cały czas ma wyłączoną komórkę — poinformował Kai. — Ale będę próbował się do niej dodzwonić, może w końcu włączy.

Zatrzeszczało radio i z głośnika popłynął czyjś głos.

— Kai, ruszamy — przerwała koledze Pia. — Realizacyjni są na miejscu.

Dam znać potem, jak poszło.

Wysiedli i szybkim krokiem ruszyli zalaną deszczem ulicą. Zatrzymali się przy samochodzie oddziału realizacyjnego. Z szefem antyterrorystów ustalili szczegóły postępowania. Troje funkcjonariuszy miało wejść od ogrodu, którego pilnowało dwóch umundurowanych policjantów z prewencji, żeby nikt nie wyszedł ani nie wszedł niezauważenie.

Pozostała czwórka funkcjonariuszy razem z Bodensteinem, Cemem i Pią miała wejść od frontu, lecz najpierw trzeba było otworzyć garaż. Udało się podnieść bramę bez nadmiernego hałasu, a zawartość tego pomieszczenia wywołała niemałe zaskoczenie. Albo i nie do końca. Stał w nim bowiem czarny samochód terenowy należący do Marka Thomsena! Mężczyzna musiał skądś znać Miegera — całkiem możliwe, że staruszek był członkiem lub sympatykiem PKOMMT. Potem dowiedział się zapewne, że jego dom stoi pusty, a w garażu czeka sprawne i zarejestrowane auto. Dla kogoś, kto pracował w firmie ochroniarskiej, staromodne zamki w drzwiach nie stanowiły prawdopodobnie przeszkody nie do pokonania.

— Uważajcie, bo Thomsen był strzelcem wyborowym w Zespole 9 Straży Granicznej — uznał za stosowne ostrzec szefa jednostki Bodenstein. — Może być uzbrojony i niebezpieczny.

Funkcjonariusz przekazał ostrzeżenie swoim ludziom i wydał polecenie sforsowania drzwi. Po kilku sekundach wejście stanęło otworem. Ktoś wrzucił do wnętrza granat hukowy, a po następnych paru sekundach Mark Thomsen, który leżał wygodnie na kanapie, i nie spodziewając się niczego, oglądał jakiś film na komputerze, wylądował twarzą do podłogi, z rękoma spiętymi na plecach plastikowymi kajdankami. Był ubrany tylko w spodnie od dresu i koszulkę z krótkim rękawkiem. Podniósł głowę, kiedy Bodenstein i Pia stanęli tuż obok. Umundurowani i zamaskowani funkcjonariusze jednostki realizacyjnej podnieśli go dość brutalnie z podłogi. Opis Jonelle

i Fabio idealnie pasował: Thomsen był nieogolony, szczupły, zbliżał się do pięćdziesiątki i miał wąsy, a na oparciu jednego z krzeseł wisały jego czarne dżinsy i granatowa kurtka.

— Witamy ponownie — powiedziała Pia.

— Nie mogliście zapukać? Mało się nie posrałem ze strachu. — Thomsen uśmiechnął się krzywo. — Naprawdę musieliście demolować pół chałupy?

Na widok jego uśmiešku Bodenstein zagotował się ze złości. Przed oczyma wciąż miał przerażające obrazy wszystkich ofiar i rozpacz wypisaną na twarzach ich bliskich. Musiał się powstrzymać, żeby nie wyrznąć go pięścią w twarz.

— Jest pan zatrzymany — oznajmił, a w jego głosie słychać było walkę z emocjami. — Pod zarzutem zamordowania następujących osób: Ingeborg Rohleder, Margarethe Rudolf, Maximiliana Gehrkego...

— Chwila, moment! Co pan chrzani?! — Thomsen przestał się uśmiechać. — Przecież to jakaś kpina!

— Jestem poważniejszy niż kiedykolwiek — odparł Bodenstein lodowato. — W pana domu znaleźliśmy jednoznaczne dowody świadczące o tym, że to pan jest Snajperem, który zamordował pięć osób.

— Jakie niby dowody? — Thomsen potrząsnął głową.

— Na przykład odręcznie napisany raport z inwigilacji Maximiliana Gehrkego.

— I mam jeszcze całą kupę tych raportów i innych papierzysk! — krzyknął Thomsen. — Helen się bez przerwy w to bawiła.

— Bzdury! — warknął Bodenstein. — Gdzie jest broń?

— Jaka broń?

— Karabin, za pomocą którego popełnił pan te wszystkie zbrodnie.

— Nie popełniłem żadnych zbrodni, to po pierwsze, a moją broń na pewno już zabezpieczyliście i zbadaliście. Z tym, o czym pan mówi, nie mam nic

wspólnego.

— Zgodnie ze znalezionymi dokumentami brakuje jednej sztuki broni długiej. Dlaczego pan uciekał, a nas zamknął w kotłowni?

— Bo... spanikowałem. Dlatego zviałem.

Bodenstein potrząsnął głową. Thomsen zdecydowanie nie należał do ludzi, którzy panikują na widok policji.

— Jak się pan dostał do tego domu? — zapytała Pia. — Skąd znał pan Miegera? I gdzie jest samochód?

— Jaki samochód? — Thomsen dalej strugał wariata, a Bodenstein miał tego serdecznie dosyć.

— Wystarczy — warknął. — Odprowadzić!

— Nie jestem Snajperem! — upierał się Thomsen, lecz Oliver go nie słuchał. Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

DIRK STADLER jeszcze był w drodze z Allgäu i szacował, że na miejsce dotrze około ósmej wieczorem, a Bodenstein wolał poczekać z przesłuchaniem Thomsena, żeby zacząć dopiero w obecności przedstawiciela prokuratury. Nie chciał popełnić żadnego błędu, który bystry adwokat mógłby potem wykorzystać przed sądem i zyskać coś dla oskarżonego. Już po godzinie okazało się, że bardzo rozsądnie postąpił, bo na gorącą linię zadzwoniła jakaś anonimowa osoba i powiadomiła, że wie, gdzie znajduje się samochód, o którym mówiono właśnie w radiu. Niebieski opel miał stać w Sossenheim przy Toni-Sender-Strasse w garażu numer 601. Bodenstein zaraz wysłał na miejsce radiowóz, a Ostermann ustalił, kto jest odpowiedzialny za wynajem garaży. Trochę później odezwał się zarządca nieruchomości i potwierdził, że garaż numer 601 został wynajęty w październiku zeszłego roku przez Marka Thomsena, który uiścił czynsz za cały rok z góry.

Przy niemal tysiącu mieszkań dookoła i takiej samej liczbie garaży człowiek nie może znać wszystkich wynajmujących osobiście, wyjaśnił zarządca niemal z poczuciem winy. Niestety, garaż był pusty, lecz Bodenstein kazał go zaplombować, a później poprosił Krögera, by w miarę możliwości jak najszybciej zajął się zbadaniem tego pomieszczenia.

— W ten sposób mamy powiązanie między Thomsenem i autem — powiedział z ponurym tryumfem w głosie i zajął miejsce za stołem w sali odpraw. — Jestem cholernie ciekaw, jak się z tego będzie chciał wytłumaczyć.

— Tak przy okazji, zrezygnował z adwokata — poinformowała Pia, która właśnie wróciła od podejrzanego.

— Jak nie chce, jego sprawa. — Bodenstein wzruszył ramionami, a potem nagle klasnął w dłonie. — Ludzie! Przy odrobinie szczęścia okaże się dzisiaj, że dopadliśmy Snajpera! I wiecie co? Będziecie mogli o normalnej porze wrócić do domu!

— Kurczę, to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. — Kai potrząsnął głową. — Ale fakt, wszystkim się to przyda.

Po raz kolejny wybrał numer do Karoline Albrecht i w końcu udało mu się z nią połączyć.

— Widziałam, że usiłował pan się ze mną skontaktować — powiedziała na powitanie. — Bardzo mi przykro, że miałam wyłączoną komórkę, ale bateria mi padła i musiałam pojechać po ładowarkę.

— Nie będę zajmował dużo czasu, jednak bardzo by nam pomogło, gdyby powiedziała pani, w jaki sposób weszła w posiadanie dziennika Helen Stadler?

Pani Albrecht zawahała się na chwilę.

— Sprawdziłam na Facebooku, że profil Helen cały czas jest jeszcze aktywny — wyjaśniła. — Dzięki temu udało mi się dotrzeć do jednej z jej

znajomych. Dziewczyna nazywa się Vivien Stern i umówiliśmy się na spotkanie we Frankfurcie.

— Facebook! — jęknął Kai i uderzył się w czoło. — Dlaczego sam na to nie wpadłem?!

— O czym panie rozmawialiście? — dopytywał się Bodenstein.

— Vivien twierdzi, że Helen była na tropie prawdziwej afery. Była też przekonana, że lekarze celowo nie ratowali jej matki, żeby zyskać dostęp do jej organów i je dalej przeszczepić. Chciała wyjaśnić to, co się wtedy stało. Do samego końca.

— Czy Vivien Stern była bliską przyjaciółką Helen Stadler?

— Najwyraźniej bardzo bliską. Znały się jeszcze z czasów szkolnych, a potem razem studiowały we Frankfurcie. Helen zostawiała swój dziennik u Vivien, żeby jej ojciec i jej chłopak go nie znaleźli. Ponoć ten jej chłopak strasznie na nią naciskał i zmuszał, żeby za niego wyszła, chociaż ona nie była wcale chętna. Helen planowała uciec z Vivien do Stanów i tam zacząć studia. Kiedy chłopak Helen się o tym dowiedział, zaczął grozić Vivien, a nawet ją pobił. Dziewczyna panicznie się go boi, dlatego nie odważyła się pojechać z dziennikiem na policję. Dała go mi i poprosiła, żebym nie wspominała, kim jest i jak się nazywa, ale powiedziałam jej, że tego raczej nie da się zataić.

— Czy ma pani jej numer telefonu? — zapytał Bodenstein.

— Nie, niestety, nie mam. Ale wiem, że pojutrze wraca do Stanów Zjednoczonych, bo do Niemiec przyjechała tylko do rodziców na święta. I dopiero teraz zrozumiała, że istnieje związek między kolejnymi morderstwami a poszukiwaniami Helen.

— W jakim sensie związek?

— W prasie znalazła imiona i inicjały wszystkich ofiar. Ingeborg R., Maximilian G., Margarethe R. Helen wspominała jej o nich wszystkich. —

Karoline Albrecht przerwała na chwilę, żeby dokładnie przypomnieć sobie przebieg rozmowy z Vivien. — Helen przestała komukolwiek ufać w chwili, kiedy się dowiedziała, że jej ojciec dostał od kogoś okrągły milion euro w zamian za to, że wycofa pozew przeciwko szpitalowi. Dowiedziała się o tym przez przypadek, bo do domu przyszła kontrola skarbowa i zaczęli wszystko sprawdzać. Wtedy sama też zabrała się za poszukiwanie prawdy. Wspierał ją jej znajomy, ale nie jestem w stanie przypomnieć sobie teraz jego nazwiska.

— Mark Thomsen? — odpowiedział Bodenstein. Karoline zrobiła na nim ogromne wrażenie swoją pamięcią i opanowaniem, tym bardziej że poprzedniego dnia miała poważny wypadek samochodowy.

— Tak jest, to on — potwierdziła kobieta.

— Dlaczego Vivien Stern uważa, że Helen została zamordowana?

— Jest przekonana, że Helen nie miała żadnego powodu, by targnąć się na swoje życie. Była podekscytowana wyjazdem do Stanów Zjednoczonych i bardzo zadowolona z postępów swojego śledztwa. Vivien twierdzi, że za śmierć Helen odpowiada jej chłopak, który ją zabił, bo chciała go zostawić.

— Istnieje podejrzenie, że to pani ojciec pozwolił umrzeć matce Helen Stadler, żeby przeszczepić jej serce. Wiedziała pani o tym? — Bodenstein wahał się przez chwilę, czy zadać to pytanie. W słuchawce usłyszał ciężkie westchnienie.

— Tak, jestem tego świadoma — powiedziała z goryczą Karoline Albrecht. — Jeśli to prawda i jeśli moja matka zginęła przez niego na oczach mojej nastoletniej córki, nigdy mu tego nie wybaczę.

— CZEŚĆ, HENNING, to ja, Pia. Wybacz, że tak późno zawracam ci głowę.

— Nic nie szkodzi. A która jest godzina? — odpowiedział jej były mąż.

— Zaraz będzie wpół do dziewiątej.



— Dzięki. Nie zauważyłem, kiedy się zrobiło tak późno.

Pia nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Jakaż typowa odpowiedź! Czy już się pogodzili z Miriam? Całkiem możliwe, że ich wczorajsza kłótnia nie była pierwszą, tylko którąś z kolei. Tym bardziej była gotowa w to uwierzyć, że ostatnio Henning znów całe dni spędzał w Instytucie — zupełnie jak za czasów, kiedy byli małżeństwem.

— Słuchaj, mam do ciebie małą prośbę. Czy mógłbyś jeszcze raz przejrzeć raport z sekcji zwłok Helen Stadler? — Pia nie czekała z wyjawieniem, po co dzwoni. — Podejrzewamy, że mogła zostać zepchnięta z mostu pod pociąg, chociaż oficjalnie sama miała się rzucić. Być może znajdziesz opis śladów na jej ciele, które zostały błędnie zinterpretowane.

— Pewnie, zaraz się tym zajmę i dam ci znać — obiecał Henning. — Jak wam idzie? Posuwacie się naprzód?

— Dzisiaj zatrzymaliśmy podejrzanego — poinformowała Pia.

— No to gratulacje.

— Powiedz tylko, czy ten twój informator, który chce zachować anonimowość, to nie jest przypadkiem doktor Arthur Janning? — zapytała.

— Jak na to wpadłaś? — Henning odpowiedział pytaniem, lecz Pii to wystarczyło.

— Helen Stadler na własną rękę prowadziła śledztwo i rozmawiała z wieloma ludźmi, których uważała za zamieszanych w sprawę matki. Wszystko potem opisywała w swoim dzienniku — wyjaśniła Pia. — Tam właśnie znalazłam nazwisko Janning.

— Masz rację, to on — potwierdził lekarz. — W tej chwili jest ordynatorem oddziału intensywnej terapii Szpitala Urazowego. Moim zdaniem nie miał wtedy nic wspólnego z Helen Stadler, ale że trafiła na OIOM, więc pewnie co nieco przy okazji usłyszał.

— Helen przygotowała listę osób do usunięcia. Jest na niej dziewięć

nazwisk, w tym Janning. Bliscy pierwszych pięciu już nie żyją — zdradziła Pia. — Dlatego obawiamy się, że i on może być w niebezpieczeństwie.

— Mhm — mruknął Henning i to był jego jedyny komentarz.

— Jesteśmy też pewni, że w tym szpitalu dochodziło do innych poważnych nieprawidłowości i że ta dziewczyna trafiła na ich ślad. Wszyscy się czegoś boją, a u Fritza Gehrkego spalono całą jego dokumentację, nieważne teraz, czy to zrobił on, czy ktoś za niego, bo to wszystko i tak potwierdza tylko nasze podejrzenia.

— W takim razie uważaj, żeby Rudolf nie dał nogi za granicę — doradził Henning.

— Stracił swoją szansę. — Pia stwierdziła fakt. — Od wczoraj nocuje na koszt podatników w naszym hotelu.

WYGLĄDAŁO NA TO, że Dirk Stadler dopiero co wrócił do domu, bo jego niewielka walizka stała jeszcze zamknięta i nierozpakowana w korytarzu.

— Proszę, proszę, niech państwo wejdą — przywitał grzecznie Bodensteina i Pię.

— Dziękuję. — Pia uśmiechnęła się. — Jak było w Allgäu?

— Spokojnie. — Stadler odpowiedział uśmiechem. — Sądząc po śmietniku na drogach, tutaj musiało być znacznie głośniej.

Zamknął za nimi drzwi.

— Zeszłej nocy kolejna osoba została zamordowana — poinformowała Pia.

— Tak, wiem, słyszałem w radiu — potwierdził Stadler. — Ale chyba pani nie sądzi, że mój syn może mieć z tym cokolwiek wspólnego?

— Nie, już go nie podejrzewamy — uspokoił Bodenstein Stadlera. — Zatrzymaliśmy już podejrzanego.

— To... no... to chyba wspaniale, prawda? Gratuluję! — Stadler sprawiał

wrażenie równie zaskoczonego, jak zadowolonego. — W takim razie, w jakiej sprawie państwo przychodzicie?

— Mężczyzna ten zaprzecza oczywiście, żeby był sprawcą. Dlatego potrzebujemy więcej dowodów i musimy dokładniej zrozumieć jego motyw. Bo to, że zabijał z chęci zemsty i wyrównania rachunków, to dla nas oczywiste. Znamy również okoliczności, które pchnęły go w tym kierunku. Jednak mamy wrażenie, że za tą sprawą kryje się coś znacznie większego, o czym na razie mamy bardzo mgliste pojęcie.

— Aha... — Stadler włączył światło w salonie. — Pozwolicie, że usiądę, dobrze? Noga nie daje mi spokoju... po tak długiej jeździe...

— Proszę nie robić sobie kłopotu. — Bodenstein skinął głową. Za gospodarzem weszli do salonu i streścili mu historię profesora Rudolfa i Fritza Gehrkego. Dirk Stadler masował kolano i ze skupioną miną słuchał ich opowieści.

— Wiedział pan, że Gehrke i Rudolf byli starymi przyjaciółmi, prawda? — zapytał Bodenstein.

— Z początku uważałem to za jakieś teorie spiskowe wymyślane przez Jensa-Uwego. — Stadler wyglądał na wyczerpanego. Miał zapadnięte policzki i szkliste, błyszczące jak w gorączce oczy. — Jens-Uwe był rozczarowany, zawiedziony i zły, dlatego dążył do zniszczenia Rudolfa. Za moją przyczyną chciał narobić Rudolfowi problemów i ujawnić tę sprawę opinii publicznej.

— Ale panu nie spieszyło się do procesu ze szpitalem. Co sprawiło, że zmienił pan zdanie? — dopytywała się Pia.

— Przecież już to tłumaczyłem — odparł Stadler. — Mój teść nie dawał mi spokoju i naciskał, że powinienem ich pozwać. Nie potrafił mówić o niczym innym. Ale im lepiej poznawałem wszystkie okoliczności i dowadywałem się, jak to działa, tym bardziej rosło we mnie przekonanie,

że jesteśmy bez szans. Poza tym nawet wygrany proces nie przywróciłby mojej żonie życia. Ja wtedy chciałem spokoju. Tylko spokoju i niczego więcej.

— Poprzednio powiedział nam pan, że w ramach ugody ze szpitalem dostał pan pięćdziesiąt tysięcy euro w zamian za wycofanie pozwu — drążyła Pia, pamiętając rozmowę z Henningiem i słowa jego anonimowego wówczas informatora. — Czy to naprawdę było wszystko?

Stadler westchnął z rezygnacją.

— Nie — przyznał bez oporów. — Od Fritza Gehrkego dostałem jeszcze dodatkowo milion euro.

— Słucham?! Dostał pan milion euro?! — powtórzyła Pia, udając ogromne zaskoczenie. — Za co dostał pan taki majątek?

— Właśnie za to, żebym wycofał pozew. Rok walki w sądzie zrujnował mnie finansowo, a pieniądze dawały mi możliwość zapewnienia dzieciom lepszego życia.

— Gehrke po prostu pana przekupił — wypalił bez ogródek Bodenstein. — Dlaczego?

— Ja raczej patrzę na to tak, że chciał uciszyć wyrzuty sumienia. Żeby jego syn mógł żyć, moja żona musiała umrzeć — wyjaśnił Stadler spokojnym głosem. — Dla niego te pieniądze nie były żadnym obciążeniem, mnie mogły się bardzo przydać. Kazałem przelać je na konto w szwajcarskim banku, co, koniec końców, okazało się błędem, bo pewnego dnia pojawiła się u mnie policja skarbową. Moje konto i nazwisko znalazły się na jakimś dysku CD. Musiałem zapłacić zaległe podatki i dodatkowo karę. Wtedy oczywiście o wszystkim dowiedziały się dzieci, które wcześniej nie miały pojęcia o tych pieniądzech.

— Jak zareagowały? — zapytał Bodenstein.

— Erikowi było to raczej obojętne. Powiedział jedynie, że głupotą było

brać pieniądze na lewo — odparł Stadler. — Za to Helen była na mnie naprawdę wściekła. Zarzuciła mi, że kupili moje milczenie, a ja się sprzedałem i przez to jestem współwinny. Potem jeszcze wiele razy o tym rozmawialiśmy, aż w końcu zrozumiała, dlaczego postąpiłem tak, a nie inaczej.

— Kiedy to było?

— Dwa lata temu.

Bodenstein i Pia wymienili spojrzenia. Przed dwoma laty Helen zaczęła pisać swój dziennik i wszczęła prywatne śledztwo.

— Czy wiedział pan, że pańska córka prowadziła coś w rodzaju dziennika?  
— zapytała Pia.

— Tak. Od dziecka pisała pamiętnik, ale potem przestała, chyba gdy miała szesnaście czy siedemnaście lat. Ograniczyła się do pisania krótkich notatek.

— Pańska córka była głęboko przekonana, że szpital nie ratował jej matki tak, aby mogła przeżyć. — Pia ostrożnie badała grunt. — Wierzyła, że pozwolono jej umrzeć, żeby zyskać organy do przeszczepu.

— Tylko że to jest przecież nieprawda — odpowiedział Stadler zmęczonym głosem. — Rozmawialiśmy przecież na ten temat, prawda? Myślałem, że wszystko wytłumaczyłem.

— Nie wiem, czy to prawda czy nie, jednak fakty są takie, że Helen prowadziła prywatne śledztwo — ciągnęła Pia. — Szantażowała ludzi. Niektórych naprawdę poważnie.

— Nie, w to pani akurat nie uwierzę — zaprzeczył zdecydowanie Stadler. — Tak nie mogło być. Moja córka była niestabilna emocjonalnie i bardzo delikatna. Nigdy by się nie porwała na coś takiego.

— Rozmawiała z dyrektorem Szpitala Urazowego, z Fritzem Gehrkiem, profesorem Rudolfem i jeszcze kilkoma lekarzami, których uważała za odpowiedzialnych za wydarzenia sprzed dziesięciu lat. Postawiła im wyraźne

ultimatum.

— Ultimatum? Ale jakie? Czego od nich chciała?

— Być może chodziło jej o upublicznienie prawdy o śmierci matki. Ultimatum kończyło się krótko przed świętami — wyjaśniła Pia. — Ale trzy dni po ostatniej rozmowie niespodziewanie odebrała sobie życie.

Nagle zabrzęczała jej komórka. Sięgnęła do kieszeni i sprawdziła ekran. Kai: „Znalazłem Vivien Stern”. Zastanowiła się, czy zapytać Stadlera o przyjaciółkę córki, ale uznała, że to nie jest najlepszy pomysł, bo najpierw chciała sama porozmawiać z młodą kobietą.

— Z tego, co wiemy, wcale nie zamierzała wychodzić za Jensa-Uwego — dokończył Bodenstein. — Ponoć w rzeczywistości się go bała, bo ją kontrolował i osaczał.

— No nie, to już naprawdę jakieś bzdury! Jens-Uwe kochał Helen! — Stadler potrząsnął głową. — To prawda, że najchętniej przełożyłaby trochę ten ślub, bo chciała wyjechać na rok do Stanów Zjednoczonych na studia. Ja ją popierałem, bo to był dobry pomysł. Wydawało mi się, że taka wyprawa wpłynęłaby pozytywnie na jej rozwój. Nowi ludzie, dystans do tego, co ją tu trzymało... Jens-Uwe był tego samego zdania.

— Dlaczego szpikował ją lekarstwami? — zapytała Pia.

— Kto opowiada wam takie bzdury? — Dirk Stadler sprawiał wrażenie, że jest już na granicy i kolejnych rewelacji po prostu nie zniesie.

— To wiadomość z pewnego i sprawdzonego źródła. — Pia nie chciała zbyt wiele zdradzać.

— Poza tym pańska córka miała całkiem inne plany, niż wam wszystkim się wydawało — dodał Bodenstein. — Przygotowała listę ludzi, których uważała za odpowiedzialnych za śmierć matki. Obserwowała ich, zapisywała ich plan dnia, poznawała zwyczaje. Miesiącami prowadziła inwigilację. Musiała ich śledzić. Z tego, co wiemy, pomagał jej w tym pan Thomsen.

W jego domu znaleźliśmy dossier Maximiliana Gehrkego. Dlatego jesteśmy przekonani, że Helen planowała się na nich mścić. A po jej śmierci ktoś przejął pałeczkę i robi to za nią.

Stadler uniósł wzrok i spojrzał na Bodensteina, a w jego oczach przez ułamek sekundy pojawił się ból tak straszny, że nie było słów, którymi dałoby się go opisać. To cierpienie nosił w sobie od dziesięciu lat i nie znał sposobu, by się od niego uwolnić.

— Kto niby miałyby to robić? — zapytał głuchym głosem. — Kto miałyby... kontynuować jej dzieło?

— Ktoś, kto doskonale strzela — odparł Bodenstein.

— Thomsen?

— Możliwe. Czy zna pan niejakiego Wolfganga Miegera?

— Oczywiście. — Stadler skinął głową. — Wolfgang to mój kolega. Pracowaliśmy razem, dopóki nie zachorował na parkinsonizm i demencję. Przed trzema laty zmarła jego żona, a nie miał dzieci. Dlaczego pytacie mnie akurat o niego?

— Bo podejrzanego złapaliśmy w należącym do niego domu.

Ta nowina odebrała Stadlerowi mowę. Przez kilka sekund siedział i patrzył na nich z otwartymi ustami.

— Przecież klucze mam ja — powiedział w końcu. — Od kiedy przeniósł się do domu opieki w Königstein, wpadam tam co pewien czas, sprawdzam dom i zajmuję się ogrodem. Bywało, że Helen mi pomagała, a czasem, jak brakowało mi czasu, jechała tam sama, opróżniała skrzynkę pocztową i sprawdzała, czy wszystko w porządku.

— Kiedy był tam pan po raz ostatni?

— Jakoś przed świętami. Tak mniej więcej dwa tygodnie temu. Pojechałem sprawdzić, czy ogrzewanie dobrze działa.

— Czy używa pan czasem jego samochodu?

— Nie. Od kiedy Wolfgang zachorował, auto stoi w garażu.

— To akurat nieprawda. Ktoś nim jeździ.

— Niemożliwe! Samochód ani nie ma przeglądu, ani nie jest ubezpieczony! — Stadler skrzywił się, wstał i pokuśtykał w kierunku komody w przedpokoju. — Proszę, tutaj są kluczyki. Gdyby ktoś nim jeździł, to ja bym musiał o tym wiedzieć!

— Czy pańska córka miała drugi komplet kluczy do domu pana Miegera? Może zostawiła go Thomsenowi, żeby w razie czego ich używał?

Stadler oparł się o komodę.

— Boże... tak, to możliwe... — Przyznał po chwili. — Od kilku miesięcy nie widziałem jednego kompletu kluczy...

— Czy domyśla się pan, gdzie mógłby teraz przebywać pan Hartig? — zapytała Pia.

Stadler zamknął szufladę. Przez chwilę panowała nieprzyjemna cisza.

— Nie. — Mężczyzna potrząsnął głową. — Od śmierci Helen prawie nie mieliśmy kontaktu.

— Ale w poprzedni piątek rozmawiał pan z nim bite półtorej godziny.

— Tak, to prawda. Zadzwoił, żeby życzyć mi szczęśliwego nowego roku. A potem jeszcze trochę rozmawialiśmy.

— O czym?

— O całej tej sprawie. — Stadler machnął dłonią. — O tym, że go podejrzewacie, że przeszukaliście jego dom i pracownię... I o Helen. Tamtego dnia skończyłaby dwadzieścia cztery lata.

KIEDY WYSZLI OD STADLERA, na dworze wciąż lało jak z cebra.

— A pamiętam jeszcze czasy, kiedy zawsze mogłam być pewna, że masz ze sobą parasol! — mruknęła Pia z udawanym wyrzutem i włożyła kaptur, choć tak zacinało, że niewiele to pomogło.



— Mam w samochodzie. Poczekasz? Pobiegnę i przyniosę  
— zaproponował rycersko Bodenstein.

— Daj spokój, tak tylko powiedziałam.

Chowając głowy w ramionach, ruszyli biegiem w stronę samochodu, unikając po ciemku największych kałuż. Po drodze rozdzwonił się telefon Pii. Odebrała, choć woda zaczęła ściekać jej do rękawa.

— Wiesz, że nawet możesz mieć rację? — oznajmił Henning. — Zwłoki Helen Stadler trafiły do nas co prawda w bardzo złym stanie, jednak akurat górne kończyny praktycznie nie ucierpiały w zderzeniu z pociągiem. Ponieważ badano je jako ciało ofiary samobójstwa, krwiaki i otarcia na przedramionach potraktowano jako skutek upadku i uderzenia. Jednak równie prawdopodobne jest to, że ktoś ją mocno trzymał. Ta dziewczyna była bardzo drobna. Silny mężczyzna bez najmniejszego problemu uniósłby ją nad poręczą i zrzucił.

Pia poczuła, że serce zaczyna jej bić szybciej.

— Co z jej ubraniem?

— Pewnie wciąż jeszcze jest gdzieś w magazynach policyjnych wśród dowodów. Ale dowiedziałem się jeszcze czegoś.

— Zamieniam się w słuch.

Bodenstein otworzył drzwi pasażera i wpuścił Pię do środka.

— Jak zapewne wiesz, w przypadkach samobójstw też nie zaniedbujemy niczego. Otóż pod paznokciami lewej dłoni zabezpieczono resztki czyjegoś naskórka. I tak, też znalazły się wśród dowodów. Jeśli pojawia się podejrzenie, że w sprawie może nie chodzić o samobójstwo, powinnaś wydać dyspozycję przesłania wszystkich dowodów, włącznie z sukienką, do laboratorium.

— Dzięki, Henning. Oczywiście, tak właśnie zrobię.

Bodenstein uruchomił silnik, włączył ogrzewanie i nawiew na najwyższe

obroty. Czekaając, aż z przedniej szyby zejdzie para, wysłuchał sprawozdania Pii.

Przez jakiś czas jechali w ciszy.

— Wiesz, mam jakieś takie dziwne uczucie — odezwała się Pia niespodziewanie.

— Dziwne? Ale czego dotyczy?

— Sama nie wiem. — Pia wzruszyła ramionami. — Gdy spojrzeć obiektywnie, to Stadler jest absolutnie wiarygodny. Poruszony, zaskoczony i szczery. Ani razu się nie zająknął, ani razu nie zmyślał, na wszystkie pytania odpowiadał bez wahania. Nie kręcił, tylko przyznał się natychmiast do łapówki od Gehrkego, powiedział prawdę o rozmowie z Hartigiem i był przy tym szczery. I mimo że nie spodziewał się, że będziemy to wiedzieli, nawet na sekundę nie zrobił się nerwowy. Cholera... gdyby się dało, chciałabym kazać go obserwować.

— Stadlera? — Bodenstein spojrzał na nią zaskoczony. — Dlaczego? I czym chciałabyś uzasadnić wniosek do prokuratury?

— A tym, że facet ma najbardziej uzasadniony motyw. — Widząc, że szef chce jej przerwać, uniosła dłoń, żeby go powstrzymać. — Wiem, wiem. Jest niepełnosprawny, więc to nie on. Poza tym ma alibi i w przeciwieństwie do Thomsena i Hartiga nie ma pojęcia o broni. Tylko że to zbyt cukierkowe i przekonujące.

— No błagam, Pia! — Bodenstein potrząsnął głową. — Wolfgang Mieger był kolegą Stadlera, Helen znała ten dom, miała do niego dostęp i posiadała komplet kluczy. Na dodatek Thomsen był strzelcem wyborowym, nie ma alibi i nic do stracenia. I to jest przekonujące. Dla mnie w każdym razie. Thomsen to Snajper.

Pia wpatrywała się zamyślona w mokry asfalt przed maską.

— Czy Stadler wiedział, że Hartig był jednym z lekarzy w zespole

profesora Rudolfa? — zapytała.

— Dlaczego jego o to nie zapytałaś?

— A dlaczego ja miałam o tym pamiętać? — Pia odczytała słowa szefa jako zarzut. — Przecież ty też mogłaś, prawda?

— Uznałem, że masz jakiś powód, że o tym nie wspomniałaś.

— Jedyne powód jest taki, że akurat wtedy nie przyszło mi to do głowy. — Pia nagle poczuła się przytłoczona i przeciążona wszystkimi pytaniami ostatnich dni, na które nikt nie chciał udzielić jej odpowiedzi. Po jednej stronie nawarstwiały się przypuszczenia, spekulacje i podejrzenia, a po drugiej kłamstwa, wykręty i uniki. Zaczynała się gubić, bo szczegóły nie pozwalały jej zobaczyć pełnego obrazu.

— Wiesz, co mi nie daje spokoju? — powiedziała w pewnym momencie, kiedy mijali termy. — Czy na pracy Stadlera nie powinno się jakoś odbić postępowanie skarbowe przeciwko niemu? To przecież musiała być oficjalna sprawa? W końcu jest urzędnikiem. Gdy ktoś pracuje w Wydziale Architektury i Budownictwa, to jest urzędnikiem państwowym opłacanym z naszych podatków.

— Raczej tak. — Bodenstein pokiwał głową. — I masz rację, że to ciekawe. Jakiś czas temu szef jednego z urzędów skarbowych został wyrzucony z pracy, bo przez lata składał fałszywe deklaracje podatkowe, podając błędnie swój stan cywilny. To nie miało nic wspólnego z jego obowiązkami służbowymi, ale uznano, że złamał zasady dotyczące urzędników.

— Skąd ty wiesz takie rzeczy? — Pia uniosła brwi.

— Czytam gazety. — Bodenstein uśmiechnął się szeroko.

— O wpół do dziesiątej wieczorem w Nowy Rok nie zastaniemy nikogo w Urzędzie Miasta. — Pia ziewnęła szeroko. — Poza tym jestem głodna jak wilk i śmiertelnie zmęczona.

W połowie ziewnięcia znieruchomiała, bo przypomniała sobie SMS-a od Kaia.

— Niech to szlag! — krzyknęła i wyjęła komórkę. — Kiedy byliśmy u Stadlera, Kai przysłał mi SMS-a! Znalazł tę Vivien Stern. Może udało mu się do niej dodzwonić.

— Przestań ziewać, bo to zaraźliwe! — jęknął Bodenstein z wyrzutem i skręcił na parking pod komendą policji. — Pamiętaj, że czeka nas jeszcze przesłuchanie Thomsena.

— Niech sobie poczeka do jutra. — Pia znów ziewnęła, niepomna prośby szefa, a potem otworzyła drzwi. — Przecież nigdzie nie ucieknie.

— Masz rację. Teraz tylko łóżko — mruknął Bodenstein. — Dobrej nocy!

— I nawzajem! — Pia zatrzasnęła drzwi i podeszła do swojego samochodu. Bodenstein cofnął, zawrócił i wyjechał na ulicę. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był aż tak zmęczony.

*Samolot DE 303 linii Condor z Mahé wylądował punktualnie o wpół do siódmej rano. Jeszcze raz sprawdził wszystko na tablicy świetlnej w hali przylotów. Terminal 1, Gate C. Nic się nie zmieniło.*

*Na lotnisku panowały gwar i tłok, więc nikt nie zwracał uwagi na pojedynczego turystę z walizką na kółkach. Usiadł w kawiarni naprzeciwko wyjścia C, zamówił kawę i zaczął przeglądać gazetę wyłożoną dla klientów. Wyglądał jak biznesmen w podróży, jakich tysiące przewijają się przez każde lotnisko. Pobieźnie przejrzał nagłówki krzyczące wielkimi literami o kolejnej ofierze Snajpera, podobnie jak dalsze wiadomości, które równie mało go interesowały. Kawalek dalej, przy wyjściu, czekało czterech umundurowanych policjantów i blond policjantka. Pani Kirchhoff. Na jej twarzy malowało się zmęczenie i wyczerpanie. Musiała czuć się podobnie jak on. Pewnie niewiele spała poprzedniej nocy, i to dzięki niemu.*

*Ale już wkrótce będzie po wszystkim. Wkrótce sprawiedliwości stanie się zadość.*

*Zamieszkał w filizance, choć nie było żadnego powodu, by to robić, bo kawę pił zawsze bez cukru i bez śmietanki. Jednak wyglądał znacznie bardziej przekonująco, kiedy zamyślony i zatopiony w lekturze gazety nie zwracał do końca uwagi na to, co robi. Ta cała Kirchhoff rozglądała się uważnie i kilka razy nawet jej wzrok prześliznął się po nim, ale na szczęście go nie poznała. Był mistrzem kamuflażu, a jego przeciętna twarz dawała mu wielką przewagę. Ani szczególnie wysoki, ani szczególnie przystojny wtapiał się w tło i ginął pośród masy.*

*W pewnej chwili pojawiła się ciemnowłosa kobieta i jakiś starszy, siwawy mężczyzna. Rozmawiali z policjantką. Ciemnowłosa kobieta była zdenerwowana, załamywała ręce, nerwowo bawiła się włosami i co chwila*

szukała czegoś w torebce. Stali bardziej z boku niż reszta oczekujących, ale nie spuszczała wzroku z wyjścia, przez które przeszli pierwsi pasażerowie. Mężczyźni, kobiety, dzieci, młodzież. Rodziny, nieco wyczerpane długim lotem, ale za to opalone na brązowo i wyraźnie wypoczęte po udanym urlopie na Seszelach. Po większość ktoś przyjechał. Powitania. Śmiechy. Uściski, krzyki, radość. Burmeister i jego córka pojawili się na samym końcu i natychmiast zostali otoczeni przez policję. Dziewczyna, o której wiedział, że ma na imię Leah i że skończyła szesnaście lat, pożegnała się z ojcem. Uściskała go, zamienili kilka słów, on pogłaskał ją po twarzy, ona pocałowała go w policzek, a następnie podeszła do ciemnowłosej kobiety i ujęła ją pod rękę. Jej matka nie zaszczyciła byłego męża nawet jednym spojrzeniem. Kirchhoff powiedziała coś do Burmeistera, ale on nie zwracał na nią uwagi, tylko odprowadzał córkę wzrokiem. Dwóch policjantów poszło za Leah, jej matką i starszym mężczyzną, który im towarzyszył, a dwóch zostało z Kirchhoff i Burmeisterem. Wypił kawę, która już zdążyła wystygnąć. Trudno było mu zapanować nad emocjami. Tak wiele zależało od następnych kilku minut! Zaraz miało się okazać, czy pozostanie przy planie A, czy też przyjdzie mu realizować plan B.

BURMEISTER I JEGO córka pojawili się dopiero jako jedni z ostatnich pasażerów lotu linii Condor DE 303 z Mahé. Nie mieli ze sobą wózka na bagaże, tylko po jednej walizce na kółkach.

— To ona! — krzyknęła była żona Burmeistera, która czekała z Pią przed wyjściem. Podekscytowana zaczęła machać obiema rękoma. — Leah! Kochanie! Leah! Tutaj!

Dziewczyna miała wracać sama pociągami z Frankfurtu do Düsseldorfu, lecz w obecnej sytuacji nieodpowiedzialnością byłoby narazić szesnastolatkę na takie niebezpieczeństwo. Jej matka zapewniła przez telefon, że osobiście

pojawi się następnego dnia na lotnisku, żeby odwieźć ją do domu. Odeszli teraz, odprowadzani licznymi zaciekawionymi spojrzeniami i zniknęli w towarzystwie dwóch umundurowanych policjantów, którzy mieli odeskortować ich do węzła autostradowego Wiesbadener Kreuz. Pia wolała już nie ryzykować.

Doktor Simon Burmeister był wyjątkowo przystojnym mężczyzną w okolicach pięćdziesiątki: miał gęste, ciemne włosy zaczesane do tyłu, ciemną opaleniznę, sportową figurę i wyraziste rysy twarzy emanującej pewnością siebie. Bezsprzecznie był człowiekiem świadomym swojej pozycji społecznej i dobrego wyglądu.

— Czy pan doktor Burmeister? Jestem Pia Kirchhoff, policja kryminalna Hofheim. Jeden z moich współpracowników już z panem rozmawiał.

— Na początek kawa. Muszę napić się czegoś przyzwoitego, bo te popłuczyny, które dawali w samolocie, były odrażające — oznajmił, nie reagując na powitanie. Pomachał jeszcze córce, która na pożegnanie przesłała mu buziaka, a potem zmierzył wzrokiem umundurowanych policjantów i w końcu spojrzał na Pię. — Tylko po co ten cały cyrk?

Burmeister ujął rączkę swojej walizki na kółkach i nie czekając na nikogo, ruszył w stronę najbliższej kawiarni, ledwie kilka metrów od wyjścia z hali przylotów. Pia musiała prawie biec, żeby za nim nadążyć.

— Porządną, niemiecką kawę proszę — zwrócił się do sprzedawczyni i położył na ladzie dziesięć euro. Dopiero wtedy przypomniał sobie o dobrym wychowaniu i spojrzał na Pię. — Dla pani również?

— Nie, dziękuję — odparła policjantka. — Czy raczy mnie pan w końcu wysłuchać?

Burmeister sięgnął po kawę, upił łyk i aż sapnął z zadowolenia.

— O tak, o to chodziło! — powiedział i uśmiechnął się. Zmarszczki mimiczne sprawiły, że wydał jej się niemal sympatyczny. — No dobrze,

zamieniam się w słuch, proszę mówić.

Nawet na Seszele dotarła wieść o morderczej krucjacie szaleńca strzelającego z ukrycia do ludzi, więc wiadomość o tym nie zaskoczyła Burmeistera. Pobladł jednak i z wrażenia zapomniał o kawie, kiedy Pia wyjaśniła mu, co kryje się za postępowaniem tajemniczego zabójcy.

— Pana nazwisko również znalazło się na liście mordercy, który, nawiasem mówiąc, zgładził już pięć osób — zakończyła. — Dlatego powinniśmy porozmawiać. Chcemy zaoferować panu ochronę.

— Chcecie mnie chronić? — Burmeister spojrzał na nią, unosząc wysoko brwi. — Ale jak?

— Znajdzie się pan pod opieką dwóch profesjonalnych ochroniarzy, którzy będą panu towarzyszyli, dopóki nie aresztujemy Snajpera — wyjaśniła Pia. — Poza tym...

— Ależ to całkowicie wykluczone! — Burmeister przerwał jej bezpardonowo, po czym w jedną rękę złapał kawę, a drugą zacisnął na ręczce od walizki i ruszył w stronę wyjścia. — Jeszcze tylko tego brakowało! Obcy ludzie, którzy będą mi do kibelka zagląдали! Mowy nie ma! Sam potrafię o siebie zadbać.

— Czy pan w ogóle mnie słuchał? — Pia zdenerwowała się i zagroziła mu drogę. — Myśli pan, że dla zabawy wpadam na lotnisko o szóstej rano?

— Bardzo szanuję pani pracę — odparł Burmeister. — Ale jeśli dobrze panią zrozumiałem, to ten Snajper poluje raczej na członków rodziny i bliskich tych, których sobie upatrzył i umieścił na liście. Dlatego powinniście zająć się raczej moją córką, a nie mną!

— I właśnie z tego powodu przyjechała tutaj pańska była żona. Kto jeszcze jest panu bliski? Komu może grozić niebezpieczeństwo?

— Nie mam nikogo bliskiego — stwierdził Burmeister.

— Nie ma pan żadnej partnerki? — Pia chciała wiedzieć, na czym stoi.



— Nie, nikogo na stałe. — Lekarz dopił kawę, zgniótł kubeczek i wyrzucił go do pobliskiego kosza. — Bardzo dużo pracuję i cenię sobie wolność. Popełniłem kilka błędów w życiu i sporo się na nich nauczyłem. No dobrze, koniec tych pogaduszek, muszę uciekać. O dziesiątej mam być w szpitalu.

Arogancki mężczyzna coraz bardziej działał Pii na nerwy, a jeszcze bardziej złościło ją to, że zdawał się nie słuchać, co do niego mówi.

— Panie Burmeister, powinien się pan poważnie zastanowić nad tym, co panu przekazałam — ostrzegła go. — Uważamy, że sprawca mści się na bliskich jednej z pana dawnych pacjentek. Chodzi o Kirsten Stadler, której dwanaście godzin po przywiezieniu do szpitala pobrano serce i inne organy do przeszczepu. Dokumentację sfałszowano w taki sposób, żeby wszystko zgadzało się z przepisami. I być może ta sprawa nigdy nie ujrzałaby światła dziennego, gdyby nie jeden z lekarzy, który nie mógł pogodzić się z takim postępowaniem i dręczony wyrzutami sumienia złożył skargę na profesora Rudolfa i pana do kierownictwa szpitala i Federalnej Izby Lekarskiej. Mimo to udało się zamieść całą sprawę pod dywan.

W końcu Burmeister popatrzył na nią uważniej. Wciąż miał arogancką i pewną siebie minę, lecz widać było, że pod świeżą opalenizną jest bardzo blady.

— Mąż Kirsten Stadler otrzymał bardzo dużą sumę od Gehrkego za milczenie, a młody lekarz, który sprawę zgłosił, był dręczony i zastraszany w szpitalu — ciągnęła Pia. — Wydawało się, że cały problem został załatwiony raz na zawsze. Okazało się jednak, że córka Kirsten Stadler wszczęła własne śledztwo. Rozmawiała z profesorem Hausmannem, profesorem Rudolfem, doktorem Janningiem, doktorem Furtwänglerem i z panem. Zanotowała to wszystko w dzienniku, razem z dokładnymi datami i godzinami.

Burmeister postawił kołnierz kurtki, bo od automatycznych szklanych

drzwi wiało.

— Dała wam ultimatum do świąt. A potem zagroziła, że pójdzie z całą historią do prasy, jeśli nie przyznacie się i nie powiecie, coście tak naprawdę zrobili. I wtedy, jakże w porę, Helen Stadler postanowiła odebrać sobie życie.

— Nie miałem o tym pojęcia — powiedział Burmeister.

Pia widziała, że kłamie, jednak nie dała tego po sobie poznać.

— Czego chciała Helen? Z czym konkretnie przyszła do pana? — zaczęła drążyć.

Burmeister odsunął się kawałek na bok i podrapał się zamyślony po głowie.

— Zarzucała mi jakieś straszne rzeczy, całkowicie nieprawdziwe — przypomniał sobie. — Przecież ta sprawa już dawno temu została wyjaśniona, ale nie, tego nie chciała przyjąć do wiadomości. Zachowywała się trochę jak wariatka. Wydzwaniała do mnie ze trzydzieści razy, aż w końcu poprosiłem ją, żeby dała mi spokój, bo inaczej podam ją do sądu za nękanie.

— Czy groziła panu? — zapytała Pia.

— Tak, groziła, ale nie brałem jej poważnie. — Machnął lekceważąco ręką, jednak Pia widziała, że jego nonszalancja była już tylko udawana. — Jak mówiłem, ta sprawa została wyjaśniona, rodzina zgodziła się na ugodę, dostali odszkodowanie i tyle.

Pia szczerze wątpiła, żeby naprawdę tak lekko podchodził do tej sprawy. Burmeister był bardzo ambitnym człowiekiem, szanowanym lekarzem, szefem oddziału transplantologii Szpitala Urazowego we Frankfurcie i cieszył się nieposzlakowaną opinią wielkiego specjalisty. Dla niego gra toczyła się o wszystko. Gdyby miało się okazać, że w sprawie Kirsten Stadler postępował nieetycznie albo nawet wbrew zasadom, mógłby stracić to, na co pracował przez lata: pracę, przyszłość, dobre imię i narazić szpital na utratę

renomy. Nagabywanie Helen było dla niego bez wątpienia niepokojące, bo zagrażało podstawom jego egzystencji — człowiek o tak rozbuchanym ego, spragniony uznania innych, mógłby nie przeżyć odrzucenia i publicznego potępienia.

— Zna już pan naszą wersję tej sprawy i wie pan, że uważamy, że przydałaby się panu ochrona — powiedziała Pia. — Nie możemy jej panu narzucić, a jedynie zaproponować. Decyzja należy do pana.

— Dziękuję serdecznie za szczerość i za ostrzeżenie. — Burmeister zmusił się do uśmiechu. — Przemyślę to sobie, a potem skontaktuję się z panią.

— Jeszcze jedna sprawa. — Tę informację Pia celowo zostawiła sobie na koniec. — Pana były szef, profesor Rudolf, został zatrzymany pod zarzutem spowodowania śmierci Kirsten Stadler. Rozmawialiśmy również z panami Hausmannem, Janningiem i Gehrkiem.

— Doprawdy? A o czym? — Twarz Burmeistera nagle stężała, lecz spod tej kamiennej maski wзираł strach.

— Myślę, że sam pan doskonale wie — odparła Pia. — Proszę odwołać spotkanie i przyjechać do komendy. Może będzie mógł pan nam pomóc.

Ostatnie zdanie było błędem. Pia zdała sobie z tego sprawę, zanim skończyła je wypowiadać, bo strach w oczach Burmeistera zmienił się w ulgę. Pia pokazała mu, że nie ma zielonego pojęcia, o czym mówi, i nie wie, co wzbudzało jego przerażenie. Niech to szlag!

— Dziękuję za ofertę. Myślę, że sam dam sobie radę. — Spojrzał na zegarek. — Na mnie już czas. Lot był długi, a ja o dziesiątej muszę stawić się w szpitalu.

Pia wzruszyła ramionami i podała mu wizytówkę, na co lekarz uśmiechnął się z wyższością i udał, że jej nie zauważył.

— Jak pan chce — mruknęła Pia. — W końcu to pana życie.

*KIRCHHOFF ROZMAWIAŁA z Burmeisterem przez prawie dwadzieścia minut. Niestety nie mógł zrozumieć, o czym mówili, lecz widział, że jest zła. W końcu wzruszyła ramionami i podała mu wizytówkę, jednak on jej nie wziął, tylko minął ją i poszedł sobie, ignorując dwóch umundurowanych policjantów. Ulżyło mu. Plan B był daleko bardziej skomplikowany, a tak nie musiał niczego zmieniać ani improwizować. Burmeister był nadętym idiotą i uważał, że jest nietykalny. I, jeśli miał być szczery, to właśnie na to jego zarozumiałstwo bardzo liczył.*

*Teraz musiał działać szybko. Wstał w chwili, w której Burmeister wyjął komórkę, i wyszedł na dwór. Po chwili Burmeister też ruszył do wyjścia. Rozmawiał z kimś i wydawał się bardzo spięty. Wiedział, że stąpa po kruchym lodzie! W pewnej chwili się zatrzymał i rozejrzał. Szukał taksówki. Chwilę później podjechał po niego samochód. Kierowca otworzył bagażnik, wysiadł i zapakował walizkę klienta. Burmeister usiadł na tylnej kanapie. On za to nie potrafił ukryć zadowolonego uśmiechu. Mimo ostrzeżeń i wysiłków policjantki — bo był przekonany, że Kirchhoff właśnie po to czekała na niego na lotnisku — Burmeister wiedziony pychą wpadł wprost w pułapkę. Szybko obszedł taksówkę, otworzył tylne drzwi z lewej strony i dosiadł się do jedyne go pasażera.*

— NIE MAM ALIBI — powtórzył Thomsen. Chwilę wcześniej po raz kolejny zapewnił ich, że nie potrzebuje adwokata. — Przecież już powiedziałem.

— A ja panu powiedziałem, że w takim wypadku pana sytuacja wygląda kiepsko — odparł Bodenstein. Targały nim sprzeczne uczucia. Jeszcze pół godziny wcześniej był pewny, że lada chwila Thomsen w końcu złoży zeznania i przyzna się do wszystkiego, a teraz znów znalazł się na początku drogi. Tak czy inaczej, koniecznie potrzebował przyznania się do winy, bo

choć łańcuch poszlak był niemalże kompletny, to wciąż brakowało jednoznacznego dowodu, który zapewniałby stuprocentową pewność.

— Nie macie żadnych dowodów, które obroniłyby się przed sądem — oznajmił Thomsen. Był spokojny, ba, niemal zrelaksowany, co cholernie irytowało Bodensteina, tym bardziej że jego luz nie był udawany. Strażnicy z nocnej zmiany uważnie go obserwowali: wieczorem najzwyczajniej w świecie położył się na więziennej pryczy i kilka minut później spał w najlepsze. Winnemu by tak łatwo nie poszło! Jednak w wypadku Thomsena zachodziła dodatkowa okoliczność, a mianowicie jego doświadczenie w jednostkach specjalnych. Z całą pewnością przeszedł tam odpowiednie przeszkolenie psychologiczne i wiedział, jak powinien się zachowywać, żeby zmylić otoczenie. A może był pozbawionym sumienia socjopatą, który nie czuł się winny?

— Wręcz przeciwnie, mamy ich całkiem sporo! — Bodenstein postanowił odsunąć wątpliwości. — Jest pan wyśmienitym strzelcem. Dysponujemy dowodami, że miesiącami śledził pan ofiary i starannie opracował pan dossier każdej z nich. Ingeborg Rohleder, Maximilian Gehrke, Hürmet Schwarzer, Margarethe Rudolf, Ralf Hesse, Simon Burmeister i Jens-Uwe Hartig. Znaleźliśmy papiery wyrzucone do kosza na śmieci w firmie ochroniarskiej, w której pan pracuje. Pozbył się pan tych materiałów, kiedy odwiózł pan psa do kojca. A auto pana Miegera, w którego domu się pan zamelinował, zostało zauważone w pobliżu miejsca zbrodni. Na dodatek było widziane w garażu w Sossenheim, który dziwnym zbiegiem okoliczności został wynajęty właśnie przez pana.

— To jakieś bzdury. — Thomsen potrząsnął głową. — Ani nie wynajmowałem żadnego garażu, ani nie używałem tego samochodu.

— W garażu znaleźliśmy plastikową butelkę po wodzie mineralnej, na której zabezpieczyliśmy pana odciski — ciągnął Bodenstein. — Ciekawe, jak

pan to wytłumaczy?

— Nie wiem, nie mam żadnego wyjaśnienia — odparł Thomsen szczerze. — Ale też nie mam i nie miałem żadnego powodu, żeby wynajmować garaż w Sossenheim. A tak na marginesie, jeszcze nigdy w życiu nie byłem w Sossenheim.

— Przez długi czas i bardzo starannie planował pan tę akcję. — Bodenstein nie zwracał uwagi na jego zaprzeczenia. — Do dojazdów na miejsca zbrodni wykorzystywał pan samochód Wolfganga Miegera, jednak z wynajmem tego garażu popełnił pan cholerny błąd, który będzie pana drogo kosztował.

— Już raz wam mówiłem, że to nie ja, tylko Helen śledziła tych ludzi — oznajmił Thomsen. Siedział spokojnie na swoim krześle, z dłońmi luźno opartymi na udach, i nie mrugając, pocąc się ani nie przejawiając innych nerwowych reakcji, odpowiadał na wszystkie zadane pytania. — Całymi miesiącami za nimi łąziła.

— Tak, to już wiemy. Ale nie robiła tego przecież sama, tylko z pana pełnym wsparciem. A po jej śmierci przejął pan jej plan zemsty i postanowił go urzeczywistnić. Na żadną z tych zbrodni nie ma pan alibi. W dzień, w którym od kuli zginęła pani Rudolf, pana zmiana w firmie ochroniarskiej kończyła się o szóstej wieczorem. A w dni, kiedy zginęli Maximilian Gehrke i Ingeborg Rohleder, miał pan wolne, bo pracował pan na nocnej zmianie. Wszystko dokładnie sprawdziliśmy. A nas zamknął pan w kotłowni w piwnicy swojego domu, żebyśmy nie przeszkadzali, gdy będzie pan usuwał kompromitujące dokumenty.

Bodenstein czuł, jak rośnie w nim frustracja. Kręcił się w kółko, po raz któryś powtarzał te same pytania i spodziewał się odpowiedzi, które również nie raz wcześniej słyszał.

— Skąd zna pan pana Miegera?

Bodenstein wiedział już, co odpowie mu Thomsen, a jednak po raz kolejny zadał to pytanie. Liczył chyba na to, że w końcu mężczyzna się zmęczy powtarzaniem tego samego, zapłacze się w jakieś szczegóły i zdemaskuje swoje kłamstwa.

— Osobiście nigdy go nie poznałem. To był współpracownik ojca Helen. Wcześniej razem pracowali w firmie budowlanej, która wygrywała przetargi na całym świecie. Stadler i Helen zajmowali się nim po śmierci jego żony i kiedy zaczął chorować na demencję starczą. Kiedy zamknąłem was w piwnicy, przypomniałem sobie o tym domu, chociaż najpierw chciałem jechać do Winklerów. Tylko że pomyślałem, że ich dom pewnie obserwujecie, więc zdecydowałem, że lepiej się tam nie pokazywać.

— W ten sposób po raz kolejny docieramy do pytania, dlaczego w ogóle uznał pan za stosowne uciekać i się kryć przed policją. Gdyby był pan niewinny, jak pan twierdzi, toby pan nie miał się czego obawiać.

— To był odruch. Zadziałał instynkt. — Thomsen powtórzył odpowiedź, którą słyszeli już trzy razy z rzędu.

— Jak pan wszedł w posiadanie kluczy do domu pana Miegera?

— Helen powiedziała mi kiedyś, że klucz do drzwi chowa pod pojnikiem dla ptaków w ogrodzie.

— Obawiam się, że nie pojmuje pan powagi sytuacji, panie Thomsen! — Bodenstein nie dał mu dokończyć, bo i tak wiedział, co powie. — Podejrzewamy pana o popełnienie pięciu morderstw! A dowody jednoznacznie pana obciążają!

Thomsen wzruszył ramionami.

— A po co w ogóle miałbym to robić? Po co miałbym zabijać ludzi?

— Żeby pomścić Helen.

— Bzdura. — Mark Thomsen potrząsnął głową. — Już mam dość spaprane życie. Sam z własnej woli nie zrobiłbym niczego, co by mnie

zaprowadziło za kratki, gdybym spełniał chore marzenia solidnie pokręconej panienki.

— Gdzie jest samochód pana Miegera?

— Nie mam pojęcia. Nawet nie wiedziałem, że miał samochód.

— Świadkowie widzieli pana w tym samochodzie — przypomniał mu Bodenstein, choć zdawał sobie sprawę, że to tylko podejrzenie.

— To bzdura. Może świadkowie widzieli kogoś podobnego do mnie. Jensa-Uwego na przykład. Kto jak kto, ale on miał powód, żeby mścić się za Helen. Ja nie.

— Helen chciała go zostawić i odejść. — Bodenstein ujawnił kolejną informację, którą ustalili w czasie śledztwa. — Bała się go, a pan o tym wiedział, bo to przecież pan pomógł jej uwolnić się od uzależnienia, w które wpędził ją narzeczony, karmiąc tabletkami.

Brak odpowiedzi.

— Tak przy okazji, dlaczego Hartig dawał Helen aż tyle leków? Dlaczego kontrolował jej każdy krok?

— Sami go o to zapytajcie, skąd ja mam to wiedzieć?

— Panie Thomsen! — Bodenstein tracił już cierpliwość. — Dlaczego nie powie nam pan w końcu, jak było naprawdę? Dlaczego uciekł pan i schował się w domu Miegera?

Thomsen westchnął.

— Nie chciałem ryzykować zamknięcia w areszcie śledczym, zanim nie załatwię jednej pilnej sprawy — wyjaśnił, niespodziewanie zmieniając scenariusz. — Na początku myślałem, że przyszłście zadać mi tylko kilka pytań, ale potem dotarło do mnie, że chcecie mnie zatrzymać. No i to wywołało u mnie taką a nie inną reakcję.

— Co tak pilnego miał pan do załatwienia? — zapytał Bodenstein, patrząc mu przenikliwie w oczy. — I gdzie?



Mark Thomsen podrapał się po nieogolonym policzku.

— To nie miało absolutnie nic wspólnego z waszą sprawą. Kiedy byliście u mnie, miałem telefon, prawda? Pamiętacie chyba?

Bodenstein potaknął. Doskonale pamiętał warczącą bestię w progu kuchni i nagłą zmianę w zachowaniu Thomsena, kiedy wrócił po skończonej rozmowie.

— Zadzwoił ktoś z Holandii. Musiałem pilnie wyskoczyć do Eindhoven.

— Po co?

— Żeby zapobiec pewnemu świństwu. — Thomsen nie odwracał wzroku i mimo spojrzenia Bodensteina nawet nie drgnęła mu powieka. — Poza tym chciałem porozmawiać z Burmeisterem, kiedy tylko wróci z urlopu. Ale teraz wy to możecie załatwić.

— A czego miałyby dotyczyć ta rozmowa?

Thomsen długo patrzył na siedzącego naprzeciwko detektywa, a optymizm Bodensteina, że dziś wycisnie z zatrzymanego przyznanie się do winy, szybko topniał. Oliver uświadomił sobie, że za bardzo liczył na sukces.

— Niedawno udało mi się dowiedzieć, że szesnastego września Burmeister był w Kelsterbach — wyjaśnił Thomsen, choć po tak długim milczeniu, że Bodenstein nie spodziewał się już odpowiedzi. — Fotoradar zrobił mu zdjęcie na Kirschenallee. Ledwie sto metrów od miejsca, w którym Helen miałyby się rzucić z mostu pod pociąg.

Na kilka sekund Bodensteinowi odebrało mowę.

— Jak pan się tego dowiedział?

— No wiecie, jestem już poza firmą, ale wciąż mam kilku znajomych, z którymi pracowałem. — Thomsen wzruszył ramionami. — Ostatnią rzeczą, jaka przyszlaby mi do głowy, to dobrowolna pomoc waszej bandzie. Bo nie zapomniałem soczystego kopa w dupę, którego od was dostałem. Po dwudziestu latach w firmie i narażaniu życia setki razy, wydział wewnętrzny

podłożył mi świnię. Poprzekręcano moje słowa, żeby zrobić ze mnie kozła ofiarnego. Ale mimo to wciąż jest we mnie sprzeciw, kiedy widzę, że źli ludzie mieliby uniknąć kary. Dlatego zacząłem trochę szukać na własną rękę. I jestem prawie pewny, że to ten obleśny doktor Burmeister zamordował Helen, bo bał się tego, co ona odkryła. I co mogłoby mu poważnie zaszkodzić.

ZBLIŻAŁA SIĘ DZIEWIĄTA, kiedy Bodenstein wyszedł z sali przesłuchań i udał się do pomieszczenia obok, w którym, zza weneckiego lustra, Pia, Kai, Neff i Kim obserwowali przebieg jego rozmowy z Thomsenem.

— On nie jest Snajperem — mruknął Bodenstein ponuro, po czym opadł ciężko na jedno z wolnych krzeseł i spojrzał na Thomsena w pokoju obok. — To tylko sfrustrowany były gliniarz, który pielęgnuje w sobie nienawiść do nas. Niech go szlag! Złapaliśmy nie tego, co trzeba.

Nikt nie zaprzeczył.

— Musimy natychmiast sprawdzić, czy to, co powiedział o samochodzie Burmeistera, to prawda.

— Ja się tym zajmę — powiedział szybko Kai.

— Jak poszło na lotnisku?

— Burmeister odmówił skorzystania z naszej ochrony — wyjaśniła Pia. — Namawiałam go i przekonywałam, ale nic nie wskórałam. Nie chce naszej pomocy i kropka. O dziesiątej ma się pojawić w szpitalu i to jest dla niego znacznie ważniejsze.

— No cóż. Nie mogliśmy nic więcej zrobić, tylko go ostrzec. — Bodenstein wzruszył ramionami. — A co z Dirkiem Stadlerem? Gdzie jest?

— Od wczoraj wieczora nie wyszedł z domu — oznajmił Neff. — Jest pod ciągłą obserwacją od waszej wczorajszej wizyty.

Milczenie. Wbrew temu, w co jeszcze wczoraj wszyscy wierzyli, zamiast

na ostatniej prostej obudzili się w kolejnej ślepej uliczce.

— Z pustym żołądkiem nie potrafię normalnie myśleć. — Pia podniosła się z krzesła. — Jadę do piekarni. Ktoś chce coś konkretnego?

Wszyscy po kolei złożyli zamówienia i tylko Kim była tak zajęta swoim smartfonem, że nie zwracała uwagi na to, co się dzieje. Patrzyła na ekran i uśmiechała się do siebie.

— Kim? Halo, tu ziemia! Jedziesz ze mną?

Dopiero skierowane bezpośrednio do niej pytanie sprawiło, że rozejrzała się i zobaczyła stojącą przy drzwiach siostrę. Jej pełne poczucia winy spojrzenie rozśmieszyło Pię, choć nie okazała tego po sobie. Nieważne, co się działo dookoła, życie toczyło się dalej, a miłość zastawiała sidła nawet pośród mordów i spisków.

— No dobrze, to teraz opowiadaj, gdzie byłaś w sylwestra — powiedziała Pia, kiedy chwilę później siedziały w samochodzie. — Nie mam już sił, żeby prowadzić przesłuchania i podchody, więc mów wszystko jak na spowiedzi, bo zżera mnie ciekawość.

— Byłam u Nicoli — odparła Kim.

— Tego się obawiałam. No i?

— No i nic. A co? Świetnie nam się gadało i tyle.

— A o czym gadałyście?

— O wszystkim i o niczym.

— Czy ja muszę to z ciebie wyciągać? Nie zmuszaj mnie do wymyślania kolejnych pytań. Mów! Leci na ciebie?

— Chyba mnie troszkę lubi... tak myślę... — odparła Kim i oblała się delikatnym rumieńcem. — Ale nigdy jeszcze nie była z kobietą.

— W ostatnich latach z mężczyznami chyba też nie — dodała Pia z kpina.

— Kobiety sukcesu takie jak ona mają duże problemy ze znalezieniem faceta, który nie traktowałby ich jak konkurencji. A wiem to z własnego

doświadczenia. — Kim broniła obiektu swoich westchnień.

— No to mam szczęście, że nie jestem kobietą sukcesu, ale mi ulżyło! — skomentowała Pia z sarkazmem.

— Oj, u was to się pięknie wyrównuje — stwierdziła Kim. — Ale większość mężczyzn nie potrafi znieść, gdy ich partnerki więcej pracują i więcej zarabiają. Dlatego mój ostatni facet najnormalniej w świecie zwiął. Ucieczkę uzasadnił w ten sposób, że moja praca jest chora, a on nie może znieść, że codziennie mam do czynienia z najgorszymi kryminalistami. Ale to była tylko wymówka. Przez dwa lata mu to nie przeszkadzało, a potem nagle zaczęło? Przy okazji, wiedziałaś, że Nicola była kiedyś zaręczona z Bodensteinem? Chcieli się pobrać, ale wtedy pojawiła się Cosima.

— Tak, wiedziałam o nich. — Pia poczekała na zieloną strzałkę i skręciła w Elisabethenstrasse. — Ale prawdę mówiąc, życie uczuciowe mojej szefowej interesuje mnie tylko i wyłącznie ze względu na ciebie. Boję się po prostu, że kiedyś pojawicie się we dwie na jakiejś uroczystości rodzinnej.

— Na jakiej uroczystości rodzinnej? — Kim nie mogła powstrzymać śmiechu. — Ale jak skończymy tę sprawę, na pewno wyjdziemy razem coś zjeść.

— No to jeszcze trochę będziesz chodzić głodna. — Pia się skrzywiła. — Bo to może trochę potrwać. Mark Thomsen nie jest naszym Snajperem.

— Jestem tego samego zdania — potwierdziła Kim. — Wszystkie dowody, które są używane przeciwko niemu, można zupełnie inaczej zinterpretować.

— Cały czas zadaję sobie pytanie, dlaczego w takim razie zamknął nas w piwnicy i zaczął się ukrywać. — Pia włączyła migacz i skręciła na parking.

— Przecież Thomsen wam wyjaśnił, dlaczego się tak zachował. Wiedział, że go podejrzewacie i chciał uniknąć zamknięcia w celi, zanim nie załatwi czegoś, co sobie wcześniej zaplanował. Poza tym chciał porozmawiać

z Burmeisterem — odparła Kim. — Gdyby rzeczywiście miał coś na sumieniu, na pewno by nie dzwonił na policję, żeby was ktoś uwolnił.

Pia potaknęła. Bodenstein był tak bardzo zafiksowany na pomysł, że Thomsen jest Snajperem, że w ogóle nie wziął tego argumentu pod uwagę, choć jednoznacznie świadczył na korzyść podejrzanego.

— Tak jak wcześniej powiedział Oliver, Thomsen jest byłym gliniarzem, którego życie nie oszczędzało — ciągnęła Kim. — Kiedy mówił, że nie ma ambicji, by do śmierci gnić w więzieniu, to ja mu całkowicie wierzyłam. Powiedział prawdę, bo co jak co, ale głupi na pewno nie jest.

— To dlaczego opróżnił dom z podejrzanych papierów? Dlaczego zabrał wszystkie rysunki i zapiski Helen Stadler, a potem wyrzucił je do kosza na śmierci? Gdyby nie miał tak całkowicie nic do ukrycia, nie musiałby tego robić! Myślisz, że kogoś kryje? Może właśnie Snajpera?

Pia popatrzyła na siostrę, jakby oczekiwała, że Kim zna odpowiedzi na wszystkie jej pytania.

— Rany, siostra, rusz głową! — Kim się zdenerwowała. — Co dla Thomsena jest naj-naj-najważniejsze?

Pia zabębniła palcami o kierownicę i zamyślona wodziła wzrokiem po paskudnej fasadzie supermarketu Buch.

— To całe PKOMMT — powiedziała po chwili.

— Dziesięć punktów. A członkom PKOMMT chodzi przede wszystkim o uwłaczający i pozbawiony empatii sposób, w jaki część szpitali obchodzi się z krewnymi dawców organów. Im zależy na przebicciu się z tym przekazem do opinii publicznej i napiętnowaniu nieprawidłowości — wyjaśniła Kim. — Tymczasem okazuje się, że akurat w Szpitalu Urazowym takie zachowania zdarzają się częściej niż gdzie indziej.

— Zgoda — potaknęła Pia. — Bettina Kaspar-Hesse powiedziała, że Burmeister zachowywał się jak sęp, a ona została praktycznie zmuszona, by

wprowadzić Winklerów w błąd. Okłamała ich, żeby zdobyć zgodę na pobranie organów od ich córki. W takim razie możemy zakładać, że to nie był odosobniony przypadek.

— I właśnie to mi się wydaje główną motywacją Thomsena, a nie los Helen czy Kirsten Stadler. Jestem pewna, że on i Helen wpadli na trop jakiejś innej sprawy, w którą uwikłani byli też Furtwängler, Gehrke i ten adwokat. Myślę, że powinnaś jeszcze raz pogadać z Furtwänglerem. Zapytaj go prosto z mostu, co takiego się stało, że Rudolf musiał odejść ze szpitala. Jestem przekonana, że w tym tkwi klucz do rozwiązania zagadki.

Pii zaburczało w żołądku.

— Pewnie tak. Ale najpierw potrzebuję kalorii! — Uśmiechnęła się. — Chodź, kupimy paszę dla naszego stadka.

JEJ OJCIEC został zatrzymany, bo policja podejrzewała go o zabicie tamtej kobiety — żony i matki dwójki dzieci. Nie zastrzelił jej, nie zadźgał ani nie udusił — nie, on pozwolił jej umrzeć, choć mógł uratować jej życie. Dlaczego to zrobił? Przecież był lekarzem, wybitnym autorytetem, który żył tym, co robił! Jak mógł pogodzić coś takiego ze swoim sumieniem? Chciwość i próżność, o to oskarżył go Sędzia w nekrologu po zabójstwie matki. Zamordował ją za to, co jej ojciec dziesięć lat wcześniej zrobił Kirsten Stadler. Czy wtedy po raz pierwszy posunął się tak daleko? Czy tylko po to, żeby cieszyć się sławą osoby dającej komuś drugie życie? A może po prostu po raz pierwszy został na tym przyłapany? Może wcześniej nikt nie zauważył, że aby uratować jedno życie, niszczył inne? Jak człowiek mógł brać na siebie takie decyzje? Za martwymi nikt się nie ujmie. Bliscy ofiar wypadków czy innych zdarzeń prawie nigdy nie wątpią w słowa lekarzy, a już na pewno nikt nie ośmieliłby się podważyć zdania takiej sławy medycznego świata jak profesor Dieter Rudolf, który swoim spokojnym,

autorytatywnym tonem ze współczuciem ogłaszał, że nie ma już żadnej nadziei. Kto by w to nie wierzył?

Karoline Albrecht siedziała niczym ogłuszona przy stole w salonie swoich rodziców i nie wiedziała, co robić. Nie miała pojęcia, jak się zachować w sytuacji, kiedy miało się okazać, że jej ojciec, którego przez całe życie podziwiała i o którego uznanie rozpaczliwie walczyła, jest mordercą. Pozbawionym serca i sumienia egoistą, który nadużył jej zaufania i bez mrugnięcia okiem ją okłamał. Zamiast przyznać się do tego, co wtedy uczynił, starał się wszystko zatuszować. Przez ostatnich kilka dni zamiast opłakiwać żonę i przygotowywać wszystko do pogrzebu, zajmował się usuwaniem obciążających go dowodów. Jakież to wszystko było żalosne, jakie pozbawione klasy! Nie miał skrupułów ani wyrzutów sumienia. Kłamał i posuwał się do najgorszych świństw, byle tylko przetrwać. Co mogło go skłonić do tego wszystkiego? Co za to dostał? Pieniądze? Sławę? Uznanie?

Karoline zamknęła segregator, w którym odkryła korespondencję między dyrekcją działu badawczego firmy SANTEX a jej ojcem, i wstała. Każda czynność sprawiała jej ból, a znacznie bardziej niż ciało cierpiała jej dusza. Nie miała na świecie nikogo, z kim mogłaby porozmawiać, kto by ją zrozumiał i pocieszył, komu mogłaby powiedzieć, jak bardzo jest samotna. Matka, jej jedyna opoka, jedyny punkt odniesienia w życiu, została zamordowana. Karoline nie miała przyjaciółki, faceta ani kochankę, do którego mogłaby zadzwonić i się wyzalić. Miała za to dom, w którym nie czuła się dobrze, pracę, w której liczył się tylko sukces i pieniądze, i dziecko, które przeżyło potworną traumę.

Najchętniej zadzwoniłaby po taksówkę, żeby ktoś odwiózł ją do domu. Marzyła jedynie o wygodnym łóżku i spokoju. Z drugiej strony mogła przecież jechać sama. W garażu stał samochód mamy, na pewno nikt nie miałby jej tego za złe, gdyby go pożyczyła. Karoline sztywnymi ruchami

włożyła płaszcz. Po porannym prysznicu zrezygnowała z kołnierza ortopedycznego. W górnej szufladzie komody w przedpokoju znalazła kluczyki do bmw matki. Wyszła z domu i pilotem przy kluczykach otworzyła garaż. Brama powędrowała w górę z charakterystycznym stukotem. Karoline poczuła w środku wyraźny zapach spalenizny, który szybko się ulotnił. Zastanowiło ją, skąd mogła się wziąć ta woń? Czyżby jakieś zwierzę poprzegryzało przewody pod maską auta, powodując zwarcie? Zawahała się, ale ruszyła w stronę samochodu matki. Skoncentrowana na zapachu spalenizny potknęła się o coś miękkiego na podłodze.

— Cholera! — zaklęła. Niewiele brakowało, a przewróciłaby się, a przy wstrząśnięciu mózgu kolejne urazy nie były raczej wskazane. Cofnęła się i zobaczyła niebieski worek na śmieci oparty o koło czarnego maserati ojca. Schyliła się, żeby odsunąć przeszkodę, i gwałtownie się skrzywiła. Właśnie stąd dochodził zapach spalenizny! Zaciekawiona zajrzała do środka. Ku swemu zaskoczeniu znalazła tam ubranie ojca. Ciemnoszary sweter z kaszmirowej wełny, koszulę, szare spodnie od garnituru i jego buty. Zaskoczona patrzyła na zawartość worka i nie wiedziała, co o tym myśleć. Dlaczego upchnął tak swoje ubranie? I po co? Nagle przez głowę przemknęło jej wspomnienie słów policjanta, który powiedział, że w domu Gehrkego spalono sporo dokumentów. Karoline oparła się o bagażnik samochodu, bo nagle poczuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Bodenstein twierdził, że muszą się dowiedzieć, o czym jej ojciec rozmawiał z Gehrkiem w wieczór przed śmiercią.

Rozległo się ciche kliknięcie i zgasł reflektor nad wjazdem do garażu. Karoline stała nieruchomo i myślała. Fragmenty informacji, które dotychczas wirowały w jej głowie bez ładu i składu, nagle zaczęły układać się w czytelny obraz.



*MIAŁ SPORE TRUDNOŚCI ze znalezieniem niezabezpieczonej sieci bezprzewodowej, do której mógłby się podłączyć. Nawet w punkcie z kebabami, tureckiej restauracyjce i tanim hotelu młodzieżowym doszli do przekonania, że lepiej będzie zabezpieczać dostęp do Internetu hasłami. A właśnie dzisiaj nie miał czasu jechać do centrum Frankfurtu, żeby w jednym z dwóch miejsc, które znał, połączyć się z Internetem i niepostrzeżenie załatwić to, co miał do załatwienia. Zresztą to już chyba bez znaczenia. Wszedł do jednej z kawiarni i ze zdziwieniem stwierdził, że w środku jest prawie pusto. Nie zachwycała go taka sytuacja, ale było już za późno, żeby odwrócić się i wyjść. W jego stronę szła kelnerka. Zdjął kurtkę, zamówił kawę i kawałek ciasta i zapytał o hasło do Wi-Fi.*

*— Łatwo je zapamiętać — powiedziała kobieta i puściła oko. — To 123456.*

*— Rzeczywiście, chyba nawet ja dam radę — odpowiedział z uśmiechem. — Dziękuję.*

*Przy stoliku naprzeciwko siedziało jakieś starsze małżeństwo. Czyżby mu się przyglądali? A może tylko mu się wydawało? Nie powinien lekceważyć nikogo, bo ludzie byli wyjątkowo uważni po tych wszystkich apelach w prasie i telewizji. Jeśli będzie miał pecha, policja dopadnie go, zanim zrealizuje swój plan, a tak niewiele dzieliło go od celu! Dobrze, że zadbał o fałszywe ślady. Jeśli policji udało się dotrzeć do tego garażu, znaleźli w nim na pewno butelkę z odciskami palców Thomsena. Mejla wysłał, jeszcze zanim kelnerka zdążyła wrócić z kawą i ciastem. Serce waliło mu jak oszalałe. Starsza para co chwila spoglądała w jego stronę, szepcząc między sobą. Chryste, czyżby zaczynał popadać w paranoję? Chciał jak najszybciej stąd wyjść. Nie obchodziło go, co sobie o nim pomyślą. Wyjął z portfela banknot, położył go obok talerzyka i nie ruszając kawy ani wypieku, włożył kurtkę i wyszedł.*

— ALE JEŚLI NIE THOMSEN, to kto? — zapytała Kathrin Fachinger, kiedy Pia punkt po punkcie przedstawiła wszystkim powody, dla których wątpiła w winę byłego antyterrorysty. Siedzieli ściśnięci przy stoliku z plastikowym blatem pokrytym plamami po kubkach z kawą w sali odpraw grupy specjalnej „Snajper” — ponurzy, wymęczeni, niewyspani i okrutnie wyczerpani. Dwa ostatnie tygodnie, w czasie których zaliczali jedną wpadkę po drugiej, solidnie dały im się we znaki. Napięcie i pośpiech pierwszych dni dawno minęły, tak samo jak zapal do walki i przekonanie, że sprawca szybko znajdzie się w areszcie. Bodenstein sięgnął po słony precel z tacy, na którą Pia i Kim wyłożyły zakupy z piekarni, a potem powiódł wzrokiem po zmęczonych twarzach współpracowników. Od rozmowy z Markiem Thomsenem przepełniało go uczucie zniechęcenia i gniewnego poruszenia. Do tego dochodziła dziwna dezorientacja — brakowało mu snu i stałego planu dnia. Warunki, w jakich przyszło mu pracować, nie zwiastowały dobrych wyników. Widział, że pozostali czuli się podobnie — wszyscy byli przepracowani i znacznie bardziej drażliwi. Nawet Kai Ostermann, który zawsze służył za przykład opanowania i rozsądku, z coraz większą nerwowością reagował na tę sytuację.

— W takim razie zostaje nam tylko Hartig — stwierdził Kai, przeżuwając kanapkę. — Na tę chwilę ja bym stawiał właśnie na niego.

— A co z Winklerem? — Cem popatrzył na niego pełen wątpliwości.

— Ja uważam, że ani jeden, ani drugi. — Pia potrząsnęła głową i spojrzała na Bodensteina. — Jest jeszcze ktoś. Ktoś, kto na razie prześlizgiwał się przez nasze sito, ale tak czy owak, ma najmocniejszy motyw.

Boże, skąd ta kobieta bierze energię do działania, pomyślał szef. Przecież nie mogła spać więcej od niego, a mimo to była trzeźwa, uważna i cały czas miała w głowie najdrobniejsze szczegóły, o których on całkowicie już zapomniał.

— Zbyt wiele okoliczności przemawia przeciwko niemu — powiedział głośno, bo zdawał sobie sprawę, kogo Pia ma na myśli.

— Zaraz, bo ja nie rozumiem, do kogo konkretnie pani pije? — Nicola Engel uniosła brew. Ona jako jedyna jadła bułkę z serem w sposób cywilizowany, z talerzyka.

— Chodzi o Dirka Stadlera. — Pia wytarła dłonie w serwetkę jednorazową i zmięła ją w kulkę. — Nawet jeśli Thomsen wydaje się idealnym kandydatem na Snajpera, intuicja mi podpowiada, że to mimo wszystko nie on. On po prostu... zbyt idealnie pasuje do wszystkiego, czym dysponujemy. To byłoby zbyt proste, a zbyt proste i zbyt oczywiste rozwiązania zawsze wzbudzały moją podejrzliwość.

Bodenstein musiał przyznać jej rację, bo zgadzał się z tą argumentacją.

— Byłabym skłonna stwierdzić nawet, że wszystko tak pięknie się układa, bo ktoś celowo chce wskazać na Thomsena jako na sprawcę. Ta historia z wynajętym garażem na przykład. Zastanówcie się, jak się dzisiaj załatwia takie sprawy: mejlowo! Potem drukuje się umowę, nikt nie musi się legitymować dowodem osobistym, bo to nikogo nie obchodzi. Kasa przechodzi z ręki do ręki i proszę, mamy wynajęty garaż.

— A skąd w środku się wzięła butelka z jego odciskami palców? — Kröger zmarszczył czoło. Nie był przekonany, czy Pia ma rację.

— Dla Stadlera albo Hartiga to nie byłby żaden problem. Gdyby chcieli, pewnie mogliby podrzucić znacznie więcej przedmiotów z jego odciskami palców — wyjaśniła Pia. — Znają się przecież od dawna i wcześniej często się widywali ze względu na Helen. Kto wie, jak stara jest ta butelka i w jakich okolicznościach jej dotykał?!

— Dirk Stadler jest inwalidą i ma poważne problemy z poruszaniem się — zauważył Neff. — Poza tym ma przecież alibi na czas, kiedy zostały popełnione wszystkie zbrodnie: był w pracy!

— Sprawdził to pan dokładnie? — Pia spojrzała na niego, unosząc znacząco brwi.

— Tak. No... tak. — Neff nagle zaczął unikać jej wzroku. — Może niebezpośrednio, ale...

Nagle zapadła cisza i wszyscy zwrócili się w stronę Neffa.

— Co to znaczy, że niebezpośrednio? — Bodenstein poczuł, jak robi mu się na przemian gorąco i zimno. Dirka Stadlera nie brał w ogóle pod uwagę jako sprawcy również dlatego, że był święcie przekonany o niepodważalnym alibi na czas wszystkich morderstw! — Przecież sprawdzał go pan w swoich bazach danych, jak sam pan się chwalił, a kiedy zapytałem, czy wszystko pan zweryfikował, to zapewnił pan, że tak!

— No... wrzuciłem jego nazwisko do Google'a. — Neff zrobił się czerwony jak burak. — A w Internecie było napisane, że Stadler pracuje dla miasta, jest urzędnikiem w Wydziale Architektury i Budownictwa. Ma nawet swój numer telefonu.

— Zadzwoił pan do niego? Sprawdził, czy to się zgadza? — Złość, która dotychczas buzowała w Bodensteinie, nagle znalazła ujście. Policjant miał wrażenie, że zaraz eksploduje.

— Nie... — Neff poruszył się niepewnie na krześle.

— Internet pamięta wszystko. Zachowuje nawet informacje, które już dawno są przestarzałe. — Kai nie mógł sobie darować, żeby nie dorzucić też swojej cegiełki. — W pamięci podręcznej przeglądarki znajdują się strony, które dawno zniknęły z serwerów.

Pia sięgnęła po telefon, podniosła słuchawkę, poprosiła centralę o połączenie z Wydziałem Architektury i Budownictwa Urzędu Miejskiego we Frankfurcie i czekała.

Przez chwilę w sali odpraw panowała martwa cisza. W końcu ktoś odebrał.

— Eckel, Wydział Architektury i Budownictwa, w czym mogę pomóc? —

zgłosiła się jakaś kobieta.

— Pia Kirchhoff, policja kryminalna Hofheim — powiedziała, nie spuszczać wzroku z Neffa. — Chciałabym rozmawiać z panem Dirkiem Stadlerem.

Bodenstein miał wrażenie, że pod jego stopami właśnie otwiera się czarna dziura, a on w nią coraz głębiej wpada, słuchając kobiety, która spokojnym głosem oznajmia, że nikt taki tam nie pracuje.

— Jest pani pewna? — zapytała Pia. — Kto jest pani przełożonym?

— Doktor Hemmer.

— Proszę mnie z nim połączyć.

Po chwili z głośnika popłynął męski głos, który potwierdził, że Dirk Stadler nie pracuje w Wydziale Architektury i Budownictwa już od dwóch lat. Został zwolniony, kiedy pojawiły się jakieś sprawy, o których wolałby nie mówić przez telefon.

— Chodzi panu pewnie o wyrok i karę za uchylanie się przed płaceniem podatków, tak?

— Skoro pani o tym wie, to owszem, właśnie taki był powód zakończenia naszej współpracy — potwierdził mężczyzna.

Pia podziękowała za rozmowę i się rozłączyła.

— Nie mogłem przecież wiedzieć, że te informacje są już nieaktualne! — Neff szedł w zaparte. — Poza tym jestem tutaj tylko jako obserwator, a nie śledczy. To naprawdę nie należy do moich obowiązków, żebym musiał kogoś sprawdzać czy gdzieś wydzwaniać. Takimi rzeczami zajmuje się Ostermann...

Kai aż sapnął ze złości, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Bodenstein eksplodował i na chwilę stracił panowanie nad sobą. Z całej siły uderzył dłonią w stół, robiąc taki hałas, że Neff momentalnie zamilkł i znieruchomiał.

— Sam pan się podjął tego zadania! Dobrowolnie przyszedł pan z wynikami swojego dochodzenia! Przechwalał się pan znajomościami i koneksjami, a ja panu zaufałem! W moim zespole każdy musi mieć pewność, że może zaufać jego innemu członkowi, bo od tego zależy nasze życie, rozumie pan to?! Jeśli miałbym sam wszystko robić, nie potrzebowałbym współpracowników i nie byłoby tutaj żadnego zespołu! Przez pana poważne zaniedbanie Dirk Stadler wypadł z orbity naszego zainteresowania! To błąd, którego nie da się już naprawić! Ma nieodwracalne skutki, rozumie pan?! Ma pan moje słowo, kolego Neff, że jeśli się okaże, że to on jest sprawcą, osobiście zrobię wszystko, by wyleciał pan z roboty!

Mówiąc to, odsunął krzesło i wstał.

— Pia, dzwoń natychmiast do Burmeistera. Chce czy nie, dajemy mu ochronę — rozkazał. — Kai, Cem, Kathrin! Wy zbierajcie wszystko, co wiemy o Dirku Stadlerze.

Członkowie zespołu natychmiast wyszli do swoich biur i zabrali się za wyznaczone zadania.

— Ale ja przecież... — zaczął Neff, który za całą pewnością twierdziłby, że jest niewinny, nawet wtedy, gdyby złapano go z zakrwawionym nożem nad ciałem ofiary. Bodenstein wykorzystał przewagę, jaką dawał mu wzrost, żeby spojrzeć na niego groźnie z góry.

— Proszę. Się. Zamknąć — zwrócił się do człowieka, który swoim egocentryzmem i przemądrzalstwem przyczynił się jedynie do pogorszenia wydajności pracy jego zespołu i stał się zarzewiem wielu awantur, a na koniec okazało się, że przez niego w pewnym momencie zeszli na manowce. — Lepiej niech mi pan zejdzie z oczu. Im szybciej, tym lepiej. Bo mogę nie wytrzymać.

Po tych słowach odwrócił się na pięcie i wyszedł z sali.

JESZCZE NA KORYTARZU Pia wybrała numer komórki doktora Simona Burmeistera. Krew szumiała jej w uszach i miała trudności, by poskładać myśli. Czy mogła mieć rację? Przypomniała sobie, że kiedy w piątek, na chwilę przed tym, jak zginęła Hürmet Schwarzer, Oliver zadzwonił do Dirka Stadlera, ten wyjaśnił, że jest na cmentarzu miejskim i sprawdza stan nagrobków i grobowców pod kątem bezpieczeństwa. Dlaczego uwierzyli mu na słowo? Dlaczego nie sprawdzili, czy mówi prawdę? Z drugiej strony, czy mieli powód, żeby wątpić w jego słowa? W piątek wieczorem rozmawiała z nim osobiście. Teraz gorączkowo starała się sobie przypomnieć, jak się wtedy zachowywał. Burmeister nie odbierał. Dwadzieścia minut wcześniej minęła dziesiąta, więc pewnie był zajęty w szpitalu. Pia wróciła do swojego biura i usiadła przy komputerze. Kilka sekund później pojawił się Kai.

— Widziałas tego żalostnego dupka? Chciał zwalić na mnie! A to on dał ciała! — krzyknął wściekły i ciężko opadł na swój fotel. — Co za pacan! Ale szumu dookoła siebie potrafi narobić jak nikt inny! Szkoda, że tylko to! Wszystkich poucza, ale sam się nie stosuje do swoich mądrości. Psycholożyna dla ubogich, niech go szlag!

Był wściekły i nawet nie próbował udawać, że nad tym panuje. Jednak Pia nie zamierzała go pocieszać, bo sama miała podobne zdanie. Była zła, że zaufała Neffowi i nie sprawdziła Stadlera, co powinna była zrobić. I to mimo że intuicja od dawna jej to podpowiadała!

W komórce odszukała wiadomość od Henninga z numerem do doktora Furtwänglera i natychmiast go wybrała. Odebrała żona, jednak poinformowała Pię, że mąż jest poza domem, a nie posiada komórki, więc nic nie może poradzić.

Pia rozłączyła się bez słowa. Nie miała najmniejszej ochoty wysłuchiwać kolejnych kłamstw i wykrętów. Znów wybrała numer Burmeistera. I znów nie odebrał. W końcu zrezygnowana zadzwoniła do Szpitala Urazowego we

Frankfurcie i zażądała przełączenia jej do doktora Burmeistera. Tak długo przekazywali jej telefon między poszczególnymi oddziałami, że w końcu odezwał się ktoś z administracji szpitala.

— Pana doktora niestety nie ma — oznajmiła jakaś kobieta zdenerwowanym głosem. — Ale spodziewamy się, że lada chwila powinien dotrzeć do szpitala. O dziesiątej miał rozpocząć ważną operację.

Pię ogarnęło złe przeczucie.

— Jest pani pewna, że go nie ma? — zapytała.

— No przecież pani mówię! — odparła kobieta ostrym tonem. — Chyba wiem, kto jest w szpitalu, a kto nie, prawda?

— Życie doktora Burmeistera jest w niebezpieczeństwie — oznajmiła Pia. — Gdy tylko pojawi się w szpitalu, niech się natychmiast ze mną skontaktuje, rozumie pani? A teraz poproszę jeszcze o numery do doktora Janninga i profesora Hausmanna.

— Obaj są w tej chwili na urloпах — odrzekła kobieta lodowatym tonem. — A ja nie jestem upoważniona, by przekazywać takie...

W tym momencie Pii skończyła się cierpliwość.

— Niech mnie pani posłucha i to lepiej bardzo uważnie! To wyjątkowa sytuacja! — Nie zamierzała się pilnować, by mówić spokojnie czy przyjaźnie. — A jeśli jest pani zbyt ograniczona, by to pojąć, to powtórzę: jestem z policji, nadkomisarz Pia Kirchhoff, wydział zabójstw, policja kryminalna Hofheim! Prowadzę śledztwo w sprawie pięciokrotnego morderstwa i staram się zapobiec kolejnym ofiarom! Albo natychmiast przedyktuje mi pani te cholerne numery, albo zaraz wyślę kogoś po panią i wsadzę na dołek za utrudnianie śledztwa!

Tym razem kobieta zrozumiała, że to nie żarty. Wyraźnie przestraszona błyskawicznie odnalazła numery i przedyktowała je roztrzęsiona. Pia popędziła do biura szefa, a kiedy chciała zapukać, drzwi się otworzyły



i prawie wpadła na Bodensteina.

— Nie mogę się dodzwonić do Burmeistera — powiedziała. — Do szpitala w ogóle nie dotarł, chociaż...

— Dzwoniła właśnie pani Albrecht — przerwał jej Oliver. — Jest w domu rodziców. Znalazła dokumenty i ubrania ojca, które mocno pachną dymem.

Pia była zbyt zajęta zniknięciem Burmeistera, żeby zrozumieć, o co może chodzić.

— Jedziemy do Oberursel. — Bodenstein w biegu wkładał płaszcz. — Szybko!

— Ale przecież nie możemy... — zaczęła, ale szef znów nie dał jej dokończyć.

— Gehrke spalił dokumenty — powiedział niecierpliwie. — Ale w jego płucach i oskrzelach nie było śladów sadzy. Więc albo miał maskę na twarzy, albo był martwy, kiedy papiery płonęły w jego kominku. Ubrania profesora Rudolfa śmierdzą dymem, a pani Albrecht trafiła wśród nich na skoroszyty, które mają pochodzić właśnie z domu Gehrkego.

— Teraz rozumiem... — Pia momentalnie przesunęła na później oba telefony. — Daj mi sekundę, skoczę tylko po rzeczy.

— FRITZ GEHRKE STAŁ się ofiarą akcji usuwania śladów. — Karoline Albrecht przeszła do najważniejszych ustaleń, nie marnując czasu na niepotrzebne wstępy. — Kiedy się zorientował, co zrobił mój ojciec, wydał na siebie wyrok i musiał zginąć.

Na dużym stole w jadalni leżały skoroszyty, które znalazła w samochodzie ojca, a obok telefon komórkowy i jakieś pojedyncze dokumenty. Zmęczenie malowało się na jej twarzy, a mimo to prezentowała fakty, które ustaliła w trakcie swojego dochodzenia, z precyzją, która wywoływała niemy zachwyt Bodensteina. Jego grzecznościowe pytanie o samopoczucie zbyła

krótkim „nie narzekam”, choć lewa strona jej twarzy ginęła pod podbiegniętą fioletem opuchlizną, a potężny siniak ciągnął się od skroni aż do brody. Jednak nawet ta deformacja nie była w stanie zakłócić symetrii jej twarzy. Ciekawe, jak musiała wyglądać, kiedy się śmiała?

— Sprawa znalezienia mordercy matki nie jest moim głównym celem — oznajmiła. — To jest wasza praca i jestem pewna, że ją dobrze wykonacie. Ja natomiast chcę się dowiedzieć, co takiego zrobił mój ojciec, że sprowadził śmierć na mamę. Wiem już, że fakty są takie, że to on wydał polecenie, by odłączyć Kirsten Stadler od respiratora. W ramach diagnostyki śmierci pnia mózgu wykonuje się między innymi test apnoea, zwany też próbą bezdechu. Polega on na sprawdzeniu, czy pacjent jest w stanie samodzielnie podjąć akcję oddechową. W tym celu odłącza się go od respiratora i jeśli w ciągu pięciu minut nie zacznie samodzielnie oddychać, uznaje się to za przesłankę do stwierdzenia obumarcia pnia mózgu. Jednak Kirsten Stadler była w stanie samodzielnie oddychać, zarówno przy pierwszym, jak i przy drugim podejściu do testu, które w normalnych warunkach powinny być przeprowadzane w odstępie przynajmniej dwunastu godzin i to przez lekarzy, którzy nie mają nic wspólnego z planowanym pobraniem organów. Czy mówię jasno?

Bodenstein i Pia potaknęli.

— W przypadku Kirsten Stadler pierwszym złamaniem procedur było przeprowadzenie obu testów w odstępie tylko kilku godzin. Powodem pośpiechu była jej grupa krwi. Przy badaniu pod kątem pobrania organów wyszło natychmiast, że pacjentka ma grupę krwi 0, a to znaczyło, że jej serce może zostać przeszczepione biorcy z każdą inną grupą.

— No tak! Zgodność i niezgodność grup krwi! — wykrzyknęła Pia. Od jakiegoś czasu kołatało jej się to po głowie, choć nie potrafiła ubrać tej myśli w odpowiednie słowa. Przypomniała sobie natychmiast o rozmowie, jaką

odbyła z Henningiem w obecności Kim: na pytanie, czy profesor Rudolf mógł dokonać nielegalnego przeszczepu za pieniądze, jej były mąż wyjaśnił, że akurat w przypadku serca to prawie niemożliwe, choćby ze względu właśnie na ograniczenia wynikające ze zgodności grup krwi. — Serca nie da się przeszczepić każdemu biorcy, bo jego grupa krwi musi zgadzać się z grupą dawcy. A z A, B z B i tak dalej. Wyjątkiem jest właśnie grupa 0, bo serce osoby z taką grupą krwi można przeszczepić każdemu biorcy!

— No właśnie. — Karoline potaknęła. — W ten sposób posiadanie grupy krwi 0 stało się dla Kirsten Stadler wyrokiem śmierci. Przy milczącej zgodzie kierownictwa oddziału intensywnej terapii, na polecenie mojego ojca przerwano działania zmierzające do uratowania jej życia i wyłączono wszystkie urządzenia. Godzinę później jej mózg rzeczywiście był już nieodwracalnie uszkodzony z powodu braku tlenu.

— Skąd pani to wszystko wie? — zapytał Bodenstein.

— To akurat jest dziełem przypadku. Doktor Arthur Janning usiłował się skontaktować z moim ojcem — wyjaśniła Karoline. — Kiedyś byli bliskimi przyjaciółmi, ale sprawa Kirsten Stadler poróżniła ich do tego stopnia, że prawie zerwali ze sobą kontakt. Już wcześniej dochodziło między nimi do napięć, lecz niestety nie wyjaśnił mi, na jakim tle. Tak czy inaczej tamta sprawa przepełniła czarę.

— A domyśla się pani, dlaczego pani ojciec w ogóle zdecydował się na coś takiego? — zapytała Pia. — Przecież to było morderstwo!

— A czym jest morderstwo, jeśli w polu widzenia ma się Nagrodę Nobla! — prychnęła Karoline pogardliwie. — W tak cyniczny sposób mój ojciec postrzega świat. Zawsze podziwiałam go za jego wiedzę i umiejętności. Tymczasem wyszło szydło z worka i teraz już wiem, że działał, kierując się zupełnie innymi pobudkami, niż myślałam. I możliwe, że to nie był jedyny raz, kiedy doprowadził do śmierci pacjenta, żeby móc przeszczepić jego

organy!

— Kirsten Stadler musiała umrzeć, żeby syn jego przyjaciela, Maximilian Gehrke, mógł otrzymać nowe serce — powiedziała Pia.

— Tak jest. — Karoline Albrecht skinęła głową i westchnęła ciężko. Kobieta odkryła to, co chciała odkryć, ale jednocześnie przekroczyła punkt, zza którego nie było już odwrotu i trzeba było iść dalej, niezależnie od tego, jaka prawda miałyby się ukazać jej oczom. — Jednak za tym wszystkim musiało kryć się coś znacznie większego. Mój ojciec pomógł Maximilianowi Gehrkemu nie z czystej sympatii i przyjaźni, ale dlatego, że bał się, że SANTEX, firma Fritza Gehrkego wycofa się ze sponsorowania jego projektów.

Położyła otwartą dłoń na jednym ze skoroszytów.

— Te dokumenty pochodzą z domu Gehrkego — wyjaśniła. — Nie wiem, co dokładnie w nich znajdziecie i czy one czegokolwiek dowodzą. Wiem jedynie, że to protokoły i dokumentacja medyczna różnych przeszczepów, karty chorych oraz wszystkie wiadomości, jakie wymieniali między sobą mój ojciec, doktor Furtwängler i Fritz Gehrke.

— A co łączyło doktora Furtwänglera z pani ojcem? — zapytała Pia.

— Furtwängler jest hematologiem. — Karoline Albrecht wzruszyła ramionami. — Dziedzina, którą się zajmuje, to ludzka krew. Razem z ojcem prowadzili jakieś badania w Kolonii, ale niestety, nie mam pojęcia, czego dotyczyły.

Bodenstein odchrząnął.

— No dobrze, a jak pani myśli, dlaczego pani ojciec zabił Gehrkego? Dlaczego tak nagle, po dziesięciu latach?

— Tego dnia, kiedy pokazałam panu Gehrkemu nekrolog, w którym Snajper wyjaśnił, dlaczego zamordował jego syna, telefonował do wielu osób. Doktor Janning powiedział, że zeszłej soboty wieczorem odbyli długą

i szczegółową rozmowę, w czasie której wyznał mu wszystko, co od lat obciążało jego sumienie. Gehrke miał się strasznie zdenerwować, i z tego, co wiem, zadzwonił do mojego ojca. — Karoline Albrecht wskazała na smartfon leżący na stole. — To jest tajna komórka mojego ojca. Trzymał ją schowaną w sejfie i stamtąd ją wyciągnęłam. Gehrke zadzwonił do niego tuż przed ósmą wieczorem w zeszłą sobotę.

— A pani ojciec pojechał do niego, uspił go chloroformem i wstrzyknął za dużą dawkę insuliny — dokończyła Pia. — Następnie zabrał się za przeglądanie dokumentów, część z nich zniszczył na miejscu, a część zabrał ze sobą. Chciał, żebyśmy przyjęli, że staruszek wymazał całe swoje życie, a potem popełnił samobójstwo.

— I prawie mu się to udało — powiedziała Karoline cicho, po czym wstała. Podeszła do okna i wyjrzała na ogród. — Mój ojciec z chciwości szedł przez życie po trupach. Nawet po trupie mojej matki.

Skrzyżowała ręce na piersiach i ze szlochem nabrała powietrza. Mimo to udało jej się zapanować nad emocjami.

— Za to, co zrobił mojej matce, mojej córce i mnie, powinien smażyć się w piekle — wyrzuciła z siebie. — Ból i cierpienie, które sprawił innym, nie zostaną wyrównane przez dobro, które przecież też czynił. I im więcej wiem o jego intencjach, tym bardziej do mnie dociera, że za historią choroby nigdy nie widział konkretnego pacjenta, lecz możliwości, jakie się przed nim samym otwierały. Nie miał dla innych współczucia, a jeśli je okazywał, było to udawane. Jemu chodziło tylko o uznanie, sławę i honory. Mam nadzieję, że resztę życia spędzi w więzieniu.

Na jej twarzy i w jej postawie widać było burzę emocji, która nią wstrząsała, jednak z niewiarygodną wewnętrzną siłą panowała nad sobą i trzymała wszystko pod kontrolą — wszystko: złość, ból, zawód, rozczarowanie i smutek.

— Jeśli udowodnimy mu zamordowanie Gehrkego, bardzo długo zostanie za kratkami — powiedział Bodenstein. — Ale na razie to wszystko to jedynie domysły i poszlaki, które dobry adwokat rozniesie w pył.

Karoline Albrecht wróciła do stołu, otworzyła oprawiony w skórę planer i wyjęła z niego karteczkę. Spojrzała na niego i zadrżała.

— Wiem, że to wasza praca i nie powinnam się wtrącać... ale... mimo to postanowiłam sama trochę sprawdzić — wyjaśniła cicho. — To jest adres świadka, który widział mojego ojca w niedzielę, trzydzieści pięć minut po północy, gdy wychodził z domu Fritza Gehrkego. To sąsiad staruszka. Przez przypadek był na dworze, bo musiał wypuścić psa do ogrodu. Opisał mojego ojca bardzo dokładnie. Miał ze sobą akta i był ubrany w rzeczy, które znalazłam dzisiaj w garażu, śmierdzące dymem. To chyba powinno wystarczyć.

— CO TAKIEGO RUDOLF PRZED NAMI UKRYWA? — Pia myślała o tym nadal, kiedy już siedzieli w samochodzie, a Bodenstein uruchomił silnik. — Myślisz, że mógł wtedy prowadzić badania nad sposobami eliminacji bariery konfliktu grupy krwi?

— To mi brzmi trochę jak z *Frankensteina*. — Bodenstein był sceptyczny.

— Ale pomyśl tylko! Z jakiego innego powodu miałyby prowadzić wspólne badania z autorytetem w dziedzinie hematologii? Helen Stadler mogła wpaść na ślad tej historii, bo niektóre słowa zanotowane w jej dzienniku pasują tu jak ulał.

— A Burmeister i Hausmann to lekarze, którzy mają interes w tym, żeby Szpital Urazowy był w awangardzie naukowej w tej dziedzinie. — Bodenstein myślał na głos. — Podobne odkrycie podniosłoby renomę kliniki, a to z kolei da się przeliczyć na gotówkę. Tylko że w takiej sytuacji Rudolf byłby nietykalny, gdy tymczasem został zmuszony do odejścia. Historia

z Kirsten Stadler mogła być tylko pretekstem.

— Janning, dawny przyjaciel Rudolfa, wyśpiewał Gehrkeemu wszystko, co mu przez lata leżało na wątrobie, i w końcu powiedział prawdę — ciągnęła Pia. — A mimo to znalazł się na liście Helen i tym samym najprawdopodobniej również na liście Snajpera. Nie rozumiem, dlaczego!

— Dlatego, że w jej oczach był współwinny — dokończył Bodenstein.

— Natychmiast dzwonię do Hausmanna i do Janninga! — Pia sięgnęła z plecaka po karteczkę, na której zanotowała numery do obu lekarzy.

— Tylko bądź bardzo ostrożna — ostrzegł ją szef. — Wciąż jeszcze za mało wiemy, żeby skonfrontować ich z historią Rudolfa. Jeśli kryją przed nami tę samą tajemnicę, to są również współnikami i będą chcieli pozacierać ślady.

— Jeśli chcieli je zatrzeć, to mieli na to dość czasu — odparła Pia.

Najpierw wybrała numer komórki profesora Hausmanna. Lekarz natychmiast odebrał i powiedział, że spodziewał się tego telefonu. Pia nie była z tego powodu zachwycona, ale w głębi serca liczyła się z takim obrotem sprawy. W kilku słowach wyjaśniła mu, po co dzwoni.

— Dlaczego profesor Rudolf musiał odejść ze Szpitala Urazowego? Co się wtedy naprawdę stało? — zapytała.

— Już, proszę chwilę poczekać.

W tle usłyszała czyjeś kroki, a potem trzaśnięcie drzwiami.

— Wciąż docierały do nas skargi na niego — wyjaśnił profesor przyjemnym, głębokim głosem. — Rudolf miał zapędy dyktatorskie, które nie przystawały do współczesnych trendów zarządzania nowoczesnym szpitalem. Protestowali przeciwko niemu ramię w ramię lekarze i pielęgniarki. Nie pozostało mi nic innego, jak zasugerować mu rozwiązanie umowy o pracę, już choćby tylko po to, żeby zapewnić spokojną pracę całego szpitala.

— Czy to rzeczywiście był główny powód? — upewniła się Pia. — A nie na przykład sprawa z pacjentką Kirsten Stadler, która do szpitala trafiła jesienią 2002?

Hausmann zawahał się przez sekundę.

— To jedynie spowodowało eskalację atmosfery nieufności i napięcia — wyjaśnił, elegancko unikając pułapki, którą na niego zastawiła. — Młody lekarz z jego zespołu zwrócił się do dyrekcji szpitala i do Federalnej Izby Lekarskiej, bo nie zgadzał się z decyzjami Rudolfa i z tego powodu został brutalnie potraktowany przez przełożonego.

— O jakie decyzje Rudolfa chodziło?

— Niestety, nie pamiętam już szczegółów tamtej sprawy, ale na pierwszy plan wysuwały się jakieś osobiste animozje. Rudolf to człowiek trudny w obejściu, a młodzi, pewni siebie lekarze nie mieli z nim łatwo.

Pia wiedziała, że kłamał, to nie ulegało wątpliwości.

— Czego chciała od pana Helen Stadler, kiedy spotkaliście się w sierpniu zeszłego roku? — zapytała.

— Z kim niby miałem się wtedy spotkać?

— Z córką Kirsten Stadler. Z naszych informacji wynika, że spotkała się z panem przed kilkoma miesiącami i że doszło między wami do rozmowy.

Ponownie chwila wahania.

— No tak, teraz pamiętam. Chodzi o tę dziewczynę... ale niewiele więcej jestem w stanie pani powiedzieć.

— Domyślam się — wyjaśniła Pia, która nie wierzyła w ani jedno jego słowo — że próbowała pana zaszantażować, bo dzięki panu Hartigowi poznała pewne drażliwe szczegóły, które szpital wolał zachować dla siebie. Tyle że w tej chwili to nie ma dla nas żadnego znaczenia. Z całą pewnością czytał pan w gazetach albo słyszał w radiu, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni pięć osób zostało zamordowanych przez tajemniczego Snajpera.



Otóż znamy już motywy, które kierują sprawcą. Wszyscy bliscy ofiar mieli związek ze sprawą Kirsten Stadler. W związku z tym powinien pan nam co nieco wytłumaczyć, bo trzy z pięciu ofiar mają jednoznaczne powiązania ze Szpitalem Urazowym. Przede wszystkim radziłabym panu natychmiast przerwać urlop i zwolnić sekretarkę, bo gdyby powiadomiła pana przed kilkoma dniami, kiedy pierwszy raz usiłowałam się z panem skontaktować, miałby pan szansę uratować życie dwóm osobom.

— Czego pani ode mnie oczekuje? — zapytał lekarz, a w jego głosie niespodziewanie pojawiła się prawdziwa troska.

— Niech nam pan wyjawi fakty na temat śmierci pani Stadler, zanim dotrze do nich prasa. Bo o to właśnie chodzi sprawcy i być może dzięki temu nikt więcej nie zginie.

— Ale to... niestety, nie mogę pani pomóc, to nie takie proste — zaprotestował Hausmann.

— Dlaczego nie? Czego albo kogo się pan boi?

— Wcale się nie boję! — zaprotestował profesor. — Tylko proszę pamiętać, że ja dalej tam pracuję, a szpital należy do ogromnego międzynarodowego koncernu, któremu na pewno nie w smak będą negatywne tytuły w prasie.

— Te negatywne wiadomości pojawią się tak czy inaczej — poinformowała go Pia. — Mogę panu jedynie doradzić, żeby jak najszybciej wracał pan na miejsce i podjął próbę ograniczenia strat.

— Tak... to... w takim razie... ja... — Dyrektor szpitala jękał się, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

— Właśnie, profesorze! — Pia udała, że właśnie o czymś sobie przypominała. — Snajper wciąż jest na wolności! Więc jeśli ma pan jakieś bliskie osoby, które są panu drogie, powinien pan je ostrzec!

Po tych słowach przerwała połączenie i natychmiast wybrała numer do

doktora Arthura Janninga. Lekarz zgłosił się po piątym sygnale. Pia zapytała go, o czym rozmawiał z Helen Stadler, na co znów nie dostała jasnej odpowiedzi, tylko wykręty, jakie wcześniej usiłował jej sprzedać Hausmann.

— Pana nazwisko pojawia się w związku ze śmiercią Kirsten Stadler przed dziesięcioma laty — powiedziała Pia i po raz kolejny wymieniła wszystkie dotychczasowe ofiary Snajpera. — Ktoś z pana rodziny albo nawet pan sam może stać się kolejną ofiarą! Naprawdę nic to pana nie obchodzi?

— Nieprawda, oczywiście, że mnie to obchodzi! — zaprotestował Janning niepewnym głosem.

— Profesor Hausmann opowiedział mi, co zrobił Rudolf i dlaczego musiał odejść ze szpitala. Sprawa się wydała i trafi do prasy. Dlaczego nie chce pan sam sobie pomóc?

— Hausmann... on pani... — zaczął Janning zaskoczony, ale szybko przerwał. — Czego pani ode mnie oczekuje? Co miałbym zrobić?

— Złe pytanie! Powinien pan zapytać, dlaczego pana nazwisko znajduje się na liście w dzienniku Helen Stadler! Czego od pana chciała? Co pan wówczas zrobił albo na co się zgodził, żeby zrobili inni?

Milczenie.

— Może być pan pewien, że i tak wszystkiego się dowiemy. Niezależnie od tego, czy z pana pomocą, czy bez niej — poinformowała Pia. — Jednak nie jesteśmy w stanie ochronić pana przed mordercą, na którego liście pan figuruje. Chyba że zacznie pan z nami współpracować.

— O jakiej liście pani mówi?

Tym razem to Pia nie odpowiedziała na pytanie.

— Gdzie pan jest w tej chwili?

— W Cortina d'Ampezzo — odparł Janning. — Z rodziną. Ale jutro wracamy.

— Proszę bezzwłocznie się ze mną skontaktować. Natychmiast po

powrocie. Damy wam ochronę.

Rozłączyła się i niemal w tej samej chwili zadzwonił jej telefon.

— Znaleźliśmy samochód Wolfganga Miegera — oznajmił Kai Ostermann. — Jest na parkingu przy centrum handlowym Main-Taunus. Kluczyki są w stacyjce. Wysłałem już na miejsce techników Krögera. Sprawdź go i przetransportuj do laboratorium.

— Świetnie. — Bodenstein pokiwał głową. — Coś jeszcze?

— Niestety. — W głosie Kaia słychać było napięcie. — I to nic dobrego. Udało mi się skontaktować z Vivien Stern i dowiedziałem się kilku ciekawych rzeczy o Dirku Stadlerze. I nie będziecie zachwyceni, jak wam o tym opowiem.

DWADZIEŚCIA MINUT PÓŹNIEJ wszyscy zebrali się w biurze Bodensteina.

— Vivien Stern rzeczywiście była bardzo blisko z Helen Stadler. Od piątej klasy były przyjaciółkami. — Kai sprawdził notatki. — Latem często wyjeżdżały na działkę gdzieś w góry Taunus należącą do przyjaciela ojca Helen, który często chorował.

— Wolfganga Miegera? — zgała Pia.

— Nie mam pewności, ale zakładam, że tak. — Kai skinął głową. — Mieger, podobnie jak Stadler, pochodził z NRD. Udało mu się uciec jeszcze przed budową muru berlińskiego. Nie znali się, ale kiedy spotkali się w tej samej firmie, bardzo się zaprzyjaźnili. Pani Stern twierdzi, że Stadler był w NVA, Narodowej Armii Ludowej, siłach zbrojnych NRD, w jednostce specjalnej pływaczy bojowych, a z Niemieckiej Republiki Demokratycznej uciekł w ten sposób, że przepłynął wpław czterdzieści kilometrów przez Bałtyk aż na wyspę Fehmarn. Sprawdziłem tę wersję i dowiedziałem się przy okazji, że Stadler był wielokrotnie odznaczany,

a przez trzy lata z rzędu był uznany najlepszym snajperem Narodowej Armii Ludowej.

Przez chwilę panowała absolutna cisza.

— Nie... po prostu nie wierzę... — wyszeptał Bodenstein i potrząsnął głową.

— Następnie — ciągnął Kai — pomyślałem, że warto w takim razie sprawdzić, jak wygląda kwestia jego niepełnosprawności. Dotychczas przyjmowaliśmy, że chodzi o niepełnosprawność ruchową, jednak okazało się, że byliśmy w błędzie. Stadler owszem, posiada zaświadczenie o niepełnosprawności znacznego stopnia, jednak, uwaga, ze względu na problemy psychiczne! Ani jego lekarz z przychodni, ani lekarz prowadzący badania okresowe w poprzedniej pracy nie wiedzieli nic o problemach z nogą.

— Zrobił z nas kompletnych idiotów! — Pia potrząsnęła głową, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

— Ale nie kłamał, kiedy zapytałem, czy był w bundeswerze. — Bodenstein ukrył twarz w dłoniach. — Nie był, bo służył przecież w Narodowej Armii Ludowej. Niech to szlag trafi! Dlaczego wcześniej na to nie wpadłem? Przecież pochodzi z Rostoku!

— No to jeszcze jedna zła wiadomość. Nie ma siostry w Allgäu — dokończył Kai. — W całej okolicy nie znalazłem osoby o takim nazwisku. A ludzie, do których podałem telefon, nigdy nie słyszeli o żadnej Heldze Stadler.

Bodenstein był równie załamany i wstrząśnięty jak Pia.

— Neff może już pakować manatki — warknął z wściekłością, po czym sięgnął po telefon i wybrał numer do firmy Erika Stadlera. Jednak ledwie usłyszał, że ktoś odbiera, natychmiast się rozłączył.

— Co się stało? Dlaczego to zrobiłeś? — zapytała Pia zaskoczona.

— Nagle doznałem olśnienia — wyjaśnił Bodenstein i wybrał numer do jednego z policjantów pilnujących domu Dirka Stadlera w Liederbach.

— Nie, nic się nie dzieje — zapewnił go funkcjonariusz. — Około ósmej rano podniósł rolety w oknach, ale to wszystko.

— W porządku — powiedział Bodenstein, który spodziewał się najgorszego. — W takim razie niech któryś z was podejście do drzwi i zadzwoni. A potem proszę natychmiast o meldunek.

Oczekując na telefon, Pia starała się po raz kolejny dodzwonić do doktora Burmeistera. Tym razem jednak miał już wyłączony telefon. Zadzwoiła komórka Bodensteina. Funkcjonariusze pilnujący domu Stadlera dzwoniли i pukali do drzwi, lecz nikt nie otwierał. Dopiero wtedy wpadli na pomysł, żeby sprawdzić wyjście od tyłu. Okazało się, że przez ogród da się przedostać na działkę sąsiada, a potem wyjść na sąsiednią ulicę. Tutaj trop się urywał.

— Sprawdźcie jego garaż i porozmawiajcie z sąsiadami — rozkazał Bodenstein, z trudem panując nad głosem. — I żądam natychmiastowego raportu, rozumiano?!

Rozłączył się i potoczył złym wzrokiem po zebranych w jego gabinecie współpracownikach.

— Ptaszek wyfrunął z gniazda — stwierdził, potrząsając głową. — Kai, uruchom procedurę. Na pełną skalę. Wszyscy mają szukać Dirka Stadlera i jego samochodu.

— Już się robi. — Kai zerwał się z miejsca i wyszedł z biura szefa.

— Ależ bezczelnie nas okłamał! Bez mrugnięcia okiem wmówił nam, że ma siostrę w Allgäu! — Do Pii wciąż nie docierało, że tak łatwo dała się podejść. — Był taki... wiarygodny!

— No właśnie! Wiedział, że go nie podejrzewamy. Potrzebował akurat tych dwóch dni. Zależało mu, żeby swobodnie działać aż do dzisiaj rana, bo

dzisiaj Burmeister wracał z urlopu. Pamiętasz, jak zapisał nam numer telefonu do siostry?

— Zapisał, pamiętam. Ale o co konkretnie ci chodzi?

— Ani na chwilę nie zdjął rękawiczek!

Pia się zastanowiła.

— Racja! — przypomniała sobie. — Kiedy podjechaliśmy, akurat pakował bagaż do samochodu. Na dworze było zimno, ale w domu mógł przecież zdjąć rękawiczki.

— Mimo to tego nie zrobił. Dlatego, że nie chciał zostawić odcisków palców ani śladów DNA na tej kartce.

— Tyle że moglibyśmy przecież je znaleźć i zabezpieczyć w jego domu, prawda? — Pia zmarszczyła czoło i spojrzała pytająco na szefa.

— Zgoda, ale to by potrwało, a jemu zależało na czasie — wyjaśnił Bodenstein. — Dobrze wiedział, że na miejscu zbrodni zostawił ślady i że prędzej czy później trafimy na samochód Miegera, którym musiał jeździć. Jednak dopóki nie będziemy mieli materiału porównawczego, będzie bezpieczny, bo najpierw musielibyśmy w ogóle wziąć go pod uwagę, a potem jeszcze wystąpić o nakaz przeszukania jego domu. Możliwe, że nie miał pewności, czy przez przypadek jego odciski palców nie znalazły się w jakiejś bazie.

— Rutynowo wrzuciliśmy go do komputera, ale nic nie znaleźliśmy. Poza kilkoma punktami karnymi za wykroczenia drogowe Dirk Stadler jest dla nas całkowitą zagadką. Nigdy wcześniej nie wszedł w konflikt z prawem. — Pia potrząsnęła głową. Wciąż nie mogła dojść do siebie. — Więc wymyślił tę siostrę. Chciał nas zmylić, żebyśmy myśleli, że ma alibi.

— Pewnie właśnie tak było. — Bodenstein pokiwał głową. — A jego syn albo by nas okłamał, albo go ostrzegł. Dlatego przerwałem rozmowę, zanim zdążył coś powiedzieć.

Ponownie odezwał się telefon Bodensteina. Funkcjonariusze przepytali sąsiadów, ale nikt nie widział, żeby gdzieś wyjeżdżał. Większość w ogóle go nie kojarzyła i najpierw musieli się zastanowić, o kogo w ogóle chodzi. Jego garaż był pusty.

— Myślisz, że Stadler to nasz Snajper? — zapytała Pia.

— Tak — potwierdził Bodenstein i zrobił ponurą minę. — A ty od samego początku to przeczuwałaś. Dokładnie to sobie zaplanował i musiał się spodziewać, że znajdzie się w centrum naszego zainteresowania. Dlatego miał przygotowaną odpowiedź na każde pytanie.

— Dużo wcześniej powinniśmy byli się zorientować, że nie pracuje dla miasta — wtrąciła Pia.

— Powinniśmy byli, ale tego nie zrobiliśmy. — Bodenstein wstał i podszedł do drzwi. — Wyprowadził nas w pole. Udało mu się, bo bardzo dobrze udawał problemy z nogą, a kiedy do niego zadzwoniliśmy, powiedział, że jest na cmentarzu. Poza tym zadbał, żebyśmy nie mieli czasu na przemyślenie całości. Możliwe, że współpracuje z nim Hartig albo nawet Thomsen, który celowo skierował na siebie podejrzenia, żeby Stadler zyskał na czasie.

— To co robimy teraz? — Pia wyszła za nim na korytarz.

— Musimy poinformować szefową i resztę zespołu. — Bodenstein potrząsnął głową. — I musimy jak najszybciej zlokalizować ten domek na działce, o którym wspomniała przyjaciółka Helen. Trzeba też znaleźć Burmeistera.

Zza zakrętu wyszedł Kai z komputerem pod pachą. Usłyszał ostatnie słowa szefa.

— Już nie musimy go szukać — powiedział wyraźnie zdenerwowany. — Tym razem Snajper wysłał do gazety dwa mejle naraz. Faber zaraz przekazał je do nas. Pierwszy dotyczy Ralfa Hessego. A drugi musicie sami

zobaczyć.

WSZYSCY W MILCZENIU I Z ROSNĄCĄ ZGROZĄ wpatrywali się w fotografię, którą Kai wyświetlił na dużym ekranie w sali odpraw grupy specjalnej. Zdjęcie przedstawiało ciemnowłosego mężczyznę w białej koszulce z krótkim rękawkiem i z twarzą wykrzywioną panicznym strachem i okropnym bólem, przypiętego pasami do stołu operacyjnego. Ramiona i nogi miał unieruchomione, lecz jego prawa dłoń, obcięta równo przy nadgarstku, leżała na jego piersi. Prawe przedramię kończyło się starannie założonym opatrunkiem.

— To doktor Burmeister. — Pia walczyła z coraz silniejszymi mdłościami. Czowała, jak trzęsie się z bezsilnej wściekłości, i nie wiedziała, czy to z powodu Snajpera, czy raczej Burmeistera, który z właściwym sobie zadęciem zignorował jej ostrzeżenia i rady.

— Musieli przejąć go już na lotnisku albo zaraz za drzwiami — stwierdziła.

— Oni?! — Doktor Nicola Engel spojrzała na nią zaskoczona i uniosła brwi.

— Hartig i Stadler — wyjaśniła Pia. — Jestem gotowa się założyć, że ze sobą współpracują. Poza tym popatrzcie na to zdjęcie, bo to kolejna rzecz, która potwierdza, że Hartig bierze w tym udział. — Mówiąc to, wskazała na ekran. — Hartig jest chirurgiem i to ponoć całkiem niezłym, a jego karierę przekreślił konflikt z Rudolfem i Burmeisterem.

— To znaczy, że mógł chcieć się na nim zemścić z pobudek osobistych — dodał Bodenstein. — I to bardzo osobistych.

— Dobrze, to już wiemy. — Nicola Engel skinęła głową. — Co robimy dalej?

— Rozesłaliśmy już wiadomość o poszukiwaniach do wszystkich



jednostek, zgodnie z procedurą — poinformował Kai. — Ich domy są pod stałą obserwacją, a dane obu samochodów znalazły się w wiadomości o poszukiwaniach. Specjaliści od informatyki z policji krajowej zajęli się sprawdzeniem obu mejli Snajpera. A my ryjemy w księgach wieczystych i rejestrach katastralnych, żeby zlokalizować ten weekendowy domek Miegera. Musi być gdzieś w pobliżu Kelkheim, a Vivien Stern zapamiętała jeszcze, że po drodze na miejsce mijali lodziarnię tuż obok torów kolejowych.

Pia jeszcze raz przeczytała nekrolog podpisany przez Sędziego, w którym wyjaśniał przyczyny zabójstwa Ralfa Hessego: „Ralf Hesse musiał zginąć, ponieważ jego żona przez zaniedbanie i działanie z zamiarem ewentualnym doprowadziła do śmierci człowieka poprzez wywieranie presji psychicznej”.

Jak się poczuje Bettina Kaspar-Hesse, kiedy to przeczyta? Czy nie lepiej będzie oszczędzić jej tego cynicznego oskarżenia? Jednak nie można było wykluczyć, że się o tym dowie, podobnie jak dowiedział się Gehrke.

— Kiedy mejle zostały wysłane? — zapytał Bodenstein.

— Wysłał oba w ciągu dwóch minut — odparł Kai. — Punktualnie za osiem i za siedem dwunasta.

— Burmeister wyszedł z terminalu na lotnisku tuż przed siódmą rano. — Pia wstała i podeszła do dużej mapy okolicy, która wisiała na ścianie. W pięciu miejscach tkwiły w niej kolorowe pinezki oznaczające miejsca kolejnych zbrodni. — Przyjmując, że porwali go od razu, tuż po wyjściu, mieli mniej więcej cztery godziny, żeby go gdzieś przewieźć i obciąć mu dłoń. To znaczy, że są blisko Frankfurtu.

— Każę przejrzeć nagrania z kamer w terminalu 1 na lotnisku. — Kai skinął głową i zrobił notatkę.

— Popatrzcie jeszcze na to. — Christian Kröger wskazał na ekran, na którym pojawiła się poprawiona przez niego fotografia. — Troszkę

popracowałem nad jakością zdjęcia, rozjaśniłem tło i jest teraz czytelniejsze. Widać przynajmniej fragment tła.

Wszyscy wbili wzrok w ekran.

— To są płytki! Jakby w jakiejś starej rzeźni albo piekarni — stwierdził Bodenstein.

— Albo może w dużej kuchni? — podsunęła Nicola Engel. — Da się to jeszcze trochę wyostrzyć?

— Niestety nie. Jakość i typ pliku nie pozwalają na nic więcej. — Kröger potrząsnął głową.

— Powinniśmy zacząć szukać wszystkich pustych budynków z przemysłowymi kuchniami i rzeźniami w promieniu około stu kilometrów od lotniska — zaproponował Cem.

W końcu mogli zacząć działać i mieli konkretny cel! W trakcie ustalania planu działań i omawiania nowych pomysłów Pia siedziała pogrążona w myślach. Straszne, że Burmeister wpadł w łapy Snajpera, ale nie miała z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Ostrzegła go, a on świadomie ją zlekceważył. Hartig zniknął kilka dni wcześniej. A Stadler wcale nie pojechał do Allgäu, lecz nie było go także w domu w Liederbach. Gdzie mogli się obaj ukrywać?

Opel Wolfganga Miegera stał zamknięty w garażu w Sossenheim, dopóki nie był potrzebny. Może Snajper korzystał z kilku samochodów na zmianę? To byłoby bardzo sprytne posunięcie. To nie Thomsen wynajął garaż, tylko Stadler, Hartig, albo obaj razem, bo nienawidzili Thomsena. To by znaczyło, że współpracowali, by skierować podejrzenia na Thomsena. Wszystkie wątki, które podsuwali policji, służyły tylko temu, żeby Snajper zyskał na czasie i mógł dokończyć plan.

— Thomsen jest jeszcze u nas? — zapytała niespodziewanie, przerywając rozmowy.

— Tak. Dopiero dzisiaj po południu zostanie odstawiony do więzienia — odparł Kai.

— Dobra, słuchajcie! Uwaga! — Pia wstała i uniosła ręce. — Dam głowę, że Thomsen wie, gdzie jest ten domek, którego szukamy. Musimy też natychmiast zapewnić ochronę profesorowi Hausmannowi i doktorowi Janningowi, ewentualnie ich rodzinom, żeby Stadler ich nie dopadł.

— Co proponujesz? — zapytał Bodenstein.

— Obserwację domów Stadlera i Hartiga możemy sobie darować — odparła Pia. — Zamiast tego powinniśmy zająć się sprawdzeniem ich telefonów. Podłuchem powinny zostać objęte również telefony Erika Stadlera, stacjonarne i komórkowe. Całkiem możliwe, że współpracuje z ojcem. Ktoś musi skontaktować się z Hausmannem i Janningiem i dowiedzieć się, czy mają bliskich, bo to na nich może się zemścić Stadler. Potem ściągamy ich tutaj i pokazujemy zdjęcie Burmeistera. To samo robimy z Thomsenem i pytamy, gdzie jest ten domek.

— Wykonać! — Bodenstein wstał z krzesła. — Zaczynamy od Thomsena. I chcę też porozmawiać z tą przyjaciółką Helen Stadler.

— Z tego, co mówiła, dzisiaj wieczorem wraca do Stanów Zjednoczonych — powiedział Kai.

— Musi lecieć później, nie ma innego wyjścia — zdecydował Bodenstein. — Przywieźcie ją tutaj. Natychmiast. I proszę o wydruk zdjęcia Burmeistera.

Doktor Nicola Engel wyszła za Bodensteinem i Pią na korytarz.

— Czy jest coś, co ja mogłabym robić? — zapytała.

— Tak — mruknął Bodenstein głucho. — Ty powinnaś zachować trzeźwe spojrzenie na całość. Bo ja chyba je straciłem.

MARK THOMSEN wiedział o „ranczu”, bo tak Wolfgang Mieger nazywał

swój domek. Znał go z pełnych zachwyty opowieści Helen, która spędziła tam bardzo szczęśliwe chwile. Znajdował się w spokojnej, spacerowej okolicy między Fischbach a Schneidhain, lecz nie potrafił sobie przypomnieć dokładnego adresu. Nie było to jednak problemem, bo dzięki jego informacjom Kai wiedział, gdzie zadzwonić i w ciągu kilku minut ustalili, dokąd wysłać radiowozy i jednostkę antyterrorystyczną. Trzeba było liczyć się z możliwością, że w domku przy ulicy Ebenweg przebywają uzbrojeni Stadler i Hartig. Cem i Kathrin zajęli się kontaktem z Hausmannem i Janningiem, potem mieli pojechać do Vivien Stern i zadbać, by nie uciekła do Stanów Zjednoczonych, zanim nie spotka się z szefem. A Bodenstein, Pia, Kröger i Kim ruszyli w stronę Fischbach. Wzdłuż krawężników stały kipiące kontenery na śmieci, przy których piętrzyły się ciągle dostawiane worki. Odpadki zwabiły lisy i szczury, które rozzuchwalone brakiem kontroli i brakiem ruchu bezczelnie pożywiały się tym, co znalazły, na oczach kierowców nielicznych samochodów. Wielu mieszkańców okolic albo wyjechało na jakiś czas, albo zabarykadowało się w swoich domach i mieszkaniach. Mijali przeważnie tylko policyjne radiowozy. Nie obowiązywały rozkłady jazdy pociągów i autobusów, roznosiciele gazet i listonosze bali się obchodzić swoje rewiry, a pracownicy służb komunalnych, kurierzy i inni pracownicy woleli nie stawiać się w pracy. Wiele restauracji i sklepów było zamkniętych na głucho, a w supermarketach pracowało mniej ludzi niż zwykle, bo wielu w obawie przed szalonym Snajperem przesłało zwolnienia lekarskie, byle tylko nie wychodzić z domów.

Słupek termometru znów opadł kilka kresek i zatrzymał się w okolicach zera stopni. Szadź na pobawionych liści gałęziach drzew wyglądała bajkowo, lecz oczywiście mało kto potrafił teraz docenić te widoki. Pia przejechała przez Fischbach, skręciła w B455 w kierunku Königstein, a po dwóch

kilometrach zjechała na tereny spacerowe. Minęli lokalny klub tenisowy, auto podskakiwało na polnej drodze. Pod kołami pękał lód, który ściał kałuże wody zbierającej się w dziurach szutrowej nawierzchni.

— Tam, prosto! — Kröger wskazał na tabliczkę z nazwą ulicy. — Numer dziewiętnaście!

Zgodnie z poleceniem funkcjonariusze prewencji czekali na ulicy kawałek przed podanym adresem. Pia zatrzymała się za radiowozem. Chwilę później na miejsce dotarł pojazd oddziału antyterrorystycznego z Frankfurtu i zabezpieczył dom i posesję.

— W środku pusto. — Po dziesięciu minutach szef oddziału złożył raport Bodensteinowi. — Możecie wchodzić.

— Dzięki. — Oliver skinął głową.

Domek znajdujący się pod numerem dziewiętnastym był mały i nie rzucał się w oczy, ukryty między potężnymi jodłami. Działka otoczona żywopłotem z cisów i płotem z zardzewiałej siatki kończyła się nagle ścianą lasu. Weszli przez skrzypiącą furtkę zawieszoną między dwoma kamiennymi, porośniętymi mchem słupkami. Na przekrzywionej skrzynce na listy wisiała jeszcze tabliczka z ledwo czytelnym nazwiskiem właścicieli: Wolfgang i Gerda Mieger.

— Zimą prawie nikogo tu nie ma — stwierdził Bodenstein. Wiedział, bo sam wychował się ledwie kilka kilometrów dalej. — Najpierw stało tu tylko kilka chatynek, a teraz patrzcie, ludzie postawili normalne domy z elektrycznością, ale bez kanalizacji. Większość z nich to samowole budowlane.

— Domek Miegera — doskonała kryjówka! — potwierdziła Pia i z uznaniem pokiwała głową. — Szczególnie o tej porze roku.

— Niczego nie dotykać! — przypomniał Kröger, choć zupełnie niepotrzebnie.

Niewielki domek miał drewniane okiennice i werandę, na którą wchodziło się po dwóch stopniach. Funkcję poręczy pełniły trzy drewniane koła od wozu, co rzeczywiście nadawało domkowi uroku amerykańskiego rancza. Niedaleko wejścia stał pieńek do rąbania drewna, a dookoła leżały porozrzucone świeże szczapy.

Bodenstein i Pia nałożyli ochraniacze na buty i rękawiczki, po czym weszli do środka. Znaleźli się w dużym pomieszczeniu z aneksem kuchennym, z którego drzwi prowadziły do pokoi po obu stronach. W powietrzu unosił się zaduch i zapach dymu. Bodenstein poczuł się jak uwięziony w drewnianej skrzyni: skrzypiąca podłoga, zamknięte okiennice, ściany i sufity pokryte boazerią. Sprawdził aneks kuchenny. W zlewie stał garnek, talerz i używane sztucce, a na plastikowym ociekaczu z boku suszyły się dwie szklanki i kolejny talerz. Niewielka lodówka była pełna jedzenia, a popiół w kominku jeszcze ciepły. Otworzył drzwi do pomieszczenia po prawej stronie. Niepościelone łóżko, ubrania porozrzucone po podłodze. Odwrócił się. Na starym i zużyтым stole leżały gazety, a na sosnowej komódce stał stary telewizor kineskopowy.

Zatrzymał się pośrodku pokoju, zamknął na chwilę oczy i zacisnął pięści. Niemal namacalnie wyczuwał obecność Stadlera. Jego słowa „jestem pacyfistą” dudniły mu w uszach. Pia, Kim i Christian Kröger rozeszli się po domku, a drewniana podłoga pod wyblakłym chodnikiem trzeszczała i skrzypiała, kiedy szukali przydatnych informacji.

— Szefie! — wyrwał Bodensteina z zamyślenia głos Pii. — Szybko, chodź coś zobaczyć!

Otworzył oczy i ruszył do pokoju po lewej stronie. Ledwie przekroczył próg, stanął jak skamieniały.

Na ścianach wisiały równo przypięte zdjęcia ofiar, mapy i zdjęcia satelitarne. W szufladkach na biurku leżały informacje dotyczące każdej

z zabitych ofiar, włącznie z wywiadem środowiskowym, a w tekturowym pudełku odkryli pięć łusek po nabojach. Każda z nich była oklejona kawałkiem papieru z nazwiskiem.

WYSZLI NA DWÓR. Kröger obszedł cały domek i znalazł miejsce, w którym Stadler wyrzucał popiół z kominka. Śmieci musiał gdzieś wywozić, bo osiemdziesięciolitrowy pojemnik stał pusty i porośnięty mchem.

— Spalił buty — oznajmił Christian. — Ale podeszwy ocalały. Porównamy je z odciskami zabezpieczonymi w Griesheim.

— To jaki mamy plan? — zapytała Pia.

Bodenstein intensywnie myślał. Nie mógł sobie pozwolić na żaden błąd, bo po pierwsze, oznaczałoby to katastrofę, a po drugie, prasa rozszarpałaby jego i cały wydział na strzępy.

— Poczekamy na niego tutaj. W końcu musi wrócić — zdecydował. — Drzwi są całe?

— Zamek trochę oberwał — odpowiedział szef oddziału antyterrorystycznego. — Ale możemy je tak zamknąć, żeby wyglądały na nienaruszone.

— Świetnie. Christian, poróbcie zdjęcia, ale niczego nie przestawiajcie.

W normalnych warunkach Bodenstein wywołałby taką uwagę trzęsienie ziemi, lecz Kröger zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji i skinął tylko głową, a potem zabrał się do roboty. Funkcjonariusze oddziału antyterrorystycznego zajęli pozycje w ogrodzie obok i w lesie za domem. Dwóch policjantów w cywilu zaparkowało dyskretnie na placu przed klubem tenisowym w Fischerbach, tuż przy drodze prowadzącej do terenów spacerowych, by jako czujki dać znać, ledwie Stadler pojawi się gdzieś w pobliżu.

Zadzwoił Ostermann. Mejle podpisane przez Sędziego zostały wysłane

z sieci WLAN jednej z kawiarni w Unterliederbach. Skierował już tam funkcjonariuszy, by przesłuchali personel.

— Erik Stadler i jego dziewczyna muszą zostać przesłuchani — zdecydował Bodenstein, kiedy razem z Pią i Kim siedzieli już w samochodzie. — Każę też zabezpieczyć i sprawdzić ich komputery, laptopy i smartfony. I wyślę ludzi po Winklerów. Oboje powinni wylądować u nas.

— Jeśli są zamieszani w tę sprawę, mogą być czymś w rodzaju systemu wczesnego ostrzegania — zauważyła trzeźwo Pia. — Stadler uzna, że na początek będziemy chcieli rozmawiać z jego synem, a potem z Winklerami. Zakładając oczywiście, że ustalili, że będą się regularnie meldować. Jeśli uda mu się z nimi skontaktować, to przyjmie, że ma jeszcze trochę czasu. Za to jeśli nie, zabije Burmeistera i Hartiga, a potem zniknie.

Bodenstein zmarszczył czoło.

— Poza tym żadne z nich i tak nic nam nie powie, tym bardziej jeśli są w to zamieszani — dokończyła Pia. — Lepiej podsumujmy fakty i sprawdźmy, czy czegoś nie pominęliśmy.

W tym momencie odezwała się komórka szefa. Po raz kolejny dzwonił Ostermann.

— Przejrzeliśmy filmy z kamer zamontowanych nad wejściem do terminala na lotnisku — powiedział. — Sprawdziliśmy godzinę między wpół do siódmej a wpół do ósmej rano. Samolot z Seszeli z Burmeisterem na pokładzie wylądował planowo, a pasażerów skierowano do wyjścia C w terminalu pierwszym. Burmeister wyszedł z hali przylotów i wsiadł do taksówki punktualnie za dwie siódma rano. Samochód nie czekał na niego, tylko się zatrzymał, kiedy podszedł do krawężnika. Chwilę później do samochodu wsiadł drugi mężczyzna, z tyłu, od strony kierowcy. Numery wozu były bardzo wyraźne, sprawdzanie w toku.



— To by znaczyło, że rzeczywiście porwali go jeszcze na lotnisku. — Pia z niedowierzaniem potrząsnęła głową. — Kiedy rozmawiałam z Burmeisterem, Snajper musiał być gdzieś blisko!

Zamknęła oczy i spróbowała przypomnieć sobie sytuację z hali przylotów. W porównaniu z halą odlotów tam panował spokój. Pia rozmawiała z byłą żoną doktora Burmeistera, uważnie się rozglądała i sprawdzała wzrokiem wszystkich dookoła. Z wyjątkiem kilku pracowników lotniska i czterech czy pięciu biznesmenów w kawiarni w hali znajdowały się jedynie osoby czekające na przylatujących. W miarę jak pojawiali się kolejni pasażerowie z Seszeli, grupka w hali również topniała. W takim razie Snajper musiał się przebrać i ucharakteryzować.

— Sprawdź koniecznie, czy w samej hali przylotów jest jakaś kamera, najlepiej z polem widzenia obejmującym wyjście i kawiarnię przy wyjściu, dobrze? — poprosiła Pia.

— Oczywiście. Całkiem możliwe, że coś znajdziemy — zapewnił ją Kai. — Od tamtego zamachu w osiemdziesiątym piątym na całym lotnisku nie znajdziesz miejsca, które by nie było obserwowane przez jakąś kamerę.

— Snajper to na sto procent któryś z mężczyzn w kawiarni. — Pia nie miała wątpliwości. — Możesz to sprawdzić?

— Pewnie, już się za to biorę. Trzymajcie się.

Pia włączyła jedynekę i ruszyła.

— Idę o zakład, że lada chwila otrzymamy wiadomość, gdzie możemy znaleźć ciało Burmeistera — mruknęła ponuro.

— Błąd — zaprotestowała Kim. Siostra policjantki dotychczas siedziała na tylnej kanapie i milczała. — Nie zabiją go, tylko okaleczą, tak żeby nigdy już nie mógł pracować jako chirurg. Więc wystarczy, że poprzestaną na prawej dłoni.

— Nie mieliśmy szans, by go ochronić, tak samo jak nie mogliśmy ocalić

żadnej z poprzednich ofiar — powiedział Bodenstein głucho. — Wciąż jesteśmy o krok za nim.

— Tutaj nie chodzi o jedną, a o dwie sprawy. — Pia zignorowała tę uwagę szefa. — Pierwsza to oczywiście kwestia śmierci Kirsten Stadler i okoliczności, które doprowadziły do pobrania jej organów. Ta afera została co prawda zamieciona wtedy pod dywan, ale znalazła się w papierach, więc w gruncie rzeczy nie jest to już tajemnica. Więc to nie dlatego Szpital Urazowy tak strasznie się nas obawia i odmawia nam pomocy. Im musi chodzić o sprawę, na którą trafiła Helen Stadler i o której mało kto wie, ale wiedzą na pewno Rudolf, Janning, Hausmann i Burmeister! Oficjalna wersja jest taka, że Rudolf musiał odejść przez swój autorytarny styl zarządzania i problemy, które to wywoływało. Ale Burmeister miał w oczach dziki strach, zanim rano się zorientował, że blefuję. Tak samo Janning! Kiedy mu powiedziałam, że Hausmann wszystko wyśpiewał, to zaczął się jąkać, jakby miał paść na zawał!

— I dlatego Helen Stadler musiała umrzeć — dokończyła Kim.

— W takim wypadku Hartig jako morderca zupełnie mi nie pasuje — wtrącił Bodenstein.

— To akurat zależy, bo jeśli brał w tym czymś udział, to miał powód, żeby ją zabić — wyjaśniła Pia. — Albo może Helen dopiero tak późno się zorientowała, że Hartig był w zespole profesora Rudolfa, i zagroziła mu, że powie o wszystkim ojcu.

— Ja myślę raczej, że Vivien Stern uważa go za mordercę, bo sama się go panicznie boi — powiedziała Kim.

— Ja też tak uważam — mruknął Bodenstein.

Pia skręciła w lewo, na B455. Po chwili ponownie zadzwonił Ostermann. Jechali akurat przez Kelkheim.

— Taksówkę skradziono dzisiaj z samego rana — oznajmił. — Ale, tutaj

dobra wiadomość, samochód był zabezpieczony lokalizatorem satelitarnym, dzięki czemu dwie godziny później został znaleziony.

— Gdzie?

— No właśnie, teraz czas na złą wiadomość: przed twoim domem, szefie.

— Słucham?! — Bodenstein nie wiedział, jak zareagować. — Ten sukinsyn sobie ze mną pogrywa!

— To jednoznaczna demonstracja siły — potwierdziła Kim.

— Prosto spod lotniska pojechał do Ruppertshain — ciągnął Kai. — Firma taksówkarska z początku myślała, że to normalny kurs. Zorientowali się, że coś jest nie tak, gdy zgłosił się do nich kierowca, którego ogłuszyli uderzeniem w głowę i zostawili związanego w lesie przy restauracji „Unterschweinstiege”. Mają pod opieką sto trzydzieści samochodów, a w centrali pracuje jedna młoda kobieta, która widać wszystkiego nie ogarnia.

— Zaryzykowali — stwierdziła Pia. — Odważyli się na naprawdę ogromne ryzyko. Z lotniska do Ruppertshain jest mniej więcej trzydzieści pięć minut. To znaczy, że na miejscu byli około wpół do ósmej. Wcześniej musieli przepakować Burmeistera z taksówki do innego wozu. Około dwunastej wysłali zdjęcia. A amputacja i zabezpieczenie kończyny też swoje musiało potrwać. To oznacza, że są gdzieś w okolicy.

Niestety, ta wiedza na niewiele im się zdawała, bo „okolicę” stanowiły jedne z najgęściej zaludnionych terenów w kraju. Mimo że kilkuset policjantów przeczesywało Frankfurt i pobliskie tereny w poszukiwaniu opuszczonych budynków, a w radiu, telewizji i Internecie bezustannie publikowano wizerunki Stadlera i Hartiga wraz z informacją, że są poszukiwani przez policję, wysiłki śledczych wciąż można było porównać do prób odnalezienia przysłowiowej igły w stogu siana. Całkiem niedawno w czasie jednego z seminariów szkoleniowych Bodenstein znów musiał

wysłuchiwać idiotycznych uwag ze strony zarozumiałych kolegów z Berlina, którzy twierdzili, że Taunus to w porównaniu ze stolicą zapadła prowincja. To lekceważenie za każdym razem działało mu na nerwy, bo w całych Niemczech nie było okolicy, która w równie małym stopniu zasługiwałaby na miano prowincji co tereny leżące między Renem a Menem. Jednak dziś nie życzyłby sobie niczego innego, jak służyć na prawdziwej prowincji, gdzie pilnowałby spokoju w kilku wioskach z dziesięcioma gospodarstwami, szkołą i góra dwiema halami sportowymi. W chwili, kiedy o tym pomyślał, w jego głowie coś przeskoczyło i dostrzegł połączenie w miejscu, w którym wcześniej go nie zauważył.

— No tak! — krzyknął podekscytowany, a Pia aż szarpnęła kierownicą.

— Chcesz spowodować wypadek? — warknęła rozeźlona.

— Stadler przez całe lata pracował w Wydziale Architektury i Budownictwa Urzędu Miasta we Frankfurcie! To znaczy, że zna wszystkie budynki użyteczności publicznej. Muzea, szkoły, hale sportowe, baseny i tak dalej. Możemy ograniczyć się z poszukiwaniami do terenu samego miasta!

— Szybko wybrał numer Ostermanna, lecz zanim zdążył przekazać mu nowe wytyczne, Kai zaskoczył go inną wiadomością.

— Jesteście daleko? Kiedy będziecie? — zapytał. — Bo mamy kolejnego mejla. Właśnie przyszedł. Tym razem to nie są zdjęcia, tylko plik wideo.

— ALE OSTRZEGAM, to nie jest dla ludzi o słabych nerwach — powiedział Kai, uruchamiając ośmiominutowy filmik na dużym ekranie.

Najpierw zobaczyli zbliżenie wykrzywionej strachem twarzy Burmeistera. Miał wytrzeszczone panicznie oczy i w niczym nie przypominał już tego pewnego siebie, uśmiechniętego mężczyzny, którego Pia widziała dziś rano na lotnisku, kiedy żegnał się z córką.

— Nie! — jęczał żałośnie. — Nie! Błagam! Błagam! Nie! Nie możecie mi

tego zrobić! Proszę! Mam... pieniądze! Dam wam je! Zrobię wszystko... wszystko, czego chcecie! Błagam! Tylko nie ręce!

Kamera przesunęła się z jego twarzy na ciało, a potem na lewe ramię, które leżało przytwierdzone do podpory, z profesjonalnie założoną opaską uciskową tuż powyżej łokcia.

Pii zrobiło się niedobrze. Odwróciła się gwałtownie, wstrząsana mdłościami. Najchętniej zakryłaby sobie uszy, bo rozpaczliwe wrzaski Burmeistera były nie do zniesienia. W końcu nie dała rady; przepchnęła się między kolegami i koleżankami, wybiegła z sali odpraw i korytarzem wypadła na dwór. Na zewnątrz usiadła na najwyższym stopniu schodów, odetchnęła kilka razy głęboko i zacisnęła zęby, walcząc z mdłościami i wzbierającą złością. Drżącymi palcami wyłuskała paczkę papierosów z kieszeni kurtki i zaczęła szukać zapalniczki, lecz kiedy ją znalazła, nie potrafiła opanować drżenia dłoni, by ją zapalić. A przecież mogła uratować Burmeistera! Dlaczego go po prostu nie zatrzymała? Gorzkie uczucie porażki z każdym oddechem bardziej ją przytłaczało. Oparła się o zimną ścianę, zamknęła oczy i nie otworzyła ich nawet, kiedy usłyszała, że ktoś wychodzi na zewnątrz i siada obok niej.

— To nie twoja wina.

Bodenstein wziął się w garść i znów trzeźwo myślał.

— Chyba jednak moja. — Pia potrząsnęła głową. — Powinnam była go siłą przywieźć do komendy.

— Nie da się pomóc komuś na siłę. To tak nie działa.

— Doprawdy? Ech, a mogłam polecieć z Christophem do Ekwadoru!

— Pia wierzchem dłoni wytarła łzy z policzków i znów spróbowała zapalić papierosa.

— Ja tam się cieszę, że jednak zostałaś. — Bodenstein delikatnie wyjął jej z dłoni zapalniczkę i papierosa z ust, zapalił go i podał jej z powrotem, po

czym sięgnął jednego dla siebie.

— Dlaczego popełniliśmy aż tyle błędów? Dlaczego? Dlaczego nie przyszło nam do głowy, żeby sprawdzić sieć i przez Facebooka poszukać przyjaciółek Helen Stadler?

— Dlatego, że nie mieliśmy czasu na myślenie — odparł Bodenstein. — Nie dał nam ani chwili na spokojną analizę, a na dodatek wciąż podrzucał fałszywe tropy. Jestem pewny, że celowo wybrał sobie okres świąt, bo wiedział, że w takim czasie sporo informacji będzie docierało do nas z dużym opóźnieniem.

— On sprawiał... takie normalne wrażenie... — Pia wydmuchnęła dym, który w chłodnym powietrzu stworzył puchaty obłok. — Wiesz, że ja mu prawie współczułam? Jak można być taką idiotką! Tym razem intuicja mnie całkowicie zawiodła.

— To nieprawda. — Bodenstein potrząsnął głową. — Od samego początku uważałaś, że coś z nim jest nie tak.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu obok siebie i palili.

— Nie możemy się teraz poddać — stwierdził Bodenstein. — Razem przeszliśmy przez tyle bitew, że tą też wygramy. Jesteśmy tuż-tuż. Burmeister był jego ostatnią ofiarą, pozostali są bezpieczni.

— Mimo to nie mogę pozbyć się wrażenia, że coś przeoczyliśmy. — Pia strzepnęła popiół i wyrzuciła niedopałek w krzaki. Zamyślony Bodenstein swój niedopałek zdusił w palcach.

— A wiesz, że ja też? — przyznał w końcu. — Ale wiem, że zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy. Pia, jesteśmy tylko ludźmi, a nie maszynami czy superbohaterami. Pamiętaj o tym. A ludzie popełniają błędy.

Spojrzała na niego.

— To co teraz? — zapytała.

— Rudolf jest na miejscu. Pokazują mu właśnie film z Burmeisterem

w roli głównej. Kazałem go powtarzać choćby i sto razy, aż facet zmięknie — wyjaśnił. — A my na początek zabierzemy się za Thomsena. Kai przesłał Janningowi i Hausmannowi zdjęcie Bumeistera, żeby w końcu do nich dotarło, że to nie są żarty. Hausmann ma córkę, która pracuje w banku we Frankfurcie. Dostanie policyjną ochronę.

Wstał i szarmancko wyciągnął dłoń. Pia uśmiechnęła się krzywo i pozwoliła sobie pomóc.

— No to ruszajmy do ostatniej bitwy — powiedział Bodenstein. — Dzisiaj go dopadniemy.

MARK THOMSEN obejrzał cały film i zdjęcia.

— No w końcu! — powiedział z satysfakcją, a przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

— Co to miało znaczyć? — Bodenstein uniósł brwi zaskoczony. — Pan wciąż coś przed nami ukrywa, prawda?

— Nie. Naprawdę nie mam pojęcia, kto zastrzelił tych wszystkich ludzi — odparł Thomsen. — Aż do strzału z wieżowca obstawiałem Erika, ale potem go skreśliłem. Tego nie zrobiłby nawet dobry strzelec sportowy. To musiał być ktoś znacznie lepszy.

— Dlaczego on mu to zrobił? Dlaczego zmienił strategię i go nie zabił? — naciskała Pia.

— Nie wiem. — Thomsen wzruszył ramionami. — Ale Burmeister skrzywdził tak wielu ludzi, że powinien smażyć się w piekle. On i Rudolf to ogarnięci manią wielkości chciwcy.

Pia wstrzymała oddech i spojrzała na Bodensteina, który z równym napięciem czekał, co powie Thomsen.

— Rudolf i jego stary przyjaciel Furtwängler od lat pracowali nad lekiem, który pozwalałby zmieniać grupę krwi. Niezliczone zwierzęta laboratoryjne

ginęły w setkach nieudanych testów laboratoryjnych, ale nie tylko one, bo do tego przynajmniej troje ludzi straciło życie. Rudolf i Burmeister trzy razy celowo przeszczepili serce od dawcy z grupą krwi inną niż biorcy, wcześniej podając ludziom przez kilka tygodni testowany przez siebie lek. Badania finansował głównie koncern farmaceutyczny SANTEX. Fritz Gehrke, szef rady nadzorczej SANTEX-u nie dawał pieniędzy tak całkowicie bezinteresownie, bo cały czas miał nadzieję, że Rudolf uratuje życie jego syna.

Thomsen przerwał.

— Testy leku były jeszcze w fazie badań laboratoryjnych na zwierzętach doświadczalnych, ale Rudolf i Burmeister przeszli do testów klinicznych i namówili pacjentów, by zgodzili się na terapię eksperymentalną, nie informując ich dokładnie, o co konkretnie chodzi. Celowo wybrali ludzi zrozpaczonych, którzy wiedzieli, że umrą, jeśli nie zdarzy się cud. Rudolf wmówił im, że potrafi sprawić ten cud. Tyle że to, co się potem stało, to była potworna tragedia. Biorcy organów przeżyli co prawda transplantację, ale pomarli po kilku godzinach albo dniach w wyniku dramatycznie bolesnej reakcji odrzucenia wszczepionego organu. Nie wiem, może liczba takich osób była wyższa, ale o tych trzech Hartig wiedział na pewno, a on przecież należał do zespołu Rudolfa. Wtedy Gehrke zdecydował, że jako przewodniczący zarządu SANTEX-u wypowie dalsze finansowanie prac badawczych. Eksperyment się nie udał, a Rudolf i Burmeister wpadli w panikę. Gdyby ich środek kiedyś zadziałał, skończyłyby się problemy z uzgadnianiem grupy krwi dawcy i biorcy i dałoby się uratować życie znacznie większej liczbie ludzi. Poza tym, i to był chyba najważniejszy powód dla Rudolfa, otrzymałby za to odkrycie medycznego Nobla.

— I wtedy przez przypadek do szpitala trafia Kirsten Stadler. I szczęśliwym dla nich zbiegiem okoliczności kobieta ma grupę krwi 0! —



wtrąciła Pia.

— Zgadza się. — Thomsen potaknął. — Rudolf i Burmeister manipulowali badaniami śmierci mózgowej, a potem szybko pobrali od niej serce i przeszczepili je synowi Gehrkego, który był śmiertelnie chory. Wszystko poszło dobrze, Maximilian zdrowiał, a Gehrke, którego Rudolf zapewniał, że to dzięki ich lekom Maximilian przyjął nowy organ, bez wahania przedłużył finansowanie programu badawczego. Jednak wtedy pojawiły się problemy, bo rodzina Kirsten Stadler zaczęła grzebać w dokumentacji. Rudolf chciał wszystko zatuszować, więc udał się do Gehrkego i powiedział mu, że Kirsten Stadler mogła żyć nieco dłużej. Gehrke poczuł się winny tej sytuacji i zaproponował Stadlerowi pieniądze. I to bardzo dużo pieniędzy. W tym czasie Hausmann, szef szpitala do spraw leczniczych i dobry przyjaciel Rudolfa, również dowiedział się o aferze i o trzech wcześniejszych ofiarach chirurga. Postanowił interweniować. Być może Rudolfowi udałooby się nawet wszystko zatuszować, ale Hartig nie wytrzymał i zaczął powiadamiać kolejne organy o praktykach w szpitalu. Do tego doszła jeszcze kłótnia między starymi znajomymi i Rudolf musiał odejść ze szpitala. Klinika zawarła ugodę z Dirkiem Stadlerem, a Gehrke wypłacił mu milion euro łapówki, żeby milczał.

— Skąd pan to wszystko wie? — zdziwiła się Pia.

— Jestem w kontakcie z rodzinami dwóch pierwszych ofiar szaleństwa Rudolfa — wyjaśnił Thomsen. — Nie mieli odwagi, pieniędzy ani szansy, żeby pozwać szpital. Ale na podstawie opowieści Hartiga i ich informacji zabraliśmy się z Helen do roboty i ruszyliśmy z naszym śledztwem.

— Chce pan powiedzieć, że zna pan konkretne przypadki?

— Oczywiście. Imiona, nazwiska, daty. — Thomsen pokiwał głową. — Mniej więcej rok temu Helen zaczęła bez mojej zgody nachodzić Gehrkego, Rudolfa, Hausmanna, Janninga i Burmeistera. Chwilę wcześniej

dowiedziała się o milionie euro, który przyjął jej ojciec, i dosłownie wyszła z siebie, że Dirk sprzedał prawdę, bo tak to właśnie widziała. Dla niej pieniądze nie grały żadnej roli, więc też nie czuła się w żaden sposób zobowiązana przysięgą milczenia, którą złożył jej ojciec. Groziła, że pójdzie z tym wszystkim do prasy i ogłosi prawdę na temat badań nad zmianami grupy krwi, o czym, notabene, wiedziała ode mnie i od Hartiga.

— Wybuchłby gigantyczny skandal — przerwał mu Bodenstein.

— I to bez dwóch zdań. Ale to nie wszystko — wyjaśniał dalej Thomsen. — To byłaby katastrofa dla całej transplantologii, która przez skandale ostatnich lat i tak nie ma dobrej prasy.

Palcem wskazującym i kciukiem podrapał się po brodzie.

— Mafia szpitalna bała się Helen, bo domyślano się, że ma kontakty z Hartigiem, a kto jak kto, ale on byłby przed sądem bardzo wiarygodnym świadkiem. Ja jej nic nie powiedziałem. Zainteresowani uznali, że nie mają innego wyjścia, jak usunąć zagrożenie. I to właśnie zrobili.

Thomsen zaśmiał się gorzko, lecz w jego oczach nie było widać radości.

— To oni ją zabili, jestem o tym przekonany.

— Dlaczego nie grozili panu Hartigowi? — zapytał Bodenstein. — Przecież on był dla nich znacznie bardziej niebezpieczny niż Helen Stadler?

— Hartig nie widział interesu w tym, żeby upubliczniać tę sprawę. A poza tym jest jeszcze jego ojciec, który gra w tej samej lidze co Rudolf i spółka. To była jego ochrona.

— Skąd ta pewność, że Helen została zamordowana? — Bodenstein nie był do końca przekonany.

— A pan by się zabił, gdyby był pan o krok od rozwiązania największej zagadki i największego problemu swojego życia? — Thomsen odpowiedział pytaniem. — Helen dała się nieść euforii, skakała z radości i była szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej. Sukces był na wyciągnięcie ręki,

a wtedy uwolniłaby się od tego, co kładło się cieniem na jej całym życiu i życiu jej rodziny. Odważyła się nawet powiedzieć Jensowi-Uwemu, że nie chce za niego wychodzić, zanim nie spędzi roku w Stanach. Wystąpiła o wizę turystyczną i dostała się na któryś z tamtejszych uniwersytetów.

— Skąd pan to wszystko wie? — Pia uniosła brwi.

— Helen nie miała przede mną żadnych tajemnic — wyjaśnił były antyterrorysta.

— A co z planami, nad którymi pracowała? — Pia potrząsnęła głową. — Przecież ona ich śledziła i przygotowała każdemu z nich dossier. Dlaczego nie przerwał pan tego szaleństwa?

— Powiem więcej, z początku nawet jej pomagałem — przyznał Thomsen. — Sam zbierałem informacje o zamieszanych w tę sprawę, ale nigdy z zamiarem wyrządzenia komukolwiek krzywdy. Wręcz przeciwnie! Tylko że potem Hartig się o tym dowiedział i wszystko wymknęło się spod kontroli. Mam wrażenie, że był opętany żądzą ukarania swoich dawnych kolegów.

— Dlaczego?

— Moim zdaniem dlatego, że nigdy nie przebolewał, jak został potraktowany — wyjaśnił były policjant. — Z moralnego punktu widzenia zachował się jak najbardziej prawidłowo, a mimo to poniósł karę.

— Cały czas nie rozumiem, dlaczego Hartig najpierw miałby jej powiedzieć prawdę o matce, a potem faszzerować ją tabletkami i do tego stopnia kontrolować, żeby dziewczyna zaczęła się go bać. — Pia potrząsnęła głową. — To się po prostu nie trzyma kupy!

Thomsen milczał przez całą minutę, a potem westchnął i podniósł głowę.

— On jej o niczym nie opowiedział — wyznał z miną pełną skruchy. — Wszystkiego dowiedziała się ode mnie. I dopiero wtedy ruszyła z tą nieszczęsną sprawą.

Pia spojrzała na szefa.

— Do tego czasu Helen była przekonana, że tylko ona mogła zapobiec śmierci matki — ciągnął Thomsen. — Dla niej nowe wiadomości były wybawieniem, bo zrozumiała, że to nie ona jest winna, tylko lekarze. I może by jej to wystarczyło, gdyby nie Hartig. Jens-Uwe w pewnym momencie się w niej zakochał, a ona była bystra i szybko wyciągnęła z niego resztę, podjudzana przez ojca, dziadka i przeze mnie. Dla nas wtedy istniał tylko jeden temat i tylko jedna myśl — zemsta! Każde z nas miało swoje powody i swoją własną historię, ale koniec końców łączył nas jeden cel: prawda musi ujrzeć światło dzienne! Dlatego to my wciąż podsycaliśmy ten ogień. Nie pozwoliliśmy, by rany się zabiły.

— A Hartig? Co on wtedy zrobił?

— On coraz jaśniej zdawał sobie sprawę z tego, że Helen w końcu dowie się o roli, jaką odegrał w historii jej matki, i domyślał się, co się wtedy stanie. Ale trzeba uczciwie przyznać, że bardzo, bardzo żałował tego, co zrobił. Tylko że co się stało, to się nie odstanie. Brał w tym udział.

— Do jakiego stopnia? Czym konkretnie zawinił? — drążył Bodenstein.

— Serce Kirsten Stadler było pierwszym, które pobrał od dawcy i przeszczepił — wyjaśnił Thomsen. — To była jego pierwsza transplantacja, na sam początek bardzo obiecującej kariery chirurga transplantologa. On wtedy zrobił wszystko dobrze, tak jak należało, jednak nie miał pojęcia o okolicznościach, które umożliwiły tę operację.

— A pan skąd o tym wie?

— Bo sam mi to kiedyś zdradził. Przed wieloma laty, w czasie pierwszego wykładu dla PKOMMT. Wtedy jeszcze nie znał osobiście Helen. Jak sami widzicie, tamten nieszczęśliwy zbieg okoliczności doprowadził w końcu do śmierci wielu niewinnych ludzi.

— Kto wpadł na pomysł, żeby zabijać krewnych i bliskich osób wplątanych w sprawę Kirsten Stadler? — zapytała Pia. — Czy pan miał

z tym coś wspólnego?

Thomsen znów długo się zastanawiał, zanim udzielił odpowiedzi.

— Mnie zależało na ujawnieniu sprawy z nielegalnymi testami na ludziach, które Rudolf prowadził wbrew prawu — wyznał. — Hartig wydawał mi się bardzo przydatny jako informator. Razem mieliśmy realną szansę to upublicznić, tym bardziej że dotarłem do danych dwóch ofiar praktyk Rudolfa, miałem dowody i zeznania świadków. Wtedy pojawiła się Helen i jej rodzina i nagle sprawa stała się strasznie emocjonalna i osobista. W przypadku Kirsten Stadler nie było żadnych dowodów ani wiarygodnych świadków. Do czasu.

— Poznała Hartiga.

— Zgadza się. Jens-Uwe nie potrafił jej już powstrzymać. Ja też nie, choć naprawdę próbowałem. Lecz Helen realizowała to, co sobie zaplanowała. Hartig uznał, że najlepszym sposobem będzie faszeringowanie jej lekami psychotropowymi, a ja wolałem kontrolować jej szaleństwo, odpowiednio wspierając realizację jej pomysłów. Myślałem, że w ten sposób uda się jakoś nad tym zapanować, ale, jak widać, łudziłem się.

— Ojciec Helen był w Narodowej Armii Ludowej — rzucił Bodenstein.

— Słucham? — Thomsen spojrzał na niego zaskoczony.

— Podejrzewamy, że to on za tym stoi. Dirk Stadler jest Snajperem. — Bodenstein potaknął. — Co pan o tym myśli?

Thomsen zmarszczył czoło.

— Powiem uczciwie, że akurat jego w ogóle nie brałem pod uwagę, ale teraz, kiedy tak mówicie... Bardzo cierpiał po stracie żony. To praktycznie zniszczyło mu życie. Może właśnie dlatego tak kurczowo uczeplił się Helen? Nie chciał pozwolić jej odejść, bo panicznie bał się zostać sam.

Słowa Thomsena stały w jaskrawej sprzeczności z tym, co powiedział im Dirk.

— A to nie było na odwrót? To nie Helen bała się opuścić ojca? — zapytała Pia, robiąc zdziwioną minę.

— Helen była zbyt słaba, żeby mu powiedzieć, że chce żyć własnym życiem. — Thomsen westchnął. — Bardzo długo miała nadzieję, że jej ojciec w końcu się zmieni, że może nawet znajdzie sobie kobietę. Że kiedy wyjaśni się prawda o przeszłości, a winni zostaną ukarani, wróci do normalnego życia. Tymczasem Dirk świetnie się odnalazł w takim układzie, w jakim trwał po śmierci żony. On i Helen, na zawsze razem. Odgrodził się od świata i żył tylko przeszłością. Przywarł do Helen z całej siły. To dlatego mnie tak znienawidził. Obawiał się, że przeze mnie może ją stracić.

— Z tego, co wiem, to bardziej powinien był się obawiać wpływu Hartiga? — Bodenstein uniósł brwi.

— Nie. Jego trzymał w garści. Kontrolował jego poczucie winy. Hartig i Helen dawali mu się manipulować i szantażować emocjonalnie.

— Czy Stadler wiedział, że Hartig należał do zespołu Rudolfa, który operował jego żonę?

— Tak, oczywiście, że wiedział. Hartig musiał mu to wyznać, kiedy wraz z Winklerami namawiał go do wytoczenia szpitalowi procesu. Wszyscy o tym wiedzieli. Wszyscy z wyjątkiem Helen.

Dzięki temu, co teraz usłyszeli o Dirku Stadlerze, zobaczyli go w całkiem nowym świetle. Poświęcali mu tak mało uwagi, że nie dostrzegli jego mrocznego, przerażającego oblicza.

— Dlaczego Winklerowie zerwali wszelki kontakt z zięciem? — zapytała Pia.

— Joachim i Lydia uważali relację łączącą Dirka z Helen za totalnie chorą. Helen musiała spać z nim w jednym łóżku, musiała siedzieć obok niego, gdy oglądał telewizję, i w ogóle wszystko musiała robić razem z nim. Helen swoją drogą była bardzo przywiązana do ojca, ale on z kolei nie pozwalał jej

się uwolnić. Na zewnątrz Dirk odgrywał rolę rycerza broniącego wrażliwej córki, ale w rzeczywistości było zupełnie na odwrót. Śmierć Helen potwornie nim wstrząsnęła i chyba wtedy zupełnie mu odbiło. Uznał, że popełniła samobójstwo, bo nie mogła znieść poczucia winy z powodu śmierci matki.

Wszystko, co Thomsen zeznawał, brzmiało bardzo wiarygodnie i przekonująco, a co więcej, potwierdzało przypuszczenia Karoline Albrecht. Z ich słów wyłaniał się złożony, ale kompletny obraz. Mimo to Bodenstein wciąż był wściekły.

— Dlaczego dopiero teraz pan to mówi? — zaatakował Thomsena, do którego w pewnym momencie prawie poczuł sympatię. — Dlaczego od początku nie grał pan z nami w otwarte karty?! Mógł pan oszczędzić i sobie, i nam masy niepotrzebnej roboty i trudności! Możliwe, że udałoby się nam uratować życie Ralfa Hessego i zdrowie doktora Burmeistera!

Na twarzy Thomsena pojawił się kpiący uśmiezek.

— Ratować Burmeistera? To chyba ostatnia rzecz, na jaką bym się zdecydował — mruknął. — A po tym, jak potraktowali mnie wasi koledzy, kiedy dali mi kopa w dupę, nie mam najmniejszych powodów, żeby wam w czymkolwiek pomagać.

— Skąd w takim razie ta nagła zmiana?

— Nie chcę, żeby tym gnojkom uszło wszystko na sucho — przyznał w końcu. — Powinni ponieść karę, na jaką zasługują.

PROFESOR DIETER RUDOLF siedział przy stole w sali przesłuchań z miną znudzonego gościa przy kawiarnianym stoliku. Ręce trzymał w kieszeniach spodni, nogę założył na nogę i nie okazując żadnych emocji, oglądał film, który był zapisem okrutnego losu doktora Burmeistera, jego byłego współpracownika.

— Kiedy wychodzę? — zapytał po przesłuchaniu, w czasie którego na

wszystkie pytania odpowiadał milczeniem.

— Wygląda na to, że już nigdy. — Pia potrząsnęła głową. — Prokuratura zamierza postawić panu zarzut zabójstwa przynajmniej w trzech przypadkach. Trzeba będzie się też pożegnać z golfem i operacjami serca. Tak samo jak z marzeniami o Noblu.

Po raz pierwszy od początku przesłuchania uniósł wzrok i spojrzał na Pię.

— Co to za bzdury? — Wyjął ręce z kieszeni i się wyprostował. — Czy pani w ogóle wie, o czym pani mówi?

— A jak pan myśli? — Pia nie odwróciła wzroku. — Wiemy o panu już całkiem sporo. Kłamał pan, mówiąc, że nekrolog od Snajpera jest dla pana niezrozumiały i że nigdy nie miał pan problemów z krewnymi pacjentów. Wiemy też, że pan i pana były kolega po fachu, doktor Burmeister, pozwoliliście umrzeć Kirsten Stadler, żeby móc przeszczepić jej serce synowi Fritza Gehrkego. Znamy pana motywy i wiemy, że Gehrke groził zakończeniem finansowania pana badań, bo nie przynosiły żadnych efektów. Wiemy również, że lek, który był jeszcze w fazie testów na zwierzętach, postanowił pan wypróbować na ludziach, w wyniku czego zmarło przynajmniej troje pana pacjentów.

Błede policzki Rudofla oblały się szkarłatem.

— Z próżności nie dopuszczał pan myśli o porażce — prowokowała go dalej Pia. — Uwierzył pan, że zostanie pierwszym lekarzem, który pokona problem zgodności grup krwi i będzie przeszczepiał serca osobom z różnymi grupami. Myślał pan tylko o Nagrodzie Nobla, o sławie, chwale i ogromnych pieniądzach, a pacjenci się dla pana nie liczyli! Realizował pan swoje chore wizje, idąc po trupach! Kirsten Stadler miała grupę krwi 0. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, prawda? Z nieba panu spadła! Ona sama nic dla pana nie znaczyła, tak samo jak ma pan gdzieś los swojego byłego kolegi, doktora Burmeistera, czy życie swojej żony...



— Niech się pani zamknie! — krzyknął Rudolf, nie panując nad złością. Zaczęły mu drżeć dłonie.

— Dla pana dawcy organów byli tylko surowcem, byli środkiem do celu. A współpracowników traktował pan jak śmieci. — Pia nie spuszczała go z oczu i uważnie śledziła, jak reaguje na jej zarzuty. — A potem nagle co? Pana wielkie plany rozbijają się o młodego, niedoświadczzonego lekarza, który nie jest w stanie tolerować pana chorobliwej manii wielkości i pana pogardliwego stosunku do ludzi. Jens-Uwe Hartig doniósł na pana do zarządu szpitala i do Federalnej Izby Lekarskiej. To dlatego wyleciał pan ze Szpitala Urazowego.

— Uratowałem tysiące ludzi! — wycedził Rudolf. — Dokonałem przełomowych odkryć w dziedzinie transplantologii, a pani... żałosna i tępa... pani usiłuje to wszystko zohydzić i zdeprecjonować! Pani nie ma o niczym pojęcia! Ja! Ja miałem wizję i odwagę, by je realizować! Ludzie tacy jak ja są zaczynem rozwoju! To my tworzymy postęp! Bez nas ludzkość dalej siedziałaby w jaskiniach! A postęp wymaga ofiar.

— Ludzie tacy jak pan przynoszą ujmę innym lekarzom — zaprotestowała Pia ostro. — Poświęcił pan niewinnych pacjentów! Zabijał pan dla swojej wizji! Zostanie pan zapamiętany jako pozbawiony skrupułów i chciwy przestępca, który wyrządził wielkie szkody transplantologii! Lekarze będą się pana wstydzić, a pana książki pójdą na makulaturę!

Każde słowo trafiało rozdętą próżnością duszę Rudolfa niczym pchnięcie mieczem. Pia widziała, jak zmienia się jego twarz, gdy zaczynał rozumieć, że to ona ma rację.

— Lekarz, który nie odczuwa empatii w stosunku do swoich pacjentów, powinien być zostać stolarzem — dodała ostro. — Porażka w stolarni nie pociąga za sobą tragicznych skutków!

— Ja nie poniosłem porażki! — parsknął chirurg. Pulsowała mu żyła na

skroni, a na czole perlił się pot.

— A jednak poniósł pan porażkę. — Pia potrząsnęła głową. Teraz z kolei mówiła z głębokim współczuciem, co doprowadzało Rudolfa do szewskiej pasji. — I to pod każdym względem, zawodowym i prywatnym. Jeśli w ogóle wyjdzie pan jeszcze kiedyś z więzienia, to jako samotny, zgorzkniały starzec.

Dieter Rudolf skrzywił się gwałtownie. Nie potrafił już kontrolować emocji. Nerwowo pocierał dłońmi o uda.

— Kto zepchnął Helen Stadler z mostu pod nadjeżdżający pociąg? — Pia niespodziewanie zmieniła temat. — Chciał pan w ten sposób zatuszować swoje niepowodzenia?

Profesor zmierzył ją nienawistnym wzrokiem.

— Żałuję, że to nie byłem ja! — wysyczał ochryple. — Chętnie zabiłbym tę małą zdzirę, która zniszczyła moje życie i pracę! Dużo bym dał, żeby to zrobić. Ale to nie byłem ja. Niestety!

Rudolf drżał na całym ciele, z kącika ust kapała mu ślina, a zaciśnięte pięści pobieleły z braku dopływu krwi.

— To kto w takim razie? — Pia była niewzruszona. — Śmiało, niech pan mówi. Współpraca może panu tylko pomóc i złagodzić nieco wyrok.

— Pocałujcie mnie w dupę! — wybuchnął Rudolf. — Żądam adwokata!

Pia i Bodenstein wstali.

— I niech lepiej poszuka pan specjalisty od spraw karnych — poradził mu Bodenstein. — Bo stanie pan przed sądem oskarżony o kilka zabójstw.

— Niczego mi nie udowodnicie! Niczego! — wrzeszczał lekarz, czerwony z wściekłości. — Nic nie macie!

— Wręcz przeciwnie, mamy. — Bodenstein zmierzył go lodowatym spojrzeniem. — W nocy z soboty na niedzielę był pan w domu Gehrkego. Mamy świadka, który widział, jak pan stamtąd wychodził. Wiemy też, że uspił pan staruszkę chloroformem, a potem zamordował zbyt dużą dawką

insuliny.

— Co za bzdury! — Profesor szedł w zaparte. — Kto wam w to uwierzy? Fritz był moim przyjacielem!

— Przyjaźń może się skończyć, kiedy jedna strona okłamuje drugą. — Bodenstein potrząsnął głową. — W pana domu znaleźliśmy należące do pana ubrania przesiąknięte zapachem dymu. W pana samochodzie znajdowały się dokumenty zabrane z domu Fritza Gehrkego i buteleczka z chloroformem. A w pana sejfie zabezpieczyliśmy telefon komórkowy, z którego przeprowadził pan ostatnio bardzo wiele rozmów. Przy okazji, pana córka okazała się nad wyraz pomocną osobą.

Rudolf pobladł jak śmierć.

— To ona podrzuciła dowody, żeby mnie wrobić. Ona mnie nienawidzi! — wyjąkał. — Żądam adwokata! Natychmiast!

— CO ZA ODRAŻAJĄCY TYP! — Pia aż zadrżała, kiedy wyszli z sali przesłuchań. — Nic go nie obchodzi los Burmeistera!

— Ludzie owładnięci manią wielkości tracą jasny ogląd sprawy. — Bodenstein wzruszył ramionami. — Zakochany w sobie narcyz i zaślepiiony chciwością egocentryk w jednym.

— Gdyby nas nie okłamał, dużo wcześniej dopadlibyśmy Stadlera. Tak mnie tym wkurzył, że musiałam go sprowokować.

Szli korytarzem w stronę sali odpraw.

— Kogo bali się Riegelhoff i Furtwängler? Ta sprawa ma przecież ponad dziesięć lat! — Pia zatrzymała się przed metalowymi drzwiami ognioodpornymi prowadzącymi na klatkę schodową.

— W przypadku Furtwänglera czy dyrektora szpitala strach jest zrozumiały — wyjaśnił Bodenstein. — Taki skandal, ujawniony nawet po dziesięciu latach, mógłby zrujnować całą klinikę. Tym bardziej gdyby

wyszło, że wszyscy go tuszowali.

— W takim razie to samo dotyczyłoby adwokata. — Pia skinęła głową. — Brał czynny udział w ukrywaniu tej sprawy, więc mógłby stracić prawo wykonywania zawodu i wylądować przed sądem. Całkiem możliwe, że w grę wchodziły łapówki za milczenie. Kto wie.

Bodenstein otworzył drzwi i chwilę później znaleźli się w sali odpraw. Kilka osób przebudziło się z letargu, a część dalej trwała w czymś w rodzaju drzemki, nie reagując na żadne bodźce. Na stole piętrzyły się brudne talerze, szklanki, kubki, butelki i puste pudełka po pizzy. W powietrzu był zaduch, a w pomieszczeniu panowała kościelna cisza. Widząc swoich ludzi w tak złym stanie, Bodenstein pomyślał w duchu, że na szczęście lada chwila powinno być po wszystkim.

Przy jednym ze stołów siedzieli prokurator odpowiedzialny za sprawę Snajpera, Nicola Engel, Kim i Kai Ostermann i rozmawiali półgłosem.

Bodenstein i Pia dołączyli do nich i zdali sprawozdanie z przesłuchań Thomsena i Rudolfa.

— Stadler zamorduje Hartiga, jak tylko skończą z Burmeisterem — zakończył Bodenstein. — A wtedy sprawa może okazać się trudna do udowodnienia, bo zainteresowani będą milczeć, żeby siebie samych nie obciążać.

— Tylko dlaczego Stadler miałby to zrobić? — Nicola Engel była sceptyczna. — Wygląda na to, że Hartig to jego wspólnik.

— Stadler nie uważa się za mordercę, tylko za mściciela walczącego w słusznej sprawie — odparł Bodenstein. — Wykorzystuje materiały zgromadzone przez Helen, żeby odpłacić pięknym za nadobne tym, którzy jemu sprawili cierpienie. Konsekwentnie realizował swój plan i nie zostawiał śladów. Jednak w pewnym momencie coś się zmieniło.

— Co takiego? — zapytał prokurator, wysoki, łysy czterdziestokilkulatek

uchodzący za bardzo surowego.

— Nie zaatakował żadnej z bliskich osób Burmeistera, tylko jego samego — wyjaśnił Bodenstein. — Nie zapolował na jego córkę, partnerkę czy była żoną. Dlaczego? Dlaczego nagle zmienił taktykę, która dotychczas świetnie działała?

— Może dowiedział się czegoś nowego? — podsunął prokurator.

— Też tak myślę. — Oliver potaknął. — Ale czego? I skąd?

— Od Hartiga? — myślała głośno Pia.

— Nie, ja bym raczej obstawiał Vivien Stern, tę przyjaciółkę jego córki — oświadczył Bodenstein. — Jakkolwiek na to patrzeć, to osoba z zewnątrz, która już wcześniej zmieniła jego sposób postrzegania tej sprawy. Mogę się założyć, że to przez nią wpadł na pomysł, żeby Hartiga też umieścić na swojej liście, choć tutaj nie mam całkowitej pewności.

— Cem i Kathrin są z tą dziewczyną — wtrącił Kai. — Bardzo nie chciała przyjeżdżać do komendy, więc zostali u niej.

— Kiedy rozmawialiśmy ze Stadlerem i wspomnieliśmy mu o dzienniku Helen? — Bodenstein spojrzał na Pię.

— Wczoraj wieczorem — odpowiedziała.

— Jeśli Vivien Stern powiedziała Stadlerowi, że Hartig wszelkimi sposobami chciał przeszkodzić Helen w wyjeździe do Stanów, to Stadler musiał założyć, że Hartig związał się z nią z czystego wyrachowania. — Bodenstein przedstawił swoją teorię. — Hartig wykorzystał Stadlerów do swoich celów, nakłaniając ich do złożenia z góry przegranego pozwu przeciwko szpitalowi. Jednak kiedy wspierana przez Thomsena Helen zaczęła grzebać w starej sprawie, musiał ją powstrzymać, bo inaczej by wyszło, jaką rolę sam odegrał w związku ze śmiercią jej matki. Dlatego zaczął ją faszerować lekami. Jestem pewny, że szybko by przez niego trafiła do zakładu dla psychicznie i nerwowo chorych, z którego pewnie nigdy by

już nie wyszła. Ktoś — jeśli nie on sam oczywiście — załatwił ten problem raz na zawsze, zrzucając Helen z mostu pod pociąg. Tyle że Hartig nie przewidział, że jej rodzina i Thomsen zdawali sobie sprawę, jak bardzo się go bała.

— Dziewczyna wpadła w łapy dwóch psychopatów, którzy nie mieli nic do stracenia — dokończyła Pia. — Jedyłą osobą, która mogła ją z tego wyciągnąć, był Mark Thomsen.

— Więc dlaczego tego nie zrobił? — zdziwił się Kai.

— Dlatego, że nie do końca rozumiał niebezpieczeństwo i nie dostrzegął, co się naprawdę dzieje w trójkącie Helen, jej ojciec i narzeczony — wyjaśnił Bodenstein.

— To są tylko spekulacje. — Prokurator potrząsnął głową.

— Na razie tak, zgoda. — Bodenstein wolał się nie spierać. — Ale takie spekulacje to solidny warsztat policyjnej pracy, który leży u podstaw całego dochodzenia. Od setek lat tak pracujemy. Genetyczne odciski palców czy inne czary-mary to zupełnie co innego. Kai, zadzwoń proszę do Cema. Niech zapyta Vivien Stern, kiedy ostatnio rozmawiała ze Stadlerem.

— Ale jest pan przekonany, że Stadler i Hartig współpracowali przy okaleczaniu Burmeistera, tak? — upewnił się prokurator.

— Tak, jestem tego pewny — potwierdził Bodenstein. — Hartig jest świetnym chirurgiem. A Stadler wszystko nagrywał.

Kim nie brała udziału w rozmowie, tylko przysunęła sobie komputer Kaia i klatka po klatce oglądała nagranie z amputacją dłoni Burmeistera.

— Linoleum na podłodze, które widać na filmie... to nie daje mi spokoju — powiedziała w końcu. — Takich wykładzin nie znajdziecie w kuchniach ani w rzeźniach. Mokra staje się zbyt śliska, nie mówiąc już o tłuszczu, który zrobiłby z niej lodowisko. Ale coś mi przyszło do głowy. Popatrzcie tylko!

Odwróciła laptop. Na ekranie widać było jedną klatkę z zatrzymanego

filmu. Wszyscy skupili się na niewyraźnym obrazie.

— Tutaj! — Kim wskazała palcem na jakiś punkt w tle. — To jest drewniana ławka, a nad nią widać cień wieszaków na ubrania. I teraz to logiczne, dlaczego akurat taka podłoga! Bo to szatnia sali gimnastycznej!

— Szkolna sala gimnastyczna! Tak, to może być to! — Kai złapał się za głowę. — Przecież są jeszcze ferie, więc szkoły stoją puste. Nikt ich nie pilnuje jak biurowców, bo to byłoby za drogie.

— Świetna robota — pochwalił Bodenstein. — Dajcie znać naszym, żeby zaczęli sprawdzać wszystkie szkoły z salami gimnastycznymi w zachodniej części Frankfurtu. A najpierw sprawdźcie, ile ich jest. I pamiętajcie, że Stadler jeszcze nie skończył!

— SZEFIE, TO BYŁ STRZAŁ W DZIESIĄTKĘ! — krzyknął Kai Ostermann, odkładając słuchawkę. — Wczoraj wieczorem Stadler zadzwonił do Vivien Stern, pewnie krótko po tym, jak wyszliście od niego. Chciał wiedzieć, co Helen mówiła o Hartigu i co się wtedy działo. Poza tym zapytał, jak wyglądał szesnasty września zeszłego roku, czyli dzień, w którym jego córka popełniła samobójstwo. Ja oczywiście również ją o to zapytałem, a ona zalała się łzami i powiedziała, że Helen miała się spotkać z kimś ze szpitala, kto znał prawdę o śmierci jej matki i był gotów jej wszystko opowiedzieć. Pani Stern miała złe przeczucia i chciała jechać z nią, ale Helen jej zakazała. Powiedziała, że ma wszystko pod kontrolą.

— No i? — naciskała Nicola. — Z kim miała się spotkać?

— Tak jak mówiłem, zdradziła jej, że chodzi o lekarza ze Szpitala Urazowego we Frankfurcie. — Ostermann potrząsnął głową. — Ale o kogo chodziło, już nie wyjawiała.

Ktoś otworzył okno i salę wypełniło świeże, rześkie powietrze. Nikt już nie ziewał.

— To by potwierdzało zeznania Thomsena — oświadczyła Pia. — Zaplanowane zabójstwo, żeby ratować dobre imię szpitala.

— Które zostało ujawnione przez czysty przypadek — dokończyła Nicola Engel i z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

— Mamy zabezpieczone ślady DNA pobrane w czasie sekcji spod paznokci Helen Stadler — oznajmił Kröger. — Wystarczy teraz porównać wysekwencjonowany materiał z próbkami materiału ze śliny Hausmanna, Janninga, Rudolfa i Burmeistera, a będziemy wiedzieć, który z nich tam był.

— No proszę, czyli wasza praca to nie tylko stuletni warsztat oparty na przypuszczeniach, ale też współczesne czary-mary. — Prokurator Rosenthal uśmiechnął się szeroko. — Mimo to, naprawdę, świetna robota.

— Przyszły też nagrania z kamer na lotnisku — dodał Kröger. — Poczekajcie, odtworzę je na dużym ekranie.

Jak zaczarowani wpatrywali się w film. Na ekranie widać było drzwi i krótką ladę przy wyjściu C oraz kawiarnię nieopodal.

— Zatrzymaj! — krzyknęła Pia.

Kröger zatrzymał odtwarzanie i powiększył.

Przy jednym ze stolików siedziało dwóch Azjatów, obok jakiś mężczyzna z gazetą, a zupełnie z tyłu dwóch innych mężczyzn zajętych smartfonami.

— To musi być ten z gazetą — stwierdziła Pia. — Siedzi w taki sposób, żeby widzieć całą halę.

Kröger włączył odtwarzanie w zwolnionym tempie. Dla kogoś niezbyt uważnego mężczyzna był zwykłym podróżnym, z wąsami, w rogowych okularach, który siedzi z gazetą i pije kawę. Przy starannej analizie jego zachowania natychmiast rzucało się w oczy, że choć przewracał od czasu do czasu strony, ani nie czytał gazety, ani nie pił kawy. Zajmowało go za to to, co się działo w hali przylotów.

— To na pewno ten sam człowiek, który kilka minut później wsiadł do



taksówki Burmeistera — stwierdził Kai. — I to bez najmniejszych wątpliwości. Wszystkie szczegóły się zgadzają — krawat, okulary, wąsy.

— No to gratulacje, macie go — stwierdził prokurator. — Teraz wystarczy go złapać.

Ledwie wypowiedział te słowa, ktoś gwałtownie pchnął drzwi do sali odpraw i do środka wpadł dyżurny, krzycząc już od progu:

— Mają go!

Wszyscy zerwali się jak porażeni prądem. Przez pomieszczenie przetoczyła się fala gwałtownej ekscytacji, która przyniosła tutaj nawet flegmatycznego z natury Ehrenberga.

— Koledzy z Frankfurtu namierzyli jego samochód za salą gimnastyczną szkoły imienia Ludwiga Erharda w Unterliederbach.

W końcu coś się zaczęło dziać. Bodenstein szybko rozdzielił zadania. W ciągu trzydziestu minut ruszyła największa akcja policyjna w historii regionu. W Unterliederbach i w okolicy zamknięte zostały wszystkie ulice, drogi, alejki i polne dróżki. Wprowadzono policyjne blokady, gdzie wszystkie auta były po kolei sprawdzane. Nawet wjazd na A66 został zamknięty, tak samo jak Königsteiner Strasse, prowadząca do krajowej B8 i na autostradę. Nawet mysz nie mogłaby się wymknąć z tej dzielnicy Frankfurtu. Nicola Engel i Kai Ostermann koordynowali akcję z komendy, bo Bodenstein wolał pojechać na miejsce.

— Christian, chodź, pojedziesz z nami, ale wyślij zaraz dwóch swoich ludzi do szpitala — przypomniał sobie, wychodząc już z sali odpraw. — Niech sprawdzą biura Hausmanna, Janninga i Burmeistera i przywiozą coś, z czego pobierzemy ich DNA do badań porównawczych. Prokurator da ci szybko zgodę.

— Już się robi — potwierdził Kröger i sięgnął po komórkę.

Cztery radiowozy czekały z włączonymi syrenami przed wejściem do

komendy, żeby odeskortować do Unterliederbach samochody Pii, Bodensteina, Krögera i jego zespołu techników. W czasie jazdy radio policyjne zostało ściszone, a Pia, z siedzenia pasażera, załatwiała jeden telefon za drugim. Bodenstein rzucił jej szybkie spojrzenie. Dostrzegł napięcie malujące się na jej twarzy; tak samo jak on traktowała tę sprawę bardzo osobiście. Wcześniej, kiedy zobaczył ją płaczącą na schodach, poczuł się głęboko poruszony, bo nie pamiętał, żeby kiedykolwiek była w takim stanie; nie płakała nawet przed dwoma laty, kiedy gang pedofilów porwał wnuczkę Christophą, a on sam został ranny. Jednak od tamtego czasu stała się bardziej wrażliwa. Nagle Bodenstein poczuł, że chce wziąć ją w ramiona, przytulić i zapewnić, że przez ostatnie dwa tygodnie dokonywała rzeczy nadludzkich.

Pia skończyła rozmawiać z Karoline Albrecht i natychmiast wysłała radiowóz do domu profesora Rudolfa w Oberursel, w którym aktualnie przebywała jego córka, a potem zadzwoniła do Hausmanna i upewniła się, że on i jego rodzina są bezpieczni. Janning również przeraził się nie na żarty, kiedy zobaczył na zdjęciach, co się stało z Burmeisterem.

— Jesteśmy wszyscy w domu i nie wyjdziemy na zewnątrz, dopóki nam pani nie pozwoli — zapewnił.

Na policyjnych częstotliwościach rozpętało się prawdziwe piekło.

— Co to za człowiek z tego Rudolfa! — Pia ścisnęła komórkę między kolanami i przytrzymała się drzwi, bo Bodenstein bardzo ostro wszedł w zakręt. — Pozwolił komuś umrzeć, żeby nie stracić hojnego sponsora, który opłacał jego szalone badania. A to może być tylko wierzchołek góry lodowej! Ma ponad sześćdziesiąt lat, a nie potrafi okazać żalu, bo uważa, że nie zrobił nic złego! Nawet śmierć żony nie skłoniła go do przemyśleń.

— Wręcz przeciwnie. Ze strachu przed konsekwencjami postanowił zamordować swojego starego znajomego — zaprzeczył Bodenstein. — To

jest dopiero nie do pojęcia!

Jechał za radiowozem na sygnale, który błyskał niebieskimi światłami, i w pełnym pędzie mijali długi sznur unieruchomionych blokadami samochodów. Przy wjeździe do Unterliederbach zwolnili, a zespoły na miejscu powiadomiły przez radio, że szkoła jest obstawiona.

— Drzwi są rzeczywiście wyłamane — zaskrzeczał głośnik. — Co dalej?

— Nie czekajcie na nas, tylko zabezpieczcie budynek! — polecił Bodenstein. — Utknęliśmy trochę na zjeździe z autostrady! Jeśli jest tam ranny, trzeba zapewnić mu błyskawicznie opiekę lekarską!

— Przyjąłem. Bez odbioru!

Bodenstein bębnił zniecierpliwiony o kierownicę. Na przemian robiło mu się gorąco i zimno. Nagle ogarnęło go złe przeczucie, że znów się spóźnili.

KIEDY DOTARLI POD SZKOŁĘ, było już po wszystkim, a przeczucie Bodensteina zmieniło się w pewność. Wszyscy mieli wypisane na twarzy rozczarowanie z powodu tego, że sprawcy uciekli. W jednej z szatni sali gimnastycznej znaleziono Burmeistera i natychmiast doprowadzono do niego lekarza.

— Wybacz, nie dam rady tam wejść. — Pia stanęła.

— Nie przejmuj się. — Bodenstein potrząsnął głową. — Ty zajmij się autem.

Kobieta z wdzięcznością skinęła głową i zniknęła w ciemności, a Oliver z Krögerem weszli do hali. Typowy dla takich miejsc zapach starego potu ginął pośród intensywnego słodko-metalicznego zapachu krwi. Lekarz i ratownicy zajmowali się już rannym.

— Co z nim? — zapytał Bodenstein, stając w drzwiach szatni. Wmawiał sobie, że nie może przekroczyć progu, żeby nie zacierać śladów, lecz w rzeczywistości nie chciał widzieć na żywo tego, co niedawno zobaczył na

filmie.

— Ustabilizowaliśmy go krążeniowo i zaraz bierzemy do szpitala w Höchst — odpowiedział lekarz pogotowia. — Ma obcięte dłonie, ale powiem szczerze, że to całkiem przyzwoita robota. Tyle że jest już za późno, żeby je przyszyć.

— Dlaczego?

— Niech pan sam popatrzy — odpowiedział mężczyzna. — Od piętnastu lat robię w tym fachu i myślałem, że wszystko już widziałem. Ale dzisiaj... co mogę powiedzieć, jest coraz gorzej.

Bodenstein zebrał się na odwagę i wszedł do szatni. Linoleum na podłodze było pokryte plamami zaschniętej krwi. Burmeister leżał na jednej z ławek, przywiązany nylonowymi pasami, które zazwyczaj wykorzystuje się przy pakowaniu bagażu. Jeszcze nie odzyskał przytomności.

Bodenstein przełknął głośno. Kiedy zobaczył pozostałości przedramion owiniętych w zakrwawione bandażę, poczuł na plecach gęsią skórę. Od wielu lat pracował w wydziale zabójstw i widział już najróżniejsze przerażające rzeczy, więc trudno było nim wstrząsnąć. Tym razem jednak widok obciętych dłoni leżących na podłodze jak para rzuconych brudnych skarpetek sprawił, że przeszedł go zimny dreszcz. Ten obraz najbardziej brutalnego i poniżającego potraktowania innego człowieka wrył mu się w pamięć już na zawsze. Poczul się niedobrze na samą myśl, jak to wszystko przebiegało. Jeden z ratowników przeciął pasy, którymi Burmeister był unieruchomiony. Chirurg jęknął i poruszył się.

— Odzyskuje przytomność — stwierdził lekarz z pogotowia, na co Bodenstein odwrócił się na pięcie i uciekł z szatni.

ANI ŚLADU STADLERA, ani śladu Hartiga. Srebrna toyota Stadlera stała zamknięta z boku szkolnego dziedzińca, niedaleko wejścia do sali

gimnastycznej. Drzwi do niej nosiły ślady użycia łomu, którym musieli się posłużyć, żeby dostać się do środka. Nad dzielnicą krążył policyjny helikopter, a przy policyjnej blokadzie tłoczyli się ciekawscy wymieszani z pierwszymi dziennikarzami.

Bodenstein przysiadł na brzegu betonowej donicy i otarł zimny pot z czoła. Stadler się ulotnił. Krew na podłodze szatni zdążyła zakrzepnąć; amputacja lewej dłoni Burmeistera miała miejsce kilka godzin wcześniej. Przez ten czas Hartig i Stadler zdążyli uciec. Celowo zostawili samochód pod szkołą — to z ich strony kolejna kpina z policji, jednoznaczna wiadomość skierowana bezpośrednio do niego: Bodenstein, jesteś dla nas za wolny!

Pod szkołę podjechał policyjny holownik, a pracownicy załadowali srebrną toyotę. Pia przeszła wolnym krokiem przez podwórze i stanęła obok niego.

— Kto wie, jakim samochodem uciekają — stwierdziła i potrząsnęła głową.

— Pewnie wozem Hartiga. — Oliver całkowicie stracił zapał do pracy i energię. Miał wrażenie, jakby był przymurowany do masywnej donicy.

Burmeistera zaniesiono do oczekującej przed wejściem karetki. Kierowca uruchomił sygnały świetlne, reflektory rozświetliły mrok i ambulans ruszył. Bodenstein starał się wymazać z pamięci obrzydliwy widok obciętych rąk, lecz nie potrafił.

Nagle pomyślał o Karoline Albrecht. Ona przynajmniej była bezpieczna. Dobrze, że Pia wysłała radiowóz, żeby miała ochronę! Nie wiedział, skąd to się w nim brało, ale czuł się szczególnie zainteresowany tą silną, pewną siebie kobietą o intensywnie zielonych oczach.

— Gdzieś muszą się ukryć — powiedziała Pia, bardziej do siebie niż do niego. — Jest zimno, więc nocy w samochodzie raczej nie spędzą. A my mamy na oku ich melinę.

— Może mają jeszcze jedną kryjówkę, o której na razie nie mamy pojęcia?

— Chodź, nic tu po nas. — Pia wsunęła dłonie do kieszeni kurtki. — I tak nic mądrego nie zrobimy. Znów pozostaje nam czekać, aż Stadler wystawi gdzieś głowę albo wpadnie na którąś z naszych blokad.

— Święta racja. — Bodenstein wstał ciężko z kwietnika. Czuł się, jakby jego rozczarowanie miało postać ciężkiego brzemienia, które teraz będzie nosił na ramionach. — Jedziemy.

BLOKADY POLICYJNE ZOSTAŁY ODWOŁANE, korki się rozładowały, a ruch uspokoił. Pia siedziała za kierownicą. Włączyła migacz i już chciała zjechać z Königsteiner Strasse, żeby dostać się na autostradę w kierunku Wiesbaden, kiedy rozdzwoniła się komórka Bodensteina, połączona z zestawem głośnomówiącym.

— Obiekt skręcił w naszym kierunku — odezwał się szef oddziału antyterrorystycznego. Oliver umówił się z nim, że na wszelki wypadek zrezygnują z używania radia policyjnego, a kontaktować się będą przez komórki. — Jest sam. Prowadzi ciemne volvo, numery rejestracyjne MTK-JH 112.

Pia zareagowała w mgnieniu oka. Wyłączyła migacz, wdepnęła gaz do oporu i pojechała prosto, mijając po raz kolejny centrum handlowe Main-Taunus. Na tyle dobrze znała okolicę, że wiedziała, jak najszybciej dojechać na miejsce.

— Jest sam w samochodzie Hartiga — powiedział Bodenstein. — To pewnie znaczy, że Hartig już nie żyje.

Pia była blada. Skupiona na prowadzeniu nie odpowiedziała szefowi.

Bodenstein przekazał Ostermannowi najnowszą wieść, po czym zamilkł, wyczerpany, ale i podekscytowany. Huśtawka nastrojów, podniecenie i rozczarowanie zaraz po sobie były potwornie męczące. Jego serce waliło z taką siłą, jakby chciało rozsadzić klatkę piersiową. Niezdrowa jest ta praca,

cholernie niezdrowa, pomyślał. Dobrze, że przynajmniej miał jakąś alternatywę. Miał tak serdecznie dość bycia wdzonym za nos! Nie chciał już widzieć krwi, śmierci i rozpacz. Nie chciał, by znów ktoś go okłamywał albo traktował jak idiotę. Najbardziej bolało go to, że zaufał Neffowi — bądź co bądź obcej osobie, która w ogóle nie należała do zespołu!

— Cel znajduje się w samochodzie! — Z głośników rozległ się głos dowódcy oddziału. — Silnik wyłączony. Może czegoś się spodziewa, ale tym razem nam nie ucieknie. Wszystkie drogi ucieczki odcięte, snajperzy na pozycjach.

— Naprawdę jest sam? I nie wysiada? — powtórzył Bodenstein, podczas gdy Pia gnała sto osiemdziesiąt na godzinę, nie zważając na gęstniejącą mgłę.

— Potwierdzam. Możemy wchodzić?

— Nie, jeszcze nie. — Bodenstein potrząsnął głową. — Dajcie mu wysiąść i wejść na działkę! Rozpocznijcie realizację, gdy tylko zbliży się do domu. I pamiętajcie, że potrzebujemy go żywego!

Pia zwolniła nieco, skręciła najpierw w lewo, a potem na skrzyżowaniu w Hornau w prawo na obwodnicę Gagernring. Mgła ograniczała widoczność do kilkunastu metrów.

— Tutaj! — Bodenstein wskazał w lewo. — Jedź i nie przejmuj się zakazem. Oszczędzimy dobrych dziesięć minut.

— Cel przebywa w samochodzie — zameldował się szef antyterrorystów. — Mamy bardzo złe warunki, przez mgłę widać na odległość wyciągniętego ramienia.

— W takim razie zaczynajcie, jak tylko będziecie gotowi — polecił Bodenstein. W duchu się modlił, by z przeciwka nie jechał akurat jakiś autobus, który zmusiłby ich pewnie do cofania się aż do zakazu wjazdu.

*WYSIADŁ, ZATRZASNAŁ DRZWI i przekręcił kluczyk w zamku, po czym*

ruszył w stronę zardzewiałej furtki. Zaskrzypiały zawiasy, kiedy ją otwierał. Był zmęczony. Śmiertelnie zmęczony. Miał za sobą niezliczone bezsenne noce. Tęsknił już tylko za ciepłym prysznicem i wygodnym łóżkiem. Nie tęsknił za telefonem, za innymi ludźmi i za rozmowami. Nie chciał już więcej myśleć. Chodnikiem z betonowych płyt ruszył w stronę werandy. Nachylił się, żeby sięgnąć klucz spod wycieraczki. W tej samej chwili okolicę zalało jaskrawe światło. Serce podskoczyło mu ze strachu. Odwrócił się. Reflektory go dosłownie oślepiały. Zamknął oczy.

— Ręce nad głowę! — ryknął ktoś w jego kierunku, a on posłuchał. — Na ziemię! Już! Na ziemię!

Nagle cała okolica ożyła. Spośród kłębow mgły wyłaniali się kolejni policjanci, w czarnych mundurach i kominiarkach. Głosy. Kroki. Ktoś złapał go za ramiona i postawił brutalnie. Został przeszukany. Później znów wylądował na ziemi. Boleśnie wykręcono mu ręce na plecy i zakuto w kajdanki. Serce waliło mu jak oszalałe, a pot ściekał po czole. Choć od początku liczył się z takim zakończeniem, to bał się go. Ale wytrzyma. Wiedział, że wytrzyma. Musiał. Do jutra rana.

WIADOMOŚĆ O SUKCESIE AKCJI ANTYTERRORYSTÓW dotarła do Pii i Bodensteina, kiedy jechali przez Fischbach.

— Obiekt nie stawiał oporu — przyznał szef oddziału. — Był nieuzbrojony.

— Doskonale. Za pięć minut jesteśmy na miejscu. — Bodenstein opadł na oparcie i zamknął oczy. Począł, aż serce zwolni na tyle, że nie będzie bał się zawału, i wybrał numer Kaia.

— Mają go — rzucił tylko. — Nie stawiał oporu.

— W końcu się wyśpię jak człowiek. — Pia uśmiechnęła się słabo. — Chwała Bogu!

Skreśliła w polną drogę i zaparkowała na początku Eibenweg. Pośród mgły



ruszyli w stronę końca ślepej uliczki, oświetlonej reflektorami i pełnej policji. Czarne pojazdy jednostki antyterrorystycznej i kilka radiowozów blokowało dostęp do numeru dziewiętnaście. Volvo Hartiga stało przytulone do żywopłotu z cisów.

Bodenstein i Pia weszli przez bramę na teren posesji i dalej chodnikiem w stronę werandy. Stadler leżał na ziemi, przy schodach na werandę, z rękoma skutymi na plecach.

Przez ostatnich kilka dni Oliver wiele razy wyobrażał sobie, jak to będzie, kiedy w końcu złapie Snajpera. Teraz był zdziwiony i zaskoczony, bo nie czuł absolutnie nic. Może tylko ulgę, ale na pewno żadnej złości czy nienawiści. Może później poczuje? Czekają ich przecież niekończące się przesłuchania. A na razie był po prostu szczęśliwy, że koszmar się skończył.

— Podnieście go — polecił.

Dwóch rosyjskich antyterrorystów szarpnięciem postawiło go na nogi. Mężczyzna zamrugał oślepiiony jaskrawym światłem. Bodenstein usłyszał, jak Pia zachłysnęła się zaskoczona. Widział naprzeciwko siebie człowieka, którego znał, lecz jego umysł przez chwilę odrzucał to, co zobaczył. Przed nim stał nie Dirk Stadler, a Jens-Uwe Hartig.

Godzina czwarta nad ranem.

Od kiedy został pojmany, Jens-Uwe Hartig nie odezwał się jeszcze ani słowem. Błady i milczący siedział na plastikowym krześle w sali przesłuchań i unikał jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego z policjantami. Zaczerwionymi oczyma wpatrywał się w blat stołu i starał się nie ruszać. Nie reagował ani na groźby, ani na prośby, więc krótko po północy Bodenstein poddał się i przerwał przesłuchanie. W bagażniku jego samochodu policja zabezpieczyła karabin snajperski Steyr SSG 69 z celownikiem optycznym, tłumikiem, laserowym dalmierzem i odpowiednią amunicją. Janning, Hausmann i jego córka nadal byli chronieni, bo Stadler wciąż pozostawał na wolności, a nawet bez broni mógł stanowić dla nich niebezpieczeństwo.

Mało kto zdecydował się wrócić do domu. Bodenstein spał na fotelu w swoim biurze, a Kim owinęła się kocem i zasnęła na wykładzinie w pokoju siostry. Pia zatelefonowała do Christoph'a, a potem usiadła przy biurku i zaczęła myśleć. Na szafce z aktami stał mały telewizorek. Włączyła go bez głosu. Kai zajął miejsce naprzeciwko niej, położył nogi na biurku i szybko usnął. Głowa opadła mu na pierś i ciszę przerywało tylko jego rytmiczne pochrapywanie. Wszystkie lampy były wyłączone i tylko ekran telewizora zapewniał migotliwą niebieskawą poświatę.

Pia nie mogła zasnąć. Mimo że była wyczerpana, śmiertelnie zmęczona i piekły ją oczy, szalejące w głowie myśli nie dawały jej spokoju. Bez celu skakała po kanałach. Na NTV w kółko powtarzali informacje dotyczące ich akcji w szkole w Unterliederbach. Na ekranie widziała policyjne blokady, halę gimnastyczną i archiwalne zdjęcie Simona Burmeistera. Reporter trzymał przy ustach mikrofon i poruszał ustami, lecz bez głosu jego poważna

mimika wyglądała komicznie.

Przyjęła, że Stadler zamorduje Hartiga. Więc co się stało? Czyżby to Hartig pierwszy zabił Stadlera? A może to nie Stadler był Snajperem, tylko narzeczony jego córki?

Domyślała się, że nigdy już nie zrozumie, co popycha ludzi do robienia takich rzeczy; do okłamywania, do poniżania i mordowania i jednocześnie do wiary, że to wszystko może im ujsć na sucho.

Ziewając, przełączała kanały. Miała ochotę na papierosa, ale była zbyt leniwa, żeby wstać, zejść na dół i wyjść na mróz zapalić. Jedna z prywatnych stacji telewizyjnych nadawała powtórkę starego horroru z zombie grasującymi po cmentarzu. Chciała przejść dalej, ale nagle coś jej przyszło do głowy. Momentalnie zniknęła cała senność. Pobiegła do biura Bodensteina i szarpnęła go za ramię. Policjant drgnął przestraszony.

— Co się dzieje? — zapytał zdezorientowany.

— Myślę, że Dirk Stadler jest na cmentarzu! — szepnęła podekscytowana. Bodenstein ziewnął szeroko i potarł oczy.

— Na jakim znowu cmentarzu? — zapytał.

— Na grobie córki! — wyjaśniła Pia. — Zakończył swoją misję, bo gdyby coś jeszcze planował, toby nie zostawiał w samochodzie karabinu, prawda? Chodź, musimy to sprawdzić.

Bodenstein potrzebował chwili, żeby dojść do siebie i zrozumieć, co właśnie usłyszał. W końcu skinął głową.

— Może masz rację — mruknął. — W każdym razie sprawdzić nie zaszkodzi.

W MILCZENIU JECHALI PRZEZ CIEMNE ULICE. Mgła była tak gęsta, że odbijała światło reflektorów i skutecznie ich oślepiła. Od czasu do czasu wycieraczki zgarniały wodę gromadzącą się na przedniej szybie. Piętnaście

minut później dotarli na parking przed cmentarzem w Kelkheim. Pia zaparkowała zaraz przy wejściu. Bodenstein z bagażnika wyjął latarkę i razem ruszyli wzdłuż rzędu nagrobków. Słabe światło kieszonkowej latarki przesuwano się migotliwie po ziemi. Nagle Pia poczuła pęd powietrza i coś musnęło jej głowę. Przykucnęła. Serce waliło jej ze strachu.

— Co to było?

— To tylko sowa — powiedział Bodenstein, który szedł kilka kroków przed nią. — Uważaj na głowę, bo gałęzie się nisko zwieszają.

Z mgły tuż przed jej oczyma wyłaniały się niespodziewanie pozbawione liści gałązki. Pia rozejrzała się, ale Bodenstein zniknął gdzieś z przodu. Dookoła była tylko ciemność i groźnie wyglądające zarośla. Serce waliło jej jak szalone.

— Gdzie jesteś?! — krzyknęła i natychmiast rozzłościła się na siebie, bo jej głos zabrzmiał słabo i strachliwie. Gdzieś przed nią zaskrzypiał zamarznięty żwir.

— Tutaj. — Przyjrzał się jej uważnie. — Wszystko w porządku?

Chciała powiedzieć, że tak, oczywiście, ale to byłoby kłamstwo. Drżała z zimna i ze strachu. Na wszelki wypadek musnęła broń, którą miała w kaburze przy pasku. Bodenstein podał jej ramię, a ona z wdzięcznością przyjęła ten gest.

— Zaraz będziemy — powiedział i skręcił w wąską alejkę. — Tam, przed nami!

Uniósł latarkę. Pia poczuła suchość w ustach i jeszcze mocniej przywarła do jego ramienia. Potem odsunęła się kawałek i wyjęła broń. Na płycie nagrobnej, oparta o nagrobek, leżała nieruchoma postać.

— Panie Stadler? — Bodenstein przesunął snop światła w górę, na twarz mężczyzny. Dirk Stadler leżał na plecach. Był bosy i miał na sobie jedynie dżinsy i koszulkę z krótkim rękawkiem. Oczy miał zamknięte. Brwi i rzęsy

pokrywała cienka warstwa lodu.

Pia schowała pistolet.

Bodenstein przykucnął i dwoma palcami dotknął szyi mężczyzny, szukając tętnicy.

— Za późno — powiedział i spojrzął na Pię. — Znowu jesteśmy za późno. Dirk Stadler nie żył.

NADCHODZIŁ PORANEK. Mrok nocy powoli się przerzedzał, a świat we władanie brała szarość nadchodzącego dnia. Bodenstein i Pia stali nieco z boku i w milczeniu przyglądali się, jak pracownicy domu pogrzebowego umieszczają ciało Stadlera w trumnie i po chwili odjeżdżają. Wcześniej wezwali pogotowie. Lekarz potwierdził to, co sami doskonale wiedzieli. Stadler nie żył, a śmierć nastąpiła w wyniku wychłodzenia organizmu. Mężczyzna zmarł między pierwszą a drugą w nocy. Zdjął kurtkę i sweter, złożył je i wsunął sobie pod głowę, a na koniec wypił całą butelkę wódki. Organizm człowieka pod wpływem alkoholu znacznie szybciej się wychładza — Stadler nawet swoją śmierć zaplanował z zegarmistrzowską precyzją. Hartig celowo dał się złapać, żeby zapewnić mu odpowiednio dużo czasu.

Do Bodensteina podszedł jeden z funkcjonariuszy i podał mu złożoną na pół kopertę.

— Miał to w wewnętrznej kieszeni kurtki — powiedział. — Jest zaadresowana do pana.

— Dziękuję. — Bodenstein skinął i zamyślony spojrzął na list. Potem rozerwał papier i zaczął czytać odręcznie napisaną wiadomość.

*Szanowny Panie!*

*Skoro czyta Pan te słowa, ja, miejmy nadzieję, już nie żyję. To, co uczyniłem, jest niewybaczalne, ale nie nieuzasadnione. Decyzja, by zabijać*

niewinnych ludzi, by przysporzyć ich bliskim tego samego bólu i cierpienia, którego oni nie oszczędzili Helen i mnie, nie przyszła mi łatwo, lecz bardzo starannie ją przemyślałem. Sprawcą tej tragedii jest profesor Dieter P. Rudolf, którego obłąkańcza żądza chwały i sławy skłoniła do parcia naprzód bez względu na ofiary. Jedną z tych ofiar była moja ukochana żona, która wpadła w łapska temu potworowi bez sumienia. Niewiele mniejszą winę ponosi doktor Simon Burmeister, który powierzonych mu pacjentów nigdy nie traktował jak ludzi. Moją córkę, która wpadła na ślad ich nieetycznej działalności, pragnienie ujawnienia prawdy kosztowało życie.

Koniec końców, z moralnego punktu widzenia znalazłem się po tej samej stronie co ci, których ukarałem. Oni odgrywali Boga i ja też wszedłem w Jego rolę. Wziąłem na siebie winę i czeka mnie teraz za to sąd. Odchodzę, żywiąc słabą nadzieję, że zostanie mi wybaczone. Wszystko zaplanowałem i zrealizowałem sam. Nikt poza mną nie ponosi odpowiedzialności za to, co się stało, i nikt poza mną nie złamał prawa.

Nie zależało mi nigdy, by znaleźć się w centrum zainteresowania opinii publicznej, i bardzo żałuję, że naraziłem państwo — które przyjęło mnie z otwartymi rękoma i zawsze mnie wspierało — na tak wysokie koszty. Dlatego, wbrew pierwotnemu zamiarowi, by stanąć przed obliczem sprawiedliwości, postanowiłem sam pożegnać się z życiem. Sporządziłem testament, w którym cały swój majątek przeznaczam dla państwa, żeby w ten sposób choć w znikomej części pokryć straty, które spowodowałem. Odchodzę w nadziei, że wymiar sprawiedliwości pociągnie winnych do odpowiedzialności.

Z wyrazami szacunku, Dirk Stadler, 2 stycznia 2013

Bodenstein potrząsnął głową i podał list Pii. Potem wsunął dłonie

w kieszenie płaszcza, schował głowę w ramionach i bez słowa ruszył przez mgłę w stronę auta.

Białe namioty na zielonej łące, roześmiani ludzie przy stolikach i na ławkach, a nad nimi błękitne, bezchmurne niebo. W powietrzu unosił się zapach grillowanego jedzenia i mieszał z niewiarygodnie słodką wonią skoszonej trawy.

— Tak właśnie wyobrażałam sobie nasze wesele — powiedziała Pia i uśmiechnęła się do Christopa. — Cudowne przyjęcie!

— Najwspanialsze przyjęcie z najwspanialszą kobietą świata. — Christoph wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

W lutym oficjalnie poinformowali znajomych o swoim ślubie i o przyjęciu weselnym, które dużo wcześniej zaplanowali jako swobodną imprezę pod gołym niebem na terenie ich gospodarstwa. Pia nie miała najmniejszej ochoty przyodziewać się w białą suknię panny młodej, bo uważała, że w jej wieku i przy drugim ślubie w życiu wyglądałoby to co najmniej głupio. I tak świętowali w gronie rodziny i znajomych, grille płonęły, wina nie brakowało, a wszystkim dopisywały humory. Córki Christopa stawily się w komplecie i nawet Lilly przyleciała z Australii specjalnie na tę okazję. Pojawili się też Miriam z Henningiem, którzy po sylwestrowym kryzysie znów się zaczęli dogadywać, i cała masa kolegów, koleżanek i znajomych. Od ostatnich świąt Bożego Narodzenia rodzice Pii zaczęli utrzymywać z nią nieco bliższy kontakt i o dziwo, również przyjechali. Christoph swoim wdziękiem już na wstępie podbił serce teściowej.

— Zajmę się grillami — powiedział i pocałował żonę. — Wytrzymasz chwilę beze mnie?

— Ale tylko chwilę i tylko z wielkim trudem. — Pia uśmiechnęła się



szeroko i podeszła do stolika, przy którym siedzieli jej współpracownicy. Bodenstein przyjechał z Sophią, która z radością zajęła się Lilly, i szalały gdzieś po obejściu. Na początku roku rozstał się z Inką Hansen. Pia ze wszystkimi stuknęła się kieliszkiem.

We wrześniu miał się rozpocząć proces profesora Ulricha Hausmanna. Prokuratura zarzucała mu zabójstwo Helen Stadler. Nowoczesne techniki kryminalistyczne po raz kolejny udowodniły swoją przydatność, bo tylko dzięki nim lekarzowi można było przedstawić akt oskarżenia. Badania laboratoryjne wykazały, że cząsteczki skóry znalezione u dziewczyny pod paznokciami pochodzą właśnie od Hausmanna. Potwierdziła się informacja, że porsche doktora Burmeistera zostało sfotografowane przez fotoradar w Kelsterbach, lecz na zdjęciu za kierownicą siedział jego szef. W czasie aresztowania przyznał się, że szesnastego września 2012 roku zepchnął dziewczynę z mostu pod nadjeżdżający pociąg.

Profesor Dieter P. Rudolf został oskarżony o zabójstwo Friedricha Gehrkego i trzy przypadki nieumyślnego spowodowania śmierci. Za popełnione czyny groziła mu kara dożywocia. Również doktor Burmeister — niezależnie od obrażeń, jakie odniósł — nie mógł liczyć na uniknięcie odpowiedzialności. Miał odpowiedzieć przed sądem za trzy przypadki nieumyślnego spowodowania śmierci. Doktor Arthur Janning, który swoją milczącą zgodą na wyłączenie urządzeń podtrzymujących życie przyczynił się do śmierci Kirsten Stadler, został oskarżony o pomocnictwo w zabójstwie.

Mark Thomsen został zwolniony z aresztu jeszcze tego samego dnia, w którym znaleziono zwłoki Dirka Stadlera. Napisał książkę o śmierci swojego syna, w której zawarł też historię Kirsten Stadler i ujawnił działania Rudolfa i Burmeistera. Książka stała się bestsellerem.

Erik Stadler pochował ojca w grobie siostry.

Jens-Uwe Hartig stanął przed sądem podejrzany o spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu Simona Burmeistera, lecz nikt nie potrafił mu udowodnić uczestnictwa w amputacjach, więc z braku dowodów został uniewinniony. Sprzedał swoją pracownię złotniczą i sklep i wyjechał.

Karoline Albrecht zerwała kontakty z ojcem. Pia dowiedziała się tego od Bodensteina, niejako przy okazji, kiedy opowiadał jej o propozycji teściowej. Pani Albrecht miała mu okazjonalnie doradzać w sprawach finansowych, lecz ona przeczuwała, że za tym lapidarnym stwierdzeniem kryje się coś więcej.

— To co, chcesz rzucić pracę? — Pia spojrzała na niego przestraszona.

— Tylko jeśli ty chciałabyś zająć mój fotel — odparł poważnie.

— O nie, mowy nie ma! — Pia się uśmiechnęła. — Podobają mi się tak, jak jest.

— W takim razie zostaję. — Bodenstein również się uśmiechnął. — No chyba że ktoś na samej górze nie wyda mi zgody na taką działalność poza służbą.

Przez bramę wjechał kolejny samochód.

— O, kto to może być? — zainteresował się Kai.

— Im późniejszy wieczór, tym piękniejsi goście — powiedziała Pia i wstała. — To auto Kim.

— Już myślałem, że nie przyjedzie — zdziwił się Christoph.

— A zobacz, kogo ze sobą przywiozła! — Pia wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu, kiedy od strony pasażera wysiadła doktor Nicola Engel. Była ubrana z nadzwyczajnym luzem, w dzinsy, mokasyny i białą koszulę.

— Zaprosiłaś naszą szefową? — Bodenstein był zaskoczony.

— Na zaproszeniu było napisane „z osobą towarzyszącą”, zapomniałaś? — wyjaśniła Pia.

Kim i Nicola podeszły bliżej.

— Przepraszam za spóźnienie, koleżanko Kirch... koleżanko Sander. — Nicola Engel puściła do niej oko. — O rany, będę musiała się przyzwycząić. A pan, jak rozumiem, jest szczęśliwym małżonkiem?

— Najszczęśliwszym na świecie — poprawił ją Christoph i uściskał wyciągniętą dłoń. — Wspaniale, że dałyście radę przyjechać.

Dał znak jednej z kelnerek, które wynajęli do obsługi przyjęcia.

— Każdy nowy gość to dobry powód do toastu! — zaśmiał się i objął Pię. Kobieta przyniosła szampana i wszyscy wychylili kieliszki za ich pomyślność.

— Przy okazji — powiedziała Nicola, zanim wypła. — Powód naszego spóźnienia jest wyjątkowo radosny. Odebrałam wiadomość z Francji, którą musiałam przekazać prokuraturze. Otóż wczoraj wieczorem w Paryżu zatrzymano kogoś, kogo uważaliśmy za zmarłego. Został rozpoznany przez pewną młodą dziewczynę, która nie miała najmniejszych wątpliwości co do jego tożsamości. Francuska policja go aresztowała mimo paszportu dyplomatycznego i nowej tożsamości!

— Robi się naprawdę ciekawie — stwierdził Bodenstein.

— Chodzi o doktora Marcusa Marię Freya! — wyjaśniła dyrektorka i uśmiechnęła się tak radośnie, jak jeszcze chyba nigdy w obecności Pii. — Co się odwlecze, to nie uciecze.

— No proszę, kolejny powód do toastu, zanim szampan przestanie być zimny. — Bodenstein uniósł kieliszek. — Na zdrowie!

— Zaraz, a kiedy pocałujesz pannę młodą? — krzyknęła Kim, a pozostali goście podchwycili jej pomysł.

— Gorzko! Gorzko! Gorzko! — zaczęli skandować.

— Przytrzymaj, proszę, na chwilę. — Christoph zabrał Pii kieliszek z dłoni, podał go Bodensteinowi, a potem objął żonę.

— Kocham panią, pani Sander — wyszeptał i spojrzał jej czule w oczy.

— A ja kocham pana, panie Sander — odparła Pia i uśmiechnęła się.

Za górami Taunus chowało się ogniście czerwone słońce, a zachwyceni goście klaskali i wiwatowali. Nie mogli sobie wymarzyć piękniejszego momentu na pocałunek.

Bardzo dziękuję mojej redaktorce Marion Vazquez, która niestrudzenie wspomagała mnie przy planowaniu akcji książki. Ona to nadała niniejszej powieści ostateczny kształt.

Dziękuję Susanne Hecker za krytyczne komentarze we wstępnej fazie powstawania książki, co wielokrotnie pozwoliło mi pójść w dobrą stronę.

Ogromne podziękowania należą się pierwszym czytelnikom manuskryptu, które w chwilach zwątpienia służyły mi wsparciem, dobrą radą i konstruktywną krytyką — mojej mamie, Caroli Löwenberg i siostrom Claudii Cohen i Camilli Altvater, mojej agentce Andrei Wildgruber i przyjaciółkom Simone Schreiber, Cathrin Runge i Vanessie Müller-Raidt.

Reinhardowi Sturmowi dziękuję za wyjątkową możliwość wejścia na „miejsce zbrodni”, a nadkomisarz Andrei Rupp za rzeczowe wskazówki dotyczące pracy policji kryminalnej.

Podziękowania kieruję także do wszystkich, którzy służyli mi fachową radą i równocześnie proszę o wybaczenie za to, że czasem korzystałam z przysługującej mi *licentia poetica* i naginałam pewne fakty do ram powieści.

Dziękuję pracownikom wydawnictwa Ullstein za niezmiennie fantastyczną współpracę!

Specjalne podziękowania kieruję do Czytelniczek i Czytelników, którzy kochają moje książki, za ich entuzjazm, który stanowi dla mnie motywację, by tworzyć coraz to nowe historie.

I wreszcie z całego serca dziękuję najważniejszej osobie w moim życiu — mojemu partnerowi Matthiasowi Knößowi, który każdego dnia wspiera mnie słowem i czynem uważnie i bezinteresownie, tym samym umożliwiając mi

skupienie na pracy. Kochany, dziękuję!

*Nele Neuhaus, lipiec 2014*

*Niniejsza książka jest powieścią. Wszystkie postaci i wydarzenia są fikcyjne, a jakiegokolwiek podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych i do prawdziwych wydarzeń jest przypadkowe i niezamierzone.*